PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK TRZECI. — TOM IX.

STYCZEŃ, LUTY MARZEC.

1886.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1886.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	69	wiersz	15	*zamiast:*	de pleine exercices	*czytaj*	de plein exercice
„	257	„	4 i 6	„	tętnicach... tętnice	„	żyłach... żyły
„	263	„	12	„	Dąbrowska	„	Dąbrówka
„	265	„	21	„	leczone	„	tęczowe
„	266	„	27	„	Bibrana	„	Bibiana
„	288	„	39	„	traves	„	travers
„	291	„	30	„	przecząc	„	przeczącą
„	292	„	18	„	Drewej	„	Drewes
„	315	„	30	„	medytacyi	„	medyacyi

Str. 32, w przypisku *zamiast:* Ilość ciepła, która jest w stanie stopić kilogram lodu, *ma być:* Ilość ciepła, która jest w stanie podnieść temperaturę kilogramu wody od 0 do 1°.

CZŁOWIEK W STOSUNKU DO RELIGII I WIARY.

Stosunek człowieka do Boga, jego potrójna zawisłość od Niego: w pochodzeniu, bycie i działaniu.

Jest więc Bóg — a Bóg ten nie jest tą karykaturą, jaką zbłąkana filozofia wymarzyła, ale jest takim, jakim Go Kościół w 19-stowiekowej wierze pojmuje i przedstawia, Bogiem chrześcijańskim: — taki jest wynik poprzednich naszych badań, wynik, który jest pierwszym i podstawowym szczeblem w obronie Boskiej wiary naszej. Wszelką bowiem wiarę poprzedzać musi pewność o istnieniu przedmiotu, któremu i w który wierzyć potrzeba.

Uzasadniwszy istnienie Boga, przechodzimy do drugiego pytania: w jakim stosunku stoi człowiek do Niego? Rzecz to wprawdzie widoczna, że jakiś stosunek zachodzić musi między człowiekiem a Bogiem. Jednak by nie zostawiać za sobą stanowisk nieobwarowanych dowodami, wykażemy, iż stosunek ten jest stosunkiem najgłębszej, najistotniejszej, bo bezwzględnej zawisłości człowieka. Poznaliśmy już Boga, jako pierwszą, ostateczną przyczynę *(causa prima)*, z której dłoni twórczej a wszechmocnej wszystko co po za Bogiem istnieje, otrzymało swój byt, a wraz z bytem wszystkie własności, przymioty i siły swej naturze właściwe. A czyż człowiek nie jest maluczkim pyłkiem a cały ród ludzki garścią takich pyłków, które dłoń Stwórcy rzuciła w ustrój wszechświata?! Tak jest, i człowiek stał się — a więc i on jest stworzeniem. Czy zaś podobna, aby nie istniał żaden węzeł, żaden stosunek między stworzeniem a Stwórcą, bez którego stworzenie to w nicości pozostaćby musiało? Najprzód więc stosunek najgłębszej zawisłości w powołaniu do bytu wiąże człowieka z Bogiem, jako Stwórcą. Ale nie dość

na tem. Naczynie, ręką garncarza ulepione zależy od niego, jako od dawcy bytu; lecz raz wykończone kształtów swych nie zmienia i trwa wciąż bez pomocy mistrza: zależność, istniejąca w początkach istnienia, a raczej w przejściu z nicości do bytu, ustaje tam, gdzie się zaczyna t r w a n i e czyli dalszy ciąg bytu. Czy taki tylko stosunek zachodzi między stworzeniem a jego Bogiem i Stwórcą? Nie, tutaj zawisłość nie jest tylko przemijającą, ograniczoną do chwili tworzenia, ale trwałą, ustawiczną, ponawiającą się w każdej chwili trwania bytu. Jak w pierwszym momencie i s t n i e n i a, tak i w każdej cząstce swego t r w a n i a, jestestwo z rąk tego samego Stwórcy wychodzi. Taż sama twórcza potęga, która b y t wywołała z nicości, konieczną jest wciąż, aby byt ten utrzymać. Gdyby Bóg choć na chwilę swą twórczą działalność zawiesił, nieprzeparta konieczność zepchnęłaby stworzenie do pierwotnej nicości. Rzeka przestaje płynąć, gdy wyschną źródła; świetlne promienie nikną, gdy ognisko się zasłoni — tak też, gdy źródło stworzonego bytu zamknie swe upusty, stworzenie traci swój byt[1]. Nie trudno uwidocznić tę prawdę. T r w a n i e bowiem jest przecie czemś więcej, aniżeli początek. Jeśli zaś początek ma swoją przyczynę, toć też i trwanie mieć ją powinno. Gdzież więc szukać powodu trwania? Czy może w początku samym? Oczywiście że nie: wówczas bowiem początek musiałby zarazem być też i trwaniem; inaczej nie mógłby być dawcą trwania. Czy więc może w jakiej sile w początkowym bycie zawartej? I to nie, bo wtedy siła ta musiałaby już zawierać w sobie całą pełnię trwania, które dopiero wywołać ma i utrzymywać. Wreszcie może przyczyna ta leży w wymaganiu *(exigentia)* początkowego bytu? Lecz i to niemożliwe. Bo przecież fala, tryskająca ze źródła, nie wymaga koniecznie wypływu fal nowych, by wspólnie z niemi popłynąć potokiem. Zatem nic innego nie pozostaje, jak tylko dłoń Stwórcy, od której zarówno początek bytu, jak i jego przedłużenie czyli trwanie, w każdej chwili zależeć musi.

Mistrz-człowiek może usunąć rękę od swego dzieła i pozostawić je samemu sobie, bez obawy zniszczenia go. Ludzkie bowiem tworzenie opiera się zawsze na niezawisłem od człowieka a trwałem podścielisku, a zależy wyłącznie na ukształtowaniu, na w y w o ł a-

[1] S. Thom. Sum. Theol. p. I., q. 104, a. 2. — Lessius. De div. perfect. l. 10, c. 4.

niu formy; dalsze tej formy istnienie utrzymuje już podścielisko, czyli przedmiot *ex quo* trwaniem własnego bytu, i dlatego to człowiek nie potrzebuje już żadnych dokładać starań, aby przedłużyć istnienie swego dzieła. Inny jest stosunek Mistrza-Boga do Jego tworów. Bóg, stwarzając, nie posługuje się żadnym przedmiotem, nie przyodziewa materyi w kształty, ale i kształt i materyę wyprowadza z nicości, oboje więc utrzymywać musi. A zatem przedłużanie bytu wszechmocną dłonią Stwórcy, jest koniecznym warunkiem trwania wszech-stworzeń. Ztąd wypływa druga zawisłość stworzenia od Stwórcy, w każdej chwili jego bytu się powtarzająca, zawisłość, która je czyni najzupełniejszą własnością Bożą. Lecz jest jeszcze ściślejszy węzeł, jest jeszcze głębsza zależność, której nie mniej, jak poprzednim i człowiek także podlega.

Każde jestestwo ma nietylko istnienie, ale też istnieniu temu właściwe czynności i sposób działania. Otóż i tutaj zawisłość jego od Boga jest zawsze ta sama. Nietylko dlatego, że jego zdolność do czynu, jego władze, sposobne do działania, w każdej chwili od Boga pochodzą [1], lecz co najgłówniejsza dlatego, że sam Bóg współdziałać musi ze stworzeniem w dokonywaniu każdej jego czynności. Bez współdziałania tego ani początek jej, ani przebieg, ani skutek nie byłby możliwy. Jestto prawda, o której na drodze rozumowania przekonać się można. Czyn jest także bytem i to daleko doskonalszym od samej tylko władzy i zdolności do czynu; gdyby więc Bóg dawał tylko tę zdolność, a sam czyn i działanie byłoby niezawisłe od Niego, tem samem już mielibyśmy byt samodzielny, którego dawcą nie byłby Bóg, czyli wynikałoby stąd, że Bóg nie byłby pierwszą przyczyną wszystkiego bytu. Czyn bowiem, przez stworzenie wykonany, w stworzeniu tem, a nie w Bogu miałby swą całkowitą przyczynę, byłby więc bytem w początku swoim i powstawaniu od Boga zupełnie niezależnym. Ponieważ zaś Bóg, jakeśmy dopiero widzieli, jest zachowawcą wszelkich jestestw, czyli trwanie wszelkiego bytu od Boga jest zależnem, przeto z powyższego przypuszczenia ten dziwny wypływałby wynik, że czyn, przez stworzenie dokonany, w 2, 3, 4 i we wszystkich następnych chwi-

[1] S. Thom. Questiones disp. q. 3. de pot. a. 7.

lach swego bytu potrzebowałby twórczej potęgi Bożej, a obchodziłby się bez niej w pierwszej chwili, w zaczątku swego istnienia.

Zachowanie jestestw i utrzymywanie wszelkiego bytu, jest tylko dalszym ciągiem, i nieustannem ponawianiem pierwotnego dzieła stworzenia. W całym, jakkolwiek rozległym zakresie działania istot stworzonych, nie mamy przykładu, któryby nam tę prawdę wiernie i całkowicie uzmysłowić potrafił. Jednak chcąc rzecz naszą wyraźniej przedstawić, pomijać przykładów nie możemy, chociaż posługując się niemi, niedokładne i blade ich strony żywszemi barwami uwydatnić nam przyjdzie. Spojrzmy na dziecię, zasiadające po raz pierwszy do lekcyi pisania; wprawdzie pisze już ono, ale ręka nauczyciela kieruje każdym ruchem jego rączki. Bez tej pomocy dziecię ani jednej litery postawić nie zdoła, chociaż paluszki jego nie są pozbawione odpowiedniej siły. Nauczyciel bierze jego rączkę i kreśli literę lub zgłoskę, która w całej swej wielkości i we wszystkich kreskach wychodzi z ręki dziecięcia, lubo również cała nauczyciela jest dziełem. Litera zawdzięcza nauczycielowi, że ma byt t e n a nie inny, i zawdzięcza go dziecięciu: bo rączka jego wpływa zawsze na ruchy ręki nauczyciela, zostawiając w drżących lub krzywych kreskach ślady swej własnej niedoskonałości. Podobny zachodzi stosunek we współdziałaniu *(concursus)* Stwórcy ze stworzeniem. Bóg w nieskończonej swej dobroci, mówi Tomasz św. [1], chciał aby stworzenie było obrazem i podobieństwem Jego nietylko w bycie, ale i w działaniu. Aby jednak sposób działania zastosować do natury stworzeń, Stwórca wlewa w nie w e w n ę t r z n ą s i ł ę c z y n n ą, czego nauczyciel rączce dziecięcej udzielić nie jest w stanie. Lecz ponieważ źródłem wszelkiego bytu jest sam Bóg tylko, więc też ilekroć c z y n n a s i ł a stworzenia wywołać ma byt jakikolwiek, czy to istotny, czy przypadłościowy [2], sam Bóg wtedy byt ów przeprowadza, jakoby kanałem siły stworzenia. W skutek zaś tego przepływu byt otrzymuje pewne właściwe sobie, gatunkowe przymioty. Tak więc o ile z rąk Stwórcy wychodzi ta czynność, nosi na sobie podobieństwo Boże, o ile zaś zabarwioną jest gatunkowemi własnościami stworzenia, odbija się w niej piętno rzeczy stworzonych. Bóg w dzia-

[1] S. Thom. c. Gent. l. 3. c. 70.
[2] Idem ibid. cc. 66, 67.

łaniu stworzeń jest dawcą tego, co najważniejsze, tj. bytu, byt zaś ten w przechodzie przez czynną siłę stworzenia przyjmuje naturę gatunkową, swą postać, przez co też skutek odpowiednim się staje owej drugiej przyczynie, czyli stworzeniu[1]. Z jednej więc strony cały skutek Bogu przypisać należy, jako dawcy bytu, z drugiej zaś, niemniej cały skutek dziełem jest stworzenia, bo ono wewnętrzną swą siłą byt ten specyfikuje. Bez współdziałania Bożego stworzenie nie mogłoby żadnego skutku wywołać, czyli w ogóle odjętąby mu była wszelka zdolność działania, boć każde działanie odnosi się i zmierza do jakiegoś skutku. Dziwnie głęboka zawisłość stworzenia od Stwórcy swego! A tej zawisłości podległy jest i człowiek, niemniej jak wszystkie dzieła rąk Bożych. Lecz nie tu jeszcze ostateczna granica wpływu mocy Bożej na rozwój wszelkich objawów życia naszego. Czyż człowiek nie jest zależny od mnóstwa okoliczności, od tysiąca drobnych na pozór wydarzeń, które się składają na przędzę jego życia, torując mu obraną drogę, lub spychając go na inną? Czy nieznany Korsykanin zostałby Napoleonem I., gdyby o wiek wcześniej był się narodził? Ileż to razy nic nieznacząca drobnostka, od człowieka niezależna, inny zwrot jego życiu nadaje i na inne popycha go tory!

Dalsza dwojaka zawisłość: 1. od Opatrzności Bożej wszystkiem kierującej, 2. od Boga, jako ostatecznego celu.

Historya rodu ludzkiego, dzieje państw i narodów, są właśnie namacalnym dowodem, że mądrość i potęga ziemskich wielkości, to czynnik bardzo słaby i nikły w odmęcie dziejowych wypadków. Jak ziarnko piasku wichrem miotane, tak ich zamiary i dążności zmącone wirem wypadków, rozbijają się o mur nieprzewidzianych przeszkód, lub wbrew woli w przeciwnym pchnięte kierunku, przeciwny też wywołują skutek. Czy więc ta zawisłość człowieka jest dziełem nieugiętego fatalizmu, lub ślepego tylko przypadku? Tak mniemali dawni hołdownicy Stoicyzmu i mędrcy *de grege Epicuri*. Zdrowy rozum inaczej uczy. Wszystkie owe zdarzenia i okoliczności często tak gwałtownie wstrząsające losem jednostek, rodzin i narodów, nie padają bezrozumnie, ale z wyroków Opatrzności najmędrszego i naj-

[1] Id. Quaest. disp. q. I. de pot. a. 4 ad 3m i q. 5. de verit. a. 9. ad 10m.

miłosierniejszego Boga, który dosięga od końca do końca mocnie i rozrządza wszystko wdzięcznie[1]. I rzeczywiście, mógłżeby Bóg, który świat stworzył, który go w każdej chwili mocą swą zachowuje, i w każdym pyłku rozwija swą mądrość i wszechmoc, mógłżeby Bóg ten bezmyślnie postępować, oddawać na łup ślepego przypadku swoje stworzenia, swoje dzieła i samego siebie? Nie, to niepodobna. Jego mądrość wymaga, aby cały wszechświat, przezeń stworzony i zachowywany, zmierzał do jakiegoś celu, którego każde stworzenie dostąpićby mogło i w nim znaleść ostateczny swój rozwój i udoskonalenie. Dalej wymaga taż sama mądrość, aby Bóg nadał każdemu jestestwu siłę i zdolność, potrzebną do osiągnięcia celu, i nakoniec, by je do tego celu doprowadził w sposób, naturze każdej jednostki odpowiedni. Ztąd więc cały ów łańcuch przyczyn i skutków, z taką siłą wstrząsających życiem jednostek i narodów, nie jest bezładnem i nierozumnem zestawieniem przypadkowych zdarzeń, ale harmonijną całością, spojoną wyrokiem najmędrszej Opatrzności Boskiej. Każde ogniwo tej całości, albo czynnie i zamiarowo połączył Bóg z następstwem, albo dopuścił to połączenie, aby wszystko jednemu podporządkować celowi. Świat z całą rozmaitością tworów jest dziełem, pełnem artystycznej harmonii i jedności, dziełem Boga, który nietylko w chwili stworzenia rzucił w nie zarody porządku, ziarna myśli swojej, ale i w dalszym jego rozwoju czuwa nad niem, pielęgnuje swe twory i rządzi niemi, żadnem nie gardząc, żadnego nie wypuszczając ze swej opieki, owszem, wszelkie zło ku dobremu kierując, wszelką gorycz i ból, wszelką nędzę i ludzkie cierpienia ojcowską dłonią miłosierdzia swego na korzyść cierpiących obracając. Prawda ta w sercu ludzkiem tak głębokie zapuściła korzenie, że i poganin w chwili wielkiego ucisku, w chwili gwałtownej burzy, rozdzierającej mu serce, zapomina wszystkich swych bogów i bogiń i korną a gorącą modlitwą wznosi się do tronu jednego Boga, błagając o ulgę w przygniatającem go cierpieniu. Jego modlitwa jest najwymowniejszym wyrazem powyższej prawdy. Na ten też fakt chrześcijańscy apologeci często się powoływali, aby przekonać pogan, że wiara w jednego Boga, władcę wszechrzeczy, głęboko wrosła im w sercu[2]. „O Boże, woła Kościół, który w zrządzeniach

[1] Sap. VIII., 1.
[2] Minutius Felix Octav. c. 18.

swej Opatrzności nigdy się nie mylisz, prosimy Cię, abyś wszystko, co szkodliwe od nas odwracać, a co pożyteczne nam dawać raczył[1]". Ta prośba Kościoła jest modlitwą każdej bez wyjątku duszy, która nie przytłumia w sobie wrodzonego popędu do Boga, czyli jakby powiedział Tertulian: „duszy z natury chrześcijańskiej"[2], *animae naturaliter christianae*. Opatrzność tedy Boża czuwa nad wszystkiem, wszystkiem rządzi i wszystko przenika. Każda chwila życia ludzkiego, każde istnienie myśl każda od niej zależy, ani jeden włos nawet nie spada z głowy człowieka bez woli Ojca, który jest w niebiesiech.

Zdumiewająca jest ta wszechstronna zawisłość. Lecz jest jeszcze jeden jej rodzaj najwyższy, a zarazem największej doniosłości dla każdego człowieka. Człowiek nietylko jest o d B o g a, ale i d l a B o g a. Wraz z całym światem wyszedł on z rąk Bożych na to tylko, aby ustawicznie dążyć do Stwórcy swego i kiedyś doń wrócić. Zwróćmy na chwilę uwagę naszą na ten ostatni rodzaj zależności.

Czy człowiek ma w ogóle jakiś cel na ziemi? Jeśli pomnimy, że jest dziełem rąk Bożych, już rozstrzygnęliśmy to pytanie. Każdy bowiem sztukmistrz, każdy rzemieślnik, do jakiegoś celu swą pracą zmierza *(finis operantis)*; z drugiej zaś strony dzieło, będące owocem jego trudów przeznacza on i ukształca do właściwego mu użytku, co znów stanowi cel samego dzieła *(finis operis)*. Czyż mądrość wiekuista w twórczej swej pracy nie miałaby się również kierować celową dążnością? Niedorzecznem byłoby podobne przypuszczenie.

Jakiż więc cel mógł pobudzić Boga do wykonania mistrzowskiego ustroju wszechświata? Oczywiście, nie żadna potrzeba samego Boga, którą dzieło stworzenia zaspokoićby miało; boć On sam wystarcza sobie nieskończoną pełnią doskonałości, tak, że niczego zgoła do szczęścia swego nie potrzebuje, ani też szczęścia tego i doskonałości bardziej już podnieść i spotęgować nie może, bo Bóg posiadając pełnię nieskończonej doskonałości ani potrzebować czegoś, ani pomnażać

---

[1] Or. Dom. VII. p. Pentec.

[2] Tertull. De testimonio animae. Cyprian. De idolor. vanit. n. 9., Arnob. Adv. Gent, II., 2. Lactant. De div. instit.

swego szczęścia nie może. Żadne więc jestestwo nawet dobrocią swoją nie mogło skłonić Boga do przedsięwzięcia dzieła stworzenia. Bo chociażby ono było jak najdoskonalsze, w porównaniu do nieskończonej doskonałości Bożej jest zawsze tylko nicością. Cóż więc było Bogu pobudką w dziele stworzenia?... Oto miłość tylko i to miłość samego siebie. W pobudkę tę głębiej wglądnąć należy. Bóg poznaje swą piękność bez granic w całym jej blasku, a znając ją, kochać ją musi całą nieskończonością swej najświętszej woli. Niemasz bowiem dla niej po za Bogiem wznioślejszego, piękniejszego i miłości godniejszego dobra. Bóg więc pod wpływem tej miłości tego jedynie żądać może, aby to dobro miłości najgodniejsze od innych też istot poznane i kochane było. Tego jedynie, mówię, Bóg chcieć i żądać może — nie z potrzeby, ale dla godności swojej; a przeto, chcąc tworzyć, tylko jestestwa zdolne do poznawania i miłowania Go, czyli jestestwa obdarzone rozumem i wolą zamierzać może. Dać się więc poznać i pokochać, było zamiarem Bożym w stwarzaniu aniołów i ludzi. Ale że człowiek znów nie zdoła głębi Boskich doskonałości przeniknąć, musiał Bóg w sposób odpowiedni do rozumowej jego natury, upowitej w zmysłach, odsłonić mu skarby swego piękna i swej dobroci. W tym więc celu skreślił palcem swej mądrości, tę wspaniałą księgę przyrody, której każda głoska opiewa chwałę swego Stworzyciela. Stąd łatwo wywnioskować, jaki cel zakreślił Bóg człowiekowi i jakie mu wytknął zadanie na ziemi. Jeśli w stworzeniu człowieka i całego widzialnego świata, jedynym było Stwórcy zamiarem, żeby człowiek znał Go i kochał, to i na odwrót jedynym celem i zadaniem człowieka nie może być nic innego, jak tylko poznać Boga, miłować Go i miłość tę okazać czcią i uwielbieniem Jego chwały, serdeczną wdzięcznością za otrzymanie dobrodziejstwa, ochoczem pełnieniem świętej Jego woli. To uwielbienie Boga w doczesnem życiu jest ostatecznym celem człowieka na ziemi, celem, który go udoskonali i u kresu doczesnej pielgrzymki nieskończonem szczęściem nasyci. Otóż ten obowiązek uwielbienia Boga w tem życiu, stawia człowieka w nowym stosunku zawisłości od Niego — zawisłości tak głębokiej, że obejmuje całą istotę człowieka, cały świat wewnętrzny jego myśli, całą sferę jego działania — zawisłości tak wzniosłej,

uszlachetniającej, błogiej w skutkach, że służenie Bogu jest królowaniem: *Deo servire — regnare est.*

Oto w głównych zarysach zależność człowieka od Boga, wiążąca go z Nim pięciorakim węzłem, przenikająca całe jego jestestwo, obejmująca całe życie jego, od pierwszej chwili bytu aż do zupełności rozwoju i końcowego szczęścia.

Rozwinięcie pojęcia religii: naturalnej i objawionej. — Istotna podstawa wiary objawionej. — Podział: Czem jest dla człowieka religia w ogólności? — Czem wiara w objawioną religię?

Przejdźmy teraz do dalszych następstw co dopiero wykazanej prawdy. Czy mógłby człowiek nie znać tej zawisłości od Boga, nie odczuwać jej ogromu? Nie, to rzecz niemożebna. Dopóki światło rozumu nie straci przyrodzonej swej siły, musi ono opromieniać tę prawdę, choć może w całej jej głębi przeniknąć nie zdoła. Ta zależność bowiem jest właśnie drogą wiodącą człowieka do poznania Tego, *quem ignorare non potest.* To też zarówno, jak pojęcie Boga, tak i znajomość tej zawisłości wrodzoną jest rozumnej naturze. Obadwa te pojęcia wyjaśniają się i uzupełniają nawzajem. Wynikiem poznania teoretycznego jest uznanie praktyczne. Wola bowiem, dopóki grzeszne chuci nie zepchną jej z prostej drogi, skłania się chętnie do tego poznania, przyswaja je sobie i postanawia czyny swoje do tej modły stosować. Takiem jest to praktyczne uznanie z całem bogactwem rozmaitych jego wyrazów we wszystkich uczuciach i obawach, we wszystkich pragnieniach i tęsknotach serca, w poczuciu całego szeregu obowiązków, wypływających z zupełnego poddania się Bogu. To praktyczne uznanie zawisłości człowieka od Stwórcy, wraz z praktycznem jego zastosowaniem, jest właśnie tem, co odwiecznie religią się zwało, czego też i dzisiaj innem mianem nazwać nie możemy. W definicyi tej bierzemy wyraz religia, w jego podmiotowem i psychologicznem znaczeniu, a nie w przedmiotowem, w którym on oznacza zbiór przykazań i nauk o Bogu i stosuku człowieka do Boga. Nowożytna filozofia z właściwą sobie konstrukcyjną rzutkością, długo pracowała nad przerobieniem tego pojęcia, chcąc się wyzuć z istotnej religii a jednak nie ściągnąć na siebie zarzutu bezreligijności. Starania te są po prostu obłudą, dążącą do obałamucenia łatwowiernych umysłów, czyli do

propagandy apostazyi. W dalszym toku naszej pracy podamy krótką ocenę tego spaczenia pojęcia religii, aby odsłonić przewrotne zasady i idee w tej rzekomej umiejętności ukryte. Dopóki pojęcie Boga służące za podstawę religii, jako też inne prawdy praktyczne, będące jej wyrazem, zdobywamy na drodze naturalnego dochodzenia, za pomocą przyrodzonych sił rozumu — dopóty religia nasza jest przyrodzoną. Jeśli zaś zasadnicze prawdy religijne czerpiemy ze źródeł wiary, tj. z Objawienia Bożego, wtedy i religia zowie się objawioną czyli nadprzyrodzoną; ponieważ i droga, którą światło tych prawd do nas spłynęło, przewyższa siły i wymagania ludzkiej natury, i władze ducha naszego w porządku przyrodzonym niezdolne są do ich pojęcia tak dalece, że sam Bóg wlewać w nas musi nowy zasób sił nadprzyrodzonych, do przyjęcia nadprzyrodzonej prawdy niezbędnych. Czy może przeznaczenie człowieka do celu nadludzkiego, przewyższającego istotę i wymaganie natury stworzonej, jest czemś niepodobnem dla wszechmocnego Stwórcy, Pana wszechrzeczy? Wszechmoc i dobroć Boża może zaiste podnieść człowieka nawet tak wysoko; tylko człowiek wówczas przyrodzonym rozumem swoim nie dojrzałby swego przeznaczenia, nie znalazłby dróg doń prowadzących. Bóg więc musiałby sam w takim razie objawić człowiekowi ów cel nadprzyrodzony i wskazać środki, do jego dostąpienia potrzebne. Nadto, dla głębszego upewnienia i pouczenia ludzi o takim celu i takich środkach nadprzyrodzonych, mogłoby spodobać się Bogu, odsłonić ludziom, odpowiednio do ich pojemności, ze swych przymiotów i wewnętrznego życia, ze swych celów i dążności, ze swych wyroków i opatrznościowego działania, więcej tajemnic i prawd, niż z samej tylko księgi przyrody, rozum ludzki wyczytać zdoła; — możliwą jest zatem religia objawiona. Kwestyę tę na innem jeszcze miejscu gruntowniej rozbierać będziemy. Z tego jednak cośmy już powiedzieli, wynika, że religii takiej niepodobna ani pojąć, ani uznać bez wiary w objawienie Boże, czyli że podstawą religii nadprzyrodzonej musi być wiara. Jakimże będzie stosunek człowieka do wiary, mianowicie w prawdy, dla rozumu ludzkiego niedostępne? Czy wiara taka jest możliwą, czy konieczną — czy jest rozsądną, czy też nierozumną — uzacniającą, czy poniżającą — słowem, czy jest ona doskonałością, czy ułomnością? Są to kwestye prawdziwie piekące w obec niewiary naszych czasów i nie-

chęci ku wszystkiemu co nadprzyrodzone. Porównując z dopiero co rozwiniętemi pojęciami religii i wiary, współczesne prądy, nurtujące w wielu filozoficznych szkołach i w głowach ludzi, przywłaszczających sobie monopol uczoności, spostrzegamy, że na karcie naukowo-religijnego ruchu dni naszych dwie kwestye odrysowują się najjaskrawiej i najwybitniej. Doniosłość tych kwestyj jest wyjątkową, a rozwiązanie ich rozstrzygające o duchowem i moralnem stanowisku człowieka: bo odpowiedź przeczącą lub twierdząca dzieli ludzkość na dwa przeciwne sobie obozy.

Czem jest religia dla człowieka? Czem jest dlań religijna wiara? Oto kwestye, których dokładne a sumienne rozwiązanie obecnie nas zajmie. Może w rozwiązaniu tem uda nam się jeszcze krok dalej postąpić, aż do uzasadnienia i obrony wiary naszej, abyśmy podług rady apostoła zawsze gotowi byli uzasadnić podstawę naszej nadziei: „zawżdy gotowemi będąc ku dosyćuczynieniu każdemu, domagającemu się od was sprawy, o tej nadziei, która w was jest“ [1].

Czem jest religia? — Główna podstawa tej kwestyi: istota i natura religii. — Najpierwszym jej składnikiem jest poznanie Boga, naszej zależności od Niego i obowiązku wyrażania życiem tej zależności. — Znajomość ta jest dobrem wspólnem całemu rodzajowi ludzkiemu i psychologiczną koniecznością.

Czem jest religia? Oto kwestya przedwstępna, którą ściśle zbadać i stanowczo rozstrzygnąć potrzeba, zanim odpowiemy na pytanie: czem jest religia dla człowieka. Błąd, popełniony w rozwiązaniu pierwszej kwestyi, pociągałby za sobą nieodzownie błędne rozwiązanie drugiej.

Rozpatrując się w różnych filozoficznych systemach, napotykamy częstokroć najdziwaczniejsze i najsprzeczniejsze określenia istoty religii. Tutaj jest ona mdłym kwiatem marzycielstwa, uczuciem pobożności, bez zasadniczych powodów, pobudek, bez jasno zakreślonego celu. Tam znów istotę jej stanowi cześć dla jakiejś nieokreślonej świętości, którą sobie każdy w dowolne przyodziewa szaty. Indziej jest ona hołdem uwielbienia, składanym cudowności wszechświata, lub snem o jakimś nadzmysłowym świecie, wyobrażanym wedle gustu i upodobania każdego. Indziej wreszcie, by nie pomijać naj-

[1] I. Petr. III. 15.

skrajniejszych pojęć, treścią jej bywa nawet cicha rozpacz Schopenhauerowskiego *Weltschmerz'u*, lub sarkastyczny humor, co z życia i śmierci, z czasu i wieczności, z duszy i Boga, niby z igraszek szydzi. Gdybyśmy w tym przeglądzie filozoficznych systemów dalej jeszcze cofnęli się w przeszłość, i zapytali szkół starożytnych, niechrześcijańskich, czem jest religia — otrzymalibyśmy nowy a niemniej ciekawy katalog najróżnorodniejszych definicyj tegoż pojęcia [1]. Słowem poszukiwania nad pojęciami religii doprowadziłyby nas do tego samego rezultatu, jak poprzednie badania nasze o pojęciach i definicyach wiary [2]. To samo już usprawiedliwia nas, że kwestyę na pozór tak prostą i jasną, pod dłuższy rozbiór poddać zamierzamy.

Spytajmy wszystkich ludzi, szczerze miłujących prawdę, co sądzą o istocie religii, a znajdziemy w rozlicznych odpowiedziach jedno, wspólne wszystkim przekonanie, że najistotniejszym charakterem religii jest uznanie zawisłości naszej od Boga i chęć potwierdzenia czynem tego poddaństwa względem Pana i Stwórcy swego. Spróbujmy uzasadnić pojedyńcze pierwiastki składające istotę religii, pomijając tymczasem jej nadprzyrodzone czynniki. Najważniejszym, zasadniczym pierwiastkiem, na którym wszystkie inne opierają się, jest p o z n a n i e. W istocie, najprzód poznanie, a potem dopiero religia. Religia przyjmująca paradoksalną zasadę: *credo, quia absurdum*, miałaby prawdziwe *absurdum* w najistotniejszych składnikach swoich. Chrześcijańska religia odrzuca takie hasło, choć jej nieraz takowe zarzucano, bądź ze złej woli, bądź z nieświadomości. Często też zamiast poznania brano u c z u c i e za podstawę religii. Ale popęd uczucia nie zawsze nas unosi do dobrych i szlachetnych czynów. Ileż to ludzi właśnie uczucie do najgorszych wiedzie występków. Uczucie nie prowadzi zwykle prostą drogą prawdy, ale jak burza miota człowiekiem po wertepach błędu, aż strąci w przepaść bez wyjścia. Jeśli rozumną religię mieć chcemy, to podstawą jej musi być rozumne poznanie.

To zaś rozumne poznanie, stanowiące fundament religii, wynikiem jest trzech prawd. Pierwszą jest istnienie Boga, Stwórcy świata i człowieka, drugą zawisłość człowieka od Boga swego Stwórcy i Pana,

---

[1] Cf. Denziger, Religiöse Erkenntniss. 1 Buch.

[2] Przegl. Powsz., t. I.

trzecią, obowiązek dobrowolnego wyrażania tej zawisłości całem życiem swojem. Że człowiek, dopóki mu rozumu nie przyćmi złość serca, może łatwo poznać te trzy prawdy, to fakt historyczny i zarazem psychologiczna konieczność. Prawdziwość historycznego faktu udowadniają świadectwa apostolskich siewców ziarna ewangelicznego, którzy w każdym wieku ery chrześcijańskiej, niosąc to ziarno wszystkim narodom ziemi, znajdowali zawsze glebę przygotowaną już przez znajomość Boga, jakkolwiek często ta znajomość na niejasnych i skrzywionych ograniczała się pojęciach. Znane jest świadectwo Cycerona, że nie masz narodu bez Boga, świadectwo, które Klemens Aleksandryjski szczegółowemi poparł okazami [1], a inni Ojcowie Kościoła jednozgodnie potwierdzili. W końcu najliczniejszych dowodów dostarczają nam etnografowie nowożytni, jak: Humboldt [2], Ridley [3] lub Taylor [4], którzy otwarcie wypowiedzieli przekonanie, że nie ma istotnie wśród najdzikszych plemion ziemi, ani jednego, któreby jakiegoś Bóstwa nad sobą nie uznawał; a że wszystkie przeciwne mniemania pochodziły z mniej sumiennych badań i nieznajomości języków.

Ale dajmy na to, że są gdzieś tak zdziczałe plemiona, że żadnego zgoła nie mają o Stwórcy wyobrażenia, to jeszcze fakt ten bynajmniejby nie uwłaczał twierdzeniu, że poznanie Boga jest wspólną i powszechną rodu ludzkiego własnością, i że sama przyroda mimowolnie mu to pojęcie narzuca. Takie bowiem nieokrzesane plemiona byłyby w sferze intelektualnej taką samą anomalią, jak kaleki lub ułomni w porządku fizycznym. Nikomu przecież na myśl nie przyjdzie, wyrokować o fizycznych zdolnościach natury ludzkiej z prac, jakie kaleka wykonać jest w stanie.

Powiedzieliśmy dalej, że poznanie istnienia Boga jest psychologiczną koniecznością. Jest prawo myślenia, głęboko w nasz umysł wpojone, które nam nie daje poprzestać na zewnętrznem poznawaniu zjawisk na zmysły działających, ale nagli nas do głębszych badań: do dochodzenia racyi, do roztrząsania praw, i odkrycia ich przyczyny.

---

[1] Clem. Alex. Strom. l. V., c. 14.

[2] Kosm. I., p. 16.

[3] Journ. of the Anthr. Inst. 1872 p. 257 sq.

[4] Anfänge der Cultur, w przekł. niemiec. I. p. 412. Cf. Przegl. powsz. t. IV., p. 362 sq.

Dziecię wciąż pytające: „dlaczego“? wymownie udowadnia istnienie tego prawa. I wszyscy mniej lub więcej czujemy w duszy żywotną jego siłę. Skoro tylko nowe, nieznane zjawiska wzbudzą naszą uwagę, jak starannie i gorliwie dochodzimy ich źródła!

Prawu temu podlegają wszystkie rodzaje zjawisk: bo samo spostrzeżenie faktu nigdy nas nie zadowolni, rozum zawsze sięga dalej, zapuszcza się głębiej; a jeśli nie może odszukać prawdziwej przyczyny, to przynajmniej stawianiem hypotez zastąpić ją sobie usiłuje. To prawo myślenia jest więc faktem widocznym. Otóż to samo prawo prowadzi nas do poznania Boga. Człowiek z cieniów nicości wstępuje na świat widzialny. Świat jest dlań cudownem zjawiskiem, i on sam dla siebie jest jeszcze ponętniejszą i godniejszą rozwiązania zagadką. Otaczające go twory i cały wszechświat przedstawiają mu się jako arcydzieło tak przedziwnej sztuki i doskonałości, że próżnoby się silił w ciasnych ramach swego rozumu ten ogrom pomieścić. Siebie samego zaś widzi wśród tych wszystkich cudów jako najszlachetniejszą ich cząstkę, najwznioślejszy tej potęgi i mądrości wyraz. Mógłżeby człowiek z takiem poznaniem, nigdy się nie zapytać: zkąd to wszystko się wzięło? A dalej rozpatrując się w budowie wszechświata i trwałości jego ustroju, spostrzega on, jak wszystkiem z niepojętą przezornością niewidzialna jakaś kieruje ręka. Mijają tysiące lat, a te same prawa nieodmienne wywołują skutki, w nieodmiennej harmonii, której żaden fałszywy dźwięk nigdy nie zamącił. On poznaje tę niezachwianą wierność, z jaką zarówno szeregi gwiazd, błyszczących na stropie niebios, jak siły w ziarnku piasku lub kropli wody drzemiące, pełnią rozkazy nieomylnego władcy. W własnem nawet jestestwie swojem odkrywa on różne zależności, z pod których wyłamać się nie może. W sercu jego odzywa się jakiś głos prawodawczy, który wskazuje mu zakon, napomina i grozi, nagli i zachęca, karze wewnętrzną męczarnią lub nagradza słodkiem serca weselem. A człowiek który tak często się pyta: „skąd“? i „dlaczego“, miałżeby nie zapytać tutaj: „kto jest ten, od którego całe jestestwo moje i cały ten świat zależy? Kto jest prawodawcą ruchu i wszechświata, którego głos aż do najtajniejszych skrytości mego sumienia przenika“? Człowiek nie może spocząć, póki nie odnajdzie tej pierwszej przyczyny wszechrzeczy, która wszystkiem kieruje, która wszystko do swych celów nakłania, któ-

rej świętość i sprawiedliwość odzwierciedla się w prawie przyrodzonem, w duszy ludzkiej wyrytem. To odkrycie odsłania mu nieznaną wprzódy twarz Boga. A gdy raz spadnie zasłona a oko się nie odwraca i rozum nie zagłusza, wówczas coraz jaśniej błyszczy postać Stwórcy i Pana, i coraz wyraźniej słyszy człowiek głos sumienia, doń przemawiający: Zależnym jesteś od Boga, we wszystkiem i nadewszystko — on jest absolutnym Panem twoim a ty Jego własnością; On twym zakonodawcą, a ty Jego poddanym. Im głębiej wnika rozum w istotę stworzenia, tem doskonalej poznaje wielkość, i konieczność tej zawisłości od Boga. Rzecz to zaś nie tak dalece trudna, wniknąć choć częściowo w istotę aktu stworzenia. Rozum poznał już Boga, jako pierwszą przyczynę wszechrzeczy. A z pojęcia takiej przyczyny nie trudno wysnuć pojęcie aktu stworzenia. Twórczy ten akt daje stworzeniu wszystko — czyni je tem czem jest. On sprawia *(causat)* w niem byt, trwanie, własności i siły; on w nie wlewa przeznaczenie do celu, i uposaża je środkami do jego dopięcia. Pierwsza przyczyna z natury swej wyklucza wszelki udział innej przyczyny. Istnieją wprawdzie prócz niej przyczyny podrzędne, przyczyniające się w rozmnażaniu jednostek, ale całe to ich współdziałanie dzieje się tylko mocą od pierwszej przyczyny pochodzącą[1].

Zdobywszy dwie pierwsze prawdy, bez trudności już przejść można do trzeciej. Człowiek, przekonany o swej zupełnej zawisłości od Boga i o poddaństwie należnem Bogu, łatwo poznaje też wypływającą stąd konieczność w sferze moralnej, tj. obowiązek unormowania swego życia, podług prawideł tej zawisłości, dobrowolnego wybierania środków ku temu, by wszystkie myśli i pragnienia, słowa i uczynki zgodne były z uznaniem tego poddaństwa. A że przytem Bóg wykonuje swoje panowanie z nieskończoną dobrocią, stąd wola musi mu się poddać z ochotą i dziękczynieniem. Obok tego obowiązku stoi jeszcze inna powinność. Prawdą jest niezaprzeczoną, że człowiek i wszystko co go otacza, jest Boga własnością; ale własności istotą jest podlegać zupełnie woli właściciela. Chociaż więc ta własność wolną wolą jest obdarzona, przymiot ten nie zmienia tego co jest

[1] Cf. S. Th. Sum. contr. Gent. l. 3, c. 66, 67; Quest. disp. q. 3. de pot. c. 7.

własności istotnem, tylko wymaga dobrowolnego poddania się właścicielowi; czyli mówiąc innemi słowy: wiernego służenia Mu. Rozum więc dyktuje człowiekowi drugi główny obowiązek: służenia Bogu i posłuszeństwa bez granic. Niepodobną jest rzeczą, aby człowiek, jak długo rozum jego wierzy w prawdę i szuka jej, mógł Boga uznawać swym Panem, a obowiązków tych względem Niego nie uznawać i wolnej swej woli nie uginać pod kategorycznym rozumu nakazem.

Drugim istotnym czynnikiem w religii jest wola, przez którą cały człowiek Bogu się oddaje. 1) Wpływ woli na rozum — uznanie prawdy religijnej. 2) Podległość woli prawu Bożemu. 3) Jej panowanie nad uczuciem — wzajemny stosunek między uczuciem, wolą i szczęściem w religii — religijność. Trzecim istotnym składnikiem jest zewnętrzny wyraz religii.

Z trojakiego tego poznania wypływa akt nowy, stanowiący właściwą istotę religii jako jej składnik formalny. Leży już w naturze woli, kochać dobro, chcieć go i przyswajać je sobie. Prawda zaś jest także dobrem i to najwłaściwszem dobrem dla rozumowej natury. Im wznioślejszą więc będzie prawda, tem wyższem jest dla człowieka dobrem. Kochać zaś prawdę i przyswajać ją sobie, jestto wolnym wyborem woli wyrażać ją w życiu i postępowaniu, jestto stanowczym aktem woli skłaniać się do tego, co rozum za powinność uważa i uznaje za obowiązujące prawo. Wola ta obejmuje całego człowieka. Przenika rozum, pobudzając go do uznania trzech poznanych prawd, czyli do przejścia z wiedzy spekulatywnej do czynnego uznania. Między poznaniem a uznaniem głęboka zachodzi różnica: poznanie jest koniecznem następstwem praw logicznych; jeśli rozum sił swych należycie używa, do spekulatywnego poznania dojść musi. Wola może tu stanąć na przeszkodzie; ale współczynną być nie może — rozum jest tu zupełnie samodzielnym czynnikiem. Uznanie zaś — to akt moralny, etyczny, akt cnoty, wolą nakazany rozumowi, na podstawie spekulatywnego poznania. Z tym pierwszym aktem rozumu łączą się też inne akty, również siłą woli nakazane: akty czci i uwielbienia Boskiego Majestatu i Jego doskonałości, oraz podzięki za otrzymane z jego hojności dary.

Wola Bogu poddana staje się władczynią wszystkich własnych swych aktów i wszystkich aktów życiowych, pod jej kierownictwem zostających, stosując je do woli swego Stwórcy i Pana. Wola Boża,

jakąkolwiek objawiona drogą, jest prawem i normą wszystkich jej czynności. Dalej, ponieważ rozum przedstawia woli, Boga jako nieskończenie dobrego Ojca, który z miłością czuwa nad słabem stworzeniem swojem, broni je i prowadzi do celu; więc też wola zdobywa się na nowy akt nadziei i miłości, na nowy akt zupełnego oddania się temu Bogu, w którym znajduje opiekę, najwyższe szczęście i zbawienie swoje.

Nadto wykonywa wola Bogu podległa jeszcze jedną czynność wchodzącą w skład religii, jako czynnik nadzwyczaj wielkiej wagi. Pod zarządem woli stoi całe królestwo uczuć, całe życie serca ludzkiego. Z tej skarbnicy czerpie ona ciepło, siłę i natchnienie, by zawsze iść wiernie za drogoskazem religii, choćby pod pręgierzem urągań ludzkich, choćby po ciernistej prześladowań drodze, choćby przez męczeństwo! Serce potężnym jest czynnikiem w życiu człowieka; w niem rodzą się pragnienia i dążności z całą skalą uczuć, z całą potęgą namiętności, z całem bogactwem różnobarwnych skłonności i popędów, co wszystko nadaje kierunek życiu człowieka, cechuje jego charakter i uwydatnia właściwą mu indywidualność. Uczucia te budzą się najczęściej nie prosząc rozumu o pozwolenie. Wprzód nim myśl się rozbudzi, nim wola coś postanowi, już namiętności wrą żarem a porywając wolę, życie człowieka ze sobą unoszą. Lecz i wola ze swej strony zdolna jest zawładnąć i pokierować wszystkiemi temi objawami różnorodnych uczuć. Bo jakkolwiek nieraz uczucia mimowolnie wrzeć zaczynają, zawsze jednak wola może im położyć tamę, lub skierować je do pewnego celu. To też czyni w istocie wola religijna, tj. wola, której prawidłem jest uległość zwierzchnictwu Bożemu. Wszystkie uczucia, żyjące w sercu ludzkiem, są jej posłusznymi sługami: miłość bliźnich i miłość własna, pokój wewnętrzny i zamięszanie, wstyd i żal, tęsknota i pragnienie, obawa i nadzieja, nienawiść i miłość, wstręt i upodobanie, smutek i radość, trwoga i odwaga, gniew i pogoda umysłu — słowem wszelkie popędy i żądze, wszystkie struny serca i wszystkie ich dźwięki wola taka ujmuje w żelazne swe karby, naginając je do miary prawd religijnych, ożywiając duchem własnych dążności, zakreślając im odpowiedne granice, kierując ich działalność do dopięcia celu wskazanego światłem religijnej prawdy. Religia więc objawiająca się w grze uczuć, w życiu serca, to nie

marzenie, nie fanatyzm, nie sentymentalność, ale podporządkowanie i przystosowanie uczucia do dążności woli religijnemi prawdami wywołanych. Życie uczuć naszych, w ten sposób pod panowaniem religijnej woli stojące, świadczy nieocenione usługi rozwojowi i wzrostowi religii. Uczucie bowiem pokierowane należycie, łączy swe siły z siłą woli we wszystkich jej dążnościach. Nie masz ani jednego przedmiotu dążeń religijnej woli, gdzieby jej uczucia tęsknoty lub pragnienia, nadziei lub odwagi, nie niosły pomocy; nie masz zła, w którego unikaniu bojaźń i wstyd, żal i smutek, wstręt lub gniew nawet, nie wspierałyby dzielnie woli. Tak więc wola wzmocniona temi siłami, tchnieniem serca poparta, łatwiej, chyżej i skuteczniej zdąża do celu, który jej prawdę Bożą wskazuje.

Jedną jeszcze korzyść odnoszą wola i uczucie z tego związku między sobą pod wpływem religijnej prawdy. Religia wszystkim dążnościom ludzkim dostarcza najwznioślejszych przedmiotów, w których serce znaleść może zaspokojenie zupełne. I w istocie, nietylko wola znajduje tu skarbnicę wszelkiego dobra i słodyczy, opromienioną blaskiem nadziemskich nadziei, ale i uczucia we wszystkich swych fazach i odcieniach otrzymują tu pokarm nasycający je pełnią słodkiego pokoju. Jedna tylko religia może dać prawdziwe i trwałe zadowolenie: bo jej tylko dobra nie są kłamane i przemijające. Wszystkie inne przedmioty mogą tylko na chwilę odurzyć serce, lecz odurzenie to ulatnia się prędko, pozostawiając po sobie czczość i próżnię. Zaspokojenie tak wyższych jak i niższych dążności woli i uczucia, z o w i e s i ę i j e s t szczęściem człowieka. Religia więc, która sama tylko wszystkie te tendencye zaspokoić potrafi, sama jedna szczęściem duszę obdarza. Wesele, serca Świętych, już tu na ziemi jak potok wezbrany napełniające, nawet wśród nędzy, trudów i niebezpieczeństw, to nie fikcya poetyczna, ale prawda, której ażeby doświadczyć, dosyć poddać się całą duszą prawdzie religijnej. Zadowolenie zaś które serce i wola znajduje w pełnieniu religijnego zakonu, rodzi pewną s k ł o n o ś ć do religijnych aktów woli i sprawia, w skutek tego częstsze ich ponawianie. To zaś ponawianie wyrabia w woli pewien stan czyli nałóg *(habitus)*, który już bez trudności akty religijne spełnia. Temu religijnemu nawyknienieniu poddają się też inne władze, z wolą sprzymierzone, i tak powstaje ów nastrój serca i duszy, który religijnością, lub gorliwością religijną zwykle nazywamy.

Takie są funkcye woli pod wpływem prawd religijnych. Ale to jeszcze nie wyczerpuje całej istoty religii. Duchowe życie człowieka i gra działających w niem uczuć nie zadowalnia się wewnętrzną tylko sferą, nie da się zamknąć w tajemnym przybytku serca, lecz koniecznie i naturalnie musi się objawić na zewnątrz, w widzialnej formie ciała i zmysłów, obrazując za ich pomocą swą niewidzialną działalność. Czyż każde uczucie serca nie odbija się na twarzy wyrazem oczu, drganiem nerwów, łzą lub rumieńcem? Bojaźń czy gniew, radość czy smutek mają odpowiednie w powierzchowności człowieka objawy. Nawet wewnętrzne poruszenia woli wybijają się na zewnątrz przez cielesną powłokę, i sam błysk rozumu odzwierciedla się w oku. Są to fakta doświadczalne, codzienne. Jeśli więc takie jest powszechnej natury prawo, toć i religia, która rządzi sercem, rozumem i wolą człowieka, która na wskróś przenika całe jego życie wewnętrzne, powinna się na zewnątrz uwidoczniać. Jest zatem koniecznem następstwem wrodzonego nam sposobu działania, żeby uczucia pod światłem i ciepłem religii w sercu wyrosłe, uwydatniały się w całej postaci naszej, we wszystkich giestach i ruchach. Mogłażby dłoń, z pokorą wyciągana do ziemskiego dawcy, niedbale się podpierać gdy serce żebrze pomocy u Stwórcy swojego? Mógłżeby człowiek, opłakujący obrazę człowieka nie mieć ani jednej łzy na obrazy Boga? Nie, ciało samo przez się, bez przymusu i wysiłku idzie za popędem ducha, jak wierny oddźwięk wszystkich jego myśli, uczuć i chęci. Zamknięcie religii we wnętrzu duszy jest czemś wręcz przeciwnem ludzkiej naturze; bo wówczas nawet wewnętrzne, najistotniejsze jej akty tracą powoli swą żywotność, więdną i w końcu zamierają.

Ale kult zewnętrzny, jako dobrowolny wyraz wewnętrznej religii, jest nietylko wynikiem wrodzonej potrzeby człowieka, jako jednostki, lecz oraz wymaganiem stanu społecznego ludzi, i tu staje się już czynem socyalnym. Cały człowiek przeznaczony jest z natury do życia towarzyskiego. Jego życie, jego zdolności i przymioty jego działanie i potrzeby tak są urządzone, iż życie towarzyskie jest dla nich rzeczą niezbędną. W społeczeństwie tylko i przez społeczeństwo może człowiek osiągnąć i zachować swój stan normalny. Jak zaś religia dla pojedyńczych jednostek jest dźwignią, prawidłem moralności i końcowem szczęściem, tak też i dla ich zbioru czyli spo-

leczeństwa tem samem być musi. Czyż więc słuszną byłoby rzeczą, aby czynnik najpotężniej wpływający na rozwój i uzacnienie duchowego życia w społeczeństwie, nie miał się objawiać żadnym aktem społecznym? Umiejętność, sztuka, każdy postęp, każdy wzrost ducha, udziela zdobyczy swych ogółowi, szerzy je wśród społeczeństwa, wzbogaca niemi narody, a najwznioślejsza umiejętność, najpiękniejsza sztuka sprawiedliwego podług woli Bożej życia, najwyższy postęp w cnocie, nie miałżeby w społeczności żadnego wywierać wpływu? Ludzie podają sobie ręce we wszystkich swych przedsięwzięciach, dążnościach i pracach, aby nawzajem wspierać się i zachęcać, jednaż tylko religia z tej wspólności życia miałaby być wykluczoną?

Ludzkie społeczeństwo, które jako takie, jest Boskim tworem, którem tenże Stwórca najłaskawszą Opatrznością kieruje i rządzi, mogłożby odmówić Panu swemu winnego hołdu czci i posłuszeństwa? Hołd zaś ten ze strony społeczeństwa jako społeczeństwa Bogu należny, może tylko zewnętrznym socyalnym objawić się kultem. Zatem i zewnętrzny, socyalny kult wchodzi w skład istotnych części religii.

Tak więc wykazaliśmy czem jest religia w swych ludzkich i przyrodzonych składnikach. Jakie zaś jest w niej wsópldziałanie Boże, to na innem miejscu omawiać będziemy.

Z tego rozbioru istoty religii wynika już samo przez się, że religia w nowo-potworzonych znaczeniach tego wyrazu, z prawdziwą religią, prócz samej chyba nazwy, nic nie ma wspólnego. Służy ona tylko za płaszczyk fałszywej kulturze, aby pokryć przerażającą niemoralność w woli, bluźnierczą pychę w rozumie, ruinę w uczuciach rozpaczliwą. Jestto tynk do pobielania grobowej zgnilizny dzisiejszych kulturträgerów. Czy taka religia z całą swą nędzą i próżnią, może kiedykolwiek stać się dla człowieka tem czem powinna dlań być prawdziwa religia kiedy korzenie w duszy zapuści. Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w rozwiązaniu drugiej kwestyi: czem jest religia dla człowieka? (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

NOWA TEORYA POWSTANIA ŚWIATA.

(H. Faye, de l'Institut „Sur l'origine du monde". Paris. Gauthier-Villars 1884).

„Umiejętności weszły w stan zamieszania który wymaga reformy", mówi p. Faye w najnowszem dziele swojem, z którego zdajemy sprawę. Tego uczucia doznaje każdy kto się umiejętnością w szerszy sposób zajmuje, i to nam tłumaczy skwapliwość z jaką pochwytywana jest każda ogólniejsza teorya usiłująca uporządkować i doprowadzić do jakiejś jedności specyalne, a nietroszczące się wzajem o siebie badania i odkrycia. Książka „o początku świata" p. Faya, członka „Instytutu" francuskiego i znakomitego astronoma, jest próbą takiej ogólniejszej teoryi, a ma tę wartość, że przy ścisłości naukowej napisana jasno i bezstronnie zaznajamia czytelnika z tem wszystkiem, co najwyższe i najszersze umysły od najdawniejszych czasów o tej kwestyi myślały. Zacząwszy od Genezy biblijnej, przechodzi autor po kolei kosmogoniczne teorye Platona i Pitagorasa, Arystotelesa, Cycerona, Lukrecyusza, Virgilego i Owidyusza, z nowszych zaś myślicieli Kartezyusza, Newtona, Kanta i Laplace'a, poczem dopiero daje nam swoją teoryę. Powiedzmy z góry, że teorya ta nie we wszystkich szczegółach jest dostatecznie poparta, i przedmiotu nie wyczerpuje, bo dzisiejszy stan umiejętności nie pozwala jeszcze na to; — ale książka cała bardzo jest doniosła i ciekawa, bo i doskonale stawia kwestyę, i rozwiewa mnóstwo złudzeń, które się plątają wśród badań naukowych, i nauce szkodzą. P. Faye jest nietylko znakomitym astronomem, ale i dobrym filozofem, i stąd książka jego jest niezwykle dodatnią i pożyteczną.

I.

Aby nam dać treść tak obfitą, p. Faye postępuje w ten sposób, że biorąc za podstawę dzisiejszą a w ostateczności swoją teoryę ukształtowania się świata, podaje nam historycznie teorye dawniejsze, i wykazuje do kogo mamy odnieść każdy pojedyńczy element, w skład dzisiejszej teoryi wchodzący. A nie jest to rzecz tak łatwa jak się zrazu zdawać może; w starożytności greckiej i rzymskiej te elementa są bowiem utopione tak głęboko w mistycznych jakichś i mitologicznych opowiadaniach, racye filozoficzne, które mają rzecz tłumaczyć, tak są od naszych różne i tak zrazu niezrozumiałe, że trzeba wielkiej kultury i znajomości starożytnych pojęć naukowych, aby to co jest naukowe i wieczyste z tego morza wydobyć. Autor nietylko czyni to bardzo trafnie, ale nadto pozwala czytelnikowi wejść nieco głębiej w ten cały świat mitologiczno-naukowy, przytaczając w tłumaczeniu najważniejsze ustępy autorów, o których mówi.

Z tej analizy historycznej pokazuje się, że u Pitagorasa i Pitagorejczyków pojęcia naukowe o wszechświecie były daleko jaśniejsze i prawdziwsze niż później u największych nawet myślicieli. Pitagorejczycy wiedzieli, że ziemia jest okrągła — że się obraca około swej osi, czem tłumaczyli codzienny obrót gwiazd — i około słońca, co im pozwalało zrozumieć pozorne zatrzymywanie się i cofanie planet, — że nie ziemia, ale słońce jest środkiem świata. Platon już o tych prawdach nie wspomina, aby nie stanąć w sprzeczności z pozornem świadectwem zmysłów, i nie razić pojęć religijnych swoich ziomków. U niego ziemia jest nieruchoma w środku świata i przez nią przechodzi oś, około której cały świat się kręci. Ruch niezawisłych od siebie siedmiu przeźroczystych sfer niebieskich, na których zawieszone są słońce i księżyc, planety i gwiazdy, ujęty jest w prawa numeryczne, wyprowadzone za Pitagorasem z pięciu umiarowych brył geometrycznych, i z długości strun, dających główne tony skali muzycznej, a wszystko ożywione jest duszą świata. Arystoteles idzie za Platonem, a przynajmniej nic nie dodaje nowego. Chce on tylko dojść do tej konkluzyi, do której dochodzili Pitagorejczycy, że wszystkie planety pomimo pozornego zatrzymywania się lub cofania, mają jednak ruch kolisty w jednym

kierunku. To istotnie tłumaczy się ruchem ziemi, którego Arystoteles nie przyjmuje, i ztąd wpada w sprzeczności, z których wybrnąć nie może.

Rzymianie praktyczniejsi byli a mniej subtelni, nie tyle im chodziło o tłumaczenie ruchu gwiazd, które za Grekami powtarzali, ile o sposób, w jaki uformowała się ziemia i powstawały na niej istoty żyjące. Cycero, Wirgili i Owidyusz oddają tę całą sprawę w ręce bogów, jeden tylko między nimi stanowi wyjątek Lukrecyusz, który za Demokrytem i Epikurem każe całemu światu powstać z odwiecznych atomów, z których niektóre „przypadkiem“ zwichnęły się w swym odwiecznym ruchu. Pominąwszy ten wyjątek, myślą przewodnią całej tej nauki starożytnych było, że ruch gwiazd musi być doskonały, a więc jednostajny, i droga obrotu musi być doskonała, a więc musi być kołem, gdyż wszystko to zależy od doskonałych architypów w Bogu. Dopiero pod Hiparchem i Ptolomeuszem rozwinęła się astronomia grecka, jako dokładniejsze zbadanie i obliczenie ruchu planet, gdy uznano, że droga ich obrotu nie jest kolista, ale nieco ekscentryczna. Inne jednak poglądy tak astronomiczne jak fizyczne, trzymały się długo jeszcze Arystotelesa i pozostały błędnemi, aż gdy Kopernik naznaczył ziemi właściwe miejsce wśród planet, a gwiazdy odepchnął w niezmierną przestrzeń, eliminując ostatnią sferę niebieską, do której miały być nieruchomie przybite. Gdy później Kepler dowiódł, że droga planet jest eliptyczna, i wydarł naturze prawa ich ruchów, dawny sposób widzenia i rozumowania utrzymać się nie mógł, i trzeba było zacząć rzecz na nowo.

Tu autor przechodzi do Kartezyusza, który pierwszy kosmologię na zupełnie nowych oparł podstawach. Dla tego filozofa dwa są tylko pierwiastki fizycznego świata, materya i ruch, oba przez Boga stworzone. Materya (którą mylnie identyfikował z przestrzenią) z początku jednolita i nieruchoma za pomocą włożonej w nią przez Stwórcę pewnej ilości ruchu, rozdzieliła się na części, i z biegiem czasu dzieliła się coraz bardziej, a dziś stanowi trzy stopnie rozdrobnienia. Cząstki najgrubsze stanowią planety i komety; subtelniejsze i przez wzajemne tarcie zaokrąglone, stanowią medyum płynne, zapełniające świat cały, i są w ciągłym wirowym ruchu; najsubtelniejsze w końcu, stanowią element światła i ognia, a wiru-

jąc we wszystkich kierunkach, koncentrują się jednak głównie w pewnych centrach wirów, formując słońca. Te trzy kategorye materyi nazywa elementami: pierwszym, drugim i trzecim, tak że pierwszy element jest najsubtelniejszy, a trzeci najgrubszy; pierwszy i drugi znajduje się wszędzie, a trzeci tylko w niektórych punktach przestrzeni w formie planet i komet. Każdy ruch tej materyi ma swą przyczynę w ruchu poprzednim, a ilość ruchu w wszechświecie jest stała od początku świata, tak jak stałą jest ilość materyi. Ciała niebieskie, złożone z trzeciego elementu, utopione są w elemencie drugim, który skutkiem szybkiego bardzo wirowania porywa je ze sobą, tak jak w rzekach naszych wir wody porywa ze sobą liście lub kawałki drzewa, i to ruch ciał niebieskich tłumaczy. Gdy dodamy do tego, że Kartezyusz wszystkie zjawiska natury z tej samej hipotezy wywodził, zrozumiemy, jak genialny był pomysł tego wielkiego myśliciela, i jak głęboką była rewolucya, którą w dziedzinę nauk fizycznych wprowadził.

Na tę działalność Kartezyusza możemy popatrzeć jeszcze z innej strony. Tłumaczenie początku świata u starożytnych przypuszczało ciągłą, bezpośrednią interwencyę Boga czy bogów, niezawiśle od tego, jaka była teodicea filozofa, który się tą kwestyą zajmował. Stąd rozumowanie całe opierało się na tem, co właściwsze, mądrzejsze, z godnością bóstwa zgodniejsze, a właściwie, co się rozumującemu takiem być zdawało. O koniecznych prawach, w materyę złożonych nie było mowy, bo ich nie znano. Takie traktowanie rzeczy nie mogło być ściśle naukowem, ani mogło wytworzyć jedności w myśleniu, chyba tylko na powadze tej lub owej szkoły, tego lub owego filozofa opartej.

Jeśli niektórzy myśliciele, jak Demokryt, Epikur lub Lukrecyusz, chcieli sprowadzić wszystkie zjawiska natury do materyi i ruchu, nie czynili tego bynajmniej z powodów naukowych, ale w celach ateistycznych, jak i obecnie najczęściej się czyni. Były więc przeciw sobie dwa obozy, jeden który niewiadomość swoją chował za wieczystą prawdę istnienia i działania Boga, i temu działaniu bezpośrednio przypisywał mnóstwo rzeczy, które do stworzonych przez Boga sił i przyczyn drugorzędnych należą; drugi zaś nie wiedząc nic więcej od pierwszego, zatrzymywał się przy siłach i przyczynach drugorzędnych i chciał Boga zupełnie z przyrody

wykluczyć. Jedno i drugie stanowisko było nienaukowe; pierwsze, nienaukowe w szczegółach, drugie, w ostatecznej zasadzie, i dlatego zdrowy rozsądek ludzkości poszedł za pierwszem, jako mniej fałszywem. W średnich wiekach, wiekach wiary, które zajmowały się nadzwyczaj gorąco i głęboko kwestyami ducha, a troszczyły się bardzo mało o materyę, filozofowie starożytni, w dziedzinie ducha nieraz niezrównani, a przedewszystkiem Arystoteles, byli najwyższą powagą także w nauce o materyi, o której bardzo mało wiedzieli. Ten stan rzeczy był tem bardziej dla tej nauki niepomyślny, że się wyrobiło w umysłach ludzkich uprzedzenie, jakoby między tłumaczeniem zjawisk przyrody przez ruch i materyę, na którem wybite było piętno ateizmu, a między tłumaczeniem przez bezpośrednie działanie Boga lub aniołów, nie było środka, jakby była w tem sprzeczność bez możliwego rozwiązania, antynomia bez wyjścia.

Nie ulega wątpliwości, że Kartezyusz, który tę antynomię rozwiązał, afirmując istnienie i działanie Boga stworzyciela materyi i ruchu, i tym ruchem i materyą przyrodę tłumacząc — wielkim był człowiekiem, tę gałąź nauki dopiero na swoim gruncie postawił i do jej postępu wielce się przyczynił. Prawda, iż aby nowa teorya mogła była powstać, trzeba było by poprzednie prace Kopernika Galileusza i Keplera obudziły nieufność do dawniejszych tłumaczeń za pomocą ciepła, zimna, suchości i wilgotności i czterech elementów, sił sympatycznych i antypatycznych, i by prace te stworzyły potrzebę i możliwość nowych a głębszych odpowiedzi. Prawda także, że ta nowa teorya nie mogła być i nie była odrazu doskonałą, ale niemniej jest ona dziełem wielkiem, świadczącem o wielkim geniuszu Kartezyusza, i posiada wszystkie elementa, które i my dziś przyjąć musimy, jeśli chcemy powstanie świata, i zjawiska jego tłumaczyć.

Że po Kartezyuszu ludzie nauki byli w ogóle Kartezyanami, temu dziwić się nie można, ale to dziwniejsza, iż przyszedł czas, i dotąd jeszcze całkiem nie minął, w którym cały świat naukowy od Kartezyusza się odwrócił. Powodem do tego mimowolnym był Newton gdy odkrył prawo ciężkości. Odkrycie to, które pozwoliło ruch planet ująć w ścisłą matematyczną formułkę i wykazało od razu związek realny i zależność wzajemną mnóstwa zjawisk na wielkiej przestrzeni wszechświata, było ogromnym naukowym postępem.

Ścisłością matematyczną i pewnością swoją teorya Newtona przewyższała niezmiernie przypuszczalną tylko a matematycznie nieuchwytną i dotąd nieuchwyconą jeszcze teoryę wirów Kartezyańskich, i dlatego wszystkich ku sobie pociągnąć musiała. To zaś nagłe rzucenie się wszystkich w jednym kierunku, ścieśniające zawsze widnokrąg naukowy, tłumaczy nam, dlaczego dwie teorye, które się wzajem bynajmniej nie wykluczały, stanęły ze sobą w walce. Gorliwość bowiem w rozwijaniu teoryi Newtona i w obliczaniu wszystkich jej wyników miała zarazem ten niekorzystny dla nauki skutek, że pomimo protestacyi wielu uczonych i samego Newtona [1], wprowadziła do umysłu ludzkiego zupełnie niefilozoficzne pojęcie, a nawet pewność, istnienia jakiejś tajemniczej siły przyciągającej w atomach, skutkiem której działają one na siebie w największem nawet oddaleniu bez żadnego pośrednika czy przewodnika (medyum). I rzeczywiście, do obliczenia ruchu planet i ciał ciężkich w ogóle, ze wszystkiemi szczegółami szybkości kierunku, i przyspieszenia, do postawienia nawet całej tej przepysznej budowy, jaką jest mechanika niebieska, dosyć było wiedzieć, że ciała przyciągają się w prostym kierunku ich mas, a w odwrotnym do kwadratu oddalenia. Nie tłumaczy to wcale, d l a c z e g o się ciała tak przyciągają, lub dlaczego przyciągają się w ogóle — tu trzeba szukać koniecznie dalszej fizycznej racyi. Szukać jednak nie było czasu, zadowolono się więc tem, że przyczyną przyciągania jest to, że w atomach jest siła przyciągająca, według dawnej średniowiecznej modły, że mak dlatego usypia, bo jest w niem siła usypiająca; i to twierdzenie, niegrzeszące głębokością, postawiono jako argument przeciw wirom Kartezyusza, które właśnie tę dalszą racyę fizyczną ciężkości ciał podać mogły.

To też gdy pierwszy zapał przeminął, gdy mniej więcej wszystkie rachunkowe wyniki prawa ciężkości obliczone zostały,

[1] Oto są słowa Newtona w tej kwestyi: „Aby ciężkość była wrodzoną, nieoddzielną i esencyalną właściwością materyi, tak żeby jedno ciało działać mogło na drugie w oddaleniu i w próżni i bez żadnego pośrednika, któryby przenosił to działanie, czy tę siłę z jednego ciała na drugie, jest według mnie niedorzecznością tak wielką, iż nie zdaje mi się możliwem, aby mógł w nią wpaść człowiek, zdolny zajmować się filozofią". Uczniowie jednak Newtona wpadli w tę niedorzeczność bardzo szybko, bo jeszcze za jego życia.

i z tym całym bogatym nabytkiem wzięto się znowu do szerszych kwestyj, a między niemi i do kwestyi powstania świata, zaczęto do myśli Kartezyusza powracać. Popęd do tego dali Kant i Laplace, którzy nie wiedząc o sobie, a tą kwestyą się zajmując, w wielu rzeczach się zgodzili, a rozeszli się tam głównie, gdzie wchodziły prawa mechaniki dobrze znane Luplace'owi, nie dosyć zaś znajome Kantowi. Kant nawet bliższy był Kartezyusza, ale Laplace ściślej był naukowy, i dlatego w kwestyi o której mówimy, zajął nierównie ważniejsze, a nawet pierwszorzędne stanowisko.

Teorya Laplace'a, która pomimo mnóstwa odkryć w świecie fizycznym, w głównych swych rysach dotąd jeszcze stoi, powszechnie jest znana. Przyjął on jako stan pierwotny naszego systemu słonecznego olbrzymią kulistą mgławicę, t. zw. nebulozę, o promieniu, przewyższającym oddalenie najdalszej planety od słońca, i o bardzo wysokiej temperaturze, zgęszczającą się ku środkowi skutkiem wzajemnego przyciągania atomów, i wirującą około swej osi. W ten sposób uformowało się najprzód jądro ogniste, słońce, otoczone olbrzymią atmosferą, która miała trzy tendencye: jednę do oziębiania się i zgęszczania na powierzchni; drugą, skutkiem ciężkości atomów, do zgęszczania się ku środkowi, a więc do umniejszania swej objętości a zwiększania szybkości obrotu około swej osi, stosownie do pierwszego prawa Keplera [1]; trzecią zaś, skutkiem siły odśrodkowej przy obrocie, do spłaszczania się coraz większego na biegunach a do rozszerzania się na równiku. W tym stanie rzeczy, gdy przy zwiększaniu się szybkości obrotu około osi, nagromadzenie się materyi na równiku i jej siła odśrodkowa zwiększały się także, przychodziła chwila, gdy siła ta zaczęła równoważyć siłę ciężkości, i jedna część materyi równikowej przestawała dążyć ku środkowi, zostając po drodze w kształcie pierścienia. Ale to był stan chwilowy. Równowaga pierścienia o bardzo małej gęstości, wymaga szczególnie korzystnych warunków, aby się utrzymać mogła; pierścień więc przerywał się, a składająca go materya zbijała się w kulę, planetę, krążącą około pierwotnej nebulozy i około swej osi. Stutkiem tego ostatniego ru-

[1] Pierwsze prawo Keplera tak się wyraża: „Powierzchnie, które promienie wodzące w równych przebiegają czasach, są równe"; jeśli więc promień wodzący się skróci, to musi szybciej biedz by mógł tę samą powierzchnię w tym samym czasie przebiedz.

chu powtarzało się w nowej małej kuli to, co się działo w wielkiej nebulozie: zgęszczanie się ku środkowi i zostawianie po drodze pierścieni, które przerywając się tworzyły nowe, jeszcze mniejsze kule, satelity.

II.

Teorya ta, zarówno genialna jak prosta, przedstawia jednak przy bliższem wglądnięciu w nią trudności, które od chwili postawienia jej aż dotąd ciągle zajmują astronomów. Pierwsze powstaje pytanie, jakim sposobem w warunkach przyjętych przez Laplace'a, mogą sią wytwarzać pierścienie materyi, od głównej nebulozy oderwane, i to wytwarzać się w pewnych wielkich bardzo odstępach, zdradzających wyraźnie jakieś matematyczne prawo, gdy z natury rzeczy w powyższych warunkach powinnoby mieć miejsce ciągłe odrywanie się materyi na równiku, krążącej i zgęszczającej się nebulozy. Badania angielskich i amerykańskich uczonych, jak Kirkwood, Newcomb i Trowbridge [1] doprowadzają co najwięcej do możliwości powstania całego szeregu bardzo bliskich siebie pierścieni, które rozbite, dałyby początek wielkiej ilości małych planet, zapełniających całą przestrzeń pierwotnej nebulozy. P. Faye zaś twierdzi, że w warunkach przez Laplace'a przyjętych, oddzielenie się od tej pierwotnej nebulozy, choćby najmniejszej cząstki materyi, jest niepodobnem. Za to P. Roche, znakomity astronom z Montpellier, który tę właśnie kwestyę specyalnie studyował [2], tłumaczy możliwość wielkich odstępów tem, iż po oddzieleniu się pierścienia na równiku, w tem właśnie miejscu pewna ilość materyi, będąca dotąd wewnątrz nebulozy, znajduje się nagle na powierzchni, oziębia się i zgęszcza, skutkiem czego nebuloza, po utraceniu pierścienia, zgęszczona nagle na równiku, nietylko od tego pierścienia szybko się usuwa, ale nadto przybrawszy skutkiem tego kształt bardziej kulisty, potrzebuje wiele czasu zanim znowu spłaszczy się dostatecznie i dostatecznie przez

---

[1] Kirkwood. On certain harmonies of the solar system. Silliman's Journal of Science, serya II., tom XXXVIII., str. 5, i Monthly Notices of the R. A. S., tom XXIX., str. 96. — Trowbridge. On the nebular hypothesis. Silliman's Journal, serya II., tom XXXVIII., str. 356. — Newcomb. Popular Astronomy.

[2] Roche. Essai sur la constitution du système solaire. Montpellier, 1873.

zgęszczanie się ku środkowi zmniejszy swą objętość, by powiększona tym sposobem szybkość obrotu i siła odśrodkowa na równiku umożliwiła nowe utworzenie się i oderwanie pierścienia.

Gdybyśmy przyjęli teoryę Roche'a jako zadawalniającą odpowiedź na pierwsze pytanie, powstaje jeszcze drugie, jakim sposobem z całej materyi pierścienia może się utworzyć jedna planeta. Długie utrzymanie się pierścienia w równowadze bardzo jest trudne, i dlatego w naszym systemie słonecznym jeden tylko mamy przykład takiej równowagi na pierścieniu Saturna; ale rozerwanie się pierścienia prowadzi najnaturalniej do utworzenia się bardzo wielu osobnych cząstek, których zetknięcie się i połączenie w jedną całość bardzo jest trudne, jeźli nie niepodobne. Jest to najmniej jasny punkt w teoryi Laplace'a, i żadna hipoteza nie daje dotąd odpowiedzi zadawalniającej. P. Roche[1] przypuszcza, że to zbicie się pierścienia w jedną masę następuje zawsze z początku, gdy materya pierścienia jest jeszcze bardzo lotna, i dalszym losem tej nowo powstałej nebulozy umiejętnie się zajmuje, a zobaczymy później jak powstanie jej tłumaczy. P. Kirkwood[2] zaś, Amerykanin, tak o tej kwestyi zrozpaczył, że porzuca hipotezę powstawania planet z pierścieni, i przypuszcza od czasu do czasu częściowe odrywanie się od pierwotnej nebulozy jakiejś części materyi w okolicach równika, co przy wybitnej regularności naszego systemu słonecznego bardzo trudne jest do uzasadnienia.

Nie te jednak trudności pobudziły p. Faye do dania nam nowej teoryi, są jeszcze inne z któremi się nam bliżej zapoznać trzeba. A najprzód musimy sobie przypomnieć, że inne są warunki krążenia około swej osi kuli stałej, zsiadłej, a inne znowu krążenia kulistej nebulozy, której atomy nie są ze sobą inaczej połączone, jak tylko siłą ciężkości, czyli wzajemnego przyciągania się. W pierwszym wypadku szybkość k ą t o w a całej kuli i każdego pojedyńczego jej atomu jest ta sama; atomy przeto tem szybciej krążą szybkością

---

[1] Mémoire sur la figure d'une masse fluide soumise à l'attraction d'un point eloigné. Memoires de l'Academie de Montpellier, lata: 1849, 1850 i 1851. Tom I., str. 143 i 333; tom II., str. 21.

Proceedings of the Amer. Phil. Society. Kwiecień 1880, i The Observatory. tom III., str. 446.

absolutną, im bliżej są powierzchni a im dalej środka. W drugim wypadku, jeżeli kula-nebuloza ma jednakową gęstość, pojedyńcze jej cząstki okrążają środek drogą eliptyczną czy kolistą w tym samym czasie, bez względu na ich oddalenie od środka; więc i tu znowu szybkość kątowa tych cząstek jest jakoby ta sama, choć każda z osobna swobodnie krąży. Ale jeśli nebuloza ma we środku zgęszczone jądro które wywiera na resztę materyi przeważny wpływ przyciągający (w naszym systemie słońce), wtedy pominąwszy pierwotną szybkość jaką każdy atom kiedyś posiadał, gdy przez ciężkość zbliża się do środka, szybkość jego nietylko kątowa ale i absolutna zwiększa się stosownie do pierwszego prawa Keplera. Taka nebuloza ze słońcem we środku nie ma więc jednej szybkości kątowej, ale przeciwnie cząstki jej bliższe powierzchni krążą powolniej niż te które są bliżej środka. W naszym systemie słonecznym w ten sposób tłumaczy się dlaczego planety bardziej oddalone od słońca krążą powolniej niż te które są słońca bliższe, i to teoryę Laplace'a popiera.

Przypomnieć sobie także musimy, że według praw mechaniki, jeśli system jakiś w sobie zamknięty, bez działania sił zewnętrznych ale skutkiem wewnętrznych sił swoich (np. siły wzajemnego przyciągania się części), jest w ruchu, ruch ten musi się równoważyć w ten sposób, że jeśli jedna część materyi posuwa się w jednym kierunku, inna część materyi system ten składającej, musi się poruszać w kierunku przeciwnym, i cała suma ilości ruchu w jednym kierunku musi być ściśle równa całej sumie ilości ruchu w kierunku przeciwnym, czyli że te dwie sumy dodane do siebie ze znakami swemi + i —, muszą jako wynik dać ścisłe zero. Gdy tak nie jest, dowodzi to że system w mowie będący jest w ruchu nietylko skutkiem działania sił wewnętrznych ale i zewnętrznych. Tak właśnie ma się rzecz z systemem naszym słonecznym w którym wszystkie planety, choć różną szybkością i w rozmaitem oddaleniu, krążą jednak koło słońca w tym samym kierunku, i to w tym w jakim samo słońce obraca się około swojej osi, tak, że te ruchy w żaden sposób zrównoważyć się nie mogą, i trzeba przyjąć oprócz wewnętrznej siły wzajemnego przyciągania się części, jakąś siłę zewnętrzną która całemu systemowi dała pewien ruch pierwotny. Tę siłę zewnętrzną tłumaczył Newton bezpośredniem działaniem Boga, a Kant, mniej

filozoficznie, jakiemuś pierwotnemu przypadkowemu zboczeniu, przypominającemu słynne *clinamen* Lukrecyusza. Laplace zaś przyjmuje tylko fakt jakiegoś pierwotnego krążenia nebulozy około swej osi którego tłumaczenie późniejszym pozostawia uczonym, przeto i tu jest w porządku.

Trudność zaczyna się dopiero wtedy, gdy się zważy kierunek obrotu pojedyńczych planet około swej osi, a zarazem kierunek obrotu satelitów około swych planet. Ta okoliczność, że satelity obracają się około planet w tym samym kierunku co i planety około swej osi, wypływa, jak widzieliśmy, zupełnie jasno z teoryi Laplace'a a przeto znowu teoryę tę popiera. Ale dlaczego planety (znane dokładnie za czasów Laplace'a, wszystkie prócz Uranusa i Neptuna), mają wraz z satelitami ten sam kierunek obrotu około swej osi co około słońca, to nie łatwo wytłumaczyć. Idąc za teoryą Laplace'a, gdy zgęszczająca się nebuloza zostawia po drodze jakiś pierścień materyi który później zamienia się w planetę, w pierścieniu tym atomy zewnętrzne mają, jak widzieliśmy, stosownie do pierwszego prawa Kepplera, ruch powolniejszy niż atomy bliższe środka (słońca), a przeto gdy taki pierścień się przerywa, i cała materya składająca go, w kulę się zbija, większa szybkości atomów wewnętrznych pierścienia musi jej nadać obrót około nowej swej osi w kierunku przeciwnym dawniejszemu obrotowi całego pierścienia, a więc i całej nebulozy. Gdyby więc system nasz słoneczny w ten sposób powstawał, musiałyby wszystkie planety obracać się około osi swojej w kierunku przeciwnym obrotowi około słońca. Tymczasem, jak wiemy, rzecz się ma inaczej.

Kant tej trudności nie spostrzegł i przeto jej nie tłumaczył, ale nie uszła ona baczności Laplace'a, i dlatego przyjął on że atomy pierścienia który po oderwaniu oziębiał się i zgęszczał, otrzymały skutkiem wzajemnego oddziaływania, uderzania się i tarcia cząstek jeszcze przed rozerwaniem się jego, tę samą kątową szybkość, tak że atomy zewnętrzne miały ruch szybszy niż wewnętrzne, i dlatego po rozerwaniu się pierścienia nadały nowej planecie ruch około jej osi tego samego kierunku, jaki miał ruch pierścienia. Pan Faye [1] jednak w odpowiedzi na to przypuszczenie twierdzi naj-

[1] Bulletin de l'Association scientifique de France, Serya II., tom VIII., str. 392.

przód, że w pierścieniach odrywających się dlatego iż siła odśrodkowa przewyższa siłę ciężkości, pojedyńcze części nie ciężą na siebie ale zachowują ruch niezawisły, w którym o uderzaniu się wzajemnem i tarciu tych części, i o wypływającej stąd zmianie ich szybkości mowy być nie może. Odpowiada powtóre, że wszystkie pierścienie znajdowały się pod powyższym względem w tych samych warunkach; więc wszystkie planety nietylko odkryte i dokładnie znane przed Laplace'm, ale i te które odkryto lub zbadano po nim, musiałyby mieć ruch tej samej natury, tymczasem dwie ostatnie planety Neptun i Uranus mają ruch przeciwny. To według zdania p. Faya obala teoryę Laplace'a, i dlatego na jej miejsce stawia swoją.

W gruncie rzeczy teorya p. Faya nie jest odrzuceniem, ale zmianą teoryi Laplace'a z wyraźnem zwrotem do Kartezyusza, którego p. Faye wielkim jest wielbicielem. Ale że ta teorya w ten sposób zmieniona opiera się na nowych odkryciach, więc ma szerszą podstawę i nowe argumenta i jest niezaprzeczenie krokiem naprzód do rozwiązania wielkiej kwestyi początku świata.

Odkrycia nowe które p. Faye wciąga do swej teoryi, są głównie dwa. Pierwszem jest mechaniczna teorya ciepła, oparta na tym fakcie że ruch materyi zmienia się w ciepło, a ciepło w ruch, i że to się dzieje według stałych praw numerycznych, tak że mając daną ilość mechanicznej pracy, możemy ściśle obliczyć ile ona może dać cieplika, a mając daną ilość cieplika, wiemy ile ona nam dać może mechanicznej pracy [1]. Skutkiem tego wiemy że samo zgęszczanie się nebulozy przez spadanie ciężkich jej cząstek ku środkowi (co jest pracą mechaniczną) musi wywołać niezmierną ilość ciepła, i że stąd i hipoteza Laplasa o wysokiej temperaturze pierwotnej nebulozy, i bardziej jeszcze hipoteza Kartezyusza o istnieniu pierwszego elementu, tj. pewnej substancyi ognia i ciepła stają się niepotrzebne. Drugiem odkryciem spożytkowanym przez Faya,

[1] Prawo to numeryczne jest następujące: Jako jednostkę przyjęto tę ilość ciepła która jest w stanie stopić kilogram lodu mającego 0^0 temperatury, a dokładne doświadczenia wykazały że ta sama ilość ciepła, zmieniona w siłę mechaniczną, włożona np. w parę wodną parowej maszyny, jest w stanie podnieść ciężar ważący 425 kilogramów o jeden metr, lub ciężar ważący jeden kilogram o 425 metrów. Mówi się więc że jednostka ciepła równa się 425 kilogrammetrom. Gdy jednak chodzi o ilości ciepła tak wielkie jak są w słońcu, przyjęto, jak zobaczymy, jednostkę nierównie większą.

jest to wszystko co wiemy o niezmiernej liczbie nebuloz, badanych za pomocą coraz to potężniejszych teleskopów. Badania te dają nam całą historyę formacyi najróżnorodniejszych światów w rozmaitych fazach ich kształtowania się, zacząwszy od dojrzanej zaledwie mgły bezkształtnej aż do całego systemu uformowanych słońc którym towarzyszą zapewne niewidzialne, bo zagasłe już planety. Przechodząc analogicznie od tych nebuloz do naszego słonecznego systemu, widzimy najprzód, że tenże jest już ukształtowany zupełnie, a dalej że jest ukształtowany tak regularnie jak może żaden inny z dotąd znanych, a ta regularność na tem polega, że orbity planet są bardzo zbliżone dokoła, i że leżą prawie w jednej i tej samej płaszczyźnie, która jest płaszczyzną obrotu słońca około swej osi, i przez jego równik przechodzi. Nebuloza więc, z której nasz system słoneczny powstał, musiała mieć także ruch regularny i materya składająca ją musiała być w niej zrazu bardzo równo rozdzielona. P. Faye przyjmuje że nebuloza naszego systemu była pierwotnie kulą o średnicy 10 razy większej niż oddalenie słońca od najdalszej planety: Neptuna, i że w tej kuli materya niesłychanie rozrzedzona ale przyciągająca się wzajemnie, miała wszędzie gęstość jednaką, i jakiś ogólny ruch wirowy. W tych warunkach ciążenie każdej cząstki materyi jest według praw mechaniki w stosunku prostym do oddalenia od środka kuli, i każda z tych cząstek, w ruch puszczona, zakreśla koła lub elipsy około środka w tym samym czasie; każda więc tem jest cięższa i tem prędzej krąży im bardziej od środka oddalona. Gdy więc skutkiem zgęszczania się i wirowania tej kuli nebulozy, tj. skutkiem siły dośrodkowego ciężenia i siły odśrodkowej powstają, jak widzieliśmy wyżej, pojedyńcze gęstsze pierścienie wewnątrz kuli pierwotnej, krążą one jednolicie, tak jak gdyby były całe z jednej masy, i rozerwane dają początek drugorzędnym nebulozom, a później planetom krążącym w tym samym kierunku około swych osi co i około słońca. Mała jednak tylko część materyi pierwotną nebulozę składającej weszła w skład pierścieni; nierównie większa, pozbawiona ruchu wirowego, dążyła wprost do środka, by uformować słońce [1]. Te zaś cząstki

[1] Masa słońca jest blisko 700 razy większa niż masa wszystkich znanych dotąd planet i satelitów razem wziętych.

materyi, które w skład pierścieni nie weszły, a jednak ruchem wirowym obdarzone środek minęły, mają dziś orbity swoje nieregularne, i to są komety. Dopiero kiedy słońce, koncentrując w sobie całą prawie materyę dawnej nebulozy uformowało się, zmieniły się warunki, i ciążenie ku słońcu poczęło się odbywać w odwrotnym stosunku do kwadratu oddalenia, tj. cząstki materyi, im bardziej od słońca oddalone, tem mniej ku słońcu ciążyły, i musiały według pierwszego prawa Keplera tem powolniej koło słońca krążyć. Materya więc pierścieni które się uformowały w tym drugim okresie, miała ruch taki, iż nebulozy drugorzędne, a później planety powstałe przez rozerwanie się tych pierścieni, musiały krążyć około swej osi w kierunku przeciwnym krążeniu około słońca. Według p. Faya więc sześć planet, które są bliżej słońca, a między niemi i ziemia, uformowały się zanim słońce było, a tylko dwie ostatnie dziś nam znane, Uranus i Neptun, powstały gdy już słońce istniało. Że jednak przejście z jednego okresu do drugiego nie dokonało się nagle ale powoli, więc też dalszy Neptun ma ten ruch przeciwny daleko wyraźniejszy niż Uranus [1].

Słońce zaś, według P. Faya, uformowało się w ten sposób, że największa część materyi pierwotnej nebulozy, skutkiem prawa ciężkości, dążyła wprost do środka, a tam zgęszczając się zrazu powoli, potem coraz szybciej, przyciągała resztę materyi coraz mocniej, a to spadając coraz gwałtowniej i zmieniając ruch swój w ciepło,

[1] P. Faye wyraża tę przemianę prawa ciążenia w dwóch różnych okresach następującą formułką matematyczną. Pierwotne ciążenie, będące w prostym stosunku do oddalenia od środka (r) można wyrazić formułką Ar, po uformowaniu się słońca zaś wyrażamy ciążenie, będące w odwrotnym stosunku do kwadratu oddalenia, formułką $\frac{B}{r^2}$, w których to formułkach A i B są współczynnikami stałymi. W okresie przejściowym więc ciężkość da się pojąć jako: $ar + \frac{b}{r^2}$, w którym to wyrazie a ciągle się zmniejsza a b rośnie. Uranus, według p. Faya ukształtował się wśród tego właśnie okresu przejściowego, i stąd jego obrót około osi nie jest właściwie przeciwny obrotowi około słońca, ale odbywa się w ten sposób, że orbita satelity Uranusa około tej planety stoi prawie prostopadle do orbity Uranusa około słońca. Jeślibyśmy chcieli wyrazić tę rzecz matematycznie, i przyjęli za podstawę, że obroty wprost sobie przeciwne zawierają między sobą kąt 180°, to orbita satelity Uranusa zawiera z orbitą Uranusa [kąt: 98°, a więc trochę tylko większy od kąta prostego, orbita zaś satelity Neptuna z orbitą Neptuna zawiera kąt 147°.

nagromadziła tego ciepła tak ogromną ilość, jaka obecnie jest w słońcu. W przypuszczeniu P. Faya można według mechanicznej teoryi ciepła obliczyć nawet tę ilość dość dokładnie, i gdy przyjmiemy za jednostkę taką ilość ciepła jaką słońce wydaje z siebie w jednym roku, dojdziemy do rezultatu, że takich jednostek jest w słońcu co najmniej 15 milionów, czyli że słońce na 15 milionów lat może wystarczyć[1]. Skutkiem tego bogactwa cieplika liczyć trzeba, że temperatura w słońcu, gdyby było podobnem naszemi termometrami ją zmierzyć, wynosi miliony stopni, i że tam wszystkie substancye znane na ziemi jako stałe, są w stanie gazu, a wszystkie złożone są w zupełnym rozkładzie. Tu przedstawiają się dwie trudności: jedna, że gazy nie są widzialne, a nawet paląc się mało wydają światła jeśli nie są w zetknięciu z ciałami stałemi, które się w ogniu ich nie rozkładają, nie topią i nie ulatniają, ale wchodzą w stan

---

[1] Rachunek ten w skróceniu podajemy. Obliczyć można według zwykłych formułek mechaniki że każdy kilogram materyi spadający na słońce z niezmiernie wielkiego oddalenia, ma w słońcu taką ilość ruchu, iż ta zmieniona w ciepło da 43—44 milionów zwykłych jednostek ciepła. Gdy według przypuszczenia naszego cała masa słońca w ten sposób spadła a znamy objętość i gęstość słońca i wiemy ile waży kilogramów, więc ta liczba pomnożona przez 43 miliony da nam całą ilość zwykłych jednostek ciepła w słońcu. Ilość ta jednak wyrażona liczbą złożoną z 38 cyfr

(w przybliżeniu: 80.000.000.000.000.000.000.000.000.000.000.000)

jest tak wielka, że jej myślą objąć nie możemy i w gruncie nic nam nie mówi, w skutek czego bierze się za jednostkę astronomiczną zamiast 425 kilogrammetrów, tę ilość ciepła jaką słońce traci w jednym roku. Do obliczenia tej ilości zaś tak się dochodzi, że znając ilość jednostek ciepła jaką otrzymuje każdy metr kwadratowy ziemi w jednej sekundzie przy prostopadłem działaniu promieni, i znając stosunek, w jakim ta ilość wzrasta w miarę zbliżania się do słońca, możemy obliczyć ile ciepła otrzymałby jeden metr powierzchni ziemi w zetknięciu się bezpośredniem ze słońcem, a tyleż musi tracić metr powierzchni słońca. Wynosi to 18.500 zwykłych jednostek ciepła na sekundę. Gdy znamy powierzchnię słońca i wiemy ile jest sekund w roku, możemy obliczyć jednostkę ciepła astronomiczną która

wynosi: 3.570.383.520.000.000.000.000.000.000.000

zwykłych jednostek ciepła. Ta ostatnia liczba jest przeszło 22 milionów razy mniejsza niż powyższa, więc na tyleż milionów lat słońce wystarczyćby powinno; ale wiele pobocznych przyczyn składa się na to, że więcej niż 15 milionów lat się nie przyjmuje. Zestawienie powyższych liczb uczy nas także, że gdy każdy kilogram materyi w słońcu ma zrazu około 44 miliony zwykłych jednostek ciepła, które na przeszło 22 milionów lat wystarczą, więc każdy kilogram materyi słońca traci rocznie dwie jednostki zwykłe ciepła.

żarzenia się (inkandenscencyi)[1]. Druga, że gdyby sama powierzchnia lub cienka tylko warstwa zewnętrzna słońca, wydając światło i ciepło, oziębiała się i zgęszczała, zaskorupienie się i zgaśnięcie słońca nastąpiłoby bardzo szybko, choć wnętrze zachowałoby nawet najwyższą temperaturę i wydobywało się od czasu do czasu wulkanicznymi wybuchami. Aby więc słońce świecić mogło i świecić długo, potrzeba najpierw, aby wśród palących się na powierzchni gazów znalazły się ciała stałe w stanie inkandenscencyi, i żeby znajdowały się w ten sposób, aby w ciągłym były ruchu, a przeto cała masa słońca w procesie oziębiania się brała udział.

P. Faye zwraca najprzód uwagę na to co odkryły najnowsze badania słońca, że przypatrując mu się przez stosowne teleskopy spotykamy najprzód atmosferę gazową, złożoną głównie z wodorodu i z jakiegoś drugiego nieznanego nam gazu, która jest przeźroczysta i widzialna tylko przy zaćmieniach słońca lub za pomocą spektroskopu, i nazwana jest przez astronomów fotosferą, a za nią dopiero widzimy powierzchnię słońca, zwaną chromosferą światłą, ale nierówną, przedstawiającą się jako świecące bardzo jasno obłoczki wśród ciemniejszej masy. Inne zjawiska, jak plamy, które są sporadyczne i mają kształt wirów, a także i niejednaka szybkość kątowa obrotu słońca na rozmaitych jego równoleżnikach, świadczy że ta powierzchnia nie jest stałą, ale płynną. Oparty na tych wszystkich spostrzeżeniach p. Faye taką stawia teoryę słońca: „Temperatura wewnętrzna słońca jest tak olbrzymia, że nie ma w niem substancyj złożonych, a wszystkie elementa chemiczne, i te nawet które mają największe powinowactwo chemiczne, znajdują się obok siebie, nie łącząc się zupełnie. Fotosfera zaś jest względnie nierównie zimniejsza i nie przechodzi temperatury palącego się wodoru. Elementa chemiczne słońca w zetknięciu się z fotosferą oziębiają się nagle do tyla, że wchodzą w składy chemiczne, niektóre (jak wapno, magnezya) tak stałe że w temperaturze palącego się wodoru żarzą się, wydając nadzwyczaj żywe światło, i one to stanowią owe jasne obłoczki chromosfery. Te ciała jednak złożone i zgęszczone nie zo-

[1] Ta własność żarzenia się ciał stałych przy bardzo wysokiej temperaturze daje nam najżywsze i najbardziej do blasku słońca zbliżone światło, jakie w dzisiejszym stanie nauk fizycznych wywołać możemy światło Drummonda i światło elektryczne.

stają długo na powierzchni, ale zastąpione nowemi, spadają na dół w warstwy coraz gorętsze, gdzie znowu są rozłożone i wypchane do góry. I tak bez końca. Gdy ten proces inkandenscencyi odbywa się zawsze w tych samych warunkach, w tej samej sferze, na jednako zawsze wielkiej powierzchni, przeto ilość światła i ciepła wysyłanego przez słońce, jest zawsze ta sama.

Oto jest w najważniejszych rysach teorya kosmiczna p. Faya, która w sposób prosty i o ile można wyczerpująco tłumaczy nam powstanie planet, komet i słońca naszego słonecznego systemu, a że to czyni zgodnie z najnowszemi odkryciami i pewnikami naukowemi, i opierając się na nich, przeto ta nowa teorya stanowi rzeczywisty postęp w nauce, i przynosi prawdziwy zaszczyt swemu twórcy.

(Dok. nast.)

Ks. Eustachy Skrochowski.

REFORMA MUZYKI KOŚCIELNEJ
W XIX. WIEKU.

(Dokończenie).

II.

Z umysłu nie dotknęliśmy jeszcze wcale historyi rozwoju i upadku muzyki kościelnej w Polsce, ażeby osobno i bliżej tę bliższą też sercom naszym kwestyę zgłębić i zbadać. Upadek był widoczny, zerwanie z tradycyą gregoryańską powszechne, zepsucie smaku i zmysłu piękna ogólne i zupełne. Wśród tych warunków zatarła się niemal świadomość, iż kiedyś lepiej być mogło. Nie znaliśmy wcale dziejów boskiej sztuki u nas, pozwalaliśmy sobie rzucać w oczy przez niemieckich historyków i pisarzy rzekomy pewnik, iż „Polska muzyki nie miała!“ Jeśli gdzie się przedarła w zagranicznej publikacyi jakabądź wzmianka, dotycząca naszej muzycznej przeszłości, to chyba jedynie, aby sławić artystów cudzoziemskich, bawiących na dworze królów polskich. Światlejsi z pomiędzy nas wiedzieli coś o Mikołaju Gomółce, czasem i o Wacławie Szamotulskim; ale te mętne wiadomości najczęściej ograniczały się na znajomości nazwiska, nie obejmując znajomości utworów. Zamiłowanie muzyki przez Jagiellonów, począwszy od słowików Gródeckich, w których zasłuchany Władysław Jagiełło, przeziębił się na śmierć, aż do Bekwarka, ulubionego lutnisty ostatniego potomka tej *diva progenies*, Zygmunta Augusta, oto były legendowe kwiaty dziejów, na których ograniczała się przeciętna w tej mierze ciekawość i erudycya ogółu. W samym Krakowie wspominano sławne kolegium roratystów, założone przez Zygmunta Starego przy Jagielloń-

skiej kaplicy, niekiedy archaiczna niby ciekawość wiodła miłośników pięknej, poważnej muzyki w progi Wawelskiej świątyni, aby przy grobie św. Stanisława w wczesnych porannych godzinach chwytać uchem niezwykłe w naszych świątyniach dźwięki; ale nie przenikano głębiej owej spuścizny szacownej, nie wydobywano z kurzawy bogatych zbiorów muzycznych, walających się w pyle zapomnienia po zakrystyach, klasztorach i bibliotekach. A tymczasem melodye świeckie rozwielmożniały się w przybytkach Pańskich, poważny głos organów naginał się do mdłych lub skocznych fantazyj, głosy niewieście w teatralnych solach przegradzały huczne intrady instrumentalne, słowem, zamiast skupiać uwagę i podnosić myśl pobożną wiernych, ku wręcz przeciwnym zmierzały celom i odmienne też odnosiły skutki. Pod deprymującym wpływem upadłych tak nisko naczelnych i katedralnych muzyk, przy zaniedbaniu odpowiedniego wykształcenia muzycznego w seminaryach duchownych i nauczycielskich, a coraz wadliwszem i niedostatecznem organistów kierowaniu i ćwiczeniu, nie dziw, że nawet śpiew ludowy upadał, zmniejszał się zasób pieśni ogólnie śpiewanych, jedne szły w zapomnienie, inne ulegały stopniowym alteracyom. Słowem, sprofanowane skłóconemi z sobą lub całkiem obcymi duchowi Kościoła dźwiękami świątynie, nie rozbrzmiewały już właściwie chwałą Bożą, i zasmucone tą wrzawą dzikich nieraz tonów ucho daremnie wzdychało za konieczną reformą, za wygnaniem z przybytków owych wszystkich naleciałości, grzmiących puzonów, świeckich aryj, dyszkantek i teatralnych chórów.

Wszelako tak się można przyzwyczaić do złego, tak stracić rozeznanie piękna od fałszu i szpetności, że nader rzadkie głosy odzywały się przeciw ustalonemu porządkowi rzeczy i oburzały na zepsucie smaku i poczucia w dziedzinie muzyki kościelnej. Bezkarność jednych, obojętność drugich, coraz większe sprowadzała nadużycia i zboczenia, a śledząc smutne dzieje rozstroju czystego ducha muzycznego w ciągu ubiegającego stulecia, zaledwie spostrzegamy dwa przykłady jakiegokolwiek zwrotu ku pięknym tradycyom. Były to głosy wołające na puszczy, ale wśród ogólnego zmącenia pojęć, stanowią dodatni objaw, który zapisać należy. W ostatnich latach minionego wieku, kanonik katedralny krakowski, Wacław hr. Sierakowski, zląkł się widokiem spustoszenia i upadku muzyki kościel-

nej, jął kształcić młodych chłopców, celem podniesienia chóru katedralnego i wydał trzytomowe dzieło, p. t.: Sztuka muzyki dla młodzieży krajowej. Atoli była to epoka największego zepsucia smaku; nie dziw więc, iż pojedyńcze usiłowania na niczem spełzły. I znów głuche milczenie zaległo przez lat wiele pola tyle pożądanej reformy muzyki kościelnej. W r. 1864 Wincenty Pol przerwał tę ciszę gromkiem nawoływaniem do szukania koniecznych środków poprawy. W sześciu prelekcyach, wygłoszonych w sali radnej miasta Lwowa, rozwinął on prawdziwie po mistrzowsku historyę muzyki kościelnej w kraju i za granicą, orkiestra zaś p. Mikulego wykonaniem wspomnianych przez prelegenta arcydzieł, dopełniała jego słowa i wyjaśniała ich znaczenie harmonijnymi przykładami. Ale tak głos poety, jak i utwory arcymistrzów, przebrzmiały wówczas bezowocnie. Nie rozmiłowano się w tych wzniosłych dźwiękach, nie usłuchano rady Pola, aby rozszerzyć wpływ Towarzystwa muzycznego wydawnictwami skarbów kościelnej i cerkiewnej spuścizny, nie powstało odpowiednie pismo muzyczne. Po kilkunastu dopiero latach, ks. Solecki podjął myśl, niegdyś rzuconą przez autora *Mohorta*, i taką w ciągu trzechletnich znojów rozwinął czynność, iż zdobył swemu czasopismu, zatytułowanemu: „*Muzyka kościelna parafialna*“ do dwóch tysięcy abonentów, co na nasze stosunki jest liczbą wcale pokaźną. Z jego inicyatywy powstały w Galicyi dwa Towarzystwa: Wzajemnej pomocy organistów i Towarzystwo św. Cecylii; rozbudziło się ogólne zainteresowanie czystą muzyką kościelną, upadły dawne uprzedzenia, pewien ruch niebywały nagle się przejawił. Do zasług ks. Soleckiego dodać należy wydawnictwo *Directorium chori*, oraz jako dodatek do poprzedniego ogłoszony psalterz Dawidowy po łacinie i po polsku, z objaśnieniami i przypiskami. Gdy po trzech latach uciążliwej pracy ks. Solecki złożył redakcyę szacownego swego czasopisma, ognisko ruchu ku reformie muzyki kościelnej zostało przeniesione do Poznania i ześrodkowało się koło osoby ks. Józefa Surzyńskiego, Dra św. teologii, młodego o wysokiem muzycznem uzdolnieniu i niemniejszem wykształceniu kapłana, który w Rzymie i Ratyzbonie przejąwszy się najczystszym duchem gregoryańskiej pieśni, postanowił życie, siły i talent poświęcić całkowicie umiłowanej przez się całem sercem sprawie. Przed kilkunastu laty, wielki znawca muzyki, ks. prałat Koźmian, nie-

rzadko do siebie zapraszał młodego studenta, który wielkiemi muzykalnemi zdolnościami zdumiewał nauczycieli i kolegów. Rozszerzało się koło stosunków utalentowanego młodzieńca, gdy w tem cios po ciosie jął spadać na kościół w Poznańskiem, rozproszyły się klasztory, runęły zakłady wychowawcze i seminarya duchowne, w ślad za swym Arcypasterzem liczni kapłani poszli za kraty więzienne i na wygnanie. Wśród tylu ruin i zamięszania, nie można się było doliczyć wzajemnie, drogi życia stawały się dla wielu drogą wyznawstwa, ścieszką wygnania, rozchodziły się więc one coraz dalej i dalej, nawet dla szkolnych z jednego okresu kolegów. Wśród utrudnionych warunków, liczba powołań kapłańskich zmniejszała się przerażająco. Zaledwie mały procent odważał się na coraz zupełniejszą ofiarę z siebie, i spieszył do podnóża opoki Piotrowej, aby tam teologiczne odbywać studya. I tak zniknął był z oczu dawnym znajomym ów uzdolniony poznański uczeń gimnazyum św. Maryi Magdaleny, gdy naraz usłyszeliśmy, iż wrócił do Poznania po dłuższym w stolicy świata chrześcijańskiego pobycie, wrócił wyświęconym już kapłanem z stopniem teologicznym, z uzupełnionem przez pobyt w Ratyzbonie wykształceniem muzycznem i że zamierza natychmiast wstąpić w czynne szranki.

Balsam go rzymski ukrzepił w ochocie,

a dokładne zrozumienie ducha Kościoła wskazało drogę, jaką miał postępować. Wśród ogólnego spustoszenia, które walka kulturna wśród dyecezyi poznańsko-gnieźnieńskiej sprawiła, w obec osieroconej stolicy św. Wojciecha, opróżnionych stalli katedralnych, przerzedzonych szeregów duchowieństwa, młody kapłan lepiej jeszcze odczuł doniosłość słów Mogunckiego mówcy: że dziś tylko pieśń święta wraz z lampką wieczystą stoi na straży przed Najśw. Sakramentem. Pieśń tę ocalić, pieśni tej wrócić dawne brzmienie, dawną jedność, dawne cechy katolickie — oto cel jaki sobie ks. Surzyński zakreślił. Nad wszystkie inne godności obierając skromny tytuł organisty przy archikatedrze poznańskiej, odrazu mimo młodości swojej i niedostatku środków zabrał się do dzieła reformy. Łatwo pojąć można, do jakiego stopnia obecne warunki dyecezyalne utrudniają jego działalność. Z poparciem i czynnym udziałem arcypasterza, zamieszkałego obok swej metropolitalnej świątyni, o ileż łatwiejszem byłoby zadanie! Tu obecne osierocenie na każdym kroku boleśnie odczuć się

daje, a więc i nad reformą muzyki kościelnej zaciężyć musi. Zachęty, słane z Rzymu przez dostojnego purpurata, stanowią zapewne silną dźwignię, nie zastąpią jednak owego ciągłego, każdodniowego uczestniczenia w rozwoju i postępie zamierzonego dzieła.

Ks. Surzyński odważnie jednak zabrał się do rzeczy, nie oglądając się na przeciwne okoliczności. Przyjął redakcyę złożoną przez ks. Soleckiego, i jął wydawać z końcem r. 1883 dalszy ciąg *Directorium Chori*, oraz czasopismo *Muzykę kościelną*, wychodzące raz w miesiąc; założył Towarzystwo św. Wojciecha, którego celem jest uprawianie śpiewu liturgicznego i muzyki kościelnej, oraz umysłowe i materyalne podnoszenie stanu organistów; nareszcie objął dyrekcyę chóru archikatedralnego, zaczął kształcić młode głosy, i na tem polu doszedł już do najpiękniejszych rezultatów. Dość wspomnieć, iż katedra poznańska po stuletniej przerwie zabrzmiała znów arcydziełami mistrzów z epoki klasycznej. Udało się nawet ks. Surzyńskiemu wykonać sławną mszę Palestryny: *Iste confessor*. Dzień 8 grudnia 1884 stanowić będzie epokę w dziejach reformy muzyki kościelnej w Polsce. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek arcydzieła Palestryny w katedrze poznańskiej bywały wykonywane, ale przypuścić się godzi, iż najtrudniejsze utwory polifonowe uprawiane być musiały przez zawsze nader bogato uposażony chór katedralny. Od XV. już wieku posiadała taż katedra wielki gmach, *psalteryą* zwany, zamieszkały przez licznych śpiewaków katedralnych, zwanych psałterzystami. Osobne znajdowały się tam sale, przeznaczone na naukę śpiewu i na próby. Biskup Szoldrski z początkiem XVII. wieku znaczne przeznaczył fundusze na utrzymanie dziewięciu śpiewaków katedralnych i sprawił wspaniałe organy. Liczne pożary tak kompletnie zniszczyły stare zabytki muzyczne, iż nie zostało żadnego śladu ówczesnego chórowego repertoaru. Atoli z świetnego udotowania śpiewaków wnioskować można, iż nie trudno być musiało o znakomite wykonanie dzieł klasycznych. Msza Palestryny wypadła bardzo pięknie w katedrze poznańskiej, ośmiu stałych śpiewaków katedralnych i chór dwudziestu chłopców z szkół elementarnych poznańskich, przez ks. Surzyńskiego wyćwiczonych, wcale zadowalniająco wykonał nieśmiertelny utwór księcia muzyki kościelnej. Odtąd też śpiew gregoryański i polifoniczny wyłącznie zapanował w świątyni katedralnej. Klasyczne utwory zastąpiły do-

tychczasowe zboczenia smaku i ducha religijnego w kościołku Panny Maryi, próby koncertów duchownych udały się znakomicie, wznawiając najtrudniejsze i najpyszniejsze czystego natchnienia utwory. Żeby dać poznać choć w części, z jakiemi trudnościami na każdym kroku ks. Surzyński walczyć musi, wystarczy wspomnieć, iż raz w chwili niemal wykonania zapowiedzianych utworów wielkich mistrzów, dyrektor gimnazyalny zabronił uczniom wyższego naukowego zakładu uczestniczyć w chórze, ćwiczenia wielotygodniowe na niczem spełzły, i wypadło na prędce zastąpić już uzdolnionych śpiewaków, mniej wprawnymi chórzystami.

Wraz z zagłębianiem się w arcydziełach przeszłości, wzbudzało się w promotorze reformy muzyki kościelnej uczucie żalu, iż tak mało nam jest wiadomo o dziejach tej Boskiej sztuki w kraju naszym. Każda głębsza myśl i praca ma to do siebie, iż stopniowo w nieskończoność rozszerza swe widnokręgi, coraz to dalsze stawia sobie granice i słupy wytyczne; znajomość naszej historyi zdaje się wskazywać, że muzyka, a zwłaszcza muzyka kościelna, w wielkiem w Polsce musiała być poszanowaniu i cenie, świadczy o tem między innemi i owa pieśń zwycięska naszego oręża: *Boga Rodzica-Dziewica*, która pobrzmiewała na polach bitwy i zagrzewała rycerskie serca męstwem i nadzieją. Świadczy o tem zasób nieprzeliczonych pieśni, które z różnych epok się zachowały i po dziś dzień śpiewanemi, z małą odmianą dawnego tekstu, po kościołach bywają. Przy katedrach i farach, przy klasztorach i pańskich rezydencyach istniały kapele i szkoły organistów, bractwa muzyczne, chóry śpiewaków. Biskupi, kapituły i zakony czuwały nad utrzymaniem czystości kantu liturgicznego, tradycyi gregoryańskiej, rzymskiej spójni śpiewu. Z upadkiem kraju, wszystkie te błogie instytucye upadły, nić pięknych tradycyj się w wielu razach zerwała, a nie odżywiany zdrowym pokarmem duch ostygał i ulegał powszechnemu skażeniu. Nawet spuścizna przeszłości, raz poszedłszy w zaniedbanie, poniekąd znikła zupełnie. Kasata klasztorów w zaborze pruskim już w początkach wieku rozbiła te przystanie chwały Bożej i zachrony czystej harmonii. Zakonnicy poszli w rozsypkę, ich zbiory i archiwa uległy łupiestwu i zniszczeniu. Swoi i obcy zarówno rabowali poklasztorne biblioteki, a że odtąd lat wiele minęło, trudno na ziemi Wielkopolskiej znacznego spodziewać się plonu dawnych

wzorów. Wojna i ogień tylokrotnie przez całą przeszły Polskę, iż bodaj i w innych jej częściach nie doczekamy się obfitych śladów i zabytków dawnej klasycznej muzyki. Zostaje więc Kraków, miasto święte, istna arka przymierza, w której lud składał „myśli swej przędzę i swych uczuć kwiaty“. Tam wypadało zapukać, do tej nieprzebranej kopalni pamiątek zstąpić, i odszukać zagrzebane w jej łonie perły harmonii. Wiedziony zarazem miłością pieśni i miłością ojczyzny ks. Surzyński, pośpieszył tedy do Krakowa, a w ślad jego badań rozwidnił się pomrok dziejów muzyki kościelnej w Polsce.

Pierwszym jej wyrazem, to hymn św. Wojciecha, tem godniejszy zastanowienia, iż wyjątkowo w nieliturgicznym języku jest śpiewany. Apostołowie nawracających się z pogaństwa narodów nie gardzili muzyką, uważając ją nieraz za środek łagodzenia dusz i przyprowadzania ich pod słodkie jarzmo krzyża. Zdobywający ku Prawdzie ewangielicznej Indyan Ameryki południowej misyonarze, płynęli środkiem rzek Paragwaju, nucąc pieśni pobożne. Zachwycone niesłyszanymi dźwięki dzikie plemiona, korzyły się przed przesłańcami anielskich pieni, i zmiękczone pieśnią, ochotnie przyjmowały słowo. Genezę wspaniałej, grzmiącej nuty naszych suplikacyj, odnajdujemy w rocznikach pogańskiej Litwy. Za przykładem Jagiełły i lud jego na chrzest się zgodził. Poświęcił swe bałwany, zagasił Znicza iskry ostatnie, święte gaje i drzewa wyciąć dozwolił — z jedną tylko pieśnią starodawną, tradycyjną w żaden sposób rozstać się nie chciał. Zawsze pełen wyrozumienia Kościół do umiłowanej nóty pozwolił podłożyć chrześcijańską modlitwę, i oto powiała nad Litwą i Koroną ochrzczona, uświęcona, a wszechpotężna pieśń: Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny!

Pierwszym jednak wybuchem zasobu harmonii, w sercu Polski złożonym, jest pieśń św. Wojciecha, natchniona czcią dla Najśw. Panny. W księgach hetmańskich Sarnickiego znajdujemy wzmiankę, iż „Stare Wojsko“ miało wyłącznie przywilej rozpoczynania pieśni „Boga Rodzica“. Oznaczono tem mianem chorągiew rycerską, która się odnawiała z wyboru rycerzy w ciągu wojen trzech Bolesławów. Pieśń św. Wojciecha wyszła dopiero z używania, gdy część rycerstwa, przystawszy do dysydentów, jęła odmawiać czci Maryi. Stało się to za pierwszego dożywotnego hetmana Tarnowskiego, a że bez modlitwy rycerstwo być nie mogło, więc dla jednostajności zapro-

wadzono w wojsku na pobudkę poranne Haynały, odgrywane na trąbach, a poświęcone jeszcze zawsze ku czci Matki Boskiej. Haynały przyszły do nas z Węgier (wyraz *Haynal* znaczy budzącą się pieśń), i są po dziś dzień odgrywane z wieży Maryackiego w Krakowie kościoła. Komuż nieznany ów piękny ustęp z *Mohorta:*

„Hajnał krakowski odgrali trębacze,
Który od wieków, co zorzy porannej,
Z Maryackiej wieży ponad Polską płacze
Czystemi łzami Przenajświętszej Panny;
A potem męskie podniosły się głosy
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
Tak nie zapomnę tej pierwszej modlitwy,
Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i po bojowiskach
Od pokolenia starej Polski płynął,
I tu dopiero w dnieprowych urwiskach
Na krańcach Polski w Ukrainie ginął!

Nietylko na polach bitwy brzmiały i grzmiały pieśni do Matki Boskiej. W starych kronikach znajdują się wzmianki, iż wartnicy obchodząc wsie i miasta śpiewali pobożne pieśni. Przy każdym niemal wjeździe królów, opisanym przez dziejopisów, napotykamy wyraźne świadectwo, iż ich wprowadzano do miast i zamków z muzyką. W kościele i po za kościołem znajdujemy coraz liczniejsze ślady uprawiania muzyki w kraju naszym. Pieśń i chorał gregoryański, jak wszędzie, tak i w Polsce stanowi nieodłączną część nabożeństwa. Lud łączył się w śpiewach rytualnych, a niektóre bractwa w łacińskim nawet czyniły to języku. Uczony, a przedwcześnie zmarły w Wiedniu Ambros, który zebrał był znaczny materyał, odnoszący się do historyi muzyki kościelnej w Polsce, zapewniał, że już w wieku XV. kraj nasz miał dzielnych mistrzów kontrapunktu. Grzegorz z Sanoka zrobił stanowczy krok aby muzykę figuryczną czyli polifonię do Polski wprowadzić. Wiadomo, iż dla rzadkich dyplomatycznych zdolności posłował od polskich i węgierskich królów do całej Europy, a mianowicie do Rzymu. Obok wielkiego zamiłowania muzyki, posiadał Grzegorz z Sanoka głos tak cudowny, iż Ojciec św. nie chciał go puścić od siebie, pragnąc za-

trzymać w liczbie śpiewaków swej kaplicy. Zostawszy arcybiskupem lwowskim, Grzegorz z Sanoka niemało się przyczynił do rozpowszechnienia studyów klasycznych i przeniesienia do Polski wzorów arcymistrzów. Ażeby zaś żadna stróna odrodzenia w naszej nie zamilkła ojczyźnie, i muzyka osobnego doczekała się tu rozkwitu, niełatwo jednak, nawet takiemu personatowi jak Grzegorz z Sanoka, przychodziło zwalczyć opór rygorystów. Zrazu polifonię tylko w duchownych koncertach cierpiano, nie wpuszczano jej do kościołów, strzeżonych gregoryańską pieśnią. Dopiero założeniem kolegium roratystów przy Jagiellońskiej na Wawelu kaplicy, w 1543 roku, Zygmunt Stary wprowadził muzykę figuryczną do katedry stolicy całego kraju.

Nie pierwszy to z Jagiellonów jawnie okazywał miłośnictwo harmonii. Już nadworny kapelmistrz Jana Olbrachta, Henryk Fink, zdumiewał całą Europę swemi kompozycyami, a wnuk jego w wstępie do dzieła swego: *Practica musica*, pisał: „Bóg chce, aby królowie taką samą opieką otaczali muzykę, jak inne kościołowi pożyteczne sztuki, w czem wielką sławę mieli i mają królowie polscy".

Przechowała się w Ratyzbonie trzygłosowa msza Finka, obok wielu hymnów kościelnych. Archiwum wawelskie posiada w kancyonale z 1489 r. jedyny znany nam zabytek kompozycyi kilkugłosowej z XV. wieku, na tekst Ewangelii św. Mateusza, o którym znawcy nie wahają się twierdzić, iż stoi na równi z utworami najprzedniejszych mistrzów niderlandzkich. Atoli złotym wiekiem muzyki kościelnej w Polsce jest ów wiek Zygmuntowski, i w koncercie pełnego wszystkich sztuk odrodzenia, nie brak i dźwięków muzycznego natchnienia. Ojcem polskiej muzyki jest uczony profesor przy akademii krakowskiej, ks. Sebastyan z Felsztyna, po którym zostały i teoretyczne pisma, i znakomite utwory, w których wije się złotą linią melodya gregoryańska, na tle misternie zlanych kontrapunktycznych tonów i głosów. Największą atoli zasługą Felsztyńskiego jest ukształcenie dwóch mistrzów, którzy są właściwie założycielami polskiej szkoły, Marcina Leopolity i Wacława Szamotulskiego.

Pierwszy z nich był nadwornym organistą Zygmunta Augusta, odznaczał się wysoką pobożnością; z wiary wyższe a słodkie czerpał natchnienie, do wielu utworów sam tekst dorabiał, a wszystko

co zostawił, tchnie wysoką świętobliwością, obok cech prawdziwego geniuszu.

Wacław z Szamotuł, rodem z Wielkopolski, w Poznaniu się kształcił, a następnie przy akademii krakowskiej, tej przesławnej matki uczonych i świętych, którą Skarga tak wspaniale pozdrawia wstępem do życia św. Jana Kantego, otrzymał tytuł magistra nauk wyzwolonych i doktora filozofii. Zygmunt August mianował go dyrektorem swej kapeli; dla najprzedniejszych śpiewaków dworu pisał on elegie, obok wielkich swych kompozycyj kościelnych ściśle katolicko-liturgicznych. Sława Szamotulskiego wielką być musiała i zagranicą, skoro utwory jego drukowano w zbiorach, do których tylko wyborowe przypuszczano kompozycye. Jakoż są ślady, iż go spółcześni uważali za jednego z pierwszorzędnych mistrzów w Europie.

Założenie kolegium Roratystów nową dla muzyki kościelnej w Polsce erę otwiera. Odtąd kaplica Jagiellońska staje się prawdziwą polską Syxtyną. Król Zygmunt Stary wielkim był miłośnikiem i protektorem muzyki. Nowo przez niego założone, uposażone i królewskim przywilejem osłonione kolegium, składać się miało z proboszcza dyrektora, dziewięciu kapelanów śpiewaków i jednego kleryka. Obowiązani oni byli śpiewać codziennie wotywy: *Rorate, praenobili arte italiana,* i odprawiać nabożeństwa za zmarłych członków Jagiellońskiego domu. „Odtąd — jak pisze ks. Surzyński, z którego szacownej przedmowy do najświeżej podjętego wydawnictwa żywcem czerpiemy wszystkie niemal powyższe wiadomości — „historya muzyki kościelnej w Polsce ściśle z dziejami tego kolegium się łączy". Z kolei było siedmnastu dyrektorów kolegium roratystów, od Zygmunta Starego do Stanisława Augusta. Pierwszym z nich był Mikołaj z Poznania, drugim ks. Krzysztof Borek, którego utwory do głębi poruszają rzewnością pobożnego nastroju.

Do najlepszych kompozytorów między roratystami pomieniony wzwyż autor zalicza ks. Tomasza Szadka. Do najwyższej jednak doskonałości doprowadzili u nas muzykę kościelną czterej mistrze, wymienieni, przez spółczesnego im Starowolskiego, jako najwyżsi kompozytorowie, a mianowicie: Marcin Paligonius, Krzysztof Kicker, ks. Jan Brandt, Jezuita z Poznania, nareszcie Mikołaj Zieleński,

organista i dyrygent kapeli u prymasa Baranowskiego, któremu śmiało w tej plejadzie pierwszeństwo przyznać należy.

Nie samo jednak tylko kolegium roratystów dostarczało krajowi kompozytorów i wysoce ukształconych muzyków. Powstawały zewsząd mnogie szkoły śpiewu, wśród których na pierwszem miejscu należy wymienić założone w połowie XVI. wieku bractwo muzyczne przy kościele św. Barbary w Krakowie. Bractwo to później przeniesiono do kościoła św. Piotra. Kapela Ojców Jezuitów także najprzód przy kościele św. Barbary, a następnie przy kościele św. Piotra, liczyła do stu muzykantów, a za czasów Skargi rozporządzała kapitałem na owe czasy bardzo znacznym, bo 400.000 złp.

Cała Rzeczpospolita dumna z kolegium roratystów, otaczała osobną pieczą i protekcyą muzykę królewską. Ale i zagranicą niebawem szeroko zasłynęła owa szkoła czystego śpiewu i wysokiego muzycznego znaczenia. Najwięksi kompozytorowie europejscy za zaszczyt poczytywali sobie wykonywanie swych kompozycyj przez krakowskich roratystów, przesyłali im swe utwory, sam nawet Palestryna ofiarował kaplicy Jagiellońskiej dwie oryginalne msze z wyraźną dedykacyą *pro Capella Regia*. Nie brakło i cudzoziemców, osiadłych w Krakowie i zrosłych z przybraną ojczyzną, jak Wenecyanin Diomedes Caton, który dorobił melodyę do hymnu św. Kazimierza: „*Omni die*“ lub Walenty Gawara, Włoch, wsławiony pięknym motetem na cześć św. Stanisława. Do przedniejszych też, aczkolwiek skromniejszego polotu kompozytorów z złotego wieku, zaliczyć wypada Mikołaja Gomółkę, harmonizatora Psałterza Kochanowskiego. Talent to swojski, pełen prostoty i świeżości, nie kuszący się o sztuczki kontrapunktyczne, bo też, jak pisał sam Gomółka, nie układał on swych melodyj dla Włochów, lecz „dla naszych prostych domaków“.

Wiek siedmnasty nader świetnie jeszcze wypada dla muzyki kościelnej w Polsce. Wazowie z krwią i koroną Jagiellonów odziedziczyli i rzadką tego rodu muzykalność. Smutny Zygmunt III. największe znajdował upodobanie w przygrywaniu na organach, Władysław IV. w liczbie muzyków swej kapeli miał 50 kontrapunkcistów, układających na dane temata partycye. Śluby królewskie z Cecylią Renatą uświetnione zostały utworem dramatyczno-muzykalnym, p. t.: *La santa Cecilia*, układu Włocha Pacitello. Ks. Surzyński

wymienia w tej epoce nie mniej jak siedmnastu mistrzów włoskich przy dworze królewskim osiadłych, a wsławionych, jak sławnym był zresztą na całą Europę chór warszawski, o którym francuzki podróżnik wówczas pisał, „iż uchodzi za pierwszy w świecie“. Ale i polskich mistrzów nie brakło, skoro czternaście imion błyska poważnym zastępem znamienitych talentów i utworów.

I znów do kolegium roratystów zajrzeć przychodzi, aby znaleść imię, zamykające epokę klasyczną kościelnej w Polsce muzyki. „Perła kleru“, jak opiewa napis jego grobowy, świątobliwy ks. Grzegorz Gorczyński należy do najlepszych kompozytorów polskich. Mianowicie śpiewy jego wielkotygodniowe zachwycają wytwornością stylu, czystością harmonii i ducha.

Już Wincenty Pol przed dwudziestu laty wyrażał życzenie, aby się i u nas znalazł jaki Baini, któryby zajrzał do kaplicy Jagiellońskiej i zbadał ukryte w niej choralne i muzyczne skarby. Poznawszy znaczenie kolegium roratystów w Polsce, ks. Surzyński postanowił tam najprzód zwrócić swe poszukiwania. Przyjęty najłaskawiej przez Najprzewielebniejszego ks. Biskupa Dunajewskiego, rozpoczął w styczniu minionego roku istne rozkopywanie się w skarbach, po kapeli roratyskiej pozostałych. Z pomocą czcigodnego ks. Kanonika Polkowskiego, który acz sam nie muzyk, jako bibliograf, za najpewniejszego w podobnych odkryciach służyć może przewodnika, ks. Surzyński odrazu natrafił na stare, żelazem okute skrzynie, pełne wspaniałych pomników natchnienia i pobożności rodzimych geniuszów muzycznych w Polsce. Do łez wzruszony tak szczęśliwem i szybkiem uwieńczeniem swych usiłowań, ks. Surzyński natychmiast zabrał się do studyowania odnalezionych skarbów, a przekonał się niebawem, iż część z nich śmiało postawić można obok dzieł Palestryny i Wiktoryi. Powstała natychmiast myśl pomnikowego wydawnictwa monumentów muzyki kościelnej w Polsce, tak zupełnie nieznanych nam dotąd, nieocenionych ani w kraju, ani zagranicą. Akademia umiejętności zainteresowała się tak pięknem i chlubnem przedsięwzięciem, zapewniła pomoc materyalną, zamówiła pewną liczbę egzemplarzy. I oto przed kilkoma tygodniami powitać nam przyszło pierwszy zeszyt rozpoczętej na wielką skalę publikacyi, która odtąd corocznie ma odsłaniać dla znawców i miłośników sztuki kościelnej i sztuki ojczystej, zakrytą przez lat tyle spuściznę muzyczną polskich

mistrzów harmonii. P. t.: *Monumenta musices sacrae in Polonia*, wychodzić będą z kolei w Poznaniu odnalezione świeżo w Krakowie arcydzieła. Jak przystało pomnikom tak niepośledniej wartości, w ozdobną i staranną odziano je formę. Kto zna trudności druków muzycznych, kto wspomni, iż do niedawna musiano je stale zagranicznym powierzać prasom, ten w dwójnasób oceni zasługę p. Jarosława Leitgebera, który tak pięknie wykonać zdołał techniczną stronę nowego wydawnictwa. Z pochwały godną żądzą upowszechnienia w świecie katolickim i artystycznym znajomości naszych arcydzieł, ks. Surzyński opatrzył je wstępem i przypiskami w dwóch językach, polskim i francuskim, a owa przedmowa mianowicie, z której tak wiele zaczerpnęliśmy powyżej szczegółów i wiadomości, świadczy najwymowniej o erudycyi i znawstwie przedmiotu czcigodnego wydawcy. Eitnera *Monatshefte für Musik-Geschichte*, pisze między innemi: „Das Vorwort lässt uns in dem Hern Verfasser einen kundigen Musikhistoriker erkennen“, w recenzyi Monumentów polskiej świętej muzyki. Na początek obrano dwie kompozycye dalekiej sięgające przeszłości: *Adoramus Te* Mikołaja Zieleńskiego, i Mszę Tomasza Szadka, zatytułowaną: „In melodiam moteti: Pisneme“. Pierwsza nosi datę 1611 r., drugą do r. 1580 odnieść wypada. Oba te utwory znakomicie zostały dobrane, aby dać publiczności przedsmak tego, co nas z kolei czeka. Niezrozumiały wyraz *Pisneme* jest czeski, i odnosi się do pieśni czeskiej z XVI. wieku, zaczynającej się od słów: Zaśpiewajmy. Rozlicznych piękności Mszy ks. Szadka nie tu miejsce wskazywać, ale można za wydawcą powtórzyć słowa Proske'go: Każda nóta zdradza mistrza, który w pobożnem rozmyślaniu pełnił służbę ołtarza. Praca i modlitwa, geniusz i pokora nawzajem w tem arcydziele się przenikają i w doskonałą harmonię się łączą“. Msza ta z spuścizny roratystów pochodzi. Następny utwór Zieleńskiego, odnaleziony w bibliotece książąt Czartoryskich, „Medytacya pod krzyżem św.“, na najwyższe unosi wyżyny. Niemiecki recenzent wychodzącego w Lipsku pisma muzycznego wspomina, iż: *das Adoramus entwickelt einen Klangreiz der entzückend ist.* Zewsząd podniosły się głosy uczucia i zachwytu, sypnęły pochwały i zachęty dla szanownego wydawcy. Jedyną krytykę nowego wydawnictwa wśród niemieckich estetyków i dyletantów wywołało użycie francuskiego języka; strawić bowiem

nie mogą że: *der Herausgeber als Deutscher Staatsbürger (!) sich der deutschen Sprache enthält.*

Nierychło wyczerpną się zasoby naszych Monumentów kościelnej muzyki. Sama kaplica Jagiellońska znaczny ich chowa zapas. Aż oto i w zbiorach książąt Czartoryskich, i w bibliotece uniwersyteckiej nie mniejsze znalazły się skarby. Ks. Polkowski, Dr. Wisłocki, p. Żegota Pauli, chętnie młodemu badaczowi podali rękę, ułatwili poszukiwania, wskazali źródła. Cecha to uczonych krakowskich, którą tu uznać i uczcić należy. W innych miastach naszych, pewna zazdrosna, prowincyonalna wyłączność niechętnie otwiera skarby swe własne, utrudnia owszem do nich przystęp, i koteryjnemi często wiedziona względy, tylko swoim wybranym uczonym dozwala wyzyskiwać posiadane przez się zabytki. Kraków zaś pozostał stolicą, w szerokiem pojęciu tego wyrazu; nie zazdrości całemu narodowi spuścizny, która doń należy, i stąd każda praca, każde poszukiwanie tak wdzięcznem i ułatwionem tam bywa przez szlachetnych strażników skarbów przeszłości. Nie dziw tedy, iż w nowej, powtórnej swej wycieczce do grodu Jagiellonów, ks. Surzyński obfitszy jeszcze plon zebrał, między innemi znajdując dwadzieścia pięć motetów Mikołaja Zieleńskiego, wspaniały śpiew wielkotygodniowy Gorczyckiego: *Sepulto Domino,* który stawić można nierównie wyżej od sławnego na też słowa utworu Händla. Znalazło się też niemało Mszy kilkugłosowych, a obok ogłoszonych przez ks. Polkowskiego sekwencyj Jana z Łodzi, biskupa poznańskiego z XIV. wieku, u Bernardynów odszukano wzniosłe *Stabat Mater,* i piękną pieśń o św. Jacku, Liliusza. Nie brak i utworów zagranicznych mistrzów w nieprzebranej kopalni krakowskich zbiorów, a i te zapewne wyłonią się z kurzawy wieków. Z czasem zaś ks. Surzyński i pomniki świeckiej muzyki, począwszy od XV. wieku, zamierza wydawać. Atoli dalsze to dezyderata. Dziś głównie chodzi o zwrot pomyślny i reformę muzyki kościelnej. Starożytni z epoki Jagiellońskiej kompozytorowie polscy, aż do ks. Gorczyckiego włącznie, pisali według przepisów Kościoła i za podstawę prac swoich brali śpiew gregoryański i jego dawne, czyste tonacye i prawidła. Reformatorzy dzisiejsi powinni tedy przedewszystkiem odszukiwać owe zagrzebane wzory, upowszechniać je, wprowadzać napowrót do przybytków Pańskich, aby wznowić świętą tradycyę kościelnej je-

dności, nowe na dawną modłę ukształcać talenta, i dostrojeniem ucha, i dusze wiernych nastrajać ku spotęgowanym uczuciom miłości Bożej i prawdziwej pobożności.

Są to jednak przeważnie niełatwe do wykonania utwory, dla których potrzeba wyćwiczonego chóru i sił znaczniejszych, aniżeli niemi pomniejsze kościoły rozporządzają. Reforma zaś powinna wszędzie sięgnąć i dosięgnąć. W tym celu ks Surzyński postanowił wydać podręcznik dla organistów, i w ogóle dla wszystkich miłośników kościelnego śpiewu. Pierwszy tom, pod tytułem: *Laudate Dominum* stanowi część liturgiczną, obejmuje msze choralne, responsorya, nabożeństwo nieszporne i kompletę. Druga część: *Śpiewajmy Panu*, zawiera kilkanaście polskich mszy, kilkaset pieśni, i śpiew Różańcowy. Jasność praktyczna, niebywała taniość, znakomite wskazówki, składają się, aby tej publikacyi szacownej nadać osobną cenę i wielką doniosłość. Każda parafia winnaby posiadać niezrównany przewodnik muzyki kościelnej, aby raz położyć tamę bezwiednym alteracyom prymitywnej melodyi w pieśniach i zboczeniom samychże organistów z właściwego muzycznego toru i tekstu.

O to też chodzi, aby lud wciągnąć do coraz to większego uczestniczenia w nabożeństwie, przez czynny udział w śpiewie liturgicznym. Nie trudno do tego przyjdzie, przy nadzwyczajnem upodobaniu naszych prostaczków w śpiewaniu na chwałę Bożą. Już wspomnieliśmy, że za dawnych czasów bywały całe bractwa, które nawet w języku rytualnym pieśni kościelne zwykły były śpiewać. Żaden naród podobnym skarbem własnych pieśni poszczycić się nie może, żaden też może nie miał poetów, którzyby swą lutnię na chwałę Bożą nastrajali i układali chętnie rymy i rytmy, przechodzące w codzienny użytek pobożnego gminu. A co bezimiennych, prawdziwie wielkich poetów, zostawiło nam istne klejnoty natchnienia, w owych pełnych świeżości i prostoty kolendach, w tchnących nieśmiertelnością pieśniach zmartwychwstania, w tkliwych hymnach na cześć Najświętszej Panny, w rzewnych, smętnych, żałobnych lamentacyach postnych! Nie wiadomo, co bardziej podziwiać należy, czy tekst głęboko poetyczny, czy nótę, rozlewającą się bądź wspaniałą i pełną majestatu falą, jak w pieśni iście królewskiej: T w o j a c z e ś ć, c h w a ł a! bądź jękiem, wyrwanym z ludzkich wnętrzności, jak owe G o r z k i e ż a l e, w których trudno nie upatrywać zacho-

wanego szczątku dawnych, średniowiecznych misteryów. W każdej z trzech części, trzy odrębne znajdują się fragmenta: hymn wstępny przedstawia bolesny moment męki Zbawiciela. Dalej wierni rzewliwą lamentacyą wyrażają udział swój w cierpieniach Chrystusa Pana, wraz z gorącem powtarzaniem wezwania: Jezu mój kochany! Nareszcie zawiązuje się rozmowa między Matką bolesną a spółczującym z nią czcicielem Jej Boskiego Syna. Sama ta forma chóru alternującego z dyalogiem, już pozwala nawiązać ten szanowny zabytek z udramatyzowaniem męki Pańskiej w kościołach średniowiecznych, które się dziś jeszcze w Oberammergau i Brixlegg zachowało. Znaczna część pieśni naszych dosłownem jest tłumaczeniem liturgicznych hymnów. Niezwykłej miary poeta musiał przekładać np. te ulubione ojców naszych Godzinki o niepokalanem Poczęciu, które pięknością języka i formy oblekają bogato mistyczną treść przyswojonego polskiej mowie łacińskiego tekstu. Jakiż olbrzymi zapas harmonii musiał spoczywać w łonie ludu polskiego, co za wspaniałe wzory musiały płynąć z góry, aby wytworzyć podobny dostatek pięknych, rzewnych, podniosłych słowem i melodyą pieśni! Lud nasz instynktem zrozumiał, że *qui cantat, bis orat.* Opóźnienie w wiejskich stosunkach postępu kultury przyłożyło się zapewne do zachowania wśród ludu tradycyą dziedziczną mnóstwa pieśni. Nieumiejący czytać kmiotek, tem chętniej w czasie nabożeństwa śpiewał na chwałę Bożą. Dziś jeszcze w okolicach Królestwa polskiego, gdzie mniej rozszerzyła się oświata, włościanie, którzy nie nauczyli się czytać na książce, tem ochotniej i gromadniej się łączą z śpiewem całego wiernych zgromadzenia. Nigdzie może tak serdecznie lud nie śpiewa, jak właśnie w kraju naszym. Ale z innej strony silna indywidualność polska przejawia się w niezgodzie tonów, w dążeniu do przekrzyczenia drugich, do przewodzenia w chórze najsilniejszemi dźwięki. Syrokomla tak na jednem miejscu charakteryzuje wielkopostne po naszych wiejskich kościołach śpiewy:

Nie idź człecze zimnej duszy,
Pod wiejskiego dach kościoła:
Bo cię wiejski lud zagłuszy,
Gdy gorąco w niebo woła.
Jęczy pieśnią szczerej wiary
Organ stary i popsuty;

A z kantyczek szlachcic stary
Ciągnie basem drżące nóty.
Ostre głosy niewiast grona
Płyną twardo i nieczysto,
Pieśń chłopaków rozpędzona
Nie w takt idzie z organistą.
Jezus tylko, Jezus z krzyża,
Co go pieją tak gromadnie,
Sam te nóty poprzybliża,
Sam piosenkę ich odgadnie.
W takiej pieśni wie Syn Boży,
Że najlepsza Jego chwała.
On do serca ją przyłoży,
By go rana mniej bolała.
Za te proste, łzawe słowa,
Spuści kroplę krwi i łezki;
A ta łezka Jezusowa
Stworzy w sercach cud niebieski,
Ulży sercu co tam boli,
Wskrzesną w Panu poniżeni,
Jeśli nie da ziemskiej doli,
To niedolę w świętość zmieni.

Piękny wiersz i myśl poetyczna, ale czyżby nie lepiej pieśń tę dziką, choć serdeczną, wykrzesać i ułagodzić, a przez to samo i dusze prostaczków uharmonizować, do pewnej moralnej kultury i wykwintności ich podnosić, bez uszczerbku dla chwały Bożej, owszem z wyższem jej zrozumieniem.

Dopóki, jak to wspomnieliśmy wyżej, istniały klasztory i szkoły muzyczne, snuła się i wśród ludu piękna tradycya czystego śpiewu. Po upadku tych błogich instytucyj a przy zboczeniu ogólnego smaku, musiał i śpiew ludowy się obniżyć. Pamięcią i tradycyą przekazywane melodye coraz większemu ulegały skażeniu; czasem w dwóch sąsiednich parafiach jedna i ta sama pieśń z takiemi różnicami bywa śpiewaną, iż stąd na wspólnie obchodzonych odpustach głosy i melodye zarówno się rozchodzą. Wspomniane wyż podręczniki najlepiej zdołają zapobiedz dalszemu złemu, a poprawić to co już się zepsuło. A przedewszystkiem nowy to będzie środek wciągania ludu do udziału w śpiewie kościelnym. Warto tu przypomnieć zdanie wielkiego i doświadczonego w pasterstwie dusz biskupa orleańskiego, ks. Dupanloup. Wychodząc z zasady, iż człowiek najbardziej się interesuje rzeczami, w których sam osobiście

i czynnie uczestniczy, przypisywał on wielką doniosłość i misyę śpiewom ludowym, pieśniom wspólnie nuconym w przybytkach Pańskich. Nieraz z pokorą powtarzał, iż sam zawdzięcza swe nawrócenie i utwierdzenie w szczerej pobożności świętym pieniom, które go zawsze zachwycały. Ten wzór katechety największą przywiązywał wagę do pieśni podczas katechizmu przez dzieci śpiewanych. Nic bardziej ich rozbiegłej uwagi nie przykuwa, nic do tyla nie zagrzewa, ile pieśni stosownie dobrane (conf. *Vie de Mgr. Dupanloup*, par l'abbé Lagrange).

Dwustronna tedy płynęłaby korzyść z ćwiczenia dziatek po parafiach w śpiewie kościelnym: raz osobisty dla nich zysk i wykształcenie uśpionego talentu, a rozbudzenie uwagi przy katechizacyi, powtóre przysposobienie chóru i podniesienie chwały Bożej, w następstwie zaś i regulowanie śpiewu całego ludu, gdy tak nowe pokolenia wzrastałyby w lepszych śpiewu tradycyach. Jeden warunek nasamprzód konieczny: oto przyzwyczajenie do śpiewu *a mezza voce*, który taką powagę i rzewność nadaje pieśniom kościelnym w Niemczech. Nikt tam nie krzyczy, nie zawodzi w niebo głosy, a stąd ogólna fala dźwięków płynie spokojnie i zgodnie aż pod stropy świątyni, i tak, skupiające, uroczyste sprawia wrażenie. Towarzystwo św. Wojciecha rzuciło też myśl kółek parafialnych, mających na celu podniesienie muzyki kościelnej. W wielu już miejscach takowe się zawiązały. W niektórych plebani miejscowi wykształcili już sobie wcale dobre chóry chłopięce, które zastępują organistę lub mu dopomagają. Pewien ksiądz w Poznańskiem, zmuszony nagle rozstać się z niesfornym organistą, sam wieczorami jął dzieci uczyć nót, ćwiczyć w śpiewie, aż w krótkim czasie nauczyły się responsoryów, mszy gregoryańskiej i antyfon łacińskich. Takich przykładów nie brak i w Galicyi, mimo uciążliwości wprawienia dziatek w czysty śpiew i trudności obznajomienia ich z nótami. W zakładzie Kórnickim, gdzie jenerałowa Zamoyska wychowywuje cały zastęp ubogich dziewcząt na dobre sługi, nie zaniechano i cywilizującego środka kultury młodych umysłów przez muzykę. I oto usłyszeć tam można pobożne chóry tak piękne i zgodne, z tak czystych złożone głosów, że chyba anielskie przypominają pienia. Oczywiście, nawiasowo tylko o tem na tem miejscu wspominamy, dzie-

ląc zdanie tych, co sławny aksyomat: *Mulier taceat in Ecclesia*, rozciągają do wykluczenia głosów niewieścich z chórów kościelnych.

Ma się rozumieć, iż takie czasopismo, jak *Muzyka kościelna*, wraz z muzycznemi dodatkami wielce się przyczynia do posunięcia i ułatwienia dzieła reformy. Odgłosy podobnego ruchu w całym świecie katolickim dodają otuchy i ochoty naszym w tym kierunku pracownikom, wskazówki bibliograficzne obznajamiają z nowemi publikacyami, nie brak dobrych rad i praktycznych środków działania. Redaktor nieraz własne utwory, w czystym duchu kościelnym pisane, przyłącza do pojedyńczych numerów, a hasłem całości: przepis kościoła, przykucie się do tradycyjnego łańcucha pieśni gregoryańskiej, złożonej na grobie Piotra św. tak, aby żadne z jej ogniw nie pękło, nie rozluźniło się, nie osłabło, i aby chwała Boża jednakiemi w niebo płynęła dźwięki, tak pod stropami Bazyliki watykańskiej, jak w naszych ubogich wiejskich kościołach.

Zebraliśmy tedy pobieżnie echa tego, co się już na tem polu zrobiło i zrobić zamyśla. Zwrót jest już widoczny, niemało skarbów przeszłości wyłoniło się z ukrycia, pieśń gregoryańska u nas zaczyna wypierać profanujące świątynię dźwięki, nareszcie i wpływ na lud się potęguje, a kto w muzyce kościelnej upatruje obok bezpośredniej chwały Bożej i apostolstwo wśród ludzi, ten pojmie doniosłość jej w obecnej zwłaszcza chwili. Marcin Luter dobrze odgadł był potęgę muzyki, gdy rozpoczynał swe dzieło buntu i rozdwojenia, a bodaj więcej sobie zyskał wyznawców chorałami swojemi, aniżeli predykacyami. Lud śpiewać potrzebuje, jeśli nie będzie śpiewał w kościele, to pójdzie śpiewać do karczmy, jak nie pieśni pobożne, to piosnki bezbożne. Stąd płynie osobne posłannictwo dla promotorów świętej, dobrej muzyki, i zakres ich działania rozszerza się w nieskończoność. Szczęść Boże szlachetnym usiłowaniom, błogosław Boże poczciwej pracy, oto życzenie, którem zakończyć pragnę, a które z pewnością znajdzie oddźwięk gotowy w sercach czytelników i całego narodu, bo jak ongi pieśń anielska, tak wszędzie i zawsze pieśń ludzka chwałę Bogu na wysokości, a ziemi pokój przynosi.

M.

SZKOLNICTWO WE FRANCYI.

W obec nieustannego i słusznego zajęcia opinii naszego kraju kwestyą reformy szkół, pragnęlibyśmy podać naszym czytelnikom dokładne wiadomości o dzisiejszych urządzeniach, stanie i powodzeniu szkół publicznych i prywatnych w innych krajach. W tym celu zasięgnęliśmy najprzód z najlepiej poinformowanego źródła wiadomości o szkolnictwie francuskiem, i otrzymaliśmy sprawozdanie składające się z 3 części, które w 3 numerach *Przeglądu* ogłosimy:

1) O organizacyi nauczania publicznego, czyli urzędowego.

2) O organizacyi nauczania wolnego czyli prywatnego.

3) O rezultatach prywatnego nauczania.

Pierwsza część, którą obecnie podajemy, jest może nadto sucha i szematyczna, ale jako taka daje podstawę do samodzielnego sądu o rzeczy. Trzeba jednak wiedzieć o niektórych właściwościach szkolnictwa francuskiego, które autor jako znajome suponuje.

I tak uniwersytet paryski *La sorbone* posiadał od dawnych czasów monopol nauczania w całej Francyi. Dopiero za drugiej republiki r. 1850 katolicy wszystkich stronnictw podawszy sobie ręce wywalczyli wolność nauczania dla niższych i średnich szkół. Od tego czasu istniały obok siebie zakłady rządowe i zakłady prywatne, czyli jak mówią we Francyi, wolne, kierowane po największej części przez zakony nauczające; Sorbona zaś o tyle nad jednemi i drugiemi zachowywała zwierzchność, że wyznaczała przedmioty egzaminu dojrzałości i wysyłała do głównych miast Francyi komisye przed któremi wszyscy uczniowie, tak rządowych jak prywatnych szkół ten egzamin składali. W ten sposób szkoły wszelkiej kategoryi, wolne i rządowe, świeckie i zakonne mogły między sobą współzawodniczyć, a wyniki egzaminów dawały w obec kraju miarę naukowej wartości każdej szkoły. Studya atoli wyższe czyli uniwersyteckie pozostały monopolem Sorbony, tak dalece, iż ta ostatnia jest właściwie jedynym we Francyi uniwersytetem; na prowincyi są tylko rozrzucone po głównych miastach pojedyńcze fakultety: medycyny, prawa i t. d., niby gałę

zie Sorbony, od niej zawsze zawisłe. R. 1875 wyłom zrobiono w tym monopolu Sorbony, pozwalając na zakładanie tak zw. uniwersytetów wolnych. Z czego skorzystali natychmiast katolicy, zakładając pięć wszechnic, z katolickim kierunkiem nauk. Ale niebawem roku 1880, gdy stronnictwo Gambety przyszło do steru, podcięto znaczenie tych uniwersytetów odbierając im prawo udzielania stopni. Od tego czasu, w miarę jak kierunek radykalny przemaga coraz więcej w rządzie, nowe prawa i rozporządzenia ścieśniają coraz więcej wolność nauczania, i zmierzają do oddania całego szkolnictwa pod wyłączny wpływ i kierunek rządu. Rozproszono najprzód zgromadzenia zakonne, które najwięcej z szkolnictwem rządowem współzawodniczyły. Rozmnożono następnie wymagania od kierowników szkół wolnych, rozmaitych świadectw, egzaminów i patentów rządowych, które ich wystawiają na dowolność władz administracyjnych i w najwyższym stopniu zadanie ich utrudniają. Nie zniesiono jednak w zasadzie wolności nauczania, gdyż ta nadto jest z pojęciami Francuzów zrośnięta i nadto korzystną w skutkach się okazała.

Zakłady naukowe początkowe i średnie nie bywają zwykle we Francyi, jak nasze szkoły i gimnazya, eksternatami, ale są to głównie internaty, w których jednak prócz internów, pewna liczba miejscowych eksternistów na wykłady uczęszcza. Właściwe eksternaty, czy prywatne czy rządowe, po dziś dzień do wyjątków należą. Nie ma też we Francyi szkół odpowiadających w zupełności naszym gimnazyom realnym, ale są specyalne szkoły dla różnych zawodów realnych *(Écoles spéciales et professionnelles)*, a po gimnazyach, począwszy od wyższych dopiero klas, jest rozdział zwany *la bifurcation:* dla jednych studya przeważnie klasyczne *(les lettres)* z szczupłą przymieszką nauk przyrodniczych i matematycznych, — dla drugich studya przeważnie przyrodnicze i matematyczne *(les sciences)*, z jakimś dodatkiem najważniejszych literackich i historycznych przedmiotów. Ztąd też były dwa rodzaje egzaminów dojrzałości: *bakalaureat es-lettres* i *bakalaureat es-sciences*. W ostatnich wszelako czasach zrobiono z nich 4 kategorye. Świadectwa dojrzałości nie udzielają, jakeśmy powiedzieli, same szkoły średnie, ani rządowe ani prywatne, ale udziela go tylko Sorbona przez swoje komisye egzaminacyjne; stąd też nazwa b a k a l a u r e a t u, oznaczająca właściwie najniższy stopień uniwersytecki.

(Od Redakcyi).

I. Organizacya nauczania publicznego, czyli urzędowego.

Nim damy poznać rozmaite stopnie, objęte systemem nauczania publicznego we Francyi, winniśmy wykazać szereg władz nauczaniem zawiadujących.

Minister oświaty jest wykonawcą praw, przysługujących pań-

stwu w zakresie nauczania publicznego i prywatnego. Przed rozstrzygnięciem czegokolwiek w ważnych sprawach, winien jest zasięgnąć zdania Rady głównej, *le Conseil supérieur des études*, obok niego ustanowionej. Rada ma udzielać swego zdania w sprawie regulaminów, odnoszących się do egzaminów, konkursów i programów naukowych, i w ogólności w sprawie wszystkich uchwał obowiązujących w zakładach nauczania publicznego, w sprawie tworzenia nowych fakultetów, liceów, konwiktów, w udzielaniu zachęty i pomocy niektórym zakładom „wolnym“ czyli prywatnym, należącym do rzędu szkół średnich. Rada orzeka jeszcze w ostatniej instancyi nad wyrokami rad akademickich i departamentalnych.

Jest siedmnaście tak zwanych akademij we Francyi, każda z nich jest pod zarządem rektora mającego pod sobą tylu inspektorów akademickich, ile jest departamentów w okręgu. W siedzibie każdej akademii istnieje Rada akademicka, złożona 1) z rektora, prezydującego, 2) z inspektorów obwodu, 3) z dziekanów fakultetów, 4) z dyrektorów szkół farmaceutycznych, medycznych, klasycznych i realnych, z profesora wybranego w każdym fakultecie lub szkole, z prowizora liceum i tak zw. pryncypała szkoły gminnej, wybieranych przez ministra, z dwóch profesorów studyów klasycznych i tyluż z realnych, wybieranych przez liceum, z dwóch profesorów, wybieranych przez szkoły gminne, z dwóch radców generalnych i tyluż miejskich, wybieranych przez ministra; a gdy idzie o sąd nad członkiem szkolnictwa wolnego, z dwóch członków tego szkolnictwa, wybieranych przez ministra. W ogóle do tej rady, złożonej z 32 członków, wchodzi 26 członków uniwersyteckich, a 6 sędziów obranych poza uniwersytetem, a mianowanych przez ministra. (Ustawa z 1880 r.). Rada akademicka objawia swoje zdanie w sprawach administracyi i karności, przedłożonych jej przez rektora.

W stolicy każdego departamentu znajduje się Rada szkolna departamentalna, składająca się: 1) z prefekta, prezydującego, 2) z inspektora akademii, 3) z inspektora szkół niższych czyli elementarnych, naznaczanego przez ministra, 4) z pewnej liczby członków, wybieranych według przepisów art. 10 ustawy z 1850 r.

Takie są ogólne kadry głównych władz, kierujących nauczaniem. Mówić będziemy o profesorach tym władzom podległych,

w miarę jak się z nimi spotykać będziemy w rozmaitych gałęziach szkolnictwa.

System nauczania rządowego składa się z trzech stopni: z nauk początkowych, średnich i wyższych.

Nauki pierwszego stopnia.

Zakłady pierwszego stopnia są to szkoły dla dzieci najmłodszych, zwane ochronami lub szkółkami macierzyńskiemi *(écoles maternelles)*, tudzież szkoły początkowe *(primaires)* i szkoły normalne początkowe.

Urządzenie ochron [1]. Ochrony tak publiczne jak i wolne są to zakłady wychowawcze, w których dzieci obojej płci są pielęgnowane, w celu rozwinięcia ich fizycznie, moralnie i umysłowo. Można przyjmować do zakładu dzieci dwuletnie, a mogą one tam pozostawać do lat siedmiu. Nauczanie w ochronach obejmuje: 1) Pierwsze zasady wychowania moralnego; wiadomości o przedmiotach do zwykłego użytku służących; pierwsze pojęcia rysunku, pisania i czytania; ćwiczenie w mowie; zarysy historyi naturalnej; opowiadania przystępne dla dzieci; roboty ręczne; śpiew i ruchy gimnastyczne.

Ochrony są wyłącznie kierowane przez kobiety. Kierowniczka ochrony musi mieć 24 rok skończony i posiadać zaświadczenie uzdolnienia do zarządzania ochroną [2]. Zastępczyni przełożonej musi mieć lat 18 i wykazać się świadectwem do zarządzania ochroną.

Niezależnie od władz ustanowionych przez prawo dla nadzoru szkół, przegląd ochron odbywają inspektorki generalne i inspektorki okręgowe. Jedne i drugie mianuje minister. Jedna z inspektorek generalnych jest członkiem komitetu doradczego dla nauk początkowych przy ministerstwie oświaty. Osoba, mająca być mianowaną inspektorką generalną, musi mieć przynajmniej lat 35 i 5 lat służby przy nauczaniu publicznem lub wolnem, posiadać nadto: 1) świadectwo uzdolnienia do zarządu ochronami, 2) patent wyższy i 3) świadectwo uzdolnienia do nadzoru ochron.

---

[1] Dekret z 2 sierpnia 1881.

[2] Ob. niżej o egzaminach.

Nominacya na inspektorkę okręgową wymaga lat 30 wieku i 3 lat służby przy nauczaniu publicznem lub wolnem, i świadectw jakich się wymaga od inspektorki generalnej. Inspektorki okręgowe dają głos przy nominacyi, lub odwołaniu dyrektorek, lub ich zastępczyń w ochronach publicznych.

Egzamina. W każdym departamencie ustanowiona jest komisya egzaminacyjna, której obowiązkiem jest sprawdzać zdolności osób, ubiegających się o zarząd ochron. Egzamin składa się z dwóch części: teoretycznej i praktycznej. Egzamin teoretyczny obejmuje część pisemną i część ustną. Część pisemną stanowi: 1) dyktando ortograficzne dwudziesto-wierszowe stylem potocznym i łatwym, które służy oraz za egzamin z kaligrafii; 2) rozwiązanie rozumowane dwóch pytań z arytmetyki; 3) wypracowanie stylowe bardzo proste; 4) naszkicowanie na tablicy jakiegoś przedmiotu z natury. Egzamin ustny obejmuje 1): zasady wychowania moralnego; 2) czytanie, tłumaczenie tekstu i pytań gramatycznych; 3) z geografii pojęcia ogólne etc.

Urządzenie kursów normalnych w celu przygotowania dyrektorek ochron[1]. Na mocy dekretu z 27 lipca 1882 otwarte zostały dwa kursa normalne. Jeden w Paryżu, drugi w Wersalu. Kursa te są eksternatami, nauka jest bezpłatna. Egzamin wstępny składa się pisemnie i ustnie, jest także próba szycia.

Wynagrodzenie dyrektorek i zastępczyń w ochronach. Od 1 stycznia 1882 ustanowione zostały następujące płace: Dyrektorka 3. klasy 700 franków; dyrektorka 2. klasy 800 fanków; dyrektorka 1. klasy 900 franków; zastępczyni 600 franków. Posunięcie do klasy wyższej jest należne po pięciu latach, przebytych w klasie bezpośrednio niższej, i nie może nastąpić przed upłynięciem tego czasu.

Dyrektorki i zastępczynie w ochronach, opatrzone patentem całkowitym, mają prawo do wynagrodzenia podwyższonego, najmniej o 200 franków. Te zaś co posiadają patent elementarny, mają prawo do podwyższenia o 100 franków.

NB. Prawo z 16 czerwca 1881 przywróciło dla całego personalu uczącego w szkołach, bez wyjątku, obowiązek wykazania się patentem uzdolnienia. Bez niego nikt nie może wejść w grono

[1] Prawo z 27 lipca 1882.

nauczycieli, nikt się nie może zająć nauczycielstwem, z wyjątkiem tych, co w styczniu 1881 liczyli już lat trzydzieści pięć i pięć lat nauczycielstwa.

Przypatrzmy się teraz drugiej kategoryi zakładów drugiego stopnia.

Prawo uznaje dwa rodzaje szkół początkowych; 1): Szkoły założone lub utrzymywane przez gminy, departamenta lub państwo, noszące miano szkół „początkowych publicznych"; 2) Szkoły założonę lub utrzymywane przez osoby prywatne lub stowarzyszenia, noszące nazwę „szkół początkowych wolnych"; o tych ostatnich w drugiej części naszej pracy pomówimy.

Nauczanie początkowe [1] obejmuje: naukę moralności i obywatelstwa[2]; czytanie i pisanie; język i podstawy literatury francuskiej; geografię a w szczególności Francyi; historyę a mianowicie francuską, aż do naszych dni; pojęcia praktyczne prawa i ekonomii politycznej, początki historyi naturalnej, fizyki i matematyki, zastosowanie tych nauk do rolnictwa, hygieny i przemysłu; roboty ręczne i użycie narzędzi głównych rzemiosł; ogólne podstawy rysunku, modelowania i muzyki; gimnastyka; dla chłopców musztra, dla dziewcząt roboty igiełkowe.

Nauka religii może być udzielaną tylko po za gmachem szkolnym. W jednym dniu prócz niedzieli zostawia się wolny czas od nauk, aby dać sposobność rodzicom, jeśli zechcą, do udzielania dzieciom nauki religii.

Nauki początkowe są obowiązujące dla dzieci obu płci, począwszy od sześciu aż do trzynastu lat ukończonych; mogą być udzielane w szkołach publicznych lub wolnych, lub też w rodzinie przez ojca lub przez osobę od niego wybraną. W każdej gminie jest ustanowiona komisya municypalna szkolna dla dozoru i zachęty frekwentacyi. Składa ją burmistrz jako prezydujący, jeden delegat kantonu, a w gminach, zawierających kilka kantonów, tylu delegatów, ile jest kantonów, naznaczonych przez inspektora akademickiego; nadto członkowie mianowani przez radę miejską w liczbie dochо-

[1] Prawo z dnia 28 marca 1882.

[2] Nauka obywatelstwa, *du civisme*, obejmująca moralne obowiązki obywatela kraju, wprowadzona została do szkół francuskich przez najnowsze prawodawstwo, jako surrogat religii, ze szkół wykluczonej. *(Przyp. Red.)*

dzącej co najwięcej do trzeciej części członków tej rady. Ministrowie wyznań mogą uczestniczyć w komisyach szkolnych.

Świadectwo nauk początkowych przyznane bywa po egzaminie publicznym, do którego przystąpić mogą dzieci od lat jedenastu. Dzieci, które w tym wieku otrzymały takie świadectwo, uwolnione są od reszty obowiązku szkolnego, który właściwie trwa do 13 roku.

Komisyę kantonalną mianują Rektorowie na przedstawienie Inspektorów akademickich, dla oceny kwalifikacyi aspirantów do świadectwa z nauk początkowych, elementarnych. Egzamin pisemny obejmuje: 1) dyktando ortograficzne; 2) dwa pytania z arytmetyki o zastosowaniu systemu metrycznego i rachunków; 3) zadanie pisemne w stylu potocznym. Dziewczęta wykonać mają prócz tego szycie zwyczajne. Egzamin ustny obejmuje czytanie z wyjaśnieniami, analizę zdania napisanego na tablicy; elementa historyi i geografii Francyi; zastosowania praktyczne rachunku do systemu metrycznego.

W okólniku z 27 września 1880 kładzie nacisk p. Ferry na to, iż nie jest wcale myślą Rady najwyższej, aby świadectwo z nauk początkowych elementarnych było rodzajem umniejszonego dyplomu uzdolnienia dla młodzieży gotującej się do stanu nauczycielskiego. Owszem, powinien się o to świadectwo ubiegać każdy uczeń, który od siedmiu do czternastu lat regularnie odbywał nauki początkowe.

Na dni piętnaście przynajmniej przed rozpoczęciem roku szkolnego winien każdy ojciec rodziny lub opiekun uwiadomić przełożonego gminy, czy zamierza kazać uczyć dziecko w domu, czy też w szkole publicznej lub wolnej. Dzieci uczące się w domu powinny, począwszy od końca drugiego roku nauki obowiązującej, poddać się egzaminowi z przedmiotów szkolnych, odpowiadających ich wiekowi, wedle form i programów, oznaczonych przez ustawy ministeryalne, wydanych w Radzie najwyższej. Jeżeli egzamin uznany zostanie za niedostateczny a Jury nie uwzględni tłumaczeń, rodzice powinni posyłać dziecko do szkoły publicznej lub prywatnej i uwiadomić burmistrza, jaką szkołę obrali.

O nauczycielach. Każdy Francuz, mający lat dwadzieścia i jeden skończonych, może pełnić w całej Francyi obowiązki nauczyciela początkowego publicznego, jeżeli jest opatrzony w patent uzdol-

nienia. Zajmiemy się obecnie tylko nauczycielami gminnymi, a w drugiej dopiero części mówić będziemy o nauczycielach wolnych.

Nauczycieli gminnych mianuje prefekt departamentu, i wybiera bądź z listy utworzonej przez Radę departamentalną, bądź też na przedstawienie przełożonych, dla odnośnych członków zgromadzeń duchownych nauczających, upoważnionych przez prawo, lub uznanych za zakłady publicznej użyteczności. Ustawa z 28 marca 1882, o nauczaniu początkowem pozostawia kongregacyom prawo prezentacyi członków aspirantów, udzielone im ustawą z r. 1850, ale odmawia go konsystorzom akatolickim. Co do patentu uzdolnienia, ten nie może być zastąpiony nawet tytułem duchownego zwierzchnika, w którymkolwiek z wyznań przez państwo uznanych; nie może go nawet zastąpić dyplom egzaminu dojrzałości *(baccalaureat)*. (Ustawa z 16 czerwca 1881). Niewolno nauczycielom gminnym wykonywać jakiejkolwiek funkcyi administracyjnej bez zezwolenia Rady departamentalnej. Wszelki zawód kupiecki lub przemysłowy jest im bezwarunkowo wzbroniony.

Rada departamentalna oznacza szkoły, którym z powodu liczby uczniów ma być dodany suplent. Suplenci mogą mieć lat 18, lecz powinni być opatrzeni w patent uzdolnienia. Mianuje ich i może ich odwołać nauczyciel za zezwoleniem prefekta. Liczbę tych suplentów oznacza Rada departamentalna odpowiednio do liczby uczniów. Każdy departament ma się przyczyniać do wykształcenia nauczycieli gminnych, przez utrzymywanie pewnej liczby kandydatów nauczycielstwa (élèves-maitres) w szkole normalnej, założonej w tym celu przez departament.

Szkoły gminne. Każda gmina musi utrzymywać jedną lub kilka szkół początkowych. Rada departamentalna może dać upoważnienie gminie do połączenia się z jedną lub więcej gmin sąsiednich, celem utrzymania szkoły. Każda gmina obowiązana jest nadto opatrzyć przyzwoite mieszkanie dla nauczyciela i dla szkoły, oraz urządzenie klasy i wynagrodzenie nauczyciela.

Najniższe wynagrodzenia nauczycieli i nauczycielek publicznych[1] są ustanowione w następujący sposób: Nauczyciele tytularni podzieleni na 4 klasy: 4 klasa pobiera 900, 3 i 2

[1] Ustawa z 19 lipca 1885 r.

klasa 1000, 1 klasa 1200 franków. Nauczycielki tytularne podzielone są na 3 klasy: 3 klasa 700, 2 klasa 800. 1 klasa 900 franków. Suplenci zawiadujący szkółką dodatkową jednoklasową, otrzymują 800 franków; agregowani do szkoły głównej, 700 franków Suplentki, zawiadujące osobną szkółką jednoklasową, pobierają 650, a agregowane do szkoły głównej, 600 franków. Otrzymanie patentu wyższego, podnosi o 100 franków minimum wynagrodzenie nauczycieli i nauczycielek wszelkiej rangi.

O szkołach żeńskich.

Każda gmina, złożona z pięciuset członków i wyżej, winna mieć przynajmniej jedną szkołę publiczną, jeżeli nie jest od tego uwolnioną przez Radę departamentalną. Ta rada oznacza, do których szkół publicznych żeńskich, stosownie do liczby uczennic, ma być dodana suplentka. Żadna szkoła początkowa, publiczna czy wolna, nie może bez przyzwolenia Rady departamentalnej przyjmować łącznie dzieci obojej płci, jeżeli istnieje w gminie szkoła dziewcząt publiczna lub wolna.

Szkoły normalne początkowe [1]. Każdy departament winien jest posiadać szkołę normalną nauczycieli i szkołę normalną nauczycielek gminnych. Szkoły te są internatami i są bezpłatne. Kurs trwa lat trzy. Szkoła początkowa, w której uczniowie ćwiczą się w praktyce nauczania, jest przyłączona do każdej szkoły normalnej. Oprócz tego przy każdej szkole normalnej nauczycielek znajduje się ochrona. Nauka w szkołach normalnych początkowych tak nauczycieli, jak nauczycielek, obejmuje krom nauki religii, zastrzeżonej duchownym różnych wyznań: naukę moralności i cywizmu, czyli obywatelskich obowiązków; czytanie, pisanie, język i elementa literatury francuskiej; historyę a mianowicie francuską aż do dni naszych; geografię w szczególności Francyi; rachunki, system metryczny, arytmetykę zastosowaną do działań praktycznych; pojęcie o algebrze, o buchalteryi; geometryę, miernictwo i niwelacyę, początki nauk przyrodniczych, rolnictwo, ekonomię domową (dla kandydatek nauczycielstwa), rysunki, śpiew, gimnastykę, roboty ręczne lub względnie szycie.

---

[1] Odpowiadające naszym seminaryom nauczycielskim. *(Przyp. Red.)*

O przyjmowaniu kandydatów nauczycielstwa. Między innymi warunkami przyjęcia do tej szkoły trzeba mieć najmniej 15 lat skończonych i zobowiązać się do służenia w nauczaniu publicznem przez lat dziesięć; trzeba także mieć świadectwo nauk początkowych. Wszyscy kandydaci obowiązani są poddać się egzaminom dla uzyskania patentu uzdolnienia elementarnego, przy końcu pierwszego roku i egzaminowi na patent wyższy, przy końcu kursu nauk.

Wstęp do tej szkoły odbywa się na drodze konkursowej. We wszystkich departamentach Francyi i Algieru otwarty bywa przy końcu każdego roku szkolnego konkurs przyjmowania do szkół normalnych początkowych.

Bezpłatność nauczania początkowego. Na mocy prawa z 16 czerwca 1881 r. nie pobiera się opłaty w szkołach początkowych, ani w ochronach publicznych.

Do liczby szkół początkowych publicznych, będących na koszcie gminy pod warunkiem zastosowania się do artykułu 2 prawa z 10 kwietnia 1867 (tj. po orzeczeniu Rady departamentalnej), należą: 1) szkoły dziewcząt utworzone w gminach z 400 dusz złożonych, 2) ochrony, 3) klasy pośrednie między ochronami a szkołą początkową, zwane klasami dziecięcemi, gdzie się znajdują dzieci obu płci, pod opieką nauczycielek, opatrzonych w patent uzdolnienia.

Szkoły początkowe wyższe. Ustawa z d. 15 stycznia 1881 r. dzieli publiczne zakłady wyższe nauczania początkowego na dwie kategorye: 1) Szkoły jednoroczne przyłączone do szkół elementarnych i zwane kursami dopełniającymi; 2) Szkoły początkowe wyższe właściwe, z osobnym składem nauczycielskim, o dwuletnim kursie.

W tych szkołach rozwijają się więcej nauki ścisłe i wykłada się rachunkowość. Zwraca się szczególną uwagę na rysunek techniczny. Przy końcu kursu nauk mogą ci uczniowie, którzy tego pragną, złożyć egzamin dla otrzymania świadectwa nauk wyższych początkowych, ustanowionego prawem z 23 grudnia 1882 r. Egzamin pisemny składa się z zadań: z języka francuskiego, z historyi i geografii, z matematyki, z nauk przyrodniczych i rysunku geometrycznego lub architektonicznego.

Przedstawiliśmy urządzenie nauk początkowych — teraz damy poznać zakłady 2 stopnia i system nauczania w szkołach średnich.

Szkoły średnie.

Zakłady drugiego stopnia czyli szkoły średnie są to Licea czyli kolegia gminne, do których mogą być dołączone internaty.

Licea są założone i utrzymywane przez państwo, ze współudziałem departamentów i miast. Liczy się dziś 86 liceów, z których 6 w Paryżu, a 80 w departamentach.

Nauczanie drugiego stopnia czyli klasyczne, udzielane w liceach czyli kolegiach gminnych, ma na celu przygotowanie młodzieży do egzaminów dojrzałości.

Licea są zazwyczaj internatami, a właściwie pensyonatami, do których uczęszczają także eksterniści 3 kategoryj, tj.: tak zwani wolni, nadzorowani i półpensyonarze *(libres, surveillés et demi-pensionnaires).* Państwo posiada tylko dwa eksternaty właściwe i to w Paryżu.

Rozmaite kierunki nauczania. Programy. Francuskie publiczne szkoły średnie tworzą pod wspólną dyrekcyą trzy oddzielne grupy: studyów klasycznych, studyów specyalnych i kursów przygotowawczych do tak zw. wysokich szkół rządowych.

Szkoły średnie pod dawniejszym rządem, za dawnej organizacyi Sorbony, miały tylko jedną formę, tj. klasyczną, gdzie łacina i matematyka były głównymi przedmiotami. Niektórzy jednak uczniowie słuchali w kolegiach, tak zwanych: „klas francuskich“, z których języki starożytne były wykluczone; lecz nauka klasyczna była jedynie poszukiwaną w rodzinach, chcących zapewnić synom możność wyboru pomiędzy wszystkiemi karyerami. To uprzywilejowanie studyów klasycznych doprowadziło do nadmiernego rozszerzenia ich programu. Spostrzeżono wkrótce potrzebę reakcyi przeciwko tej dążności do pomnażania raz po raz przedmiotów.

Pierwszą próbę w tym kierunku zrobiono r. 1852. Powzięto myśl rozdziału szkół średnich czyli tak zw. bifurkacyi w ten sposób, że w jednej gałęzi umniejszono zakres nauk ścisłych na korzyść wykształcenia klasycznego, w drugiej studya klasyczne podobnie uszczuplone zostały na korzyść realiów. Próba ta nie była szczęśliwą. „Szkoły średnie specyalne, mówi pan Beaussire, dały przytułek rozbitkom bifurkacyi i odtworzyły dla nich dawne klasy francuskie w przeciwstawieniu szkół klasycznych“. Rodziny wolą

powszechne studya klasyczne, lecz domagają się w imię potrzeb tegoczesnego społeczeństwa, aby dano więcej miejsca wykształceniu realnemu. Rada najwyższa w 1880 r. wzięła pod rozwagę plan nauk, odpowiadający temu życzeniu: przedstawiciele uniwersytetu weszli w myśl reform proponowanych. Chciano naśladować metodę niemiecką, lecz gdy tam przez lat 9 uczą łaciny, we Francyi przeznaczono na to studyum najmniejszą możebną liczbę lat.

Egzamina dojrzałości (Baccalaureats). Każda grupa nauk średnich doprowadza końcowo do egzaminu rządowego, dającego znaczne przywileje, mianowicie: wstęp do prawie wszystkich wyższych zawodów w społeczeństwie. Uważany on jest za rękojmię zdolności, wymaganych od wszystkich, którzy chcą krajowi służyć. W szczególności niezbędnym jest dla mających uczęszczać na kursa prawa i medycyny.

Profesorowie. Nad bakalaureatem jest stopień uniwersytecki *Agregowanego* (aggregé), wymagany aby być profesorem w liceum, i nie otrzymuje się inaczej, jak przez konkurs.

Istnieją dwa odrębne działy agregacyj do liceów: 1) agregacya do nauk klasycznych, 2) agregacya do nauk specyalnych. Jest ośm kategoryj agregacyj w studyach klasycznych: do filozofii, do wyższych klas literatury, do klas gramatyki, do języków nowożytnych (do której kandydaci muszą przedłożyć dyplom licencyi *es-lettres),* do matematyki, fizyki i nauk przyrodniczych, (do których żąda się także dyplomu licencyi *es-sciences).*

Do konkursu nie wystarczają stopnie, trzeba jeszcze trzechletniej praktyki w nauczycielstwie.

Zarząd szkół. Prowizor jest naczelnikiem liceum; musi on być licencyatem *es-lettres* i *es-sciences.* Cenzor ma nadzór bezpośredni nad wszystkiem, co się tyczy nauczania i karności, musi on być agregowanym, licencyatem i być urzędnikiem akademii. NB. Ponieważ liczba agregowanych nie zawsze wystarcza, to urząd cenzora powierza się także osobom niemającym tego tytułu; to samo bywa i z urzędem profesorów. Ekonom zawiaduje rachunkowością. Profesorowie wykładają we wszystkich klasach, począwszy od ósmej, tj. najniższej. Dzielą się na: profesorów właściwych, profesorów dywizyjnych, z wykładem na kursach klasycznych, profesorów agregowanych, z wykładem na kursach specyalnych. Wy-

nagrodzenia są rozmaite — według kategoryi, do jakiej należy liceum i według klasy, w której wykłada profesor. W Paryżu wynagrodzenie profesora wynosi od 6.000 do 7.500 franków, dla właściwych; a od 5 000 do 5.500 dla dywizyjnych.

Profesorowie nie mogą być przenoszeni na katedry, nieodpowiadające rodzajowi nauk, do jakich zostali agregowani; i tak profesor agregowany do klas gramatyki, nie mógłby być przeniesiony na katedrę nauk humanitarnych bez nowego konkursu i otrzymania agregacyi do wyższych klas literatury.

Kolegia gminne. Tak się nazywają kolegia, założone i utrzymywane przez gminy, gdy przeciwnie licea są założone i utrzymywane przez państwo z udziałem departamentów i miast. Kolegia gminne podzielone są na dwie klasy: w pierwszej są te, których urządzenie nauk jest zupełnie równorzędne z liceami; nazywają się także kolegiami kompletnemi *(de plaine exercices)*, to znaczy, że doprowadzają do bakalaureatu tak literackiego jak i scientyficznego. Jest takich kolegiów 142, a w dwóch tj. w College Rollin i w Melun, istnieje kurs matematyki specyalnej dla uczniów, sposobiących się do najwyższych szkół rządowych.

W drugiej klasie są kolegia, obejmujące tylko część nauczania licealnego i niedoprowadzające bezpośrednio do bakalaureatu. Urzędnicy tych kolegiów mianowani są przez ministra. Prymcypał (tak się nazywa naczelnik kolegium gminnego) musi mieć egzamin dojrzałości z literatury, pełni on funkcye, które w liceach podzielone są pomiędzy prowizora, cenzora i ekonoma. Co do profesorów, dla zachęcenia ich do zdobywania kolejno wszystkich stopni uniwersyteckich, zadecydował minister oświaty zgodnie z izbą deputowanych i senatem 1878 r. że profesorowie kolegiów gminnych departamentalnych, posiadający stopień licencyi *es-lettres* i *es-sciences*, otrzymają ze skarbu państwa premię roczną 300 franków. Wysokość wynagrodzenia profesora jest ustanowiona przez ministra, a wypłata tegoż zapewniona, niezależnie od wszelkich możebnych przypadków, jakie spotkać mogą administracyę zakładu.

W skutek korzyści, nadanych przez nowe prawo o służbie wojskowej dla młodzieży posiadającej świadectwa dojrzałości i nauczycielstwa specyalnego, administracye municypalne znacznie powiększyły zakres nauczania w swoich kolegiach, ażeby uczniów aż do

tych egzaminów doprowadzić; wynikło stąd powiększenie liczby kolegiów kompletnych.

Dodatek. Nauki średnie specyalne. Ustanawiając ten system nauk, prawo z 1865 r. odpowiedziało żądaniu rodzin które nie mogąc dawać dzieciom swoim nauk średnich klasycznych, pragnęły dla nich wykształcenia wyższego, niż elementarne. Z wyjątkiem bardzo małej liczby zakładów, temu nauczaniu wyłącznie poświęconych, bywa ono przydzielone do liceów i kolegiów gminnych. Nauczanie specyalne zaprowadzone jest w 248 kolegiach, lecz w zupełności udziela się tylko w 71.

Patent uzdolnienia, będący jakby pieczęcią nauk specyalnych, równie jak dyplom dojrzałości dla nauk średnich, uzyskał wielką wagę od czasu prawa wojskowego z 27 lipca 1872, daje on bowiem prawo do jednorocznej służby wojskowej.

Przedmiot nauk średnich specyalnych obejmuje: naukę moralności i cywizmu, język i literaturę francuską, historyę i geografię, matematykę stosowaną, fizykę, mechanikę, chemię, historyę naturalną i zastosowanie tychże do rolnictwa i przemysłu, rysunek techniczny, rachunkowość i buchalteryę.

Agregacya nauczycielska do nauk specyalnych jest dwojaka: 1) agregacya do klas literatury, 2) do klas nauk stosowanych. Chcąc konkurować do tych agregacyj, kandydaci muszą się wykazać patentem uzdolnienia z nauk średnich specyalnych. Nikt nie może zostać profesorem zwyczajnym w liceum, nie będąc wprzódy agregowanym. Taki jest skład nauczania drugiego stopnia, czyli szkół średnich.

Zakłady 3-go stopnia, czyli nauki wyższe.

Zakłady trzeciego stopnia są to tak zw. fakultety (uniwersyteckie), szkoła normalna, szkoły wyższe farmacyi, szkoły przygotowawcze medycyny i farmacyi. Jest 13 fakultetów prawa, 15 fakultetów literatury, 15 fakultetów umiejętności ścisłych, 6 fakultetów medycyny [1].

[1] Oprócz tych wszystkich zakładów nauk wyższych, istnieją zakłady jeszcze wyższe, zwane *Écoles du gouvernement,* jak n. p.: *École Polytechnique, École des Saint Cyr, École des ponts et chossées* i t. d., o których autor nie wspomina, bo przechodzą zakres uniwersytetu i zależą bezpośrednio od odpowiednich mi-

Fakultety prawa. Wszystkie te szkoły są ustanowione według jednego planu. Czas nauki i taksy egzaminów są te same. Ażeby być przypuszczonym na te kursa aż do stopnia licencyata, potrzeba mieć lat 16 i świadectwo dojrzałości z literatury. Stopień licencyata udziela się po latach trzech nauki, i prowadzi do adwokatury lub sądownictwa, — ten sam stopień jest także wymagany w niektórych urzędach administracyjnych.

Profesor suplent. Profesorowie, agregowani do fakultetów prawa, noszą tytuł profesorów suplentów. Otrzymują tę posadę drogą konkursu, do którego stawić się może każdy doktor prawa, byleby miał 25 lat skończonych. Suplenci otrzymują pensyę 7.000 franków w Paryżu, a 3 000 do 3.500 na fakultetach departamentalnych.

Profesorowie fakultetów prawa są mianowani także drogą konkursu. Wynagrodzenie tych profesorów wynosi 15.000 franków w Paryżu, a od 6.000 do 11.000 na prowincyi.

Przedmioty nauczania są następujące: Kodeks cywilny francuski, historya prawa francuskiego, prawodawstwo karne i procedura cywilna i karna; kodeks Justyniana i prawo rzymskie; historya prawa rzymskiego, pandekty, prawo administracyjne, prawo handlowe, prawo narodów, prawo konstytucyjne francuskie, ekonomia polityczna, skarbowość.

Stopień doktora praw niezbędny jest dla młodzieży, ubiegającej się o posady profesorów w szkołach prawa; stara się także o ten tytuł wielu młodych adwokatów. Dla osiągnięcia tego stopnia potrzeba przedłużyć nauki o jeden rok.

Fakultety literatury udzielają tytułów: dojrzałości, czyli bakalaureatu *es-lettres*, tudzież odpowiedniej licencyi, doktoratu i agregacyi.

Bakalaureat es-lettres, o którego ważności jużeśmy wspominali, potrzebny jest, aby być przypuszczonym do egzaminu bakalaureatu w tamtych czterech fakultetach.

Licencya es-lettres. Od ustawy z 25 grudnia 1880 są 4 rodzaje licencyi es-lettres: licencya właściwa z literatury, licencya

---

nisterstw. Kandydaci do tych instytutów muszą zwyczajnie przebyć wszystkie 3 stopnie zwykłych nauk, i dopiero drogą konkursu wstęp do nich zdobywają; kończąc zaś te szkoły otrzymują wszyscy bezwłocznie posady rządowe.

(Przyp. Red.)

z filozofii, licencya z historyi, i licencya z języków żyjących. Ta ostatnia ustanowiona została dekretem z 28 lipca 1885. Egzamina do każdej z nich polegają na zadaniach pisemnych i ustnych, z których jedne są wspólne dla wszystkich, drugie pojedyńczym rodzajom właściwe; Do pierwszych należą: 1) przy egzaminie pisemnym zadanie francuskie na oznaczony temat z moralności, krytyki lub historyi literatury francuskiej, i zadanie łacińskie z historyi literatury greckiej lub łacińskiej; 2) przy egzaminie ustnym: objaśnienie autora greckiego, autora łacińskiego i francuskiego. Pomijamy szczegóły egzaminów poszczególnym licencyom właściwych, powiemy tylko, że główną myślą dekretów z 1880 i 1885 jest, aby kandydat okazał umiejętność, potrzebną do nauczycielstwa średniego w szczególnym zakresie, który najlepiej odpowiada jego skłonnościom. Ta myśl zawiera się w okólniku ministra do rektorów uniwersytetów z r. 1880. Wszelako pewna część młodzieży, niesposobiąca się do karyery profesorskiej, ubiega się także o stopień licencyi *es-lettres;* lecz od kiedy, jak mówiliśmy, egzamina te zostały utrudnione, niewielu ośmiela się do nich przystąpić.

Doktoraty es-lettres. Chcąc uzyskać ten doktorat na którymkolwiek fakultecie literatury, trzeba wykazać stopień licencyi i bronić dwóch tez, napisanych jednej po łacinie, drugiej po francusku, w dwóch materyach odrębnych, wybranych przez kandydata w kierunku jego studyów i w zakresie nauczania fakultetu. Bronić można obu tez w języku francuskim.

Co do stopnia agregacyi ob. cośmy wyżej powiedzieli str. 70.

Fakultety nauk ścisłych czyli *es-sciences* wydają świadectwa uzdolnienia dla licencyi z matematyki, licencyi z fizyki i licencyi z nauk przyrodniczych.

Chcąc przystąpić do tych egzaminów, potrzeba wykazać świadectwo dojrzałości *es sciences,* albo dyplom dojrzałości do nauczycielstwa średniego specyalnego, oraz świadectwa frekwentacyi z 4 kwartałów.

Doktorat z medycyny. Nauki w celu otrzymania doktoratu medycyny trwają cztery lata, mogą się odbywać przez trzy pierwsze lata, bądź na fakultetach, bądź w szkołach przygotowawczych medycyny i farmacyi. Studya czwartego roku mogą się jedynie odbywać na fakultecie.

Aspiranci mają przedłożyć przy zapisie dyplomy bakalaureatu *es-lettres* i *es-sciences*, z ograniczeniem tego ostatniego w części matematycznej.

Udzielanie stopni i tytułów akademickich jest wyłączną prerogatywą fakultetów rządowych; zapisywanie się do tych fakultetów jest bezpłatne.

Fakultety teologiczne. Było takowych we Francyi 5, w tym roku zostały zniesione [1].

H. Rodde du Vernet.

[1] Te fakultety nie zostały zniesione prawem, lecz wykreśleniem odnośnej pozycyi w tegorocznym budżecie. *(Przyp. Red.)*

KORESPONDENCYA POUFNA

ex-agenta dyplomatycznego

z damą dworu i wyjątki z jej dziennika od r. 1813—1819.

(Dokończenie).

Obaj politykujący korespondenci patrzyli okiem podejrzliwem na inne osobistości, mające skłonność do politykowania. Tak, niejedno ostre słówko wyrwało im się z powodu pani de Staël, z którą Christin prowadził wcześniej korespondencyę bardzo ożywioną, (spaloną po jego śmierci), szczególną zaś antypatyę żywili ku Księżnie generałowej ziem podolskich.

„Generał (d'Auvray, przybyły z Warszawy) — pisze panna Turkiestanów 24 lutego 1819 r. — mówił mi, że żona księcia Adama Czartoryskiego jest tak chorą i osłabioną, że prawdopodobnie nie pożyje już długo; a jednak pomimo tej starości i choroby miesza się ciągle do regulowania losów Polski. Pochwyciła cesarza w przejeździe i prawiła mu znowu o przyłączenin Galicyi do wielkiego imperyum rosyjskiego. Proszę mi wierzyć, że nie z jakiegoś przywiązania do Galicyi miesza się do tego, lecz jedynie z żądzy grania wielkiej roli wśród swoich i nadania sobie pozoru patryotki, za jaką zawsze uchodzić chciała. Czy znasz pan tę odwieczną babę? (cette sempiternelle?) Nie podobała mi się ona w najwyższym stopniu. Mąż jej także bliski swego końca".

„Nie widziałem nigdy wiedźmy Czartoryskiej (la вѣдьма Cz—ska), lecz szalenie się wiele o niej nasłuchałem", odpowiada Christin. „Nie jest ona bynajmniej patryotką, ale poprostu opętaną, zdolną jednakże do ustępstw, jeśli te jej próżności sprzyjają. Wy-

mogła ona na dwóch swoich synach, że zaprzysięgli wieczną nienawiść Rosyi 1794 r. Wtem cesarzowa Katarzyna, znając się trochę na sercu ludzkiem, powołała młodych tych książąt do dworu jako zakładników. Tam otoczyła ich względami i przyjemnościami, a natychmiast księżna matka przesłała jej zapewnienie, dowodzące zupełnego braku charakteru, jeżeli było prawdziwe, lub ostatecznej nikczemności, jeżeliby było fałszywe. Zdaje się, że i ona i jej mąż starzy już jak świat, jak Adam i Ewa".

Księżnę Izabellę i inne, mniej więcej popularne osobistości polskie, poznała panna Turkiestanów podczas kilkodniowego pobytu w Warszawie, znajdując się w świcie Cesarzowej-Matki, w przejeździe jej za granicę, w 1818 roku, t. j. na kilka miesięcy przed świeżo przytoczonym listem. Szczegóły pobytu warszawskiego czerpiemy z dziennika podróży księżniczki, który prowadziła dla przyjaciół swych: hrabiego de Litta (który wprowadził zakon Maltański do Rosyi) i żony jego, Engelhardt z domu, siostrzenicy Potemkina, a siostry hetmanowej Ksawerowej Branickiej. Z rzadkim przepychem odbywała się ta podróż popularnej i potężnej Cesarzowej Maryi, co śpieszyła nacieszyć się tryumfem syna wśród krewnych swoich niemieckich, których od lat czterdziestu nie widziała. Przyjęcia uroczyste i fety wszelkiego rodzaju trwały nieprzerwanie przez kilka miesięcy. Wśród wesołych jednak chwil przemknęło się czasem wspomnienie bolesne innych czasów. W Radziwiliszkach naprzykład, księżniczka, jadąca zwykle w karecie cesarzowej, zapisuje: „Jesteśmy w małem miasteczku, stanowiącem część posiadłości ks. Zubowa[1]. Cesarzowa zgoła o tem nie wie, gdyż nie ulega wątpliwości, że gdyby wiedziała, nie bylibyśmy tu wcale. W Szawlach nie chciała całkiem wysiadać z powozu, aby nie dotknąć nogą ziemi człowieka, do którego żywi dotąd urazę. Przed samem przybyciem do Szawel zakazała przyjmować, cokolwiekby nam w tem miejscu ofiarowano. Tymczasem dom w którym gości w tej chwili, należy do tego pana, wiemy o tem wszyscy, lecz daliśmy sobie słowo nie wspominać o tem wcale".

Na Litwie władze wojskowe składały po drodze hołdy swe

[1] Ostatniego faworyta Katarzyny, znanego z roli, którą odegrał podczas śmierci Pawła.

matce cesarza; przybył też i „znakomity wojownik, generał Pac, wraz z żoną. Nie dowidząc trochę — opowiada p. Turkiestanów — nie mogłam rozróżnić rysów pani, lecz Jej cesarska Mość znajduje, że jest ona prześliczną... jest to siostra owego Małachowskiego, któregoś widywał pan w Petersburgu. Dziś rano, kiedym się znalazła na moście niemeńskim, przy wyjeździe z Kowna, kazałam pokazać sobie miejsce, przez które Bonaparte przeprawiał swoje wojska, chciałam koniecznie zachować je w pamięci! Czy przypominają sobie państwo strach nasz po otrzymaniu tej nowiny. Wieleby to treści do rozmyślań most ów mógł nastręczyć, jak również i wszystkie czołobitności, grzeczności i komplemata, okazywane nam teraz przez polskich panów! Altri tempi".

„Dziś mogę państwu donieść, że pani Pacowa istotnie jest ładna, odwiedziła mię właśnie, ponieważ wczoraj ją przedstawiałam; powiedziała przy tem, że nie zobaczy się z nami w Warszawie, gdyż przebywa jeszcze na wsi; wiem jednak, co to znaczy: mąż jej nie ma wstępu do dworu, oto czegom się dowiedziała. Generał który, jak mi się zdaje, powinienby mieć minę marsową, wygląda tymczasem nadzwyczaj łagodnie... Przed przyjazdem naszym na stacyę pocztową Szczuczyn, skąd właśnie piszę, przybył oddział Kozaków na nasze spotkanie, a wkrótce potem zjawił się sam Wielki książę. Jest on w wyśmienitym humorze i nie przestaje dziękować cesarzowej za to, iż raczyła przejechać przez Warszawę. Powiedział nam wszystko, co nas tam czeka".

„Ciekawam bardzo zobaczyć w Warszawie księżnę generałową Czartoryską, księżnę Radziwiłłową, damę honorową i ks. Maryę Wirtembergską, wszystkie one tam się znajdują. Wielki książę nader chwalił namiestnika, którego zamierzają szczególnie uwzględnić przy przywitaniu".

„My, tj. hrabianka Samojłow (druga frejlina) i ja złożymy wizytę tylko ks. Zajączkowej, wszystkim innym paniom dość będzie posłać karty wizytowe".

„Wjazd do Warszawy od strony Pragi niepięknie się przedstawia, niegdyś wszystko to było zabudowane, obecnie jest tu prawie czyste pole, dzięki Bonapartemu, który kazał spalić całą tę stronę. Zbliżając się do Warszawy spostrzega się dopiero nieliczne domy. Wielki książę Konstanty jest deputowanym tej gminy. Za

dnia jeszcze wjechaliśmy do miasta. Tłum przeprowadzał nas aż do pałacu. Jego Cesarska Wysokość jechał konno przy powozie, zresztą żadnej nie było świty. Przy schodach, na dole, znaleźliśmy namiestnika, kilku dygnitarzy, księżnę Radziwiłłową i dwie panny dworu, księżniczkę Giedrojć i hrabiankę Radolińską... Ks. Zajączek pięknie i okazale się prezentuje. Włosy białe, powierzchowność wzbudzająca uszanowanie. Wsparty na kulach ledwo chodzi, to też podtrzymują go wciąż adjutanci. W gronie wyższych urzędników, spostrzegłam z wielką przyjemnością p. Nowosilcowa".

Wieczorem 9-go września notuje znowu panna Turkiestanów w swym dzienniku, dla hrabiny de Litta: „Dzień dzisiejszy, zapewniam państwo, nader był nużący. Najprzód o w pół do dwunastej prezentacya wojskowych, aż trzy sale napełnili; potem duchowieństwo, po niem senat i wszystkie władze cywilne, nakoniec damy. Otóż, pani hrabino, te Polki, o których mówią z takiem uniesieniem, te piękności, te kibicie i elegancye... otóż wszystko to jest *fort peu de choses!* Z pięćdziesięciu pań przytomnych tu, ładną była księżna Maksymilianowa Jabłonowska, a także niejaka pani Tulińska i jedna z panien Grudzińskich, siostra pani Gutakowskiej, którą widywaliśmy w Petersburgu. Co do toalet, to jest nic, ale nic co się zowie, mody przeszłoroczne, a co do marabout'u, znany im on chyba tylko z nazwy! Nie zauważyłam też, aby płeć dam tych była tak piękną za jaką uchodzi, i widzę, że nie będę mogła przywieść pani żadnego w tym względzie przepisu. Rzeczywiście, znalazłam je o wiele brzydsze, niż je sobie wystawiałam. Jedna tylko pani zwraca na się uwagę talentem doskonałego zakonserwowania się, a to księżna Zajączkowa. Podobno liczy ona już 65 lat, a na oko możnaby sądzić, że ma zaledwie czterdzieści. Kibić jej, postawa, i toaleta, zachwycające. Twarz bez wątpienia ładną nie jest, oczy jednak ma piękne, w całej zaś fizyognomii wiele życia. Żeby dać o niej pani prawdziwe pojęcie, powiem, iż z powierzchowności podobna do księżnej kurlandzkiej [1]. Prócz tego, znalazłam ją bardzo miłą w konwersacyi, którą z wielką przyjemnością prowadziłam z nią. Jest ona wielką admiratorką pani de Staël i znajduje, z przeproszeniem hrabiego, iż frazes: *c'est une fleur tombée du ciel,*

[1] Bironowej zapewne, Medem z domu.

jest najszczęśliwszym pomysłem, na jaki zdobyć się można na wyrażenie się godne o królu polskim. Z tego już poznać można, że o Cesarzu mówi ona z entuzyazmem prawdziwym. Stara księżna Czartoryska jest, co się zowie wiedźma kijowska. Niepodobna ujrzeć coś równie brzydkiego. Wielki książę dowodzi, iż jest to nieboszczyk Mikołaj Iwanowicz Sałtykow, przebrany za kobietę, ja tego nie znajduję, chociaż jest ona równie chuda i żółta, jak tamten. Ubraną była w suknię popielatą i kapelusz tego samego koloru, wszystko to dziwnie śmiesznie zrobione. Miała też na sobie mantylkę z blondyn, czy koronek czarnych, jakie się widzi na scenie u hrabiny Pimbiche w *Les plaideurs;* jednem słowem było coś dziwacznego w całej tej toalecie. Nagadała ona wiele pięknych frazesów cesarzowej, która wkrótce potem bardzo ją przede mną chwaliła; widać, że musiała jej zręcznie pochlebić. Pani Stanisławowa Potocka sprawiła na mnie wrażenie *d'un bel esprit,* unosi się w sfery wysokie, i sama siebie podziwia. Siedziałam obok niej podczas obiadu. O księżnej Radziwiłłowej nic państwu nie powiem, znacie ją zresztą; mówią że się bardzo zmieniła i zestarzała i straciła wiele ze swej wesołości. Przypisują to ruinie ich majątkowej. Piękna owa Arkadya jest na drodze konfiskacyi, gdyż ciężą na niej długi, od których księżna nie wie jak się uwolnić. Donoszę panu detalicznie o tych czterech damach, gdyż one tylko wyłącznie były zaproszone na obiad. Obowiązek prezentowania pełniła księżna Radziwiłłowa"... „Wielki książe pokazał nam miasto, które obiecuje stać się kiedyś bardzo ładnem. Droga prowadząca do Łazienek, jest urocza; jedzie się tam aleją lipową, jedną z najpiękniejszych, jakie napotkać można. Szczególnie bawi mię ruch, panujący na ulicach i placach publicznych; jest to widok całkiem nowy dla przyjeżdżających z Petersburga, który musi się wydawać pustym w oczach cudzoziemców. Warszawa jest dobrze oświetloną. Wielki książę zwrócił też moją uwagę na to, że nie widać tu wcale budek, ani urzędników policyjnych, że stójkowy (boudouschnik) jest tu całkiem nieznany, a pomimo tego spokój panuje wszędy. Ciemno już było, kiedyśmy wrócili do domu. Pojechałam z hr. Samojłow złożyć wizytę czterem paniom, o których mówiłam wyżej. Wieczór zakończył się u pani Bronicowej, marszałkowej dworu. Było tam dosyć osób, podano herbatę, lody, i rozjechaliśmy się około jedenastej. Rozmawiałam znowu z księżną Za-

jączkową i wiedźmą Czartoryską, która oczekuje dziś na córkę swą ks. Wirtembergską. Zdaje się, że ułożyły one projekt, by prosić cesarzowę o ułatwienie przyjęcia do służby rosyjskiej lub polskiej młodego księcia Adama (wirtemberskiego), z którym nie wiedzą co począć w Sztutgarcie, a którego Wielki książę Konstanty wcale mieć sobie nie życzy".

10 września. „Wracam ze wspaniałego balu, wydanego dla nas przez księcia namiestnika w Łazienkach. Lokal śliczny, iluminacye w ogrodzie i alejach, dobrane towarzystwo, świetna kolacya, dobra muzyka, słowem wszystko było cudowne... Dziś zmieniam zdanie swe co do toalet, gdyż były pomiędzy niemi prześliczne. Widziałam także wiele ładnych osób. Księżny Jabłonowskiej z powodu żałoby nie było między niemi, lecz pani Tulińska i dwie Grudzińskie wyglądały bardzo dobrze; jedna z nich tańczy z wdziękiem niezrównanym. Dla przyjemności cesarzowej, urządzono też kontredanse francuskie, które wypadły świetnie; mazur wykonano zupełnie tak samo jak u nas, tj. Catiche, Sołtykowa, mała Łopuchinówna i Zofia Trubeckaja nie ustąpiły w niczem tutejszym paniom. Zdziwiłam się niemało, zobaczywszy wieczorem księżnę Zajączkową, zdumiewa ona rzeczywiście swą figurą i młodością twarzy; powiadają, że kąpie się ona codzień w wodzie z lodem".

...„Zwiedziliśmy z rana dwa piękne kościoły, a mianowicie Kapucynów i św. Krzyża. Potem Wielki książe powiózł nas do arsenału; mniejszym on jest od naszego, lecz zadziwia elegancyą urządzenia. Kolumny jego składają się z kling szabel, kapitele zaś z innej broni ułożonej artystycznie, ściany obwieszone strzelbami, sufity również wyłożone w desenie. Słowem, arsenał ten to istne cacko. Dozoruje go pewien pułkownik Ledóchowski, młody człowiek, pozbawiony nogi, którego Wielki książe widocznie bardzo ceni. Po wyjściu z arsenału udaliśmy się do szpitala wojskowego. Utrzymywany także wzorowo, może dać przytułek 800 – 900 chorym. Wszyscy tu urzędnicy wydają się bardzo przyzwoici; wikt jest tam daleko lepszy aniżeli w Petersburgu: każdy chory ma zupę, sztukę mięsa i jeszcze inną potrawę, prócz tego dostaje wcale niezłe wino. Zakład dzieli się na dwie połowy, jedna dla Polaków, druga dla Rosyan, z kaplicami oddzielnemi dla wyznań greckiego i katolickiego. Szpital ten jest cały dziełem Wielkiego księcia, który

się nim bardzo zajmuje. W ogóle przyznać trzeba, że znaczną jest korzyść, jaką rządy jego krajowi temu przynoszą. W powrocie do domu minęliśmy hotel Angielski: ten właśnie, w którym się zatrzymał Napoleon, wracając z pod Berezyny i tu wyrzekł słowa, powtórzone nam przez Pradt'a: *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*. Naprzeciw tego domu znajdowało się mieszkanie p. Pradt'a. (Ambasadora Napoleona w Warszawie). „Obiad jedliśmy u Wielkiego księcia, który zajmuje wspaniały pałac; pokazywał nam detalicznie wszystkie swe pokoje"...

11 września. „...Nie czując się dobrze, musiałam jednak udać się na przegląd wojsk, który się rozpoczął o dziesiątej, a skończył o drugiej. Wszystko, cośmy słyszeli o wojskach polskich, nie jest bynajmniej przesadzonem: niepodobna zobaczyć coś piękniejszego, regularniejszego i bardziej eleganckiego. Czterdzieści tysięcy ludzi działa jednocześnie z cudowną prawidłowością i punktualnością. Nikt nie biega, nie gorączkuje się. Wielki książę zostaje na swojem miejscu, generałowie tak samo; nie słychać krzyku; pułki idą koleją, ze spokojem i swobodą, dowodzącą że każdy wie dobrze co ma robić, że nie ma potrzeby dyrygować nimi. Wszyscy ci ludzie odziani są doskonale, nieskrępowani wcale jak u nas; ruchy ich wydają się i są w istocie całkiem swobodne. Nie ma najmniejszej różnicy pomiędzy gwardyą a pułkami liniowymi, wszędzie doskonałość jednaka"...

12 września. Dziś z rana zwiedzaliśmy dwie instytucye, które wprawiły mię w zachwyt. Są to dwa klasztory, z których jeden Szarytek, zwanych Siostrami Dzieciątka Jezus, drugi, klasztor św. Kazimierza; wychowują się w nim panienki z klas rozmaitych; prócz tego kształcą się tam przyszłe Siostry, rozsyłane po całej Polsce; stąd też pochodzą zakonnice od Dzieciątka Jezus. Obu tych zakładów uposażenie jest nędzne, pomimo to dobre te Siostry cudów dokazują. Pielęgnują około 60 chorych, zostawiają u siebie wszystkie dzieci jakie im przynoszą, niektóre z nich prócz tego mają nadzór nad idyotami. Jednem słowem, wzruszoną byłam gorliwością ich i miłosierdziem, a przedewszystkiem spokojem ich i pogodą. Ach, gdybyśmy mieli w Rosyi instytucye tego rodzaju, zapewniam państwo, iż nie ujrzanoby mię więcej w salonach petersburskich. Matka przełożona u św. Kazimierza nie mówi po francusku, ale inna

zakonnica, znająca ten język trochę, dała mi do zrozumienia, że życzyłyby sobie bardzo, aby cesarzowa wzięła je pod swą protekcyę i że rade by zawiązać stosunki z Petersburgiem. Nie chcąc mięszać się do niczego, radziłam jej pomówić o tem z samą J. C. Mością".

„Obiad dziś wspaniały przynajmniej na ośmdziesiąt osób; byli na nim wszyscy generałowie, przytomni na rewii, prócz tego wiele innych jeszcze osób. Dziś wieczorem bal w ratuszu... Powodzenie nasze w Warszawie jest zupełne. Wojskowi, cywilni, damy, wszyscy głoszą pochwały cesarzowej, która zresztą sadzi się na to, aby się wszystkim podobać".

13 września. „Dziś rozpoczęliśmy od Wizytek. Biskup spotkał nas przy wejściu z wodą święconą, i wprowadził do Sióstr, które nie mogą nigdy wychodzić z klasztoru. Bóg raczy wiedzieć, czy panie polskie są miłosierne, ale gotowam myśleć, że nic nie dają tym zakonnicom...

„Odwiedziwszy Wizytki, byliśmy w Wilanowie, wspaniałej wsi, należącej do pani Stanisławowej Potockiej, żony prezydenta Senatu... Pani Potocka, dzięki skłonności swej do frazesów, pełną jest nieprzyjemnej afektacyi. Podano nam *déjeuner-dinatoire*, które pomimo złego masła mogło ujść za dobre. Po śniadaniu byliśmy w innej wsi, sąsiadującej z Wilanowem, a zwanej Natolinem. Należy ona do pani Aleksandrowej Potockiej, Tyszkiewiczównej z domu, synowej pani Stanisławowej. Jest to miejsce również urocze i godne mieszkanie jakiej Aspazyi. Pani domu, o której mówiono nam, że jest w Wiedniu, wjeżdżała właśnie do Warszawy, kiedyśmy zwiedzali jej pałac. Z tego wnosić można, jak dalece mąż jej jest poinformowany co do postępków i zachowania się swojej najdroższej połowicy".

14 września... „Lekarstwo mię zmęczyło, całą noc nie spałam... wyszłam tylko do obiadu, który się odbył u Wielkiego księcia; nie było na nim nikogo, prócz księcia namiestnika i generała Krasińskiego, który wygląda na rodzaj faworyta. Wieczór skończył się u Bronica, marszałka dworu; była tam znowu muzyka; niejaka pani Szymanowska grała zachwycająco na fortepianie, a jakiś młody człowiek, należący do towarzystwa — Skibicki — śpiewał, także i Zofia Samojłow. Wielki książę znalazł u Broniców cel swej galanteryi, bywa u nich prawie codzień. Opowiem to pań-

stwu szczegółowo kiedy będziemy razem. Tymczasem wiedzcie państwo, że to właśnie skłoniło głównie do wyjazdu, *la dame Fréderiks*".

15 września. „Pobyt nasz w Warszawie zakończył świetny bal u p. Nowosilcowa. Przeszedł on wszystkie dotychczasowe festyny. Dom ma wspaniały; sala balowa, ozdobiona kwiatami, sprawiała efekt cudowny, kolacya obfita, zastawa srebrna, pozłocista, liczna liberya, słowem wszystko w guście naszych świetnych balów petersburgskich, u Strogonowów etc... Rozdaliśmy tu kosztowne podarunki. Księciu Namiestnikowi dostała się piękna tabakierka z portretem. Wyjeżdżamy jutro o dziewiątej zrana. Będziemy na obiedzie w Nieborowie u księcia Radziwiłła, żeby wyruszyć stamtąd do Arkadyi. Dobra księżna Radziwiłłowa pośpieszyła już tam dzisiaj, dla pełnienia obowiązków gospodyni domu".

16 września. „Pan Załuski, adjutant cesarza, wyraził się, że Arkadya, to owoc marzeń kobiety inteligentnej *(c'est le rêve d'une femme d'ésprit")*. Przyjeżdżam tam i widzę, że zdanie to zupełnie jest słuszne. Trudno rzeczywiście zobaczyć coś podobniejszego do marzenia. Arkadya jest kompletnym wytworem wyobraźni. Natura nie przyczyniła się tam wcale; sztuka potrafiła miejsce puste zamienić w urocze i zachwycające. Ks. Radziwiłłowa zasadziła tam całe lasy; ogród choć nie jest rozległy, lecz zużytkowany tak sztucznie, że kręcąc się na tej samej przestrzeni, wydaje się, że się zrobiło Bóg wie ile drogi. Budowle rozmaite wznoszą się tam na każdym kroku. Potrzebaby innego pióra, niż moje, aby skreślić poszczególne piękności Arkadyi trzeba ją opisać poetycznie, gdyż tylko taki opis jest dla niej odpowiedni. Kiedy się powie poprostu, że się wysiada z powozu przed chatką Filomena i Baucydy, a znajduje się nagle przed pałacem kryształowym, w którym bogowie zamienili chatkę starych małżonków w nagrodę za ich gościnność — nie przemawia to wcale do wyobraźni. A jednak czyż można przemilczeć o chatce tej uroczej, której bruk jest piękną mozajką z kamieni florenckich, a wszystkie ozdoby ścienne z kryształów? Frendzle nawet, otaczające firanki z muślinu, są kryształowe. Fontanna wiecznej młodości znajduje się w głównym salonie, a wszystkie inne tu przedmioty są uwagi godne dla swej starożytności. Po wyjściu z chatki przeszliśmy do świątyni Eskulapa. Cesarzowa poznała tam marmury, wywiezione kryjomo, jak powiada z Gatczyna, przez budowniczego

Brenna, i sprzedane przez niego. Cyrk, teatr, inna świątynia, poświęcona miłości, zasługiwałyby na godny ich opis. Najwspanialszą wydała mi się kaplica. Na zewnątrz jest ona w kształcie pięknego sarkofagu; geniusz śmierci, z przewróconą pochodnią życia stoi u wejścia. Po kilku schodach wstępuje się do kaplicy. Kiedy się stanie na ostatnim stopniu, ukazuje się naprzeciw ołtarz. Kaplica oświecona jest od wejścia bardzo słabo. W środku wznosi się sarkofag, na pamiątkę trzech córek księżnej; prócz tego każda z nich ma swój osobny pomnik. Jednej było na imię Róża, to też nagrobek jej stanowi piękny wazon marmurowy, a w nim krzew różany i dokoła wiersz Malherbe'a:

„Et rose, elle a vécu ce que vivent les roses,
L'éspace d'un matin".

Na pomniku Anieli, żony Konstantego Czartoryskiego, wyrasta lilia z wazonu a dokoła: *Elle s'est élevée, elle s'est exalée, comme une vapeur odorante,* czy coś w tym rodzaju. Dla Krystyny zawieszono lampę gorejącą z jakimś napisem, którego nie mogłam zapamiętać. Mury kaplicy ozdobione są przez Zejdelmana, przed klęcznikiem wiszą dwa aniołki Rafaela. W ogóle wyznać muszę, że mię to miejsce zachwycało. Zwiedzenie tego wszystkiego zabrało nam sporo czasu, siódma już była, kiedyśmy wrócili do domku Baucydy, gdzie była przygotowana herbata. Po półgodzinnym wypoczynku udaliśmy się w drogę, i teraz jesteśmy w Łowiczu na noclegu. Zapomniałam powiedzieć, że obiad był w Nieborowie i to doskonały. Wielki książe, p. Nowosilcow, marszałek dworu Bronic, prezydent Mazowsza, Rembieliński, dyrektor poczt, dwóch adjutantów Wielkiego księcia namiestnika, przeprowadzają nas aż do Kalisza, w którym staniemy jutro na noc"...

...„Przykro mi było rozstać się z tą dobrą księżną, której nie zobaczę prawdopodobnie wcześniej, jak chyba na dolinie Jozafata; pozyskała mię całkiem sobie i wolę ją bez porównania od wiedźmy Czartoryskiej, która wydaje mi się nad wyraz fałszywą, a przytem pochlebiającą i sadzącą się na wyszukane frazesy. Córka jej ks. Wirtembergska nie przyjechała wcale, chociaż jej oczekiwano; nie mogła zostawić ojca samego, więc tylko list napisała do cesarzowej".

...„Wielki książe Konstanty rozstał się dziś z rana z nami,

na granicy szląskiej. Pożegnania były rozczulające do tego stopnia, że wszyscy prawie przytomni tonęli we łzach. Polaków zachwyciła cesarzowa, a ją znowu oczarowała Polska. Gdyby mogła była zostać kilka dni jeszcze w Warszawie, ręczę, żeby została“. . .

Dalsza podróż Cesarzowej Matki zawiera w sobie niewiele szczegółów nas obchodzących, przytoczone zaś przez nas wyjątki z dziennika dają pojęcie o tem, jak wydawała się Warszawa i jej towarzystwo w oczach możnych przyjezdnych, i o zachowaniu się w obec nich osób znanych nam z tradycyi żywej; znajdujemy też w nich szczegóły o istytucyach i rezydencyach pańskich, które całkiem inaczej dziś wyglądają.

Dalszy ciąg dziennika ks. Turkiestanów, prowadzony jest bardzo punktualnie, pomimo choroby, która miała się w kilka miesięcy zakończyć tak fatalnie. Zawiera on w sobie wiele ciekawych obrazków z życia rozmaitych dworów niemieckich. Dzieliła się też księżniczka wiadomościami o nich i o życiu politycznem i towarzyskiem Europy z przyjacielem Christin'em. Po powrocie do Petersburga korespondencya znowu weszła w tryb zwyczajny; listy przepełniają znowu szczegóły o powodzeniach i katastrofach rozmaitych gwiazd dworskich płci obojej, i są wymianą zdań w kwestyach politycznych i religijnych. O pierwszych mówiliśmy już wyżej, drugie zasługują również na uwagę, zwłaszcza ze względu na objawy charakterystyczne ówczesnej epoki. Panna Turkiestanów, nie przestając być prawosławną, w ostatnich latach swego życia zbliżyła stę bardziej do kółka ks. Golicyna, ministra wyznań, racyonalisty pod względem religijnym; nie należała ona nigdy do licznego grona mistyczek w modnych, klasyczno-przeźroczystych strojach i ich współwyznawców w mundurach kapiących od złota; chociaż grono to powiększało się coraz bardziej w miarę, jak sam cesarz coraz więcej hołdował temu kierunkowi. To też Christin, katolik szczery, nie potrzebował krępować się wcale, donosząc jej o rozmaitych objawach manii religijnej i swojem o nich zdaniu. Obok poważnych faktów spotykamy w jego listach wiele też zabawnego: „Łaska najwyższego, pisze on do swej przyjaciółki, spływa też i na naszą Moskwę. Mamy tu grzeszników nawróconych, wzdychających tylko do robienia cudów, aby ze swej strony nawracać zatwardziałych. Odkryję im przyłbice, pod sekretem jednak. Zapał ten święty ogarnął wszystkich. Pani

Malców modli się jak natchniona i mówi tylko o łasce i mistycyzmie. Siostra jej, księżna Natalia Trubeckaja, bojąc się umrzeć bez spowiedzi, każe budzić wśród nocy swego spowiednika i proboszcza, i otrzymuje ostatnie Sakramenta wśród ataku migreny. Lekarz jej, Richter, pyta się nazajutrz, dlaczego zaalarmowała całą rodzinę bez najmniejszego powodu. Ona mówi na to: Ale bo te rzeczy są tak pocieszające! Gdyby poczekała była do rana, nie byłyby przecież mniej pocieszające, ale sprawiłoby to mniej efektu; choć, mojem zdaniem, więcej byłoby to warte. Na drugi dzień synowie jej byli na balu, a ona sama czuła się już dobrze". Siostry te jednak są tylko profankami w porównaniu z bratem ich księciem B., któremu Christin przypisuje dar czynienia cudów, i z najzimniejszą w świecie krwią opowiada, jak zanurza w szklance wody jakiś cudowny krzyżyk, połowę pije sam, resztę zaś daje choremu. „Wszystko to jest prawdą dosłowną... Proszę nic nie mówić o tem naszym mistykom, których skandalizowałaby moja niewiara".

Ten szał religijnego mistycyzmu, bez podstawy dobrze zrozumianej religii, zrywał równowagę umysłów i doprowadzał czasem do najsmutniejszych rezultatów. Biedny książe B. skończył ostatecznie na pomięszaniu zmysłów. Podobny los spotkał też młodą entuzyastkę petersburską, księżnę Elżbietę Kurakinową, Galicynównę z domu. ... „Biedna Lise, w chwili obłąkania, spowodowanego przez cierpienia nerwowe, osądziła za stosowne poddać się męczeństwu. Zamknęła się w swoim gabinecie i włożyła prawą rękę między rozpalone węgle; być może, iż spaliłaby się całkiem, gdyby mąż jej wraz z panną de Noiseville nie byli weszli wysadziwszy drzwi. Znaleźli ją siedzącą przy kominku, bladą, ze wzrokiem obłąkanym, z otwartemi ustami. Przemówiono do niej, zaledwie odpowiedziała; kiedy zaś usiłowano ją położyć, poruszenie jej odkryło rękę całkiem czarną. Kurakin przestraszony zapytuje ją, co to znaczy, a ona spokojnie powiada: „To nic, to dla miłości Boga; inni czynili o wiele więcej; jestem potępioną, słusznem więc będzie oczyścić się przez ogień... Wpadła w gorączkę kompletną, a wzruszenie ogólne, spotęgowane jeszcze przez stan ręki, stawało się bardzo groźnem... wołała głośno o pomoc duchową; zważywszy wszystko dobrze, zdecydowano się posłać po księdza katolickiego, poczciwego księdza Jezuitę Pinguelli. Obecność jego sprawiła skutek pożądany; udało mu się ją uspokoić,

ale po wyjściu od niej drżał cały biedak ze strachu, aby wszystko to nie odbiło się na jego skórze". Od tego czasu obłąkanie jej stało się chronicznem.

Prócz księżnej Kurakin były zwolenniczkami Jezuitów — utrzymujących wówczas tam zakład naukowy — i mniej więcej otwartemi katoliczkami: hr. Gołowinowa, ks. Bariatynskaja, hr. Roztopczynowa, hr. Szuwałowa, która przyjęła katolicyzm w Rzymie, w końcu zaś najgłówniejsza z nich, baronowa Krüdener. Wrogiem ich jednak potężnym był minister wyznań. Śledził on okiem podejrzliwem ich działalność a zarazem i przychylność, jaką wiele domów arystokratycznych ku nim żywiło — i oto grunt pod ich nogami zaczął się chwiać coraz bardziej. Najbliższym powodem ich wygnania i z Petersburga i całej Rosyi było zbyt jawne przyznanie się do kościoła katolickiego, jednego z ich młodych wychowańców 16-letniego Golicyna, krewnego ministra. Z początku te nawracania się przyjmowano dość obojętnie, z czasem jednak w miarę wzrastania niechęci ks. Golicyna do katolicyzmu i skłaniania się jego ku protestantyzmowi, poczęto patrzeć na nie z większą niechęcią. Z drugiej zaś strony rozwinęło naonczas szczególnie działalność swą Towarzystwo biblijne, które gorąco protegował minister, a i szkoła Pinkertona nie małego zażywała wzięcia. Mnóstwo małych książeczek treści religijnej, tłumaczonych z angielskiego, puszczono w obieg. Znajdowały one swoich adeptów, co tem większą nienawiść wzbudzało ku Towarzystwu i jego zwolennikom ze strony katolików. W obec tego dziwnym się musiał wydawać w pracach Towarzystwa tego udział metropolity katolickiego, głośnego ks. Bohusza Siestrzencewicza, który będąc członkiem jego, bywał na posiedzeniach, i wydawał przyjazne dla niego odezwy. Nie mogło to jednak ujść uwagi Rzymu — i oto treść wydanego z tego powodu *breve*, którą przytaczamy podług listu Christin'a 26 grudnia 1816 r.

„Mamy przed oczami to, coś napisał do swoich dyecezyan o Towarzystwie biblijnem. Nie miałeś prawa działać w kierunku przeciwnym religii, nie miałeś prawa powoływać się na sobór Trydencki, łamiąc go i przekręcając, czy to w skutek niewiadomości, czy też złej woli. W tym lub innym razie, byłeś, jako kamień przy drodze, przyczyną potknięcia się i powodem zgorszenia. Rozkazujemy ci za tem, abyś odwołał publicznie to coś ogłosił, pod groźbą

ściągnięcia na siebie klątw kościelnych. Nie możesz nie wiedzieć, że biblie, drukowane przez Towarzystwo, są przeinaczone, że treść ich jest spaczona i tekst nawet nieraz zmieniony, że zawierają one w sobie wszystkie zasady błędów Lutra i Kalwina, i że służą więcej ku szkodzie religii, aniżeli ku jej pożytkowi, jak je osądziło oddawna święte kolegium kardynałów; i na mocy tego wyroku biblie owe zostały umieszczone na indeksie". „Panuje tu przekonanie, dodaje Christin, że nie pozwolą odwołać tego Siestrzeńcewiczowi i że Turgeńjew (dyrektor departamentu wyznań) jest rodzajem anty-papieża, grożącym arcybiskupowi utratą wszystkich dóbr ziemskich, jeżeli ośmieli się nsłuchać władzy duchownej, która ma przecież prawo mu rozkazywać. Co pani myślisz o tem?"

„Dość dawno już temu, podczas obiadu u Sergiusza Sołtykowa, odpowiada księżniczka, mówiono mi o bulli papieża przeciwko Towarzystwu biblijnemn. Ponieważ wiem, iż czytanie biblii zakazanem jest katolikom, uważałam za rzecz całkiem naturalną, że ojciec święty wyraził swe nieukontentowanie Siestrzencewiczowi za to, iż został członkiem Towarzystwa. Ale kiedy mówiłam o tem, w kilka dni później z ks. Golicynem, zapewniał mię, że kwestya ta nie była wcale podnoszoną, dodając przytem, iż metropolita katolicki bullę tę otrzymać mógł tylko przez jego ręce, i że jest pewny, iż nic podobnego nie nadeszło, tem bardziej, że Siestrzencewicz tego samego nawet rana był na posiedzeniu owego Towarzystwa. Turgeńjew powiedział mi to samo; cała więc ta historya z bullą wydaje mi się dość podejrzaną, i nie jestem pewną, czy to, coście państwo czytali w Moskwie, pochodzi od papieża, czy też jest zmyśleniem.. wszyscy katolicy są rozjątrzeni na Towarzystwo biblijne i przypisują mu zamiary, których ono z pewnością względem naszego kraju nie ma, ze względu na panującą w niem tolerancyę... proszę tylko posłuchać p. de Maistre'a, proszę posłuchać żonę ks. Aleksego i jeszcze inne panie. Oni myślą że my żyjemy tu w przededniu przejścia na protestantyzm".

Christin wraca wkrótce do tego samego przedmiotu: „Nie rozumiem wcale niewiadomości ministra wyznań w kwestyi *breve* papiezkiego, ponieważ *breve* to jest całkiem autentyczne i zostało doręczone metropolicie Siestrzencewiczowi drogą ministeryalną, będąc przesłane z Rzymu w depeszach ambasadora rosyjskiego, wraz

z kopią, którą papież adresował na imię prałata Badossi. Wszystko to jest prawdą rzeczywistą i *breve* wydane jest nawet po rosyjsku, gdyż arcybiskup Augustyn (metropolita moskiewski) „rozdawał tu nawet kopie tłumaczenia petersburgskiego. Czytałem to wczoraj w licznem towarzystwie i twierdzono, że p. Bałaszew uda się do Rzymu, — chociaż nie jako dyplomata, — aby załatwić sprawę tę z papieżem. Jeżeli pani dowie się czego o tem, proszę mi zakomunikować, lecz nie rozprawiajmy więcej o tem, nie wypowiadajmy zdań swoich,... gdyż rzeczywiście są to przedmioty, o których się nie zmienia przekonań, kiedy się je wyrobiło drogą przeświadczenia, lub nawet okoliczności".

Prócz dwóch tych kierunków głównych, skłonności do katolicyzmu i protestantyzmu, objawiających się wśród wyższego społeczeństwa rosyjskiego w pierwszej ćwierci naszego stulecia, potrzeby jego religijne rzeczywiste i przez modę nawiane, szukały dróg innych, mniej określonych i stałych. Magnetyzm i jasnowidzenie stały się zjawiskami codziennemi. W salonach słuchano objawień, opowiadano sobie o wizyach, młode nawet instytutki miewały dziwne napady nerwowe, wizye i halucynacye, jak naprzykład panna Famincyn, której imię często się wówczas powtarzało. „Wizyonerowie, magnetyzerowie i magnetyzerki są do takiego stopnia na porządku dziennym, że w usposobieniu obecnem lada ból palca jest w stanie zwrócić uwagę powszechną i wzbudzić rozmowy". Tak czytamy w jednym z listów p. Turk.

Przytoczone wyżej fakta rysują nam wyższe sfery rosyjskie temi samemi barwami, o silniejszych tylko cieniach, jakiemi i dziś dałoby się ono narysować, z tą różnicą jednak, że pierwiastek anglikański występuje obecnie w roli dominującej. Rzucając się na wsze strony w dziedzinie religijnej, arystokracya rosyjska jest jednak wieczną córką warunków historycznych swego narodu, szukającego od dawna ideałów religijnych poza obrębem swego kościoła.

Co do innych stron życia, zmieniły się one naturalnie w daleko wyższym stopniu, wraz ze zmianą okoliczności czasowych. Po karnawale liberalizmu następował długi okres postu w ostatnich latach panowania Aleksandra i za panowania jego brata Mikołaja, potem zaś zbyt blizkie nam i dobrze pamiętne czasy. *B.*

OBRAZY WERESZCZAGINA.

Rzadkiego i bardzo smutnego widowiska jesteśmy świadkami. Jeden z owych umysłów spaczonych, co dziwactwo biorą za postęp a radykalizm za wykwit społecznej mądrości, jeździ z kolosalną budą malarskich osobliwości od miasta do miasta, od stolicy do stolicy, i z pomocą zapłaconej reklamy ściąga masy narodu na ucztę niemoralności i zgorszenia. Wreszcie przybywa i do Wiednia, do stołecznego grodu wielkiej katolickiej monarchii i tutaj z cynizmem okrytym płaszczykiem artyzmu występuje przeciw zasadniczym podstawom religii, urąga Bóstwu Chrystusa, natrząsa się z dziewiczości Jego najświętszej Matki. Arcybiskup wiedeński, z urzędu swego pasterskiego stara się o usunięcie gorszących malowideł, przemawiając prywatnie do wyrozumiałości i delikatności malarza, a gdy to nie pomaga, kołata o pomoc do władz, do sądu, do osób wysoko postawionych. Wszystko nadaremnie! Prawo, które karze przekroczenia przeciwne religii, podobno nie przewidziało, że profanacya i bluźnierstwo może znaleść swój wyraz w malarstwie i rysunku. A jednak komu niewiadomo, jakie nadużycia mają miejsce na tem polu?

Kardynał robi swoje, pismem urzędowem i publicznem ostrzega wiernych o zuchwałem bluźnierstwie, o profanacyi wyrządzonej wierze. Wereszczagin — o nim bowiem jest tu mowa — jak gdyby list pasterski odnosił się tylko do jego osoby, ogłasza w gazetach odpowiedź, która komentowana przez żydowsko-liberalną prasę, przyczynia się do zwiększenia złego. Publika przesycona pornograficznemi scenami i piosenkami wiedeńskiego Tingel-Tangel potrzebowała podniecić zużyte swe chuci dozą wyskoku bluźnierstwa.

Z powodu powyższych wypadków, niech nam wolno będzie rzucić okiem na artystyczną karyerę Wereszczagina, czyli, co na jedno wychodzi, na dążenia owej szkoły w sztukach pięknych, którą zbrojny radykalizm usiłuje przenieść do dziedziny piękna. To krótkie studyum da nam poznać nową formę antyspołecznej i antychrześcijańskiej propagandy, a zarazem potwierdzi starą prawdę, że aby usunąć groźne niebzpieczeństwa, walczyć potrzeba nie z osobami, lecz z zasadami i ideami.

Przed czterema laty, Wereszczagin urządził w Wiedniu pierwszą wystawę przedmiotów własnego pędzla. Ta wystawa zdumiała i oburzyła wszystkich szczerych miłośników sztuki, radykalnym, niewidzianym dotąd naturalizmem. Wprawdzie nie brakowało i przed nim takich co usiłowali przedstawić naturę wedle przyjętego wyrażenia, w „bezwzględnej prawdzie“, nigdy atoli żaden artysta nie miał odwagi zajść tak daleko na tej drodze. Obyczaje zachodniej Europy i tradycye przeszłości, zachowujące się w umysłach pomimo tak licznych sprzeczności w przekonaniach, powstrzymywały i największych śmiałków. Dopiero Wereszczagin pokazał nam sztukę, która zrywa zupełnie z przeszłością, i tutaj leży jego znaczenie w dziejach tegoczesnej kultury.

Jakieś nieokreślone uczucie trwogi przejmowało każdego, co patrzał na te utwory kolosalnych rozmiarów przedstawiające przyrodę li tylko z jej materyalnej strony. Nigdzie nie ma tutaj śladu istnienia pobudek duchowych, celów wyższych, dążeń idealnych: wszędzie tylko zmysłowe popędy, zwierzęcy instynkt i materyalne potrzeby. Żal tego talentu, a jest on niemały, który wyklucza ze swej sfery wszelki idealny pierwiastek. Były to sceny z wojny turecko-rosyjskiej, widowiska krwawych bojów z pod Plewny i z wąwozów Szypki, gdzie fizyczne cierpienie, nie złagodzone żadnem uczuciem ofiary, poświęcenia lub miłości, znalazło jednostronny, przykry swój wyraz. Tak bezprzykładne zjawisko naprowadzało wielu na myśl, że artysta rosyjski działa jako tajny członek stowarzyszenia, znanego w Europie pod imieniem „Ligi pokoju“, i że za pomocą malowideł imponujących bezwzględnością tendencyi obok wielkiego bogactwa środków usiłuje zaszczepić w ludzkiem sercu wstręt do wojny. Było to złudzenie. Okazało się w następstwie czasu, że

jedynie ogromna, rogata próżność kieruje myślą i pędzlem tego człowieka.

Żeby nie tracić wiele słów na opisanie tego rodzaju malarstwa, wybierzmy parę okazów z bardzo wielkiej liczby. Oto przed nami nieogarniona wzrokiem płaszczyzna, smutna i ponura, pozbawiona wszelkiej zieloności i życia. Wszystko znikło z powierzchni, w powietrzu oko nie dojrzy ani ptaszka ani owada. Jest to okolica Plewny bułgarskiej, gdzie tyle ludzkich istot położyło życie. To pole pełne jest ludzkich trupów trupów ułożonych obok siebie w oburzającej symetryi, pokaleczonych zczerniałych, gnijących, obdartych i rzuconych na ziemię w okropnej nagości, w zupełnej nagości. Spotykamy tutaj dwie tylko dusze żyjące. Duchowny w cerkiewnym ornacie odmawia przepisane modlitwy pogrzebowe, i prosty żołnierz służący za dyaka w tym smutnym obrzędzie. Obszerne i głębokie doły, świeżo wykopane, mają przyjąć do zimnego łona to obfite żniwo śmierci.

Cóż naturalniejszego że na taki widok serce bije nam gwałtownie w piersiach, że drżenie konwulsyjne opanowywa całą naszą istotę? Były przykłady że kobiety upadały na ziemię zemdlone. Każdy czuł jakby swąd trupi w powietrzu, zatruwający oddech i odurzający zmysły. Było to złudzenie; co atoli nie było złudzeniem, to jakby zapach dynamitu, zapach, że tak powiem, intelektualnej natury, który przenikał nie do zmysłów cielesnych, lecz do władz duszy i dawał nam poznać dowodnie, że ten styl Wereszczagina, tak brutalnie obliczony na nerwowe wstrząśnienie, stoi w rodzonem pokrewieństwie z owemi dążeniami ktore chcą reformować i uszczęśliwiać ludzkość za pomocą dynamitu i machiny piekielnej.

Taki sam przykład bezlitośnej igraszki z sercem ludzkiem przedstawia ów zimowy krajobraz na gościńcu prowadzącym przez Szypkę, na którym stoją szyldwachy rosyjskie zapomniane przez oficerów w pośpiechu, pokryte grubą warstwą śniegu, ale trzymające się mocno na nogach z karabinem na ramieniu, szyldwachy sztywne jak słupy drewniane, zimne i twarde jak głazy, bo martwe i zmarzłe. Nad nimi krakają czarne kruki, łaknące żeru a nie mogące się nakarmić skostniałemi trupami. Gdyby można posądzić Wereszczagina o czytanie poetów, łatwo byłoby dopatrzeć podobieństwa między tą sceną a znanym ustępem Mickiewicza. Wreszcie jako okaz rodzaju alegory-

cznego, ma się rozumieć, w stylu dynamitardów sztuki, warto przytoczyć wielką piramidę, sięgającą pod obłoki a z samych trupich głów złożoną, którą Wereszczagin namalował z właściwą sobie werwą, dla okazania, do jakich rezultatów doprowadza wojna.

Powyższe przykłady składają jasne świadectwo o tem, co się stało z estetycznemi wyobrażeniami, idącemi od najwcześniejszej starożytności, od największych myślicieli klasycznych wieków, które duch chrześcijański dalej rozwijał i bogacił jako świętą spuściznę przodków, a które zrosły się w sposób organiczny ze społecznym i religijnym bytem narodów nowożytnych. Z nich widzimy dokładnie, gdzie się podziały teorye piękna, dające sztuce za cel, aby podnosiła i uzacniała naturę ludzką za pomocą spokoju, harmonii i łagodzenia namiętności. Jest rzeczą niewątpliwą, że takie odrzucenie czterdziestowiekowej historyi, bodajby tylko w zakresie estetycznym, oznacza gwałtowną wojnę, wydaną duchowi ludzkiemu w obrębie myśli i uczucia.

W ostatnich miesiącach Wereszczagin znowu zawitał do Wiednia i wystawił na widok publiczny nadzwyczajną mnogość własnych kompozycyj. Wypełnił on niemi cały gmach wystawy, na co się zwykle składają setki artystów. Płodność i pracowitość tego człowieka zasługują istotnie na wszelkie uznanie. Nie maluje on teraz okropnych scen wojny, nie lubuje się zapachem wylanej krwi, nie mniej jednak jest to ten sam styl, te same cele i dążenia. Znowu nam biją w oczy fakty materyalne, prawie zawsze płytkie i pospolite, których nie ożywia żadna myśl podniosła, nie ogrzewa żadne szlachetniejsze ciepło. Są to także płótna kolosalne, wykonane z niezmiernym nakładem pracy, cierpliwości, które nam przedstawiają najróżnorodniejsze szczegóły z życia prywatnego, religijnego i politycznego takich krajów, jak Chiny, Tybet, Turkiestan, Indye. Jako drzeworyty użyte do jakiego dzieła podróży, te kompozycye byłyby bardzo użyteczne; jako samodzielne, olejne malowidła, i to w takich olbrzymich rozmiarach, budzą one tylko uśmiech politowania. Najwspanialsze z pomiędzy nich, to wjazd księcia Walii do jednego z miast indyjskich. Ten pochód tryumfalny przyszłego cesarza Indyj, obrachowany na olśnienie tych prostodusznych plemion, odbywa się na słoniach kapiących od złota i klejnotów, pośród najjaskrawszego przepychu, w towarzystwie maharadżów i królów podbitych. Inny

utwór, w którym się odzywają instynkta malarza do mordów i rzezi, to kara śmierci, wymierzona przez Anglików na przywódcach indyjskiego powstania. Buntowników rozstrzeliwają nie z karabinów — bo i gdzieby tu była osobliwość? — lecz z armat! Trzeci obraz przedstawia wieszanie zbrodniarzy politycznych na pięciu szubienicach! Kaźń odbywa się na polach pokrytych śniegiem, w obec wielkiej tłuszczy narodu. Drobiazgowe, niesłychanie troskliwe traktowanie śniegu tam, gdzie się odgrywa tak okropny akt tegoczesnych dziejów, należy bez wątpienia do bardzo charakterystycznych cech tego stylu.

Wymieniłem tu kilka tylko obrazów Wereszczagina, lecz one wystarczą, aby przedstawić w świetle własnych jego dzieł reformatora, który uważa sobie za posłannictwo oswobodzić sztukę z „więzów teologii i tradycyi". Utwory i kompozycye takie nie należą właściwie do krytyki artystycznej, albowiem są one przeznaczone na rynki i place milionowych stolic, dla podziwu najniższych warstw ludowych o grubym smaku i nierozwiniętych władzach umysłu, którym imponują szubienice, rozstrzeliwania, morderstwa i tym podobne krwiożercze widoki, a dla których pagody indyjskie, pałace chińskie i inne azyatyckie świetności stanowią szczyt ludzkiej wyobraźni.

Zwróćmy się teraz do owych malowideł Wereszczegina które bezpośrednio lub pośrednio ściągnęły na siebie potępienie Kardynała Arcybiskupa wiedeńskiego. Uganiając się za mocnemi i nieznanemi wrażeniami po całej Azyi, malarz rosyjski nie pominął i Ziemi świętej. Nader obfitym jest jego plon, zebrany na ziemi klasycznej starego i nowego Testamentu, na tych polach dzisiaj tak opuszczonych i smutnych, które jednakże tak potężnem życiem historycznem biły wtedy, gdy Słowo Ciałem się stało, gdy się spełniły tajemnice Odkupienia. Z ruchliwością i energią, która go cechuje, wglądnął on do pieczar, do grobów, do ruin będących w czci u miejscowego ludu, zwiedzał Jerozolimę, Betleem, Nazaret, Kafarnaum, brzegi Jordanu i Martwego morza, pił wody jezior, źródeł i cystern uświęconych tylu cudami, bawił na Golgocie, na górze Oliwnej, na górze Tabor, szukał miejsc i pamiątek, które widziały Abrahama, Dawida, Salomona i innych świętych patryarchów.

Wereszczagin przeniósł na płótno wszystko co widział. Energiczny jego pędzel uchwycił wyraziste zewnętrzne kontury przyrody,

tak, że widząc te autentyczne krajobrazy i prawdziwą fizyonomię miejsc świętych, dusza chrześcijanina, pełna wdzięczności, unosi się na skrzydłach fantazyi w daleką i błogosławioną przeszłość. Niestety zachwyt ten nie trwa długo. Gdy okiem trzeźwem i uważnem rozejrzymy się w tych szczegółach, musimy zrobić smutne odkrycie, że artysta nie tchnął w te obrazy ciepła chrześcijańskiej miłości, że dla niego nie istnieje boskie posłannictwo Odkupiciela. On napotyka w Ziemi świętej tylko zwyczajne głazy, skały, rumowiska; on nie dostrzega i nie czuje promieniejącej z nich łaski nadprzyrodzonej. On zdaje się urągać tej ziemi tak nieurodzajnej, jałowej i wyniszczonej, a jednak taką jasnością przyświecającej duszy chrześcijańskich narodów.

Biegła ręka Wereszczagina nakreśla wielką liczbę typów ludzkich Ziemi obiecanej, ale jedynie typów, rzecz osobliwa, moralnego lub cielesnego upokorzenia. Szukać w Ziemi świętej samych karykatur, na to potrzeba być istotnie Werenszczaginem. Żydowscy bogomolcy, ubodzy i wycieńczeni na siłach po długiej podróży; dzicy Beduini, czyhający na przechodzącą karawanę; greckie postacie o długich brodach, na pół księża, na pół handlarze; słowiańscy pątnicy z dalekiej północy, zczerniali od słońca i nędzy; urzędnicy tureccy pogrążeni w bezwładności a jednak sprawujący rządy tej krainy: wszystko to i wiele innych pokrewnych przedmiotów znajdziesz u Wereszczagina w najjaskrawszych, najosobliwszych kolorach, kształtach i kostiumach. Z tej strony uważana, zawiera jego wystawa nader cenne szczegóły etnograficzne i antropologiczne.

Gdyby artysta rosyjski był poprzestał na tej pracy, to pomimo widocznej skłonności do karykatury, byłby sobie może zasłużył na uznanie i szacunek prawych ludzi. Ale jego ambicyi było tego za mało. On wolał się pokusić o nędzny rozgłos i jeszcze nędzniejsze tryumfy, — tryumfy zresztą tak łatwe dzisiaj do zdobycia, — nieprzyjaciela Chrystusowego, wroga i oszczercy wiary chrześcijańskiej. Jako dodatek i dekoracyę, nie zaś jako postać historyczną, bo na podobną nie starczą jego siły, wprowadził on do niektórych krajobrazów Palestyny członków przenajświętszej Rodziny i samego Chrystusa. Te malowidła drobnych tylko rozmiarów i traktowane pobieżnie, sposobem szkicu, są następujące: „Święta Rodzina“, „Chrystus na pustyni“, Chrystus u św. Jana nad Jordanem“, „Chry-

stus nauczający z łodzi", „Chrystus przepowiadający koniec świata" i „Chrystus zmartwychwstający".

Żadna z powyższych kompozycyj nie ma ani artystycznej, ani historycznej a tem mniej religijnej wartości. Są one pojęte i wykonane w duchu nader banalnego i gminnego realizmu. O ile mi wiadomo, cała estetyczna krytyka uznała je za niegodne publicznej wystawy. Dziwić się potrzeba, jakim sposobem towarzystwo sztuk pięknych w Wiedniu mogło się podobnie skompromitować, przyjmując takie nędzoty do pałacu zbudowanego kosztem ofiarności publicznej. Niepodobna zrozumieć, że grono ludzi, stojące pod protekcyą brata cesarskiego, i mające za zadanie kształcić smak estetyczny narodu, nie uczyniło należytego wyboru między niezmierną mnogością mających się wystawić przedmiotów.

Nie dosyć tego. Powyższe utwory Wereszczagina nie tylko grzeszą brakiem wszelkich artystycznych zalet, są one nadto wyrazem nieuctwa i cynizmu prawie nie do uwierzenia. Ubogie, barbarzyńskie, usunięte od wszelkich cywilizacyjnych wpływów życie dzisiejszych plemion syryjskich przenosi malarz na Zbawiciela i święte osoby jego otoczenia. Nie ma on, jak to widoczna, najmniejszej świadomości o tem, że przed naszą erą były inne formy ludzkiego uspółecznienia, inne odmiany i stopnie cywilizacyi. Nie zdaje się przeczuwać, że właśnie w czasach Zbawiciela była chwila zlania się w przedziwną całość hebrajskiej tak wysokiej umysłowości z greckim klasycyzmem i rzymską światowładną myślą. Właśnie była to chwila tak uroczysta, największa w dziejach świata, że jej tylko mogła się dostać w udziale nieporównana chwała przyjścia na ziemię Syna Bożego. O tem wszystkiem nic nie wie Wereszczagin.

Ale oprócz wskazanych błędów, które same w sobie są ciężką obrazą historyi i chrystyanizmu, dwa z pomiędzy malowideł rosyjskiego mistrza zawierają grube herezye przeciwko dogmatom naszej religii. Oto co przedstawia tak zwana „Święta Rodzina": Mamy przed sobą wnętrze kamiennej, podupadłej budowy, w jakich przebywają najbiedniejsze syryjskie rodziny. Przy stolarskim warsztacie pracuje siwobrody Semita z jednym ze starszych synów. We wiorach na ziemi rozrzuconych igra kilkoro dzieci, chłopiąt i dziewcząt. W tyle u wejścia, siedzi na ziemi niewiasta, obraz wschodniej apa-

tyi i opuszczenia, piastując na łonie najmłodsze dziecię. Najstarszy syn, wsparty na kamiennej ławie, przeziera uważnie gruby zwitek pisma. Nie potrzebujemy dodawać, że ta ostatnia osoba ma być Chrystus, a wszystkie inne, to jego „ojciec“, „matka“, „bracia“ i „siostry“.

„Zmartwychwstanie Chrystusa“ jest w następny sposób przedstawione. Widzimy grób, wymurowany w wyłomie skały, z otworem wolnym we frontowej ścianie, grób którego typ spotykamy tak często w studyach palestyńskich Wereszczagina. Przez ten otwór wysuwa głowę obwiniętą w śmiertelne chusty człowiek żywcem pogrzebany, a teraz budzący się z letargu, mąż nieszczęśliwy, którego ciało zsiniałe, wynędzniałe, trupie, nosi ślady przebytych wielkich cierpień. Dwaj żołnierze, postawieni na straży, widząc wychodzącego z grobu upiora, uciekają w największem przerażeniu.

W odezwie do wiernych Archidyecezyi wiedeńskiej kardynał Ganglbauer wyraża się w następujących słowach: „Obadwa obrazy, których autor powołuje się na ustępy Pisma św. fałszywie, w znaczeniu Renana pojmowane, targają się na zasadnicze prawdy Chrystyanizmu i usiłują w sposób niegodny podkopać wiarę we Wcielenie Chrystusowe i Odkupienie. Kiedy bowiem Syn Boży, który jako obiecany Opkupiciel w pełni czasów począł się z Ducha świętego i narodził się z Maryi, przeczystej i niepokalanej dziewicy — która to tajemnica wiekuistej miłości natchnęła Rafaela do dzieł nieśmiertelnych — tu wyobrażony jest na jednem malowidle jako najstarszy syn oryentalnej rodziny, mającej mnóstwo dzieci, którą malarz po bluźniersku zowie „świętą Rodziną“ w tradycyjnem chrześcijańskiem rozumieniu; Odkupiciela, który z miłości dla nas umarł dobrowolnie na krzyżu a zwyciężywszy śmierć i grzech, dnia trzeciego, jak sam obiecał, zmartwychwstał w chwale, i przez swoje zmartwychstanie dokonał dzieła Odkupienia, przedstawia drugie malowidło w postaci pogrzebanego letargika, który obudziwszy się, wyziera z grobu i swoim straszliwym widokiem zniewala żołnierzy do ucieczki“. Słowa powyższe, tchnące apostolską prostotą, zawierają powody które skłoniły Arcybiskupa do publicznego wystąpienia. Objaśniać je, byłoby to osłabiać ich doniosłość i siłę.

Ci którzy wszystko wiedzą i wszystko najlepiej rozumieją, którzy nieproszeni, w każdej sprawie ofiarują swoje rady parla-

mentom, ministrom, królom, biskupom, nawet papieżowi, panowie redaktorowie gazet i ich współpracownicy, nie omieszkali, rozumie się, i przy tej sposobności pospieszyć ze spostrzeżeniem, że gdyby Arcybiskup wiedeński nie zażądał był usunięcia obrazów Wereszczagina a następnie, gdyby był nie zaznajomił ludności z przedmiotem sporu, publiczność nie dowiedziałaby się o niczem i pokój sumień nie byłby naruszony. Możemy temu twierdzeniu najzupełniej zaprzeczyć. Od chwili pojawienia się Wereszczagina w Wiedniu, nieuczciwa reklama pracowała na jego korzyść. Jeszcze jego wystawa nie była otwartą dla publiczności, a już wiedeński „Tagblatt“ donosił o „znajdujących się na niej tak heretyckich okazach, iż czarne kruki w jezuickich kapeluszach krążą nad domem wystawy i krakają przeraźliwie“. Właśnie ks. Kardynał gorzko się użala na postępowanie prasy, która o każdym przezeń uczynionym kroku donosiła w celach reklamy. Gdziekolwiek najczcigodniejszy Pasterz skierował swe stopy, z kimkolwiek rozmawiał, gdziekolwiek się ruszył, wszędzie był przedmiotem niegodnego natręctwa i szpiegowania. Zresztą trzeba przyznać, że publiczność obałamucona, cisnąc się gromadnie na wystawę Wereszczagina, nie zwracała uwagi, pomimo niesłychanie pretensyonalnego katalogu, na malowidła obrażające naszą religię, które jako nie mające w sobie nic uderzającego przepadały w tej powodzi derwiszów, fakirów i tym podobnych azyatyckich pokutników, jakimi się tak delektuje pędzel rosyjskiego realisty.

Jakkolwiekbądź, taki oportunizm, doradzany ze strony, gdzie nigdy nie ma mowy o zasadach, nie może być oczywiście miarą kościelnego postępowania. Kościół katolicki nigdy się nie rządził oportunizmem w rzeczach wiary i obyczajów. Bluźnierstwo przeciwko Bogu zostało wyrzeczone, profanacya spełniona, świętokradztwo dokonane, czyż władza kościelna mogła milczeć dla tego tylko, że gorszące malowidła nie miały artystycznej wartości? Ludzie co tak rozumują, nie znają katolickiego Kościoła.

Wierny lud wysłuchał z boleścią skargi dostojnego Pasterza i zrozumiał, że należy się Bogu zadosyćuczynienie za zniewagę tego, „co jest najświętszem dla chrześcijanina“, za podeptanie „najwyższych ideałów chrześcijańskiej sztuki“, jak się wyraził kard. Ganglbauer. Po świątyniach stolicy rozpoczęły się publiczne modły dla przebła-

gania P. Boga. Wszędzie lud przystępował tłumnie do Stołu pańskiego. Kazalnica chrześcijańska odezwała się głosem żarliwości i natchnienia w obronie znieważonego Majestatu Bożego. Prasa katolicka uczyniła wszystko co było w jej mocy, dla wyjaśnienia sprawy która poruszała wszystkie umysły. Niecny zamach na najświętsze Tajemnice wiary stał się przedmiotem rozpraw na publicznych zgromadzeniach, w stowarzyszeniach i bractwach. Nikt nie mógł przewidzieć, że ten ruch katolicki rozwinie się na tak znaczne rozmiary.

Najpiękniejszy, najbardziej wyczerpujący wykład odbył się w wiedeńskiej katolickiej resursie, gdzie prelegent z zakonu św. Benedykta wyjaśnił owe miejsca Ewangelii, na które się powołuje Wereszczagin dla usprawiedliwienia swoich malowanych bluźnierstw. Uczony mówca dowiódł, że ten wyraz „bracia“, oznacza istotnie braci Pana naszego, ale tylko braci ciotecznych, i że dopiero wtenczas zaczęli heretycy wyzyskiwać to wyrażenie, gdy w chrześcijaństwie zatarło się poczucie delikatnych właściwości i odcieni biblijnego języka. Ale już w IV wieku św. Hieronim, ten największy znawca pisma św. tak dalece rozgromił kacerzy, że wywody jego pozostaną na wszystkie czasy stanowczą odpowiedzią w tej materyi. My Słowianie możemy się powołać na naturę naszego języka, który podobnie jak język hebrajski przez wyraz „brat“ oznacza nietylko brata rodzonego, ale owszem wszelkie stopnie pokrewieństwa, przyjaźni i życzliwości.

Nie potrzeba dodawać, że mówcy i autorowie broniący dostojeństwa św. Rodziny, odparli zarazem nikczemne oszczerstwo, jakoby Chrystus nie zmartwychwstał a tylko obudził się z letargu. Mieliśmy w ręku nie małą ilość broszur, traktatów, artykułów dziennikarskich w tej materyi. Dla braku miejsca nie podobna rozbierać tej skromnej, ale tak ciekawej i ważnej literatury. Ze sfery ludowej, z drobnych pisemek, z polemiki dziennikarskiej, przedmiot ten przeszedł dzisiaj do uczonych publikacyj, gdzie czytelnik może znaleść wszystkie zarzuty i odpowiedzi jak się one wywiązywały w ciągu wieków, względem tych fundamentalnych punktów wiary, na których spoczywa cała budowa chrześcijanizmu.

Uważam sobie za obowiązek wspomnieć tutaj o liście biskupa Strossmayera do ks. kard. Ganglbauera. Sławny Pasterz południo-

wych Słowian zabiera słowo, zniewolony przez słowiański charakter Wereszczagina. Opowiada on o bolesnem wrażeniu, jakiego doznał przy oglądaniu malowideł rosyjskiego artysty i w zupełności podziela surowy sąd Arcybiskupa wiedeńskiego. Zwracając się do Słowian powiada, że jeśli doktryny których wyrazem jest Wereszczagin, sprowadzają nieszczęście i ruinę na narody stare i wysoko wykształcone, to nierównie straszniejszemi one być mogą dla młodych i niedoświadczonych plemion słowiańskich. Wedle biskupa Bośni i Syrmii, narody słowiańskie mają powołanie przejąć się szczerzej i serdeczniej od innych prawdami chrześcijanizmu, równie w prywatnem jak publicznem życiu i nie powinny szczędzić, ani pracy, ani ofiary dla owej „boskiej jedności", która wszystkie plemiona i narody wiąże w jedną „świętą społeczność", iżby się spełniła co prędzej obietnica Pańska: *Et erit unus pastor et unum ovile.*

Poprzednio jeszcze inny biskup słowiański, Książe bisk. z Lublany w liście pasterskim wydanym w drugą niedzielę Adwentu, zachęca swych wiernych Słowieńców, aby przy nadchodzącej uroczystości Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi goręcej wznosili swe modły dla przebłagania P. Boga za publiczne zgorszenia dokonywane w Wiedniu.

Pośród tych trosk i wzruszeń dusz chrześcijańskich zbliżył się dzień 8 grudnia, dzień podwójnie uroczysty dla Kościoła od czasów Piusa IX. Święto Niepokalanego Poczęcia Bożej Rodzicielki, zawsze obchodzone w Wiedniu z najwyższą okazałością, stało się tym razem dniem głośnego zatwierdzenia wysokiej godności Maryi i Boskości Jej Syna z powodu bluźnierstw Wereszczagina. W obec zuchwalstwa niewiary, dusze płonące chrześcijańską żarliwością postanowiły złożyć uroczysty hołd Przenajświętszej Rodzinie.

Był to posępny, chłodny ranek. Zaledwie poczęły padać pierwsze brzaski zbliżającego się dnia, gdy ze wszystkich dzielnic stołecznego grodu dały się słyszyć głośne echa pobożnych pieśni. Byli to pielgrzymi spieszący do tumu św. Szczepana na wezwanie Arcybiskupa. Wnet na placu przed starożytną świątynią zaczęły się pojawiać pobożne rzesze, postępujące za krzyżem i świętemi obrazami, nucąc pieśni kościelne. Przeszło trzydzieści stowarzyszeń katolickich stanęło pod wodzą starszych i przełożonych. Wszystkie parafie Wiednia i jego okolic przysłały tutaj swoich przedstawicieli. Wnet

ogromny gotycki tum, cały zalany falami jarzących świateł, zapełnił się tysiącami katolickiego ludu. Mężczyzni zajęli jedną, niewiasty drugą połowę świątyni. Na zaszczytnem miejscu między tłumami pobożnych zasiadły trzy rodziny arcyksiążęce, bracia i krewni panującego domu, z małżonkami i dziećmi. Obok nich uszykowały się wielkie rody, znane z gorących uczuć katolickich i zasług oddanych Kościołowi i monarchii. Był to nie do opisania widok piękny i uroczysty!

Ozwały się dzwony, olbrzymie dzwony św. Szczepana, niosąc hasło mieszkańcom stolicy o mającem się złożyć zadosyćuczenieniu Przenajświętszej Rodzinie. Sędziwy kapłan stanął przed ołtarzem i rozpoczął świętą ofiarę. O starożytne sklepienie kościoła uderzył rzewny śpiew, wydobywający się z tylu tysięcy ust i serc. Pieśń ta, ułożona umyślnie na tę uroczystość, głosiła chwałę i świętość Jezusa, Maryi i Józefa. Modlono się za całą monarchię i za miasto rodzinne i za dom cesarski, błagano o dobre życie i o śmierć szczęśliwą, o oddalenie wojny, powietrza i wszelkich publicznych nieszczęść. Modlono się o to, o co się zawsze modli Kościół powszechny.

„Jezus, Maryo, Józefie! im bardziej obrażają was ludzie, tem więcej będziemy was kochali, chwalili i czcili!“.

Gdy kapłan spożył Ciało i Krew Pańską, obecni poczęli przystępować do Komunii świętej. To rozdawnictwo Sakramentu musiało się odbyć przy kilku naraz ołtarzach, dla wielkiej liczby komunikujących. Sześć tysięcy osób przystąpiło do Stołu Pańskiego. Liczba ta przypomina owe rzesze na puszczy, które Zbawiciel nakarmił cudownym chlebem, gdy słuchały słowa Bożego. Jest to może przypadek, może znak łaski Nieba, któż to potrafi powiedzieć. W dzisiejszej chrześcijańskiej społeczności, która ciężką walkę toczy o najwyższe dobra, widok gromadnego przystępowania do Sakramentów, będąc jakby obrachunkiem sił występujących do boju, utwierdza w wierze, zagrzewa do męztwa i wytrwania tak uczęstników jak i obecnych świadków. To też i od św. Szczepana lud rozszedł się do domów pełen wiary, otuchy i wesela.

F. Lutrzykowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Scriptores Rerum Polonicarum. Tomus VIII. Archiwum domu Radziwiłłów. (Wydawnictwa komisyi historycznej Akademii umiejętności w Krakowie tom 27). 1885., str. 295.

Mamy przed sobą tom VIII. *Pisarzów dziejów Polskich*, a 27 ogólnego wydawnictwa Komisyi historycznej Akademii umiejętności. Materyały do tego tomu wzięte z nader bogatego archiwum nieświeskiego Radziwiłłów, a samo dzieło wydane nakładem księcia Antoniego Radziwiłła, ordynata nieświeskiego, kleckiego i dawidgrodzkiego, pod redakcyą członka Komisyi historycznej, Dra. Augusta Sokołowskiego. Tom ten zawiera listy księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotki, Jana Zamojskiego i Lwa Sapiehy, odpisane z oryginałów przez Michała Bohusza Szyszko, archiwistę w Nieświeżu. Ś. p. M. B. Szyszko był jednym z gorliwych współpracowników wraz z Aleksandrem Zdanowiczem, B. F. Trentowskim, Walerym Tomaszewiczem i Wincentym Korotyńskim Słownika języka Polskiego, wydanego przez Maurycego Orgelbrandta w Wilnie. Szyszko był nadto tłumaczem kilku dzieł moralno-religijnej treści, oraz autorem wielu artykułów w czasopismach. Człowiek najzacniejszy, pracownik sumienny i gorliwy, ale nie krytyk historyczny, ztąd i życiorys ks. Sierotki, przez niego skreślony, a na czele dzieła umieszczony, blado wygląda, niewyczerpujący, bez badawczego, krytycznego poglądu na ważną, i ciekawą epokę, w której Sierotka, najstarszy syn sławnego księcia Mikołaja Czarnego, a brat rodzony młodszego ks. Jerzego, biskupa wileńskiego, następnie kardynała, tak ważną rolę odegrywał, szczególnie w sto-

sunku do Piotra Skargi i w ogóle Jezuitów, w tępieniu kalwinizmu i przywróceniu dawnej świetności kościołowi katolickiemu. Wychowaniec wyższej szkoły kalwińskiej w Wilnie, a następnie akademii w Lipsku, Sierotka miał lat 16, kiedy go odumarł ojciec, zobowiązawszy, aby był podporą kalwinów litewskich. Niewiele jednak upłynęło czasu, kiedy ten sam Mikołaj Krzysztof Sierotka, a wkrótce potem i młodsi jego bracia: Stanisław, Albrycht i Jerzy przeszli na wiarę katolicką i przez całe życie byli gorliwymi jej obrońcami, długi czas tocząc walkę z przemożnym stryjem księciem Mikołajem Rudym, bratem rodzonym królowej Barbary, który po śmierci Mikołaja Czarnego był głównym protektorem kalwinów. O nader rozległej i w skutkach obfitej działalności pod tym względem ks. Sierotki nic prawie nie znajdujemy w korespondencyi jego. Zdaje się nawet, że Szyszko może dla względów cenzuralnych, lub innych, opuścił tę część korespondencyi, zkądinąd bowiem wiemy, że w archiwum nieświeskim była znaczna korrespondencya Sierotki z bratem Jerzym kardynałem, któremu on dopomagał w wyniszczeniu Biblii Brzeskiej przez ojca ich wydanej.

Słusznie powiada p. Sokołowski we wstępie, że ażeby poznać dokładnie i ocenić wpływy, które możnowładztwo wywierało na losy państwa i całego narodu, „ażeby odróżnić to, co było poczęte z miłości dobra publicznego od tego, co się działo z prywatnych, częstokroć samolubnych pobudek, na to nie wystarczają ani dyaryusze sejmowe, skąpe zwykle i stronniczem kreślone piórem, ani pamiętniki współczesne, ani wreszcie pomącone, a często bałamutne podania źle poinformowanych kronikarzy; pozostaje jedno, jedyne rzeczby można, poważne źródło poufnych korespondencyj“. Godzimy się z tem zupełnie, ale dodaćby do tego potrzeba, że wybór z bogatych archiwów tych korespondencyj powinien być bardzo umiejętny. Szyszko zrobił co mógł, na ile go stać było. Nieśwież jednakże posiada jeszcze ogrom historycznych materyałów, których ogłoszenie byłoby wielką zasługą nakładcy i tego dzieła, dzisiejszego ordynata nieświeskiego, księcia Antoniego Radziwiłła.

Wszakże i to co już ogłoszono, jest nader ważne, zajmujące i pouczające. Pierwszy list w tym zbiorze, pisany przez księcia Sierotkę do stryja księcia Mikołaja Rudego w r. 1571, gdy jeszcze był kalwinem.

W roku następnym już był katolikiem [1]. Drugi list z r. 1574 do biskupa wileńskiego Waleryana *Protaszewicza*, t. j. do sławnego w dziejach kościoła katolickiego na Litwie, *Waleryana Protasewicza Suszkowskiego*, jak go mianują współczesne akta kapitulne, żywoty Biskupów wileńskich i inne źródła, a kto go przeobraził w *Protaszewicza*, ks. Sierotka, Szyszko, czy wydawca Sokołowski — nie wiemy. W dalszym ciągu mamy jeszcze jeden list do księcia Mikołaja Rudego (1574), następnie do księcia Krzysztofa hetmana, syna Rudego, do jego małżonki ks. Katarzyny z Ostrogskich, do kasztelana trockiego, ks. Jerzego, wnuka ks. Mikołaja Rudego, do podczaszego ks. Janusza, do panów Rad w Słonimie i ostatni, XLII., do ks. Krzysztofa młodszego. Do tych listów dołączone *Admonitoryum* z r. 1603 i testament z r. 1612. Widzimy zatem, że prawie wszystkie listy pisane do pokrewnych Radziwiłłów, nierodzonych braci (Jerzego, Albrychta i Stanisława), ale z linii Rudego, kalwinów. Pomimo to, zmiana religii i przeważne stanowisko, jakie ks. Sierotka zajął w kraju jako obrońca katolicyzmu, stając do walki ze stryjem i bratem stryjecznym, a więc na czele dwóch obozów, bynajmniej nie nadwerężyły dobrych stosunków w rodzeństwie; owszem, najwięcej tu listów do księcia Krzysztofa hetmana, a z nich widoczny dobry, nawet serdeczny stosunek i zupełna szczerość w kwestyach politycznych.

Następują listy Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana W. kor. (w ogóle LXXVIII. listów), do książąt Krzysztofa ojca i Krzysztofa syna Radziwiłłów, do ks. Janusza syna Krzysztofa, jeden list do Lwa Sapiehy, jeden do wojewody rawskiego Stanisława Gostomskiego. Listy Zamojskiego, od r. 1577—1604 stanowią bogaty materyał historyczny, a cechują wielką zażyłość, zarazem otwartość w kwestyach politycznych z Radziwiłłami-kalwinami.

W końcu mamy tu CII listy Lwa Sapiehy do Mikołaja Krzysztofa, do obu Krzysztofów i Janusza Radziwiłłów, do Eustachego Wołłowicza, biskupa wileńskiego. Listy te pisane od r. 1584 do 1633 [2], a więc w peryodzie najciekawszym, są nader zajmujące.

---

[1] Kotłubaj (Galerya Nieświeska) mylnie podaje datę przejścia ks. Sierotki na katolicyzm w r. 1570, gdy wiemy, że Skarga przyjechał do Wilna zaledwo w r. 1572.

[2] Listy te pisane z Moskwy, gdzie dwukrotnie był posłem, z Różany,

Znać z nich prawego, zacnego Litwina, gorąco miłującego kraj swój rodzinny i poświęcającego się dlań bez granic. Znakomity prawodawca, bohater swego wieku, największy z ludzi w danej epoce na Litwie, Lew Sapieha, w listach swych do przyjaznych i pokrewnych mu Radziwiłłów, maluje się właśnie takim, jakim go Litwa cała *do dziś dnia* sobie przedstawia, zacnym, szczerym, łączącym najwyższe cnoty i powagę wysokiego dygnitarza, z najrzadszemi przymiotami serca, uprzejmością i serdecznością charakteru, a zarazem ujmującą słodyczą człowieka otwartego, naturalnego, bez sztuk, bez podłażeń i przeskakiwań. A ci na Litwie, którzy go zawsze stawią na świeczniku wielkich narodowych zasług, zapewne niebardzo będą wdzięczni p. Dr. Augustowi Sokołowskiemu za wyrazy pewnej niechęci i lekceważenia, z jakimi się odzywa we wstępie o twórcy (trzeciego) statutu litewskiego. Widocznie nie podobał się Lew Sapieha p. Sokolowskiemu. Poufne, przyjacielskie jego zeznania, źle zrozumiane zostały i dały powód do dowolnych, a w każdym razie przesadnych wyjaśnień zasad i charakteru człowieka.

W oczach p. Sokołowskiego i to złe, że Sapieha *Litwin czystej wody*, narzekający nieustannie na przewagę koroniarzy. Że zasięgał rady księcia Krzysztofa, czy godzi się opuszczać w przywilejach to co szkodliwe, troszcząc się zarazem, ażeby statut był wydawany i po polsku, dodając, „że kiedym miał *de verbo ad verbum* przełożyć wedle ruskich słów i sentencyj, bardzo byłoby niegrzecznie, a inaczej nie śmiem“. Co mianowicie uważał za niegrzeczne — nie wiemy; może to, że statut wymagał od urzędników znajomości języka ruskiego, a warował, żeby Polacy nie zajmowali posad na Litwie. P. Sokołowski nazywa to *prowincyonalizmem*. A więc Litwinowi, jak powiada, czystej wody, nie wolno było troszczyć się o dobro swego kraju rodzinnego, powinien był raczej ubiegać się o to tylko, co się koroniarzom podoba? Prowincyonalizm! Nie nowe to zarzuty. Zarzucano go i Witoldowi, zarzucano i ks. Konstantemu Ostrogskiemu, że po walnem zwycięztwie pod Orszą nad Moskalami, fundował na tę pamiątkę cerkiew wschodniego

---

z Wilna, z Krakowa, z Kazimierza, z Grodna, z Krynek, z Przedborza, Międzyrzecza, Płocka, Słonima, Warszawy, Rygi, Mołodeczna, Sandomierza, Ujazdowa, Niemenczyna, z obozu pod Fiedorowskiem, z pod Drohobuża, Brześcia, Lit., Mohylewa, Tołoczyna.

obrządku w Wilnie. Zarzucano i Chodkiewiczowi, staroście Żmudzkiemu, gdy na klęczkach błagał Zygmunta Augusta na sejmie lubelskim o zachowanie chociażby niektórych przywilejów Litwy. Wszystko to prowincyonalizm!

Sapieha, mówi autor wstępu, narzekał na przewagę koroniarzy. Bo też ta przewaga, chęć przodowania, w owym czasie była znamionującą. Alboż to jeden Sapieha narzekał? A tenże sam Mikołaj Krzysztof Sierotka alboż nie wspomina w liście do ks. Krzysztofa hetmana (list XIX., str. 32) „że oni (Polacy), wszędzie chcą hersztować". A niech przypomni autor, jakie wyrzuty robił ten sam ks. Krzysztof, będąc już wojewodą wileńskim, w obecności króla Władysława IV. (1636) Opalińskiemu, za chęć poniżania Litwinów. Setki takich przykładów, takiego prowincyonalizmu naliczyćby można. Sapieha czuł jak inni i bolał, że święta zapowiedź: *równy z równym* tak często ulegała zboczeniom.

P. Sokołowski widzi w kanclerzu litewskim typ magnata-*dorobkowicza*. Chyba już tego za wiele. Lew Sapieha-dorobkowicz! Był on magnatem z pradziadów. Potomkowie Punigajły, wnuka Gedymina, Sapiehowie byli panami z panów. Jeszcze w XIV. stuleciu Sapiehowie mieli swoje groby familijne na wyspie trockiego jeziora Galwa przy cerkwi św. Jerzego, założonej przez Witolda dla jego małżonki ks. Holszańskiej. A w późniejszych czasach któż nie słyszał o bogactwach i przepychu Różanny Sapieżyńskiej, gdzie Iwan Sapieha z niesłychaną wspaniałością podejmował Zygmunta I. Nie, Lew Sapieha nie był dorobkowiczem; przeciwnie, zarzucano mu, że jego poselstwa do Moskwy, jego gorliwość w fundowaniu Kościołów, szczególnie na Białej Rusi, gdzie przed Jezuitami był tylko jeden (w Obolcach) kościół [1], rujnowały Sapiehów. W liście z r. 1586, wówczas 29-letni Lew Sapieha pisze do ks. Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła kasztelana trockiego: „Pisząc w sprawie Nieświeskiej dokładać WMć, raczysz, żem nie katolik, ale racz WMć wiedzieć, że mię ksiądz Skarga, ksiądz Laterna i ksiądz Antoni ruszyli bardzo z starej tej mojej wiary, tak, że jej mało przy mnie zostało, i większą część mają we mnie katolicy, niż kalwinowie,

[1] Mamy tu na względzie gubernije Mohylewską i białoruskie powiaty gub. Witebskiej, oprócz ziemi Łotewskiej, gdzie już były kościoły.

albo luterani; już za małą rzeczą nie wszystek jestem katolik, ale bardzo blisko tego". Jakoż wkrótce został katolikiem, był założycielem klasztoru P.P. Bernardynek i kościoła św. Michała w Wilnie, oraz przeszło 60 kościołów na Litwie, a przeważnie na Białej Rusi. Nic więc dziwnego, że przy takich nadzwyczajnych wydatkach, chcąc utrzymać powagę swojego domu, nie odrzucał, kiedy mu dawano takie bogate starostwa, jak słonimskie, mohylewskie, retowskie i inne.

Gdy Szyszko nie zostawił żadnych uwag i objaśnień, musiał więc p. Sokołowski zadać sobie mozolną pracę w załączeniu 239 wskazówek w przypisach dla wyjaśnienia tekstu. A ponieważ u nas tu rzeczy litewskie dla wielu są jeszcze *terra incognita*, nic więc dziwnego, że i w tych przypisach jest masa błędów, nietylko biograficznych, ale i geograficznych. Tłumaczy się to w części tem, że wydawca nie miał jeszcze kapitalnego dzieła p. Józefa Wolffa „O senatorach i dygnitarzach litewskich, któreby niejedną kwestyę mu wyjaśniło. Dla oznaczenia zaś położenia rozmaitych miejsc, o których mowa w dziele, pracowity wydawca trzymał się podziału na województwa i dawne powiaty, o których niewielu już dziś pamiętają. Nie naszą jest rzeczą na tem miejscu prostować błędy; dla przykładu tylko wskażemy tu parę niedokładności. Powiada wydawca, że Stanisław Radziwiłł był marszałkiem nadwornym litewskim już w r. 1585, i że myli się Kotłubaj twierdząc, że go mianował marszałkiem król Stefan w r. 1586 (str. 20, przypisek 5). Prawda, że myli się Kotłubaj, ale myli się i p. Sokołowski. Książe Stanisław nigdy marszałkiem *nadwornym* nie był, najwyższym zaś marszałkiem mianowany w r. 1592; marszałkiem wielkim od r. 1579 był brat jego Mikołaj Krzysztof, a gdy ten został kasztelanem trockim, właśnie w r. 1586 mianowany trzeci brat książe Albert, który już od r. 1579 (po bracie Mikołaju Krzysztofie) był marszałkiem nadwornym.

W r. 1586 kasztelanem mińskim był nie Paweł Pac, ale Michał Haraburda, a gdy umarł 12 lipca, nastąpił po nim Agryppa Wacław. Paweł zaś Pac w r. 1566 został kasztelanem witebskim, w r. 1578 wojewodą mścisławskim, a w r. 1593 kasztelanem wileńskim. Ponieważ ks. Sierotka pisząc w swym liście (XV.) do ks.

Krzysztofa hetmana o unii z Moskwą [1], wspomina o *panu Mińskim*, niezawodnie więc miał na myśli Haraburdę, nikogo innego; wiadomo bowiem, jaką rolę odgrywał Haraburda w ówczesnych stosunkach z Moskwą, i jak dzielnie bronił sprawy przed Iwanem Groźnym.

Orsza (str. 32) należała do księstwa witebskiego, a gdy utworzono województwo Smoleńskie, Orsza była przyłączoną do tego ostatniego; po utracie zaś Smoleńska, stanowiła osobną prowincyę pod nazwą *Ziemi Orszańskiej*, a następnie zaliczona do województwa Witebskiego, dziś zaś jest miastem powiatowem w gubernii Mohylewskiej. W czasie, o którym wspomina ks. Sierotka w liście swoim do ks. Krzysztofa, tj. w r. 1587, Orsza była zajęta przez Moskwę.

Czytelnik nie mając podręczników, a niebiegły w dawnej geografii Polski przedrozbiorowej, łamałby sobie głowę, szukając miasta powiatowego *Upity* w województwie trockiem, gdy Upita dawno przestała być miastem powiatowem i dziś położona w gubernii Kowieńskiej, w powiecie Poniewieżskim.

Musimy tu jeszcze potrącić o jedną kwestyę, niewielu znaną. Dr. Sokołowski mówiąc o testamencie księcia Sierotki, zamieszczonym w tem dziele (str. 71) wspomina (we wstępie, str. V.), że jak się dowiedział *odemnie*, testament ten był już raz ogłoszony drukiem z polecenia rządu rosyjskiego. Zachodzi tu nieporozumienie, a sądzimy, że wyjaśnienie tej kwestyi może być nie bez użytku dla pracowników na niwie historycznej.

W r. 1813, d. 11 listopada we Francyi umarł książe Dominik Radziwiłł, znany bojownik z czasów cesarza Napoleona i zostawił jedynaczkę córkę ks. Stefanię [2]. Cesarz Aleksander ukazem dnia

---

[1] „Za nowiny, pisze Sierotka, WM. swemu mciwemu panu dziękuję; ale boję się że i ta unia z Moskwą dojdzieli, nie utyć Litwie na tem, jam dudek, ale widzę to dobrze, że my Litwa szczepim, pracujem, a kto inny goduje. A tegom też ledwie nie pewien, że ów co osobny list do Moskwy pisał (spostrzegając miejsca swego, aby pieczęć jego pod drugiemi nie była), sobie to przypisze i rozumowi swemu, dojdzieli to o czem *pan Miński* pisze; ale już bych mu ja i w tem dał cześć i sławę, jako pan Kmita mówi, by jedno z Litewskiem dobrem".

[2] Stefania Radziwiłłówna, córka księcia Dominika i Teofili z Morawskich, urodziła się w Paryżu w r. 1809. Pięcioletniem dzieckiem, po śmierci ojca,

24 lutego 1814 rozkazał: znieść sekwestr, któremu uległy dobra zmarłego księcia Dominika z powodu zostawania jego w nieprzyjacielskiej służbie wojskowej i niepowrotu w zakreślonym czasie do kraju; ordynatem Nieświeskim, Ołyckim i Mirskim uznać księcia Antoniego Radziwiłła wielkorządzcę poznańskiego; dziedziczne zaś dobra ks. Dominika poddać spadkowi prawami przepisanemu, a dla małoletniej córki jego przeznaczyć za opiekunów Adama księcia Czartoryskiego, tajnego radcę i senatora, Wawrzeckiego, tajnego radcę, i książąt Walentego i Konstantego Radziwiłłów. Dla wyświecenia zaś długów, obarczających tak ordynacyjne, jak i sukcesyjne dobra, utworzyć osobną komisyę w Wilnie, pod prezydencyą hr. Pocieja, z 9 członków.

Na tej podstawie utworzyła się komisya, której działalność trwała lat kilkadziesiąt. Komisya wykryła przedewszystkiem wielkie nadużycia ze strony nowego ordynata, który nietylko ordynackie, ale i wiele dziedzicznych dóbr, należących do księżniczki Stefanii, nieprawnie objął we władanie; udowodniła, że sam Mir nigdy do ordynacyi nie należał, że wiele majątków nieprawnie zabrały osoby prywatne.

Otóż dla udowodnienia i wyjaśnienia tych wszystkich kwestyj, w r. 1824 na podstawie oryginalnych dokumentów przewiezionych z Nieświeża do Wilna, ogłoszoną została drukiem: „*Replika ze strony jeneralnego prokuratora massy funduszów i interesów JO. księżniczki Jejmości Stefanii Radziwiłłówny*". Jest to duża in 2⁰ księga, zawierająca 89 arkuszy druku, starannie ułożona i podzielona na dwie części. Mamy tu następujące rozdziały: 1) o głównej ustawie, czyli urządzeniu ordynacyi domu Radziwiłłów; 2) wyjaśnienie poszczególne dóbr, należących do ordynacyi Radziwiłłów; 3) o wyposażeniu z dóbr ordynackich księżniczki Stefanii. Na ostatniej karcie podpis: „Pisał Józef Karczewski, adwokat sądu głównego Lit.

---

wzięta pod opiekę przez cesarzową rosyjską Maryę Teodorównę, mianowana freiliną dworu w Petersburgu, w r. 1828 wydaną została przez cesarzowę za Ludwika hrabiego (następnie księcia) Sain Wittgensteina Berleburga, syna feldmarszałka. Umarła w 23 r. życia 17 lipca 1832 w Ems i zostawiła córkę Maryę Stefanię i syna Piotra, jenerała ros., który odziedziczył po matce wszystkie dobra na Litwie i Białejrusi.

Wil. plenipotent massy“ [1]. W końcu dodana tablica genealogiczna domu Radziwiłłów, zaczynając od Mikołaja Radziwiłła † 1460, do księcia Dominika i córki jego Stefanii.

A więc księga ta nie z polecenia rządu rosyjskiego wydana; ale przez prokuratoryę masy Radziwiłłowskiej dla ułatwienia stron interesowanych, drukowana w niewielkiej liczbie egzemplarzy i nigdy w obiegu księgarskim nie była [2].

Dla historyka zawiera ona niezmiernie dużo szczegółów ciekawych, a tem ważniejszych, że opartych na autentycznych dokumentach i przywilejach. Mamy tu wypisy z testamentów ks. Stanisława r. 1598, Albrychta ordynata 1592, Mikołaja Krzysztofa 1612, Jana Albrychta 1624, Jana Jerzego 1625, Zygmunta Karola 1640, Aleksandra Ludwika 1654, Albrychta Stanisława 1655, nadto zapisy, działy, uchwały sejmowe, konfirmacye, konwencye, dekrety ziemskie i t. d.

W drugiej części mamy wskazówki i historyczne wiadomości o 244 posiadłościach Radziwiłłów, dworach, wsiach, folwarkach, dokładnie wyświecających przejścia ich z rąk do rąk od najdawniejszych czasów, nadania i przywileje, rozgraniczenia i t. d.

Niema tu w całości testamentu księcia Sierotki, tylko kilka ważniejszych wypisów z niego, które porównywaliśmy z obecnie ogłoszonym tekstem, a znaleźliśmy, że prawie dosłowne, z wyjątkiem paru nieznaczących różniących się ustępów, które pochodzić mogą z omyłek drukarskich.

A. H. Kirkor.

Wyprawy misyjne do krajów Zambezy w południowej Afryce. Przedruk z Misyj katolickich. Kraków 1885.

Komuż z katolików obojętne krzewienie się Boskiej naszej wiary? To świadectwo najwymowniejsze żywotności kościoła Chrystusowego który w pochodzie wiekowym nie zmarniał, nie zestarzał się, ale z nadziemską iście siłą dąży ku wytkniętemu sobie przez Zbawcę celowi, *by zbawiać, co było zginęło.* Wciąż brzmi rozkaz Chrystusa: *Idźcie, nauczajcie wszystkie narody* i wciąż znajdują się wielkie serca, co opuściwszy wszystko, ochoczo śpieszą na to wezwanie. Ostatnim krajem do którego w najnowszych czasach, bo w ubiegłym dzie-

[1] Tylko druga część ma oznaczoną paginacyę, str. 236, na wszystkich innych same liczby arkuszy druku, na dole oznaczone, w ogólnej liczbie 89.

[2] Egzemplarz tej dziś nader rzadkiej księgi posiadamy z daru znanego historyka ś. p. Mikołaja Malinowskiego, ostatniego długoletniego prokuratora masy Radziwiłłowskiej.

siątku lat, zaszła Ewangelia, jest Zambeza na południu Afryki położona. Długo, bardzo długo głąb tej ogromnej części świata niedostępny był dla misyonarzy katolickich. Wpierw uprzedzili ich wysłańcy innych sekt, protegowani przez rządy swe i bogate stowarzyszenia; ale ci nie mając ducha Bożego wyzyskiwaniem i nieludzkiem obchodzeniem się z krajowcami zniechęcili ich do religii chrześcijańskiej. Później w 17 wieku zawisł nad temi krainami zdobywczy miecz Holendrów i Anglików, a miecz tych kolonizatorów nie rdzewiał, ale mordem i uciskiem szerząc cywilizacyę, zniemoralnił i zdziczył do reszty afrykańskie plemiona. I niewiele pomogli wciąż napływający misyonarze sekciarscy, co pieniędzmi przyciągali krajowców do wiary. Wpływ ich wedle niepodejrzanego świadectwa Livingstona trwał dopóty, póki płacili.

Dopiero w trzecim dziesiątku naszego stulecia zdołał Kościół otworzyć pierwszy swój wikaryat w południowej Afryce, a posuwając się wciąż naprzód dotarł do Zambezy, kraju zamieszkałego przez dzikie ludy murzyńskie. Misyę Zambeską Ojciec św. Leon XIII. polecił trosce Towarzystwa Jezusowego, mianując Ojca Jenerała prefektem apostolskim. Na wysłane orędzie przez tegoż do różnych prowincyj, odpowiadały liczne głosy gotowością. Ojciec Jenerał wybrał 17 tak kapłanów jak i braci z różnych narodowości, a na ich czele postawił O. Depelchen Belgę wytrawnego misyonarza z Indyj. Ci mieli być pierwszymi głosicielami słowa Bożego w Zambezie. W niniejszej książce mamy opisany zaczątek i pierwsze prace apostolskie wśród afrykańskich plemion przedsięwzięte. W niewielu słowach skreślone liczne trudy i nadludzkie wysiłki tej bohaterskiej drużyny. Opowiadanie przeplatane wyimkami z listów misyonarskich, co z prostotą niewymuszoną kreślą swe przypadki i zbożne usiłowania w listach do braci swych zakonnych. Są tam zajmujące opisy i krain i ludów w nich mieszkających, tryb ich życia, sposób wojowania, urządzenia społeczne i t. d. Ciekawe to i pouczające, ale co najbardziej za serce chwyta, to los tych dobrowolnych wygnańców, co z takiem bezprzykładnem wyrzeczeniem się siebie poświęcają się pracy apostolskiej na tej nieużytej glebie. Praca to nielada przyciągnąć do jarzma Chrystusowego te dzikie, żyjące wśród rozlewu krwi, rozpojone przez kolonistów europejskich a oddane wszelkiej sprosności plemiona. Śmierć coraz to nowe wyłomy czyni wśród nowych misyonarzy, zgniła gorączka powala jednego po drugim na łoże boleści, chciwość krajowców dybie na każdym kroku, obdziera ich z mienia, czyha na ich życie, a oni pomimo to dwoją się i troją w pracy, zapał ich nie ustaje. I zbożnej pracy Bóg pobłogosławił. Po kilku latach mozołów stań misyi kwitnący. Dwa kolegia otwarte i 7 stacyj misyjnych a w nich przeszło 60 członków zakonnych. Sprawdza się wyrok pisma św: *Idąc szli i płakali rozsiewając nasiona swoje, ale wracając się przyjdą z weselem niosąc snopy swoje.*

Dochód z rozprzedaży tej książki jak i z Bułgaryi, o której w poprzednim numerze wspomnieliśmy, przeznaczony na misye zagraniczne. *B.*

Repertorium czynności Galicyjskiego Sejmu Krajowego od roku 1861 po rok 1883, zebrał *Władysław hr. Koziebrodzki,* poseł na sejm krajowy. Lwów 1885. Str. III.—410.

Ćwierć niemal wieku, jak kraj nasz cieszy się autonomią. Wiele spraw piekących załatwiły w tym czasie nasze sejmy krajowe, a wiele jeszcze poru-

szonych czeka rozstrzygnięcia. Poznać przebieg pojedyńczych kwestyj, wiedzieć, w jakiem się stadium obecnie znajdują, jest nieraz konieczną, często pożyteczną a zawsze ciekawą rzeczą. Ale takie badanie niemało przedstawia trudności. W czterdziestu tomach zapisków stenograficznych i przeróżnych allegatów zawarte są czynności dziewiętnastu sesyj sejmowych, a i tu wiele niedokładności w indeksach i we wskazówkach do sprawozdań. Ażeby tak kolegom sejmowym, jak i prywatnym publicystom ułatwić zoryentowanie się, i oszczędzić im trudu i czasu w szukaniu nieraz bezowocnem, postanowił autor ułożyć katalog czynności każdego sejmu. Przechodząc je kolejno od 1861 r., wylicza porządkiem abecadłowym ważniejsze sprawy, tyczące się ogółu, wymienia przytem wnioskodawcę lub referenta, uchwałę zapadłą, odrzucenie jej lub odesłanie do komisyi odpowiedniej, dodając stronę gdzie jej szukać potrzeba, i tak aż do 1883 roku. W końcu dołącza spis członków sejmowych od 1861 r., dalej indeks osób, w którym podani referenci lub wnioskodawcy, a wreszcie indeks przedmiotów, omawianych podczas ubiegłych sejmów, oba z odnośną paginacyą. Zupełne uznanie należy się pracowitemu dziełu. *Z. B.*

Mitologia Greków i Rzymian dla Młodzieży opowiedział *Dr. Tr. J. Albert Zipper*. Lwów 1886. Str. VIII. — 216.

Znajomość mitologii greckiej i rzymskiej z jednej strony konieczną jest dla kształcącej się młodzieży przy czytaniu dawnych klasyków, i w historyi starożytnej, z drugiej zaś strony niepodobna podać jej w całości by nie skazić młodych serc jadem niemoralności. Tak jak klasycy tylko *purgati* znajdować się powinni w rękach młodzieży jeżeli im nie chcemy miasto strawy dla ducha podać trucizny dla serca, tak samo i mitologia dla młodzieży powinna być *purgata*. Taką była dawna O. Juvencyusza S. J. przeznaczona i używana powszechnie w niższych szkołach taką samą znajdujemy w *Antiquitates romanae* (*Vindobonae* 1820) i t. d. O ile wiemy, nowsze, któreby bezpiecznie młodzieży dać można, nie istnieją. Zaradza temu obecnie przez p. Dr. Zippera wypracowana mitologia, a w całem wykonaniu nadaje się do tego, żeby i młodzież pouczyć, co wiedzieć jej potrzeba, a opuszczone, co wyobraźnię skalać może. Przytem wydanie wcale piękne, ozdobione 20 tablicami, na których ryciny zalecają się wyborem etycznym i wartością artystyczną, a wzięte są z klasycznych pomników. Piękna ta książeczka może służyć i za podręcznik naukowy i za podarek lub nagrodę pilności. *Z. B.*

Szkice Literackie 2 tomy. *Stefania Chłędowska*. We Lwowie i Warszawie 1885.

Autorka tych szkiców, jak i nowel, które na początku tego roku się ukazały, była osoba młoda, nieszukająca wcale rozgłosu literackiego. Prace swe puszczała w świat bez nazwiska, obcemi je znacząc literami. Nieraz zadziwiały one śmiałością poglądów, stylem wykwintnym, znajomością literatury tak swojskiej jak i obcokrajowej, że trudno było się domyśleć, że to ręka kobieca je kreśli. Przędziwem głównem tych prac są niektóre płody ojczystej i obcej sztuki

i literatury, zwłaszcza z ostatnich czasów. Autorka porusza także niektóre kwestye socyalne, już to oddzielnie, jak np. emancypacyę kobiet, już to w ocenach swoich. Tu niejedno mielibyśmy do zarzucenia autorce. Jej określenie sztuki nadto jednostronne, pojęcie o posłannictwie kobiet spaczone, obrona rozwodów przeciwna najistotniejszym zasadom moralności. W krytyce także nie zachowana należyta miara, nieraz jak w ocenie Redwitza nadto żółci, a w ocenie Elego zbytek kadzidła. Mamy jednak wszelki powód do mniemania, że gdyby autorka dłużej pożyła, sądby jej się znacznie wytrawił, i niejeden błąd samaby sprostowała, miała bowiem wiarę, jak to widać z niektórych szkiców i serce po chrześcijańsku czujące, a talentu i zmysłu spostrzegawczego nikt jej odmówić nie może. *B. J.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Najnowsze publikacye filozoficzne.

Na żadnem może polu nie okazało się w ostatnim czasie tyle gruntownych i pouczających prac, co na filozoficznem, dzięki przedewszystkiem popędowi, danemu tej królowej nauk w Encyklice „Aeterni Patris“. Scholastyka niedawno jeszcze wyśmiana i zapomniana wstała z długoletniego uśpienia, przypominając się przyjaciołom i nieprzyjaciołom w przepysznych edycyach dawnych mistrzów i komentarzach nowszych uczonych, godzących zasady Arystotelesów i Tomaszów z praktycznemi odkryciami i metodą nowoczesnych nauk przyrodzonych. Pierwsze miejsce w tych wydawnictwach zajmuje rozpoczęta dopiero, ale obiecująca nadzwyczaj świetne rezultaty: „Bibliotheca theologiae et philosophiae scholasticae, selecta atque composita a Fr. Ehrle S. J.“ Chcąc poznać scholastykę a nie wyśmiewać jej na słowo jakiegoś satyryka, czy pamflecisty, trzeba studyować choć parę rozdziałów najznakomitszych jej autorów; a któż dzisiaj zna, bodaj z imienia, owe olbrzymie, niedostępne foliały uczonych filozofów, z XIII., XIV. lub XVII. wieku, których w największych nawet bibliotekach często odszukać nie można. Niedostatkowi temu ma właśnie zapobiedz wydawnictwo O. Ehrle. Wykluczając z swego programu autorów świeżo wydanych, jak n. p. Aleksandra z Hales, lub mających skromną tylko i bardzo względną wartość, „Biblioteka“ obejmować ma cztery główne działy: 1) Dawnych filozofów; 2) Dawnych teologów; 3) Nowszych filozofów; 4) Nowszych teolo-

gów. W pierwszej z tych kategoryj, prócz Arystotelesa, którego wiele pism już opuściło prasę, mieścić się mają Avicenna i Averroes; w następnej Piotr z Tarantazyi, Capreolus, Henryk z Gandawy, Colonna; w trzeciej Suma tomistyczna przez Alemaniego, której druk różwnież jest już rozpoczęty; w czwartej komentarze Isamberta nad pismami św. Tomasza, komentarze „De scientia Dei“ Ruiz'a de Montoya i dzieła kapucyna Tricassinus'a. Olbrzymiemu temu programowi dodaje szczególniejszej wagi zapewnienie wydawcy, że „wolen od stronniczości dla tej lub owej szkoły i opinii, zawsze i jedynie prawdziwą wiedzę i pożytek mieć będzie na względzie“.

Wyszłe dotychczas dzieła Arystotelesa, wespół z odpowiednim komentarzem O. Sylwestra Mauro, jednego z najzdolniejszych Jezuitów XVII. wieku, wskazują z jakiem staraniem, erudycyą i talentem przystąpił O. Ehrle do powierzonej mu pracy. Niektórzy uczeni żałować pewnie będą greckiego tekstu, którego wydawca nie podał; ale umieszczenie tego tekstu, nietrudnego zkądinąd do odnalezienia, pociągnęłoby za sobą niepomierne koszta, a dla największej liczby czytelników zastępują go najzupełniej wyborne tłumaczenia Riccoboni'ego i Paciusa. Z niemałym taktem, wydawcy nie przeciążyli bynajmniej i tak już ciężkiego tomu długiemi notami i przedmowami; natomiast zwrócili staranną uwagę na punktacyę, tem bardziej, że w poprzednich wydaniach zmieniała ona nieraz nielitościwie sens i komentowanego i komentatora.

Jeżeli gdzie, to przedewszystkiem w Hiszpanii znalazła echo Encyklika Ojca św., zachęcająca do podjęcia z nowym zapałem studyów filozoficznych. Nie znalazł się tam wprawdzie dotychczas wydawca czy uczony na wielką skalę, jakim jest np. O. Ehrle; ale do tego potrzeba innych warunków, potrzeba przedewszystkiem potężnych mecenasów: Augusta lub Ludwika XIV., Leona X., lub Leona XIII.; natomiast zaznaczyć tu należy okazanie się trzech nie mniej pożytecznych, choć mniej głośnych podręczników z dziedziny etyki i prawa przyrodzonego. „Ethicae seu philosophiae moralis notiones“, przez kanonika Sucona y Valles, przeznaczone specyalnie dla seminaryów duchownych, grzeszy może zbytnią krótkością, której nie wynadgradza dostatecznie łatwość przedstawienia, graniczącą o krok z brakiem dostatecznej gruntowności. Autor opiera się na pracach kardynała Zigliara, O. Tapa-

relli i Mgr. Audisio; nie jest oryginalnym, ale też do oryginalności pretensyi nie ma. Większego znaczenia są hiszpańskie podręczniki O. Józefa Mendive T. J.: „Elementos de etica general.“, i „Elementos de derecto natural“, który wespół z wyszłemi poprzednio traktatami o logice, ontologii, theodicei i kosmologii, stanowi kompletny kurs filozofii, trzymający się z roztropną przezornością zasad i metody scholastycznej.

Obok scholastyków, korzystających pilnie z nowych odkryć nauki dla zupełniejszego wypełnienia olbrzymiego programu, zakreślonego przed wielu wiekami przez Anioła szkoły, jego współzawodników i uczniów, pracują pilnie, dostarczając ciekawych materyałów do badań swych kolegów, psychologowie francuscy, angielscy i niemieccy. Eliasz Rabier, profesor filozofii w liceum Karola W., rozpoczął obmyślane na bardzo szeroką skalę: „Leçons de philosophie“ od grubego tomu, zajmującego się wyłącznie psychologią. P. Rabier trzyma się obowiązkowego programu szkolnego i książkę swą uważa wyraźnie za przyszły podręcznik dla uczniów, choć wątpić można, czy ci ostatni znajdą choćby tylko materyalny czas do przewertowania owych 676 stron, z których składa się sam tylko pierwszy tom. Natomiast dla profesorów jest to cenny nabytek, tem bardziej, że autor nie odstępuje w ogóle od zasad zdrowych i prawdziwych. Bodajby książka ta sparaliżować mogła, choć po części, niezdrowy wpływ empirystów angielskich, rozszerzający się niestety, jak gdzieindziej, tak i we Francyi. W ostatnich miesiącach przetłumaczono tu znowu niemoralne, bo występujące do jawnej walki z nauką o wolnej woli „Wrażenia i wola“, przez profesora angielskiego uniwersytetu w Aberdeen, Aleksandra Bain. Na domiar złego, uczony redaktor „Przeglądu filozoficznego“, Ribot, jawnie sprzyja tej empirystycznej szkole, jak to widać w wielu jego artykułach, w książce „O angielskiej psychologii“, a najjaśniej w pracy: „Les maladies de la personnalité“. Mnóstwo ciekawych szczegółów i doświadczeń, wybornych klasyfikacyj i uczonych analiz służyć ma tu na poparcie tezy, zbliżającej się o włos do twierdzeń, na które z ochotą podpisaliby się Haeckel lub Büchner. Co za szkoda talentu i większej jeszcze pracy!

W przedmowie do ostatniego swego dzieła: „Le nouveau spiritualisme“, p. Varcherot, żegnając się — dla złych oczu i pode-

szłego wieku — z metafizyką, kreśli w głównych zarysach program nowej swej teoryi, mającej odnowić dawny spirytualizm przez zdobycze nowożytnej wiedzy. Jak dawniej tak i teraz Vacherot broni się przed wiarą w objawioną religię, uważając ją jedynie za arkę, kryjącą w sobie olbrzymią metafizykę, przeznaczoną przedewszystkiem do pocieszania serc zbolałych. Stosownie do tego założenia, w dziele Vacherot'a znajduje się niejedno miejsce na pozór głęboko katolickie, obok zdania tchnącego smutnym sceptyzmem. Jak niegdyś w r. 1851, tak i dziś można powtórzyć o uczonym metafizyku, wespół ze słynnym jego przeciwnikiem ks. Gratry: „Posłuchajcie tej modlitwy do istoty nieistniejącej, oderwanej; tego imienia Boga, danego nicości; tego aktu wiary i miłości, tego okrzyku uwielbienia, rozlegającego się w próżni; posłuchajcie tego szczególnego, rozdzierającego głosu, łamiącego się i gasnącego w tej niemożliwej modlitwie, i powiedzcie potem czy nie jest to jedna z najokropniejszych rzeczy których ziemia musi być świadkiem".

Z wyjątkiem szkoły scholastycznej, metafizyka ma dzisiaj niewiele stałych wielbicieli; nie dziw też że obok jednej, sceptycznej a tem samem nieposuwającej naprzód umiejętności książki p. Vacherot'a, nie stanęła w ostatnich miesiącach żadna inna metafizyczna praca którego z jego uczniów czy kolegów. Świeccy filozofowie zwracają się niemal wyłącznie do psychologii a bardziej jeszcze do historyi filozofii. Jak stosunkowo wielu ta ostatnia liczy zwolenników, wskazuje fakt, że w roku przeszłym okazała się potrzeba nowego, jedenastego już wydania „Historyi powszechnej filozofii, przez V. Cousin'a. Paweł Janet ogłosił znów osobno szereg swych artykułów z „Revue des Deux-Mondes", o najsławniejszych filozofach z ostatnich paru wieków, pod wspólnym tytułem: „Les maîtres de la pensée moderne". Pouczające te portrety Descarta, Spinozy, Malebranche'a, Pascala, Kanta, Diderota, Maine'a de Biran, wyglądałyby jeszcze piękniej i prawdziwiej, gdyby autor, nie wiedzieć dla zadowolenia jakiego kaprysu, nie poplamił ich wycieczką przeciw Syllabusowi, choć sam obiecywał poprzednio że prześlizgiwać się tylko będzie ponad powierzchnią kwestyi „zbyt delikatnych". Szczególnie interesującem i z wielu względów nowem, jest studyum nad Diderotem, którego materyalizm różnił się niemało od systematów Holbacha i Helvetiusa. Do Maine de Biran'a, autor sympatyi nie czuje,

ale wyznać należy, że wybornie umie ukryć swą niechęć w jaskrawem świetle nader zręcznie utoczonych, uderzających pozorną głębokością peryodów. Jeśli kiedy to dziś najwyraźniej dwie szkoły stanęły naprzeciw siebie: szkoła ściśle katolicka, usiłująca wznowić dawne tradycye scholastyczne i szkoła empiryczna, notująca skrzętnie psychologiczne zjawiska, imiona dawnych i nowszych filozofów i ich systemata. Nie zważając nawet na zasady, ale na samą tylko wartość i pożytek dzieł któremi obie te szkoły dają znać o swem życiu i działaniu, zwycięztwo dziś stanęło jawnie po stronie szkoły katolickiej. Prawda, że aby pokochać mądrość i o niej mówić, filozofować — należy wprzód mieć pewność że istnieje źródło, z którego mądrość płynie, i że ze źródła tego czerpać możemy.

Aus Welt und Kirche. Bilder und Skizzen von *Dr. Franz Hettinger.* 2 Bde. Freiburg. Herder'sche Verlagshandlung 1885. Str. 939.

Nazwisko „Hettingera", wypisane na nagłówku jakiej książki, najlepszem jest dla niej poleceniem. Czytelnik wie, iż pouczy się a nie znudzi, i literacka forma, prawdziwie poetyczne myśli, styl wspaniały, pokryją swym blaskiem, dodadzą życia i ponęty najsuchszym nawet teologicznym lub filozoficznym rozprawom. Tym zaletom zawdzięcza Hettinger tak szybkie rozpowszechnienie swej „Apologii Chrześcijaństwa", na różne języki przełożonej. Niemniejszego rozgłosu doczekały się „Studya nad Dantem", mimo że tak znany, rzecby można oklepany przedmiot powodzenia nie obiecywał. Nowo wyszłe „Obrazy i szkice" godnie w swym rodzaju dotrzymują placu starszym swym, poważniejszym braciom. Pilnym czytelnikom wybornych „Historisch-politische Blaetter", znaną jest największa część tych obrazów; umieszczone teraz w jednej wspólnej galeryi nietylko nie tracą na wartości, lecz owszem dopełniając się wzajemnie tworzą, nie tak częstą w podobnych zbiorach, harmonijną całość.

Tom pierwszy zawiera wspomnienia i obrazy z Rzymu i Włoch; drugi z Niemiec i Francyi. Z widocznem upodobaniem, z serdeczną wdzięcznością dla dawnych mistrzów, wprowadza nas autor po za dobrze sobie znane bramy „Collegium germanicum", gdzie w młodości tyle miłych i pożytecznych chwil przepędził. Z kolei przesuwają się poważne, głośne w katolickim świecie postacie: Perrone, Ballerini, Pianciani, Secchi, de Rossi, Kleutgen, Mai, Mezzofanti, i wielu, wielu innych kardynałów, teologów, astronomów, geologów, filozofów. Ale i „Germanici" nie zawsze siedzą z piórem w ręku za poważnym foljałem Arystotelesa, czy św. Tomasza; wesołe wycieczki po za Rzym przerywają męczące nauki; co kilka miesięcy zdarzą się zawsze jakieś wakacye, mile widać spędzane, kiedy Hettinger do dziś dnia z taką przyjemnością o nich wspomina. Wycieczka do Asyżu, nastręcza sposobność do skreślenia w kilku rysach cudownego żywota św. Franciszka; w Rawennie znów jakże nie zastanowić się nad popiołami trzech tak odrębnych, a tak każdy w swym kierunku ważnych postaci: Danta, Teodoryka, Galli Placidi.

Lecz i dzisiejszym Włochom nie brak wielkich imion, których „imiona są piętnem swego czasu“, nie brak zwłaszcza ważnych, cały świat obchodzących wypadków. Autor bawił w wiecznem mieście r. 1859, 1868 i 1869, a osobiste wspomnienia z trzykrotnego tego pobytu dopełniają dawniejszych spostrzeżeń, malują Rzym dzisiejszy pod tylu względami ten sam, pod tylu względami inny. Aniśmy się spostrzegli, a już dobiegliśmy do ostatnich kartek pierwszego tomu; z pod lazurowego włoskiego nieba przechodzimy w turyngskie lasy i do gwarnego Paryża.

Wędrówkę po turyngskim lesie odbył autor z nieodżałowanym, znanym już i w naszej literaturze publicystą ludowym Albanem Stolzem. Z samej natury swych pism Alban Stolz mówi w nich często o sobie; tem przyjemniej porównać proste te, nieraz uderzające pokorą wyznania, z portretem odmalowanym *con amore*, przez wiernego przyjaciela, który wśród długiej podróży najlepszą miał sposobność zbadać charakter wielkiego katolickiego pisarza. Obok portretu Albana Stolza, portret tyrolskiego księdza, co bez pretensyi, bez rozgłosu, cały dzień, a często i noc spędza na pełnieniu pasterskich swych obowiązków; dalej rozczulający opis prymicyj w Meranie; a wreszcie między katolickim pisarzem, osiwiałym w służbie Bożej proboszczem, i jaśniejącym młodością i zapałem prymicyantem, staje jakby dla kontrastu wstrętna postać tyrolskiego liberała. Mimochodem, ale prawdziwie mistrzowskiemi wyrazy skreśla autor błogą działalność Alzoga, Hirszera, Bussa i innych zasłużonych niemieckich uczonych. Bogu dzięki, pomyśleć musi czytelnik, zamykając całą tę książkę, ani we Włoszech, ani w Niemczech, ani we Francyi nie brak na ludziach wiernie, a umiejętnie służących Bogu; a w rycerskiej tej falandze, jedno z najwybitniejszych miejsc, zajmuje bezsprzecznie autor „Apologii chrześcijaństwa“ i skromniejszych, lecz niemniej miłych obrazów „Z świata i Kościoła“.

B.

Die Universitäten des Mittelalters bis 1400. Von *Heinrich Denifle* aus dem Predigerorden, Unterarchivar des heil. Stuhles. I. Band. Berlin, 1885.

Te tak poniewierane przez wielu późniejszych uczonych średnie wieki, ich oświata pogardzona i wyśmiana znalazły w O. Denifle dzielnego obrońcę. Dzieło jego nadto dowodem wymownym, ile Kościół przyczynił się do rozkrzewienia oświaty, że słusznie zawdzięcza mu Europa swą cywilizacyę.

W pięciu tomach postanowił autor przedstawić nam obraz uniwersytetów w średnich wiekach, opisując ich założenie, rozwój, urządzenie i znaczenie. Materyał, jakim się posługiwał w swej pracy olbrzymi, a dostarczyły go obok watykańskiego, w którem autor piastuje godność podarchiwisty, archiwa i biblioteki Francyi, Niemiec, Włoch, Anglii, Hiszpanii i Portugalii. Pierwszy tom, który się dotąd ukazał, przekonuje nas, że autor obdarzył nas istotnie dziełem pierwszorzędnej wartości. Bez uprzedzenia, nie hołdując powagom tych co go uprzedzili w tej pracy, bada dzieje uniwersytetów u samych źródeł. To też mnóstwo nowych szczegółów dotąd nieznanych, w jego dziele się napotyka i wiele błędnych zdań znajduje tam sprostowanie. Pierwszy tom rozpada się na pięć głównych działów. Na wstępie daje pojęcie, czem były uniwersytety w średnich wiekach. Tu zbija utarte zdanie, jakoby *studium generale* oznaczało

zbiór wszelkiej wiedzy, pokazując, że nazwa ta oznaczała raczej zakład naukowy, do którego przystęp mieli słuchacze wszystkich narodów. To jasno wypowiedział Fryderyk II zakładając uniwersytet w Neapolu, o tem przekonuje sam fakt, że na wielu uniwersytetach brakło przez długi czas wydziału teologicznego. Tu objaśnia także słowo *universitas*, które w średnich wiekach miało zupełnie odmienne od dzisiejszego znaczenie. Wówczas oznaczało łączność profesorów, lub też ogół słuchaczy pojedyńczych fakultetów. Tę różnicę widzimy najlepiej uwydatnioną w pierwszych dwu uniwersytetach Paryskim i Bonońskim. W pierwszym przeważał żywioł profesorski, w drugim, na wzór republikański urządzonym, dominował żywioł uczniów.

Następnie kreśli dzieje tych dwu uniwersytetów. Powstanie naprzód uniwersytetu paryskiego, podział na cztery narodowości, niemiecko-angielską, pikardzką, normańską i francuską, a wreszcie stanowisko Rektora. Każdy rozdział nowe światło rzuca na urządzenie tych dawnych instytucyj. W trzecim dziale przechodzi autor do innych uniwersytetów Europy, które powstały przed r. 1400. Wylicza ich aż 55, kiedy Savigny ledwo połowę ich znał, i o każdym podaje jak najdokładniejszą wiadomość, co tylko możliwem było przy takiem bogactwie materyału, jakiem rozporządza O. Denifle. Ciekawe są nader dzieje uniwersytetu przy rzymskiej Kuryi, który odróżnić trzeba od uniwersytetu *Sapienza*. Ten należał do Rzymu, kiedy przeciwnie tamten od Innocentego IV. ustanowiony, tak ściśle był z kuryą związany, że zmieniał miejsce swego pobytu, ilekroć się kurya przenosiła. Opowiedziawszy w ten sposób historyę powstania uniwersytetów, w następnym poda nam autor ich urządzenie, trzy ostatnie tomy poświęcając paryskiej akademii. *B.*

Du Brahmanisme et de ses rapports avec le judaisme et le christianisme par *M. Fr. Laouënan* Vicaire apostolique de Pondichéry; tome I. orné de deux cartes in 8, 492 pag. Pondichéry imprimerie de la mission catholique 1884.

Długi pobyt w Indyach, które autor poznał dokładnie, w podróżach swoich od Ceylonu do szczytów Himalayi, i nieprzerwana trzydziesto pięcioletnia praca nad badaniem zabytków starej cywilizacyi indyjskiej, dały początek książce napisanej z miłością nauki i prawdy, w celu sprostowania tylu mylnych paradoksów spotykanych u wielu nowożytnych autorów usiłujących szkodzić chrześcijaństwu upatrując jedno źródło przesądów dla wszystkich wyznań na świecie. Z niezwykłym zasobem erudycyi odpiera M. Laouënan wszelkie przypuszczenia, aby judaizm a później chrystyanizm miał cokolwiek wspólnego z indyjską Vedą, równie przekonywująco dowodząc, że i bramizm nic nie czerpał z religii objawionej, urosłszy wśród ludu indyjskiego, który zasklepieniem swojem odpierał stanowczo wszelkie obce naleciałości. Przypuszczalne zaś stosunki między tymi odrębnemi światami musiały być o wiele późniejsze, mianowicie z epoki, kiedy aryjskie Indye nietylko przeszły już były rozkwitu swojego dobę, ale chyliły się ku upadkowi.

Wywód powyższy opiera autor na pomnikach sanskryckiej literatury, z których część znaczna znana szerszemu kołu uczonych nosi cechy niezaprzeczalnej oryginalności.

Pierwszą część książki poświęca autor zapoznaniu czytelnika z przedmiotem, i wyłożeniu własnej swojej teoryi opartej na głębokich studyach przedsięwziętych przez znaczną część życia. Niezrównany w erudycyi przedstawia cały szereg dzieł drukowanych i rękopiśmiennych źródeł, z których potrafił czerpać, robiąc z nich podstawę swej pracy. Geograficzne położenie Indyj starożytnych opisuje nam autor według Vedy Mahabharaty i Ramayany, badania ras nad starożytnym bramizmem zamykają pierwszy tom tego cennego dzieła.

M. S.

Rozmaitości.

Zgubny wpływ pewnych wypożyczalni książek na młodzież szkolną wybornie napiętnowany został w „Muzeum“, organie Towarzystwa nauczycieli szkół średnich (Listopad 1885). Z przyjemnością przytaczamy słowa tego pisma:

Antykwarnie w tym stanie, jak są obecnie, nie dają uczciwego pośrednictwa przy nabywaniu książek używanych, ułatwiają natomiast uczącej się młodzieży nieprawy zbyt książek, częstokroć niestety nawet przywłaszczonych sobie lub pożyczonych, oraz podsuwają w zamian, prawdziwie moralną zgniliznę w postaci nieodpowiednich książek do czytania; jednem słowem, są rakiem społecznym, domagającym się gruntownej operacyi lub przynajmniej środków zaradczych, mogących ograniczyć rozrastanie się tego pasożyta“. (Przegl. pedag. z maja, artykuł prof. W. Górskiego, pod tyt. Z praktyki pedagogicznej. II. Antykwarnie).

Powyższym słowom szan. profesora tylko przyklasnąć możemy. Czytanie tych książek jest może najgłówniejszą przyczyną szerzenia się zepsucia między młodzieżą i zobojętnienia jej dla pracy poważnej. Zwracaliśmy już na to uwagę w I. zeszycie pisma naszego, wzmiankując o zakazie rosyjskiego ministerstwa oświaty wydawania młodzieży z księgarń i bibliotek publicznych, książek do czytania bez pozwolenia władzy szkolnej. Powiedzieliśmy tam, że sprawę tę powinny ująć i u nas w swe ręce władze. Obecnie dodajemy tę uwagę, że niemało a może głównie mógłby temu zapobiedz nadzór domowy, gdyby tylko należycie był wykonywany i na lekturę ucznia rozciągnięty. Jak wielkie zaś niebezpieczeństwo stąd zagraża młodzieży, o tem przekonaliśmy się ze spisu książek przez ucznia jednego przeczytanych, który się dostał do rąk naszych. Były to same powieści, a między niemi było wiele dobrych, ale też i rozmaite plugawości, jak sam tytuł wskazywał, a wszystka ta trucizna pochodziła z obfitego w takie korzenne towary handlu, a raczej wypożyczalni jednego z antykwarzów izraelickich.

Nie dość na tem, sama wystawa handlu takiego wiedzie ucznia na pokuszenie. Oto widać tam za szkłem powystawiane różne piśmidła z zakresu literatury kloakowej z kartą tytułową ilustrowaną, przedstawiającą sytuacye nader niemoralne i drażniące wyobraźnię młodzieńca.

Zaiste, godziłoby się temu raz na zawsze energicznem wystąpieniem tamę położyć.

Ananas. Jedną z najgorszych plag, jakie społeczeństwo spotkać mogą, jest literatura pornograficzna. Fabrykat tego rodzaju, tanio się produkuje, bo najmniej kosztuje pisarskiego talentu, a największem cieszy się popytem: od studenta do kelnera, i aż do głodnego ulicznika, każdy ma grosz na ten korzenny towar.

Pierwszy lepszy spekulant, który w jakimś kraju puszcza się na tę spekulacyę, niechybnie robi gruby interes. Jego powodzenie zwabia współzawodników — i rozpoczyna się konkurencya *sui generis* — w której oczywiście nie talent, ale cynizm idzie na wyścigi z cynizmem. W kraju zaś, po którym te miazmy coraz gęściej się rozchodzą i od jednych warstw do drugich przenikają, obniża się zmysł moralny — a z nim religia, rodzina... i wszystko. Kto miał sposobność ostatniemi laty przypatrzyć się z tej strony Francyi, ten wie, jak straszna i śmiertelna jest ta zaraza. Wydawcy przy tem zyskują, ale zyskują tak, jak ci handlujący wódką pomiędzy dzikimi — jak ci, co morfinę sprzedają morfinistom — i gorzej jeszcze: oni zyskują prostytuując duszę narodu — gorsi zaiste od tych, co o wolność kraju z wrogiem frymarczą.

Nasz kraj, Bogu dzięki, był jakoś dotychczas wolny od tej klęski. Tyle innych skądinąd zwala się na nas nieszczęść, że nie było do przypuszczenia, by właśni ziomkowie i to przyczynili, by wyrafinowaną spekulacyą rujnować chcieli jedyne dobro, co ojczyźnie zostaje. Tymczasem i to nieszczęście zbliska nam grozi.

Mówię dziś w szczególności o *Ananasie*, kalendarzu wydanym przez p. K. Bartoszewicza, który przed zaczęciem roku już wyczerpywał drugą edycyę. Wiem, że Ananas nie zawiera jeszcze tych ostatecznych bezeceństw, jakiemi bluzga pornograficzna prasa we Francyi; wiem też, że tegoroczne ilustracye Ananasa nie są brzydkiemi, jak były przeszłoroczne; jednak zaliczam to pismo do tej samej kategoryi literatury: bo zawsze od takiego strumyka zaczyna powódź tej szkarady — bo i w tym samym poszycie, obok dobrych i pięknych rzeczy, jest cały szereg utworów prawdziwie niemoralnych — bo w ogóle Ananas jest obliczony na schlebianie najniższym popędom, i temu zawdzięcza swe nadzwyczajne powodzenie.

Kiedy nas prawo od tego licha nie broni, niechże przynajmniej broni się społeczeństwo, a mianowicie niech porządni ludzie, jakich z żalem znajdujemy nawiska pod niektóremi rysunkami i utworami

literackiemi, odmówią swego współpracownictwa tej niegodnej robocie — a niech wydawca zasila się jedynie konceptami z wiedeńskich tingel-tanglów i paryzkich cafés-chantants — *qui in sordibus est, sordescat adhuc*[1].

M. Mor.

Alians izraelicki wydał niedawno krótką relacyę o swojem 25-letniem istnieniu, która pokazuje, z jaką ruchliwością i skutkiem Żydzi tegocześni chodzą koło swoich interesów. Czasopismo *Stimmen aus Maria Laach* daje z niej sprawozdanie, które jako charakterystyczne, w głównych ustępach przytaczamy — zostawiając czytelnikowi aplikacyę.

Sprawozdanie rozpoczyna się temi słowy: „Powszechny izraelicki alians istnieje od 1860 r. w tem ćwierćwieczu dokonał znakomitych prac. Jego nieustanne wysiłki dla dobra Żydów w całym świecie; walki, które za nich stoczył; dobrodziejstwa, jakie im świadczy; szkoły i instytucye, które założył i pielęgnuje; współudział wszystkich nie szukających swej korzyści; popularność, jakiej zażywa pomiędzy Żydami, bez względu na to, do jakiego stronnictwa należą i jakiej są narodowości; nienawiść, którą mu Żydów wrogowie zaprzysięgli i potwarze, któremi go obsypują — wszystkie te fakta dowodzą znaczenia, jakiego się dobił Alians wśród zabiegów o dobro Żydów".

Cel tego stowarzyszenia tak wyjaśnia sprawozdanie: „Obrona czci żydowskiego plemienia przeciw wszelkiej napaści, zachęta do prowadzenia wszystkich rękodzielnictw, walka przeciw płodowi niewoli, tj. ciemnocie i występkom, praca nad emancypacyą naszych braci jęczących dziś jeszcze pod wyjątkowemi prawami". Tę myśl znajdujemy w pierwszym artykule statutów sformułowaną: 1) Wszechstronna praca nad emancypacyą i moralnym postępem Żydów. 2) Skuteczna pomoc tym, co cierpią z tytułu żydowskiego pochodzenia. 3) Poparcie każdej publikacyi, do tego celu zmierzającej".

Do osiągnięcia emancypacyi dąży alians dwiema drogami: „dba o publiczną opinię, którą usiłuje stworzyć i pouczyć, i stara się o zjednanie sobie przychylności rządów". A chwaląc się z datków udzielanych liberalnym gazetom i nawet rządom, wykazuje pomyślne w tej mierze rezultaty.

Nietylko zakładanie szkół dla Żydów, ale i symultanne szkoły pod żydowskim zarządem są przedmiotem starań Aliansu: „Centralny komitet już od założenia swego otwierał szkoły dla dzieci wszystkich religij, każdy ojciec, jakiegokolwiek wyznania, może w nich swego syna umieścić, z radością tam będzie przyjęty. Katolickie, machometańskie, europejskie, oryentalne, tureckie, greckie, armeńskie dzieci zasiadają na jednej z żydowskiemi dziećmi ławie, i zawierają ze sobą cenne związki przyjaźni". Żyd nauczycielem dzieci różnego wyznania. Najprostsza to i najkrótsza droga do spełnienia przysłowia:

Jude, Christ und Hottentot,
Wir glauben all' an einen Gott.

---

[1] Apok. 22, 11.

O wzroście tej działalności najlepiej przekonują podane cyfry.

1870 r.	członków	12.526,	dochodu	79.352,	datków	99.366,	rozchodu 90.037.
1875 r.	„	20.272,	„	113.131,	„	164.525,	„ 143.397.
1880 r.	„	22.443,	„	165.997,	„	280.013,	„ 251.510.
1885 r.	„	30.310.					

Inna tabela poucza o szerzeniu się aliansu po różnych krajach. Bawarya liczy 2.522, Alzacya i Lotaryngia 1.356, Turcya europejska 1.936, Francya z koloniami 4.798, Holandya z koloniami 1.367, Prusy 8.887, Węgry 1.935. Stosunkowo najsłabiej reprezentowana Anglia i Austrya. W Anglii znajduje się tylko 50 a w Austryi 150 członków. Sprawozdanie atoli zapewnia, że wprzódy te kraje znacznie większego dostarczały kontyngensu. Prawdopodobnie waśnie i różność zdań skłoniły członków do wystąpienia i założenia nowych towarzystw. Sprawozdanie swoją drogą zachwyca się temi towarzystwami. Angielscy Żydzi zawiązali r. 1871 towarzystwo, które nosi nazwę: „Angielsko-Żydowskie Stowarzyszenie w połączeniu z powszechnym izraelickim Aliansem“. (Anglo-Jewish Association in connexion with the Aliance israelite universelle). Inne stowarzyszenie powstało w Wiedniu, dwa lata później na wzór Aliansu, pod nazwą „Izraelicki Alians w Wiedniu“. Głównie zdąża ono do polepszenia stanowiska Żydów we własnym kraju, ale nie zapomina o ogólnych interesach całego żydowskiego ludu“.

Powyższe cyfry przekonują, że mimo ubytku Powszechny izraelicki Alians robi znaczne postępy. Czy się spełnią nadmierne nadzieje, o jakich wspomina Alians na końcu swego sprawozdania, zobaczymy później. W każdym razie dobrze będzie, jeśli także i Nie-Żydzi zwracać będą uwagę na działalność Aliansu.

Od 1-go stycznia 1886 r. zacznie wychodzić we Lwowie nowe ruskie pismo polityczne pod tytułem **Ruś**, pod redakcyą X. Łukasza Bobrowicza. Mamy przed sobą pierwszy numer, tak zwany „na okaz“. Treść jego zawiera: kilka uwag o Encyklice „Immortale Dei“. — Stowarzyszenie polityczne „Narodna Rada“ we Lwowie. — Od poważnego do śmiesznego jeden tylko krok. — Korespondencya z Kijowa. — Sejm krajowy. — Od wydawnictwa „Rusi“. — W odcinku: Kiedyś a teraz (wiersz). Według programu „Ruś“ ma być katolicka i narodowa; sądząc z pierwszego numeru, obydwom tym zadaniom dobrze odpowiada: z otwartą przyłbicą wstępuje w szranki, wypowiada swą myśl jasno, stanowczo i otwarcie a nadto czystym ruskim językiem. Z całego serca życzymy jej powodzenia w tej poczciwie rozpoczętej pracy. Prenumerata bardzo niska, tylko 4 reńskie rocznie. Adres: Lwów, plac św. Jura, Nr. 5.

Zasłużony na niwie teologicznego i kaznodziejskiego piśmiennictwa naszego X. Dr. Krukowski, były profesor Almae Matris, a teraźniejszy proboszcz kościoła św. Floryana w Krakowie, wygotował do druku 32 rozmyślań na **Salve Regina.** Dziełko to ma być niejako koroną prac autora podjętych ku uczczeniu N. P. Maryi. Wyjdzie z pod prasy w marcu.

Przedpłata na Podręcznik statyki Budowli. Potrzeba dobrych polskich podręczników technicznych, zdolnych zastąpić podręczniki w językach obcych, jest ogólnie uznaną. Potwierdził to swą rezolucyą I. zjazd techników polskich w Krakowie w r. 1882. Ażeby zadość uczynić tej potrzebie, postanowiło Towarzystwo politechniczne wydać na teraz własnym nakładem przedłożony mu w rękopisie, a przez komisyę, złożoną przeważnie z profesorów szkoły politechnicznej, gorąco do druku polecony. *Podręcznik Statyki Budowli* dla użytku inżynierów, architektów i słuchaczów szkół politechnicznych, napisany przez *Maksymiliana Thulliego,* dypl. inżyniera, docenta prywatnego szkoły politechnicznej we Lwowie.

Dzieło to składać się będzie z 13 do 15 arkuszy druku z 284 rysunkami w tekście i 6 tablicami. Opracowane starannie i uwzględniające najnowsze zdobycze nauki, zastosowane jest ono wszędzie do wymagań praktyki. Autor nie trzyma się tylko metody analitycznej, lecz używa w równej mierze także metody wykreślnej. Czytelnicy więc znajdą w niem nietylko to co się mieści w niemieckich podręcznikach statyki budowli *(Baumechanik),* ale także w przystępny sposób wyłożoną statykę wykreślną, która w praktyce coraz bardziej wchodzi w użycie. Liczne przykłady, rozwiązane tak liczebnie jak i wykreślnie, ułatwiają niezmiernie zrozumienie dzieła, i są, zwłaszcza dla praktyki, bardzo przydatne. Liczne tablice obciążeń, momentów bezwładności rozmaitych krojówek, natężeń dopuszczalnych i t. d. są tak ułożone że wszystkie dane potrzebne do obliczeń rozmaitych konstrukcyj w praktyce, można w tem dziele znaleść.

Druk natychmiast się rozpocznie i wychodzić będą około 4 arkusze na miesiąc. Cena w przedpłacie dla składających naraz całą kwotę wynosi: W Austryi 2 złr. 80 ct., w Królestwie i ces. rosyjskiem 2 r. 80 k., w Prusiech 5 m.

Po wyjściu dzieła cena będzie znacznie podwyższoną. Przedpłatę przyjmuje Komisya wydawnicza towarzystwa politechnicznego we Lwowie, ul. Lindego l. 9.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Sprawa misyi w Kamerunie. — Misye katolickie włoskie. — Sprawa Kelley'a. — Prześladowanie duchowieństwa we Francyi. — Mgr. Freppel.

Sprawa misyi w Kamerunie doczekała też się przewidywanego końca. Ks. Bismark oświadczył, że misye katolickie nie są wyłączone w koloniach niemieckich, ale wzbronił do nich przystępu księżom obcej narodowości i zakonom z Jezuitami spokrewnionym. Przebiegu całej tej sprawy nie podajemy, gdyż go dostatecznie skreśla korespondencya z Berlina. Z naszej strony dwie tylko dołączamy uwagi. Jeżeli się przyznaje w koloniach wolność religijną, w myśl konferencyi dotyczącej Kongo, to trudno pojąć, jak można tę sprawę wikłać ze sprawą narodowości. Przecież w koloniach angielskich pracują i poparcia rządu doznają misyonarze francuscy, włoscy, niemieccy i t. d., a wszystkich praca służy szerzeniu chrześcijańskiej cywilizacyi w tych krajach i wychodzi na korzyść angielskiego państwa. Obawiać się politycznego wpływu misyonarzy katolickich, to przypomina strachy chińskich i japońskich potentatów.

Ale jeżeli koniecznie w koloniach niemieckich mają być misyonarze Niemcy, toć oczywiście niezbędnym do tego warunkiem jest, aby zakony miały w samych Niemczech wolny rozwój. Zakony i rozmaite kongregacye zakonne są właściwem i zwyczajnem narzędziem Kościoła w misyach. Zawód misyonarza jest tak wysokiem powołaniem, wymaga tak zupełnego wyrzeczenia się siebie i rzeczy docze-

snych, że naturalnym biegiem rzeczy z zakonów głównie się rekrutuje. Zakony niemal jedynie mogą dostarczyć tej ciągłości i organizacyi pracy, tego zastępowania upadających pod znojem członków drugimi, jakich wymagają misye. I faktycznie ogromna większość misyj katolickich w świecie była po wszystkie czasy przez rozmaite zakony zasilana i utrzymywana.

Jest więc czystą ironią, jak mówi dobrze *Moniteur de Rome*, powiedzieć katolikom: Pozwalamy na misye, ale nie pozwalamy na zakony.

Również na ironię wychodzi to ograniczenie zakazu na zakony spokrewnione z Jezuitami. W gruncie, jak dobrze powiedział Windthorst w parlamencie, wszystkie zakony są z Jezuitami spokrewnione; wszystkie bowiem mają związek tych samych istotnych ślubów, wszystkie bezwarunkowo słuchają Papieża i mają zwykle przy jego boku naczelnego przełożonego, wszystkie walczą o królestwo Boże na ziemi. A te, którym ostracyzm pruski przepuścił, jak Bonifratrzy i Siostry Miłosierdzia, nie mogą przecież na własną rękę misyj utrzymywać. A więc jedno z dwojga: albo wolny przystęp misyonarzom zagranicznym, albo wolność dla zakonów w Niemczech nie wyjmując Jezuitów, inaczej wolność misyj w koloniach niemieckich jest czystą ironią.

Innego rodzaju trudności spotkała sprawa misyj katolickich we Włoszech. Rozumiejąc, że tylko za ich pomocą wpływ w dalekich posiadłościach utrzymać i szerzyć można, zamierzał rząd włoski wznowić w Izbie dawny projekt, popierający misye. Prasa opozycyjna stanowczo i gwałtownie przeciw temu wystąpiła, mówiąc, że się tego rodzaju krok tylko na koszt rządu a korzyść Watykanu obrócić musi. Tak więc kwestya rzymska ciągle jak upiór w polityce włoskiej występuje, tamując wszelki rozwój i coraz nowe rodząc trudności.

Ciekawym tego dowodem jest głośna a charakterystyczna sprawa posła amerykańskiego Kelley'a. Rząd Stanów Zjednoczonych mianował go posłem przy Kwirynale; Włochy oświadczyły, że Kelley byłby *persona ingrata*, bo się swojego czasu za doczesną władzą papieża oświadczył. Rząd amerykański ustąpił na razie i Kelley mianowany został posłem w Wiedniu. Dotarły przecież i tam intrygi włoskie, pofolgowano snać wpływom hr. Robilant i kiedy

Kelley do Paryża przybył, dowiedział się już w drodze, że i w Wiedniu nominacyi jego nie przyjęto. Zdawało się, że rzecz się na tem skończy, kiedy nagle prezydent Cleveland oficyalnem orędziem oświadczył, że nominacyi Kelley'a na posła w Wiedniu nie odstąpi. Dla rządu włoskiego był ten fakt, po tylu zabiegach i intrygach, a w obec przejrzystego ich powodu, dotkliwą, bo drażliwą porażką.

We Francyi młode ministeryum Brisson postępuje za smutnym przykładem swych poprzedników. Otwartej wojny z Kościołem w obec wzrostu żywiołu zachowawczego rząd wszczynać nie chce, i dla tego zniesienie konkordatu, jak po wyborach przewidzieć było można, z pierwszego cofnięto planu. Rzeczywiste przecież i ciągłe naruszanie konkordatu jest na porządku dziennym, a jaskrawym tego dowodem haniebne prześladowanie duchowieństwa, na którem się bezsilny rząd mści za wyborczą porażkę. W liście do biskupa z Pamiers oświadczył minister wyznań Goblet, że wstrzymane będą pensye tym duchownym, którzy przy ostatnich wyborach popierali antyrządowych kandydatów. Za przykładem ministra poszło wielu prefektów i cios ten dotknął już kilkanaście dyecezyj. Kilku prefektów nawet zwróciło się, z pominięciem hierarchi i, wprost do pojedyńczych księży, dając im krótki tylko termin do usprawiedliwienia się. Pomijając już ogólną stronę naruszenia wolności obywatelskiej, pomijając zasadę słuszności i przyzwoitości nawet — bo takim tonem i w najgorętszych czasach *Kulturkampfu* urzędnik pruski do katolickiego nie przemawiał kapłana — uderza w tym procederze już czysto prawnicza strona, krzycząca niesprawiedliwość i pogwałcenie brutalne praw warowanych konkordatem rzekomo utrzymywanym, bo płace duchownych nie są we Francyi pensyą, tylko indemnizacyą, i rząd w ten sposób cudzą zatrzymuje własność. To też krok ten ogólne wywołał oburzenie. Prasa katolicka słusznie przypomniała niebezpieczeństwo, grożące protektoratowi francuskiemu na Wschodzie, jeżeli rząd nie pomiarkuje postępowania swego w obec Kościoła, na cośmy dawno uwagę zwracali. Zresztą pisma konserwatywne publikują z naciskiem ten fakt, jako nową, daj Boże zbawienną dla kraju naukę, uzupełniającą to, o czem pouczyć mogły wybory 4 i 18 października. Nawet i republikańskie gazety stanowczo potępiły to postępowanie rządu, ten nowy system polityki głodu, kompromitującej rząd w obec konserwatystów i całego kraju. Tymczasem ruch

katolicki we Francyi wzmaga się i postępuje z dniem każdym. Wspaniałą tego manifestacyą był 2-gi kongres katolików normandzkich w Rouen. Miał to być kongres prowincyonalny, powiedzieć przecież można, że cała niemal Francya katolicka w nim uczestniczyła. Idea pokoju i łączności, dominująca nad całem zgromadzeniem, jest już dobrą wróżbą przyszłości, bo zapowiedzią wzrostu i skupienia sił, do harmonijnego, zgodnego działania.

Wymowny wykład i rozbiór encykliki *Immortale Dei* przez Mgr. Thomas arcybiskupa z Rouen, był niejako wstępem i programem obrad. Mowca kładł szczególny nacisk na podnoszone tylokrotnie przez Ojca św. rozróżnianie katolicyzmu od stronnictwa politycznego, czego dotąd we Francyi rozumieć nie chciano. Mgr. Freppel zabronił publikacyi ustępu mowy omawiającej tę właśnie kwestyę w granicach swojej dyecezyi; wielu nie pojęło tego kroku i tłumaczyło go fałszywie; znakomity biskup uczynił to przecież tylko w celu zapobieżenia niepotrzebnym i niebezpiecznym, bo drażliwym komentarzom i polemikom.

K.

Elementarne szkoły wielkopolskie pod opieką pruską.

(Dokończenie).

Nadszedł wreszcie rok 1870, w którym nadarzyła się sposobność rządowi do jasnego zakreślenia swego stanowiska. Jedenastu nauczycieli gimnazyum wrocławskiego oświadczyło się przeciw dogmatowi o nieomylności. Na zażalenie księcia Biskupa wrocławskiego Förstera, zaniesione do ministra kultu, dopominające się wystąpienia przeciw tym nauczycielom, nadeszła odmowna odpowiedź z dnia 19 lutego 1871 r. Rozkazem gabinetowym z dnia 8 lipca 1871 r. zniesiono w ministerstwie osobny wydział dla spraw katolickich, ustanowiony za Eichorna w roku 1841. Usłużna rządowi prasa z wszystkich stron uderzyła na alarm przeciw inspekcyi duchownej w szkole i narodowości polskiej. Dowodzono, że duchowieństwo katolickie fanatyzuje młodzież, odstręcza

jej serca od rządu, a w polskich dzielnicach polonizuje Niemców. Chodziło przedewszystkiem nieprzyjaciołom katolicyzmu o usunięcie duchowieństwa ze szkoły, to też na dniu 14 grudnia 1871 r. przedłożono sejmowi pruskiemu projekt do prawa o państwowym nadzorze szkół. Obrady nad tym projektem żółwim posuwały się krokiem naprzód, i dopiero gdy Müller złożył tekę ministerstwa na dniu 17 stycznia 1872 r., przyśpieszono wydanie tej ustawy, którą król sankcyonował swym podpisem dnia 11 marca 1873 roku. Zaledwie ta ustawa obowiązywać zaczęła rozpoczęło się u nas usuwanie katolickiego duchowieństwa parafialnego ze stanowisk inspektorów szkolnych, a dziekanom odbierano inspekcyę dekanalną nad szkołami. Pośpiech był tak wielki, że w braku odpowiednich sił pedagogicznych, powierzano nadzór nad szkołą prokuratorom, dziedzicom, ekonomom, leśniczym i t. p. figurom, byleby księdza katolickiego usunąć. Dziś rzadko który ksiądz, chyba „persona grata", jest szkolnym inspektorem szkoły; nadzór ten powierzono inspektorom powiatowym, komisarzom obwodowym, a niemało dzieci naszych ma nad sobą pastora ewangelickiego inspektorem szkolnym. Powiatowa inspekcya, zastępująca dawniejszą inspekcyę dekanalną, naturalnie z innym, byle nie z dekanalnym obwodem jeograficznym, jest w ręku nauczycieli wyższych, przeważnie protestantów.

„Żadnego z ministrów kultu, mówi autor dzieła: Geschichte der preussischen Volksschule, nie witano z tylu radosnemi nadziejami, co *Dra Falka*", który d. 22 stycznia 1872 r. zajął miejsce po ministrze Müllerze. Łatwo wytłumaczyć tę radość: Niemcy protestanci a szczególnie Prusacy, upojeni drugiem zwycięstwem nad narodem katolickim po katastrofie sedańskiej, liczący w swym ubogim kraju francuskie miliardy, zbogaceni zabraniem Alzacyi i Lotaryngii, ucieszeni wydziedziczeniem Ojca św. z posiadłości ziemskich, sądząc że przez to złamano duchową potęgę Kościoła św., puścili wodze liberalizmowi, aby skruszyć katolicyzm, a w dzielnicach kiedyś polskich wytępić zarazem i polonizm. Minister pruski Dr. Falk miał być tym taranem kruszącym te obie odwieczne instytucye boskie. Wybuchła tedy walka kulturna, dająca się we znaki całą swą zgrozą. Dawniejsze przepisy ministeryalne dotyczące nauki w szkole ludowej, zastąpił Falk „Ogólnemi Postanowieniami" z dnia 15 października 1872 r., regulującemi wychowanie w szkołach ludo-

wych przez wszystkie stopnie: w preparanderyach, w seminaryach, w szkołach elementarnych, średnich i rektorskich. Przeznaczywszy w §. 13 „Postanowień dla szkoły ludowej“ tylko po cztery lekcye tygodniowo dla nauki religii, a tylko dla średniego i najwyższego oddziału jednoklasowej szkoły po pięć lekcyj, zastrzegł sobie w §. 27 osobny przepis, mający uregulować naukę języka ojczystego w szkołach, w których dzieci, albo ich część, innym jak niemieckim mówią językiem. „Ogólne Postanowienia“ z dnia 15 października 1872 były owocem konferencyi którą Falk odbył kilka miesięcy (w czerwcu) poprzednio w Berlinie z dwudziestu menerami, obeznanymi rzekomo z szkołą ludową. Idąc za przykładem swego pana, naczelny prezes naszej prowincyi, p. Günther, także zwołał taką konferencyę, na którą poprosił dwóch elementarnych nauczycieli. Na tej konferencyi, która się w tutejszej rejencyi odbyła w październiku 1872 roku, obradowano już specyalnie o germanizowaniu dzieci naszych przez szkołę. Rezultatem tych narad było niestety znane nam dobrze rozporządzenie naczelnego prezesa z d. 27 października 1873 r., czyniące zadość duchowi wymienionego paragrafu 27-go „Postanowień“ ministra Falka. Naczelny prezes nakazał, aby: w wszystkich przedmiotach naukowych, z wyjątkiem religii i śpiewu kościelnego, był język niemiecki wykładowym. Językiem polskim o tyle tylko posługiwać się miano, o ile to jest niezbędnem aby dziecko wykład zrozumiało (§. 1). Religii i śpiewu kościelnego uczyć ma nauczyciel dzieci w ich ojczystym języku. Jeżeli jednak dzieci te o tyle postąpią w języku niemieckim że zrozumieją wykład niemiecki, natenczas za zezwoleniem rejencyi można także i w tych przedmiotach używać języka niemieckiego jako wykładowego w średnim i wyższym oddziale (§. 2). I niemieckiego języka mają się dzieci uczyć: a) w oddziale najniższym, poprawnego czytania krótkich łatwych zdań, które powinny nietylko odpisać, ale nadto samodzielnie napisać. Niemieckie dzieci należy natychmiast po wstąpieniu ich do szkoły, uczyć po niemiecku czytać i pisać; b) w oddziale średnim doprowadzić należy dzieci do tego, aby łatwe ustępy umiały czytać logicznie i gładko, aby bez błędu pisały łatwe dyktando i aby samodzielnie ujęły na piśmie ćwiczenie opowiedziane poprzednio; c) w oddziale najwyższym należy doprowadzić uczniów tak daleko, aby mogli nie zbyt trudne powieści, których treść zbliża się do

życia rodzinnego, łatwo i logicznie czytać, dyktaty podobne bez błędu pisać i większe ćwiczenia poprawnie powtarzać. Paragraf 4 przepisuje, aby język polski był przedmiotem naukowym dla dzieci polskich; rejencya może jednak w danym razie postanowić inaczej. Dzieci niemieckie, chcące się uczyć po polsku, potrzebują na to pozwolenia inspektora powiatowego. W języku polskim mają się dzieci nauczyć: a) w oddziale najniższym dojść należy do jako tako gładkiego czytania wszystkich kawałków elementarza. Pisania należy uczyć równocześnie z czytaniem; b) w oddziale średnim mają dzieci nabierać wprawy w czytaniu, poznać znaki pisarskie i rozumieć, co czytają. Ortografii mają się dzieci uczyć przez odpisywanie, przez samodzielne pisanie przerobionych kawałków i przez dyktando; c) w oddziale najwyższym należy uczniów doprowadzić tak daleko, ażeby umieli płynnie i poprawnie czytać treść zbliżającą się do życia zwyczajnego, i aby umieli się poprawnie wysłowić ustnie i piśmienie. Dla religii przeznaczył naczelny prezes stosownie do rozporządzenia Falka, 4—5 lekcyj tygodniowo, a dla języka polskiego 5—3 lekcyj, nakazując zarazem, aby lekcye języka polskiego wysunięto na ostatnie godziny przed południem i po południu.

Któżby w tem rozporządzeniu naczelnego prezesa nie dostrzegł na pierwszy rzut oka celów ubocznych, wżerających się głęboko systemem germanizacyjnym w ciało nasze narodowe. Któżby, śledząc bacznie zamiary rządu pruskiego w szkole naszej, nie widział w niem zrealizowania dawno obmyślanych i tylko dogodnej chwili wyczekujących planów? To też z bólem serca przyjęliśmy ten nowy a tak stanowczy zamach na naszą religię i narodowość. Wiedzieliśmy, że to tylko pomost do bezwzględnego wystąpienia, które niebawem nastąpić musi po tej zręcznie jeszcze na oko upozorowanej trosce o język nasz i religię.

Nie zawiodły nas te złowrogie przeczucia. Lekcye języka polskiego, wysunięte na ostatnie godziny, nie przynosiły dzieciom należytej korzyści, bo kilko-godzinną pracą i uwagą znużony ich umysł niezdolnym jest do chwytania wykładu nauczyciela; który widząc zresztą raz po raz inspektora w szkole, dopytującego się gorączkowo tylko o postępy w języku niemieckim, męczył nim siebie i dzieci, używając go przy tej nauce języka polskiego, o który przy rewizyi nikt nie pyta. W niemieckiem stawiano szkole niesłychane pre-

tensye i spełnienia ich ściśle przestrzegali inspektorowie. Rezultatem tej nauki jest, że dzieci polskie nie nauczą się w szkole ani pisać, ani czytać po polsku, a niemieckie wokabuły i frazesy, wpajane w ich głowy przez lat ośm, ulatują niebawem po wyjściu ze szkoły. Obmierzła też ta instytucya ludowi naszemu, który krwawo zapracowany grosz płaci dziś na szkołę i nauczyciela, a nie widzi z tego żadnych korzyści. Jakże bowiem może dziecko skorzystać z nauki, wykładanej w obcym mu zupełnie języku!

Religii i śpiewu kościelnego pozwolił naczelny prezes uczyć w ojczystym dzięci języku, ale zaraz zastrzegł sobie, że gdyby dzieci o tyle postąpiły w niemieckim języku że zrozumieją wykład niemiecki, natenczas za pozwoleniem rejencyi można w średnim i wyższym oddziale zaprowadzić język niemiecki do wykładu. Ileż to nadużyć dopuszcza się szkoła w tym względzie w obec dzieci naszych! Z gorliwością godną lepszej sprawy, bez pytania się rejencyi o pozwolenie, każą inspektorowie uczyć dzieci religii po niemiecku, a miejscami nawet od najniższego oddziału. Od „Ojcze nasz“ rozpoczyna się germanizacya i umysłowe tępienie dzieci naszych. Zamiast chrześcijańskiego pozdrowienia „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ wprowadzili nowocześni kulturnicy niemieckie „Guten Morgen“, surowo nakazując tem pozdrowieniem odzywać się przy wchodzeniu do szkoły i do przechodniów na drodze. Już zaraz po wydaniu tego rozporządzenia naczelnego prezydyum dnia 27 października 1873 r. zaczęli nas germanizatorowie szkoły naszej przysposabiać na nowe niespodzianki niemieckie, wynurzając nadzieje, że po latach kilku, a najdalej dziesięciu, germanizm tak się zakorzeni w szkole i tak się przysłuży dzieciom naszym, że będą mogły w niemieckim języku pobierać naukę religii. Zaledwie też lat dziewięć upłynęło, a już rejencya poznańska odezwała się z nowem rozporządzeniem na dniu 7 kwietnia 1883 r. Twierdząc ogólnikowo, a jak najfałszywiej, że w szkołach z przeważną liczbą dzieci polskich uczą się dzieci niemieckie religii po polsku, zakazała tego surowo, odzywając się równocześnie w tem rozporządzeniu do nauczycieli, że jeśli nie chcą się narażać na bezwzględne ukaranie, aby odtąd uczyli w średnim i wyższym oddziale wszystkie dzieci religii po niemiecku, bo „od czasu wydania rozporządzenia z 1873 r. upłynęło już lat dziesięć, żadnego więc nie może już być dziecka,

na któremby nie pokazały się błogie skutki rozporządzenia. Tylko za wyraźnem pozwoleniem rejencyi dozwolone były wyjątki. Zrozumieliśmy odrazu całą doniosłość tego wymierzonego w nas zamachu. Prasa polska wystąpiła z oburzeniem przeciw takiemu pogwałceniu praw i sumień naszych. To też w dwadzieścia dni po tym dekrecie wyszło z rozkazu ministra Gosslera, na dniu 27 czerwca 1883 r. rozporządzenie, znacznie łagodzące nakaz poprzedni, a żądające od inspektorów powiatowych poprzedniego doniesienia rejencyi, w których szkołach mogłyby dzieci zrozumieć wykład niemiecki w nauce religii. Nie mało inspektorów nakazało zaraz po ukazaniu się pierwszego rozporządzenia uczyć dzieci polskie religii po niemiecku w średnim i wyższym a nawet w najniższym oddziale, i od tego, mimo próśb i protestów rodziców, nie odstąpiono. Na wszelkie przedstawienia gmin zwykle wymijające nadchodzą odpowiedzi a germanizacya i zaniedbanie umysłowe dzieci naszych coraz szersze przybierają rozmiary.

W rozporządzeniu naczelnego prezesa dwa jeszcze wypada nam zaznaczyć ustępy: w pierwszym pominięto śpiew świecki, który też coraz bardziej ustaje w szkole, bo zależy on tylko od dobrej woli nauczyciela, drugi ustęp stanowi, ażeby dzieci niemieckie, chcące się uczyć języka polskiego, miały do tego pozwolenie inspektora powiatowego. Wolno więc dziecku niemieckiemu uczyć się po francusku, po angielsku, lub jakiegobądź innego języka, bez pytania inspektorów powiatowych o pozwolenie, ale nie wolno mu uczyć się języka polskiego, jeżeli na to inspektor nie da swego *placet*. Jest to pogwałcenie woli rodziców, nieznane w żadnym ucywilizowanym kraju. Ależ tu chodzi o przyspieszenie zniemczenia Wielkopolski i dlatego właśnie wydano to, dobrze w administracyi pruskiej obmyślane rozporządzenie, z którego też korzystają w pełnej mierze inspektorowie, utrudniając na wszelkie możliwe sposoby takie pozwolenie.

Kiedy naczelny prezes kreślił ten ustęp, pozwalający rzekomo dzieciom niemieckim uczyć się języka polskiego, miał już gotowy plan, którego niewtajemniczonym w *arcana* administracyi pruskiej niepodobna było w pierwszej zaraz odgadnąć chwili, i dopiero z czasem rozwiązano tę zagadkę. Naczelnemu prezesowi nie chodziło o dzieci niemieckie, ale raczej o polskie z niemieckiemi nazwiskami,

i o dzieci z małżeństw mieszanych. Prasa niemiecka, będąca na usługach sfer rządowych, zaczęła niebawem po wydaniu rozporządzenia obwiniać duchowieństwo, że spolonizowało tysiące rodzin niemieckich i protestanckich, i na łono Kościoła katolickiego przeciągnęło. Zarzuty te powtarza ustawicznie prasa niemiecka; słyszeliśmy je też niejednokrotnie i w sejmie. Nie zaprzeczaliśmy nigdy temu faktowi że jest u nas bardzo wiele katolickich i polskich rodzin z niemieckiemi nazwiskami, ale dziś trudno dochodzić, jak się odbywał proces zamienienia wiary u tych przybyszów, zniewolonych uchodzić z Niemiec i szukać w Polsce przytułku i opieki. Polska nie wydawała ukazów, nie wysyłała do wsi inspektorów powiatowych, celem przymuszania protestantów do katolicyzmu, nie zmuszała ona do przyjmowania swej narodowości, a jeśli ci przybysze z Niemiec i innych krajów zostali na ziemi polskiej Polakami i katolikami, to niewątpliwe mieli do tego prawo, jako ludzie wolni, przytulili się i wiarą i narodowością do narodu, który ojcowską nad nimi rozciągnął opiekę. Wyrywanie tych obywateli z dotychczasowych warunków wyznaniowych i narodowościowych, narzucanie im religii i narodowości, które odpychają od siebie, jest uiepraktykowanem pogwałceniem woli człowieka. A jednak my tu w konstytucyjnem państwie pruskiem jesteśmy codziennymi tego świadkami.

Pruski rząd protestancki nie na jednej tylko zdąża drodze, ażeby oderwać od społeczeństwa naszego dusze polskie i katolickie. Wymieniamy niektóre najcharakterystyczniejsze z tych dróg. Z wolą i wiedzą władz wyższych zaczęli inspektorowie i rektorzy szkół spisywać dzieci z niemieckiemi nazwiskami, poczem niezwłocznie oświadczono tym dzieciom, że są Niemcami i odtąd przejść muszą do oddziałów niemieckich. Praktyki tej chwycono się w szkołach, mających więcej niż jednę klasę. Dzieci takich szkół pozbawiają bez miłosierdza pedagogowie pruscy nauki języka polskiego, zmuszając je zarazem do nauki religii w języku niemieckim. Ani płacz dzieci, ani przedstawienia rodziców, ani protesta i prośby zanoszone do wszystkich instytucyj nie pomagają — władze zasłaniają się rozporządzeniem naczelnego prezesa, które stanowi, że „Niemcy tylko za wyraźnem pozwoleniem inspektora powiatowego mogą się uczyć języka polskiego“. Trudno opisać te sztraszliwe stosunki, wywołane taką samowolą: dzieci nie chcą zostać Niemcami a szkoła je karze

za opór; dzieci uciekają z lekcyi religii wykładanej po niemiecku; pedel ściga je na ulicy, sprowadza je policya do szkoły; rodzice płacą karę, lub w więzieniu pokutują za to, że nie chcą, aby dzieci ich niemczyły się.

Idąc tą drogą gwałtu, zabrała się administracya pruska do dzieci których nazwiska, zdaniem jej, wykazują pochodzenie niemieckie, a właściwie są skośławionemi na niemieckie nazwiskami polskiemi: z Betki powstało nazwisko Bethke, z Łosy Loose, z Kruka Krug się wyrodził w niemieckich okolicach. Rodzice metrykami, w których jest ich czyste pierwotne nazwisko, wykazują polskie swe pochodzenie, przekonują urzędników szkolnych, że w wojsku lub w głębokich Niemczech, gdzie chwilowo zatrudnieni byli, nazwiska ich poprzekręcano; ale wszystkie te argumenta nie zdolne są przekonać władz pruskich, dążących do zgermanizowania nas przez szkołę. Zachłanność niemiecka zrobiła nawet ten wynalazek, że nazwiska: Śliwka, to pierwotne Pflaum, Wróbel — to niemiecki Sperling, Manicki z Mannów pochodzi t t. p. i zagarnia dzieci z temi nazwiskami na łono *Germaniae omnivorae*.

Trzeba już iście pruskiej logiki, aby umotywować zabranie polskim rodzicom dzieci następującej kategoryi: Szkoła pruska mało, albo wcale nie troszczy się o język polski. Rzecz jasna, że w takich warunkach postępy dzieci polskich w ich ojczystym języku muszą być liche, a stosownie do postępów i cenzury co do języka polskiego wypadają bez porównania gorzej, aniżeli co do języka niemieckiego. Otóż wydedukowali ztąd dyrygenci szkół naszych, że, ponieważ dzieci te mają słabsze cenzury w języku polskim aniżeli w niemieckim, wynika stąd, że nie mogą rozumieć wykładu religii w języku polskim tak dobrze, jak w niemieckim, i dzieci te zabrano na religię z wykładem niemieckim.

Ubogiem jesteśmy w Wielkopolsce społeczeństwem. Jestto następstwo nieprawidłowych stosunków naszych ekonomicznych. Protestanci zajmują wszystkie urzędy, rzadko gdzie który katolik, a zwłaszcza Polak dostanie się na jakie wyższe stanowisko, nawet niższe dla nas niedostępne. Miliony zatem opłacamy rok rocznie na utrzymanie całego aparatu urzędniczego, dopomagając Niemcom protestantom w żywieniu ich rodzin, w kształceniu ich dzieci, w wyposarzaniu ich na przyszłość. Wszelkie dostawy rządowe, budowle,

i t. p. dostają Niemcy protestanci; nasz rzemieślnik nie ma nawet odwagi zgłosić się do submisyj, bo wie, że czekałby go niechybny zawód. Posiadłość ziemska większa, z roku na rok coraz więcej usuwa się z pod nóg naszych, wykupują ją niemieccy zagraniczni przemysłowcy, pozasłużbowi wojskowi, wyżsi urzędnicy, a mniejsze przechodzą w ręce mniej zamożnych Niemców; tak jedni, jak i drudzy doznają poparcia pożyczkami za niższą prowizyę. Na domiar nasz przemysł, podnoszący się dzięki Bogu coraz raźniej, nie wszędzie znajduje u swoich życzliwe serca i rozum. Któżby się w obec takich i tem podobnych stosunków dziwił, żeśmy biedni, ubodzy. To też dużo u nas biedy, a tę wyzyskują nasi przeciwnicy. Litując się rzekomo nad opłakanym losem rodzin obarczonych potomstwem, zjawiają się w domu apostołowie protestantyzmu, ofiarując gotowość umieścić jedno lub więcej nawet dzieci w „cnotliwej“ rodzinie. Jeśli się ten manewr uda, idzie dziecko w ręce protestanckie! Ale takich wypadków niewiele; rodzice wolą biedę, niż protestantyzm. Natomiast liczne ofiary pochłania protestantyzm, zabierając do siebie sieroty, pozbawione rodziców, lub dzieci mające jeszcze rodziców, ale albo siedzących w więzieniach, albo też pozbawionych prawa opieki nad swemi dziećmi.

Wychowanie przymusowe oparte na ustawie z dnia 13 marca 1878 r. niemałą wyświadcza przysługę germanizacyi czyhającej na dzieci nasze. Z wszystkich państw należących do cesarstwa niemieckiego, jedynie Prusy mają taką ustawę, pozwalającą na to, aby dzieci mające już lat sześć, jeśli się dopuściły czynu karygodnego, umieszczano albo u familii, albo też w zakładach wychowawczych. Do ukończenia 16 roku życia można było mocą tej ustawy mieć te dzieci na przymusowem wychowaniu; nowela z dnia 23 czerwca r. z. rozciągnęła to przymusowe wychowanie do 18 roku, a w danym razie może takie dziecko aż do ukończenia lat 21 być na wychowaniu przymusowem. Ta opieka nad sierotami, i to przymusowe wychowanie, wielkie wyrządzają nam szkody. Drobne dzieci katolickie, nieświadome swego losu, oddają nieproszeni opiekunowie na wychowanie albo do zakładów, albo do rodzin protestanckich, wywożąc je nieraz w dalekie protestanckie okolice. Znaczna ich część lutrzy się w protestanckim zakładzie w Poznaniu na Grobli, przy kościele św. Krzyża. Biedne te dzieci nie mają

nikogo ktoby się ujął za niemi: rodzice, albo w grobie, albo pozbawieni wpływu na wychowanie swych dzieci kształcących się w protestanckiej szkole, a wychowywanych pod wpływem protestanckiej rodziny. Opiekun, mianowany przez sąd z polecenia władzy, jest protestantem, cóż go więc obchodzi dziecko rodziców katolikow? Prawo pruskie, *landrecht*, pozwala wprawdzie dzieciom decydować o tem, w jakiej chcą być wychowane wierze, ale to oświadczenie mogą złożyć dopiero po ukończeniu lat czternastu. I jakiejże decyzyi można oczekiwać od dziecka, wychowanego pod wpływem protestanckim, niemającym wcale ciepła katolickiego! To też nieznany nam przykład, iżby dziecko oświadczyło się za wyznaniem katolickiem, o co zresztą, tj. aby nadal pozostało protestantem, starają się niepowołani opiekunowie, odbierając od dziecka deklaracyę przed wypuszczeniem go z zakładu, a oddaniem w służbę lub do warsztatu znowu protestanckiego.

Małżeństwa mieszane, a raczej dzieci z małżeństw tych, były od dawna przedmiotem bacznej uwagi rządu pruskiego. Spór o małżeństwa mieszane wiódł rząd pruski już za rządów Ojca św. Piusa VIII., za Grzegorza XVI. prowadził go dalej, i wtedy to nasz Arcybiskup Dunin i koloński Droste, przemocą usunięci zostali z swych stolic, nie chcąc się zgodzić na małżeństwa mieszane ze szkodą dla kościoła katolickiego. Landrecht pruski w części II. tyt. 2. stanowi w §§. 76—85 o wychowaniu dzieci z małżeństw mięszanych; mówi też o tem deklaracya z dnia 21 listopada 1803 r., nakazując, aby aż do ukończenia roku czternastego chowano chłopców w wierze ojca, a dziewczęta w wierze matki; skoroby się jednak rodzice zgodzili z sobą, aby dzieci w religii ojca lub matki były wychowywane, w takim razie nie ma im się nikt trzeci mieszać do tego; cóż jednak znaczą te przepisy w obec samowoli szkoły pruskiej? To też z wszystkich stron katolickich słyszymy ustawicznie o pogwałcaniu prawa i zabieraniu dzieci tych na protestantyzm. W Poznaniu drogą rządowego procesu trzeba było w kilku wypadkach niedawno temu wyrywać dzieci katolickie z uścisków protestantyzmu. Powiodło się to, ale ileż to dzieci z tych małżeństw mieszanych marnieje i ginie w protestantyzmie ze szkodą dla katolicyzmu, przy pomocy szkoły pruskiej! Ileż to dzieci katolickich zabiera szkoła pruska na protestantyzm wbrew woli i protestów rodziców! Na jakiej to podstawie

moralnej spoczywać może działanie szkoły, jeżeli taż zniewoloną jest prowadzić zatargi z rodzicami o dzieci przymusem szkolnym jej oddane? Jakież to stosunki wyrodzić się muszą w szkole, kształcącej na Niemców i protestantów dzieci, które dom rodzicielski po polsku i katolicku wychowuje!

To bezprawne postępowanie szkoły możemy licznemi stwierdzić dowodami, panuje tu jak najbezwzględniejsza samowola. Rodzice dziecka byli katolikami i Polakami, ojciec umiera, wdowa wychodzi powtórnie za mąż za protestanta; szkoła zabiera dzieci pierwszego małżeństwa na protestantyzm, bo podług logiki pruskiego Schulmeistra ma tu decydować wola ojczyma. Ale ta zasada bywa natychmiast łamaną jeżeli matka Polka i katoliczka idzie powtórnie po śmierci męża swego protestanta, za mąż za Polaka i katolika. Dom ten czysto polski wychowuje naturalnie dzieci z pierwszego małżeństwa po polsku i katolicku. Szkoła powiada jednakże, że wyznanie ojczyma nic tu nie znaczy, i przerabia dzieci na Niemców i protestantów. Nie mało mamy takich przykładów że dzieci wychowane w domu po katolicku były u spowiedzi św., a mimo to każą im się w szkole uczyć religii protestanckiej. Szkoła pruska, czepiając się u nas od pewnego czasu dzieci z małżeństw mieszanych, ma w tym względzie daleko wysunięty cel polityczny. Część tego planu wyszła niebawem na jaw w zabieraniu dzieci na protestantyzm. Świeżo wydany nakaz inspektora powiatowego Schwalbe, ustanowionego na Poznań i sąsiednie szkoły ludowe, nowe zdradza zamysły. Rozporządził on, aby wszystkie dzieci z mieszanych małżeństw uważano za Niemców i przekazano je oddziałowi niemieckiemu, w którym, jak wiadomo, nie ma nauki języka polskiego, a wykład religii niemiecki. Nie wszędzie udało się szkole zabrać dzieci z mieszanych małżeństw na protestantyzm, bo rodzice lub opiekunowie sądową drogą doszli praw swoich, więc zniemczyć przynajmniej chciałaby szkoła tę dziatwę. W tym względzie nie ma żadnej obrony prawnej, tu jedynie administracya decyduje, a dekreta jej, od inspektora powiatowego począwszy, aż do ministra, są nazbyt nam znane. Z tą procedurą administracyjną, burmistrzującą w szkole, bardzo rządowi pruskiemu dogodnie, o wiele swobodniej, niż gdyby się miał widzieć związanym jasnemi paragrafami konstytucyjnemi. To też każdy z ministrów pruskich tak stanowczo opie-

rał się wydaniu ustawy edukacyjnej, a minister Raumer wyraźnie oświadczył się w sejmie pruskim w lutym 1852 r. z tych właśnie powodów przeciw wydaniu ustawy edukacyjnej.

Seminarya nasze nauczycielskie, o których wiemy że za poprzednich ministrów oświecenia troszczyły się jeszcze dość względnie o nasz język, doznały za ministerstwa Falka zupełnej przemiany na naszą szkodę. Ordynacya z dnia 15 października 1872 r. dokonała tego przeobrażenia. Mamy w Wielkopolsce tylko dwa seminarya katolickie: w Paradyżu i w Kcyni, dwa czysto protestanckie w Bydgoszczy i Koźminie; jedno symultanne jest w Rawiczu, w miejsce katolickiego, które dawniej było w Poznaniu, ale je, lat temu dwanaście, zmieniono. Podług najnowszej statystyki rządowej, liczy Wielkopolska 1,703.397 dusz; z tych podług obrachunku ewangielickiego konsystorza jest 515.243 ewangelików, Żydów jest 70 tysięcy, katolików Niemców jest u nas 60 tysięcy; Polaków, którzy są bez wyjątku katolikami zarazem, liczy zatem Wielkopolska milion 58 tysięcy 154 dusz, a katolików (tj. Polaków i Niemców) milion 118 tysięcy 154. W jakimże to nienormalnym stosunku są te dwa seminarya katolickie do ludności katolickiej! Ależ prawda, rząd protestancki nie może zapominać o swych współwiercach! Wykładowym językiem w obydwóch katolickich seminaryach nauczycielskich i w symultannym jest niemiecki, a polski bardzo macoszej zażywa opieki. To też opuszczający seminarya kandydaci do zawodu nauczycielskiego, jeźli są Polakami, mało się w seminaryum douczyli w polskiem, a Niemcy niezmiernie skąpy zapas znajomości tego języka przynoszą na posadę. Coraz też mniej takich nauczycieli, którzyby religii mogli uczyć dzieci polskie w ojczystym ich języku. Nie przypadkiem, nie w skutek niezdolności przy składaniu egzaminu aspirantów zgłaszających się do seminaryum, ale tendencyjnie dzieje się to, że egzaminatorowie jak najmniej przyjmują Polaków do seminaryów, oddając pierwszeństwo Niemcom. To systematyczne usuwanie aspirantów Polaków przerzedziło w ostatnim czasie znacznie szeregi nauczycieli Polaków. Gminy mające prawo prezentowania nauczyciela, w rozpaczliwym znajdują się położeniu; czekają na zgłoszenie się do nich kandydata Polaka, ale nadaremnie; przez gazety polskie, czego dawniej nie bywało, wabią kandydatów, ale i to bez skutku, bo skądże się ci kandydaci mają zgłosić, kiedy

ich nie ma! Upływa wreszcie termin prekluzyjny, i rejencya, korzystając z przysługującego sobie prawa, nadsyła do wsi czysto polskiej Niemca a zarazem często i protestanta. Na prośby i protesta dozoru szkolnego, zanoszone do władz szkolnych, nadchodzi zwykle wymijająca odpowiedź; każą też władze gminom szukać Polaka nauczyciela. Taka jest relacya, jeśli dozór szkolny, rozumiejąc swoje zadanie, nie pozbył się na rzecz rejencyi prawa prezentowania nauczyciela. Rejencya bowiem bardzo zręcznie nabywa dla siebie to prawo. Przyczyni się ona np. do wybudowania szkoły, dołoży nawet kilkadziesiąt marek na utrzymanie nauczyciela, jeśli jej za to w zamian odda gmina prawo prezentowania. Najczęściej wkrótce potem traci gmina zasiłek, bo ten był odwołalny, ale prawa prezentacyi rząd już nie wypuści z ręki; korzysta zaś z niego na rzecz niemczyzny i protestantyzmu, nasyłając gminie bez jej pytania nauczyciela Niemca kalwina, albo Niemca protestanta.

Mając rząd dwa seminarya protestanckie a jedno symultanne, pamiętając nadto o tem, aby jak najwięcej Niemców wstępowało do seminaryów, ma zawsze do dyspozycyi dostateczną liczbę protestantów lub Niemców katolików, o których ulokowanie bardzo jest troskliwy. Za mało mu już posad wakujących z powodu śmierci nauczycieli, pozbywa się przeto Polaków, zniewalając ich do emerytury. To datuje się od pewnego czasu z uderzającą skwapliwością. Miejsce otwarte przez ustąpienie Polaka, zajmuje Niemiec germanizujący bezwzględnie dzieci nasze, wystawione na ustawiczne męczarnie umysłowe w szkole, która z powołania swego rozwijać powinna rozum, kształcić i uszlachetniać duszę. Na domiar tego złego nie wolno nam się nawet dowiedzieć co się dzieje w szkole, i czego nauczyciele dzisiejsi uczą z religii św. Nie wolno bowiem księdzu katolickiemu, nie będącemu inspektorem lokalnym, wchodzić do szkoły; ten przywilej pastorom protestanckim nadano.

Tak się przedstawia dziś szkoła wielkopolska pod opieką rządu pruskiego. Protestantyzm i germanizm równocześnie prą przez nią plemię słowiańskie, aby je wyprzeć z ziemi ojców. Opłakane też są owoce tej szkoły: ludność jej nienawidzi, dzieci wśród łez modlą się nad książką niemiecką w domu i w szkole, uczciwi nauczyciele boleją nad tym nielitościwym systemem wraz z dziatwą i jej rodzicami, widząc, że szkoła tłumi w dzieciach polskich, tak dawniej

do nauki skorych, wszelkie zamiłowanie do prac szkolnych, a ostatecznym tego systemu rezultatem są mnożące się u nas zbrodnie, których dawniej nasza polska dzielnica nie znała. Więzienia się wznoszą z każdym prawie rokiem, nie mogąc jednak pomieścić w sobie przestępców prawa boskiego i świeckiego.

„Urządźcie prawidłowe szkoły, a wypróżnicie więzienia", wołał lat temu trzydzieści poseł Harkort w sejmie pruskim. Te szerzące się u nas zbrodnie, te ustawicznie powstające więzienia świadczą właśnie najwymowniej o tem, że szkoła u nas nie spełnia swego obowiązku i zadania. Już lat piętnaście sroży się u nas ten system eksterminacyjny, szerząc spustoszenie moralne i materyalne, a rząd opiekuńczy widząc te skutki, nie usuwa jednak przyczyn, sądząc, że dopnie swego celu przez szkołę. Już trzeci minister oświecenia słyszy i zna nasze żale na szkołę, a nie zaradza złemu. Nie ma pod słońcem uczciwego pedagoga, któryby się zgodził na pruską pedagogikę w obec dzieci naszych praktykowaną w szkole, a jednak nie zmienia się ten system, bo zmienienie go zależy od następców i zwolenników praktykowanej w obec nas polityki byłego ministra Eulenberga, który przy obradach nad ustawą o inspekcyi szkolnej pogroził nam: „musicie zostać Niemcami!" „Kein Mensch muss müssen", powiedział Lessing, i my też nie musimy i nie zostaniemy Niemcami. Osłabili nas chwilowo, zmitrężyć i zubożyć nawet może do czasu ten system pruski, ale mimo to pozostaniemy tem, czem nas Pan Bóg stworzył, i czem być chcemy — Polakami i katolikami! Mogą administracye i sądy pruskie karać grzywnami i więzieniem rodziców za nierozważne słowo rzucone na dzisiejszą szkołę ze zbolałej piersi polskiej, mogą karać rodziców i dzieci za nieposyłanie dzieci na niemiecką religię, mogą słudzy szkolni i policyanci gonić po drogach i miastach za dziećmi, uciekającemi z szkoły i unikającemi jej; mogą sądy karać dwuletniem nawet więzieniem redaktorów upominających się o krzywdę dzieciom w szkole wyrządzaną, mogą ministrowie pruscy nie odpowiadać na żałoby nasze wytaczane przez rodziców i przez posłów naszych w Berlinie, ale „żadna prowokacya, żaden, choćby najtwardszy ucisk — jak powiedział w sejmie pruskim 14 marca 1883 r. poseł ks. Prałat Stablewski — nie zepchnie nas z drogi prawa, żaden, choćby najtwardszy ucisk, nie powstrzyma nas od obrony prawnej tego, co uważamy za nasze

święte prawo". Można w pień wyciąć ludność męzką, głodem zamorzyć oblężone miasta, można, zwycięzcą będąc, zakreślić sobie granice demarkacyjne, jak daleko się podoba, ale wydrzeć żywym ludziom duszę, odebrać im wiarę, narzucić narodowi świadomemu swej narodowości obcą mowę, a ojczystą z niego wyplenić, — to przekracza siły ludzkie. Margrabiowie brandenburscy i Krzyżacy dokazali prawda czegoś podobnego, ależ to dawne temu czasy, mało się wtenczas troszczono o kilka głów ludzkich. Czasy te nie wrócą, dziś walka duchowa rozstrzyga. W kole rodzinnem nasza twierdza, w Bogu nasza nadzieja, że praktykowany u nas system przeminie, a miejsce jego zajmą zdrowe zasady pedagogiczne, o które dzisiaj tak twarde staczamy walki.

V. R.

Listy z nad Bałtyku.

II.

Charakterystyka Łotyszów. — Ich kraj. — Pierwsze kroki ich oświaty. — Książki łotewskie wydawane przez Żydów. — Szkoły i urzędy gminne. — Dobry stan pod tym względem Inflant szwedzkich i Kurlandyi.

Fizyognomia Łotyszów znacznie się odróżnia od Finnów i Estów a zbliża do Litwinów i Słowian. W przecięciu, charakteru łagodnego, cichego, lubią przedewszystkiem życie spokojne, są uczciwi, nabożni, dosyć pracowici, cierpliwi i roztropni, a w ogóle nie odznaczają się chciwością.

Ubiór ich poniekąd podobnym jest do tego, który noszą włościanie kolonistów niemieckich. Domy mieszkalne zwykle budują z drzewa, z okrąglaków, zatykając szpary mchem; żyją rodzinami, odosobnieni jedni od drugich, zwykle w dolinach nad brzegami jezior i strumieni; przy wyborze sadyb zwracają przedewszystkiem uwagę na piękność położenia: to też znajdujemy je nierównie częściej w malowniczem położeniu, u podgórza przerzniętego pięknym parowem, w pobliżu czystych wód krynicy, otoczone czeremchą, jarzębiną i kwiecistemi krzewy w których rozbrzmiewa uroczy

śpiew słowika, niż na glebie żyżnej, zwłaszcza jeśli ta ostatnia w samotnej płaszczyźnie jest położoną. Zresztą niemal w niczem nie różnią się Łotysze od włościan litewskich, szczególniej w Inflantach polskich i tak zwanej górnej Kurlandyi (das kurische Oberland), gdzie się już razem zbierają i tworzą małe wioski, do czego skłaniają ich przyrodzone własności kraju i stosunkowo gęstsze zaludnienie. Jeśli wyłączymy wielkie lasy i bagna całkiem niezamieszkałe, na milę kwadratową wypadnie w Inflantach polskich przeszło 1300, a w górnej Kurlandyi około 2000 mieszkańców.

Polsko inflanccy Łotysze zewnętrzną postawą nie różnią się zgoła od spólplemienników swoich w Kurlandyi i gubernii inflanckiej, czyli tak zwanych „Inflant szwedzkich", zwłaszcza od mieszkających na pograniczu około rozległego jeziora Łubanu i bystrej rzeki Ewikszty, wypływającej w powiecie rzeżyckim z tegoż wspaniałego jeziora (noszącego na dawnych mapach geograficznych nazwę „Mare Lubanicum"), a po 15-milowym przebiegu uchodzącej do Dźwiny, w powiecie dyneburskim, przy dawnym szwedzkim szańcu, który przed laty usypanym został na granicy Polski i Szwecyi, obecnie zaś oddziela Inflanty polskie od szwedzkich; znaczenie jego spadło do prostego granicznego wału między witebską i inflancką czyli ryską gubernią.

Zwłaszcza na pograniczu nie różnią się zgoła polsko-inflanccy Łotysze od Łotyszów gubernij inflanckiej i kurlandzkiej. Ten sam wyraz cierpienia rozlany na twarzy, ziemista jej cera, pewne nabrzmienie policzków, rysy wyrażające nieudaną pokorę; budowa ciała również wysmukła. Są oni przeważnie małego wzrostu, niekrępi, w ogóle niesilni. W głębi kraju wszakże spotkać można mężczyzn krzepkich, słusznego wzrostu, dobrze i silnie zbudowanych, jakoteż piękne kobiety, które, jak i w wielu okolicach gubernii inflanckiej, od pierwotnego pochodzić muszą szczepu.

Temperament polsko-inflanckich Łotyszów flegmatyczny, brak w nim energii; charakter im tylko właściwy i dlatego dosyć trudny do określenia. Są oni po większej części leniwi, obojętni na wszystko oprócz własnego interesu, który, zwłaszcza od swego uwolnienia w roku 1861, zawsze na pierwszem stawiają miejscu. W stosunku do możnych są uniżeni, pokorni, ale kiedy uczują się silniejszymi, zaraz stają się uparci, fałszywi, a nawet podstępni. Chociaż pod-

dańśtwo (zniesione dopiero przed dwudziestu czterema laty) i pijaństwo, które przed zaprowadzeniem towarzystwa wstrzemięźliwości w Inflantach polskich bardzo było upowszechnione — do przytłumienia rozumu i rozkrzewienia lenistwa wiele się przyczyniały, zawsze jednak, pomimo lepszych nawet warunków, wstręt do pracy i ociężałość umysłu charakterystycznie tę gałąź Łotyszów cechują.

W niej także zauważyć jeszcze można brak wszelkiego pociągu do stowarzyszeń, które w Kurlandyi i Inflantach szwedzkich (o ile nie są ogniskiem agitacyj socyalno-politycznych) przyczyniają się nie mało do uobyczajenia ich współplemienników, posiadających nietylko liczne stowarzyszenia dobroczynności, urządzających najrozmaitsze rozrywki ludowe, ale także niesłychaną moc towarzystw chóralnych (Gesangvereine), które w roku 1880 występowały zbiorowo w Rydze w chórach mięszanych, złożonych z przeszło tysiąca osób płci obojga, śpiewających zgodnie, już to *a capella*, już z towarzyszeniem wielkiej orkiestry.

Natomiast w Inflantach polskich, z powodu braku wszelkiego pociągu do stowarzyszeń, każda włościańska rodzina pracuje tylko dla siebie i tyle tylko, ile nieodzownem jest do zabezpieczenia życia.

Nie brak wszakże i wyjątków, których liczba coraz się zwiększa, zwłaszcza w miejscowościach, zbliżonych do miast powiatowych i miasteczek. Włościanie dochodzą w nich do wielkiej zamożności, a wyuczywszy się czytać po polsku, wyróżniają się coraz bardziej od swych współbraci rozwijającą się oświatą

Już to wyznać należy, że polsko-inflancka gałąź Łotyszów w pierwszym dziesiątku lat po wyswobodzeniu się z więzów poddańśtwa znacznie naprzód postąpiła. Więksi właściciele ziemscy i kapłani, duchem Bożym owiani, stosownie do możności, oddawna wiele pracowali nad umoralnieniem i oświatą ludu, i chociaż od roku 1863 duchowieństwo po za obrębem kościoła mało może wpływać na kształcenie umysłu swoich parafian, mimo to jednak szkółki elementarne, jak i przedtem, przez nich długo jeszcze były podtrzymywane, a i pisma ludowe w narzeczu polsko-inflanckiem się mnożyły do roku 1871, w którym to czasie władze miejscowe kres tej działalności położyły.

Odtąd w Inflantach polskich, zarówno jak na Litwie i Żmujdzi, wszelkie księgi ludowe nadzwyczaj podrożały. Przedruki ich

uskutecznia zagranica. Litewskie przedrukowują w Prusach wschodnich, a przedruk łotewskich w narzeczu polsko-inflanckiem (im hochlettischen Dialekt), według świadectwa słynnego królewieckiego lingwisty profesora Betzenbergera, dokonywa się w Holandyi i wybornie naśladuje dawne wydania wileńskie, dorpackie i ryskie. Będąc ztamtąd przez Żydów przemycane, stanowią one nową gałąź zysku, do samych już tylko synów Izraela wpływającego. Przedruki te stają się z roku na rok coraz mniej poprawnymi, gdyż oczywiście sami Żydzi prowadzić muszą korektę przedruków. Utwierdził nas w tem mniemaniu zacny Kanonik J. J., pokazawszy książkę do nabożeństwa katolicką, w której skład apostolski w taki sposób został oddrukowanym, że wcale nie zawierał imienia Chrystusowego. Czytaliśmy tam wyraźnie: „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, Pana naszego; który się począł z Ducha świątego i t. d., bo wiersz „i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedynego“ przez nieuwagę żydowskiego korektora wypuszczonym został. Co zaś najsmutniejsza, że w braku innych i te skaleczone przedruki pomiędzy ludem łotewskim bezkarnie kursują. Szkółki ludowe łotewskie w Inflantach polskich sankcyi rządowej nie otrzymały. Natomiast urządzono przy zarządach gminnych rządowe szkółki gminne, w których uczą tylko po rosyjsku.

Stan istniejących szkółek i zarządów gminnych dosadnie maluje Dr. August Bielenstein w jednym z ostatnich tomów czasopisma „Baltische Monatsschrift“ (t. XXIX., str. 715), dając znakomity obraz *triumwiratu*, złożonego z pisarza gminnego, nauczyciela, oraz felczera, którzy nie mają wspólnego ani języka, ani też wyznania tej gałęzi Łotyszów, która całkowicie w ich ręku zostaje; *„sie sind jenem Triumvirat machtlos und wehrlos preisgegeben“*, są słowa wspomnianego powyżej słynnego badacza szczepu łotewskiego.

Inaczej rzecz się ma w Inflantach szwedzkich i Kurlandyi, gdzie usamowolnienie włościan nastąpiło tam już w roku 1817 i 1818, a władze zaś miejscowe uszanowały patryarchalny stosunek, który od kilku wieków łączył właścicieli ziemskich z włościanami. To też w wspomnianych prowincyach dotąd nawet nie próbowano wzbraniać gminom zakładania szkółek czysto ludowych, w których chłopcy

i dziewczęta wieśniaków pobierają nauki wyłącznie w języku łotewskim.

Szkół takich liczono w roku 1880 w samej tylko Kurlandyi 364 i w tymże roku uczęszczało do nich 15.227 chłopców i 10.127 dziewcząt, a więc ogółem 25.324 dzieci łotewskich. W tych 364 szkołach ludowych nauczało 438 nauczycieli, z których 241 posiadało patenta, czy też dyplomy na nauczycieli elementarnych[1].

W części gubernii inflanckiej, zamieszkałej przez szczep łotewski, liczono w roku 1882 szkół wiejskich gminnych 396 a parafialnych 75, ogółem więc szkół ludowych łotewskich 471, i w tym roku uczęszczało do nich 20.845 chłopców i 19.634 dziewcząt, ogółem 40.479 dzieci łotewskich, jak to czytamy w ogłoszonej w czerwcu roku 1884 przez inflanckie „kolegium landratów“ nader cennej pracy: *Materialien zur Kenntniss des Landvolksschulwesens in Livland.*

Praca ta znakomita wykazuje najdosadniej, że ostatniemi laty poziom wykształcenia ludowego w gubernii inflanckiej jeszcze bardziej się podniósł niż w Kurlandyi, jakkolwiek i tam stan szkół ludowych niewiele pozostawia do życzenia.

Gustaw Manteuffel.

Z Berlina.

Pogląd na sytuacyę wewnętrzną. — Misye katolickie po koloniach niemieckich. — Orędzie cesarskie.

Już dość dawno temu zwróciłem uwagę na to, że się zanosiło na pewną zmianę sytuacyi politycznej. Jakkolwiek książe Bismark zawsze pragnął takiej większości w parlamencie niemieckim i w sejmie pruskim któraby z góry była gotową popierać jego politykę,

---

[1] Wiadomości niniejsze czerpiemy z oficyalnego sprawozdania ogłoszonego przez zwierzchność szkół wiejskich w Kurlandyi (Kurländische Ober-Landschul-Commission), w skład której wchodzi słynny z prac swoich statystycznych marszałek gubernialny kurlandzki Alfons br. Heyking.

jednakowoż od pewnego czasu usiłowania dążące do utworzenia takiej większości wystąpiły z większą natarczywością. Rozumie się samo przez się, że w skład tej większości żadną miarą nie mogło wchodzić stronnictwo środkowe, ponieważ wszyscy którzyby chcieli pójść w służbę ks. Bismarka, musieliby się bezwarunkowo zrzec swoich zasad. Również z góry byli wykluczeni postępowcy, czyli, jak się obecnie nazywają, stronnictwo wolnomyślne [1], mające pewne znaczenie konstytucyjne. Ztąd też podczas ostatniej pory przedwyborczej, prasa zostająca na usługach rządowych, z taką energią występowała przeciwko jednemu i drugiemu stronnictwu i zmusiła jedno i drugie do zgodnego działania w kilku okręgach wyborczych; o zasadniczem przymierzu oczywiście nie mogło być mowy między katolikami a liberałami. Katolicy trzymali się zasady, że gdzie koniecznie wybrać trzeba między dwoma złemi, wybiera się złe mniejsze. W skład nowej większości miały wejść tak zwane umiarkowane żywioły z obozu konserwatywnego i liberalnego. Zachowawcy ścisłego autoramentu, liczba takich mężów jest dziś w Prusiech nadzwyczaj mała, zostawali tedy także pod klątwą, chyba gdyby gotowi byli do ślepego posłuszeństwa względem sternika polityki niemieckiej. Organ zachowawców porządniejszych („Kreuz-Ztg“.) przezwyciężył sympatyę, jaką dawniej miewał do stronnictwa środkowego, i ostatecznie, chociaż po niejakiej walce, doszedł do tego, że się uroczyście wyparł wszelkiej z Centrum łączności.

W historyi tego zwrotu w polityce „Kreuz-Ztg.“ odgrywa ważną rolę tak zwane intermezzo Paderbornskie. Konsystorz biskupa Paderbornskiego wydał w lutym poufne rozporządzenie do dziekanów, z poleceniem, aby młodzież poświęcającą się stanowi duchownemu, z powodu zamknięcia seminaryum, tymczasowo czyniła zadość wymaganiom zmodyfikowanego ustawodawstwa majowego. Wiadomo czytelnikom, że podług tych wymagań młodzież ta miała odbywać trzyletnie studya teologiczne na jednym z uniwersytetów niemieckich a mianowicie miała pilnie uczęszczać na wykłady filozofii, historyi

[1] Freisinnige Partei. Wyraz ten ma być niemieckiem przetłumaczeniem wyrazu „liberalny“. Stronnictwo wszystkich liberałów unika tego wyrażenia „liberalny“, a to dla tego, że narodowcy liberalni, oddawszy się zupełnie ks. Bismarkowi, mieli splamić nazwę liberalizmu.

i literatury niemieckiej. Skoro się prasa katolicka o tem dowiedziała, oświadczyła jednomyślnie, że konsystorz żadnego nie ma prawa wydawać rozporządzeń o takiej doniosłości, że jedynie Stolica Apostolska może w tej mierze orzec, jak się zachować należy. Skończyło się ostatecznie na tem, że na wskazówkę Stolicy Apostolskiej biskup Paderbornski cofnął owo rozporządzenie. Biskupi w Fuldzie zebrani (biskup Paderbornski wysłał tam delegata), zakazali surowo teologom, żeby zaświadczeń odbytych studyów od władz uniwersyteckich nie żądali, ani je władzy świeckiej nie przedkładali. Otóż wśród wielkiej wrzawy, która w Niemczech aż do ostatecznego rozstrzygnięcia tej ważnej sprawy panowała, podburzała „Krez-Ztg.," episkopat pruski wyraźnie do buntu przeciwko Rzymowi. Organ, inspirowany widocznie przez ministra Gosslera, radził biskupom, aby zaprotestowawszy pro forma przeciwko ustawom majowym, w rzeczy samej do przeprowadzenia tych ustaw się przyczynili, a mianowicie by seminarya duchowne, (teraz pozamykane), pootwierali, poddawszy je nadzorowi rządowemu. „Kreuz-Ztg." zaręczała, że rząd nadzór ten poleci urzędnikom katolickim; a gdyby musiał w seminaryach pewne zmiany zaprowadzić, wszystko to da się ułożyć tak cicho, że się prasa wcale o tem nie dowie. Jakie oburzenie te artykuły organu konserwatywnego wywołały, łatwo sobie wystawić. Baron Schorlemer, znany przywódca stronnictwa środkowego, oświadczył na zgromadzeniu publicznem, że nawet za Falka nigdy podobnych rzeczy nie żądano od katolików. „Z taką ofertą", są słowa jego, „nie zgadza się krzyż, który jest godłem „Kreuz-Ztg.," lecz worek Judasza Iskaryoty".

Pomimo zwrotu, jaki się dokonał w obozie zachowawczym, obawia się „Kreuz-Ztg." przyszłości. Ostatecznie nie życzył sobie organ ten, aby narodowcy liberalni, przypuszczeni do łaski ks. Bismarka, osiągnęli stanowczy wpływ na politykę. Trzeba bowiem wiedzieć że w rachubę tu wchodzą rządy przyszłego cesarza niemieckiego. Prasa rozprawia od kilku tygodni o tej ewentualności z zadziwiającą otwartością. „Kreuz-Ztg." obawia się słusznie „nowej ery liberalnej, podobnie jak za życia króla pruskiego, niezdatnego do rządów, w r. 1858 obecny monarcha dał dymisyę gabinetowi zachowawczemu a do rządów powołał gabinet liberalny, po którym atoli już w r. 1862 nastąpił ks. Bismark. Królewiczowi

pruskiemu przypisują zapatrywania nieco liberalne; dzienniki rządowe, jak „Norddeutsche Allgemeine“, „Post“ i „Schlesische Ztg.“ radzą konserwatystom, aby dla własnego „ocalenia“ przeszli do obozu rządowego, ponieważ w żadnym razie królewicz nie będzie szukał poparcia zachowawców ścisłego autoramentu z zapatrywaniem ortodoksyzmu. Książe Bismark liczy się oczywiście, już teraz z ewentualnością, że niedługo królewicz pruski obejmie rządy. W takim zaś razie większość parlamentarna, na którąby zawsze i wszędzie spuścić się mógł, miałaby dla niego bardzo doniosłe znaczenie. Cesarz Wilhelm jest bardzo łaskawym i wdzięcznym przyjacielem księcia Bismarka, królewicz zaś, mimo wszelkiej życzliwości i wdzięczności, gotów jednakże względem niego wystąpić jako pan. Wszystkie te rzeczy tłumaczą dostatecznie doniosłość zmian, które się na scenie politycznej powoli dokonywają. Książe Bismark nie ma wielkiej ochoty być sługą; kieruje on więc konstelacyą stronnictwa w taki sposób, iżby w razie wstąpienia na tron cesarzewicza, nie stawały mu w drodze żadne przeszkody do utrzymania się przy władzy.

Ponieważ stronnictwo środkowe zostało zupełnie usuniętem na bok, musiał nastąpić zastój w wykonywaniu zadań parlamentarnych, nad któremi katolicy i zachowawcy wspólnie pracowali; narodowcy liberalni zaś zbytecznie przesiąkli zasadami szkoły manszesterskiej, iżby mogli zastąpić stronnictwo środkowe. Reformy społeczne ustąpią więc z widnokręgu, wyjąwszy asekuracyę robotników. Polityka gospodarcza nie będzie mogła rozwijać się należycie. Natomiast nałożone będą większe ciężary na naród, bo przeprowadzanie dalsze polityki Bismarkowej wymagać będzie sum ogromnych. Prawa parlamentu nie będą z pewnością rozwinięte, ale raczej ukrócone; ludność nie doczeka się nawet tego, żeby wybory tajne były tam, gdzie teraz bywają jawne. Z tem łączy się dalsza centralizacya w rządach cesarstwa niemieckiego a przedewszystkiem dalsza walka kościelna. Wszystkie zaś te cele dodatnie i ujemne objęte są nazwą „polityki narodowej“. Tutejsza „Germania“ nie waha się tedy twierdzić, że poczucie narodowe ks. Bismarka jest chorobliwe, nerwowe, a prowadzi do czynów niechrześcijańskich, nieludzkich i niepolitycznych. Tylko kościół narodowy spełniałby życzenia Bismarkowe; Kościół katolicki uchodzi w jego oczach za niebezpieczny dla państwa. Stąd

„błędy“, jakie katolicka prasa księciu zarzuca w polityce względem Alzacyi i Ziem polskich, a teraz świeżo w polityce kolonialnej.

Przebieg rozpraw nad interpelacyą stronnictwa środkowego co do misyj katolickich w Kamerunie jest czytelnikom znany. Katolicy od samego początku żywili pewne obawy, że w sprawie misyj po koloniach centralna władza berlińska nie będzie się rządziła bezwzględną sprawiedliwością. Dowodem tego są zapytania, jakie Windthorst już w lutym wystósował do komisarza rządowego w komisyi budżetowej. Przywódca stronnictwa środkowego powoławszy się na doniesienie dziennikarskie o wykluczeniu misyonarzy katolickich z Angry Pequeny, zapytał się wówczas, czy rząd na równi traktować będzie katolików i protestantów, a mianowicie czy myśli zaprowadzić ustawy majowe do kolonij. Tajny radca von Kusserow odpowiedział, że z aktów nic mu nie wiadomo o wykluczeniu misyonarzy katolickich przez kupca Lüderitza, właściciela Angry Pequeny; zresztą odwołał się na artykuł 6. uchwał konferencyi w sprawie Kongo, sądząc, że te same zasady znajdą zastosowanie w posiadłościach niemieckich. Windthorst odrzekł, że na to z góry spuścić się nie można, że zdaniem jego powinien rząd wpłynąć na zmianę samowolnego postanowienia, z którym p. Lüderitz wystąpił. Gdyby rząd zamierzał do kolonij zastosować ustawy majowe, toby właśnie zakonnicy katoliccy, rozwijający tak błogą działalność po koloniach, byli w najgorszem położeniu. Windthorst oświadczył, że w parlamencie przy sposobności tę sprawę poruszy. Wypadki znane pokazały, że obawy Windthorsta były uzasadnione.

Wspomniany artykuł uchwał w sprawie Kongo przyrzeka wyraźnie misyonarzom szczególną opiekę. Bez różnicy narodowości lub obrządku dozwolone są wszelkie instytucye i przedsięwzięcia religijne, naukowe i dobroczynne, które dążą do obznajomienia ludności miejscowej z dobrodziejstwami cywilizacyi. Wyraźnie zagwarantowano wolność sumienia i tolerancyę religijną. „Swobodne i publiczne wykonywanie wszystkich kultów, prawo do budowania gmachów przeznaczonych do odprawiania nabożeństwa i urządzanie misyj jakiegokolwiek kultu nie ma podlegać żadnemu ograniczeniu ani żadnym przeszkodom“.

Pomimo to oświadczył kanclerz w parlamencie, że Jezuici i pokrewne im zakony i kongregacye nie mają wstępu do kolonij

niemieckich. Zdaniem jego nie może ta sama władza świecka która te zakony wydaliła z Niemiec, zezwolić na ich działalność kapłańską po koloniach; nie dość na tem: takim sposobem ustawodawstwo majowe miałoby być rozciągniętem do posiadłości, gdzie ono dzisiaj nie obowiązuje. Książe Bismark oświadczył ze zwykłą energią, że chociażby nie było w Niemczech żadnej ustawy antyjezuickiej, nigdyby do kolonij nie dopuścił Jezuitów, a to z powodów wyłącznie politycznych. Zdaniem jego Jezuici zabijają w młodzieży poczucie narodowe, co dla Niemiec byłoby o tyle groźniejszem, że Niemiec pospolicie zbyt łatwo pozbywa się swej narodowości. Aby należycie ocenić tę niechęć księcia Bismarka do zakonu w którym upatruje przyszłych przywódców socyalistów, trzeba wiedzieć, że nawet Jezuici wcale nie myśleli o wysłaniu misyi do Kamerunu, lecz niemieccy członkowie zgromadzenia Ojców du „St. Esprit“ w Paryżu, księża Veik i Stoffel. Kanclerz przedstawił obu jako agentów francuskich i wyraził obawę, czy w razie zawikłań z Francyą misyonarze stanęliby po stronie cesarstwa niemieckiego. Nawiasem wspomnę, że ks. Veik jest Badeńczyk rodem, nigdy nie otrzymał naturalizacyi we Francyi, a zajmuje od kilkunastu lat bardzo zaszczytne miejsce w Haïti, nie zostaje więc nawet w kolonii francuskiej. Ks. Stoffel jest niemieckim Alzatczykiem, z oficerem francuskim tegoż nazwiska nie jest spokrewniony, chociaż Bismark to twierdzi. Jakkolwiek obaj zakonnicy w pismach wystosowanych do władz niemieckich użyli języka francuskiego, oświadczyli jednakże, że do ojczyzny swej są przywiązani: książe Bismark opuścił odnośny ustęp z tej korespondencyi, chociaż w parlamencie obszerne z niej przeczytał miejsca. Zresztą i to charakteryzuje rzecz całą, że cesarzowa Augusta żywo się interesowała zamiarami Ojców, i dała im list własnoręczny do cesarzewicza, że cesarzewicz równie uprzejmie ich przyjął, i oświadczył że się sprawą ich zajmie; do księcia Bismarka nie mogli zaś ci Ojcowie dotrzeć. Niemcy po koloniach zapatrywali się na tę rzecz wcale inaczej jak kanclerz. Właśnie niedawno zmarły Dr. Nachtigal, uznana w sprawach kolonizacyjnych przez Niemców powaga, wyraził w obec konsula niemieckiego życzenie, aby z Gabunu misyę przeniesiono do Kamerunu; misya bowiem Gabuńska kierowana przez Alzatczyków, w rolnictwie i rękodzielnictwie świetne wydała rezultaty. Zdaniem Dra Nachtigala

i admirała Knorra potrzeba, żeby miejsce angielskich misyonarzy w Kamerunie zajęli wspomniani Ojcowie. Wyznaczono nawet miejsce, które im na własność oddać miano. Wpływ księcia Bismarka unicestwił wszystkie te zamiary.

Kiedy przed dyskusyą nad tą interpelacyą sprawa misyi była przedmiotem dość obszernych rozpraw dziennikarskich, nawet tak wrogi nam organ jak „National-Ztg.“ oświadczył, że zasadnicze wykluczenie misyonarzy katolickich z kolonij nie dałoby się w żaden sposób usprawiedliwić; dziennik liberalny powołał się także na uchwały wspomniane w sprawie Kongo. A „Kreuz-Ztg.“ sądziła, że trzebaby zmienić ustawy majowe, gdyby one działalności misyonarzy miały być na przeszkodzie. „Vossische Ztg.“ zaś umieściła korespondencyę paryską ubolewającą nad tem, że 600 – 700 misyonarzy Niemców pracuje po koloniach francuskich lub w miejscowościach, gdzie wpływ francuski przeważa, w Azyi mniejszej, w Egipcie, w północnej Afryce, w Chinach i t. d. Organ liberalny przemawiał za tem, aby Niemcy tych zakonników zawezwały do działalności cywilizacyjnej po koloniach niemieckich, a nie zmuszały ich do tego, żeby zostawali na usługach rywalów cesarstwa niemieckiego. Zasada wygłoszona przez księcia Bismarka doprowadziłaby do tego, że misye katolickie istniejące obecnie w Afryce wschodniej, w archipelagu Bismarka zostałyby zniesione; a jednakowoż pracowali tam już zakonnicy i zakonnice, kiedy jeszcze Niemcy nie marzyli nawet o zagarnięciu owych posiadłości. Lepiej nie mieć misyi, niż takie!

Na znaną interpelacyę odrzekł kanclerz, że w zasadzie misye katolickie nie są wykluczone z kolonij. Dr. Windthorst wykazał w parlamencie że ta obietnica tylko teoretyczne ma znaczenie, w praktyce zaś nic nie znaczy. Kanclerz gotów tolerować „niemieckie stowarzyszenia misyonarskie“. Takich zaś instytucyj w myśl protestantów nie znają katolicy wcale. Książe Bismark znając nieświadomość zupełną protestantów w sprawach kościelnych, przewidywał, że protestanci będą sądzili, że istotnie misyonarze katoliccy będą mogli poopuszczać dotychczasowe stacye swoje, aby podążyć do Kamerunu. Protestanci nie rozumieją klauzul, ograniczeń i warunków które kanclerz do słów swoich dodał. Faktycznie zaś ks. Bismark zarezerwował kolonie dla misyonarzy narodowości niemieckiej. Misyonarze ci nie mają być zawiśli od zagranicznego generała ani nawet od

Propagandy rzymskiej. Jasna rzecz, że trzebaby dopiero założyć w Niemczech dom misyonarski, któryby odpowiadał warunkom takim. Dom taki nie mógłby nawet istnieć w Prusiech, bo tu „obowiązują“ osobne przepisy rządowe względem wychowania i wykształcenia duchowieństwa, a nadto w całych Niemczech istnieje ustawa znosząca życie zakonne. Słusznie więc twierdzi Windthorst, że misye katolickie zostały faktycznie wykluczone. Zanimby taki dom katolicki zdołał wykształcić misyonarzy, zagarną już protestanckie misye wszystko pod swoje skrzydła, a ks. Bismark oświadczył wyraźnie, że nie wie jeszcze stanowczo, czy nie trzeba będzie wykluczyć zasadniczo drugiego wyznania tam, gdzie już pracuje pierwsze. Kiedy Windthorst przyparł go do muru, dowodząc, że dziś nie ma w Niemczech misyonarzy uzdolnionych w myśl kanclerza, uciekł się książe Bismark ostatecznie do argumentu, godnego tego polityka, mówiąc, że „możnaby do Kamerunu wysłać księży pisujących do dzienników katolickich, mianowicie zaś współpracowników „Germanii“. To jedno słowo charakteryzuje księcia Bismarka dosadniej niż długie artykuły. Prawdopodobne więc bardzo, o czem pisze „Germania“, że Ojciec święty boleśnie został dotknięty zachowaniem się rządu niemieckiego w tej sprawie. Że ludność katolicka do żywego jest oburzona przeciwko kanclerzowi, dodawać nie potrzeba.

Druga burza szalała w parlamencie niemieckim z powodu uchylenia odpowiedzi na interpelacyę polską. Przeczytanie orędzia cesarskiego zrobiło ogromne wrażenie, przeważna większość nie sądziła, żeby książe się tak daleko posunął, i zasłaniał politykę swoją powagą monarchy. Zręczność parlamentarna Windthorsta zmusiła, jak wiadomo kanclerza, który wraz z radą związkową opuścił salę posiedzeń, do powrotu: Windthorst uchwycił, jak przysłowie niemieckie wyraża się, wołu za rogi. O przebiegu dyskusyi nic tu nie wspomnę, zwrócę tylko uwagę na doniosłość orędzia cesarskiego.

W pierwszej chwili zostawał parlament cały pod wrażeniem, że reskrypt cesarski z góry sprzeciwia się wszelkiej dyskusyi w sprawie wydalań „obcokrajowców“. Jeden z posłów konserwatywnych oświadczył to bez ogródki. Liberalno konserwatywni milczeli. Zresztą wszystkie frakcye były przekonane, że można w parlamencie nad tak ważną kwestyą wszczynać dyskusyę, chociażby się nie popierało interpelacyi; wyraźnie podnosił to nawet narodowiec libe-

ralny profesor Marquardsen, Bawarczyk, bezwzględny zwolennik polityki Bismarkowskiej. Świetnie bronił tej zasady postępowiec profesor prawa Hänel, który także nie podpisał interpelacyi. Rzecz ta jest niemałej wagi, bo zachowawcy, przeciwni wszelkiej dyskusyi nad interpelacyą, liczą w parlamencie tylko 53 członków, podczas kiedy wszystkie inne frakcye liczą członków 344. Zestawienie tych liczb najlepiej dowodzi, po czyjej stronie jest słuszność. Zresztą sam Bismark oświadczył, że nie byłby uciekł się do tak niezwykłego środka, gdyby tylko stronnictwa „zagraniczne“ (Polacy, Francuzi, Duńczycy), socyaliści i postępowcy podpisali interpelacyę; jedynie pomoc udzielona Polakom z strony tak poważnej jaką przedstawia Centrum, miała go skłonić do tego, iż cesarzowi pruskiemu doradził wystosowanie orędzia. Mimo to wątpi „Post“, czy powaga orędzia cesarskiego nie ucierpi na tem, gdy zbyt często wejdzie w używanie. Prasa rządowa przyznała ostatecznie, że reskrypt cesarski nie tyle był zwrócony przeciwko dyskusyi nad interpelacyą, jak raczej przeciwko przypuszczeniu, że władza centralna uprawnioną jest do poczynienia jakichkolwiek kroków przeciwko królowi pruskiemu.

W prasie czytaliśmy, że nawet członkowie rady związkowej nie mało byli zdziwieni orędziem cesarskim. Nie łatwo dać temu wiarę, ponieważ podług art. 16 konstytucyi, wszelkie przedstawienia na mocy uchwał rady związkowej przedkładać się mają parlamentowi w imieniu cesarza. Orędzie cesarskie musiało tedy być wprzódy zakomunikowanem radzie związkowej; być może, że się to stało dopiero bezpośrednio przed posiedzeniem parlamentu. Król pruski nie zostaje bezpośrednio w żadnych stosunkach do parlamentu; gdyby królowi pruskiemu uchodziło wystosowanie orędzia do parlamentu, toby ostatecznie każdy z książątek niemieckich był także do tego uprawnionym w razie, gdy mu się nie spodoba postawa parlamentu.

Jak się stronnictwa poszczególne na orędzie zapatrują, wiemy dotychczas dopiero z głosów prasy. Zachowawcy potracili zupełnie głowy, przynajmniej trzeba to powiedzieć o „Kreuz-Ztg“ zabraniającej parlamentowi wszelkiej dyskusyi nad interpelacyą; nawet organ przyboczny kanclerza sprostował to dziwaczne pojmowanie sytuacyi prawnej. „Post“ ogranicza doniosłość orędzia, jak to powyżej powiedziałem, a „Norddeutsche Allg. Ztg“ przyznaje organowi dyplomacyi słuszność. „Post“ oskarża wprost Windthorsta, że mu jedynie

przy układaniu osnowy interpelacyi chodziło o wstrząśnienie jedności niemieckiej. „National-Ztg“ natrząsa się z przypuszczeń zachowawców, jakoby trzeba bronić niezawisłości poszczególnych państw przeciwko unifikacyjnym tendencyom Windthorsta. Twierdzenie, jakoby ks. Bismark jedynie ze względu na chwilową sytuacyę na Wschodzie unikał rozpraw nad interpelacyą, nie znalazło nigdzie wiary. Postępowcy wyrazili przekonanie, że kanclerz w tym przypadku pragnął obalić powagę parlamentu i przytłumić głos reprezentacyi narodowej. O kompetencyi parlamentu w tej sprawie jest cała lewica przekonana, jak dowodzą tego argumenta przez nich przedstawione za interpelacyą. Wykazują, że wydalania mogą sprowadzić zawikłania z zagranicznemi mocarstwami a sprawy te jako międzynarodowe należą do kompetencyi cesarstwa. Następnie mówiąc o wykonywaniu władzy policyjnej względem obcokrajowców dowodzą, że dozór odnośny w myśl konstytucyi należy się cesarstwu, chociaż do tej chwili nie zostały jeszcze powzięte żadne uchwały względem wykonywania tego nadzoru. Wreszcie przypuszczają socyaliści, że Austrya i Rosya mogłyby użyć represaliów przeciwko Niemcom, którzy przebywają w Austryi lub Rosyi. W myśl żądania socyalistów, ma kanclerz poczynić kroki, aby czem prędzej cofnięto zarządzenie tak mocno krzywdzące interesa ludu niemieckiego. Gdyby socyaliści byli żądanie swoje wystosowali do rady związkowej a nie do kanclerza, nie wiem, coby można zarzucić wnioskowi tak sformułowanemu. Wniosek socyalistów ma także tę dobrą stronę, że większość musi się nim zająć, skoro kolej na to przyjdzie; dyskusyę zaś nad interpelacyą może większość dowolnie odroczyć, co się też dotychczas stało mimo prób posłów polskich. Windthorst pragnie unikać większego rozdrażnienia ks. Bismarka, a to ze względu na całą sytuacyę wewnętrzną. Mimo to w żadnym razie nie może się parlament teraz już cofnąć; honor zakazuje tego. Zresztą nie potrzeba sądzić, że chodzi o pogwałcenie praw pruskich. Parlament może wezwać rządy poszczególne do „poczynienia kroków“ np. w tym kierunku, aby nadzór cesarstwa nad sposobem wykonywania władzy policyjnej względem obcokrajowców został ujęty w formy prawne; wtenczas nie byłoby mowy o walce lub o zatargu między „konwentem unitarskim“, jak książę Bismark

nazwał parlament zostający na usługach Windthorsta — a władzą poszczególnych królów i książąt niemieckich.

Zapisać trzeba jeszcze jedną wersyę nową o znaczeniu orędzia. Kanclerz pracuje obecnie nad projektem względem monopolu handlu spirytusem. Bawarya i Wirtembergia mają tymczasem właśnie co do spirytusu zagwarantowane konstytucyą osobne prawa, któreby musiały być usunięte przed zaprowadzeniem monopolu. Tu napotkał kanclerz na wielkie przeszkody, bo Bawarya i Wirtembergia nie myślą zrzec się resztek swej niezawisłości. W obec tego, zadaniem orędzia cesarskiego byłoby uśmierzyć obawy partykularne. W taki sposób nie miałoby orędzie bezpośrednio żadnego związku z tą sprawą przeciwko której na pozór wyłącznie jest wystosowane. Przyszłość dopiero wykaże, ile w tej wersyi jest prawdy.

Faktycznie została interpelacya na bok usuniętą. Koło polskie pragnęło w obec parlamentu przedstawić okrutność, jakiej się niższe władze nieraz względem wydalanych dopuszczają; dyskusya w parlamencie miała przynajmniej na przyszłość nieco złagodzić niedolę wydalonych. Niestety i ten cel nie został osiągnięty.

X. X.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Z powodu krytyki mego dzieła, p. t. „Synody prowincyonalne, oraz czynności niektórych funkcyonaryuszów apostolskich w Polsce do r. 1357“, napisanej przez księdza Ignacego Polkowskiego a zamieszczonej w grudniowym zeszycie „Przeglądu powszechnego“ z r. 1885, proszę o łaskawe zamieszczenie następującego sprostowania.

Zabierającemu się do nakreślenia tych kilku słów tkwią mi w pamięci piękne wyrazy Szanownego Krytyka, które brzmią: W literaturze zagranicznej gruntowna, rzetelna, sprawiedliwa krytyka i recenzya stanowczo wyrokuje o dziele naukowem, podnosząc albo też zniżając wartość onego. U nas sprawa ta bardzo jest niedostatecznie traktowaną,... bo nie ma wyrobionych krytyków, którzyby gruntownie zdawali sprawozdanie z pojawiających się publikacyj, podnosząc znaczenie tychże, o ile na to zasługują lub wytykając usterki i niedostatki, dla nauki drugich.

Zaprawdę porównując ocenę tak różnorodną dzieła, którego tytuł przytoczyłem, jaka się znachodzi w „Przeglądzie kościelnym“ z dnia 17 września b. r. Nr. 12, w „Gazecie lwowskiej“ t. r. Nr. 216, w „Bonus Pastor“ t. r. Nr. 11. i wreszcie w „Przeglądzie powszechnym“ w zeszycie 12 b. r. najzupełniej przyznać należy prawdziwość słowom księdza Polkowskiego, które przytoczyłem. Z tem większą atoli przykrością zmuszony jestem odpowiedzieć Szanownemu Kryrykowi: *Ex ore tuo te judico*, krytyka albowiem, jaką napisał, nie może się tą nazwą poszczycić.

Słowo κρίσις oznacza zbadanie i wydanie sądu *(cfr: Suidae: Lexicon graece et latine*, wyd. Bernhardego z r. 1853, t. II. Cz. I. str. 411), a zatem łączy w sobie dwa pojęcia i dwie czynności, mianowicie wszechstronne roztrząśnięcie rzeczy roztrząsanej i wydanie o niej sądu.

Dzieło wyż wspomniane, ażeby wszechstronnie roztrząsnąć, potrzeba było: 1) roztrząsać je z podwójnego stanowiska, mianowicie ze stanowiska historycznego i ze stanowiska kanonistycznego; 2) należało je całe uważnie przeczytać i takowe wyrozumieć.

Szanowny Krytyk natomiast: 1) krytykuje je tylko ze stanowiska historycznego a stronę kanonistyczną zupełnie pomija; 2) nie zadał sobie pracy całe dzieło uważnie przeczytać i takowe wyrozumieć, co, przeszedłszy do rzeczywistych, jakie mi czyni, zarzutów, okażę.

Co dotychczas powiedziałem, należy do roztrząśnięcia krytycznego dzieła. Do wydania zaś sądu o niem należy. 1) wszystko, co jest niewłaściwem lub fałszywem, wykazać; 2) wszystko, co ma w dziele wartość, osobliwie przez co nauka została naprzód posuniętą, podnieść.

Szanowny Krytyk wykazuje niedostatki dzieła, ale z wyjątkiem kilku zarzutów, które istotnie z wdzięcznością przyjmuję i które będą dla mnie dyrektywą, ogół zarzutów, jak to okażę, jest tego rodzaju, że słuszność wydaje się być po mojej a nie Szanownego Krytyka stronie.

Natomiast we własnej obronie a w imię prawdy podnoszę, co uważam za własną w tem dziele zasługę. Pominąwszy pragmatyczne powiązanie pojedynczych synodów prowincyonalnych, o czem Szanowny Krytyk rzeczywiście z uznaniem się wyraża, podnoszę iż: a) udowodniłem, co był tylko nadmienił ks. Korytkowski w Katalogu arcybiskupów gnieźnieńskich (str. 5), że erekcya metropolii gnieźnieńskiej wbrew dotychczas utartemu zdaniu miała miejsce w Rzymie i przed r 1000; b) że okazałem dobitnie, iż świętopietrze, jakie Polska płaciła do Rzymu, było podatkiem od głowy a nie ryczałtem, i że tylko Niemcy w Polsce zamieszkali ociągali się od płacenia go w ten sposób; c) że porównałem wszystkie artykuły uchwał synodalnych z kollekcyami praw kościelnych, jakie wówczas mogły być znanemi naszym biskupom, obradującym na synodach; d) że wskazałem synody, które dotychczas zupełnie nie były znane a o innych synodach zdania zrektyfikowałem; e) że dałem pogląd na stosunki szląskie, na grożący krajowi zalewem niemiecki żywioł, na sprawę dziesięcin kościelnych i na stanowisko Żydów w Polsce; wreszcie, f) że użyłem w omawianiu rzeczy o synodach takiej formy, któraby czytelnika, choćby profana, nie nużyła.

Z tego wszystkiego Szanowny Krytyk raczył podnieść właściwie tylko sposób powiązania pojedynczych synodów, oraz że pierwszy nadmieniam o od-

prawionym synodzie prowincyonalnym w Wolborzu, i że należycie pojąłem stanowisko, jakie zajmowali Niemcy i Żydzi w Polsce, inne wszystko pomija.

Natomiast przechodząc do szczegółów zarzuca mi, że nie należało mówić o synodzie płockim, który się odbył około r. 1218, gdyż to sprzeciwia się założeniu uwidocznionemu w tytule: Synody prowincyonalne. W odpowiedzi na to pozwolę sobie zwrócić uwagę księdza Polkowskiego na to, że pełny tytuł mego dzieła brzmi: Synody prowincyonalne, oraz czynności niektórych funkcyonaryuszów apostolskich w Polsce do r. 1357; synod rzeczony zaś odprawił właśnie taki funkcyonaryusz apostolski arcybiskup Henryk Kietlicz, który został legatem apostolskim około roku 1214 cfr. Kodeks wielkopolski. Tom I. str. 80). Lecz gdyby i tak nie było, to wypadało mi o tym synodzie wspomnieć z powodu sporu między arcybiskupem a ówczesnym biskupem płockim, który rzuca nam pewne światło na ówczesne stosunki Kościoła, mianowicie na obyczaje kleru, które podnieść uważałem za potrzebne.

Przyznaję atoli słuszność uwagom księdza Polkowskiego z okazyi przytoczonej przezemnie wiadomości o odprawieniu synodu dyecezalnego poznańskiego w r. 1253 i wdzięczny jestem za sprostowanie mylnej daty, odbył się on bowiem w r. 1252. Nie spieram się też bardzo ze Szanownym Krytykiem o to, czy rzeczywiście odbył się ten synod lub nie, sądzę jednak, że pozwalają to przypuszczać słowa rocznikarza wielkopolskiego, który pod r 1252 powiada: *Eodem anno frater Gerandus*[1] *venit in Poznaniam et convocato Bogufalo episcopo Poznaniensi et clero civitatis et dioecesis totius ... omnes manifestos concubinarios publice excommunicavit* (cfr. Mon. Pol. histor. T. III. str. 19). Przyznając zupełną słuszność w czem należy Szanownemu Krytykowi, pozwalam sobie zaprzeczyć twierdzeniu Jego, jakobym synod ten nazwał prowincyonalnym, owszem na str. 75 wyrażam się o nim jako o dyecezalnym.

Zarzut, jakobym nazwał synodem zjazd biskupów w Mstowie, z okazyi konsekracyi Pawła elekta poznańskiego w r. 1212 jest zupełnie nieusprawiedliwiony, o czem się można łatwo przekonać na str. 12, 32 i XLI. mego dzieła, gdzie najwyraźniej rzeczone zebranie biskupów nazywam zjazdem a nie synodem, mimo że Grünhagen w swem wydaniu daleko późniejszem, aniżeli: *Regesta episcopatus Vratislaviensis, Breslau 1864*, które przytacza ks. Polkowski, p. t. *Regesten zur schlesischen Geschichte, Breslau 1876, II. Lieferung* str. 105 zowie ten zjazd synodem.

Widocznie też zbyt pobieżnie czytając moją książkę Szanowny Krytyk pomieszał synod prowincyonalny w Wolborzu odbyty w r. 1215 ze synodem w kościele płockim, odprawionym około r. 1218 przez arcybiskupa i legata Henryka Kietlicza, kiedy powiada: „Do wzmianki o tym nieznanym synodzie w Wolborzu dołącza ks. Gromnicki wiadomości zaczerpnięte z listu Honoryusza III. papieża z r. 1218 ogłoszonego przez Theinera, a powtórzonego przez wydawcę kodeksu wielkopolskiego, że Henryk Kietlicz jako legat Stolicy Apostolskiej strofował na tym synodzie i ukarał biskupa płockiego". Dodaje też bezpośrednio potem: „Czy do załatwienia tej sprawy potrzeba było zwołania synodu, jest rzeczą bardzo wątpliwą". Z tych słów widzę, że Szanowny Kry-

[1] Osobistość ta znachodzi się pod tą nazwą w kodeksach rocznika wilanowskim i wrocławskim, stąd też nie można mi zarzucać, że ją tak zowię, co czyni ksiądz Polkowski.

tyk sam popadł w jakąś fatalną sprzeczność, albowiem uznaje synod płocki około r. 1218 odbyty za identyczny ze synodem odprawionym w Wolborzu w r. 1215, czemu na innem miejscu swej recenzyi sam zaprzecza, mówiąc o tych synodach oddzielnie (cfr. str. 432 i 433).

Lecz nie koniec tej sprzeczności. Z przytoczonych słów przebija, jakoby nie wierzył w odprawienie synodu płockiego, który tak fatalnie zidentyfikował ze synodem wolborskim. Celem przeto oświecenia Szanownego Krytyka, odsełam Go do stronicy 33 mego dzieła, gdzie wyraźnie jest mowa o tem, że synod prowincyonalny w Wolborzu był zupełnie innym, aniżeli synod płocki, co też mamy dokumentalnie zatwierdzone tak o jednym, jak i o drugim synodzie. Odprawienie synodu prowincyonalnego w Wolborzu zatwierdza dokument, wydany przez Mengoza proboszcza z Trzemeszna i Guntera dziekana z Płocka wydany we Włocławku z powodu sporu o dziesięciny między klasztorem w Strzelnie a biskupem kujawskim Bartonem w r. 1215, którego dotyczący ustęp dosłownie brzmi: *Ne cum mundo labili labatur quod ab humanis agitur actibus, eternari debet voce testium et testimonio litterarum. Inde est, quod nos Mengos prepositus de Chirmesna et Gunterus decanus de Ploczk, iudices delegati a synodo provincionali habita in Woybor, notum facimus presentibus i t. d.* O tem zaś, że około roku 1218 odprawionym został przez arcybiskupa Henryka Kietlicza synod w Płocku i to w sprawie biskupa płockiego i jego duchownych, świadczy dowodnie list Honoryusza III. papieża do arcybiskupa Henryka, pisany w r. 1218, w którym papież powiada: *Cumque in Plocensi ecclesia synodum celebrans nil invenisses in clero vel episcopo corrigendum ... novis adinventionibus canones novos cudens, novo modo contra ipsos procedere festinabas,* z czego widać nawet, że na tym synodzie zostały wydane przez arcybiskupa jakieś nowe statuty, naturalnie o których my dziś nic nie wiemy.

Idę teraz dalej za księdzem Polkowskim. Z powodu ważnego synodu sieradzkiego, odprawionego w r. 1233, spotykają mnie dwa zarzuty. Po pierwsze, że podaję jego statuty w 10 rozdziałach, jak je ostatni wydawca w kodeksie wielkopolskim tom I. str. 131–133 wydał, a nie w 15, jak je wydał Romuald Hube w r. 1851 i 1856. Powtóre, że podałem zbyt pobieżnie treść statutów „tak pobieżnie, powiada Szanowny Krytyk, iż kto będzie miał ten tylko tekst, to ani pojęcia nie będzie miał o chwalebnych tego synodu uchwałach".

Na pierwszy zarzut odpowiadam, że obowiązkiem historyka jest korzystać z najlepszego i o ile możności ostatniego wydania źródła, którego się używa. Otóż gdy kodeks wielkopolski, jak to sam ksiądz Polkowski musi przyznać, jest najlepszą i ostatnią edycyą tych statutów, oparłem się na nim i zatrzymałem podział taki, jaki tam jest użyty. Odpowiadając na wtóry zarzut muszę się najpierwej zastrzedz, że nie było moim zamiarem podawanie tekstu statów, tylko ich streszczenie a dodam tylko tyle, że to, co jako tekst w najnowszem wydaniu znajduje się umieszczone na jednej tylko karcie in folio z małym dodatkiem, to ja jako streszczenie tego tekstu podałem na całych trzech stronnicach w ósemce a to zdaje się, że choćbym był poprzednio o rzeczach, będących przedmiotem tych statutów nic zgoła nie mówił, jest dostatecznie wyczerpującem streszczeniem, tem bardziej, że nikt mi nie może zarzucić, żebym cokolwiekbądź o czem mówią, rzeczone statuty, pominął. Chyba ksiądz Polkowski chciał, żebym dosłownie podał wszystkie statuty, ale o tem, żem

tak nie postąpił, każdy kto weźmie książkę w rękę i ujrzy, jaki był jej cel, tylko z uznaniem się wyrazi, gdyż przez to uniknąłem suchego a czytelnika nużącego cytowania *per extensum* artykułów synodalnych. Natomiast Szanowny Krytyk nietylko tego nie podniósł, ale ma za to słowa zarzutu dla mnie.

Taka sama odpowiedź należy się z mej strony na zarzut, że nie wykazałem różnic, jakie zachodzą w kodeksach petersburskim i wrocławskim statutów synodu wrocławskiego, odprawionego pod przewodnictwem legata Jakóba archidyakona leodyjskiego w r. 1248, i że nie podałem powodu niezgodności obydwu tych rękopisów, który to zarzut Szanowny Krytyk podnosi także z powodu innych kilku synodów. Praca tego rodzaju, jak mi każdy przyzna, jest rzeczą wydawcy a nie autora, który na tle ustaw synodalnych zamierzył dać obraz stosunków Kościoła pod względem prawno-historycznym, co jest tendencyą mej książki a zdaje się, że przytaczając w streszczeniu ustawy synodu sieradzkiego, wrocławskiego i innych, wywiązałem się już z mego zadania, jeżeli nie przemilczałem niczego, o czem mówią statuty.

Wielki mnie dalej spotyka zarzut, że wrzekomo pomijam synod prowincyonalny łęczycki z r. 1240. Odpowiadam na to, że gdyby był Szanowny Krytyk zechciał pilnie odczytać to, co mówię na stronnicach od 47 do 51, przekonałby się, że tak nie jest. Nie odnoszę tylko jego odprawienia ściśle do roku 1240, tylko do czasu między rokiem 1240 a 1242 a to z powodu, że na mocy dokumentu, na którym Mętlewicz opiera swą hypotezę, jakoby się odbył w roku 1240 (cfr.: Pamiętnik religijno-moralny, tom XXII., str. 264—265 i Kodeks wielkopolski t. I., str. 190—191) nie można się bezpiecznie pisać na to twierdzenie, gdyż rzeczony dokument nie ma wyrażonego ani miejsca, ani roku, ani dnia, gdzie i kiedy został wydany. Gdybym przeto odprawienie tego synodu, podobnie jak Mętlewicz, odniósł na pewne do r. 1240, możnaby mi zarzucić brak ścisłości historycznej, a co najmniej twierdzenie moje uważać za nienależycie uzasadnione. Zatem powtarzam, że niesłusznie zarzuca mi Szanowny Krytyk, jakobym synod rzeczony pominął milczeniem, owszem, zdanie Mętlewicza sprostowałem pod względem czasu, w którym się odbył, ale tego ksiądz Polkowski znowu nie podnosi na moją korzyść.

Nieusprawiedliwiony także zarzut jest, że pominąłem milczeniem synod prowincyonalny wrzekomo w r. 1244 w Łęczycy odprawiony, o którym mówi Mętlewicz w Pamiętniku religijno-moralnym, tom XXIV., stronnice mylnie podane od 329—331. Odpowiadam na to, że z bezwarunkową pewnością o odbyciu tego synodu żaden stojący na wysokości swego zadania historyk godzić się nie może. Wprawdzie Długosz w księdze VII., za nim Starowolski w *Epitome Conciliorum* fol. 329 a ich śladem, krom Mętlewicza Helcel w Starod. prawa pol. pomnikach tom I., str. 335 i Dzieduszycki w „Przeglądzie lwowskim“ z r. 1879. poszyt 7, przypuszczają odprawienie jego w tym roku z powodu, że arcybiskup Pełka zatwierdził klątwę rzuconą na Konrada mazowieckiego, przez biskupa krakowskiego Prandotę, za złupienie dóbr biskupstwa, lecz na to, by Pełka zatwierdził tę klątwę, niekoniecznie potrzeba było zwoływania synodu prowincyonalnego. Zapewne, iż możnaby przypuszczać, że w tej sprawie odbył się synod, ale z tego, co powiada o tem współczesny Bogufał (cfr. c. 74 w Monum. Polon. t. II. str. 562—563), nie można jeszcze żadną miarą na pewne tego twierdzić. Długosz zaś, na którego relacyi cała wiadomość o odbyciu synodu

się opiera, jest zanadto oddalony od tych czasów i za mało zasługuje na wiarę, by w obec źródła współczesnego miało przeważyć jego w tym względzie zdanie.

Na ostatek należy się wytłumaczyć ze zarzutu, jaki mnie spotkał za to, że w przedmowie powiedziałem, że piszący o naszych synodach „mało zagłębiali się w powody wydawania statutów na takowych“, z czego Szanowny Krytyk wnioskuje, jakobym twierdził, że nie podawali oni powodów zwoływania synodów. Odpowiadam, że tego nie twierdzę, owszem, przyznaję, że zawsze tam była mowa o ostatecznych powodach zwoływania synodów, ale przyczyny wydawania statutów na nich szerzej pojęte, podawali po największej części lakonicznie, nie zawsze podając je na tle historyi naszego Kościoła a oraz w związku synchronistycznym. Tak rozumiałem, pisząc te słowa.

Nie przeczę też, że Szanownego Krytyka może razi wyraz „nieprawidłowy“, jako oddający w polskim języku łacińskie słowo techniczne „irregularis“, lecz jakiegoś słowa na oddanie tego wyrazu potrzeba było użyć, użyłem go przeto, sądząc, że ono oddaje dosłownie znaczenie wyrazu łacińskiego, oraz to, co duch prawa kościelnego chce przez słowo „irregularis“ wyrazić, jeżeli atoli Szanowny Krytyk raczy mi wskazać inne słowo odpowiedniejsze na oznaczenie tego wyrazu, będę Mu za to wdzięczny.

Na tem kończę moją odpowiedź na krytykę księdza Polkowskiego, gdyż na zarzuty jak że przedmowa jest zamieszczona tylko na jednej kartce, że funkcyonaryuszów Stolicy Apostolskiej nazywam apostolskimi, że używam słowa bliskoczesny, miasto bliski tych czasów, że wyraz łaciński „lingere“ oddaję przez słowo „wyssać“, zamiast go oddać przez nieodpowiedne w mowie o Najświętszym Sakramencie „lizać“ lub „zlizywać“, sądzę, że nie mam potrzeby odpowiadać.

Ks. Tadeusz Gromnicki.

Druk ukończony dnia 21 grudnia 1885.

JEDNOSTKA W OBEC PAŃSTWA.

(1. *L'individu contre l'État*, par Herbert Spencer, trad. par J. Gerschel. Paris 1885. 2. *Les Origines de la France contemporaine, par H. Taine*: *La Révolution*. Tom. III. Paris 1885. Livre Deuxieme: Le Programe Jacobin).

Habent sua fata... nietylko *libelli*, lecz i artykuły przeglądowe, takie nawet, co jeszcze wcale napisane nie zostały. Od dłuższego czasu nosiłem się z myślą dwóch szkiców krytyczno-polemicznych, o dziełach filozoficznych *Spencera* i *Taine'a*; ostrzyłem już pióro przeciw modnym dzisiaj, a bardzo sofistycznym teoryom obydwu tych myślicieli, epigonów pozytywizmu [1]. Rozporządzają oni dziś może najobfitszym zasobem wszelakiej erudycyi i nowych a bardzo nieraz nauczających spostrzeżeń i poglądów, lecz pogrążone to wszystko w odmęcie teoryj sprzecznych z prawdą i rzeczywistością, zacierających najprostsze i najoczywistsze różnice między tem, co skutkiem jest, a co przyczyną, co ciałem jest, a co duszą, co niezupełnie jest znanem, a co jest zupełnie nieznanem i do poznania człowiekowi niepodobnem i t. d... chciałem więc ostrzedz wedle sił moich jak najdosadniej przed tym porywającym dziś wiele umysłów prądem i strumieniem sofistycznej logiki.

[1] W osobnej broszurze *Reasons for dissenting from the philosophy of M. Comte* dowodzi Herbert Spencer niezawisłości swojej od szkoły pozytywistów, wykazując sprzeczności między swemi pierwszemi zasadami (first principles), a doktryną Augusta Comte'a. Jakiekolwiek są te sprzeczności, to jednakże nie przestaje być prawdą, że jak wszyscy pozytywiści, tak samo i Spencer Metafizykę i Teologię wyrzucił z porządku nauk ludzkich w mglistą sferę *de l'inconnaissable*, dla ludzkiego rozumu, zdaniem jego zgoła niedostępną. Bez względu więc na to, czem chce lub nie chce być Spencer sam osobiście, w historyi filozofii będzie on zawsze uważany za epigona czy kontynuatora Pozytywizmu.

Robota nie szła łatwo, bo to nie żarty, podjąć polemikę z najgłośniejszymi dziś potentatami na polu filozofii i publicystyki europejskiej, czyli, mówiąc językiem ich szkoły; „spróbować walki o byt w dziedzinie zasad z mózgami, wibrującemi falą najszerszej samowiedzy, na jaką zdobyły się, po dwudziestu wiekach różnorodnej kultury, wielorakiej adaptacyi i ewolucyjnej dziedziczności, komórki nerwowe szarej substancyi mózgowej zawarte w czaszkach dwóch najwyżej dziś cywilizowanych narodów zachodu". Jeszcze z Tainem lżejsza sprawa, bo książki jego, nawet i filozoficzne, pisane, jak romanse francuskie z werwą i talentem prawdziwie artystycznym, czyta się gładko i prędko, i z wielką przyjemnością. Ale zmódz szesnaście grubych tomów dzieł Spencera (są i takie, co mają i po 600 do 800 str.) nie licząc już mnogich Essayes, to zadanie niemałe, zwłaszcza, że tu czytanie idzie jak z kamienia. Nawet jako tako wygimnastykowanemu umysłowi lekturą Kanta albo Hegla, lub pism Arystotelesa i Scholastyków, trzeba czasem kilkakrotnie jeden okres czytać, zanim z myślą jego bliżej spoufalić się można, a wybrnąć z odmętu szczegółów na wysokość doktryny często prostemu śmiertelnikowi zgoła niepodobna. A że o Spencerze najprzód pisać chciałem, bo „z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy", więc też odkładałem to pisanie z dnia na dzień z miesiąca na miesiąc, nie czując się wcale na wysokości zadania.

Tymczasem rok bieżący przyniósł nam dwie najnowsze książki Spencera i Taine'a, które zupełnie pomięszały mi szyki. W sprawie może dziś najważniejszej, a w każdym razie nam najżywiej dziś dopiekającej, w przedmiocie nowożytnej, a szczęśliwie nam dziś w Europie panującej omnipotencyi państwa, obaj pozytywni filozofowie przemówili tak, że i prawowierny chrześcijanin nie mógłby lepiej trafić w jądro rzeczy, a temsamem z nieubłaganych przeciwników zmienili się odrazu w naszych sprzymierzeńców.

Cóż za niespodzianka! Cóż za świat dzisiaj? Maszyny już nie chcą być maszynami, maszyny o wolność osobistą wołają, skarżąc się na rosnący ucisk od warczących kół i kółeczek zębatych wszechwładnego mechanizmu państwowego. Wszak wiemy, że w oczach Spencera wszystko jest owocem Ewolucyi, która nie jest niczem innem, jak „integracyą materyi i rozpraszaniem się ruchów mechani-

cznych“ [1], także i człowiek nie jest niczem innem, jak ostatecznym do dziś dnia wytworem ewolucyi świata, czyli wynikiem integracyi materyi z pierwotnej nebulozy, a więc człowiek niczem innem, jak maszyną, mechanizmem, prawda, bardzo sztucznym bo zdolnym własnego rozwoju, ale za to o wieleż mniej trwałym niż inne grubsze maszyny ręką ludzką zrobione.

Wszak jednostka ludzka w kole zapatrywań Monistów, jak Spencer i Taine, nie może być oczywiście niczem innem, jak znikomą w swym kształcie i bardzo przemienną cząsteczką nieokreślonej substancyi wszechświata, a życie ludzkie czemś mniej, niż długością jednej fali w oceanie, a temsamem oczywiście cały człowiek z ciałem i duszą z góry całkowicie, absolutnie i wyłącznie zależny jest od niezmiernej i jedynie od wieków trwałej maszyny wszechświata, i bezwzględnie z natury rzeczy do niej przynależny, niejako *glebae adscriptus*, bez żadnej nadziei innego wyzwolenia prócz *dezintegracyi*.

Przecież wiemy, że dla ewolucyonistów tego kroju jak Taine i Spencer, wszystko co żyje na ziemi, od protozoów aż do kręgowców, są to rodzeni protoplaści człowieka w prostej linii rodowodowej, zawsze więc u nich człowiek, jako jednostka jest tylko jednym z fenomenów rozwoju ziemskiej protoplazmy, cały swój byt i swe zdolności, jeśli ma jakie, zawdzięczający li tylko całości rodzaju ludzkiego, dziedziczności setek pokoleń poprzednich i szczęśliwej aglomeracyi współczesnego mu społeczeństwa ludzkiego, rządzonego, nie mniej jak cała natura żyjąca, prawem przemocy w powszechnej walce o byt. Wszystko w tym świecie, jak go widzą i malują Spencer i Taine w swej filozofii, wszystko woła do człowieka: prochem jesteś i na proch startym będziesz ... zwierzem jesteś i bat jest twoim cywilizatorem, ... maszyną jesteś i mocniejszym od ciebie maszynom służyć i poddanym być musisz!... skoro co silniejsze, to ma i bezwzględne prawo nad tobą... a gdy wszystko w koło

[1] L'Évolution, mówi Spencer w swej książce *Premiers Principes*, l'évolution est une intégration de matière accompagnée d'une dissipation des mouvements, pendant laquelle la matière passe d'une homogénéité indefinie, incohérente à une hétérogénéité définie cohérente; et pendant laquelle aussi le mouvement retenu subi une transformation analogue (rozdz. 17). Oto jasna formułka tłumacząca nam zagadkę wszechświata, przytoczyłem ją w obcym języku, bo niech mi to kto potrafi na polskie przetłumaczyć!

ciebie, czy społeczeństwo, które cię wydało, żywi i ubiera, czy państwo, któremu podatki płacisz a w danym razie i krew oddać musisz,... czy też owe niewidzialne chmary bakteryj, które od urodzenia twego na śmierć twą czychają i w końcu cię zgryzą... gdy wszystko to silniejsze od ciebie,... to też losem twoim, póki żyjesz... niewola, a potem... śmierć na zawsze... niemasz tu nigdzie miejsca na twoją wolność osobistą... naiwna to mrzonka jak wiele innych, nic więcej... panuje wszędzie tylko brutalna siła i konieczność... skoro i ty sam jesteś tylko igraszką pierwiastków twego ciała...

Tak nas uczyli dawniej pp. Spencer i Taine, chociaż nie wprost temi słowy; ale taką przynajmniej zawsze wynosiłem pociechę z ich doktryny,... aż tu przed miesiącem wpada mi w rękę najnowsza broszura Spencera *L'Individue contre l'état*, z której również, jak po przeczytaniu ostatniego tomu dzieła Taine'a o Francyi, dowiaduję się z niemałem zdziwieniem, i większą jeszcze radością, że niema dziś w całej publicystyce europejskiej śmielszych i wymowniejszych obrońców wolności osobistej i przyrodzonych praw jednostki ludzkiej w obec Państwa, nad Spencera i Taine'a!

Jak ci panowie godzą swoje pierwsze zasady z dzisiejszem wystąpieniem, to już ich rzecz, a naszą rzeczą zapisać ten fakt i chwytać za słowo prawdy, tem cenniejsze i godniejsze zastanowienia, gdy przychodzi, zkąd się go najmniej spodziewać było można. I dlatego też porzucam na razie wszelką myśl walki i polemiki z teoryami Spencera i Taine'a, mniejsza o teorye, „grau ist jede Teorie"... byle w praktyce do jednych dążyć celów. Zamiast więc zapuszczać się w czczą polemikę, co najmniej wątpliwego skutku, wolę dać czytelnikom „Przeglądu" po prostu streszczenie najnowszych i najdonioślejszych owoców pracy obydwu wzmiankowanych filozofów, nie tykając ich dawniejszych dzieł, bo uważam, że w tych nazbyt ciężkich czasach zawsze lepiej pocieszyć się, jeśli można, choćby z dalekimi a rzadkimi dzisiaj przyjaciołmi wolności, niż przypominać komu, że gdyby był konsekwentnym i wiernym sobie doktrynerem, to właściwie przyjacielem ani apostołem wolności żadną miarą byćby nie powinien.

W życiu myślicieli pracujących z dobrą wiarą, niekonsekwencya nie zawsze jest błędem, owszem, często znamieniem szerszego umysłu

i serca, które, jak w tym wypadku, z wiedzą czy bez wiedzy łamie więzy ciasnej i płytkiej teoryi, by się raz przecie całkiem po ludzku odezwać. Zresztą najnowsza ta ewolucya umysłów Spencera i Taine'a, na pozór dziwna i niezrozumiała, daje się, zdaniem mojem, nieco wytłumaczyć.

Dopóki ci filozofowie, jak wielu innych dzisiaj, mieli oczy otwarte li tylko na fizykę lub fizyologię i t. d. i w ogóle li tylko z wyników c u d z y c h badań w naukach przyrodniczych — boć sami przyrodnikami nie są — wysnuwali swoje najśmielsze i najdalej idące spekulacye, swoje pierwsze zasady i swe na świat poglądy, dopóty niezwiązani zresztą w sumieniu żadnym tradycyjnym dogmatem, widzieli wszystko przez szkiełka specyalności, dopóty horyzont ich, rzec można, nie sięgał poza objektywkę drobnowidza, i tak pokazywało im się wszystko przez pryzmat materyi widzialnej, że nawet najwyższe objawy psychologiczne w człowieku tłumaczyli sobie mechanizmem, sprowadzając wszystko do postaci zjawisk czysto fizycznych.

Lecz skoro w pochodzie swych badań uniwersalnych, jako prawdziwy filozof, Spencer z swej biologii fizyologicznej, w której przeważnie posługiwać się musiał obserwacyami cudzemi, przeszedł do samoistnych badań i poszukiwań, by zbudować socyologię i etykę, nauki głębiej, rdzennie, w naturę ludzką wnikające... a tak samo Taine, gdy z fizyologa dyletanta, fizyologią nie zawsze szczęśliwie nawet swe estetyczno-literackie pisma zabarwiającego, zmienił się w poważnego historyka, całą siłą swego talentu rzucając się na samoistne studya dziejów własnego narodu w epoce najkrytyczniejszego ich przełomu, to już to samo dłuższe i wyłączne obcowanie z całym żywym człowiekiem, *en masse*, z pełną ludzką naturą a nie li tylko z objawami jego tkanek, nerwów i mięśni, uszlachetniło obydwu filozofów, i tak dalece rozszerzyło ich horyzont, że powoli z ciasnych doktrynerów wyrośli na ludzi[1].

[1] Dotknąłem tu, zdaniem mojem, może najpospolitszej przyczyny dzisiejszego tak łatwego mnożenia się i rozpowszechniania płytkich i ciasnych teoryj filozoficznych. Nauka dzisiaj coraz bardziej się specyalizuje. Każdy fach, a fachów coraz więcej, zdolny zapełnić całe życie badacza, tyle nasuwa mu ciągle nowych kwestyj, przedmiotów i zadań, ztąd umysły, nie odebrawszy, jak się to zwykle zdarza w młodości, kiedy był czas na to, ani zdrowego wychowania religijnego w domu, ani wykształcenia filozoficznego w szkole, bardzo łatwo popadają dziś w n i e w o l ę s w e g o f a c h u, gdy się oddadzą której z nauk przyrodniczych. A że każdy dojrzały umysł, z natury swojej, jakieś przecie pojęcie o wszech rzeczach mieć musi, więc też pakują wszechświat

„Można śmiało wyznawać i logicznie wywodzić zasady ślepego empiryzmu i determinizmu, wolną wolę ze sfery rzeczywistości spychać do rzędu absurdów, o jakich nawet mówić niewarto, poczucie swego ja, świadomość sprowadzać do rzędu czysto fizycznych fenomenów za wyłączną podstawę poczucia się jako osoby uważać materyalne pierwiastki tkanek organicznych, wszystko to idzie bardzo ładnie, jak długo nie mówi się nic o rzeczach społecznych i politycznych, o państwie, granicach jego władzy w stosunku do społeczeństwa i t. d.; ale kto się raz puści na to pole, niepodobna mu nie wrócić do dawnych pojęć: moralności, obowiązku, odpowiedzialności, osoby i prawa"... Powiedział to niedawno nie żaden z zacofanych, ale czystej wody pozytywista, na wstępie swego artykułu „o prawach kobiety" w *Révue philosophique*[1], powiedział to p. Sécretan, tym razem prawdziwy *l'enfant terrible* pozytywizmu, bo trudno naiwniej i trafniej odsłonić niemoc własnej szkoły. Tak samo też pp. i Spencer i Taine, gdy zaczęli mówić o rzeczach społecznych i politycznych, musieli poprostu wrócić do dawnych pojęć tradycyjnych... I w tem jest właśnie tryumf filozofii! Zwykły, mierny specyalista, całkowicie

---

i wszechbyt w ciasną szufladkę swego fachu, z niego jedynie czerpiąc swój pokarm duchowy i tak mierzą wszystko piędzią swojej specyalności. A że nauki przyrodnicze w pierwszym rzędzie wszystkie dotyczą materyi, więc też patrzą na wszystko przez pryzmat materyi. I tak umysły takie funkcyonują podobnie jak *Camera obscura* fotografa, z której li tylko bezbarwne odbicie zewnętrznego świata wydobyć można. Bo jeśli, jak mawiali starzy, wiedza ludzka jest pewnem zrównaniem siebie z przedmiotem wiedzianym, to gdy tym przedmiotem, u kogo jest wyłącznie świat materyalny, tem samem i dusza jego w samowiedzy swojej z czasem się materyalizuje tak, iż odróżnić siebie od materyi, a funkcyj psychologicznych od fizycznych zjawisk zgoła nie umie, a tak samo i zoolog między zwierzęciem a człowiekiem istotnej różnicy znaleść nie potrafi. Nigdy nie zapomnę, gdy raz, jadąc do Włoch, znalazłem się w wagonie w towarzystwie dwóch Niemców, specyalistów zoologów. Po krótkiej rozmowie tych panów między sobą, dowiedzieli się wnet nawzajem o sobie, że do jednego zmierzają celu, do sławnego Akwaryum w Neapolu. *Was studiren Sie den eigentlich?...* pyta jeden drugiego. ... *Mich interessiren die Fische am meisten...* und Sie?... *Ich bin noch über die Krebse nicht hinaus...* i dosyć było po tych wyznaniach spojrzeć na rybią twarz i rybie oczy jednego i na niezgrabne ruchy i zaskorupiałą powierzchowność drugiego, a przytem widzieć niczem niezamąconą obojętność obydwóch tych panów na wszystkie cuda Italii, żeby być pewnym, iż całe życie zostaną... jeden rybą, drugi rakiem...

[1] Zeszyt z lipca 1885, str. 38.

pogrążony w swoim fachu a bez zasad, zostaje, czem był od początku... amoebą, gąbką, rybą albo rakiem, ale prawdziwy filozof, który oprócz pewnej swojej specyalności, *demande des clartés de tout*, żądny choćby ogólnego opanowania różnych obszarów wiedzy, taki, jeżeli tylko szczerze prawdy szuka i nie zaślepi go jaka sekciarska nienawiść, całe życie maszyną, ani reptylią być nie potrafi, i prędzej czy później cały człowiek zeń na jaw wyjść musi. W Spencera Socyologii obudził się Anglik dawnego kroju, mający we krwi już *habeas corpus* i tradycye Selfgovermentu, i dlatego tak śmiało i z niezwykłą sobie werwą, chociaż bez pisarskiego talentu, przemówił, jako: *the man versus the state*, wznosząc się w końcu aż do pojęć na wskróś chrześcijańskich. Ale u Taine'a mniej się można było tego spodziewać, żeby w rezultacie swych badań historycznych zaszedł dalej niż Spencer, który w negacyi był od niego zawsze oględniejszy, żeby doszedł aż do tego, że odważył się stanąć po stronie prawdziwej wolności Kościoła i społeczeństwa, przeciw pierworodnej córze rewolucyi, która zwie się omnipotencyą państwa, skoro jeszcze w r. 1878 miał racyę p. Caro, gdy pisał o jego filozofii, *qu'il y manque deux mots... qui résument toute vraie civilisation et toute vrai philosophie: Dieu et la liberté*[1].. Dziś już w słowniku Taine'a przynajmniej to drugie słówko się znalazło, a niezawodnie zbliżył się i do pierwszego Słowa ten, co postąpił w Prawdzie. Lecz zanim to bliżej sprawdzimy, dajmy pierwej głos Spencerowi.

I.

Broszura Spencera: *The Man versus the State*, „Człowiek w przeciwieństwie do Państwa" jest poprostu wiązanką z kilku jego artykułów, ogłoszonych poprzednio w londyńskiej *Contemporary Reviw:* Nowy toryzm — Przyszłe niewolnictwo — Grzechy Prawodawców — Wielki zabobon polityczny, z dodatkiem przedmowy, kilku notatek polemicznych i krótkiego *post-scriptum.*

Pośród długoletniej obserwacyi biegu rzeczy we własnym kraju, doszedł autor do przekonania, że dzisiejszy t. zw. liberalizm

[1] L'Idée de Dieu et ses nouveaux critiques, par E. Caro. Paris 1878 str. 206.

państwowy w imię ułudnej idei wolności powszechnej i rzekomego dobra publicznego, prawodawstwem swojem ścieśnia i ogranicza coraz bardziej rzeczywistą, prawdziwą wolność obywateli, wolność osobistą i ekonomiczną. A jeśli taki proces odbywa się w Anglii, w ojczyźnie wolności i najwyższego poczucia godności osobistej, to cóż dopiero dzieje się na kontynencie.

Na gruncie angielskim według Spencera rzecz się tak przedstawia. Jeżeli od wieków dążyli Whigowie do zabezpieczenia praw wolności osobistej, wywalczając coraz nowe ograniczenia i ścieśnienia bezwzględnej władzy państwowej i praw przymusowych, które stawiali i których bronili Torysi stojący u władzy prawem przemocy zdobywców, to dziś przeciwnie, Whigowie, gdy coraz częściej przychodzą do władzy, a nawet choć nie są u steru, promulgują rok rocznie coraz więcej praw przymusowych, ograniczających bez miary obywatelską wolność osobistą, a tem samem stają się niejako „nowymi Torysami", Torysi zaś sprzeciwiając się temu prądowi, bronią wolności i wychodzą na Whigów, — bo nazwa ta złączona u Spencera z pojęciem obrońcy wolności, również jak Toryzm z absolutyzmem.

Jakżeż przyszło do tej metamorfozy? Autor tłumaczy nam ją bardzo trafnie z dowcipną ironią. Jak długo Whigowie byli tylko w opozycyi, wszystkie ich *bille* dążyły do ograniczenia srogości państwowego przymusu, i do rozszerzenia zakresu wolności indywidualnych, a że ile razy im się to udało, naturalnem i najbardziej w oczy bijącem następstwem wolniejszego prawodawstwa była zawsze pewna ulga przyniesiona klasom uciśnionym, pewne złamanie przeszkód do ich dobrobytu, jednem słowem pewna doza uszczęśliwienia, więc też Whigowie z biegiem czasu tak się przyzwyczaili do roli dobroczyńców ludzkości, tak to weszło w ich krew i w ich tradycye, że później, gdy urośli w siłę o tyle że do władzy coraz częściej przychodzą, cel główny, główną zasadę i racyę bytu partyi Whigów, tj. usuwanie przymusu państwowego i warowanie zdobytych już wolności jednostki w obec państwa, zupełnie z oczu tracą i biorąc skutek za przyczynę do uszczęśliwienia ludu, niepośrednio przez rozszerzanie i warowanie zasad wolności osobistej, lecz wprost *par force*, przez przymusowe prawa, według zgóry stawianych programów liberalnych, dążyć poczynają; zapominając o tem, że wol-

ność osobista jest pierwszym szczęścia warunkiem, i że nie masz nigdzie recepty na powszechne uszczęśliwienie ludu drogą rządowego przymusu.

Nie wątpię, mówi autor, że nasi „praktyczni" politycy i prawodawcy dzisiejsi mają cele bardzo chwalebne, że główną pobudką ich działania jest filantropia..., lecz konstatuję fakt, że prawa ich, że ich ustawodawstwo jest w gruncie rzeczy niemniej despotycznej natury, jak prawa starych Torysów, gwałcą bowiem wolność osobistą coraz to nowym przymusem, a zapowiadają jeszcze coraz dalej idące rozporządzenia, zwiększające podatki mnożące zastępy urzędników, by te podatki ściągać, jakoteż wykonanie nowych praw warować. Niemal każdy nowy bill wymaga nowego sztabu urzędników, a temsamem nowych kosztów, nowych dodatków do podatków, a te kontrybucye, zwłaszcza lokalne, zwiększają się z każdym rokiem tak, że już właściwie dzisiaj nikt nie może powiedzieć, że jest panem swego mienia, będąc raczej farmerem państwa i rządu, który jego kieszenią rozporządza według swych upodobań.

Autor wylicza przytem cały szereg najrozmaitszych ustaw, przepisów i rozporządzeń tego rodzaju z lat ostatnich, wciskających się we wszystkie niemal sfery obywatelskiego życia, podnosząc ten fakt, iż najpłodniejszemi pod tym względem były dwukrotne ministerya Gladstone'a. W końcu przerywa sobie ten regestr wykrzyknikiem zniecierpliwionego Whiga: „Ależ nie zapominaj pan o zasadniczej różnicy, jaka zachodzi między władzą państwową, dawną a dzisiejszą!... dawniej mieliśmy rząd nieodpowiedzialny, dziś jest rząd wybieralny i odpowiedzialny, to też jeśli prawodawcy dzisiejsi wprowadzają dzisiaj w życie różne ustawy i rozporządzenia, dzieje się to z ramienia narodu, bo nie kto inny, tylko sam naród tworzy prawodawcze ciało, dając mu na to mandat, żeby robiło to wszystko, co robi". Pamiętam o tej różnicy, mówi dalej Spencer, lecz w gruncie nie dotyczy ona naszej kwestyi. Jądro sprawy na tem się zasadza, że władza państwowa wkracza dziś więcej, niż kiedykolwiek, w zakres życia obywateli, a w obec tego mniejsza, jakiej natury jest ten czynnik, który się tego dopuszcza. Alboż ludzie, którzy swej wolności na to tylko używają, żeby tworzyć sobie ciało prawodawcze, które ich wszystkich innych wolności pozbawia, w końcu może czem innem będą, jak niewolnikami? A gdy do reszty już

zirytowany Whig zawoła na to: „Przecież żadną miarą nie można równać stosunku wybieralnego parlamentu do swoich wyborców ze stosunkiem despoty do trzody niewolników!“... odpowiem ostatecznie już zupełną herezyą, oto że parlament dzisiaj wywiera przymus ustawodawczy bez żadnego ograniczenia, a że jest wybieralny, to tym straszniejszy jego despotyzm, bo choć się zmienia, nigdy nie umiera. Dlatego też, jeśli w czasach ubiegłych prawdziwi stróże wolności walczyli przeciw absolutyzmowi monarchów, to dziś wolnomyślnemu obywatelowi nie pozostaje nic innego, jak dążyć do ograniczenia wszechwładzy parlamentu.

Wolności obywatelskiej, kończy Spencer, nie można mierzyć według natury mechanizmu rządowego, według tego, czy rząd w państwie, w którem się żyje, jest reprezentacyjny lub nie. Istotną miarą wolności jest większa lub mniejsza suma, wyższy lub niższy stopień przymusu, zawartego w rozporządzeniach państwowych, jakie *de facto* obowiązują obywateli. A skoro tylko funkcye maszyny rządowej przekraczają sferę koniecznych ograniczeń samowoli, potrzebnych do utrzymania publicznego porządku i zabezpieczenia wolności osobistej jednostek przeciw gwałtom innych tak, wewnątrz jak i z zewnątrz, to już *eo ipso* przestają być liberalnemi. Przymus państwowy ma być natury negatywnej raczej, niż pozytywnej, tj. ma zakazywać nadużycia i bronić społeczeństwa, a nie nakazywać i wprowadzać w życie, siłą organów rządowych, takich lub innych wrzekomo uszczęśliwiających społeczność filantropijnych programów.

Jak to uszczęśliwienie wygląda w praktyce, o tem poucza nas autor w następnych rozdziałach broszury: Grzechy prawodawców i przyszłe niewolnictwo. Według Spencera prawodawcy wprost godzący w to, żeby złagodzić cierpienia ludzkości mocą państwowych zarządzeń, najczęściej zwiększają jeszcze też cierpienia i mnóstwo na dowód tego przytacza przykładów z ostatnich lat dziesiątków angielskiej historyi, w czem znowu nie możemy iść za autorem, gdyż chodzi nam tu tylko o zaznaczenie głównych wyników z jego spostrzeżeń, które zmierzają do tego, żeby wykazać jasno, jak na dłoni, iż gdzie tylko państwo chce zastąpić dobrowolną inicyatywę społeczeństwa, bądź zbiorową, bądź pojedyńczych obywateli, w zaradzeniu czemuś złemu, zawsze chybia celu. Autor

nie poprzestaje li tylko na własnych doświadczeniach, lecz powołuje się na zeznania w tym względzie świadków najpoważniejszych [1].

Lecz na to wszystko, ciągnie dalej Spencer, odpowiedź gotowa: „Cóż robić, pomimo wszystkiego nie wynajdziem nic lepszego, jak rząd oparty, jak u nas na „zbiorowej mądrości", gdzie wybrańcy narodu wybierają znów z pośród siebie pewną liczbę mężów stanu, którzy cały swój rozum oświecony nowożytną nauką oddają na usługi kraju, czegóż chcesz jeszcze? czegóż możesz jeszcze żądać?"

Ależ właśnie ta nauka nowożytna, woła Spencer, niby drugi Sokrates — ta nauka jest tego rodzaju, że wcale nie przysposabia nikogo do zawodu prawodawcy tak dalece, że ta sławiona „mądrość zbiorowa", która nami rządzi jest raczej „zbiorową ignorancyą". To że w parlamencie naszym jest wielu dobrych filologów i zdolnych literatów albo filozofów, albo historyków, to wszystko nie usposabia jeszcze ciała prawodawczego do tego, żeby przewidzieć, jakie skutki wywrze, jakie praktyczne następstwa pociągnie za sobą w przyszłości taka a taka nowa ustawa. Jednegoć tu potrzeba: systematycznej nauki o przyczynowym związku między faktami a ich następstwami pośród ludzi, żyjących w danym ustroju społecznym; potrzeba znajomości przyrodzonych praw życia ludzkich społeczeństw, czyli jednem słowem potrzeba znajomości s o c y o l o g i i! Wprawdzie jestto nauka wymagająca najwyższego szczytu umysłowego rozwoju, a w dodatku jest ta nauka dopiero w zawiązku, ale potrzeba takiej nauki jest już dziś dosyć oczywistą, żeby każdy, co chce czynną rolę odegrać w polityce i w ustawodawstwie, czuł obowiązek przyłożenia się do niej. A zresztą już i prosty zmysł spostrzegawczy pouczy każdego wnet dostatecznie, że wszelki postęp i rozwój ludzkości zasadza się na czynnej inicyatywie indywidualnej i na współdziałaniu jednostek w społeczeństwie, a nie na mechanizmie państwowych zarządzeń. Rząd z natury swojej raczej tamuje i staje

[1] *History of Englisch Poor Law*, par *Nicholl*, jakoteż Memoryał członków Izby Lordów do Gladstona z r. 1873 dowodzą, iż po największej części rozporządzenia rządowe, dotyczące dobroczynności publicznej, wywołują nowe plagi, zwiększając przytem i te, przeciw którym były wymierzone, jakoteż że całe prawodawstwo, dotyczące robót publicznych, naraża społeczeństwo na szkody i koszta nieobliczone.

w poprzek indywidualnym usiłowaniom, o tyle tylko pośrednio im dopomagając, o ile sam spełnia swój najwłaściwszy sobie obowiązek, tj. utrzymując porządek, spokój publiczny i ład społeczny jako stróż wolności i bezpieczeństwa obywateli. Wszystkie też postępy w naukach, sztukach i kunsztach, zawdzięczamy zawsze jednostkom. Nie państwo, mówi Spencer, dało nam tyle wynalazków pożytecznych, nie państwo porobiło odkrycia we fizyce i chemii, nie państwo stworzyło nowożytny przemysł, nie ono też jest wynalazcą maszyn, ani handlowych i pieniężnych instytucyj. Wszystko to są rezultaty samodzielnych wysiłków obywateli pojedynczych lub zespolonych, i właśnie tym wysiłkom indywidualnym zawdzięcza także i państwo wszystkie swe środki i zasoby, jakiemi rozporządza. Odbierz maszynie politycznej tę pomoc, jaką nauki i kunszta jej dostarczają, zostaw państwu tylko to jedynie, co kiedykolwiek wymyślili urzędnicy, a maszyna wnetby stanąć musiała.

„Lecz o tem właśnie najmniej pamiętają nasi praktyczni politycy i prawodawcy, to też z wiedzą czy bezwiednie z każdym rokiem zmierzają coraz bardziej do urzeczywistnienia tej zasady, że jednostka nie ma żadnego prawa, żadnej osobistej wolności, którejby państwu zdeptać nie było wolno, i to całkiem legalnie. Coraz bardziej uciera się między nami to przeświadczenie, że nie ma sfery, w którąby państwo, urzędnik wkraczać nie miał prawa, a nawet obowiązku, gdy tylko coś nie idzie dobrze. Rozważmy, co tkwi w takiem przeświadczeniu? Oto naprzód ta wiara niczem nieusprawiedliwiona, że w ogóle każde cierpienie ludzkości da się usunąć, co jest absurdem; bo zupełnem zapoznaniem natury ludzkiej, a dalej: że nikt inny, tylko państwo, na wszystkie braki naszego życia społecznego i warunków je otaczających, gotowe ma zawsze lekarstwo, co jest zupełnem zapoznaniem natury państwa. Lekarstwa jego z natury rzeczy zawsze gorsze są od choroby, bo wymagają ciągłego pomnażania stanu urzędniczego, a tem samem wzmagają bez miary ciężary podatkowe i siłę biurokracyi. Bez ustanku nowe indywidua z masy rządzonych przechodzą w strukturę maszyny rządzącej, przez co nabiera ta maszyna takiej przewagi, że już o równowadze sił społecznych w narodzie, o tej równowadze, na której wolność polega, coraz mniej u nas może być mowy. Dziś już niemal każdy szewc lub epicier myśli tylko o tem, żeby zostać

urzędnikiem lub aby przynajmniej dzieci na urzędników wychować, gdyż, jak słusznie powiedział p. Wallace, według powszechnego mniemania dopiero od urzędnika na państwowym etacie człowiek się zaczyna. Tym sposobem coraz silniej wkorzenia się w nas to przekonanie, iż wszystko w kraju powinno się robić i stać mocą państwa, a nie siłą jednostek i prywatnych assocyacyj, i tak wszystko sprzysięga się ku ograniczeniu wolności osobistej, a tem samem ku obniżeniu ducha przedsiębiorczości indywidualnej.

„Dokąd więc idziemy? pyta autor przy końcu rozdziału: przyszłe niewolnictwo. Oto nie zdając sobie nawet sprawy z tego należycie, zdążamy wprost do urzeczywistnienia typu społeczności w duchu urządzeń socyalistycznych. Socyalizm przestaje nas już straszyć. Socyalizm państwowy! oto ideał, do którego coraz wyraźniej zmierzamy, utoniemy wnet porwani wielką falą socyalizmu, a że w każdym socyalizmie na dnie tkwi niewola, więc niewolnictwo, niewola, despotyzm, oto nasza przyszłość. Że zaś już dziś zaczyna się urzeczywistniać w Anglii program socyalistyczny, dowodzi tego Spencer mnogiemi przykładami, jak rządy komunalne są już budowniczymi i właścicielami domów robotniczych i nadzorcami domów prywatnych, jak do najdrobniejszych szczegółów sięga już tyrania administracyjna, jak rząd dąży do monopolu w szkolnictwie elementarnem, jak już nawet podnoszą się głosy, żeby zawotowano przymusową kulturę roli i zorganizowano armie rolników i przemysłowców pod kontrolą państwa, jak państwo od dawna ma już swój monopol dobroczynności, zagarnia koleje i telegrafy etc. A gdy państwo stanie się raz właścicielem wielkiej części ziemi, mieszkań, dróg, komunikacyi wielkiego przemysłu, osobista prywatna konkurencya walczyć z niem nie będzie w mocy. Dziś jesteśmy jeszcze w miodowych miesiącach tych nowych urządzeń za przewodem naszych „praktycznych polityków“, ale uprzytomnijmy sobie dobrze, co będzie, gdy w miejsce assocyacyj prywatnych, do których każdy według upodobania może wejść lub nie wejść, stanie jedna wielka assocyacya narodowa, w którą wejdziesz rodząc się, a z której nie masz innego wyjścia, jak przez emigracyę. Osądźcie, czem będzie wówczas despotyzm stanu urzędniczego, biurokracyi stopniowanej i zcentralizowanej, dzierżącej w swych rękach wszystkie zasoby, jakiemi społeczeństwo rozporządza i wszelką moc, jakiej użyć

będzie chciała do utrzymania tego, co „porządkiem publicznym“ nazwać jej się spodoba. — „Nic dziwnego, kończy autor, że książe Bismark ma tendencye ku państwowemu socyalizmowi“.

Dotąd obracał się Spencer li tylko na polu praktycznych spostrzeżeń i doraźnych wniosków, w ostatnim zaś rozdziale broszury: *Wielki zabobon polityczny*, wznosi się do pierwszych kwestyj zasadniczych. Mianowicie, uderza całą siłą swej dyalektyki na powszechny dziś w pewnych kołach przesąd, że państwo, że rząd, jakiejkolwiek on jest formy, czy jedynowładczy, czy parlamentarny, jest w pełnieniu swej władzy nieograniczonym panem, przed niczem nieodpowiedzialnym, nie potrzebując liczyć się ze zapomnianem już dzisiaj „prawem natury“.

U nas, mówi Spencer, na porządku dziennym jest dzisiaj omnipotencya parlamentu: „Parlament wszystko może“ oto dzisiejsza dewiza, nieznająca innych granic, oprócz materyalnego niepodobieństwa. Autor szuka źródeł tego wielkiego zabobonu politycznego w swoim kraju, i uderza naprzód na *Hobbesa*, jako na ojca i mistrza przewrotnych teoryj o wszechwładzy państwowej, dalej na *Austina*, apostoła pokrewnej doktryny w naszym wieku, wykazując ich nielogiczność i niekonsekwencye, „bo jeśli, mówi, nie przypuszcza się Boskiego pochodzenia władzy rządu, natenczas żaden rząd, jakiejbądź on jest formy, nie ma potrzebnego tytułu do usprawiedliwienia swojej bezwzględności“ [1]... Ależ przepraszam, zawoła na to chór praktycznych polityków, jest przecie na świecie niezaprzeczone niczem „prawo większości“. Otóż tu właśnie, mówi Spencer, dochodzimy do głębi kwestyi. Boskie prawo parlamentu wywodzi się z prawa większości. Podstawą rozumowania dzisiejszych prawodawców, a nawet i ludów, jest to, że większość z natury rzeczy ma prawa nieograniczone, „bo przecież słusznie, żeby raczej to się działo, czego chce większość, a nie to, za czem jest mniejszość“. Oto teorya dziś wszędzie kursująca i przyjmowana bez dowodów jako prawda najoczywistsza. A przecież nic złudniejszego, trochę krytyki, a przekonać się trzeba, że prawo większości jest prawem czysto warunkowem i tylko w pewnych granicach słusznem. Przypuśćmy np., mówi zawsze Spencer, że w jakiem stowarzyszeniu czysto filan-

[1] Str. 122.

tropijnem, złożonem z członków rozmaitych wyznań, większość uchwala, „iż odtąd oprócz wspierania biednych, towarzystwo będzie także walczyło przeciw papizmowi w Anglii“, czy katolicy, których miłosierdzie pociągnęło do tegoż towarzystwa, mogą być legalnie zmuszeni do działania w celu nowo uchwalonym? Nie, nigdy nie można obalić zasady, że jednostka jako członek jakiegobądź towarzystwa ludzkiego, obowiązaną jest do poddania się większości w tych tylko sprawach, które spełnieniu celu towarzystwa są odpowiednie.

„Ależ, zarzuci kto, co innego stowarzyszenie prywatne a co innego państwo, które, jak sam dowodziłeś przed chwilą, występując przeciw Hobbesowi, nie polega na żadnym kontrakcie, ani na umowie. Cel, dla którego państwa powstają, nie jest tak dokładnie zgóry określony, jak w zwykłych stowarzyszeniach, w celu tym niemasz żadnych ograniczeń, a więc władza większości w państwie musi być nieograniczoną“. W rzeczy samej, teorya kontraktu społecznego Hobbesa i Jakuba Rousseau, odpowiada autor na tę objekcyę, niema podstawy, ale z samej natury rzeczy państwo jako takie swój cel mieć musi, i cel ten jako zasada stoi ponad chwilową opinią, choćby większości obywateli. Nawet *Austin* przyznaje, że rząd powinien się liczyć z moralnością pozytywną, która zabrania deptać wolności poddanych w obrębie ich praw przyrodzonych. Lecz dziś przeciwnie, prof. Jevons w swem dziele: „o stosunku państwa do pracy“, radzi przedewszystkiem „uwolnić swój umysł od fikcyi jakiegoś abstrakcyjnego prawa natury“, a czytałem niedawno w pewnem piśmie bardzo renomowanem, że „dowodzić raz jeszcze tego, iż t. z. p r a w o n a t u r y wcale nie istnieje, byłoby stratą czasu i pracy. W odpowiedzi na te utarte dzisiaj opinie, rozprawia się autor z teoryą Benthama, złożoną w jego „kodeksie konstytucyjnym“, i zakorzenioną dzisiaj w całem niemal prowodawstwie europejskiem. Rdzenną zasadą tej teoryi jest to, że jedynym twórcą praw wszelkich jest państwo. „Państwo, mówi Bentham, spełnia swe zadanie tworząc prawa, które przekazuje społeczeństwu, prawa bezpieczeństwa publicznego, prawa obrony, prawa własności etc.“ [1]. „Twierdzenie to, mówi Spencer, nie da się niczem usprawiedliwić; rząd

[1] Bentham Works T. I., p. 301.

spełnia swój cel, gdy stwarza prawa“... słowo s t w a r z a ć pojmować można w dwojakiem znaczeniu, albo znaczy z niczego rzecz jakąś wyprowadzić, albo też dać formę, strukturę czemuś, co już jest, a że wątpię, żeby kto chciał przypisywać ludzkim rządom moc stwarzania z niczego, więc tylko o „stwarzaniu“ w drugiem znaczeniu tego słowa może tu być mowa tj., że rząd daje formę, kształt czemuś, co już jest w naturze rzeczy. Lecz cóż to jest takiego w naturze rzeczy, co uprzedza istnieniem swem formułowanie praw państwowych przez rząd prawodawczy?... pokazuje się, że Bentham i jego uczniowie powinni by mniej lekceważąco obchodzić się z tem, co zowiemy „prawem natury“, bo nie co innego, tylko ono właśnie jest gruntem wszelkich praw państwowych. I na dowód tego przytacza autor mnogie świadectwa z dzieł wiarogodnych podróżników o prawach zwyczajowych rozmaitych plemion na pół dzikich, gdzie o upaństwowieniu społeczności nie ma jeszcze mowy, podnosząc przytem fakt dziwnej zgodności pojęć w tych rzeczach w różnych ziemiach i strefach. Zresztą, mówi, nie potrzeba daleko szukać tej prawdy, że podstawą praw wszelkich są prawa zwyczajowe, ten najpierwszy wyraz prawa natury, „tylko Bentham i jego uczniowie zdają się zapominać o tem, że i nasze angielskie prawa w gruncie nie są niczem innem, jak rozwiniętym korpusem praw zwyczajowych królestwa“. I tak, kończy, fakta pouczają nas, że państwa wcale nie „stwarzają“ praw, gdyż te w gruncie starsze są od państw, i tem też tłumaczy się pewna jednolitość kodeksów i w głównych rzeczach zgodność praw w państwach zresztą bardzo rozmaitych. Wszędzie przez zwierzchność zakazane są zabójstwa, kradzieże, gwałty i t. d.; zgodność ta nie może być przypadkową, lecz polega na tem, że państwo wcale nie stwarza praw, bo je już znajduje i tylko je uznaje, formułuje i waruje, tam gdzie one naturalnie wypływają z przyrodzonych potrzeb i stosunków ludzi w społeczeństwie żyjących. Socyologia porównawcza stwierdza tę prawdę najoczywiściej, a tem samem pokazuje, że z postępem społecznym wyrasta dla państwa jako cel główny obowiązek warowania praw przyrodzonych osobistych jednostek. Bo zanim przyszło gdzie do upaństwowienia, prawa przyrodzone były zatwierdzone i warowane już w ustroju rodzinnym, jak tego mamy dowody wszędzie; były więc czemś *prius*, niż państwo, bo ostatecznem źródłem praw nie pań-

stwo, lecz natura rzeczy, i jak wszystkie zjawiska społeczne, tak i prawodawstwo tkwi w ogólnych, powszechnych prawach życia, tak że nie podobna go zrozumieć w oderwaniu od przyrodzonych praw życia indywiduów żyjących. Jeśli w ogóle życie ma jakąś wartość, jeśli jednostka ma prawo do egzystencyi, to tem samem słuszna, żeby jej wolno było pełnić bez przeszkód to, co jej koniecznem jest do utrzymania swego bytu, a w uznaniu tej prawdy bierze swój początek nasze „pojęcie prawa natury". Etyczna zaś strona tej zasady, tj. dystynkcya między tem, co wolno a czego niewolno, uwidocznia się jasno przez ten fakt, że każdy ma swych bliźnich obok siebie z takiem samem prawem do bytu, następuje więc koniecznie i naturalne rozgraniczenie zakresów wolności indywidualnych, wśród którego dochodzimy do poczucia świadomości tego, co my zowiemy „etycznem prawem natury". A że się to dzieje po prostu i naturalnie, najlepszym dowodem tego, że i u napół dzikich ludów znajdujemy to przeświadczenie, że współplemiennika niewolno ani zabić, ani okraść, ani okłamać.

Po wielu mozolnych wywodach, w których Spencer swe myśli główne niestety zbyt często zatapia w nawale szczegółów, by znów wracać do nich, wielokrotnie nieraz jedną i tę samą rzecz powtarzając aż do unużenia, przez co i sprawozdawcę na ten sam błąd naraża, dochodzimy wreszcie do konkluzyi, która od początku niemal z każdego ustępu broszury wyziera, a streścić się daje w kilku zdaniach: Państwo nie powstaje mocą kontraktu społecznego, lecz z przyrodzenia swego powinno stać na straży kontraktów w społeczeństwie, tj. budzić i ochraniać wolną assocyacyę, jakoteż inicyatywę indywidualną swych obywateli ku publicznemu dobru. Państwo nie jest twórcą praw, lecz pierwszym obowiązkiem rządu, jeśli ma odpowiadać swemu celowi, jest warowanie przyrodzonych praw i wolności osobistej jednostek w społeczeństwie, gdyż gwarancya praw indywiduów jest zarazem gwarancyą i pierwszym warunkiem rozwoju całego społeczeństwa. Jednem słowem: nie człowiek dla państwa, tylko państwo dla człowieka! „Oto teorya polityczno-etyczna, usprawiedliwiona nauką, tak drogą analityczną, jak i historyczną".

Drogą indukcyi doszedł Spencer do czystego pojęcia, jakoteż uznania i poszanowania etycznego prawa natury, podobnie jak Le

Play do dekalogu. W oczach Spencera odwieczne prawdy „zakonu przyrodzonego“ przedstawiają się jakoby „nowa doktryna“, przezeń z mozołem wysnuta pośród studyów nad socyologią porównawczą. W rzeczy samej, Spencer dosyć już był odchrześcijaniony, żeby to, co w każdej etyce katolickiej mógł znaleść, uderzało go jako nowa doktryna w przeciwieństwie do panujących błędów i przesądów. W każdym razie zadziwiającą to rzeczą, jak Spencer filozoficznym kierunkiem swych myśli od chrześcijaństwa tak odległy, z czem niejednokrotnie i w tej samej broszurze, o której mowa, w różnych ubocznych wycieczkach się zdradza, w głównych zasadach etyczno-politycznych z chrześcijańskiem pojęciem rzeczy tak na jotę się schodzi, że i prawowierny katolik słowa jego śmiało podpisać może.

Minął rok temu właśnie, jak to samo czytaliśmy w *Przeglądzie*[1]: „że każda istota ma swoje prawo natury: kamień, że dąży do środka ziemi, roślina, że rozwija się podług danego typu, zwierzę, że ten a nie inny pochłania pokarm... I tak być musi, bo wszystko w przyrodzie ma wytknięty cel, musi mieć więc wytknięty sposób dążenia do tego celu... że więc i człowiek do kompleksu natury należący, swoje prawo natury mieć musi... że ludzie w ogólności świadomi są jakiegoś wrodzonego prawa, normującego ich postępowanie... że pojęcia ludzkie o tem, co się godzi a co się nie godzi, są u różnych ludów w różnych czasach co do istoty jednakowe... i że dlatego drogą indukcyi, *a posteriori* najłatwiej sprawdzić to, co ludzie powszechnie za prawo przyrodzone uznają“... dalej, „że to prawo natury nic innego nie nakazuje, jak to, czego wymaga porządek wszech rzeczy... tj. czego żądają przyrodzone stosunki człowieka do innych istot, z któremi jest w styczności, że więc nie jest ono czemś dowolnem, ale wynikiem z relacyi przedmiotowego porządku rzeczy do człowieka... że więc przez to samo są prawa naturalne bezwzględne, najwyższe, niezależne, których ustawodawstwo ludzkie nie tworzy, tylko je uznaje — jeśli wiernem jest swej misyi — i swoim przymusem waruje... wreszcie, że co zakon przyrodzony przyznaje osobie, rodzinie, społeczności, tego państwo naruszyć nie może, chyba przez gwałt i bezprawie... i dalej czytaliśmy, jak to dziś

[1] W art. X. Maryana Morawskiego; Prawdziwe pojęcie moralności, Prawo i siła w zeszytach z Października 1884 i z stycznia 1885.

państwa, rządy za twórców praw się uważają, w tworzeniu praw nieograniczoną władzę sobie przypisują... przez co wszechwładztwo państwa rośnie bez miary... i t. d. i t. d.“

A świeżo właśnie z najwyższej siedziby prawdy na ziemi, ze szczytu opoki Piotrowej ozwał się głos, pochwalający miłościwie: „cokolwiek jest szczególnie pożytecznego dla dobra pospolitego, cokolwiek dla ukrócenia samowoli książąt, niedbałych o dobro swych ludów, mądrze postanowiono, co zabrania najwyższej władzy natrętnego wtrącania się w sprawy miejskie i rodzinne, co zdoła zachować godność i osobiste prawa człowieka i słuszny podział praw i obowiązków pomiędzy obywatelami“... i określono „wolność prawdziwą i pożądania godną“, jako taką, „co w stosunkach prywatnych broni człowieka od służenia błędom i namiętnościom, tym naszym tyranom najgorszym, w życiu zaś publicznem obywatelom mądrze przewodniczy, i daje szeroką możność w nabywaniu wszelkiej pomyślności a zarazem broni państwo od obcej przemocy[1]“...

O taką a nie inną wolność, woła także Spencer w książce: *The man versus the state*... ale jednegoć tu brakuje, tego, co prawdom przezeń wygłoszonym daje najwyższą sankcyę ich prawdziwości, brakuje wyraźnego uznania, „że prawo natury jest istotnie prawem Bożem... że czego od człowieka wymaga natura... porządek wszech rzeczy... tego żąda od niego i Stwórca natury, Stwórca tegoż porządku wszech rzeczy“[2]... Jest u Spencera Dekalog, brakuje *Credo*...

Pomimo tego jednakże Spencer już przez to samo, że li tylko siłą indukcyi, *lumine naturali* doszedł przecież do tak jasnego pojęcia i szczerego uznania zasad zawartych w zakonie przyrodzonym, oddał wielką usługę prawdzie, bo dał nam tem wystąpieniem swojem żywy dowód na to jeden więcej, że już sama logika czystego rozumu prowadzi umysł ludzki do prawd, wcielonych w chrześcijańską doktrynę, że nauka Kościoła to nie myt żaden uczuciowością i łatwowiernością ludzi się utrzymujący, lecz szczery rozum pisany, najgłębsza filozofia, do jakiej człowiek dojść może, choćby po naj-

[1] Encyklika „Immortale Dei“ Leona XIII.

[2] Art.: Prawdziwe pojęcie moralności.

większych mozołach pracy naukowej i po najsroższem myśli utrudzeniu.

Ale czy wie o tem Spencer, że ostatnia zdobycz jego pracy naukowej, jego etyczno-polityczne zasady, zgodne są z odwieczną chrześcijańską doktryną? Spencer sam nigdzie wyraźnie do tego się nie przyznaje, jednakże kilka uwag końcowych w *postscriptum* jego broszury otwierają pod tym względem szerokie do domysłów pole. Autor w końcu zadaje sobie pytanie: czyli doktryna powyżej wyłożona może znaleść odgłos w dzisiejszem społeczeństwie?" chciałby odpowiedzieć, „że tak", jednakowoż, mówi dalej, „jak długo religia nienawiści będzie miała przewagę nad religią miłości, tak długo rozpowszechnione dziś zabobony polityczne niezawodnie się utrzymają"... „Jak długo w całej Europie wychowanie klas rządzących będzie polegało na tem, żeby przez sześć dni w tygodniu młodzież zachwycała się bohaterstwem wojny, a zaledwie co siódmy dzień, i to nie wszędzie, przypominała sobie przykazania miłości i cnoty pokoju... jak długo klasy rządzące podlegać będą dyscyplinie moralnej w sześć siódmych częściach przesiąkniętej poganizmem, tak, że zaledwo jedna siódma zostaje na przykazania chrześcijańskie... tak długo nie ma prawdopodobieństwa, ażeby stosunki międzynarodowe tak się ułożyły, żeby władze państwowe mogły uledz ograniczeniom w duchu powyżej rozwiniętej teoryi politycznej". ... „Jak długo u nas, mówi dalej Spencer, rządy kolonialne są tego rodzaju, że krajowcy naszych kolonij za każdy opór przeciw pogwałceniu ich praw przyrodzonych karani są, — żeby choć według ich własnych barbarzyńskich zasad: ząb za ząb, oko za oko, — ale nie! karani są według naszych ulepszonych pryncypiów, tj. rzezią całych plemion, za jedno proste zabójstwo... nie ma widoków, żeby doktryna polityczna, oparta na poszanowaniu praw wolności drugich, mogła znaleść dobre przyjęcie...

„Jak długo wiara nasza, mówi ciągle Spencer, takie znajduje zastosowanie, że człowiek, który w Angli występuje z pięknemi kazaniami na zebraniach misyonarzy, później, gdy znajdzie się w koloniach, umyślnie podburza do buntu sąsiednie plemiona na to, żeby podbić ich ziemie i za to potem największe honory spotykają go w ojczyźnie... jak długo takie rzeczy się dzieją, doktryna, zmierzająca do rozszerzenia wolności w kraju, nie znajdzie u nas przy-

jęcia... Bo niepodobna osiągnąć dobrodziejstw sprawiedliwości w ojczyźnie, gdy w obczyźnie sieje się same zbrodnie i niesprawiedliwość“...

Jak widzimy, filozof nie szczędzi przykrych prawd swemu narodowi, i wcale nie obwija ich w bawełnę, lecz owszem, odsłania całemu światu najciemniejsze strony charakteru synów Albionu... Ale nie o to nam tu chodzi, mamy i my na własnej ziemi aż nadto blisko podobnych kolonistów na Północy i na Wschodzie, chociaż jesteśmy narodem chrześcijańskim i cywilizowanym, nie mamy więc w tej chwili czasu zbyt rozczulać się nad losami dalekich Azyatów. Nam to dziwniejsze, że, jak świadczy cała broszura Spencera, już nawet i w Anglii, w tej klasycznej ziemi wolności, w ojczyźnie selfgovermentu, mógł odezwać się głos, i to potężnego myśliciela, głos pełen skargi na rosnący tamże z każdym rokiem przymus państwowy, głos pełen groźnych na przyszłość horoskopów niewoli... Więc już chyba nie ma kraju w Europie, gdzieby nie było państwowego ucisku? więc już wszędzie, gdzie spojrzeć, na Północ, na Wschód, czy na Zachód, wszędzie idea wszechwładzy państwowej daje się we znaki? czy wcielona w autokratę, jak w Rosyi, czy w żelaznego kanclerza, jak w Niemczech, czy na poły czerwoną republikę, jak we Francyi, czyli też nawet w najstarsze i najszanowniejsze dotąd ciało prawodawcze... w angielski parlament!

Wszędzie zawisło nad ludami jakieś ciężkie ramię... jak do tego przyszło? na to odpowiedź znajdziemy w książce Taine'a.

(Dok. nast.)

Dr. Ignacy Skrochowski.

SZKOLNICTWO WE FRANCYI.

II. Nauczanie prywatne czyli wolne we Francyi.

Przebieg historyczny. W pierwszej części tej pracy podaliśmy całą organizacyę nauczania publicznego we Francyi, teraz przypatrzymy się działalności nauczania wolnego. Nim jednak przeglądniemy rozmaite stopnie tego nauczania, musimy rzucić okiem na jego początki, na walki jakie przebyło, na przeszkody jakie musiało pokonać, nim doszło do rozwoju w jakim się dziś znajduje.

Ze wszystkich rodzajów wolności jakiemi się Francya dziś szczyci, najtrudniejszą była do wywalczenia a jednak najdroższą jest i najniezbędniejszą wolność, przysługująca ojcu rodziny wychowywania dzieci jak chce, tj. według swych zasad i swojej wiary. Ludzie co rządzili Francyą podczas rewolucyi, mieli pretensyę obdarzyć ją wszelkiemi wolnościami, tej jednak jej odmówili. Danton mówił: „Dzieci należą pierwej do Rzeczypospolitej, niż do rodziców; Rzplta powinna więc kierować ich wychowaniem wedle swoich widoków". Zasada weszła w życie, Napoleon ją sobie przywłaszczył i państwowy monopol wychowania ustanowiony został w artykułach I. i II. uchwały z r. 1808. Artykuły te opiewają: „Nauczanie publiczne w całem Cesarstwie powierzone jest wyłącznie Uniwersytetowi, — żadna szkoła, ani jakikolwiek zakład nie może być utworzony po za Uniwersytetem cesarskim lub bez upoważnienia naczelnika Uniwersytetu".

Restauracya utrzymała wprawdzie dzieło cesarstwa, lecz je cokolwiek zmodyfikowała. Reskryptem królewskim z 5 października 1814 r. udzielono biskupom przywileju zakładania małych seminaryów po za jurysdykcyą uniwersytecką i prawa mianowania dyre-

ktorów i nauczycieli. Skorzystali z tego biskupi i odpowiedzieli życzeniom wielu rodzin, pragnących wychowania dzieci po chrześcijańsku. Powierzyli nauczanie w swoich seminaryach OO. Jezuitom, którym prawo zapewniło opiekę przynależną każdemu wyznaniu. W krótkim czasie otwarto ośm seminaryów, do których młodzież się tłoczyła, a to obudziło zazdrość przeciwników Towarzystwa Jezusowego. Jeden z nich hr. Montlosier w sławnym memoryale prosił rząd o zastosowanie do Jezuitów praw rzekomo istniejących, wskutek czego 10 czerwcea 1828 r. Minister Martignac ogłosił „Rozporządzenia", podciągające pod system uniwersytecki zakłady, noszące nazwę „szkół średnich duchownych", przez co odjęto prawo nauczania każdemu, co nie mógł się pisemnie wykazać że nie należy do żadnego nieuprawnionego stowarzyszenia zakonnego.

Monarchia lipcowa przy swej inauguracyi przyrzekła była wolność nauczania, lecz się skończyło na obietnicach. Napróżno Guisot, Villemain i de Salvandy przekładali projekta do praw o nauczaniu w szkołach średnich. W 1848 położenie się nie zmieniło. Poważni ludzie zaczynali jednak trwożyć się zgubnemi następstwami monopolu; Thiers, Juliusz Simon i co było najznakomitszego w uniwersytecie, przyłączyli się do stronników wolności nauczania, którzy za poprzednich rządów daremnie walczyli, i w ten sposób powstało prawo z r. 1850.

Prawo z r. 1850. Prawo to ogłaszało wolność nauczania, wolność spóźnioną, lecz bardzo cenną dla tych, co pragnęli wychowania gruntownego i chrześcijańskiego dla swoich dzieci. Sumienia ojców rodzin długi czas bezprawiem zgnębione, mogły wreszcie swobodnie się odezwać. Prawo to, jakkolwiek jeszcze niedostateczne, odpowiadało jednak ich życzeniom; uznawało ono dwojakie szkoły: szkoły publiczne i szkoły wolne, założone i utrzymywane przez osoby prywatne lub stowarzyszenia. Prawo otwierania wolnych szkół przysługiwało wszystkim, z wyjątkiem nieuków i sądownie karanych. Mimo wszelkich usiłowań przeciwników, żeby wyjąć Jezuitów z pod prawa, zostali oni prawem powszechnem objęci. I w istocie, mówił Thiers, jakżeżby wolność nauczania mogła być daną jednym z wykluczeniem drugich. Izba odrzuciła nawet poprawkę Pana Bourzat, wzbraniającą otwierania szkół osobom należącym do zgromadzeń zakonnych, nieuznanych przez państwo. Przytaczamy tutaj ten wniosek z powodu,

iż artykuł 7 sławnego prawa pana Ferry jest dosłownem odtworzeniem tej poprawki.

Zaledwie prawo z r. 1850 weszło w życie, natychmiast około dwudziestu szkół otwarło się dla młodzieży chrześcijańskiej. Takiem powodzeniem przerażone cesarstwo postanowiło na radzie prywatnej Cesarza w r. 1859 nie dozwalać nadal otwierania nowych szkół wolnych. Rozporządzenie to zadawało ciężki cios prawu z r. 1850, lecz nie zaspakajało jeszcze obaw nieprzyjaciół zgromadzeń zakonnych a mianowicie Jezuitów. W r. 1879 przedłożył p. Ferry izbie deputowanych projekt prawa, którego artykuł 7 opiewał: „Nikt nie będzie przypuszczony do zarządu lub nauczania w zakładzie wychowawczym prywatnym lub publicznym jakiegobądź stopnia, jeżeli należy do zgromadzenia zakonnego nieupoważnionego.“ 9 lipca 1879 artykuł 7 był uchwalony w izbie niższej; lecz 15 marca 1880 odrzucony został w drugiem czytaniu w senacie mimo otwartych gróźb rządu. Wtedy rząd dopuścił się niesłychanego w dziejach parlamentarnych gwałtu. Jakkolwiek prawo, przez niego wniesione, zostało przez parlament legalnie odrzucone, wydał on ministeryalne rozporządzenia, swe sławne dekreta z 20 marca 1880 r., wprowadzające w życie to samo, co parlament odrzucił. Rząd w tych dekretach powoływał się na stare prawa, z czasów pierwszego cesarstwa, jakoby te jeszcze moc obowiązującą zachowywały. Napróżno mu zarzucano, że prawo z r. 1850, dające zupełną wolność nauczania nawet Jezuitom i wykluczające poprawkę Burzata, najwidoczniej zniosło owe stare prawa i wręcz sprzeciwia się rzeczonym ministeryalnym dekretom; napróżno wytykano, że sam rząd ten stan prawa uznał, kiedy uczuł potrzebę wniesienia swego prawa z 1879 r. z artykułem 7 Ferry'ego, a parlament odrzucając to prawo objawił tem samem wolę utrzymania wolności z r. 1850: logika i poszanowanie prawa musiały ustąpić; rząd czując się w sile, przeprowadził swoje dekrety, które wolnemu nauczaniu cios śmiertelny zadały.

Wówczas zgromadzenia zakonne z Jezuitami na czele, (gdyż ich to najgłówniej miały na celu dekrety) postanowiły pogodzić jako tako istnienie swoich zakładów z wykonaniem dekretów. Najprzód zarząd kolegiów powierzyły po największej części duchownym świeckim przedstawiającym warunki uzdolnienia i praktyki, określone artykułem 60 prawa z 15 marca 1850 r. Taki dyrektor sam

wybierał zastęp profesorów dobierając, o ile się dało, członków po za kongregacyą. Było jednakże ustanowionem, że gdyby dyrektor powołał do pomocy profesorów z łona zgromadzenia, ci profesorowie mieszkaliby po za obrębem zakładu, i przychodziliby tylko na godziny wykładowe. W ten sposób usuwano w obec rządu pozór jakoby zrekonstytuowane zostało zgromadzenie zakonne, a swoją drogą w celu nauczania utrzymywało się stowarzyszenie formalnie uprawnione artykułem 17 prawa z 1850 r. Co do sprawy własności postanowiono albo sprzedaż zakładu tam, gdzieby było możebne, albo wynajęcie z wszelkiemi legalnemi formalnościami. Obie te procedury wymagały uprzednio zawiązania stowarzyszeń cywilnych, któreby i liczbą i charakterem członków przedstawiały rękojmię trwałej organizacyi. Nieprawny mandat, który upoważniał policyę do śledzenia zakonników i ich własności, tracił w ten sposób podstawę, gdyż zakonnicy byli rozproszeni a własność ich przeszła w inne ręce kontraktem sprzedaży lub wynajmu. Zatrzymujemy się nad tą nową organizacyą zakładów wychowawczych, bo takowa jest właśnie dzisiaj w dość powszechnem użyciu.

Pan Juliusz Ferry wówczas minister oświaty nie mógł wynaleść środka do zamknięcia wolnych szkół w taki sposób zreorganizowanych. Nie mógł on odwołać się do prawa, gdyż artykuł 7 odejmując kongregacyom prawo nauczania, tem samem je uznawał. Postanowił więc ustanowić osobną juryzdykcyę karną, której służbistość służyłaby mu krętemi drogami i dowolnemi sądowemi wyrokami do wyzucia Jezuitów z niezaprzeczalnego prawa. W tym celu przeprowadził przez izbę deputowanych nowe prawo o składzie najwyższej rady szkolnej i rad akademickich [1]. Wiedział on jak ważną odegrać mają rolę te rady względem nauczania wolnego a w szczególności względem zakonów nauczających. Napróżno prawica w senacie i kilku liberałów z lewicy przedstawiali stronnikom nowego prawa, że skoro te rady powołane są do sądzenia członków nauczania prywatnego, niewłaściwem jest żeby się rekrutowały wyłącznie z ludzi zależnych od uniwersytetu i ministra; izba wyższa nie rozumiejąc że nowe prawo dążyło do zrobienia z rad ślepego narzędzia w rękach p. Ferry'ego, przyjęła takowe bez zastrzeżeń. Dnia 27 lu-

[1] Podaliśmy w pierwszej części, jaki był skład rad akademickich.

tego 1880 r. prezydent Rzeczypospolitej ogłosił prawo odnoszące się do najwyższej rady nauczania publicznego, którego art. I. tak opiewa:

„Najwyższa rada nauczania publicznego, złożona jest z następujących członków:

Minister prezydujący,

Pięciu członków Instytutu, wybranych przez Instytut na ogólnem zebraniu w każdej z pięciu klas.

Dziewięciu radców mianowanych dekretem prezydenta Rzeczypospolitej na radzie ministrów, a przedstawionych przez ministra oświaty, wybranych z pomiędzy dyrektorów i byłych dyrektorów ministerstwa oświaty inspektorów jeneralnych i byłych inspektorów jeneralnych, rektorów i byłych rektorów, inspektorów i byłych inspektorów akademickich, profesorów nauczania publicznego, czynnych i byłych", następuje długa lista delegowanych z różnych szkół i fakultetów.

Juryzdykcya karna została więc w ten sposób utworzoną, szło już tylko o puszczenie jej w ruch przeciw członkom szkół wolnych. Pan Ferry powołując się na artykuł 68 prawa z r. 1850, który upoważnia rektora do pozwania przed sąd akademicki każdego naczelnika szkół średnich, i każdą osobę biorącą udział w nauczaniu lub dozorowaniu zakładu wychowawczego, w razie wykroczenia przeciwko moralności, — napisał do rektorów rozmaitych akademij, nakazując im pozwać przed swoją radę, jako wykraczających przeciw moralności, wszystkich przełożonych szkół wolnych, którzyby używali współpracownictwa OO. Jezuitów, i bez miłosierdzia takie zakłady pozamykać. Nie będziemy się tu zastanawiali nad arcydziwnem tłumaczeniem artykułu 68, zanotowaliśmy tylko ten wybieg pana Ferry'ego aby uwydatnić rzeczywiste zadanie rad akademickich, zreorganizowanych prawem z 1880 r. i czynność ich względem nauczania wolnego.

Omawiając w tym poglądzie historycznym prawo z r. 1850, nie przytoczyliśmy zmian jakie przyniosły z sobą najświeższe prawa. Wykażemy te zmiany stopniowo, rozpatrując się po kolei w trzech stopniach nauczania, jakeśmy to uczynili w pierwszej części naszej pracy.

I. Nauczanie wolne pierwszego stopnia.

Rozporządzenia prawa z r. 1850 i praw późniejszych.

Nauczyciele. Każdy Francuz, liczący lat dwadzieścia i jeden skończonych, może w całej Francyi wykonywać obowiązki nauczyciela początkowego prywatnego czyli wolnego, jeżeli posiada patent uzdolnienia.

Niezdolni do zawiadowania szkołą publiczną lub prywatną są osoby, które były karane za przestępstwo przeciwko uczciwości lub obyczajom, oraz osoby, które sądownie pozbawione zostały częściowo lub całkowicie praw wzmiankowanych w art. 42 kodeksu karnego, i wreszcie osoby wytknięte artykułami 30 i 33 z r. 1850.

Otwarcie szkoły wolnej. Każdy nauczyciel, zamierzający otworzyć szkołę wolną, winien przedewszystkiem oznajmić swój zamiar przełożonemu gminy, w której chce osiąść, wskazać mu lokal, i uwiadomić go o miejscach, w jakich przebywał i zatrudnieniach, jakim się oddawał przez 10 lat poprzednich. Takież deklaracye mają być przedłożone przez petenta prefektowi, prokuratorowi rzeczypospolitej i pod-prefektowi. Przełożony gminy wywiesi tę deklaracyę na drzwiach magistratu przez miesiąc.

Wyrokiem sądu kasacyjnego z 27 lipca 1860 r. orzeczono, że otwarcie szkoły prywatnej, podlegającej formalnościom powyżej wzmiankowanym, nie obowiązuje, gdy nauczyciel udziela lekcyj dzieciom w rozmaitych rodzinach, czy to u siebie, czy w mieszkaniu rodziców, jeżeli zarazem nie uczy innych dzieci, prócz należących do rodziny; jestto wtedy nauczanie prywatne, domowe; otwarcie szkoły w rzeczonym powyżej znaczeniu wtedy tylko ma miejsce, kiedy dzieci różnych rodzin schodzą się zwyczajnie dla otrzymywania wspólnie nauki.

Deklaracya, poprzedzająca otwarcie szkoły wolnej, która na mocy prawa z 5 marca 1850 miała być złożoną rektorowi uniwersytetu, ma być składaną 14 czerwca 1854 prefektowi i nie może być zastąpioną deklaracyą, złożoną pod-prefektowi.

Wzbronienie otwarcia zakładu początkowego. Prefekt może albo z urzędu, albo na mocy skargi, wniesionej przez prokuratora Rzpltej lub pod-prefekta, zabronić otwarcia szkoły, jeżeli idzie o sprawę

moralności publicznej; może się to stać w przeciągu miesiąca następującego po wniesieniu deklaracyi. Takie wzbronienie sądzone bywa w jak najkrótszym terminie przez radę departamentalną.

Jeżeli przełożony gminy odmawia zatwierdzenia wyboru lokalu, wtedy trzeba się odnieść do rady. Artykuł 19 prawa z 10 kwietnia 1867 r. dozwala, aby prefekt i nauczyciel odwołali się do rady wyższej od postanowienia rady departamentalnej. Artykuł 38 rozporządzenia z 2 sierpnia 1881 dozwala również rekursu od zabronienia otwarcia ochrony wolnej. Zatwierdzenie przez radę departamentalną lokalu, zatwierdzonego przez burmistrza, podlega odwołaniu się do rady wyższej.

Gdy się żadna z tych władz nie sprzeciwia, szkoła może być otwartą po miesiącu bez żadnej innej formalności.

Ktokolwiek otwiera szkołę lub nią kieruje wbrew formalnościom wymaganym przez prawo z 1850 r., lub przed upłynięciem zwłoki miesięcznej, zastrzeżonej w celu możliwego wzbronienia, jest zapozwany za to przewinienie przed sąd poprawczy miejscowy, i skazany na karę od 50 do 500 franków; szkoła zaś jest zamkniętą.

„Sądy nie mają nakazywać zamknięcia szkół nielegalnie otwar„tych; krok ten policyjny nie pozostawia się sądom do rozstrzy„gnięcia, ale jest wyraźnie nakazany przez prawo. Gdy więc prze„kroczenie zostało sprawdzonem i ukaranem przez sąd, z jakkolwiek „łagodnem ocenieniem winy, musi po wyroku nastąpić zamknięcie „szkoły na drodze administracyjnej, pod przewodnictwem prefekta, „staraniem przełożonego gminy lub komisarza policyi. (Okólnik „ministeryalny z d. 4 lutego 1851)[1]“.

Kara więzienia od dni sześciu do jednego miesiąca spada na tego, kto w razie wzbronienia mu otwarcia szkoły, mimo to ją otwiera nim to wzbronienie będzie rozsądzonem, lub wbrew rozstrzygnięciu rady departamentalnej, jeśli ta rada potwierdzi wzbronienie. Prócz więzienia skazany jest na karę pieniężną, mogącą dojść do wysokości 1.000 franków.

Zawieszenie szkół. Każdy nauczyciel na skutek skargi prefekta lub prokuratora Rzpltej, może być zaskarżony przed radą

[1] Wszystkie te i następujące rozporządzenia najwidoczniej skierowane są do tego, żeby zgromadzeniom zakonnym ile możności utrudnić korzystanie z prawa wolności nauczania, i w ogóle tę wolność niemal udaremnić. *(Przyp. Red.)*

departamentalną, z powodu przewinienia ważnego w wykonywaniu swoich obowiązków, z powodu złego prowadzenia się lub niemoralności; może być zawieszony na czas, nie dłuższy jak sześć miesięcy, lub całkowicie mieć zakazane wykonywanie swych funkcyj w gminie gdzie przebywa.

Takie są warunki pod jakiemi nauczyciele prywatni czyli wolni mogą oddawać się swemu zawodowi. Przedstawimy teraz stowarzyszenia, oddające się nauczaniu początkowemu.

Stowarzyszenia oddane wyłącznie nauczaniu początkowemu.

Mianowanie Braci szkolnych nauczycielami gminnymi. Prawo mianowania nauczycieli gminnych przysłuża głównie prefektowi, który ich wybiera na mocy raportu spisanego i podpisanego przez inspektora akademii, na przedstawienie przełożonego generalnego zgromadzenia, po wysłuchaniu rady municypalnej.

Rady municypalne ograniczają się na objawieniu jedynie swego zdania, czyli prostego życzenia co do zastąpienia w szkołach gminnych nauczycieli zakonnych przez świeckich lub odwrotnie[1].

Okólnik z 3 września 1871 przepisuje aby prefekci przedkładali rozprawy radzie szkół departamentalnej ministeryalnej, która bada czy życzenie rady municypalnej zgadza się z życzeniem większości mieszkańców, i czy sprawa nauki skorzysta na tem.

Wedle dzisiejszego ustawodawstwa, powinny rządy municypalne być w możności wybierania dowolnego pomiędzy nauczycielami świeckimi i zakonnymi, lecz jedynie wtedy, kiedy z jakiegobądź powodu miejsce w zarządzie szkoły zawakuje. Prawo wyboru przez radę municypalną może być wykonywane w każdym czasie. Prefekt zaś jest sędzią warunków, w jakich zdanie rady municypalnej się objawia i czy jest na czasie mu zadość uczynić.

W prawach szkolnych nie ma dwojakiego nauczania początkowego publicznego, jest tylko, jedno nauczanie z dwoma rodzajami

[1] Prawo z 15 marca 1850, art. 31 z 15 czerwca 1854 r., art. 8 rozporządzenia rady stanu 24 stycznia 1873 r.

nauczycieli (świeccy i zakonni), pomiędzy którymi władza prefekta może wybierać. Przyzwoitość niezawodnie wymaga, żeby prefekt uprzedził nauczyciela którego ma usunąć, lecz prawnie, wystarcza mianowanie nowego na miejsce tego co urzęduje.

Układy z zgromadzeniem Braci szkolnych (Frères de l'école chrétienne). Niektóre stowarzyszenia zakonne, a mianowicie najpoważniejszy zastęp Braci szkół chrześcijańskich, nie chciał przyjąć zobowiązania zarządu szkołami publicznemi inaczej, jak tylko z ugodą warującą, że gmina będzie wypłacała Braciom pewne sumy na ich instytucyę i roczne utrzymanie, nauka zaś miała być udzielaną bezpłatnie. W takim razie koszta te nie miały wcale ciężyć na funduszu państwowym a względnie subwencyach departamentalnych, lecz spadały całkowicie na gminę. Inne natomiast stowarzyszenia nie trzymały się bezwarunkowo systemu bezpłatności nauczania, i podejmowały się kierownictwa szkół gminnych na tych samych warunkach jak nauczyciele świeccy. Kierownicy duchowni szkół podlegali w takim razie obowiązkowi dopełniania wszystkich formalności odnośnych, musieli utrzymywać katalogi wpisów, redagować sprawozdania kwartalne, etc. etc. Utrzymanie wypłacano im w ten sam sposób i z tych samych źródeł co nauczycielom świeckim. Ta różnica obecnie już nie istnieje, odkąd prawo z 16 czerwca 1881 ustanowiło bezpłatność zupełną w szkołach wolnych.

Oprócz Braci szkolnych, których założyciel Wielebny de la Salle, jest twórcą metody znanej w pedagogii pod imieniem nauczania równorzędnego, zasługują na wzmiankę jeszcze następujące zgromadzenia, poświęcające się nauczaniu niższemu: „Stowarzyszenie krzyża Jezusowego“ *(La société de la Croix de Jesus)*, „Zgromadzenie Braci szkół chrześcijańskiego miłosierdzia“ *(Les frères des écoles chrétiennes de la misericorde)*, „Zgromadzenie Braci nauki chrześcijańskiej“, zwanych Marystami, „Zgromadzenie Braci św. Antoniego“, Zgr. Braci Ducha św.“, „Zgromadzenie Braci św. Franciszka z Asyżu“, i inne.

Nauczanie. Wspomnieliśmy powyżej o nauczaniu równorzędnem *(simultané)*. Wprowadzone ono zostało w r. 1686 i wywołało prawdziwy przewrót w szkołach. Żaden nauczyciel przed Wielebnym de la Salle nie pomyślał o grupowaniu w swojej szkole uczniów, według rozmaitych ich zdolności, i utworzeniu tego co dzisiaj na-

zywamy oddziałami. Nauczanie było więc indywidualnem, a konieczność utrzymywania karności, zachowywania w milczeniu i spokoju biednych dzieci których umysł nie był zajęty, prowadziła niechybnie do nielitościwego karania. La Salle utworzył monitorów. W każdym oddziale nauczyciel posługiwał się co najmniej jednym z najlepszych uczniów, polecając mu aby wysłuchiwał lekcyj pamięciowych swoich współuczniów, nie wychodząc przy tem wcale z podrzędnego swego stanowiska. Przez to ograniczenie założyciel uniknął niedogodności systemu wzajemności, w którym dzieci uważane są za zdolne do naśladowania nauki mistrza i przekazywania jej kolegom. Jednakże po upadku cesarstwa przywrócono system wzajemności i ogłoszono go za najlepszy. Wkrótce też nazwa szkół wzajemnych służyła na oznaczenie szkół świeckich, i odwrotnie szkołami równorzędnemi nazywano szkoły, prowadzone przez zakonnice i zakonników.

Słabą stroną owego systemu wzajemności było wymaganie od nauczyciela takiego zasobu energii, przenikliwości i przewagi moralnej, jaki rzadko spotkać. Skończyło się też na tem, że porzucono system wzajemności. Prawo z r. 1833 znane pod nazwą prawa Guizot'a zadało mu cios śmiertelny. Utworzenie szkół normalnych początkowych rozmnożyło znacznie poczet osób zawodowo oddanych nauce pedagogii, badaniu krytycznemu metod, skąd niebawem wyświeciła się kwestya.

Od lat pięćdziesięciu, mimo miotania się i ścierania stronnictw przeciwko wszelkim tradycyom, a mianowicie chrześcijańskim, system nauczania równorzędnego w całej Francyi panuje.

II. Szkoły średnie.

W poglądzie historycznym widzieliśmy jakie koleje przechodziło nauczanie w szkołach średnich. Obecnym systemem prawnym rządu od roku 1850 jest: wolność, gdyż jedynem ścieśnieniem całkowitej niepodległości jest utrzymanie nadzoru rządowego i wymaganie upoważnienia poprzedzającego założenie szkoły. We wszystkich niemal wielkich miastach francuskich wznosi się szkoła wolna naprzeciw liceum rządowego. Zobaczymy w części trzeciej, że pomimo

wszystkich szykan rządu, zakłady wychowawcze prywatne czyniły zwycięską konkurencyę liceom. Powodzenie kandydatów przy egzaminach dojrzałości jest tego najlepszym dowodem.

Warunki otwarcia szkoły.

Każdy Francuz liczący najmniej lat dwadzieścia pięć i niepodlegający żadnej z przeszkód objętych art. 26 prawa z 1856 r., to jest karze za zbrodnię albo za przestępstwa co do uczciwości lub obyczajów, może otworzyć zakład szkoły średniej, pod warunkiem że złoży przed rektorem akademii w tej miejscowości gdzie szkołę otworzyć zamierza, deklaracyę przepisaną artykułem 17 (deklaracya przed przełożonym gminy, w której chce osiąść, nadto powinien złożyć w ręce rektora następujące papiery:[1]

1) Świadectwo służbowe, stwierdzające iż pełnił co najmniej przez lat pięć obowiązki profesora lub dozorcy w zakładzie szkół średnich publicznym lub prywatnym.

2) Dyplom egzaminu dojrzałości, albo patent uzdolnienia wydany przez jury złożone z 7 osób, licząc w to rektora, który przewodniczy.

3) Plan lokalu i wykaz przedmiotów wykładać się mających.

Rektor u którego są złożone papiery uwiadamia o tem prefekta departamentu i prokuratora Rzpltej, w okręgu w którym zakład ma być otwartym. W miesiącu następującym po złożeniu wymaganych papierów, rektor, prefekt i prokurator Rzpltej mają prawo odwołać się do rady akademickiej i wzbronić otwarcia zakładu z tytułu moralności publicznej lub zdrowia uczniów. Gdy w ciągu tej zwłoki nie zaszła żadna opozycya, zakład może być natychmiast otwarty. W razie zaś opozycyi rozstrzyga rada akademicka po wezwaniu i wysłuchaniu strony, z zastrzeżeniem apelacyi do najwyższej rady szkolnej.

Otwierający zakład szkół średnich, który nie uczynił zadość warunkom przepisanym przez prawo powyżej przytoczone, powołany bywa przed sąd karny miejscowy i skazany na karę od 100 do 1000 franków, nadto zakład musi być zamknięty.

Wszystkie te rozporządzenia zawarte są w prawie z 1850 r. i obowiązują aż do tej chwili.

[1] Art. 60 prawa z 1850 r.

III. Nauczanie wyższe wolne.

Wolność nauczania wyższego ogłoszoną została prawem z 1875 r. (12 lipca).

Każdy Francuz mający lat 25, nie pozbawiony praw cywilnych i nie karany ani za zbrodnię, ani za przewinienie, oraz stowarzyszenia utworzone legalnie w celu udzielania nauk wyższych, mają prawo rozpoczęcia kursów lub otwierania zakładów nauk wyższych, stosując się do warunków ustawą przepisanych, o których poniżej powiemy.

Chcąc nauczać medycyny lub farmakologii, potrzeba nadto złożyć świadectwo z praktyki lekarskiej lub aptekarskiej.

Warunki otwarcia szkoły. Otwarcie kursu poprzedzać musi deklaracya podpisana przez mającego wykładać, wyrażająca jego nazwisko, kwalifikacyę, mieszkanie, miejscowość gdzie kursa odbywać się mają i przedmiot takowych. Deklaracya ta składa się rektorom akademickim, gdzie takowi się znajdują, a w innych departamentach akademickim inspektorom. Kursa mogą być otwarte dopiero po upływie dziesięciu dni od oddania tej deklaracyi.

Zarząd. Zakłady wyższe nauczania wolnego muszą być administrowane co najmniej przez trzy osoby. Deklaracya o której była mowa, musi być podpisaną przez tych trzech administrujących, musi podawać ich nazwiska, kwalifikacye i zamieszkanie, oraz miejscowość i statuty zakładu.

Spis profesorów i programy wykładów przedkładane bywają corocznie rektorom lub inspektorom akademii.

Oprócz wykładów właściwych mogą być dawane odczyty w przedmiotach specyalnych bez poprzedniego upoważnienia.

Zakłady nauk wyższych otwarte odpowiednio do przepisów, jeżeli posiadają co najmniej tę samą liczbę profesorów ze stopniem doktorskim jak fakultety państwowe o najmniejszej liczbie katedr, — mogą przybrać nazwisko wolnych fakultetów: literatury, nauk ścisłych, prawa, medycyny i t. d. jeżeli należą do osób prywatnych lub stowarzyszeń. Ustawa z r. 1877 pozwalała im nawet przybrać nazwisko „Uniwersytetów wolnych“, jeżeli obejmo-

wały trzy fakultety. Ustawa jednak z 18 marca 1880 r. w artykule czwartym odjęła im to prawo.

Dla fakultetów literatury, nauk ścisłych i prawa, deklaracya, podpisana przez administrujących ma wyrazić, że posiadają sale kursów, odczytów i studyów, wystarczające co najmniej na stu uczniów i bibliotekę odpowiednią. Dla fakultetu nauk ścisłych postanowiono jeszcze, że ma posiadać laboratorya fizyczne i chemiczne, gabinety fizyczne i historyi naturalnej, stojące na wysokości potrzeb nauczania wyższego.

Gdy idzie o fakultet medyczny, lub o fakultet mięszany medycyny i farmakologii, deklaracya podpisana przez administratorów powinna wykazywać, że fakultet ten, czy też szkoła, rozporządza przynajmniej stu dwudziestu łóżkami w szpitalu przez siebie założonym, lub też do swego użytku oddanym; że posiada prosektorya etc. etc.

Wykłady w szkołach i zakładach wolnych nauk wyższych winny być zawsze otwarte i przystępne dla delegowanych ministra oświecenia. Dozór nad wykładami może się tylko odnosić do sprawdzenia, czy nauczanie nie sprzeciwia się moralności, konstytucyi i prawom.

Stowarzyszenia mające na celu nauki wyższe.

Artykuł 291 kodeksu karnego francuskiego brzmi: „Żadne stowarzyszenie złożone z więcej niż dwudziestu osób, któreby miało na celu codzienne lub w dniach oznaczonych zgromadzanie się, aby się zajmować sprawami religijnemi, literackiemi, politycznemi lub tym podobnemi, nie będzie mogło istnieć, jak tylko z przyzwoleniem rządu, i pod warunkami jakie się będzie podobało rządowi nałożyć stowarzyszeniu“. Artykuł ten nie stosuje się do stowarzyszeń powstałych w celu utworzenia i utrzymywania szkół lub zakładów naukowych wyższych pod warunkami w obecnem prawie oznaczonymi. Winna być sporządzona deklaracya wyszczególniająca nazwiska, sposób zajęcia i miejsce zamieszkania fundatorów i administratorów pomienionych stowarzyszeń, miejsce ich zebrań i statuty któremi się rządzą.

Ustawa z r. 1880 stanowi, że zakłady naukowe wyższe założone, lub stowarzyszenia powstałe na mocy prawa z r. 1875, nie będą mogły być uznane za „instytucye publicznej użyteczności“,

inaczej, jak tylko osobną ustawą. Natomiast prawo z r. 1875 wymagało dla rzeczonego uznania, tylko zdania najwyższej Rady szkolnej.

W razie, gdyby uznany zakład nauk wyższych przestał istnieć, czy to przez rozwiązanie się stowarzyszenia, czy też przez cofnięcie uznania go za instytucyę publicznej użyteczności, dobra należące do instytutu, czy to przez darowiznę czy przez zapis testamentowy, powracają do dawców i do ich sukcesorów w sposób przez prawo ustanowiony, a w braku sukcesorów do państwa.

O udzielaniu stopni.

Tu głównie występuje sprzeczność między prawami z r. 1875 a z 1880 r. Na mocy ustawy z r. 1875 uczniowie fakultetów wolnych mogli się stawiać do egzaminów celem otrzymania stopni na fakultetach państwowych, przedkładając dowody wymaganej prawem liczby frekwentacyj na uniwersytetach wolnych. Uczniowie uniwersytetów wolnych mogli też stawać do egzaminów przed osobnem jury złożonem z profesorów lub agregowanych z fakultetów państwowych, i profesorów uniwersytetów wolnych posiadających dyplom doktorski. Tych profesorów mianował na każdą sesyę minister oświaty, w równej liczbie z jednych i drugich uniwersytetów jeżeli liczba członków komisyi wypadała parzysto, a jeśli nie parzysto, większość miała przypaść członkom nauczania rządowego; z nich też miał być wybierany prezydujący każdej sesyi.

Kandydat, odrzucony przez fakultet rządowy, nie mógł stawać przed tem osobnem jury — i odwrotnie — bez upoważnienia ministra oświaty.

Wydawanie dyplomów dojrzałości, czy to z nauk ścisłych, czy z literatury, pozostało wyłącznie atrybucyą fakultetów rządowych.

Co się tyczy warunków wstępnych, wieku, stopnia, wpisu, praktyki w szpitalach, ilości pytań przed osobnem jury dla otrzymania każdego stopnia, zwłok obowiązujących między stopniami, opłat czyli taks, te same normy obowiązywały uczniów szkół wolnych, jak i uczniów fakultetów rządowych.

W ustawie zaś z 1880 r. artykuł I. brzmi: „Egzamina i próby praktyczne, od których zależą stopnie, mogą się odbywać tylko przed fakultetami państwowymi“.

Bezpłatność wpisów. Prawo z 18 marca 1880 ustanowiło bez-

płatność wpisów w fakultetach rządowych. Był to sposób zabicia fakultetów wolnych. Po niedługim czasie wielka liczba uczniów opuściła te ostatnie fakultety, które zmuszone były przyjmować skromne wpisowe na utrzymanie bibliotek. Jednakże większość uczniów uczęszczając na kursa państwowe pozostała wierną dawnym swoim profesorom, kombinując tak godziny, aby módz uczęszczać i na fakultety rządowe i na wykłady fakultetów prywatnych. Lecz gdy wpisy do zakładów wolnych nie są ważne w obec uniwersytetu, gdzie zresztą wpisy są bezpłatne, to ogołaca z funduszów fakultety wolne i utrudnia im niezmiernie opłacanie profesorów i podejmowanie innych wydatków w celach naukowych.

Prawo więc z r. 1880 potwierdzając rzekomo wolność nauczania ogłoszoną przez prawo z r. 1875, podcięło ją w istocie najzupełniej.

Zakłady i fakultety katolickie.

Jest we Francyi pięć instytutów katolickich: w Paryżu, Angers, Lille, Lugdunie i Tuluzie.

W każdym z nich znajduje się fakultet prawa, fakultet literatury, fakultet nauk ścisłych i szkoła teologiczna. W jednem Lille jest fakultet medyczny i fakultet teologiczny.

Fundatorami fakultetów katolickich są arcybiskupi i biskupi, którzy w hojności swych dyecezyan znaleźli środki wzniesienia zakładów nauk wyższych, gdzieby młodzież chrześcijańska kształciła się na ludzi użytecznych krajowi we wszystkich polach pracy ludzkiej.

Przedłożywszy czytelnikowi prawny stan trzech stopni nauczania prywatnego czyli wolnego i odnośnych zakładów, pozostaje nam przedstawić r e z u l t a t y ich metody i organizacyi, co będzie zadaniem trzeciej części naszej pracy.

H. Rodde du Vernet.

NOWA TEORYA POWSTANIA ŚWIATA.

(Dokończenie).

III.

Gdy jednak na teoryę tę popatrzymy z innej strony, ze strony polemicznej, o ile ma na celu poprawić błędy Kartezyusza i Laplace'a, przedstawia się nam ona mniej korzystnie. P. Faye w ciągu swej rozprawy powtarza wielokrotnie, że Kartezyusz w teoryi wirów się mylił. „System wirów (Kartezyusza) jest fałszywy", mówi na str. 89, a na str. 181, gdy przytoczył ustęp, w którym Kartezyusz opisuje wiry rzek naszych, i stawia z niemi analogię ruchu naszych planet, dodaje: „Że Kartezyusz się mylił zastosowując te wiry do ruchów wewnętrznych dzisiejszych systemu słonecznego, to pewna, ale gdy człowiek genialny się myli, to nigdy zupełnie itd." Według Faya bowiem wiry rzeczywiście b y ł y na początku świata, i były przyczyną powstania systemu naszego, ale dziś już ich niema. Ten sąd jednak p. Faya zdaje mi się płynąć z pewnego rodzaju pomyłki. Wiry, o których Faye mówi, że b y ł y przy formowaniu się naszego słonecznego systemu, a dziś ich już niema, są to wiry materyi ważkiej, t r z e c i e g o e l e m e n t u Kartezyusza, który o ich obecnem nieistnieniu także dobrze wiedział, a w teoryi swojej miał na myśli wiry d r u g i e g o e l e m e n t u, którego istnienia pod mianem e t e r u lub jakiemkolwiek innem i p. Faye pewno nie zaprzecza. A gdy tak jest, pytam się, na jakich argumentach oparci możemy twierdzić, dopokąd ciężkość w inny sposób nie będzie nam wytłumaczona, że Kartezyusz się myli i ruchy planet naszych i ich satelitów nie mają swej przyczyny w wirowych ruchach eteru, w którym ciała te ważkie są utopione?

Ten sąd nieuzasadniony o teoryi Kartezyusza tembardziej nas zadziwia, że jednym z głównych celów książki p. Faya jest przypomnienie zasług tego wielkiego myśliciela uczonemu światu we Francyi, który o nim zbyt zapomniał. Ale tu prawdopodobnie zdarzyło się Fayowi to, co jak już widzieliśmy, zdarza się nieraz ludziom uczonym, iż przyjmując coś jako uproszczenie wywodu lub rachunku, gdy na podstawie tego zwykli rozumować, dają temu w końcu znaczenie absolutne. Wolno mechanikowi powiedzieć, że dwa ciała w przestrzeni przyciągają się tak, jak gdyby cała ich masa była skoncentrowana w ich środku ciężkości, i wolno mu, dla uproszczenia rachunku, zamiast całych ciał, uwzględniać jedynie te ich środki ciężkości, całą ich masą obciążone, — ale niewolno mu twierdzić, że w rzeczywistości to skoncentrowanie materyi w jednym punkcie ma miejsce. Wolno więc było Newtonowi, a później Laplace'owi, w jego „Mechanice nieba“ twierdzić, że wszystkie wielkie ruchy ciał niebieskich odbywają się tak, jak gdyby cząstki materyi przyciągały się w próżnej przestrzeni w stosunku prostym do ich masy, a w odwrotnym do kwadratu oddalenia. To: jak gdyby jest w nauce niesłychanie płodne, a w kwestyi, która nas zajmuje, ono dopiero przyjście na świat niezrównanej „Mechaniki nieba“ uczyniło możliwem. Ale my wiemy, że w rzeczywistości tak nie jest, że atomy nie przyciągają się w przestrzeni pustej w oddaleniach milionów mil, i że w ten sposób przyciągać się nie mogą, ale musi być jakiś przewodnik, jakieś medyum, które zetknięciem się swojem z materyą ważką i ruchami swemi staje się tego zjawiska przyczyną. Więc kiedy chodzi nie o prawa ruchu uformowanych już planet, ale o przebieg ich formacyi z „chaosu“, w którym natura i kształt atomów i sposób ich zetknięcia się, gęstość i rozrzedzenie materyi, ciepło i oziębienie, chemiczne powinowactwo i elektryczność, i wszystkie te zjawiska, które się w siły mechaniczne przeobrażają i odwrotnie, wielką muszą odgrywać rolę, ograniczenie się na samej sile ciężkości i na samej mechanice, choćby nawet z pewnem uwzględnieniem własności materyi które ze zjawisk na ziemi znamy, do ścisłych i wyczerpujących odpowiedzi nie doprowadzi. Na to trzeba pójść głębiej do tych stworzonych przyczyn, których tak ciężkość, jak ciepło, jak elektryczność i chemiczne powinowactwo, są równorzędnemi objawami.

O ile wiemy, żadna kosmogonia dotąd czynić tego nawet nie usiłuje, i dlatego na tym polu tyle się stanowczo twierdzi, i tyle zaprzecza, bez dostatecznej podstawy. Pouczający jest w tej rzeczy bardzo szereg artykułów p. Wolfa, ogłaszany w *Bulletin Astronomique* paryskim pod tytułem: „Hipotezy kosmogoniczne“ [1], w którym ten znakomity uczony przechodzi wszystkie najnowsze teorye powstania świata od Laplace'a aż do dni dzisiejszych, poświęcając wielką część swej pracy teoryi Faya. W szeregu tych teoryj jest nieraz mowa o wszystkich znanych siłach i własnościach fizycznych ważkiej materyi, a szczególnie o zgęszczaniu się jej przez oziębiania a rozszerzaniu się przez ciepło, i o rozrzedzeniu jej przechodzącem milionkroć wszelkie granice doświadczeń naszych gabinetów fizycznych, ale nigdzie nie spotkałem pytania, na czem ten stan rzeczy właściwie polega. O tych zresztą siłach i własnościach materyi mówi się zwykle mimochodem, jakby o czemś skądinąd dokładnie znanem, i to wtedy tylko, gdy sama ciężkość i płynące z niej zasady mechaniki wytłumaczyć czegoś dostatecznie nie dadzą. Jak ten sposób traktowania rzeczy jest niedostateczny, mówić nie potrzeba, a jednak strona mechaniczna zjawisk przyrody tak wszystkich piszących o kosmologii przeważnie zajmuje, że swej jednostronności zdają się nie spostrzegać i sam p. Wolf, chcąc zaraz z początku swej pracy określić, jakie jest zadanie kosmogonii, tak się wyraża: „Każda hipoteza kosmogoniczna, jeśli ma być wyczerpującą i ma odpowiedzieć swemu zadaniu, powinnaby wziąść materyę w pierwotnym jej stanie, taką jaka wyszła z rąk Stwórcy, z jej własnościami i prawami, i przez zastosowanie zasad mechaniki wyprowadzić z niej świat cały taki jaki jest dzisiaj“. Słowa te p. Wolfa wtedy dopiero byłyby prawdziwe i ścisłe, gdybyśmy tę materyę „w pierwotnym jej stanie, taką jaka wyszła z rąk Stwórcy, z jej własnościami i prawami“ rzeczywiście znali. Gdy jednak tak nie jest, kosmogonia w rzeczywistości stosuje znane zasady mechaniki do nieznanej pierwotnej materyi, do czegoś niedość jasnego i określonego, co sobie każdy wyobraźnią dopełnia. A gdy tak jest, pa-

[1] M. C. Wolf. Les hypothèses cosmogoniques. Bulletin Astronomique, tom I. 1884, miesiące Lipiec, Wrzesień, Październik i Grudzień; tom II. 1885, Luty, Maj i Lipiec.

miętać o tem trzeba, by otrzymanym na tej drodze rezultatom nie przypisywać zbyt stanowczego znaczenia. P. Faye widocznie o tem zapomniał, i choć w rozwinięciu swojej teoryi patrzy szeroko, jest jednak może jeszcze ciaśniejszy w zasadzie, gdy mówi na str. 162: „Nie pozostaje mi nic innego jak iść za poprzednikami moimi w pojęciach, do których wszyscyśmy przywykli, i argumentować tak, jak gdyby materya rozrzucona w przestrzeni absolutnie próżnej ulegała tylko prawu grawitacyi Newtona". Że i to stanowisko może doprowadzić do wielkich rezultatów naukowych, świadczy książka „astronoma" p. Faya; ale nie ulega wątpliwości, że zbyt wyłączne zajęcie się materyą ważką i prawami mechaniki ścieśniło jego widnokrąg, zrobiło go zbyt ekskluzywnym dla innych przekonań i teoryj, i że „filozof" Kartezyusz patrzał szerzej, a w szukaniu ostatecznych przyczyn poszedł dalej, i w tem musimy, przeciw p. Fayowi, przyznać mu słuszność.

Sprzeczność zaś teoryi Faya z teoryą Laplace'a, na tem głównie polega, że 1° pierścienie planetarne nie odrywają się, jak u Laplace'a zewnątrz zgęszczającej się nebulozy, ale formują się wewnątrz niej, i to w tym porządku, że najprzód powstają te, które są najbliższe jej środka, a coraz później te, które są dalsze, i że 2° sześć planet bliższych środka uformowało się z tych pierścieni, zanim większa część nebulozy w tym środku zgęszczona stała się słońcem, a tylko dwie planety najdalsze, a ostatnie nam znane, są od słońca młodsze. Zmiany te w teoryi Laplace'a, czyni p. Faye, jak widzieliśmy, dlatego, że według tej teoryi wszystkie planety musiałyby mieć ten sam obrót około swej osi, i to ten, jaki mają Uranus i Neptun, a w rzeczywistości rzecz się ma inaczej. Ale i tutaj nie zdaje mi się, aby argumenta p. Faya przeciw Laplace'owi były wystarczające. Byłyby niemi wtedy dopiero, gdyby wykazywały rzeczywistą niemożliwość zmiany natury ruchu w pierścieniach Laplace'a przed ich rozerwaniem się, lub zmiany kierunku ruchu w nebulozach planetarnych uformowanych po rozerwaniu się pierścieni. Jedno i drugie nie jest przez p. Faya dostatecznie wykluczone, astronomowie zaś, rozwijający teoryę Laplace'a, niemożliwości tej nie widzą, i rozmaite, a od p. Faya odmienne tłumaczenia podniesionej przez niego trudności dają. P. Wolf w krytyce swojej tego zarzutu Faya dobrą

bardzo robi uwagę [1], że jeśli w pierścieniach Laplace'a odrywających się zewnętrznie, nie może być tarcia, bo, jak mówi Faye, w pojedyńczych warstwach siła odśrodkowa równa się sile ciężkości, i te warstwy na sobie nie ciężą, wtedy tem mniej może się znaleść powód rozerwania się takiego pierścienia i zbicia w jedną masę, które wymaga koniecznie jakiegoś gwałtownego działania na siebie atomów. P. Hirn zaś w swych studyach specyalnych pierścieni Saturna [2] wykazał, że w pierścieniach płynnych, gdyby nawet z początku każda warstwa inną miała szybkość, ten stan rzeczy trwaćby nie mógł, bo warstwy te ścierałyby się ze sobą, nie skutkiem ciężenia na siebie, ale skutkiem tej właśnie różnicy szybkości ruchu, któryby się przez to dla całego pierścienia stawał coraz bardziej jednolity. I ta jednolitość nie byłaby trwałą, ale wystarczy przypuścić, że miała miejsce około tego czasu, gdy pierścień się zerwał, aby trudność p. Faya była usunięta. Teorya p. Roche'a, którą już znamy, znowu tę rzecz inaczej tłumaczy. U niego pierścienie, oderwane nagle od reszty nebulozy, mają w pierwszej chwili jedną kątową szybkość całej nebulozy, w której ruchu brały udział, a potem dopiero pod działaniem zewnętrznem przyciągającem tejże nebulozy, pojedyńcze części pierścienia dążą do tego, by miały własną niezawisłą szybkość, stosownie do I-go prawa Keplera, i to powoduje rozerwanie się pierścienia. Ten sam p. Roche i Daniel Kirkwood badali stosunek płynnych planet do przyciągającego je słońca, i wykazali, że wywołane przez tę płynność zjawisko, które na ziemi pod działaniem księżyca nazywamy przypływem i odpływem morza, zjawisko tem większych rozmiarów, im planeta jest płynniejsza, i im bliżej jest słońca, sprawia, że ta planeta, choćby miała zrazu ruch około osi przeciwny obrotowi koło słońca, dąży do tego, by ten ruch się wyrównał i to w ten sposób, aby ruchy koło osi i około słońca miały ten sam kierunek i odbywały się w tym samym czasie [3]. Gdy po tej przemianie planeta zgęszcza się, i przeto obrót około swej

[1] Bull. Astr. t. II., str. 75.

[2] Mémoire sur le conditions d'équilibre et sur la nature probable des anneaux de Saturne, str. 31.

[3] Ten stan rzeczy ma miejsce między ziemią i księżycem, w skutek czego księżyc jest zawsze tą samą stroną ku ziemi zwrócony, a my jedną tylko połowę powierzchni jego znać możemy.

osi przyspiesza, może dojść do tego, iż mając zrazu obrót koło osi odwrotny, w końcu będzie mieć koło tejże osi obrót w tym samym kierunku co około słońca, tylko dużo szybszy. Ten wypadek zajść może tem łatwiej, im planeta jest słońca bliżej, a tem trudniej im jest dalej. W ten więc sposób zgadzając się w zupełności na wywód p. Faya znowu inaczej wytłumaczyćby można ruch prosty sześciu bliższych planet a odwrotny najdalszych, Uranusa i Neptuna.

Widzimy więc, że gdy chodzi o początek świata, podstawy rozumowania tak jeszcze są nieścisłe, iż mnóstwo jest możliwych hipotez, których mylność trudna jest do wykazania. Stąd też i argumenta p. Faya przeciw hipotezom Laplace'a i Kartezyusza nie osiągają swego celu i możemy twierdzić bezpiecznie, że w obec dzisiejszego stanu nauki, ani teorya Laplace'a, ani teorya p. Faya nie sprzeciwia się teoryi wirów Kartezyusza, a tak teorya p. Faya, jak i Laplace'a, obie są możliwe.

IV.

Co jednak stanowi niezmierną zaletę Faya, to jego ogólnie naukowe stanowisko, jakie w książce swojej zajął. Rozumiem pod tem nietylko stosunek jego do innych uczonych, który już poznaliśmy jako pełen dobrej woli w ich zrozumieniu i pełen czci dla ich myśli, ale bardziej jeszcze stosunek jego, jako uczonego do kwestyi wyższego rzędu, metafizycznych i religijnych, które napotyka. Zaraz na początku książki jest doskonały rozdział, w którym autor omawia stanowisko nauki w obec prawdy o istnieniu Boga i Jego działaniu w przyrodzie. „Mówiąc o kosmogonii, pisze Faye, trudno nie dotknąć uczuć najwyższego poszanowania godnych. Chociaż powiem, że kosmogonia Laplace'a... przyjęta jest przez uczonych teologów, i że była ostatniemi czasy wykładana przez Jezuitów w kolegium rzymskiem, zawsze to zadziwi niejednego, że nauka tegoczesna usuwa działanie Boże aż do ostatecznych granic, aż do chaosu, i że się do tego działania ucieka tam dopiero, gdzie jest zmuszona, i nie może sobie inaczej poradzić. Taki jest niezaprzeczenie duch nauki, a powiem, że w tem jest racya jej bytu, i takie jest jej prawo. Do filozofii zaś należy wytłumaczyć, w jaki sposób ta dążność nauki godzi się z wyższem pojęciem Opatrzności".

„Gorzej byłoby, gdyby się można obawiać, że w śmiałych a olbrzymich budowach naszych prac kosmogonicznych, może przepaść dawny dowód istnienia Boga, wyprowadzany z cudów jakie widzimy na sklepieniu niebieskiem: *Coeli enarrant gloriam Dei*... Ale dowód ten trwa, i trwać będzie tak długo, jak długo istnieje jeden człowiek patrzący w niebo, nie zależy on bowiem bynajmniej od tego, czy sobie mniej lub więcej ściśle robimy o wszechświecie pojęcie. Przejdźmy wszystkie systemy kosmologiczne, a zobaczymy, że żaden z nich nie dodaje, ani nie odbiera jednej joty sile dawnych argumentów".

Rzeczywiście trudno rzecz wypowiedzieć jaśniej i bardziej filozoficznie. Szczególnie u nas, gdzie zajmowanie się nauką jest rzeczą dość świeżą, a nawet wśród najwykształceńszych bardziej znana jest ona z dzieł popularyzujących ją niż u źródła, u nas wyrobiła się pewna zabobonna cześć dla nauki i jej postępu, idąca tak daleko, że umysły zkąd inąd bystre i piękne trzymają nieraz w zawieszeniu sąd swój o istnieniu i działaniu Boga w przyrodzie, aby im jakieś nowe odkrycie kiedyś nie zadało kłamu. Ale Pan Bóg nie stworzył świata tak, żeby dopiero doktorat filozofii, lub co gorzej, zbadanie zupełne wszystkich zjawisk przyrody i ich przyczyn naturalnych, dało nam argument Jego istnienia, ale wszystko c o j e s t, tego istnienia Boga dowodzi. Metyfizycznie dość na to rozumowi istnienia jednego atomu, — a czy się zatrzymamy na wrażeniu jakie nam sprawia widok nieba gwiaździstego, czy pójdziemy dalej i poznamy prawa ruchu i historyę powstawania mnóstwa gwiazd, rosnących w umyśle naszym do olbrzymiej wielkości w przestrzeni, której bezdeń przechodzi wszelką wyobraźnię, — zawsze, myśląc logicznie, dojdziemy do tej samej konieczności istnienia Boga, i do uwielbienia Jego wielkości i potęgi. „Odtąd, mówi Faye, im wyższe będzie pojęcie nasze o tej mądrości najwyższej, tem bliższe będzie prawdy. Nie bójmy się abyśmy się pomylili, uznając w nim Twórcę wszech rzeczy, i odnosząc do niego te cuda na niebie, które porywają myśl naszą, a na tej drodze musimy ostatecznie dojść do zrozumienia i do przyjęcia tradycyjnej formuły: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi". — Kto przeczy Bogu, ten tak jak gdyby z tych wysokości spadł ciężko na twardą ziemię".

I filozofia rzeczywiście godzi, jak tego chce p. Faye, wyż-

sze pojęcia Opatrzności, z dążnością nauki do pozornego usuwania Boga na coraz dalszy plan w przyrodzie. Bo czy zjawisko jakie jest skutkiem bezpośredniego działania Bożego, jak cud, czy jest skutkiem całego szeregu przyczyn drugorzędnych, stworzonych przez Boga, zawsze na dnie jest Bóg. I to nie jako Ten który kiedyś w zamierzchłej przeszłości świat stworzył i w ruch go puścił, ale jako Ten, który zawsze jest, u którego nie ma przeszłości i przyszłości, ale wieczysta teraźniejszość: który temu wszystkiemu, co stworzył wszystkim drugorzędnym przyczynom i wszystkim zjawiskom daje ciągle i w każdej chwili byt i siłę lub życie, a więc zawsze w naturze rzeczywiście i realnie działa. „To też, kończy p. Faye, fałszem jest, aby nauka kiedykolwiek sama z siebie doszła do tego zaprzeczenia (Boga). Ono tylko powstaje w pewnych epokach walki z instytucyami przeszłości. I tak spotkać można kilku filozofów ateistów przy upadku dawnego społeczeństwa grecko-rzymskiego, i przy końcu wieku XVIII, a może jeszcze i dzisiaj, bo jest to właściwem walce, że stara się kruszyć wszelką broń w ręku przeciwnika. Ale niech walka ustanie, umysły wracają szybko do prawd wieczystych, i dziwią się nawet, że przeciw nim tak długo walczyły".

Stanowisko, jakie p. Faye zajął w obec Mojżesza i Genezy, mniej nas jednak zadawalnia. Zupełnie prawdziwem jest to co mówi na początku rozdziału o tym przedmiocie (str. 11), że tylko „najwyższe prawdy religijne podane były światu za pomocą ludzi natchnionych, ale natchnienie to nie odnosiło się nigdy do kwestyi czysto naukowych". A nawet odnosić się nie mogło, bo „niktby takiego objawienia nie był zrozumiał", i „brakowałoby słów do wyrażenia go". Wszystko to prawda. Wysokie twierdzenia naukowe zrozumiałe są tylko ludziom zajmującym się nauką i to w tej epoce w której są pisane, dlatego właśnie, że wyrazy naukowe mają swoje ścisłe znaczenia, które w wielkich odstępach czasu zupełnie się zmienia. Przytem trudno zrozumieć racyę, dla jakiej Pan Bóg miałby nam objawiać prawdy niemające istotnego wpływu na moralną stronę naszego życia, i sprowadzać usiłowania umysłu naszego od badań nad przyrodą do badań nad znaczeniem wyrazów jakiegoś martwego języka, coby świat naukowy, już i tak w ciągłej będący wojnie, bardziej jeszcze rozdzielało. Słowa powyższe Faya są

nawet w obec stanu wielu umysłów bardziej może u nas, niż na zachodzie, zupełnie na czasie. Posługiwanie się Pismem św. lub urywanemi zdaniami Ojców i doktorów Kościoła, by znaleść w łatwy sposób ostateczne niby rozwiązanie tej lub owej kwestyi naukowej, a przez to uwolnić się tanim kosztem od wstrętnej nam żmudnej nauki i pracy, niezupełnie jeszcze wyszło u nas z użycia, szczególnie wśród ludzi wierzących i lepszej woli, a nie dość naukowo rozwiniętych. Takie zaś niewłaściwe posługiwanie się powagą ksiąg świętych i ludzi świętych w Kościele, bardzo działa szkodliwie na umysły młode a badawcze, które słysząc podobne argumenta i wrodzoną logiką oceniając je jak należy, nabierają przekonania, że innych i lepszych nie mamy Bardzo więc trafnie i właściwie przypomniał nam p Faye, że Bóg nam prawd naukowych „z urzędu“ i naumyślnie nie objawiał. Niemniej jednak nie zdaje mi się aby twierdzić można, że ilekroć mimochodem w księgach świętych poruszone są kwestye naukowe, nie ma w nich nic więcej jak to tylko, co natchniony pisarz jako człowiek wiedział. „Nie wiedząc nic więcej od innych ludzi o tych rzeczach, pisarz natchniony mówi o nich to, co i wszyscy. Stąd sposób jego opowiadania da nam poznać jakie wyobrażenia panowały w tych odległych czasach“... Tak mówi Faye, i to nie zdaje mi się prawdziwe. Pominąwszy już tę okoliczność, że wchodzi tu na pole sobie niedość znane, na którem niejednokrotnie się myli [1], trudno przypuścić aby w księdze natchnionej, której według ścisłej formułki teologicznej „autorem jest Bóg“, poza sposobem mówienia pisarza nie było głębszych i niezbadanych, ale rzeczywistych prawd, nawet w dziedzinie nauk przyrodniczych, jeśli o przyrodzie mowa. P. Faye twierdzi, że cały rozdział Genezy, mówiący o stworzeniu, zawiera te tylko trzy prawdy jako objawione: 1° Że Bóg wszystko stworzył, 2° Że stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, 3° Że przykazał aby każdy siódmy dzień święcić. Wszystko zaś inne jest wyrazem niedostatecznych bardzo naukowych wyobrażeń, współczesnych Mojżeszowi. Co do mnie zaś, nie wątpię, iż tak sześć dni, czy epok stworzenia, jak i całe na-

[1] Mówi np., że wyraz *niebo* w tekście biblijnym przychodzi jedynie w liczbie pojedyńczej, i że liczba mnoga tego wyrazu w Piśmie św. nie jest dopuszczalną, gdy przeciwnie znaną jest rzeczą, że w Piśmie św. jedynie i wyłącznie używana jest liczba mnoga: „nieba“.

stępstwo stworzonych tworów, ma swą podstawę w rzeczywistości, choć to wszystko rozmaicie może być tłumaczone, nie jest nam dotąd jasno zrozumiałe, i może na tym świecie nigdy już zupełnie zrozumianem nie będzie. Wymaga tego, zdaje mi się, absolutna „prawdziwość“ ksiąg świętych, choćbyśmy się nawet zgodzili na to, że celem objawienia tego ustępu było, aby w całej ludzkości zaprowadzić święcenie dnia siódmego. Dodać tu jednak muszę że i w tem twierdzeniu, choć w mniemaniu mojem bardzo skrajnem, nie zdaje się p. Faye wychodzić z zakresu opinii w Kościele dozwolonych; podobna bowiem egzegeza ks. Biskupa z Clifton, Clifforda[1], który w Genezie widzi tylko alegoryę nie odpowiadającą koniecznie rzeczywistości opowiedzianych faktów, znalazła wprawdzie bardzo złe przyjęcie wśród wierzących i ściągnęła na siebie ostrą krytykę ze strony wielu teologów, ale przez Kościół potępioną nie była.

Ta cała ważna kwestya stosunku nauki do Pisma św., która ściśle się łączy z kwestyą szerszą i jeszcze ważniejszą stosunku nauki do wiary i do Kościoła, poruszona jest jeszcze z innej strony, już nie przez p. Faya, ale przez jednego z jego krytyków. W *Revue des questions scientifiques* ze stycznia 1885 r.[1] p. d'Estienne, podnosząc wielką naukową wartość książki p. Faya, czyni jednak ten zarzut, że uczony astronom nie zestawia teoryi swojej z opowiadaniem Genezy a szczególnie, że nie podnosi faktu, iż według literalnego rozumienia genezy, słońce zostało stworzone później niż ziemia. Nie przecząc że nowa teorya p. Faya jest pod tym względem z genezą widoczniej w zgodzie niż inne teorye, stanęlibyśmy jednak w tej kwestyi zupełnie po stronie p. Faya przeciw p. d'Estienne; bo gdy z jednej strony zdaje nam się, jak to już mówiliśmy, rzeczą bardzo niebezpieczną podać pod jakimkolwiek względem w wątpliwość to, co Pismo św. mówi, a bardzo niewłaściwą z Pisma św. dowodzić twierdzeń naukowych, to z drugiej strony równie niewłaściwem i niebezpiecznem zdaje się nam podnosić okrzyk ra-

[1] Annales de philosophie chrétienne. Listopad 1881. Une interprétation nouvelle du premier chapitre de la Genèse, tłum. z angielskiego. W zeszycie z kwietnia r. 1882 tych samych annałów jest odpowiedź ks. Biskupa Clifforda na liczne krytyki.

[2] Revue des questions scientifiques. IX. rok, zeszyt I. Jean d'Estienne. La nouvelle théorie cosmogonique de M. Faye, str. 94—134.

dości i tryumfu przy każdej nowej teoryi naukowej, która w jakimś szczególe zbliża się do opowiadania biblijnego. Że dotąd wszystkie wielkie teorye kosmogoniczne w tem co było najbardziej uzasadnionem, zgadzały się z opowiadaniem genezy, we właściwy sposób tłumaczonem, to wszyscy wiemy, i wszyscy możemy być pewni że nigdy żadne odkrycie i żaden pewnik naukowy nie stanie w sprzeczności z żadną prawdą objawioną; ale Pismo św., ale Objawienie opiera się na podstawie nierównie silniejszej, niż ta lub owa teorya naukowa, która za dziesiątek lat już się zmieni. Może w pewnych epokach zarozumienia naukowego i walczenia w imię nauki z prawdą Bożą, być rzeczą pożyteczną, tę zgodność nauki z objawieniem wykazywać, ale pamiętać trzeba że taka praca nie będzie miała nigdy wartości absolutnej, bo choć jeden element porównania, tj. objawienie, jest niezmienne, to drugi, nauka, zmienia się ciągle. Zbyt więc ścisłe, a raczej ciasne związanie tych dwóch elementów, wychodzi zawsze na szkodę ich wzajemną. Wiemy z doświadczenia że czytając dzisiaj najlepsze nawet dzieło apologetyczne, z pierwszej połowy wieku naszego, w tej części która wykazuje harmonię objawienia i nauki, doznaje się jakiegoś niemiłego uczucia, i to tem więcej, im bardziej apologeta wierzył współczesnym sobie, a dziś już porzuconym nabytkom umiejętności i im pewniej je stawiał. One zmieniają się tak szybko! A choć to dziwnem zdawać się może, ta właśnie zbytnia ufność niektórych ludzi, wierzących w nabytki nauki, staje się w ręku nieprzyjaciół Kościoła najsilniejszym dowodem na to, że ludzie w Kościele lub nawet Kościół, są postępowi nauki przeciwni. I nie może być inaczej, bo rzeczywiście związanie elementu zmiennego i ruchliwego z niewzruszonym, ruchy i swobodę, a więc i postęp pierwszego hamuje, a kto raz uwierzył, że prawda wiary zależy od jakiejś teoryi naukowej, ten, im więcej wiarę ceni, tem silniej od owej teoryi, może nawet wbrew naukowej prawdzie, odstąpić nie zechce. W tem tylko jest mylność twierdzenia przeciwników Kościoła, że Kościół jako taki, a nie niektórzy tylko, ciaśniej patrzący ludzie w Kościele są takiemu traktowaniu rzeczy przychylni, bo właśnie Kościół zupełną nauce zostawia swobodę, a dogmata wiary są to znaki graniczne, po za które nauka z natury swojej sięgnąć nie może, a gdy ktoś w dobrej lub złej wierze, w imię niby nauki po za te granice wykroczy, błąkać się będzie,

i wcześniej czy później sama nauka mylność jego drogi wykaże, Umyślny fałsz jest swawolą umysłu, a pomyłka jest jego niewolą. ograniczenie więc w pomyłkach jest przywilejem na rzecz wolności myślenia. Raz kiedyś przed kilkoma wiekami nie Kościół i nie Papież, ale jedna z kongregacyj, stojących przy boku papieskim, potępiła pewną nową teoryę naukową, opierając się na tem, że wszyscy uczeni współcześni i nauka kilkunastu wieków poprzednich była tej teoryi przeciwna, a uczony ów, który ją stawiał, nie miał na jej poparcie ani jednego dowodu, wszystkie bowiem, które dziś mamy, później dopiero odkryte zostały. A jednak, choć jest rzeczą jaśniejszą jak słońce, że właśnie część ludzkości Kościoła najbliższa i przezeń wychowana, że zachodnia Europa i to co z niej wyszło stoi od wieków pod względem nauki najwyżej, jednak to zbytnie zaufanie w nauce współczesnej tej jednej kongregacyi rzymskiej, w tym jednym wypadku, jaki się zdarzył przed czterema wiekami, sprawiło, że dziś jeszcze fakt Galileusza przytaczany jest jako niezbity dowód obskurantyzmu Kościoła i jego niechęci do wszelkiego postępu wiedzy. I tej kwestyi Faye w swem dziele dotyka, i na właściwym gruncie ją stawia [1].

Pragnęliśmy, aby ta praca nasza o książce p. Faya była jak najbardziej wyczerpującą, a jednak niezupełnie nam się to udało, tak książka ta jest pełną treści. Musi ona być niepospolitą, gdy wyszło już w tak krótkim czasie drugie jej wydanie, i gdy wywołała tyle rozgłosu i tyle krytyk, i gdy cały świat naukowy tak się nią zajmuje. Dla nas ma ona szczególne znaczenie, jako objaw nowego

---

[1] Str. 25. W dwóch szczegółach jednak przedstawienie tej kwestyi przez p. Faya nie zdaje mi się w zupełności odpowiadać prawdzie. 1° Kongregacya stanęła po stronie jednej szkoły naukowej, to prawda, ale ta szkoła Arystotelesa i Ptolomeusza była, pomimo pism Kopernika, wtedy jeszcze powszechna, i przeżyła nawet Galileusza. 2° Z opowiadania p. Faya zdawałoby się że nowa teorya Kopernika i Galileusza miała za sobą odrazu silne argumenta, tymczasem tak nie było. Argumenta zupełnie wystarczające na poparcie tej teoryi, jak eksperyment Foucault'a i pozorny ruch eliptyczny gwiazd stałych, są bardzo świeże, i u nas najczęściej ludziom, podnoszącym głośno fakt Galileusza przeciw Kościołowi, zupełnie nieznane. Mnie samemu zdarzyło się nieraz spotkać ludzi występujących gwałtownie w imię rozumu przeciw wierze, tam gdzie to jest koniecznem, a pozbawionych argumentów, więc stojących na stanowisku ślepej wiary w dziedzinie nauki, to jest tam, gdzie wiara jest rzeczywiście nierozsądkiem.

kierunku w najwyższej dziedzinie nauki, zrywającego stanowczo z materyalizmem i pozytywizmem, i wszelkiem stronnictwem i obozem walczącym tak z prawdami wiary, jak i z filozofią prawdziwą. A miło nam i o tem wspomnieć, że i w naszej literaturze nie nasze pismo pierwsze ogłasza sprawozdanie o tem dziele, bo już *Kronika rodzinna* z 15 lipca, z 1 i 15 sierpnia zamieściła o niem artykuł uczonego naszego z drugiej półkuli świata, Ignacego Domejki. Oby ten nowy a zdrowy kierunek naukowy stał się u nas jak najrychlej powszechnym i ochronił młodzież naszą od zabójczego działania pseudonaukowych teoryj materyalizmu, pozytywizmu, darwinizmu i innych. Faye mówi, iż właściwem jest walce, kruszyć wszelką broń w ręku przeciwnika, my zaś musimy patrzeć na inne, boleśniejsze widowisko, oto, że młodzież nasza, mając walkę tak trudną, a przeciwników tak licznych, kruszy w rękach własnych najsilniejszą broń jaka jej została, broń tych „prawd wieczystych", do których wracają już dziś szybko najwyższe umysły naukowe Zachodu, dziwiąc się, „że przeciw nim tak długo walczyły".

Ks. Eustachy Skrochowski.

Z UKRAINY POŁABSKIEJ[1].

II. Lechicka straż nad Łabą.

Zdala od Łaby, tego teatru ustawicznych zapasów zbrojnych między obiema rasami, — nad wybrzeżami Bałtyku, stosunki handlowe wraz z innemi objawami bytu społecznego Zachodnich Lechitów nieco odmienniej się zarysowały. Zabezpieczeni od południa pasmem błot, mając bezpośredni do morza przystęp, nadać oni mogli bytowi więcej stałych i bogato rozwiniętych form; a pierwszym i najcelniejszym wyrazem onych — powstanie wielkich miast ze stałą osiadłą ludnością, której mieć nie mogły, choć liczne, lecz małe grody połabskie służące na czasowe schronienie mieszkańcom żup.

Dania nie była niebezpiecznym dla Zachodnich Lechitów przeciwnikiem; sama pogańska w walkach swych z nimi nie okrywała się płaszczem prozelityzmu chrześcijańskiego, a tem samem pozbawiała je tego charakteru nienawiści religijnej, jaki się domieszał do walk z Niemcami. Obopólny przeto ich stosunek więcej nosił na sobie znamion otwartości i szczerości, a walka częściej zabliźniała się dobrodziejstwami pokoju; w samej walce nawet, toczonej nieraz z zawziętością i okrucieństwem, przebijała się ta rycerska otwartość, która mimo znanego podstępu normańskiego, bratała walecznych i jednoczyła ich często w jednę drużynę, jaką np. była owa przesławna jomsburskich Wikingów drużyna.

Pod takim wpływem handel przyjaźniejsze dla stron obu otwierał wrota; nawet Wagrowie, ten wiecznie na kresach bojujący

[1] Ob. 1-szą część tej rozprawy w zeszytach listop. i grudn. p. r. str. 186 i 387.

naród, posiadał nietylko grody, ale i miasta z ludnością stałą, mogącą się oddać przemysłowi i handlowi. Takiem miastem była stolica ich Starogród, późniejsze Aldenburg, Oldenburg. Broniona własną pozycyą, tudzież wysuniętą ku północy wyspą Wemerą (Fehmarn), miała dogodną przystań, otwartą ku wschodowi, jakby dla przyjęcia statków Pomorskich. Jakoż z wiadomości o stosunkach z Wolinem nadodrzańskim [1] widać, że Pomorzanie mieli w stolicy Wagrów swą stacyę handlową. Z drugiej strony *Starogród* w chwilach spokojnych wchodził w stosunki z Hamburgiem [2], zapewne dwiema drogami: przez Lubice (Lübeck) lub Płonę (Plön). Ta druga droga była bardziej uczęszczaną, bo sama Płona liczyła się do ważnych punktów targowych; za czasów późniejszych a mianowicie w XII. wieku, kiedy tamtędy szła granica holzacka, do miasta tego co niedziela schodzili się na targi Wagrowie i Sasi zalabscy (t. z. Nordalbingowie) [3]. Gdy spólczesny biskup w interesie święcenia niedzieli, powstaje przeciw tym targom jako forytującym poganizm, wnosić więc można, że się odbywały one i dawniej, a to z tem większą łatwością, gdy granica idąc wówczas dalej na zachód dawała więcej bezpieczeństwa miastu. W miarę upadania Wagrów w walce, Starogród też nikł coraz więcej i handel jego przenosił się do Lubicy, jako punktu bezpieczniejszego i przez głębiej wrzynającą się w ląd zatokę i przez oddalenie swoje od Danii, która stając się chrześcijańską przejmowała się taktyką nietolerancyi katolicyzmu niemieckiego, i stosunki dawniejsze z Lechitami zmieniała na gorsze dla nich. Nareszcie po zupełnym upadku Starogrodu Lubeka zajęła nietylko w zupełności jego stanowisko, ale stała się z czasem pierwszorzędnem miastem handlowem na północy.

Posuwając się dalej wybrzeżami Bałtyku znajdujemy jeszcze dogodniejszą zatokę Wismirską, wrzynającą się głęboko już w terytoryum Obotrytów. Powstały tu później *Wismir* (Wismar) polski Wyszomierz [4], jeśli tylko dokładnie odczytujemy jego nazwę, świad-

[1] Ad. Brem. II, 19.

[2] Tenże.

[3] Helmolda Chr. Slav. I, 94.

[4] Połabsk. *vis* (starbulg. ВИСЬ; accus. nom. neutr. *vesi* albo *veśu*, *viśó* = polsk. wszystek (p. Schleicher 253). Jeśli druga część wyrazu — *mar* jest tylko zmianą dowolną sławiańskiego *mir* (w znaczeniu *świat* lub *ogół*,

czyłby, jak wielkie *wszechświatowe* znaczenie miał handel tej okolicy. Jakoż przed powstaniem jeszcze Wismiru kwitnął tu *Rarog*[1], będący zarazem najdawniejszą stolicą właściwych Obotrytów, nazywających się również *Rarogami*[2]. Handel jego morzem i lądem musiał być bardzo rozległy i zyskowny, skoro cła pobierane od kupców tam handlujących stanowiły jednę z ważnych rubryk w dochodach królów duńskich[3]. Gdy z czasem Rarogowie wyszli ze swego plemiennego stanowiska i utworzywszy związek ludów, na takowy rozciągnęli ogólną nazwę Obotrytów, Rarog wraz z imieniem plemienia Rarogów znikł z widowni dziejów. Zrządzeniem tej dziwnej ironii losu, powtarzającej się często w życiu ludzi i ludów, upadek jego spowodowali właśnie ci, po którychby się najmniej spodziewać należało. Godfryd, wódz Danów, w przymierzu z Lutykami i dwoma plemionami samego związku obotryckiego (Glinianami i Smolnianami, snać niezadowolnionymi z obszernej władzy księcia Drażka nad związkiem), przypłynął w 808 r. z flotą swoją ku brzegom wiśmirskim, zdobył kilka pomniejszych grodów wybrzeża, a z niemi Rarog, zburzył go, a znajdujących się tam kupców przesiedlił do Szlezwiku[4]. Wprawdzie odbudował się Rarog później, lecz już nie powrócił do pierwotnego znaczenia. Miejsce jego, jako stolicy związku i punktu handlowego, zajęło miasto, zbudowane w skutek smutnie nabytego doświadczenia nieco dalej od morza, i jako gród panujący pozycyą i znaczeniem swojem nad innemi, nazwane zostało *Wielkim grodem — Wili-gord.* Arabscy

---

lud), nie zaś *morza* [nie wiemy, jak właściwie brzmiał ten wyraz u Zachodnich Lechitów w nom. sing. ocalała forma jego tylko w loc. sing. *marái* (marén)], natenczas oddanie jego w języku polskim byłoby najodpowiedniejsze takie, jakie przedłożył D. Szulc (O Pomorzu zaodrzańskiem), tj. Wyszomierz. Z możliwych czterech kombinacyj i odmian tego wyrazu, jak *Vesmir, Vismir, Vesmar, Vismar,* każda może być równo uprawnioną; wybraliśmy drugą dla uniknięcia nowych tłumaczeń, forma ta bowiem w jednej lub drugiej części odpowiada tłumaczeniu podanemu przez znanych już pisarzy słowiańskich (= Hilferding i Perwolf *Wesmir,* J. Papłoński *Wismer,* D. Szulc Wyszomierz).

[1] Idziemy tu za Szafarzykiem, który w ten sposób tłumaczy nazwę tego miasta u Danów wyst[illegible]ującego jako *Reric.* „Emporium, quod in oceani littore constitutum, lingua Dan[illegible]m Reric dicebatur". (Einh. Mon. G. I. 195).

[2] „Obodriti, altero nomine Reregi vocantur". (Ad. II, 187).

[3] „Magnam regno illius commoditatem vectigalium persolutione praestabat". (Einh. tamże).

[4] Tenże.

podróżnicy i ziemio-pisarze, którzy z nim stosunki mieli, takim je nam właśnie podają, opisując stolicę potężnego podług nich państwa. Nakoniec w połowie X. wieku, jako zbudowaną w miejscu nieprzystępnem i niezdobytem [1]. W tłumaczeniu średniowiecznej łaciny znane jako Magnopolis, Megalopolis, a w niemiecczyźnie jako Mikilinburg, w tej ostatniej nazwie utrwaliło sławę i wielkość swoją, ochrzciwszy później swem imieniem prowincyę Meklemburską. W następnej kolei losów z Wielkiego grodu pozostała dziś tylko mała wiosczyna Meklemburg; polityczne znaczenie jego przeniosło się gdzieindziej, a zwłaszcza na Zwierzyn, handlowe zaś powróciło znów bliżej ku morzu, prawdopodobnie na to samo miejsce, gdzie kwitnął Rarog i gdzie później za czasów już władztwa niemieckiego widzimy niemniej kwitnący *Wismar*. Wstępujemy do miast Pomo-

[1] Wiedziano oddawna, że Meklemburg musiał być wpierw grodem słowiańskim, lecz jakąby była istotna jego nazwa rodzima, zgoła nie wiedziano, i musiano się zadawalniać samemi domysłami i przypuszczeniami. Przypuszczano więc, że *Magnopolis* musiało być dosłownem tłumaczeniem *Wielkiego grodu*, pewności jednak żadnej nie miano. Dopiero wykryty przez jednego z dragomanów ambasady rosyjskiej w Konstantynopolu *Al-Bekri* Abu Obeid Abdalah (wydany najpierw w rocznikach petersburskiej akademii, — Продолженіе въ XXXII. тому Записокъ, przez A. Kunika i barona W. Rosena, następnie z komentarzami przez M. J. De Goeje prof. uniwersytetu lejdejskiego. Een belangrijk arabisch bericht over de slavische Volken omstreeks 965 n. Ch. a nareszcie podług tego ostatniego przez J. Jirečka: Zpravy, Arabûr o středo věku slov.) podawszy opis północno-zachodniej Słowiańszczyzny z r. 965, wyraźnie zaznacza nazwę stolicy panującego podówczas księcia Nakona w tych słowach: „Tento gród zowie się *Grad* (tu pierwsza część wypuszczona przez pośpiech lub omyłkę przepisywacza, jak to widać o parę wyrazów dalej), która to nazwa oznacza *Wielki gród*, *Wili-Grad* stoi . . .“ etc. Stwierdziwszy w ten sposób tożsamość Meklemburga z Wielkogradem, zgodzić się nie możemy z tymi, którzy (jak Hilferding) biorą to miasto za jedno z Rarogiem, a to dlatego, że Rarog leżał nad morzem (in oceani littore constitutam, jak się wyraża o nim Einhard), a *Wielki grad* wyraźnie umieszcza Al-Bekri w odległości 10 mil od morza („Od grodu do oceanu jest odległość 10 mil“). Odległość ta jest cokolwiek przesadzona u arabskiego ziemio-pisarza, gdy jednak tenże zaznacza oprócz tego wyraźnie, że „*Wili-Grad* położony jest nad jeziorem *słodkiem*, przeto na żaden sposób nad morzem znajdować się nie mógł, lecz jak właśnie mniema Jireček, nad jeziorem Zwierzyńskiem. Dzisiejszy wprawdzie Meklemburg leży nad jeziorkiem oddzielonem od jeziora Schwerin kawałkiem ziemi, lecz wówczas przy głębokim stanie wód oba one tworzyły jednę całość zwierzyńską. Zresztą dokładny opis budowy tego miasta przytoczony przez Al-Bekrego (a który później nie omieszkamy podać w całości) nie pozostawia pod tym względem wątpliwości.

rza, sławą swą, ruchliwością i rozległemi stosunkami handlowemi królującemi w całej Zachodniej Lechii. Pierwszeństwo tu należy się *Wolinowi*, o którym Adam, kanonik bremeński, podając około 1070 r. swoją historyę biskupów hamburgskich tak opowiada:

„Za Lutykami, którzy inaczej Wilcy się nazywają, płynie Odra, największa rzeka w ziemi Słowiańskiej, u ujścia której do błot scytyjskich leży najszlachetniejsze miasto Jumna (w innych rękopisach Julin), znakomite miejsce zgromadzania się okolicznych barbarzyńców i Greków. O tem mieście, o którem chodzą wielkie, prawie niepodobne do uwierzenia wieści, należy podać nieco godnego uwagi. Jest to zapewne największe ze wszystkich miast Europy, a zamieszkują je Słowianie wraz z innemi ludami Grekami i barbarzyńcami. Nawet przybywającym Sasom udzielono prawo mieszkania, z warunkiem, aby podczas pobytu nie wydawali się publicznie ze swem mianem chrześcijańskiem. Wszyscy bowiem dotąd jeszcze poddają się błędom obrzędów pogańskich, zresztą, pod względem obyczajów i gościnności, nie masz nad nich ludu uczciwszego i łagodniejszego. Miasto bogate w towary wszystkich narodów północy, i nie brak tam żadnej osobliwości, ani rozkoszy. Jest tam *olla vulcani*, którą mieszkańcy greckim ogniem nazywają i o której wspomina Solinus. Tam się ukazuje Neptun w troistej postaci; wyspa bowiem oblana jest trzema morzami, z których jedno, jak mówią, jest całkiem zielone, inne białawe, trzecie w swych poruszeniach szalonych wiecznemi sroży się burzami. Z Jumny (Julina) statki wiosłowe w krótkim czasie przybywają do Dymina, żaglowe zaś do pruskiej Semlandyi również do Szlezwiku i Aldenburga; w kierunku zaś przeciwnym w 14 (w innym rękopiśmie 43) dni przebywały one drogę od Jumny do Ostrogardu (na Rusi). Drogą lądową można w 8 dni dojść do Hamburga albo do Elby".

To, co on sam opowiada o cudach Neptuna i ognia greckiego, tudzież te trudne do uwierzenia wieści, a które już za jego czasów obiegały po świecie, są zaledwo cząstką tych fantastycznych opowieści, jakiemi obdarzono później Wolin. Do żadnego z miast słowiańskich a może w ogóle europejskich nie przywiązano tylu mytów i legend, tylu różnorodnych a sprzecznych z sobą wiadomości i podań; a wielość ich złożyła się na całą bogatą literaturę przedmiotu tego. Kolejno lub jednocześnie występowało to miasto

w kronikach i badaniach uczonych pod różnemi nazwami: Wolin Wołyn, Julin, Jom, Jomsburg Jumus, Jumno, Jumneta, Jumeta, Wineta i t. d. Do niedawna jeszcze nie wiedziano, czy to był jeden, czy kilka grodów; najczęściej robiono z nich trzy: Wolin (Julin), Jom (Jomsburg) i Jumneta, a jeśli znów później ściągano wszystko do jednego Wolina, to nie umiano określić z pewnością położenia jego, zaznaczając początek jego żywota na wyspie leżącej przy ujściu Swiny a koniec na wyspie Wolina przy Dziewinowie. Taka sama rozmaitość a nawet cudowność domięszała się do początków jego powstania, do całego ciągu dziejów, a nawet do śmierci jego. Opowiadano, że założył go Juliusz Cezar, któremu i cześć oddawać miano publicznie na placu wolińskim w postaci włóczni lub miecza zatkniętego w słupie; skarby kruszcowe, ściągane tam jakoby z Indyj, miały być tak wielkiemi, że najpospolitsze naczynia wyrabiano ze złota lub srebra; nareszcie wskutek raptownego kataklizmu podziemnego (może za zrządzeniem Neptuna) zapadło się ono nagle w morze, które je pochłonąwszy, dotychczas okazuje ślady szeregu murów, widniejących w dzień jasny, a po których poznać można rozkład ulic cudownej a wspaniałej Winety. Byli nawet tacy, co zapewniali, że dostrzegano przy nizkim stanie wody sterczące kolumny alabastrowe lub marmurowe, o które rozbijały się statki, lub na których rybacy suszyć mieli sieci swoje.

Zaledwo w bieżącym wieku udało się krytyce naukowej rozświetlić drogi tego ciemnego labiryntu umyślnie lub nieświadomie szerzonych ciemności, i sprowadzić do właściwych rozmiarów lub harmonii przesadne i sprzeczne wiadomości. Dziś już można, mimo oporu niektórych niemieckich badaczy, przyjąć za pewne, że istniało jedno tylko miasto Wolin i wznosiło się tam, gdzie dotychczas jeszcze istnieje mieścina tegoż nazwiska.

Trzy odnogi któremi Odra wlewa się do Bałtyku, tworzą dwie wyspy: uznoimską (Usedom) na zachodzie i wolińską na wschodzie. Ta druga, omywana odnogami Swiną i Dziewinowem (Dievenow), była bardzo dogodną do pomieszczenia miasta handlowego, i tu też w południowo-wschodnim jej zakącie nad Dziewinowem stanął Wolin. Blizkość morza ułatwiała przewóz towarów ze statków lub na statki, stojące na pełnej wodzie, a płytkie i piaszczyste dno Dziewinowa broniło miasto od odwiedzin okrętów wojennych.

Powstanie jego poprzedza wiadomości kronikarskie, bo ginie w pomroce wieków, że zaś pochodzenia jest słowiańskiego, okazuje się nietylko stąd, że żaden inny naród przebywający czasowo w tych stronach miast nie budował, i wykazać się nie może dowodami posiadania jego, ale i z samej najdawniejszej istotnej nazwy (gdy inne jak dowiedziono, były albo wymysłami późniejszemi, albo po prostu omyłkami przepisywaczy kronikarzy niemieckich i duńskich), którą, czy przyjmiemy od imienia mieszkającego tam plemienia Wendzkiego, czy od zatrudnienia mieszkańców (wół), czy wreszcie od głównej cechy ich charakteru plemiennego (woli, wolności), zawsze będzie słowiańską, choćby nawet z pominięciem końcówki właściwej nazwom miast tylko tutejszych Lechitów Dym*in*, Kam*in*, Szczec*in* etc.). Prowadząc handel rozległy ze Wschodem i Zachodem, miał możność wzbogacenia się i wzniesienia ponad inne miasta; nie należy jednak brać wspaniałości jego zewnętrznej w dzisiejszem znaczeniu, a nawet świadectwo Adama bremeńskiego o prześcignięciu, przez nie wszystkich miast Europy nie jest w dosłownem rozumieniu, bo pisarze ówcześni używali pojęcia Europy, jako części barbarzyńskiej, po za obrębem rzymskiego i greckiego świata. To też na owe czasy Wolin mógł przodować rzeczywiście innym miastom, nietylko Słowiańszczyzny, ale i Europy barbarzyńskiej.

Tak było do X. wieku. Na drugą połowę onego przypada kulminacyjny punkt tego przewrotu w życiu ludów Skandynawskich, jaki się rozpoczął wiekiem wprzód, a to w stosunkach religijnych, społecznych i politycznych. Upadała stara pogańska społeczność Odina, a krzyż Chrystusa ramionami swemi obejmował resztę przestrzeni tych ludów północy. Jednocześnie z tem powstała jedność państwowa, drobne *fylki*, na które podzielone były oba półwyspy, zaczęły zlewać się w trzy wielkie twory polityczne, pod zwierzchnictwem Gorma starego w Danii, Eryka Ejmundarsona w Szwecyi, i Haralda Pięknowłosego w Norwegii. Wierni pogańskiemu Odinowi, Wikingi i wyzuci ze swych posiadłości lub niezadowoleni z samowładztwa Jarłowie, na czele pochopnych do dalekich wypraw awanturników normandzkich, okrętami swemi okryli sąsiednie i dalsze nawet morza, szukając zdobyczy i zakładając własne osady. Jednym z takich był syn Gorma starego, Harald Blaatand, który na czele śmiałej drużyny podpłynął Swiną do zachodnich brzegów wyspy

wolińskiej i zdobywszy je, założył u ujścia tej odnogi (około 3 mil odległości od Wolina) warowną osadę *Jomsborg*. Stało się to między 935 a 966 rokiem. Wypadek ten nie pozostał bez wpływu na Pomorze a zwłaszcza na dalsze losy Wolina. Czy był ze strony jego jaki zbrojny w pierwszych chwilach protest przeciw takiemu usadowieniu się Wikingów pod samym niemal bokiem miasta, nie wiadomo; jakoś nie bardzo o tem mówią sagi i kroniki, mimo że słychać było o niepokojeniu przez nich dalszego Pomorza. Możliwy opór wkrótce zapewne złagodzony został dobrowolną ugodą, bo oto widzimy Wolin handlujący po dawnemu a Jomswikingów władających również wyspą tak, że jedni kronikarze nazywają podówczas ziemię od ich imienia, i warownię normandzką wraz z miastem słowiańskiem zlewając w jednę całość, chrzczą wspólnem mianem *Jumny*, a drudzy lechickim Wolinem. Jomsborg stał się jakby warownią lub zamkiem Wolina, w tem jednak znaczeniu, że oddając usługi zbrojne kupcom miasta za pewne korzyści, sam zresztą w innych działaniach i w wewnętrznym zarządzie będąc niezawisłym, prowadził, że się tak wyrazimy, politykę normandzką na własną rękę, i to na wielką skalę.

Wikingi jomsburgscy stali się rycerstwem na poły zakonnem, związanem ślubami bezżeństwa i surową regułą wojenną, za pośrednictwem której stanowili silny zastęp drużynników, a pod dowództwem takich Sigwaldich i Palnatokich przedsiębrali ustawiczne zbrojne wyprawy, bądź to na dalsze kraje, bądź na brzegi samej Skandynawii, niepokojąc władców Szwecyi i Norwegii, a przedewszystkiem Danii. Prowadzono z obu stron zmienne losami walki, nareszcie Magnus Dobry król duński w 1043 r. zdobył i spalił Jomsburg.

Z upadkiem jednak jego nie skończyły się przyjazne stosunki Wolinianów z Normanami. Miasto przyjęło do siebie resztki Jomswikingów, i dawało przytułek nowym zbrojnym ze Skandynawii wychodźcom. Co więcej, samo zasmakowawszy w zwyczajach normandzkich, obojętnem okiem patrzyło na to, jak obywatele jego, przypasawszy po wierzchu podróżnej kupieckiej kapoty miecze ostre, puszczali się odważnie pomiędzy wyspy duńskie i niemałego strachu nabawiali chrześcijańskich władców Danii. Być może, że często w takich razach powodować nimi mogła chęć udzielenia obrony orężnej handlowi swojemu, ale to pewna, że nawet w takich wido-

kach podobać się nie mogły sąsiadom. I oto widzimy najpierw, jak król Danów Eryk Ejegod sporządziwszy zabiegami Skialma Białego wyprawę, zmusza w 1100 r. Wolin do wydania mu ukrywających się tam Normanów i zapłacenia daniny. I dwakroć jeszcze potem takie same niemal powtarza wyprawy. Po nim król Niels około 1120 r. zdobywa Wolin i po części go pali, a nareszcie w 50 lat blisko potem Waldemar I. przy współdziałaniu arcybiskupa roscyldskiego Absalona, zdobywcy Arkony a wnuka Skialma Białego, zgniata ostatecznie Wolin, który wycieńczony długą walką upada, i od r. 1177 już się więcej nie podnosi. Znaczniejsza część mieszkańców jego wyniosła się do Kamina, dokąd też przeniesioną została stolica biskupia, która była założona przez księcia Wortysława w Wolinie, jako ześrodkowującym w sobie interesa handlowe kraju.

Szczecin leżał już na lądzie przy ujściu Odry do jeziora, sformowanego zatoką morską. W XII. wieku, za czasów pobytu tam Ottona bamberskiego, słynął już jako najznakomitsze i najstarożytniejsze miasto Pomorza. Zbudowany na trzech pagórkach, otoczony ze wszech stron wodą i błotami, tudzież wzmocniony sztucznemi warowniami, był nie do zdobycia, słusznie uważany jako najważniejszy i najpierwszy posterunek kraju, zwłaszcza od północy. Handel jego był niemały; znajdując się w ustawicznych stosunkach z Wolinem i Ranami [1], nietylko za ich pośrednictwem, ale i bezpośrednio prowadzili mieszkańcy jego handel z dalszemi krajami i co roku znaczna liczba Szczecinian odbywała wędrówki za morze. Spółczesny pisarz, mówiąc o tem, wyraża się, że wielu w Szczecinie napotykało się bywalców, którzy wybornie znali stanowisko, miejscowość i zwyczaje każdego narodu [2]. Miał on jednak znaczenie bardziej państwowe powagą starożytności swojej, mądrością obywateli prym wodząc między wszystkiemi miastami Pomorza, i w całym kraju też nazwany był *macierzą* miast [3]. Bolesław Krzywousty śląc na prośbę św. Ottona list na Pomorze, adresuje go. „Naro-

[1] Sefrid 178.

[2] Tenże 179.

[3] „Hanc enim civitatem, antiquissimam et nobilisssimam dicebant in terra Pomeranorum matremque civitatum". Herb. II. 25.

dowi pomorskiemu i ludowi szczecińskiemu“ [1], i kiedy tenże św. Otto wezwał Wolin do przyjęcia wiary chrześcijańskiej, wiec starszych miasta oświadczył mu, że postąpi w tej mierze tak jak postąpi Szczecin, macierz miast, za którego zdaniem i głosem chce iść Wolin zawsze [2].

Stanowisko to Szczecina nie było wymuszone żadną siłą lub przewagą orężną, lecz polegało snać na wyższości moralnej, dobrowolnie uznanej, tudzież na tej łączności, której potrzebę uczuwano, a która była charakterystycznem znamieniem bytu pomorskiego. Władza książęca, słabo zresztą uczuwać się dająca w całym kraju, Szczecinowi tem mniej nie nadawała powagi, ile że nie tu, lecz w Kaminie była stała rezydencya księcia.

Po zniszczeniu Wolina przez Danów, Szczecin zdobył nawet sobie przewagę nad innemi miastami pod względem handlowym.

Oprócz wzmiankowanego już Kamina, znajdowało się też niedaleko Szczecina w kierunku wschodnim miasto *Kładno*, między Wolinem a Kołobrzegiem. Położone nad brzegiem rzeki (Regi) wśród lasów, miało po niej przystęp do morza; z czego korzystając mieszkańcy udawali się do krajów zamorskich w interesach handlu [3]. Jak w Zachodniem Pomorzu główną rolę odgrywały wielkiego znaczenia miasta Wolin i Szczecin, tak we Wschodniem *Kołobrzeg* i *Białogród* (Belgord) ustępujące tamtym pod względem wszechświatowego znaczenia i handlu, niemniej przeto handlowe i znakomite w swojej prowincyi. Oba te miasta leżały nad brzegiem rzeki Persanty, Białogród dalej a Kołobrzeg [4] bliżej ku morzu, prawie nad samem wybrzeżem, o dzień drogi od Białogrodu. O handlowem jego stanowisku świadczy ta ciekawa okoliczność, że kiedy Otto bamberski przybył tam w początku 1125 r., nie zastał prawie nikogo, bo większość mieszkańców wypłynęła handlować na wyspy [5]. Oczywiście, że miasto w skutek takiego ogólnego zajęcia się han-

[1] „Boleslaus rex polonorum Genti pomeraniae et Populo Stitinensi“ (p. cały list wydrukowany w rozprawie D. Szulca: O Pomorzu zaodrzańskiem).

[2] Herb. l. c. i III. 25. (Illos enim per omnia imitari, quasi pro sententia eis fuit.

[3] Herb. II., 38, 40, str. 35 i następne.

[4] Reinbernus praesul salsae cholbergiensis... (Thietm. VII, 52).

[5] Herb. II, 39, str. 56 nn. 83 i następ.

dlem musiało gromadzić bogactwa. „W 1107 r., powiada Marcin Gallus, Bolesław na czele konnicy skierował się ku Kołobrzegowi, miastu obmurowanemu i *obfitemu w bogactwa*. Po pięciu dniach ustawicznej drogi przez puszczę, dosięgnął miejsca, przeszedł rzekę (Persantę) i niespodzianie napadł na miasto. Gdyby napad uskuteczniony był z jednakową jednomyślnością, Polacy bez wątpienia zawładnęliby znakomitem i głównem miastem Pomorza. Ale łupy i *bogactwa*, nagromadzone w *przedgrodziu*, olśniły żołnierzy i los uratował gród od Polaków. Wojsko rzuciło się do grabieży, przedgrodzia i przez ten czas, kiedy było zajęte imaniem niewolnika i grabieżą *bogactw morskich*, mieszkańcy, mimo że wódz ich uciekł drugą bramą zaraz na pierwszą wieść o pojawieniu się nieprzyjaciela, mieli czas przygotować się do obrony. Gród pozostał nietkniętym, złupionem i spalonem zostało tylko przedgrodzie“ [1].

Dalej na wschód nie znajdujemy już miast handlowych, jeno grody obronne (jak Międzyrzec, Wełyń, (Filchne) Czarnków, Uście, Nakło, Pyrica, Starogród i t. d.), oprócz jednego u ujścia Wisły, Gdańska, poczynającego być znanym dopiero od X. wieku. Natomiast na zachód od Wolina i Szczecina stały na pół miasta na pół grody, bądź to trudniące się samodzielnie handlem, jak np. *Wolgoszcz* w północnym skrawku Lutyków pomorskich, naprzeciw wyspy Uznoim, nad zatoką sformowaną ujściem Piany do morza (podług żywotopisarzy biskupa bamberskiego, słynne, jako bogate handlowe miasto) [2], bądź stojąc punktami obronnemi, służyły jako etapy i składy handlowe. Do takich należał *Uznoim* na wyspie tegoż imienia, *Gostków* nad rzeką Pianą i przedewszystkiem *Dymin* u wierzchowin tejże rzeki na pograniczu Dolenczan i Lutyków pomorskich.

Wspomnione u Marcina Galla przedgrodzia stanowiły właściwość miast pomorskich. Wówczas gdy nad Łabą istniały tylko grody z napływowym żywiołem żupy, i w rzadkich tylko razach tu lub owdzie zaludnione były stałymi mieszkańcami, którzy się kupili w wioskach budowanych przy grodach, tu na Pomorzu ludność zamieszkiwała bardziej stale po miastach, które się składały z zamku

[1] Martini Galli Chron. II, 28 (Mon. I.)
[2] Herb. II, 39; III, 5, 6; Ebo III, 7, 8, 17.

właściwego, miasta i przedmieścia, czyli z grodu, przedgrodzia i przygrodzia. Te to przedgrodzia czyli właściwe miasta w pojęciu zbliżonem do dzisiejszego, były ogniskami handlu nawet wówczas gdy zamek lub gród zajmował ważną pozycyę strategiczną, i służył miejscem obronnem dla całego kraju, a więc narażonem na ewentualności wojny, jak to właśnie miało miejsce z Arkoną na wyspie Ranie. Gród ten poświęcony najwyższej czci Swantewita, miał znakomitą świątynię jego na nieprzystępnej nadmorskiej skale, obwarowanej nadto sztuczną warownią, służącą za twierdzę obronną przeciw nieprzyjacielowi. W pewnej jednak odległości od niej znajdowała się osada handlowa [1], przeznaczona dla handlu, dokąd przybywali kupcy krajowi i cudzoziemscy, znajdujący schronienie w murach samej Arkony w razie napadu nieprzyjaciela [2]. W zwykłych czasach, a zwłaszcza w miesiącu październiku, odbywał się tu obfity połów śledzi, i Ranowie, w niczem nie tamując swobody handlu, pozwalali każdemu trudnić się tym zyskownym artykułem handlowym. Jakoż corocznie spotkać tu można było rybaków i kupców cudzoziemskich ze wszystkich okolicznych krajów [3]. Ta to wolność handlu wiążąc się ściśle z jednej strony z tolerancyą religijną (wspomnijmy o tem, co mówi Saxo Gram. o Wolinie) a z drugiej z wrodzoną charakterowi słowiańskiemu gościnnością, odpowiadała w zupełności warunkom zewnętrznego bytu społeczeństwa zachodniolechickiego w ogóle, a pomorskiego w szczególności, i była poniekąd następstwem tego ziemiańskiego na wskróś bytu, objawem jego zewnętrznym. Mamy tu na myśli istniejącą tam wolność zarobkowania i brak kast społecznych, tudzież wszelkich ograniczeń cechowych; przez charakter bowiem ziemiański owego społeczeństwa nie chcemy tu rozumieć w znaczeniu wyłączności zajęć właściwych ziemianinowi, owszem, wręcz przeciwnie: ludność pomorska, w ogóle biorąc, była przeważnie, a nadbrzeżna wyłącznie nawet kupiecką; mimo to nie tworzyła ona odrębnego stanu miejskiego; grody i miasta Zachodniej Lechii były tylko organami ziem i żup i wraz z resztą ludności ulegały jednemu wspólnemu prawu ziemskiemu, nie znając

[1] P. Krytlinga Saga 120 i Fabricyusza: Urkunden zur Geschichte des Fürstenthums Rügen unter den eingeborenen Fürsten I, 79.

[2] Sax. Gram. 838.

[3] Helm. Chr. Slav. II, 12.

ograniczeń ani przywilejów miejskich. Pierwotne bowiem społeczeństwo słowiańskie obce było temu rozdwojeniu stanów i praw na grodzkie i ziemskie, które wniosły z sobą ludy romano-germańskie, jako reakcyę przeciw wyłączności kastowej rodów. Różnica między grodem nadłabskim a pomorskim zachodziła ta, że w pierwszym prawie nie było stałej ludności, gdy w drugim takowa przeważną stanowiła liczbę, ale i w nim stały mieszkaniec zażywał jednakich praw i obowiązków z wieśniakiem, który wśród ścian miejskich zjawił się czasowo dla targu lub narad publicznych. Zapewne, że w skutek istnienia stałej w miastach ludności, poczęła prawdopodobnie wyrabiać się oddzielna fizyognomia takowej, ale tak niewyraźna, że jej nawet dostrzedz nie można, a chyba tylko godzi się istnienie jej przypuszczać z samej natury rzeczy; nie odbiła się bowiem ani w prawach, ani w zwyczajach. I na tem też stanęło to społeczeństwo.

Wyraźnej odmiany już dlatego być nie mogło, że ludność wiejska miała zupełnie wolny przystęp do osiedlania się w miastach i nawzajem miejska do wynoszenia się na wieś. Niekrępowana ani ograniczana niczem w wolności oddania się zajęciu które uważała za najkorzystniejsze, — cóż dziwnego, że się masami rzuciła ku handlowi, mając przed sobą otwarte morze i tyle dogodnych portów, a u siebie kraj bogaty i obfity w różne artykuły wartości wymiennej. To też widzieliśmy jak cała ludność korzystała z pory dogodnej i zostawiając miasto puste, szła do obcych krajów handlować.

By jednak dostatecznie użytkować z takowej korzyści, należało mieć zabezpieczenie onej i ułatwienie samego handlu. Gdzieindziej zabezpieczenie dawała silna władza centralna, użyczając opieki i ochrony obywatelom. Pomorzanie jednak podobni w tem do związku Lutyckiego, że jak on mieli wysoko rozwiniętą decentralizacyę i samodzielność żup, różnili się od związku Obotryckiego ograniczeniem władzy książęcej, która o wiele słabszą była u nich niż u Obotrytów. Niedogodność ta jednak była zastąpiona u nich większą niż u Lutyków, jak się zdaje, łącznością i solidarnością między żupami, tudzież tem poczuciem potrzeby jedności i wspólnego działania, która dziś się zowie federalizmem. Prawdopodobieństwa takiego dowód widzieliśmy w stosunku między Wolinem

a Szczecinem przy sposobności podjętej kwestyi religijno-politycznej. Że tak również być musiało i w sprawach ekonomicznych, mamy prawo wnioskować z budowanych mostów lub utorowanych a podtrzymywanych gościńców publicznych, może niezbyt wybrednych, jak na nasze czasy, ale jak na inne wygodnych do tyla, że się po nich poruszać mogła znaczniejsza liczba ludzi [1]. Zwracał np. uwagę prowadzący do Dymina [2] gościniec publiczny, który przechodząc przez parę żup i łącząc nawet kraje dwóch ludów, musiał być wspólnemi siłami lub za wspólnem porozumieniem się utrzymywany. Wytknięty on był wzdłuż rzeki Piany aż do jej ujścia, łącząc Dymin, Gostków i brzeg morski naprzeciw grodu Uznoimu; musiał więc przechodzić przez żupy Łosice, Gostków i Szczytno z lewej strony Piany, a Dymin i Grozwin (późniejszy Anklam) z prawej.

O wiele więcej musiały być rozwinięte środki komunikacyjne wodne, a zwłaszcza morskie. Zachodni Lechici słynęli z umiejętności budowania statków, i pierwsze większe okręty, mogące pomieścić konie, były przez nich budowane. Jak słusznie twierdzi Hilferding, Danowie usiłowali nadać odpowiedniejsze urządzenie i większe rozmiary swym statkom dopiero w 1136 r., pomieszczając na każdym z nich po cztery konie [3], gdy o flotylli Ranów, która transportowała kawaleryę podaje kronikarz wzmiankę o ćwierć wieku wcześniej [4]. Oczywiście, statki te w porównaniu z dzisiejszemi, wydają się zbyt małemi w rozmiarach swoich, ale za to liczba ich w danej akcyi była niepospolitą. W wyprawach swoich przeciw Ranom, Danowie wystawiali po parę set i więcej takich statków; tak np. w wyprawie 1159 r. użyto 260 okrętów wojennych, a w 1168 r. 400 sztuk. Gdy w zwykłym czasie liczba ich okrętów wojennych dochodziła 800 [5], a może i do tysiąca, to u Zachodnich Lechitów, którzy im nie ustępowali ani w liczbie, ani w sile, ilość ta musiała być co najmniej w czwórnasób większą; zważywszy na to, iż pięć

---

[1] A. Kotlarewski: Книга о древностяхъ и исторіи поморскихъ Словянъ въ XII. вѣкѣ. Прага 1874.

[2] Hilferding: Ист. П. Словянъ, str. 61.

[3] Sax. 661.

[4] Helm. I, 36.

[5] Lebiediew. Послѣдняя борьба балтійскихъ Словянъ. Москва 1876. (str. 253).

ludów lechickich (Wagrowie, Obotryci, Lutycy, Ranowie i Pomorzanie) miało w swem władaniu wybrzeża morskie, a każdy z nich z osobna nietylko stawiał czoło potędze Danów, ale i bywał jej często groźnym. Gdy dalej ilość statków kupieckich nie mogła być mniejszą od wojennych, a nawet, uwzględniając że jedne i drugie często służyły wspólnemu celowi, przypuścić śmiało możemy, że ilość ludzi jednorazowo wypływających z portów Zachodniej Lechii na morze w sprawach handlowych, nie mogła być mniejszą od 10.000. Cyfra ta nawet przy dzisiejszych stosunkach byłaby wcale poważną, a wzięta pod rozwagę w owe czasy, jak wiele świadczy na korzyść ruchliwości kupieckiej tych ludów, jak musiały być one przedsiębiorczemi, jak ożywionym ich handel. (C. d. n.)

Jan Grzegorzewski.

REFORMA KONSERWATORSTWA ZABYTKÓW SZTUKI.

W obec zamierzonej przez rząd reformy urzędów konserwatorskich w Galicyi, uważamy za potrzebę wyjść z tajemniczego milczenia, które całą tę sprawę otacza i zbadać ją ze wszech stron na tle szerszem, ogólno-europejskiem. A warto, bo sprawa zachowania zabytków archeologicznych nie jest bynajmniej uboczną troską społeczeństwa, bagatelą podniesioną przez kilku zapaleńców do zbytecznego znaczenia.

Wielkim skarbem narodowym są zabytki przeszłości: stanowią one jakoby dyplomy szlachectwa, dokumenty arystokracyi duchowej, która jest podstawą stopniowania w hierarchii narodów i państw. Ale obok tego znaczenia, które może się w naszym wieku wydawać marną błyskotką dla zaspokojenia miłości własnej, mają one doniosłe praktyczne znaczenie. Tylko na przeszłości oprzeć można silne podwaliny zdrowego i normalnego rozwoju. Na świeżem nasypisku trwałego gmachu nie zbudujesz; ale na gruncie ubitym ciężkiemi stopami wieków, na skale urosłej z cienkich warstw składanych przez lat tysiące, możesz śmiało wznieść wysoką wieżę, a dobry budowniczy nie na powierzchni, ale głęboko w ziemi osadza fundamenta. Tradycya wytwarza tę właściwą atmosferę, w której dojrzewają normalne owoce pracy narodowej, co będą zdrowym pokarmem teraźniejszości, zdrowe też dadzą nasienie dla przyszłości.

Ale pomiędzy zabytkami przekazanymi w spuściźnie po dawnych wiekach i pokoleniach, najwymowniejszymi świadkami przeszłości są zabytki sztuki. W nich wciela i uosabia się obraz duchowego stanu epoki, z której pochodzą, są to portrety, których

żadne opisy ani analizy zastąpić nie zdołają. Są to lepsze od dyplomatów i kronik źródła do dziejów kultury, bo na tych dokumentach żywemi głoskami zapisało się co społeczeństwo wydało najświetniejszego; zdolności i siły będące jego kwiatem i chlubą po wszystkie wieki wycisnęły tu własne ślady swoje, skrystalizowały ducha swego czasu, utrwaliły rysy fizyognomii narodu poezyą opromienione, lecz nie tendencyjnie ubarwione. A wśród nich pierwsze podobno miejsce należy się zabytkom architektury, zarówno dlatego, że zadanie to swoje wszechstronniej od dzieł innych sztuk spełniają, jak i dlatego, że wpływ ich jest najbardziej bezpośredni i najrozleglejszy. Cóż bowiem może do umysłu mas ludu przemawiać wymowniej, prościej a silniej, jak piękny gmach kościelny, jak stare mury i stare głazy, około których razem z bluszczem oplata się tradycya dawnych dziejów i starej cywilizacyi?

Zniszczyć lub pozwolić aby zniszczały zabytki artystyczne przeszłości, jest to odebrać miastu lub krajowi kapitał zebrany pracą pokoleń i wieków, popchnąć społeczeństwo o wielki krok w tył, ku barbarzyństwu i ciemnocie, choćby im nie odejmować całego nowożytnego przemysłu i postępu. Jest to w najlepszym razie demokratyzować, amerykanizować naród. Ztąd instynkt niszczenia tych zabytków budzący się we wszystkich wojnach i przewrotach społecznych, czy one zowią się wędrówkami narodów, czy reformacyą, rewolucyą 1789 r., komuną lub nihilizmem.

Ale ztąd także poszanowanie, jakie ludzie wykształceni okazują dla zabytków sztuki przeszłości, a okazują uczeni w stopniu nieraz wyższym od samych artystów, którzy mogliby wydawać się bardziej do tego powołani, ale zwykle są niestety albo mało wykształceni, albo wykształceni bardzo jednostronnie. Ztąd nauka archeologii, będąca kwiatem wysokiej i wykwintnej tylko oświaty. Ztąd wreszcie opieka prawna, którą społeczeństwa i państwa mające pretensyę do cywilizacyi otaczają takie zabytki. O bo i liczne nader grożą im niebezpieczeństwa.

I.

Przypatrzmy się głównym nieprzyjaciołom.

Pierwszym jest tak zwany „ząb czasu“. Staruszek czas mimo wieku swego i mimo że, jak mówią, posiada jeden tylko ząb, cieszy

się apetytem nielada. Gryzie powoli, ale dokładnie, a trawi wszystko. Nic mu się nie oprze. Granit zetrze i spiż zliże. Niezliczonych ma sprzymierzeńców na lądzie, w wodzie i w powietrzu. Potężne gmachy rozsadza robak ziemny przeżuwający piasek, lub wątła roślina zapuszczająca korzenie w szczeliny i fugi. Wapień i marmury rozpadają się gdy mróz zetnie wodę, którą przesiąkły, piaskowiec wietrzeje na powietrzu, kruszce łączą się z tlenem powietrza i siarką unoszącą się w atmosferze miast, kwas węglowy rozkłada wszystkie prawie minerały, kurz i piasek ulatujący w falach wiatru szlifuje najtwardsze granity i bazalty. Słowem niema na ziemi materyału bezwzględnie trwałego. Wszystko ulega strasznemu prawu znikomości rzeczy świata tego, wszystko nosi wyryte godło *vanitas vanitatum et omnia vanitas*, wszystko mówi człowiekowi: „pamiętaj, żeś z prochu powstał i w proch się obrócisz".

Ale działanie destrukcyjne czasu jest stosunkowo bardzo wolne. Starzec jest nieubłagany, ale flegmatyk. Gdyby nie groziło nic innego — moglibyśmy być spokojni. Czycha wszakże na dzieła kunsztu ludzkiego wróg daleko niebezpieczniejszy, a tym jest człowiek sam.

Nie będziemy mówić ani o obrazoburcach z fanatyzmu religijnego, ani o dzikich barbarzyńskich plemionach, ani o wandalizmach wojny. To są rzeczy wiadome, nieuniknione, i w końcu nie tak znów częste i zwykłe. Groźniejszym dla płodów sztuki i zabytków starożytności jest człowiek przeciętnie cywilizowany i w czasie pokojowym. A rozróżnić tu trzeba dwie jego odmiany.

Naprzód półwykształcony. Jestto rasa w naszych czasach nader licznie rozrodzona, po całej Europie rozpostarta — bo i wielka część tak zwanej inteligencyi do niej należy. Nieprzyjaciel to straszny, okrutny, tem gorszy, że pobudka jego manii niszczenia jest pozornie najchwalebniejsza: zamiłowanie porządku, czystości, elegancyi. Wymownie rasę tę określa i maluje Helfert w pracy, na którą jeszcze nieraz przyjdzie nam się powołać [1]; nie mogę się oprzeć pokusie przytoczenia w tłumaczeniu całego tego ustępu:

„Przed niejakim czasem obiegła dzienniki wiadomość z Portugalii „donosząca co następuje: chodzą wieści, że w mieście Evora, stolicy

[1] *Staatliche fürsorge für Denkmale der Kunst u. des Alterthums.* (Mittheilungen der k. k. Central-Comission 1876 str. 1 i nast.)

„prowincyi Alemtejo, zniesiono na rozkaz rady miejskiej piękną „rzymską wieżę, tworzącą zakończenie wodociągów Kwinta Serto- „riusa; na miejsce jej mają stanąć jatki kramarskie. Wieża była „zbudowaną z cegły i kamienia, należała do czasów Cezara (około „r. 75 przed Chr.), była doskonale zachowaną, a znawcy starożyt- „tności uważali ją za jedną z najpiękniejszych pozostałości budo- „wnictwa rzymskiego. Otóż nie wiem, czy potwierdziły się „wie- „ści" tej wzmianki; prawdopodobieństwo niestety przemawia za tem. „Chociaż bowiem nie mam zaszczytu znać nikogo z rady gminnej „czy z magistratu miasta Evory osobiście, nie wyrządzę chyba „krzywdy temu znakomitemu gronu, jeżeli oprę się na cechach wła- „ściwych tej species, które, o ile poucza mnie doświadczenie, we „wszystkich strefach są te same. Jest to właściwością p ó ł-w y- „k s z t a ł c e n i a, które przecież w sławetnej kaście małomiesz- „czan tak licznych ma przedstawicieli, zapalać się do wszystkiego „co jest modnem, co wygląda nowo i czysto, co trzyma się kie- „runku prostego. Jak Hogarth falistość przyjął za podstawę swojej „linii piękna, tak praktyczny mieszczanin przepada za strychulcem. „Rzeczoznawca wielką wagę przy przedmiotach sztuki przykłada „do pewnego rodzaju polewy, do „patyny" (aerugo nobilis); u pro- „fana w rzeczach oświaty jedynie tynk ma cenę: oto coś nowego „i ładnego, świeci się i błyszczy! Natomiast wszystko stare jest „brudnem, nieporządnem, niewłaściwem, wstyd przynosi postępowi „czasu, i nie trudno o pozór dostateczny, aby takie graty wyrzucić. „Jeżeli to dom mieszkalny, będzie nieodpowiednim, albo przynosi „za mało; jeżeli mur miejski albo wieża, to grozi zawaleniem, jeżeli „brama miasta, to ruch tak się wzmógł, że koniecznie trzeba ulicę „rozszerzyć. Obcym mi jest tak plan, jak położenie Evory, ale go- „tów byłbym się założyć, że nie dlatego musiała paść wieża Kwinta „Sertoriusa, iżby zdobycz nowożytnych czasów, jatki kramarskie, „na tem jedynie a nie innem miejscu mogły stanąć, lecz przeciwnie: „to a nie inne miejsce obrano na zbudowanie jatek, dlatego właśnie, „aby znaleść jakowy przyzwoity pozór do pozbycia się wieży Kwinta „Sertoriusa. Znawcom portugalskiej mowy i obyczaju zapewne będzie „wiadomo, z jakiemi silnemi wyrazami w takich wypadkach postę- „powy gmin portugalski występuje do walki przeciw szczątkom za- „bytków godnej pamięci przeszłości; we frazeologii naszych krajo-

„wych zapaleńców burzenia, mówi się o „starym gracie“, o „prze-
„raźliwej ruderze“, o „sterczących zwaliskach starych murów“,
„o „bezużytecznej kupie gruzów“, które usunąć należy koniecznie,
„aby zrobić miejsce dla czegoś lepszego, piękniejszego, więcej się
„opłacającego. — Wśród otoczenia czarującej i wzniosłej przyrody,
„wobec istnego skarbca wspaniałych budowli artystycznych, jakoteż
„i klejnocików miluchnej romantyki domu mieszkalnego, wskazał mi
„przed laty jeden z ojców miasta Juvavia, na trzechpiętrowe koszary
„czynszowe, które jako hotel wystawiono obok dworca kolei żela-
„znej, mówiąc: oto pierwszy budynek, z którego Salcburg może być
„dumnym!

„Jeżeli jaka istota słusznie może się żalić, iż jest lepszą od
„swej reputacyi, to zaiste czas. Wziął go już w obronę w znaczeniu
„politycznem przedmarcowy wiedeński śpiewak wolności, Anastazy
„Grün“, który w jednym wierszu porównywa czas do kartki białego
papieru, a ludzi przesuwających się, do pisma na niej. Jak czysty
papier nie może być odpowiedzialnym za gorszące wyrazy, tak
wyrzekając na nasz czas, wyrzekamy właściwie na siebie samych.
„Ale jeszcze niesprawiedliwszymi od płytkich polityków oskarży-
„cielami czasu, są pewnego rodzaju miłośnicy starożytności... Czegóż
„bo oni nie kładą na karb „zębu czasu?“ Zwaliła się gdzie świą-
„tynia — ząb czasu to sprawił! Wstępuje helenofil na akropolis ateń-
„ską i opłakuje upadek i zniszczenie tego cudownego dzieła sztuki —
„to ząb czasu tak mało z niej oszczędził! Napotka członek klubu
„alpejskiego gdzie w górach kupę rumowiska i nieco szczątków
„starego muru — to ząb czasu zniszczył siedzibę rycerską, która
„tu niegdyś dumne i potężne wznosiła czoło!

„Na tym punkcie doszedłem w ostatnich czasach do odrębnego
„zapatrywania. Stałem raz na murach romantycznego królewskiego
„grodu Zwikowa u spływu W o t a w y i M o ł d a w y, i byłem wła-
„śnie, jak to się zdarzać zwykło, pogrążony w smętne rozpamięty-
„wanie spustoszeń, jakie tu zrządził z ą b c z a s u, gdy ocuciła mię
„gadanina czeskiego cicerona, który towarzyszom mojej wędrówki
„opowiadał, jak to przed niedawnemi jeszcze laty daleko więcej
„stało szczątek zamku, ale pan rządca dóbr z miejscowości tej a tej
„stawiał dworski folwark, i wówczas ubyło wiele z tych murów.
„Tak więc naraz zamieniło się w istotę żywą dotykalnemi kształ-

„tami obdarzoną owo mgliste pojęcie, które dotychczas obrzucałem „mojemi archeologicznemi przekleństwy, a ile razy później w po- „dobnem znalazłem się położeniu, wszędzie udawało mi się do tych „samych przychodzić wyników. Jeżeli nie był pan rządca dóbr, to „znalazł się sąsiedni młynarz albo piwowar, lub wieśniacy okoliczni. „Czas potrzebuje zwykle do wszystkiego wiele czasu, tak samo i do „dzieła zniszczenia; gdzie człowiek dobrać się może, tam rzecz idzie „daleko prędzej. Gdyby piramidy nie były tak wysokie, a głazy „z których są złożone, zbyt nieporęczne i wielkie, aby je można „unieść i do pospolitych budynków użyć, zaprawdę nie byłby Bo- „naparte zawołał do żołnierzy: czterdzieści wieków patrzy na was „z tych szczytów! A nawet co się tyczy zniszczenia dokonywanego „ręką ludzką, daleko potężniejszym od wandalizmu wojennego jest „wandalizm pokojowy — czy ten niszczyciel zwolna ale nieustannie „i niezmordowanie skubie pomniki z chciwości, czy w tak zwanym „interesie dobra publicznego według wszelkich przepisów sztuki bu- „rzenia usuwa je z drogi".

Bodaj czy nie jeszcze niebezpieczniejszą jest druga odmiana gatunku tego *homo sapiens:* półznawca. Człowiek półwykształcony niszczy to, co mu jest niedogodnem, lub, co mu się nie podoba, ale tylko to co w drodze swojej napotyka, co mu się niejako przypadkiem nawinie; półznawca wyszukuje namiętnie wszystko, co ma wartość artystyczną, i niszczy je dlatego, że mu się podoba, niszczy naumyślnie. Nie, żeby chciał niszczyć, tylko ze zbytku gorliwości i troskliwości. Półznawcy narzucają się zwykle na doradzców właścicielom i na opiekunów zabytków sztuki, a wtedy biada właścicielom, jeszcze więcej biada zabytkom. Gdyby kamienie pomników mówić umiały, wołałyby: od takich przyjaciół broń nas Boże. Półznawcy żaden zabytek sztuki i przeszłości spokoju nie daje, póki się doń nie weźmie, nie przystroi go, nie wyczyści, nie odskrobie i nie przemaluje. Ząb czasu miejscami nadgryzł starą rzeźbę, półznawca całą odszlifuje i wygładzi, żeby wyglądała jak nowa, bez miłosierdzia zedrze z niej patynę wieków i całą odejmie jej wartość artystyczną, oraz pamiątkową. Stary obraz miejscami nadpsuty wymaga restauracyi — półznawca każe cały przemalować i odświeżyć, cieszy się i chlubi potem swem dziełem zniszczenia, jak gdyby co dobrego dokonał. Liznął trochę zasad rysunku i nauki o stylach, i myśli,

że wszystkie posiadł już rozumy — więc wszędzie rażą go błędy i wykroczenia przeciw regułom. Stare obrazy i rzeźby z epoki gotyckiej i quattrocento — przez znawców cenione jako klejnoty — dla niego są karykaturami, bo przecież po wszystkie wieki ludzie powinni byli jego tylko patrzeć oczyma, a piękno jak prawda jest tylko jedno, więc wszystko, co do jego nie nadaje się szablonu, co nie wchodzi w ciasne tegoż ramy, jest bezwzględnie brzydkiem, powinno być poprawionem. On gotów poprawiać Giotta i Fra Angelica, gotów ołtarz Maryacki w Krakowie wyrzucić, aby go zastąpić bardziej gotyckim. Półznawcy tak ohydnie zgotycyzowali piękną farę warszawską, półznawcy zepsuli starą kaplicę na Wawelu, aby z niej zrobić kaplicę dzisiejszą Wąsowiczów. Jak się zaślepią do jednego stylu, gotowi są dla jego miłości największe popełniać wandalizmy, z kościoła gotyckiego wyrzucą najcenniejsze zabytki renesansu, a z renesansowego wszystko, co jest gotyckie. *Pereat mundus, fiat purificatio.* Nigdybyśmy nie skończyli, chcąc wyliczać ofiary takich puryfikacyj stylowych. Jak demokratyczni rewolucyoniści francuscy ścierpieć nie mogli nawet grobów królewskich w St. Denis — tak puryfikator nie znosi nawet cienia stylu odmiennego, nawet relikwii, która drażni jego nietolerancyą artystyczną. W wiekach, które miały styl swój własny, niszczono zabytki dawniejszych epok, aby zrobić miejsce dla dzieł epoki żyjącej. Dziś wszystkie style zarówno są umarłe, nie posiadamy stylu własnego — nic nie szkodzi, wszak od tego szablon i teorya. Wyrzucimy utwory fantazyi żywej, choćbyśmy mieli zastąpić je teoretycznemi trupami i upiorami. Jak gdyby nie ważniejszemi od jedności stylowej były te warstwy stopniowo złożone przez pokolenia i epoki, te pełne prawdy i wymowy świadki dawnego życia, cieplejsze i barwniejsze w swej starości od zwiędłych sztucznych nowożytnych płodów chłodnej nauki malarza i architekta. Tę manię odnawiania, poprawiania i puryfikowania przyprawiającą nas o utratę wielu cennych pomników, a z pamiątek i dzieł sztuki zdzierającą całą woń dziejową wdzięk autentyczności, wybornie ochrzcił Thausing mianem *phylloxera renovatrix*, będącego odmianą *phylloxera vastatrix*, i dowcipnie ośmieszył w artykule przed paru laty ogłoszonym. Jeszcze to pół biedy, kiedy taki rzekomy znawca zabiera się do restauracyi jedynie z prawdziwego, lubo niemądrego, zamiłowania starożytności: w tych wypadkach, choć

z żalem, ale trzeba przyznać, że poczciwy cel uświęca niewłaściwe środki. Jakżeż często atoli sam nawet cel nie bywa zupełnie czysty. Wiadomo, że im człowiek jest powierzchowniej uczonym, tembardziej bywa zarozumiałym i zuchwałym. Półznawca więc dobiwszy się wpływowego stanowiska, posady kustosza zbiorów, rządcy muzeum lub kościoła, zaczyna rosnąć na sprężynach blagi i samochwalstwa, udaje mu się nieraz i innym oczy zamydlić, aż przekonawszy i siebie i drugich o swem wysokiem znawstwie zapragnie na gruzach przeszłości ugruntować swoją wielkość. Mniejsza o tę lub owę pamiątkę historyczną, lub artystyczny utwór. Jemu chodzi o to, aby pomniki przeszłości posłużyły *ad majorem gloriam* jego samego. Przerabia więc, odnawia, wyrzuca, burzy i przestawia wszystko, byle dla potomności jego imię stało się datą nowej epoki zbioru, gmachu, kościoła. W swojem zarozumieniu kołysze się słodką nadzieją, że późne pokolenia przy każdym przedmiocie, na każdym kroku będą powtarzać: X. to zrobił, X. to odnowił, X. to sprawił, gdy tymczasem te dzieła, z których on chciał zrobić pomniki swojej zasługi i chwały, staną się kiedyś tylko pomnikami jego nieuctwa i wandalizmu, oskarżycielami jego pamięci. Że tacy opiekunowie najcięższą na siebie biorą odpowiedzialność, zbytecznem dowodzić.

II.

Od tych to i takich nieprzyjaciół trzeba bronić zabytki dawnej sztuki.

Nie odrazu ludzie przyszli do zdania sobie z tego sprawy. Starożytni nawet wysoko w oświacie posunięci, tak jak do dziś dnia ludy niezbyt wykształcone, szanowali gmachy publiczne i przedmioty kultu o tyle, o ile im do praktycznych celów potrzebnemi były. O jakiejś idealnej opiece nad dziełami sztuki i pamiątkami dlatego, że szanownym jest wiek ich sam, mowy nie było. Ślad takiej opieki spotykamy dopiero przy końcu cesarstwa rzymskiego; początków opieki istotnej nie szukać nawet w średnich wiekach, ale w czasach renesansu, w Rzymie papieskim XVI. wieku. Wszakże pobudką było tu jeszcze tylko estetyczne zamiłowanie do pomników sztuki klasycznej; prawdziwe uszanowanie dla starych zabytków sztuki jako takich, dla pomników epok minionych bez względu na ich styl

i estetyczne w nich upodobanie lub ich praktyczny użytek, jest zdobyczą naszego dopiero wieku. Rzecz bardzo naturalna.

Wiek dziewiętnasty niema swojego odrębnego stylu w sztuce, (nie mówimy tu oczywiście o muzyce). Jest to poniekąd słaba jego strona. Sowicie wynagradza ją olbrzymia zdobycz, początkami sięgająca wieku ośmnastego, ale w naszych dopiero czasach obchodząca swoje tryumfy: krytycyzm naukowy. Jego to zasługą, że do dziejowych objawów ducha ludzkiego nauczyliśmy się przykładać miarę historyczną, zamiast różnych bezwzględnych punktów widzenia, z których je dotychczas sądzono. Jak geniusz Kopernika wyparł ziemię z centrum świata, i właściwe jej stanowisko naznaczył, tak krytycyzm zepchnął człowieka z piedestału jego zarozumiałości, aby mu otworzyć oczy na względną wartość wielu pojęć i teoryj. Ograniczony rozum ludzki, aby nie popełniać niesprawiedliwości, musi zawsze stawać na poziomie epoki historycznej, którą chce sądzić, uznać względną wartość swoich poglądów. Dziś już nie wolno być jednostronnym i absolutnym. Człowiek prawdziwie wykształcony wie też doskonale, że niema absolutnych przepisów piękna, a reguły te w ciągu czasów rozliczne przechodziły odmiany, że najmniej utrzymywać można, jakoby w tym względzie ludzkość ustawicznie czyniła postęp; a tylko ignorant będzie twierdził, że zawsze epoka ostatnia chronologicznie, więc jego własna epoka, jest najwyższą i wyłączny posiada przywilej na prawdę, dobro i piękno.

Wie on i uznaje, że każda epoka cywilizacyi ma swoje uprawnienie, że w każdej mogły istnieć dzieła piękne, natchnione, wyższe. Zabytki przeszłości a zwłaszcza dawnej sztuki szanuje on jako cenne dokumenta i źródła historyi cywilizacyi i ducha ludzkiego. Człowiek jest sam wytworem historycznym, ztąd nic dlań bardziej interesującego, niż obraz rozwoju stopniowego, dzieje stawania się rzeczy w historyi ludzkości. Ztąd ważność nauk archeologii i historyi sztuki; ztąd potrzeba skrupulatności w zachowywaniu zabytków sztuki i starożytności. Ztąd zasada sumienności w odnawianiu i restaurowaniu takich zabytków. Są to wszystko następstwa i hasła wysokiego stopnia cywilizacyi, ale właśnie dlatego dla człowieka cywilizowanego tak niezmiernie ważne. Im jest większym znawcą, tem lepiej wie, że zuchwalstwem jest przypisywać sobie tak doskonałą znajomość sztuki epok dawniejszych, żeby aż módz odgadywać, jak dzieło

jakieś niegdyś wyglądało, lub orzekać jakiem być powinno i według tego chcieć je odnawiać i uzupełniać. Jest on silnie przejęty przekonaniem, że od piękna samego ważniejszą jest prawda — i dlatego przy restauracyach budynków hasłem powinno być *saxa loquuntur*, a nie jak to często się praktykuje *architecton loquitur*, że profanacyą jest używać starych zabytków a zwłaszcza budynków do eksperymentowania na nich *in anima vili*, bo dawne budynki najlepiej ze wszystkich zabytków uwidoczniają cechę swojej historyi. Warstwy osadu składane w nie przez pokolenia i epoki, to jest też rodzaj pisma, a zacierać je samowolnie, jest to samo, co skrobać stare pergaminy, aby nowe rzeczy pisać, albo przynajmniejby tekst ich na nowy styl i ortografią przerabiać. Znawca wie i pamięta wreszcie, że są dzieła sztuki i zabytki, które mają więcej niż lokalne znaczenie, tak że właściciele nieraz moralnie nie mają prawa samowolnie niemi roporządzać a niszcząc lub przerabiając je, zatracają rzecz niejako nieswoją, własność publiczną miasta, kraju, narodu, w niektórych wypadkach ludzkości.

W następstwie tego wyrobiło się w państwach nowożytnych poczucie potrzeby ograniczenia w niektórych wypadkach bezwzględnej wolności właścicieli czynienia z zabytkami sztuki i starożytności co im się podoba; a prawo państwa jest w tym wypadku zupełnie analogicznem z prawem ograniczenia w niektórych razach własności na rzecz dobra ogółu, z zakazem gwałtownego wycinania lasów, zabijania zwierzyny i łowienia ryb w czasie nieodpowiednim, tępienia kozic tatrzańskich, ptaków śpiewaków i t. d. I oto początek opieki prawnej państwowej nad zabytkami. (Dok. nast.)

St. Tomkowicz.

CELOWOŚĆ W PRZYRODZIE.

Duch ludzki, w obec rozwartej księgi przyrody, zaczyna od podziwu jej piękności. Uczucie to przejawia się w samych nazwach świata — κοσμος, *mundus*, świat — w których zawsze brzmi coś wspólnego z ozdobą i blaskiem. Radość, jaką ta piękność przyrody duchowi przynosi, jest znakiem, że duch w niej coś do siebie podobnego przeczuwa, coś swojego odgaduje — *simile simili gaudet.* I ten promień piękna, wiążący na oko niebo z ziemią, jest pierwszą i najkrótszą drogą, po której dusza płynie do Stwórcy, pierwiej uczuciem niż rozumem.

Poza wzgórzem spływa wzgórze,
Z winnic kapie bluszcz i róże,
Jednym rajem gór podnóże.
W wieczór z rana źwierciadlana,
Fala pije niebios smug,
Na wód dole, na skał czole,
Jedna piękność, jeden Bóg".

Kiedy znów po uczuciu przychodzi rozum, i pierwsze, należne sobie zdobywa miejsce, nie poprzestaje on na podziwianiu piękności inicyałów i miniatur tej księgi przyrody, ale czytać chce same litery. Zdarza się wówczas, że czar tej piękności z oczu niknie — ale niknie tylko pozornie i na chwilę; bo skoro tylko rozum parę tych zgłosek przyrody zbadał i złożył, zaraz wyczytuje w nich słowo — piękność wyższego rzędu: mądrość w nastroju środków do celu, — co dziś nazywają celowością.

Wglądnijmy nieco głębiej w istotę tego pojęcia celowości, bo obecnie najważniejsze zagadnienia nauki około niego się grupują. W niem jest istotnie klucz wszelkiej filozofii natury.

I.

Człowiek w działaniu swojem zamierza w myśli pewne dobro, które celem nazywamy; ku osiągnieniu tego dobra obmyśliwa i podejmuje dzieło, zwane środkiem, a przez nie do celu dochodzi. Dzieło to, w zamiarze celu podjęte, nosi zwykle znamiona mniej lub więcej widoczne swej odnośni do celu: gdy spotykamy domy, mosty, studnie z żurawiami, domyśliwamy się, że to rzeczy umyślnie zrobione dla mieszkania, dla przebywania suchą nogą rzeki, dla czerpania wody. Czasem znajdujemy ustroje, których celu odgadnąć nie możemy, z powodu jednak sztucznego ich układu, znamionującego jakąś myśl, nie wahamy się ich uznać za dzieła celowe.

Otóż i w przyrodzie spotykamy co krok utwory noszące ten sam charakter odpowiedności do celu: domy, mosty, ubrania, szpichlerze, pompy, kanalizacye, uzbrojenia zaczepne i odporne, sprężyny, soczewki optyczne, nawet balony, telegrafy, elektryczne baterye, sieci drutów telegraficznych i t. d. Stąd po wszystkie czasy utrzymywało się przekonanie, że i w naturze, niemniej jak w dziełach ludzkich, panuje celowość: w tych ustrojach naturalnych widziano dowód, że one w zamiarze pewnych celów utworzone zostały. Postęp umiejętności jako taki nie umniejsza tego przekonania, lecz owszem coraz więcej je potęguje i uzasadnia. Celowość przyrody do każdego umysłu trafia; ale im głębiej zapuszcza się rozum z pochodnią umiejętności w tajniki przyrody, tem wyżej piętrzy się w jego oczach, tem szerzej się rozlega ta harmonijna hierarchia celowych nastrojów. Już prostak miarkuje sobie po swojemu, że skrzydło np. jest stosownie do latania przyrządzone — ale uczony badacz przyrody wyliczy tych stosowności krocie: on powie np. że przyrząd do latania musiał być jaknajlżejszy, przy największej szerokości — i to najdoskonalej iści skrzydło przedziwnym systemem piór, tj. cieniutkich a mocnych cylindrów w drobnym stosunkowo członku osadzonych, które jeszcze tem lżejszymi się stają, że wypełnione są powietrzem ogrzanem od ciała ptaka. Powie on dalej, że przyrząd do latania musi mieć jak największą siłę muszkularną, żeby mocą uderzenia nagrodzić mały opór jaki znajduje w powietrzu,

a przytem nie wyczerpywać sił organizmu, który względnie małym być musi, żeby się mógł w przestworzu unosić — i to najdoskonalej iści skrzydło, posiadając ogromny muszkuł, (największy stosunkowo, jaki w królestwie źwierząt zachodzi) a szczepiony najkorzystniej, podług mechaniki dźwigni, w grzebieniu kostnym postawionym na to, tylko u ptaków, na mostku piersiowym. Dalej, powie przyrodnik, trzeba było to skrzydło, mające chmury przebijać, uchronić od zamoknięcia któreby lot uniemożebniło — i na to wydziela ptak niezrównany jakiś pokost, który wszystkie piórka powleka i nieprzemakalnemi czyni. Dalej wyrachuje on, że sam kierunek i kształt ruchu skrzydła, jaki z właściwego osadzenia jego muszkułów wynika, nie jest tak prosty i łatwy, jak zapewnie nieszczęśliwy Daedalus przypuszczał, ale jest właśnie najkorzystniejszy, jaki być może, odnośnie do mechaniki lotu. Wszelako te wszystkie przymioty skrzydła na nicby się nie zdały, powie jeszcze uczony badacz, gdyby cała budowa ptaka nie była do ich funkcyi zastosowaną: trzeba było oszczędzić jak najwięcej ciężaru ciała — i dlatego kości, co zwykle najwięcej w organizmie ważą, u ptaka są puste, o cieńkich ścianach; trzeba było ubrać ptaka w jak najlżejszą, a oraz jak najcieplejszą odzież, bo w wysokiem przestworzu zawsze zimno — oba te warunki iści pierze w sposób niezrównany; trzeba było spotęgować funkcye odżywcze, bo ilość pracy w locie, nierównie większa niż w chodzie i pływaniu, prędzej siły wyczerpuje — i na to są w ptaku odpowiedne przyrządy: krwi obieg prędszy, ciepłota wyższa, podwójne oddychanie, zapasy powietrza w ciele rozłożone. Śmiali podróżnicy ze szczytu Cimborasso, gdzie sami dla rzadkości powietrza ledwo oddychać mogli, ze zdziwieniem widzieli jeszcze nad sobą kondorów, tak wysoko szybujących, że wydawały się im jak czarne punkty w przestrzeni. Stawiali więc sobie pytanie, jakim sposobem te ptaki mogą w tak rozrzedzonej powietrzni swobodnie bujać. Ale natura z góry tę trudność przewidziała. Anatomia przekonała się, że kondor ma pod osadą skrzydeł rodzaj pęcherzów, które przy ruchu skrzydeł jak miechy powietrze pędzą do płuc; a ponieważ kondor, im wyżej się wznosi, tem częściej i mocniej uderzać musi skrzydłem, żeby się w rzadszem utrzymać powietrzu, przez to samo tem obficiej pędzi owymi dodatkowymi miechami powietrze do płuc; a tak ilością chłonionego po-

wietrza proporcyonalnie nagradza jego rzadkość; i tymto sposobem w swym niebotycznym locie ubytku powietrza w piersi nie czuje.

Wyliczyłem niektóre z celowych warunków ustroju lotu — mógłbym ich wyliczyć dużo więcej. Nauka dalej postępując coraz więcej ich zapewne odkryje. Ale to dopiero jedna funkcya jednego z rodzajów — a za nią i w związku z nią, cały świat celowych porządków. Wszystkie nauki przyrodnicze, tem się przeważnie zajmują żeby omówić na co ten, na co ów szczegół w organizmie albo w ekonomii przyrody istnieje, jak tu natura opatrzyła pokarm, tam ochronę ważniejszych organów, tu broń przeciw częstszym wrogom, ówdzie sposoby poznania przedmiotów, to na korzyść jednostki dała, owo dla zachowania gatunku. „Bez celowości funkcyi, mówi Chauf„fard, fizyologii nie ma, albo jest ona nonsensem“ [1]. Wszyscy też uczeni, chcąc nie chcąc, tego języka używają, wciąż na usta i pod pióro cisną im się przyczyny i powody celowe.

Otóż chodzi o to, czy to przypisywanie naturze celów i zamiarów celowych jest istotnie na prawdzie przedmiotowej opartem, czy tylko złudzeniem, jakiemś objektywowaniem — jak od czasów Kanta mówią — naszego subjektywnego sposobu myślenia, jakiemś antropomorfizmem w pojmowaniu przyrody?

Rzecz cała od tego zależy: co jest dla umysłu znamieniem celowości: czy tylko podobieństwo pewnych ustrojów do znajomych nam dzieł człowieka — czy też jakiś głębszy i bezwzględny charakter; albo, co na jedno wychodzi: czy nasze wnioski o celowości przedmiotowej opierają się jedynie na analogii, czy też wychodzą z jakiegoś pewnika logicznego, jakim jest np. zasada przyczynowości?

Możnaby z góry zauważyć, że twory przyrody, acz są często analogiczne z ludzkiemi, częściej jednak mocno się od nich różnią, a wtedy jednak nie mniej celowymi wyglądają. Nieraz nawet pewien ustrój przyrody pouczył dopiero człowieka jak ma swe maszyny budować, żeby podobnego celu dopiąć; człowiek wówczas nie przypisywał naturze swego pomysłu, ale jej pomysł sobie przywłaszczał. — Lecz pomijając te uwagi zastanówmy się wprost nad samym wnioskiem o celowości.

---

[1] La vie. Etudes de biologie générale, par E. Chauffard, profes. à la faculté de Médecine de Paris. Paris 1878.

Dziś z głębokich pokładów naszej planety wykopujemy odłamy krzemienia, w rozmaity sposób otłukiwane, i gromadzimy je w muzeach pod zbiorową nazwą *bełtów*. Nauka uznała w nich bez wahania narzędzia umyślnie zrobione, i dowód stanowczy, że w owych odległych epokach, których te pokłady ślady noszą, istniały tam ludzkie plemiona, które z krzemienia wyrabiały sobie noże, dłuta, groty. — Cóż uprawnia do tego wniosku? Te krzemienie mają może jakieś dalekie podobieństwo do używanych dziś narzędzi ludzkich, ale paleontologowie nie są tak naiwni, żeby nie wiedzieli, iż takie podobieństwo jest bardzo zwodnicze. O wielu nawet niezgrabnie otłuczonych okazach słusznie wątpią czy ich nie przypisać przypadkowi. Ale gdy takich bełtów znajdują większą ilość w jednem miejscu, gdy zwłaszcza mają w ręku okaz dokładnie obrobiony i wyraźnie znamionujący stosowność do jakiejś czynności, wówczas już śmiało pomijając ślepe siły żywiołów, pomijając nierozumne zwierzęta, przypisują je jedynej przyczynie zdolnej tę czynność pojąć i umyślnie dla niej narzędzie wyrobić, tj. człowiekowi.

Analizujmy ten wniosek. — Proszę o chwilę cierpliwej uwagi. — Każde z otłuczeń, schodzących się na kształt najpiękniejszego bełtu, mogło być skutkiem tych sił elementarnych, co skały rozsadzają: czemuż cały bełt nie uważać za przypadkowy skutek tych sił? Że jedno, drugie, trzecie otłuczenie mogło być przypadkowem, na to się każdy zgodzi. Wiadomo przytem każdemu, że nic się nie dzieje bez przyczyny, że więc każde otłuczenie jakąś przyczynę mieć musiało [1]; lecz póki uważamy każde otłuczenie z osobna, nie widzimy konieczności szukania racyi rzeczy po za obrębem przyczynowości sprawczej. Ale, gdy patrzymy na zbiorowy całokształt, widzimy w nim coś, oprócz materyalnego bytu pojedynczych składników — coś jednego, jednością jakąś duchową, co z mnogich a rozmaitych części wynika, i do zrealizowania czego, każda z nich swoim sposobem zmierza i przyczynia się. Otóż i to jedno idealne, musi mieć swą racyę, swój powód bytu, *sa raison suffisante*. Gdzież więc racya tej jedności?

---

[1] A więc przez przypadek nie rozumiemy braku przyczyny sprawczej — której nigdy brakować nie może, — ale rozumiemy: przeciwieństwo tego co się dzieje umyślnie. Przypadek znaczy tyle, co brak zamiaru, brak celowości.

Skoro nie ma jej widocznie po stronie czynników, które uprzedzają tę jedność i zbiegają się do jej składu, szukać jej musimy po drugiej stronie, w tem co z niej wynika, tj. w funkcyi, do której to narzędzie jest przydatne; i tu ją jak na dłoni znajdujemy: funkcya ta przedstawia się tu jako zupełny, a oraz jedyny powód bytu takiego zbiegu i układu tych otłuczeń. Podobnie, uważając te miryady odrębnych i różnorodnych atomów, składających misterny ustrój skrzydła, nie znajdujemy dostatecznej racyi bytu takiego zbiegu szczegółów, jak tylko w tem, do czego wszystko zmierza i w czem się wszystko jednoczy, tj. we funkcyi latania. Jeśli skrzydło uiszczone dla lotu, wszystko się tłumaczy, wszystko ma swą racyę — jeśli nie — ten misterny układ zostaje faktem bez racyi.

Ale latanie jest skutkiem i następstwem skrzydła, jakżeż więc może być oraz jego racyą, powodem, czyli przyczyną? Oczywiście tylko za pośrednictwem przyczyny rozumnej, u której najprzód cel w myśli powstaje i powoduje obmyślenie środków, potem w wykonaniu, odwrotnym porządkiem, powstają wprzódy środki, a przez nie uiszcza się cel. Pojęcie o tej przyczynowości celowej posiada umysł ludzki z własnego sposobu działania; ale powód przypisywania takowej przedmiotom znajduje, jakeśmy widzieli, w samych przedmiotach — i wniosek ten w odpowiednych warunkach jest absolutnie pewny [1].

---

[1] W ogólności mówiąc, wniosek ten jest apodyktyczny i na zasadzie zwanej *rationis sufficientis* oparty. Gdziekolwiek z mnogich i różnorodnych czynników układa się harmonijna jedność — czy to jedność zależąca na symetryi, czy to na stosowności narządów do jednego czynu — ta jedność musi mieć swą racyę, a racya ta musi siedzieć w odpowiednej przyczynie, tj. w przyczynie, któraby taki skutek pewnym sposobem zawierała (podług zasady *effectus praecontinetur in causa)*. Ale taki skutek może być tylko idealnie, i to w przyczynie rozumnej zawarty: gdyż zależy na idealnej jedności stosunków lub odnośni narządów do czynu, co tylko rozumem pojętem być może. Więc gdziekolwiek tego rodzaju jedność zachodzi, tam poza bezpośrednimi czynnikami materyalnymi musi być jakaś przyczyna rozumna, która ten jeden skutek musiała przejrzyć i zamierzyć, i dla niego te wszystkie środki harmonijnie przystosować.

Tak w ogóle. Potrzeba jednak pewnego zastrzeżenia. Nie da się zaprzeczyć, że kilka szczegółów może się zejść przypadkiem w taki sposób, w jaki by je ułożyła przyczyna rozumna, i przedstawiać jakiś pozór celowości. Tak np. w poprzek rowu leżeć może przypadkiem belka, na kształt kładki; mucha atramentem zmoczona i krążąca po papierze, może wykreślić kształt litery C, jakkolwiek wcale się nie uczyła pisać; czasem pewna symetrya czysto przypad-

Tak omówiwszy pojęcie i rzeczowe znamiona celowości — stajemy w obec założenia naszego: czy w przyrodzie panuje istotna celowość? Kwestya rozpada się na dwie części: najprzód: Czy jest w przyrodzie porządek celowy? lub innemi słowy: czy tak wygląda przyroda, jak gdyby była celowo zbudowaną? Po drugie: czy ten porządek dowodzi prawdziwie celowej dążności w naturze? — Istotnie wystarczyłoby samo wykazanie celowego porządku, bo stąd, na podstawie udowodnionej zasady, możemy już o celowej dążności wnioskować. Wszelako tyle dziś namnożono hipotez, ażeby się bądź co bądź z tego wniosku wyłamać, że musimy o nich z osobna pomówić. Ale najprzód, pomijając wszelką polemikę, przypatrzmy się przyrodzie i uważmy, czy jest w niej ten celowy porządek, nastrój odpowiedny środków do celów.

II.

Czy tu mam coś nowego do powiedzenia? — Tak i nie. Celowość przyrody obrobioną została wspaniale, przekonywująco, w pojedynczych szczegółach. Paweł Janet wykazał ją po mistrzowsku

kowa zadziwić może umysł. I w ogólności mówiąc, granica między tem, co może dokazać przypadek, a tem, co wymaga przyczyny rozumnej, nie da się w sposób stanowczy określić. Ale cóż stąd wynika? Nie wiemy dokładnie granicy siły ramienia ludzkiego, a jednak bezwzględnie pewni jesteśmy, że góry nie przeniesie. W niektórych wypadkach, w których układ celowy jest tylko rudymentalny, wolno nam o jego celowości powątpiewać, o ile że nie jest widocznem, czy w danych razach jest prawdziwa myślna jedność, albo tylko jej pozór; ale za to w tysiącznych innych razach ta myślna jedność jest istotnie oczywista, a wówczas równie oczywistem jest wymaganie przyczyny rozumnej i działalności celu. Łatwo przypuścimy, że niezgrabne C mogło być wykreślone przez muchę wędrującą po papierze, ale czyż dlatego wątpić możem, czy Eneida nie jest przypadkiem utworem takiej muchy? Znajdując belkę nakształt kładki rzuconą w poprzek kotliny, nie potrafimy rozeznać, czy to przypadek albo dzieło celowe, ale czyż dlatego przypuścimy możliwość powstania przypadkiem wspaniałego mostu kolejowego?

W końcu więc przychodzimy do tego ogólnego wniosku, że lubo jakiś rudymentalny zbieg kilku szczegółów w jedno, może być dziełem przypadku, to jednak harmonijna jedność wynikająca z mnogich i rozmaitych czynników, stosownie do niej się schodzących jest (na zasadzie *rationis sufficientis*) oczywistym dowodem przyczynowości celowej — tem oczywistszym, im zawikłańsze są warunki tej jedności i liczniejsze a rozmaitsze jej składniki.

w oku[1]. *Civilta* podała znakomite studyum celowe o ręce, Chauffard o rozwoju zarodka życia; Fabre, znakomity entomolog, ogłosił fachowe studya o celowości w instynktach owadów[2]; Hartmann, wielki badacz tej kwestyi, wyświecił doskonale celowość w sile leczniczej natury[3]. Każdy teleolog sypie mnóstwem szczegółów. I słusznie. Niech jeden szczegół, jedna komórka będzie celowo zbudowaną, a już fakt celowości w przyrodzie jest udowodniony. Nikt jednak dotąd, a przynajmniej nikt ze znajomych mi autorów, nie podał celowego zarysu całości przyrody; a przecież w tej całości, w tym planie całokształtu jest najwyższy wyraz celowej mądrości. Spróbuję więc nakreślić taki szkic — szkic, mówię, w głównych konturach węglem zarysowany: bo żeby z tego szkicu zrobić obraz, domalować barwy i jakie takie wykończenie szczegółów, na to nie jednego artykułu, ale tomówby potrzeba.

Rzućmy więc okiem na całość przyrody. Całość ta rozpada się widocznie na trzy główne działy, czyli królestwa: zwierzęce, roślinne i mineralne. Czy celowość daje nam racyę tego pierwszego zarysu natury? Jeśli przyroda jest celowo zbudowana, istoty niższe w ogóle muszą być dla wyższych: a więc królestwo mineralne musi być dla królestw organicznych, a z nich, roślinne dla zwierzęcego; w zwierzęcem zaś najwyższa jego funkcya tj. świadomość, musi być celem, do którego wszystko inne powinno zmierzać. — I w istocie, z tego ostatniego punktu wychodząc, znajdujemy od razu powód bytu trzech królestw.

Aby uiścić w świecie materyalnym czucie i świadomość, trzeba pewnych narzędzi delikatnie i misternie zbudowanych dla odbierania rozmaitych wrażeń od zewnętrznego świata i gromadzenia ich w centrach świadomości, gdyż na tem właśnie czucie polega. A do tego znów potrzeba pewnych sił i narzędzi, któreby materyał czerpały, przyswajały istocie żyjącej i organa czucia kształtowały. Stąd w istotach do świadomości powołanych dwa rodzaje funkcyj: czuciowe, czyli zmysłowe, i organiczne albo wegetacyjne. Ale stąd też wynika potrzeba drugiego rodzaju istot, samą wegetacyą zaję-

[1] Les causes finales, p. Paul Janet de l'Institut. 2. éd. Paris 1882.

[2] J. H. Fabre. Souvenirs entomologiques. Etudes sur l'instinct et les moeurs des insectes. Paris 1879. — Nouveaux souvenirs entomologiques etc. 1882.

[3] Eduard v. Hartmann. Philosophie des Unbewussten. I. Theil VI.

tych, czyli potrzeba królestwa roślinnego, oprócz zwierzęcego. Praca bowiem, jak uważa Hartmann, potrzebna do przerobienia materyi z mineralnej na organiczną, podniesienie jej do stanu, w którym zdolna będzie służyć delikatnym funkcyom świadomości, pochłaniać musi wiele sił żywotnych, i o tyle zmniejszyć zasób energii podmiotu, któraby służyć mogła do rozwoju życia świadomego.

Po drugie, samo czerpanie materyi z świata nieorganicznego żąda w ogóle, żeby istota tej czynności oddana tkwiła w gruncie, i pod nim się rozprzestrzeniała, wyławiając wilgoć: ponieważ substancye mineralne tylko w stanie rozpuszczenia przyswojone być mogą. A znów tkwienie takie w gruncie uniemożebnia wyższy rozwój czucia i świadomości, dla którego potrzeba swobody ruchu i rozmaitości wrażeń. Jakoż zwierzokrzewy w ziemi zakorzenione na najniższym szczeblu świadomości pozostają.

Z tych dwóch więc powodów trzeba było tego podziału pracy organicznej na dwa królestwa, dwie klasy: jedną służebną, przykutą do ziemi i pracującą nad czerpaniem i przetwarzaniem materyi, drugą coby kosztem pierwszej żyjąc, ograniczona na minimum pracy wegetacyjnej, miała przy swobodzie ruchów, jak najwięcej energii żywotnej do rozwoju doskonalszej świadomości. Wreszcie, dla istnienia obu tych królestw niezbędny jest trzeci świat, mineralny, któryby służył jużto za wspólną podstawę, łącznie i podścielisko wszelkiego życia, jużto za nieprzebrany śpichlerz, z któregoby istoty żyjące czerpać mogły treść swego ustroju i tenże napowrót mu oddawać — gdyż na tej wymianie polegać musi, jak później zobaczymy, wszelkie organiczne życie.

Przystąpmy teraz bliżej i przypatrzmy się każdemu z tych trzech królestw po kolei.

Świat nieorganiczny bywa zwykle pominięty, nawet przez najszczerszych celowości obrońców. Hartmann o nim milczy, Claude Bernard, Paweł Janet, Chauffard i inni stanowczo jego celowości przeczą i na tem właśnie główną obu światów różnicę zasadzają, że w organizmach objawia się celowość, a w królestwie mineralnem jej niema. Ale połowę tylko prawdy zrozumieli. Jest celowość wsobna i celowość odnośna *(finalité immanente et finalité relative)*. Jak w pojedyńczym organizmie komórka ma narządy do własnego

odżywiania i mnożenia się, a oraz ma budowę i przymioty stosowne do budowy kości, mięśni albo nerwu, i te części znów celowo ustrojone są do składu organizmu: tak samo w wszechświecie, jednostki żyjące mają celowość wsobną, tj. układ wszystkich części, jak mówi Hippokrates, do życia całości — i mają oraz celowość odnośną, tj. ustrój i przymioty dane dla dobra wyższych istot i dla całej ekonomii świata. Świat mineralny nie posiada tej pierwszej wsobnej celowości, na którą jedynie zwracają uwagę pomienieni badacze; nie widać w nim istoty, coby dla siebie była zbudowaną i dla siebie pracowała; nie znać indywidualności; ale jest widoczna celowość odnośna: ustrój niezliczonych środków dla uiszczenia warunków życia.

Pomijam mechanikę gwiazd, krążących z drużyną swych planet w tej cudownej harmonii, co tak zachwycała i do Boga podnosiła umysły Kepplerów i Newtonów — przechodzę odrazu do ziemi, której celowość jest nam przystępniejsza. Ażeby ta ziemia mogła ugościć życie organiczne, musiała mieć najpierw taką budowę chemiczną i fizyczną, któraby dostarczała życiu odpowiedniego materyału i podawała go w sposób łatwy do ujęcia — musiała mieć także niewyczerpane źródło czynników chemicznych: światła i ciepła, i to w takiej akuratnie odległości, by jedno i drugie zostawało w ogóle w granicach życiu odpowiednich — musiała mieć te warunki światła i ciepła, rozmaicie pod względem czasu i miejsca rozłożone, by życie miało fazy i rozmaitość kształtów, czego potrzebę w swojem miejscu zobaczymy — musiała mieć wreszcie narządy, któreby ciągły na jej powierzchni utrzymywały ruch i cyrkulacyę ciepła, powietrza i wody — słowem, ziemia musiała być organizmem *sui generis*, nie na wewnątrz, jak roślina lub zwierzę, skoro nie ma wsobnego celu ni życia, ale, że tak powiem, organizmem na zewnątrz, kształtującym się dla roślin i zwierząt. I taką jest ziemia w rzeczy samej.

Źródło ciepła i światła ma ona w słońcu; skombinowane jej obroty naokoło osi własnej i słońca, wraz z eliptycznym kształtem jej drogi, tworzą fazy dnia i nocy i pór roku; pochylenie jej osi na ekliptyce łagodzi gorąco na równiku i rozprowadza je szeroko ku biegunom; księżyc wreszcie jest drugim, także potrzebnym motorem atmosfery i morza, sprawia przypływ i odpływ, od którego

zawisło tak dalece zdrowie mórz i lądów nadmorskich. A w tych i niezliczonych innych warunkach astronomicznych niema tak drobnego szczegółu, któryby nie był potrzebny dla umożebnienia życia na ziemi. Jeden tylko ciekawy szczegół przytoczę. Nowsza umiejętność rozróżnia w świetle słonecznem trojakie promienie, które nawet przez pryzmat dają się rozłączyć: mianowicie ogrzewające, świecące i chemiczne, czyli aktywiczne. Roślinom wszystkich tych trzech gatunków promieni potrzeba, ale nie jednocześnie. Do kiełkowania trzeba im głównie promieni świetlnych, które kwas węglany rozkładają i chemicznych, które podniecają inne pierwiastki do związków organicznych. Zaś do owocowania służą przeważnie promienie ogrzewające, a przeszkadzają chemiczne i świetlne, przez to samo że tylko wegetacyę pędzą. Otóż taki jest właśnie stosunek między naturą światła, a biegiem i pochyłością ziemi w ekliptyce, że na wiosnę, kiedy idzie głównie o bujny rozwój wegetacyi, panują promienie chemiczne, w lecie równoważą im ogrzewające i świecące, a ku jesieni te ostatnie i chemiczne maleją, przymnażają się zaś ogrzewające.

Z warunków astronomicznych przychodząc do geograficznych, na pierwszy rzut oka widzimy tylko przypadkowy bezład mórz, lądów i bujającej nad niemi atmosfery powietrznej i wodnej; ale głębiej podglądając naturę, wnet postrzeżem, że w tym pozornym chaosie wszystko trafnie urządzone, wszystko rozumnie pracuje na korzyść życia. Już sam skład ziemi, wody i powietrza jest taki, że im nigdy spocząć nie daje; a przez to samo chroni naszę planetę od zamarcia i strupieszenia, jak strupieszał bezwodny księżyc. Niegdyś, jak mówią, był tu czynny i czwarty tak zwany żywioł, ogień; lecz ten mógł tylko służyć do zbudowania podnóżka życia, samemu zaś życiu byłby zgubny — przeto spełniwszy swe zadanie ukrył się we wnętrznościach ziemi i tylko od czasu do czasu, wyglądając z czeluści wulkanów, przypomina swe istnienie i groźną potęgę. — Słówko o każdej z tych trzech części składowych naszej planety.

Atmosfera z pomiędzy gazów, po największej części szkodliwych życiu, te właśnie dobrała i w tych stosunkach, które najwięcej odpowiadają celowi, tj. życiu. Tlen jest samym żarem życia; azot domięszany łagodzi jego pożerającą siłę; a obojętność wzajemna

tych gazów tworzy z nich łagodną mieszaninę, z której każde żyjątko bez pracy chemicznej bierze co mu trzeba. Ona światła nie pochłania, ale je łagodzi i rozprasza, sprawiając światło-cienie i stopniowe przejście z dnia do nocy; ona też nie pochłania ciepła słonecznego, ale się niem nasyca i ogrzewa życie jednostajniej, milej i zdrowiej. Ona wreszcie jest dziwnie doskonałym przewodem obiegu wody, drugiego walnego środka życia; jak mądra ogrodniczka czerpie przy gorącu słonecznem parę wodną nad morzami, roznosi ją po lądach i skrapia je deszczem i rosą, by grunt dla roślinności użyźnić. I zna w tem miarę; bo skoro się parą nasyci, proces parowania zatrzymuje, i przez to ulotnienie wszystkiej wody jest niemożebne.

Drugi znów żywioł, woda, jedyna ze wszystkich płynów łączy nieprzeliczone warunki na to, żeby być prawdziwie życiodajną: chemiczną obojętność, stałość, bliskość punktów marznięcia i kipienia, przez co, w temperaturze dla organizmów przystępnej, przez wszystkie trzy stany skupienia przechodzi i we wszystkich trzech stanach wysługuje się życiu. Jako płyn, nietylko karmi rośliny i zwierzęta, podając im substancye stałe w stanie rozpuszczonym, ale też sama wchodzi jako główny składnik i czynnik w budowę organizmów; przytem służy im jako schronienie, ochłoda, narzędzie przewodu i t. d. W stanie lotnym wnika przez liście i odżywia roślinność, nawet wtedy, kiedy korzonki w ziemi żadnej nie znajdują wilgoci, łagodzi i równoważy klimaty, bo pochłonąwszy przy parowaniu olbrzymie zapasy ciepła w zwrotnikowej strefie, wiezie go na skrzydłach wiatrów musonów w strefy umiarkowane i polarne, i tam przy skraplaniu się wydaje go w całości. Wreszcie w stanie stałym, jako śnieg, otula ziemię przed mrozem grubym całunem, chroniącym nasionka i larwy od zamarznięcia, a jako lód zamyka powierzchnię rzek, ocalając w ich głębiach roślinne i zwierzęce życie, któreby temperatury zimy nie zniosło. I tu jeden szczegół z fizycznej teleologii wody. Gdyby ten żywioł, najbardziej na powierzchni ziemi rozpowszechniony, w którego łonie większa część fauny i flory przemieszkiwać miała, nie posiadał tego wyjątkowego a dotąd niewyjaśnionego prawa, że jego maximum gęstości nie jest, jak u innych ciał, w punkcie marznięcia, ale przy czterech stopniach ciepła nad tym punktem, co zima wody zamarzałyby do dna i wszelkie życie w nichby ginęło; gdy tymczasem skutkiem tego prawa, przy ozię-

bieniu niżej 4 stopni, woda zimna nie idzie już na dno, ale do góry — na powierzchni ścina się lód, a na dnie, mimo najsroższej zimy, zachowuje się tyle ciepła, ile starczy schronionym tam żyjątkom i zarodkom życia.

Trzecim głównym składnikiem planety jest ziemia, ta macierz życia, *alma tellus*. Ma też ona macierzyńskie piersi dla wszystkiego co żyje. Nie wglądam w jej głębie, gdzie kryje się bogaty szpichlerz poukładanych oddzielnie materyałów, z których na powierzchni tworzy się dobrana mięszanina, istotna papka dla wszystkich żyjących istot. Ale na misterny skład tej papki muszę zwrócić uwagę, choć w jednym najpospolitszym przykładzie: „Bez krzemionki, mówi „Salm Horstmar, owies zostaje karłakiem, gładkim, bladym; bez „wapna umiera już przy drugim liściu; bez potażu albo sody, wy„rasta tylko na trzy cale; bez magnezyi jest słaby i powalony; bez „fosforu kształci się regularnie, ale nie ma owocu; bez żelaza jest „bardzo blady i nieregularny; bez manganezu nie osiąga normalnej „siły i mało wydaje kwiatków". — „Niema w całej chemii, mówi „znów wielki Liebig, objawu, coby mógł tak dalece mądrość ludzką „w osłupienie wprawić, jak skład ornej roli odnośnie do roślinności. „Każdy się może przekonać, że deszczowa woda, filtrując się przez „tę rolę, nie jest w stanie rozpuścić ani odrobiny potażu, amoniaku, „kwasu krzemowego i fosforowego; co więcej, że ziemia ze wszyst „kich substancyj dla roślin pożywnych, jakie zawiera ani cząsteczki „wodzie nie oddaje. Gdy zaś deszcz, lub inna woda zawierająca te „substancye, przychodzi do zetknięcia z rolą orną, ziemia odbiera „je wodzie, inne zaś do życia roślinnego niepotrzebne we wodzie „zostają" [1].

Takie to cuda celowości kryją się w chemii martwej gleby. Ale i w kształcie napozór chaotycznym jej powierzchni, ileż mądrych urządzeń! Falowanie gór i dolin potrzebne jest do łamania mocy i urozmaicania kierunku wiatru; a pod ich poziomem falować również muszą nieprzemakalne pokłady, by tworzyć podziemne zbiorniki wody, do których gromadzą się resztki deszczów niepochłonięte przez roślinność, ażeby kiedy deszczu nie staje, w kształcie strumyków, potoków i rzek użyźniać doliny. Rozkład także lądów

[1] Liebig. Chemische Briefe. II. str. 238.

i mórz, choć ma swoje sekreta, jednak główną myśl dość wyraźnie objawia. Dla cyrkulacyi wód od równika do biegunów, o której potrzebie ze względu na ciepło zaraz powiem, należało zostawić wolne koryta, niby arterye tego wielkiego organizmu na zewnątrz; a znów groblami trzeba było przecinać drogę fali, która pod wpływem księżyca obiega ziemię w kierunku równika i tworzy obecnie zbawienny przypływ i odpływ, bez tych przerw zaś rosłaby niezawodnie w wieczystą i niszczącą nawałność. I tak się w istocie lądy ścielą: mniej więcej wzdłuż południków, otwierając morzu drogi od bieguna do bieguna, a przecinając obieg poprzeczny.

Ale to dopiero żyły; trzeba jeszcze serca, tj. sprężyny ruchu i obiegu. Tym jest właśnie słońce, a drugorzędnie księżyc, w składzie z przymiotami powietrzni i wody. Ogrzewanie przez słońce, nierówne z powodu kulistości ziemi, wywołuje w morzu obieg prądów podobny do krążenia płynu w naczyniu, które w jednym przeważnie punkcie ogień rozgrzewa. Obieg ten utrzymuje ruch w morzu, roznosi jego faunę wszystkim wybrzeżom, a zwłaszcza ostudza równik i grzeje najdalsze ku biegunom strefy. Wiedzą o tem najlepiej dzieci szczęśliwego Albionu, których zielona wyspa bez tych ciepłych prądów zwałaby się lodowcem. Takim samym sposobem słońce wzbudza drugi, jeszcze ważniejszy obieg atmosfery, czyli prądy wiatrów. Wiatry te roznoszą, jak już powiedziałem, i wodę i ciepło po całej kuli ziemskiej. Wiatry desinfekcyonują atmosferę, przynosząc nam z miejsc, gdzie bujna wegetacya, powietrze bogate w tlen, a zabierając dla roślin powietrze, które wyziewami kwasu węglowego przesycamy. W zimie, kiedy u nas roślinność drzymie i kwasu węglowego na tlen nie wymienia, groziłaby nam na wolnem polu śmierć od asfikcyi, gdyby wieczne musony nie zasilały nas powietrzem na południu oczyszczonem. Wiatry są też głównym czynnikiem zapłodnienia roślin, roznoszą ich pyłek kwiatowy, sieją w dal nasionka. Któż obliczy ich usługi dla życia? Kiedy nas czasem burza zaskoczy w polu, chłoszcze deszczem w oczy, odzienie targa, grzmotem i błyskawicą przeraża, przychodzi nam może na myśl skarżyć się na bezład natury. Ale przeczekajmy chwilkę. Wnet niebo się odkryje, słonko błyśnie, przyroda odetchnie świeżością i rozpromieni się tym niezrównanym i takim chwilom właściwym uśmiechem; a wówczas pogodniej na rzeczy patrząc zrozumiemy, że ta

groźna walka żywiołów, w której niejedno życie poległo, była jednak potrzebna w ogólnej ekonomii życia, i że wśród tego zgiełku i tych ciemności zaród nowego życia mógł powstać.

Doprawdy ta kula ziemska wygląda jak bełt umyślnie wyciosany. Dosyć się w niej schodzi astronomicznych, geograficznych, fizycznych, chemicznych warunków, do ugoszczenia życia zastosowanych, żeby najupartszego przekonać. Rzuciłem ich pobieżnie kilkadziesiąt; tysiąc innych znamy — z których gdyby jeden brakował, nie możebnem byłoby życie na planecie. Ale ten cudny organizm, to dopiero martwa skorupa, podnóżek życia, cień celowości świata żyjącego, cień tak blady, że teleologowie w tę ostatnią zapatrzeni, przeczą mu wszelkiej myśli, wszelkiego ładu. W świecie roślinnym dopiero objawia się celowość wsobna, indywidualność żyjąca dla siebie, złożona z organów, a raczej budująca dla siebie organa, z których każdy ma osobną funkcyę do celu całości racyonalnie zastosowaną. „Życie, powiedział Claude Bernard, jest ideą kierowniczą", a Chauffard go dopełnia: „Życie jest ideą celową". I w rzeczy samej wychodząc z idei wymiany i organizowania materyi według danego typu, jako istoty życia organicznego i celu rośliny, widzimy, że ta idea kieruje i włada całym rośliny ustrojem, wszystkiemi jej częściami i funkcyami. Do tego celu potrzebuje roślina dwojakich funkcyj: odradzania się i rozradzania: odradzania się ciągłego, bo życie organiczne na tem ciągłem płynieniu zależy *(le torrent vital)*; rozradzania się, bo jednostka jest znikomą, przeznaczoną na ofiarę wyższych szczebli życia, a typ ma trwać wieczyście.

Do odradzania się potrzeba najpierw narządów pochłaniających pokarm z ziemi i z powietrza: na to w ziemi zapuszcza roślina korzonki, zaopatrzone w misterne gąbeczki do ssania soku surowego, w powietrzu zaś rozpościera szeroko listki, którymi oddycha, tj. wydaje tlen, chłonie zaś kwas węglowy, parę wodną, amoniak i t. d. Następnie do rozprowadzenia w organizmie zaczerpniętych soków, potrzeba w nim kanalizacyi i pompy, coby soki temi kanałami pędziła: na to jest w roślinie cały system komórek, cewek, włókien; za pompę tłoczącą służą korzenie, które zapomocą endosmozy w górę pędzą soki, a liście przy szybkiem parowaniu na ich wielkich powierzchniach pomagają podnoszeniu tych soków, nakształt pompy

ssącej. Wreszcie pochłoniętą i rozprowadzoną materyę potrzebuje roślina sobie przywłaszczyć, substancye mineralne przetworzyć w cellulozę, krochmal, gumę, białko; rozdzielić je według wymagań organów; do kwiatów posłać barwniki, krochmal głównie do łodygi, sernik i klej do nasion; budować z nich powłoki cewek, składać ciecze i t. d.: na to posiada roślina jakieś tajne laboratoryum w swoich komórkach, jakąś tajemniczą działalność między jądrem a ścianką komórki, jakieś dziwne ruchy w jej płynach: ale sam proceder tej assymilacyi jest nam dotąd całkiem zasłonięty, tylko doniosłość jej skutków każe nam wnioskować o doskonałości środków.

Również niezbadaną jest tajemnica rozradzania się roślin; jednak widząc kształtujący się z jednej strony pręcik z pyłkiem kwiatowym, z drugiej słupek, otoczony zalążkami przyszłych roślin: — widząc, jak te przyrządy, które czekają dla zetknięcia się przypadkowego na pozór poddmuchu wiatru, albo przelotu owadu, a czasem w odrębnych znajdują się osobnikach, ale zawsze są do wspólnej, a dziwnie płodnej akcyi dostrojone; — widząc dalej, jak dojrzewające nasionko, żywa roślinka w powiciu, opatrzone jest nie tylko w zaczątek organizmu, ale także w nagromadzony zapas doborowego pokarmu, na pierwsze dni osobnego życia, zanim będzie go mogło własnym korzonkiem z ziemi zaczerpnąć; — widząc, jak nasienie już dojrzałe wyrzuconem bywa w dal, by go cień rośliny matki nie przygłuszył, a wyrzuconem za pomocą przedziwnych przyrządów: to istnej sprężyny do nasienia przytwierdzonej, jak u balsaminy i niecierpka, to skrzydełek, jak u klonu i wiązu, to spadochronu tak wybornego, że ziarnko godzinami w powietrzu krąży, zanim ziemi dotknie, jak u mniszka (leontodon toraxacon): — widząc to wszystko, mówię, jakżeż tu nie uchylić czoła przed namacalną, choć zawsze przysłoniętą mądrością.

Jakoż ponad tą celowością wsobną rośliny jest jeszcze jej celowość odnośna do świata zwierzęcego. Tu zwłaszcza nie byłoby końca szczegółów. Ale rzućmy główne zarysy.

Najprzód rośliny są niby korzeniami życia zwierzęcego: czerpią z ziemi fosforan wapna dla kości zwierząt, dla ich krwi wyrabiają białko, wszystkim stopniom i kształtom zwierzęcego życia podają odpowiedni pokarm, wszystkim ich zmysłom dogadzają. Śmiano się kiedyś w świecie uczonym z naiwnego przypuszczenia, że jabłko

jest na to ażeby było zjedzonem. — Jabłko jest przecież dla jabłoni, ażeby zgnoić ziemię koło ziarnka i służyć mu za pierwszy pokarm. — Prawda, że taka jest wsobna jego celowość, lecz ta nie wyklucza celowości odnośnej do wyższych istot: tak jak celowość wnętrzna byle jakiej komórki składowej, nie przeszkadza jej celowej odnośni do całego organizmu. Zresztą miła woń jabłka, nęcąca oko barwa, smak wyśmienity — czy są tak dalece potrzebne do zgnojenia ziemi i czyż same przez się nie wskazują swego przeznaczenia na pokarm ludzi i zwierząt?

Któż nie zauważył czasem psa plądrującego trawniki i wyjadającego łapczywie jakieś zioła. Co psu do ziela? Otóż pies ten jest niezawodnie chory, a instynkt go uczy, że w królestwie roślinnem jest dla niego lekarstwo. Podobne instynkty leczenia się rośli nami spostrzeżono u prawie wszystkich zwierząt z bliska nam znajomych. A w końcu i człowiek rozumem i doświadczeniem doszedł, że świat roślinny posiada środki lecznicze na wszystkie niemal jego i zwierząt niemoce.

Rośliny są jeszcze niezbędne, jak już nadmieniłem, dla oddychania zwierząt. Zwierzęta oddychając, chłoną tlen, wyziewają zaś kwas węglowy: jedno i drugie z powodu procesu palenia, który tworzy w ich muszkułach zapas ich siły. Sam ród ludzki zużywa w ten sposób corocznie 160 miliardów metrów sześciennych tlenu; Zwierzęta nierównie więcej; nie mówiąc już o wszystkich paleniach, butwieniach i fermentacyach, które w podobny sposób powietrze odmieniają. Cała więc atmosfera stałaby się w krótkim czasie nieużytą do oddychania, gdyby nie było narządów odnawiających ją działaniem odwrotnem. Takiemi zaś narządami są właśnie rośliny, które oddychają odwrotnie, chłoną kwas węglowy a tlen wydzielają.

Co tu mówić o mieszkaniach wszelkiego rodzaju, o ochronie przed srogością klimatu i rozmaitych wrogów, jakie świat roślinny ofiaruje zwierzętom. Przenieśmy się myślą w te puszcze zwrotnikowe, gdzie buja dziewicza roślinność w pełni życia i świeżości, gdzie pod strażą olbrzymich palm i bananów, powiązanych lekkich lian splotami, piętrzą i się plączą wszystkie hierarchie drzew, krzewów i traw. Patrzmy, ile tu życia mieszka, jak swawolne małpy huśtają się na roślinnych sznurach, ptaszki świergocą, złote owady migocą w świetle... jak tu rojno i gwarno! A pomyślmy, coby to

było pod tem zabójczem zwrotnikowem słońcem, gdyby tego życia zwierzęcego nie chroniła i otulała roślinność... chyba nagie sterczałyby skały, wśród wydmów spieczonego piasku. I nie idąc tak daleko, naszemu pięknemu krajowi odbierzmy roślinność, a wnet zamilknie i wymrze do szczętu; ani robaczek go nie ożywi, bo i on potrzebuje swego listka, który go karmi i chroni od deszczu i spiekoty. Słowem, świat roślinny tak jest zbudowany, że tworzy: garkuchnią dla pokarmu zwierząt, wentylator dla oczyszczania im powietrza, dom o milionowych izbach i gankach dla ich przytułku i ochrony, nawet aptekę dla leczenia ich chorób: oto w kilku słowach jego celowość odnośna.

Przychodzimy już do szczytu tej mistrzowskiej budowli: do królestwa zwierzęcego. Im wyżej w skale życia, tem celowość widoczniej i wspanialej się odsłania. Wychodząc ze świadomości, jako zenitu i wsobnego celu życia zwierząt, znajdujemy logiczną racyą i potrzebę całej tej hierarchii celowych systemów, którymi w istocie natura to królestwo obdarzyła.

A najprzód bezpośrednio do czucia trzeba delikatnych, misternych narządów, zdolnych do odbierania najrozmaitszych wrażeń od otaczającego świata: głosu, światła, ciepła, różnych fizycznych i chemicznych działań, obchodzących byt organizmu — i przekazywania takowych do tej tajemniczej głębi, gdzie się iści świadomość. Na to są tak zwane organa zmysłów, których budowa jest tak jawnie, tak wspaniale i bogato do ich celów dostrojoną, że służyła zawsze za klasyczny celowości argument.

Jest prawie komunałem o celowości oka mówić; nie oprę się jednak chęci podniesienia w niej jednej strony, na którą może nie zwrócono uwagi: tj. jak syntetycznie natura rozwiązuje problem widzenia. Wystawmy sobie, że jeszcze oka nie ma na świecie; jest tylko zwój mózgowy i nerw, którego wrażliwości na światło nie tłumaczymy ale bierzemy jako daną. W pewnej odległości od tego nerwu jest przedmiot, np. strzała AB. Jeśli ten przedmiot jest oświecony, nerw otrzyma od niego pewne wrażenie światła, ale zupełnie nieokreślone, bo każdy punkt nerwu otrzymuje razem promienie od wszystkich punktów przedmiotu. Ażeby na nerwie wyraził się obraz strzały, trzeba żeby promienie z punktu strzały A pa-

dały wyłącznie na osobny punkt nerwu *a*, promienie zaś z punktu *B* na osobny punkt nerwu *b* i t. d. Jakżeż więc to wyłączenie promieni od różnych części przedmiotu pochodzących i skierowanie ich do osobnych części podmiotu może być uskutecznione? Najprostszy na to sposób jest: postawić przed nerwem wiązkę drobnych rurek o ściankach czarno zabarwionych. W ten sposób, tylko te promienie przez każdą rurkę przejdą do odpowiedniej części nerwu, które wprost w tę rurkę padają, a więc od części przedmiotu wprost przeciwległej pochodzą; reszta zaś promieni, od innych części przedmiotu pochodząca, ukośnie w rurkę wpadnie i na czarnych jej ścianach zgaśnie. Tak powstanie na nerwie niedoskonały ale rzeczywisty obraz przedmiotu. Drugi, nierównie już wyższy sposób dojścia do tego samego celu jest: umieścić przed nerwem jednolite ciało przeźroczyste, załamujące promienie; ale wymyślić trzeba dla tego ciała taki kształt, iżby wszystkie promienie od punktu przedmiotowego *A* pochodzące, a na całe to ciało padające, po załamaniu skupiały się na jeden punkt nerwu *a*, i tak samo promienie od punktu przedmiotowego *B* skupiały się na punkcie nerwu *b*. Takim kształtem, jak wyższa matematyka pokazuje, może być tylko soczewka. — Z tych dwóch sposobów rozwiązania problemu widzenia, *a priori* możliwych, któregoż natura użyła? Użyła obu równocześnie. Na najniższem szczeblu życia, znajdujemy tylko narządy do odczucia światła bez istotnego obrazu; owady posiadają już zwykle oczy, zbudowane na zasadzie rurek wyłączających promienie; tylko zamiast próżnych rurek mają w każdem oczku krocie cylindrów rogowych wzdłuż przezroczystych a z boków czarno zabarwionych, składających tak zwaną rogówkę siatkowatą. W wyższych zaś ustrojach istnieje zawsze w oku soczewka, w odpowiednem od rozwiniętego nerwu czyli siatkówki oddaleniu.

Ale nerw i soczewka, to dopiero zasadnicze części składowe oka, bez nich widzenia niema, ale do dobrego widzenia potrzeba jeszcze mnóstwa innych warunków. Dla uchylenia światła zewsząd wpadającego, trzeba zbudować przed siatkówką ciemnicę optyczną *cameram obscuram*, a z przodu przed soczewką opatrzyć ją przezroczystą szybką. Na to jest gałka oczna z twardówki, zewnątrz biała, wewnątrz czarna, a w niej tkwi, jak szkło zegarkowe, przezroczysta rogówka. Dla otrzymania wyraźnego obrazu od przedmiotu, trzeba ściśle obliczonego stosunku między czterema czynnikami:

odległością soczewki od siatkówki, wypukłością soczewki, stopniem załamywania światła tej ostatniej i takimże stopniem załamywania środowiska, w którem istota żyje, powietrza czy wody. Te wszystkie warunki znajdują się w oku wybornie obliczone: soczewka ma inną wypukłość i inny stopień załamywania światła u źwierząt żyjących na ziemi, inny u wodnych. A że przedmiot widzenia bywa raz dalej raz bliżej, trzeba przyrządu zmieniającego za każdem razem odległość ogniskową w oku — i na to uczepiony jest do soczewki muszkulik, *musculus accomodatitius*, który ściągając się lub zwalniając, nadaje jej mniejszą lub większą wypukłość. Dla regulowania znów ilości wpadającego światła, trzeba umieścić przed soczewką przeponę z otworem, któryby się zmniejszał przy żywszem świetle, rozszerzał przy słabszem — tę funkcyą spełnia, jak wiadomo, barwna tęczówka. Dla ułatwienia stereoskopicznego widzenia czyli intuicyi trzeciego wymiaru przestrzeni, trzeba dwoistości oczu, a znów dla jedności aktu widzenia trzeba tak urządzonej muszkulatury, żeby oba oczy ku jednemu zwracały się przedmiotowi — i na to są w istocie tak pokrzyżowane muszkuły oczne, że oczy nie poruszają się, jak inne w ogóle dwoiste organa, symetrycznie do średnicy ciała, ale zawsze asymetrycznie: oba ku jednej stronie. Do odpowiedniego użytku wzroku, trzeba jeszcze takiego urządzenia oka, żeby umożliwiło skupienie uwagi na jeden przedmiot, który się chce poznać, a zarazem nie pozbawiło potrzebnej czujności nad całem otoczeniem: — otóż takie jest w rzeczy samej urządzenie pola widzenia w oku, że tylko jedno miejsce, na środku tego pola, przedstawia się wyraźnie, reszta w półkolu mglisto — nie dosyć widocznie by rozstrzelić uwagę, ale dosyć by ją zwrócić gdy się coś nadzwyczajnego na uboczu pojawi. Ponieważ dalej powietrznia unosi wiele pyłków, które osiadając na szybie ocznej odbierałyby jej co chwilę niezbędną przejrzystość, potrzeba środka zmywania i przecierania tej szyby: — i na to są tuż przy oku gruczoły łzawe, które wyrabiają ciecz do zwilżenia tej szyby, a nad okiem ruchliwa powieka, która jak gąbka co chwila ją przeciera. Zważywszy delikatność struktury, jaką mieć musi przyrząd widzenia, i ważność jego w obec celu życia, potrzeba go ile możności ochronić i zabezpieczyć: — na to też gałka oczna osadzona jest w głębokim dole kostnym, jak w istnej fortecy, broniona jeszcze ile możności od ude-

rzeń z przodu, wysuniętemi naprzód kościami czoła i górnej szczęki, od prochu spadającego z głowy chroniona brwiami, od słońca i kurzawy osłonięta rzęsami, od wszystkiego wreszcie chroniona powieką, która się w każdym niebezpieczeństwie grożącem oku instynktowo zamyka. I dlatego tak delikatny organ względnie rzadko bywa uszkodzony. Wymieniam tylko z grubsza znajome wszystkim czynniki wzroku; ale jest ich nierównie więcej, i każdy z nich pod mikroskopem odsłania jeszcze całe systemy celowo nastrojonych składników. Taki jest narząd widzenia. Takie są też narządy słuchu, powonienia i innych zmysłów — niepodobna o wszystkich mówić.

Ale te organa czucia logicznie znów wymagają organów lokomocyi: władza poznawcza przedmiotów odległych byłaby nieracyonalną i nieprzydatną bez władzy poruszania się ku nim lub od nich. Do lokomocyi najprostszym środkiem jest kurczenie się i rozszerzanie samego ciała; ale jeśli ruchy mają być prędkie, rozmaite, z lekkością i precyzyą wykonane, potrzeba nadto złożonego systemu słupków, dźwigni i innych twardych części, do których przytwierdzane być muszą ściągacze, podług praw i wymagań mechaniki. Tak właśnie postąpiła natura. Na najniższym szczeblu, mięczakom dała tylko kurczące się mięśnie, wyższe zaś zwierzęta obdarzyła tak mądrze obliczonym systemem kości i mięśni, że po dziś dzień coraz nowe w nim odkrywamy cuda mechaniki i często, gdy nasza mechanika coś nowego w swym zakresie wymyśli, z osłupieniem dowiaduje się od anatomii, że to już odwiecznie w systemie kostnym miało zastosowanie. Niepodobna znowu zapuszczać się w szczegóły, trudno jednak nie oddać mimochodem hołdu podziwu ogólnym cechom tej mechaniki kostnej: jak kształtowi kości rurkowatemu, obliczonemu na moc i lekkość — jak pomysłowi spajania kości w stawach za pomocą próżni, na sposób półkuli magdeburskich, co zostawia członkom największą swobodę ruchu — jak wyborowi punktów uczepienia muszkułów na kościach, raz poświęcającemu siłę na korzyść chyżości ruchu, drugi raz chyżość na korzyść siły, w każdym przypadku uwzględniającemu niechybnie największą korzyść żyjącego organizmu.

Nie dosyć na tem: musząc już wprowadzić w organizm części twarde dla lokomocyi, natura umyśliła z nich skorzystać dla dru-

giego celu, tj. dla ochrony części miękkich. I tak, wątłe ciałka owadów ubrała całkowicie w rogowe pancerze, do których od środka przytwierdziła ścięgacze. W wyższych tworach przeważył znów wzgląd na główny cel, tj. udoskonalenie czucia, któremuby taki pancerz mocno zawadzał. I dlatego tu części twarde tj. kości kryją się w środku, a czułe mięśnie uczepione są zewnątrz. Wszakże i tu kości służą za ochronę dla części najdelikatniejszych, i to w miarę ich ważności: mózg i mlecz pacierzowy zamknięte są zupełnie w mocnych szkatułach kostnych, organa zmysłów ukryte są ile możności w jamach kostnych, serce i płuca przynajmniej kratą kostną z żeber obstawione.

Lokomocya znów celowo wymaga u zwierząt osobnych narządów do karmienia się, jakich rośliny nie potrzebują. Roślina czerpie wciąż soki korzonkiem, od tego ciągłość jej wegetacyi zawisła; gdy więc chcemy roślinkę przenosić z miejsca na miejsce, cóż robimy? Umieszczamy ją, wraz z ziemią z której żyje, w przenośnej doniczce. Otóż taką doniczką przenośną są u zwierzęcia jelita, zawierające papkę pożywną, tak zw. mlecz kiszkowy, w której zanurzają się i ssą *chłonice*, korzonki wnętrzne zwierzęcego organizmu. Ale że pokarm zwierzętom właściwy brać się musi, jakeśmy widzieli, z świata organicznego — a więc po wielkiej części w stanie stałym, a częstokroć twardym, potrzeba zwierzętom całego szeregu przyrządów do pochwycenia tego pokarmu i doprowadzenia go mechanicznemi lub chemicznemi środkami aż do tego stanu płynnego, w jakim przez chłonice wsysany i assymilowany być może. Do tego systemu należą najprzód usta, które zapomocą zębów i języka z grubsza pokarm umielą, dalej żołądek który go do reszty mechanicznie rozrabia, tudzież przyrządy wyrabiające ślinę, sok gastryczny, żółć i inne płyny, które chemicznie tę papkę przyprawiają. Wtedy dopiero zaczyna się absorbcya do roślinnej podobna. Lecz i ta absorbcya wymaga u zwierząt osobnej ekonomii; u roślin wystarcza powolne sączenie się soków zapomocą endosmozy i włoskowatości; u istot zaś ruchliwych i zużywających wciąż ruchem i czuciem swą energię żywotną, trzeba te straty wciąż nagradzać ciągłem a prędkiem nadsyłaniem życiodajnego soku aż do kończyn organizmu. Na to mają zwierzęta system żył i tętnic po całem ciele rozgałęziony, a wśród piersi serce, formalną pompę tłoczącą o podwójnym

tłoku i o czterech klapach, która silnym a chyżym ruchem pędzi krew po wszystkich zakrętach tej cudownej kanalizacyi, niosąc wszędzie świeży zasób życia i siły. I tu znowu, prócz celowości całego systemu, ileż szczegółowych piękności! np. te pochwy w tętnicach, obliczone na przypadek cofnięcia się krwi, a w takim razie zamykające tętnice, jak klapy w pompie, i zapobiegające zalaniu serca — albo te włoski instynktowo falujące, jak zboże pod wiatru podmuchem i pomagające obiegowi krwi w tętnicach — albo też sama budowa tej krwi: w galkach czerwonych, te jądra jak gąbki chwytające tlen w płucach i obwożące go po całym ciele; w cieczy, ta dziwna własność krzepnięcia zaraz po wyjściu z żyły (nawet bez zetknięcia z powietrzem), służąca w przypadku zranienia do zasklepienia otworu tymczasowym bandażem, pod którym siła lecznicza natury spiesznie odbuduje przerwaną tkankę.

Dalej przywłaszczanie pokarmów pociaga za sobą wymianę gazów z atmoferą. U roślin ta wymiana dzieje się na powierzchni i na to liście rozmnażają tę powierzchnię niesłychanie. Zwierzę przeciwnie, jako ruchliwe, musi być w sobie skupione; jako czułe, musi się często włosem, piórem, łuskami pokrywać; a jednak, z powodu aktywniejszego życia musi nierównie więcej oddychać. Trzeba mu więc wnętrznego przyrządu, któryby w małem miejscu przedstawiał od wnętrza jak największą powierzchnię dla zetknięcia powietrza z krwią; trzeba nadto drugiej pompy, albo raczej miecha, któryby wciąż nowe powietrze w ten przyrząd wciągał a zużyte wypędzał. Taką maszyną są płuca, rozgałęziające się misternie w krocie pęcherzyków, oplecione siatką żyłek i przytwierdzone do klatki piersiowej, która niemi zupełnie jak miechem robi.

W końcu dla połączenia tych pięciu systemów pod centralną władzę świadomości, trzeba szóstego systemu stacyj i drutów telegraficznych, coby ze wszech stron przynosiły wiadomości i zanosiły rozkazy. Takim jest system nerwowy, w którego centrach mieszka tajemnicą osłonięta świadomość; z centrów zaś rozchodzą się milionowe niteczki: jedne przynoszą wrażenia, drugie niosą ruch, jedne podlegają woli, drugie są od niej niezależne — w miarę jak tego wymaga dobrze zrozumiany interes organizmu.

Oto w kilku słowach celowa racya sześciu systemów, składających zwierzęcy organizm; z pojęcia życia świadomego, jako celu,

wszystkie racyonalnie się wywodzą. Należy tu jeszcze siódmy system, odnoszący się, już nie do korzyści jednostki, ale do bytu gatunku, a obejmujący środki rodzenia, karmienia, ochrony i wychowania podobnego sobie potomstwa. Należałoby jeszcze omówić, jak każdy z tych systemów, jest znów osobnym światem celowości, gdzie narządy, środki ułatwienia i bezpieczeństwa mnożą się i urozmaicają bez końca. Należałoby dodać mniej istotne systemy, jak narząd limfatyczny, tudzież organa głosu, ubrania, walki zaczepnej i obronnej. Należałoby w końcu odsłonić najobszerniejsze i najpiękniejsze pole celowości, które z żalem pomijam, tj. rzecz o przedziwnych instynktach zwierzęcych...

Ale już dosyć tego ogólnego poglądu: główna myśl celowa dwóch królestw żyjących wskazana — związek celowy ich głównych organów wyjaśniony. Lecz na cóż znowu to niezliczone mnóstwo rodzajów, gatunków, które przepełniają lądy, morze i powietrze — aż brak miejsca i żywności zmusza ich do wiekuistej walki o byt? Na cóż te gatunki szkodliwe, te pasożyty cudzym kosztem żyjące, na co wilki, karakony, filoxera i t. d.?

Trojaki, w ogóle mówiąc, powód wymaga takiej rozmaitości typów i gatunków. Najprzód powód genetyczny: żeby mogły się pojawić wyższe typy życia, musiały je uprzedzić niższe. Mówiłem już że dla zwierząt musi miejsce przygotować roślinność, a i między roślinami wielka część nie urośnie bez próchnicy, tj. gleby już w organiczne szczątki bogatej. Więc najprzód wstąpić musiały na arenę rośliny najmniej wymagające, jak mchy, wątrobowce, porosty, by z własnych szczątków złożyć torfy i próchnice, pod stopy wyższych gatunków. Rośliny mogące znieść upały i gwałtowne wiatry, jak starożytne pierwolesia paproci i skrzypów, uprzedzić musiały rośliny wymagające nieco cienia i zaciszy; dziś jeszcze teorya płodozmianu naucza nas jak poprzedzająca na pewnej glebie wegetacya korzystnie lub szkodliwie wpływa na następną.

Powtóre nietylko w genetycznym rozwoju, lecz i w obecnej równowadze ekonomii natury, każdy gatunek ma swe pożyteczne, czasem niezbędnie potrzebne miejsce. Służy roślina roślinie: patrzmy na lesiste wzgórze, jak tam mchy tuląc się pod cień jodeł zawdzięczają im swój bujny rozwój, lecz oraz drzewa zawdzięczają mchom, że

wilgoć w roli utrzymują. Niech kto wytnie drzewa a nietylko mech zginie, ale cała okolica postać zmieni: deszcz będzie rzadszy, a kiedy spadnie, to woda stoczy się nawałnie po nagim i poszarpanym grzbiecie wzgórza i zamiast życia, roznieci spustoszenie; strumień, który zpod wzgórza wypływał i dolinę użyźniał, wyschnie, bo już nic jego źródła nie zasila — wszystko posmutnieje. Oto jak ten las całą okolicę ożywiał. Służy też roślina zwierzęciu i to tak, że każdy niemal gatunek rośliny jest na usługi jakiegoś osobnego gatunku zwierzęcia, które mu wszystkich potrzeb dostarcza. Gąsienica jedwabnika np. żyje tylko z liści morwy, a koszenilla tylko na pewnym kaktusie; gdyby więc nie było tego kaktusu i morwy, nie mielibyśmy jedwabiu ani karminu. Krzywodzioba nie było w Anglii, póki tam nie zasadzono świerków, a mądry wróbel dopiero wówczas poszedł na Sybir, kiedy tam na większe rozmiary zaprowadzano rolnictwo. Służy wreszcie zwierzę zwierzęciu: nie tylko jako ogniwo w tym łańcuchu jedzących i jedzonych, ale też szeregiem innych posług, które i w najmniejszych zakątkach natury spostrzegamy. Jak hyena oczyszcza lasy z trupów zwierzęcych, tak w krainie owadów grabarze każdą padlinę skrzętnie grzebią, i jak nam krowy i kozy, tak pewne mszyce służą mrówkom za dojne bydełko. Służą też pojedyńcze gatunki celowi przyrody trzymaniem w równowadze rozwoju żywotnego innych gatunków. Jak w martwej przyrodzie siły przeciwne się ważą: spójność z prężnością, siła odśrodkowa z ciążeniem; a gdy jednej ujmiesz, druga zrywa równowagę i nieraz przerażające sprawia spustoszenia: tak samo i w świecie żyjącym się dzieje. Anglicy przed pół wiekiem, obliczywszy ile im zboża wróble corocznie zjadają, myśleli zrobić spekulacyę tępiąc je do szczętu; ale wnet tak się rozmnożyło robactwo polne, że zniszczeniem groziło gospodarstwu, i potem za pieniądze z kontynentu wróble sprowadzano. Do niedawna tępiono krety w ogrodzie; dziś lepiej rzecz zbadawszy, sprowadzają je umyślnie ogrodnicy. Filoxera od kilku lat niszczy winnice w południowej Francyi; próbowano przeciw niej kroci chemicznych i fizycznych środków; rząd wysokie za wynalezienie skutecznego środka ofiarował sumy; ale darmo. W końcu Pasteur, Coutance i inni przyrodnicy najrozumniej zauważyli że jedyny na to środek byłby życie przeciwstawić życiu: filoxera musi mieć w swym rodzinnym kraju naturalnego przeciwnika, który

jej mnożenie się trzyma tam w granicach; przeniesiona przez niebaczność ludzi do Europy nie znalazła tu właściwej zapory, i ztąd ta straszna plaga, której wtedy dopiero skutecznie się zapobieży, kiedy się tego wroga filoxery odkryje i we Francyi zaprowadzi. Tak królik zawieziony do Australii, gdzie nie znajduje tej fauny, która go u nas w granicach trzyma i pożytecznym czyni, tam staje się już groźną plagą, której opanować nie umieją.

A zauważyć trzeba, że gdy jeden gatunek walczy w ten sposób z drugim, trzymając go w granicach, przez to samo służy drugiemu gatunkowi, a może i dziesiątemu, któremu tamten jest wrogiem. Obwiniamy kota o okrucieństwo, kiedy wyjada wróble, ale kot przez to broni od zagłady owada zwanego barylkarzem *(mikrogaster)*, prześladowanego przez wróbla, a że znów barylkarz trzyma w ryzie pierydy, które jedzą kapustę, więc kot dusząc wróbla, służy kapuście, i zgon każdego kota, mówi dowcipnie Coutance[1], okrywa żałobą kapuściany naród. Tak to powiązane są gatunki łańcuchem wzajemnych usług.

Trzeci wreszcie cel, który nam tę mnogość gatunków tłumaczy, jest ten, że natura chciała wypełnić ile możności tętnem życia całą tę kulę ziemską, którą dla życia ukształtowała. Chcąc życia, chciała go jak najobficiej. Dlatego, nietylko „pełne zwierza bory“, ale też w kępie trawy pełno drobnych skarabeów i w kropelce wody roją się niewidzialne wymoczki; dlatego i pod ziemią znajdujemy nory i głębokie chodniki, ślady nurtującego tam życia. A kiedy z Agassizem wdrapiemy się na szczyt nagich lodowców, znajdziemy i tam owadek *Dosoria saltans*, wesoło po lodzie skaczący i kryjący się w jego szczelinach. Jeśli znów z Markhamem wyprawimy się do bieguna, w tej niegościnnej dla życia krainie usłyszymy jeszcze ryk morskiego konia i zdybiemy ślady zbłąkanego, białego niedźwiedzia. Dlatego też i w morzu i w rzekach musiały być odmienne flory i fauny; inne w górnych warstwach, inne w średnich, inne w głębinie, gdzie niektóre pod olbrzymiem brzemieniem 600 atmosfer swobodnie krążą, spożywając szczątki z wyższych warstw spadające; i w najmniejszej sadzawce muszą inne owady pląsać na powierzchni, inne pełzać w mule. Dlatego w powietrzu są kondory

[1] Contance. La lutte pour l'existence.

do latania nad szczytami Kordylierów, i złote muszki do brzęczenia tuż nad kwiatuszkami łąki. Wreszcie, gdy armia dziennych zwierząt spoczywa, wystąpić musi armia innych gatunków, któraby noc ożywiła. Co więcej, życie, wypełniwszy lądy, morza i powietrze, jeszcze samo na sobie się nagromadza, okrywa pasożytami rośliny i zwierzęta. Nietylko grzbiet słonia jest lasem pełnym krzewów i zwierzyny różnorodnej, ale nawet drobne owady, jak żuki, mają swe pasożyty, i w naszych własnych mięśniach i we krwi naszej roi się bez naszej szkody obce nam życie. *Die Natur,* mówi dosadnie Hartmann, *packt das Leben, wo sie nur kann.*

Skutkiem, a oraz warunkiem tego wypełnienia jest ta sławna „walka o byt", która tak rozżala pesymistow, a pozytywistom daje assumpt do zaprzeczenia wyższej myśli w ekonomii przyrody. W gruncie to wyjadanie jednych zwierząt przez drugich, nie jest prawdziwą walką, bo niema w niej hazardów, wojska te nie odnoszą ani zwycięstw, ani klęsk; ale prawidłowo i nieodmiennie jedne gatunki biorą swój pokarm z drugich; klęska zaś gatunku zjadanego, byłaby zarazem zgubą zwycięzcy. Słowiki wyjadają muszki, nigdy muszki nie jedzą słowików, a stanowcze pokonanie muszek, byłoby nieszczęściem dla rodu słowiczego. I tym właśnie sposobem gatunki znajdują obok siebie miejsce, i utrzymują swe wieczyste typy. Co więcej, ta wrzekoma walka jest dobrodziejstwem natury: przez nią bowiem więcej istot dociska do uczty życia — a choćby chwilę tylko jej używało, zawsze jestto dla nich darem i uciechą dłużej trwającą niż krótki ból śmierci. W gnieździe kuropatwy jest zapewnie kilka piskląt przeznaczonych na pastwę jastrzębia, ale tymczasem, parę dni lub tygodni cieszą się one swobodnie życiem [1]. Gdyby ta część materyi, która ma służyć za pokarm jastrzębia nie przechodziła kolejno przez zboże i kuropatwę, ale innym porządkiem dostawała się wprost do jastrzębia, nie byłoby co prawda tego mordu, ale też nie byłoby wcale życia tych piskląt. Natura więc, obdarzając tymczasowo życiem i tę materyę, którą niebawem dla wyższych

[1] Mylnie sobie czasem wystawiamy, że zwierzęta, służące normalnie za pokarm innym, nie mają już innego celu. One są i na to, żeby żyły: to jest ich cel wsobny, który natura zamierza, obdarzając ich środkami do życia; oprócz tego zaś mają, jak wszystkie twory, cel odnośny; ale ten nie znosi pierwszego, tylko go w pewnych zamyka granicach.

tworów odebrać zamierza, nie jest okrutnicą, jak szkaluje Schoppenhauer, ale miłośnicą życia i dobra żyjących. W końcu i na to pamiętać trzeba, że te żyjątka nietylko fizycznie mniej czują śmierć niż my, ale co ważniejsza, nie wiedzą o niej. Natura dając im cieszyć się życiem, tai przed niemi nieuchronną przyszłość. „Jedna „tylko istota, mówi pięknie Coutance, wie o czekającej ją śmierci, „ale też ona jedna ma w duszy zapewnienie drugiego życia".

Te trzy dopiero wyłożone względy nie tłumaczą nam zapewne celu każdego z osobna gatunku żyjących — na to musiałaby być nauka przyrody skończona — ale dają nam klucz do zrozumienia, jak każdy gatunek może mieć swą racyę bytu celową w ekonomii przyrody. A kiedy nam już przyroda w tysiącznych rzeczach jak na dłoni swą celowość pokazała, kiedy im bliżej ją poznajemy, tem więcej nam odsłania mądrych urządzeń, to już ma prawo, żebyśmy i tam jej mądrości wierzyli, gdzie krótki nasz rozum jej celów nie dosięga.

Ale do czegoż ostatecznie zmierza to całe celowe piętrzenie się natury po szczeblach środków i narządów coraz doskonalszych, począwszy od martwych brył minerałów, aż do rozkwitu życia świadomego? Skoro w całej przyrodzie, wszędzie twory niższe okazały nam się celowo nastrojone dla wyższych, z wyraźną do ich usługi odnośnią: czy to już nie uprawnia wniosku, że wszystko jest dla tej istoty, która pod względem nawet organizmu stoi widocznie na szczycie przyrody, a duchem nad nią panuje i nieskończenie ją przewyższa?

Zapewnie, skoro są w naturze cele, jedne drugim podporządkowane, jakiś najwyższy cel natury być musi. Ale musimy wprzódy charakter celowości przyrody głębiej zbadać, hipotezy jej przeciwników rozważyć — a wówczas, z pełną świadomością, do tego końcowego zadania powrócimy. (C. d. n.)

X. M. Morawski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Autorki polskie XIX. wieku. Studyum literacko-obyczajowe, przez *Dra Piotra Chmielowskiego*. Warszawa 1885. Serya pierwsza.

W społeczeństwie polskiem kobieta zaszczytne zdobyła sobie stanowisko. Czy na dworze królewskim, czy w pałacu magnackim, czy w cichym domku szlacheckim, niewiasty polskie były za dobrych czasów, czem być powinny: westalkami domowych ognisk, wzorami cnoty, aniołami pokoju i pocieszenia. Głęboką wiarą, jak i wzniosłem posłannictwem przejęte, nieposzlakowane w wierności małżeńskiej, niezrównane w wychowywaniu dziatek, w poświęceniu i heroizmie, należny dank wdzięczności odbierały zawsze w narodzie, i dziś jeszcze od potomności odbierają. Nieraz nawet i wielką odgrywały rolę w narodzie, ważyły jego losy, jak Dąbrowska i Jadwiga, zadziwiały poświęceniem i energią, jak Regina Żółkiewska, męstwem nawet zagrzewały i popychały do czynu swych mężów i braci, jak Chrzanowska i inne — słowem na każdem polu działalności niewieściej odznaczyły się świetnie, wiekopomnie. Nie mieliśmy jednak nawet za czasów najświetniejszych rzeczypospolitej, nawet za okresu złotego wieku literatury, autorek polek. Dopiero po różnych przewrotach społecznych, po zetknięciu się bliższem z Zachodem, po rozbiorze i upadku królestwa występują nasze niewiasty i w tym charakterze na arenę publiczną i dowodzą, że nie brak im talentu literackiego; owszem były czasy wielkiej ich w tej mierze działalności, głośne w całej Polsce były imiona Tańskiej, Żmichowskiej, Ziemięckiej i innych. A jednak rzecz dziwna, w historyach literatury

dość o nich głucho, ledwo z jakiem wspomnieniem spotkać się można, z suchą notką imienia i dzieła autorki. Tę niesprawiedliwość wyrządzoną ich sławie autorskiej odczuł p. Chmielowski i postanowił w kilku seryach przedstawić niejako galeryą autorek polskich, malując ich bieg życia, stosunków w jakich przebywały, wraz z oceną ich prac i płodów umysłowych. Chronologicznego trzymając się porządku poczyna od Maryi Wirtemberskiej, przechodzi Tańską, Jaraczewską — dalej osobny rozdział poświęca ruchowi umysłowemu młodszych autorek tak zwanych Entuzyastek, gdzie wyszczególnia Żmichowską i kończy na Ewie Felińskiej seryą swą pierwszą.

Nie małego podjął się p. Chm. zadania. Bo nie tylko przestudyował wszystkie ich prace, a nie było to rzeczą łatwą, gdyż wiele z nich drukowano tylko w ulotnych pismach lub peryodycznych pisemkach, ale nadto obeznał się ze stosunkami ówczesnemi, z usposobieniem społeczeństwa, w łonie którego ten ruch się począł i wzrastał. Tradycya narodowa, która rada była widzieć kobietę zaprzątniętą w kole rodzinnem, niemile dotkniętą się uczuła temi występami, sypały się głosy potępienia, nawoływania do powrotu do dawnych zwyczajów, do porzucenia idei wyemancypowanych; ale silniejszy nad wszystko duch czasu przemógł. Wszystko to zaznaczone w dziele p. Chm., bieg całego tego autorstwa przedstawiony jasno i zajmująco.

Zadanie nie było łatwe, bo w tak delikatnej rzeczy nie dość literackich zdolności, nie wystarczy zbadanie choćby i najgłębsze przedmiotu. Przedstawienie nie mogło być tak objektywne, żeby autor ze swem zdaniem nie wystąpił. Książka ta jest szkicem literacko-obyczajowem, a jako taka nie mogła być tak traktowana ze strony literackiej, żeby nie miała swojej strony moralnej, bo i z bajki prostej jakiś sens, jakiś morał wywieść się daje. Zdając z niej sprawę, wypada nam ją z tych względów ocenić. Jako praca literacka zasługuje na uznanie. Nie brak p. Chm., jak wiadomo, zdolności literackich i nieraz dał się nam poznać chlubnie z tej strony, i w obecnej pracy pod względem ułożenia, traktowania przedmiotu, stylu, wywiązał się autor należycie.

Ale teraz przypatrzmy się stronie moralnej. Na jakim staje stanowisku p. Chm. mówiąc o kobietach jako o autorkach, o ich wystąpieniu nieraz nader śmiałem, o dążnościach nowych, o pierw-

szych próbach emancypacyi niewiast polskich? Czytając uderzają nas częste a pochlebne wzmianki: o „samodzielności“, „samoistności“, „usamowolnieniu kobiet“, o „nowych drogach“; to znowu wyrazy z pewnym przekąsem położone o „przesądach“, „wstecznictwie“, „objawach wstecznych podległości i posłuszeństwa niewiasty“ (237). Stanowisko więc niewiasty dotychczasowe widocznie się mu nie podoba, pragnie więc „polepszenia bytu kobiecego“.

To „usamowolnienie etc.“ na różnej ma się drodze dokonać i tak pod względem wychowania i wykształcenia ma zajść radykalna zmiana. Że wychowanie klasztorne nie wystarcza, świadczy „tak „światły kapłan jak Kołłątaj: że pokora i powierzchowny „układ jest to rzecz najwięcej zgromadzenia zakonne szczycąca“, a K. Wł. Wojcicki, autor wielu klechd i baśni i lichej historyi literatury, powaga bezsprzecznie nielada, twierdzi, „że klasztorny kie„runek żadnych korzyści, raczej szkodę dla rodzin przynosił“, co się potwierdza tym dowodem arcydoniosłym, „że wychowanki klasztorne pospolicie zwano gąskami“. Wychowanie musi wejść na inne tory, skoro zadaniem jego „nietylko przygotowanie do życia, lecz nadto wszechstronne harmonijne rozwinięcie władz cielesnych i duchowych“, a rozwijać je potrzeba za pomocą „bujań idealnych“, bo „bujanie fantazyi przyspiesza powolne tętno rozsądkowego myślenia, jej leczone blaski opromieniają szare kontury powszedniości“ (292), panienka musi mieć odpowiednią nauczycielkę, „coby rozporządzała „szerokim obrębem fantazyi“ (156), któraby „nie wolała, żeby panna „raczej zapomniała wszystkich wiadomości swoich, niż żeby wstręt „miała do wszystkich zajęć domowych codziennych“ (113).

Jaka ma być religia tego nowego pokolenia? O tem mają być przekonane, „że obok religijności, na spełnianiu przepisanych praktyk „się zasadzającej, jest inna, która poetyczniejszym przemawia języ„kiem“ i „niewiele cenić zewnętrzne obrzędowości formuły“ (sic! 400); „nie sądzić, żeby badania naukowe potrzebowały jakiejkolwiek „innej sankcyi prócz swojej prawdziwości“ (400), mają wiedzieć, „że średniowieczna zależność filozofii od teologii już bezpowrotnie „minęła, że niedarmo ludzkość przez parę wieków krwawo się do„bijała o swobodę badań i rozbioru“ (461). Czytając duchowne książki, nie mają im ufać, ani je zbyt brać do serca: bo u Tańskiej np. „przejęcie się pisarzami kościelnymi nie dozwoliło jej

„ocenić należycie znaczenia i nauki i talentu filozofów XVIII. wieku. „Później, gdy Tańska zostawszy Hoffmanową, żyła w otoczeniu umy- „słów mniej więcej niepodległych, umiała być sprawie- „dliwszą dla wieku XVIII., uważała go za największy podobno „z wieków poza Chrystusowych, a pojmując w ten sposób cha- „rakter wieku XVII. i dla pisarzy jego była wyrozumialszą, zale- „cając wychowankom do czytania Monteskiusza, Woltera, Gibbona „i innych autorów".

Tak usamowolniona kobieta z przesądnych więzów religijnych, jak ma pojąć zadanie życia. Tańska, mówi p. Chm. z oburzeniem, „na rzecz przesądu, że nauki niepotrzebne kobiecie, że są nawet „szkodliwe, największe zrobiła ustępstwa, nazywała je nie potrzebą, „ale ozdobą tylko życia niewiasty, nie chwaliła tych kobiet, które „się uczą łacińskiego, greckiego, hebrajskiego języka, co doświad- „czenia robią we fizyce i chemii i nad algebrą lub matematyką „głowę sobie łamią (77), im potrzeba gruntownej nauki, nie wy- „łączając takich nawet gałęzi umiejętności, o których wyjątkowo „wspominano, np. fizyologia", gdyż, dzięki entuzyastkom, „nastał ten „zwrot umysłów, że już nie ze zgrozą, ale podziwieniem i szacunkiem „powtarzane bywają imiona tych kobiet, co się medycyny uczą i do „uniwersytetów uczęszczają" (273). Takie to „kobiety, wystrzelające po nad tłum pospolitości", „dusze wrzące, namiętne, żą- dne wiedzy i prawdy uczucia", choćby i zbłądziły, potknęły się, upadły, zawsze ludzi będą zadziwiać „cennemi wadami" tak jak Seweryna Moraczewska; owszem, więcej będą miały zasługi z tych postępków, niż cnotliwe z dobrych czynów, bo „więcej może „dokonała Bibrana dobrego, ale Seweryna źle nawet robiąc, miała „niezawodnie więcej zasługi. Obręb życia doczesnego otoczył biedną „Sewerynę nieszczęściami, które ją samą zrobiły mniej dobrą, a złych „obok niej jeszcze trochę gorszymi" (sic! 252). Wśród tego „przebudze- nia rodu niewieściego" „w takiej ekonomicznej niezależności" pokaże się może niejeden talent, tak jak „zajaśniał genialny talent po- „wieściopisarski Georges Sand, wyrzekającej wymownie na nie- „znośne pęta towarzyskie i wygłaszającej obronę namiętności".

Taki mniej więcej moral wypływa z całej książki p. Chm. Nie gani on nigdzie otwarcie religii, nie kruszy kopii z zasadami moralności i ze świętością małżeństwa, jak to czyni tylu pismaków

warszawskich, którzy długim szlakiem za p. Chm. ciągną. Ale religii i moralności odejmuje ich bezwzględną wartość i prawdę; wyraża się o nich wciąż dwuznacznie i sceptycznie; zastrzegając się, że nie chwali występku, nigdy go jednak nie piętnuje, otacza go nawet jakimś blaskiem wdzięku, i co dziwniejsza, „zasługi". Ile razy niby konkluduje, to zawsze w taki sposób, że „dusze namiętne" zamyślające o zrzuceniu form religijnych i praw etycznych, mogą w p. Chm. upatrywać rzecznika. Wojkowski i Molińska, opowiada np. p. Chm. „nie uważali za potrzebne uświęcić swego związku „błogosławieństwem kościelnem". Cóż sądzi o tem autor? „Niewątpliwie zbłądzili"; — ale dlaczego? Czy dlatego, że żyli w dzikiem małżeństwie? Nie, dlatego tylko, „że gdzie idzie o zmianę stosun-„ków, nie o formę, ale o treść ich dbać potrzeba". Zrozum jak kto chce! Autor jednak czując, że go można posądzać o bronienie takiego związku, tłumaczy się: „Nie myślę stawać w obronie Molińskiej..." ale następujące zaraz słowo pokazuje, że nie staje również z jej naganą: „przypomnę tylko, że zupełnie podobny pod względem to-„warzyskim stosunek istniał pomiędzy sławną powieściopisarską an-„gielską George Eliot, a niemniej sławnym filozofem angielskim „Lewesem, i że opinia europejska była o wiele wyrozumialszą od „poznańskiej" (411).

Łatwo pojąć, jak tak lekki kodeks etyczny musi wpływać na młode umysły „lepszej części" podrastającego pokolenia, w chwili kiedy emancypacya kobiet, poddmuchiwana przez bezecne powieściopisarstwo francuskie i godnych jego naśladowców w Polsce, już tyle głów i u nas zawróciła, rozluzowała tyle sumień i tyle św. związków, a grozi jeszcze nierównie większem spustoszeniem.

P. Chm. chciałby podnieść niewiastę jeszcze wyżej, niż ją znajduje w społeczeństwie chrześcijańskiem, a spotykając zaporę przeciwko tej zmianie w prawidłach religijnych i etycznych chrystyanizmu, chciałby te prawidła zmienić, nagiąć, skruszyć skoro się nagiąć nie dają. Tego może wyraźnie nie mówi, ale to wyraźnie przeziera ze wszystkiego co mówi, to się udziela jego naśladowcom w literaturze, jego czytelnikom i czytelniczkom. Podnieść jeszcze wyżej kobietę — piękne zadanie! ale czy p. Chm. zauważył, że to, co ją wyprowadziło z dawnego upodlenia i upośledzenia i postawiło na tej wyżynie, na której ją w XIX. wieku zastajemy, to jest właśnie

chrystyanizm, jego religia, nie wyjąwszy form tj. modlitwy i sakramentów, jego moralność, z temi przepisami które podnoszą i z temi także, które krępują. Co go zapewnia, że krusząc te prawidła, zamiast podnieść kobietę jeszcze wyżej, jak zamierza, nie usunie podstawy jej obecnej godności? P. Chm. w tym zamiarze wygląda jak człowiek, co znajdując, że szczyt drzewa nie dosyć wysoko sięga, a widząc, że korzenie wiążą drzewo z ziemią, przecinałby te korzenie, ażeby drzewo wyżej podnieść. Uschnie niewątpliwie takie drzewo. A jeśli kobiety na inne stanowisko przenieść nie można, bez naruszenia tych prawideł etycznych i religijnych, jestto dowodem, że to stanowisko, na którem ją chrystyanizm postawił, jest właściwem, naturalnem i przez rządy Opatrzności Bożej jej wyznaczonem.

Zawodowe studya zaleca p. Chm. kobietom, jako drugi czynnik moralnego jej podniesienia i zrównania z mężczyzną. Czyż doprawdy p. Chm. na seryo sądzi, że specyalne wykształcenie zapełni braki religii i zasad chrześcijańskich, z których ją wyzuć pragnie? „Wiem, że zwolennicy tego kierunku wychowania, pisze mąż „w całym poważany narodzie, dostojny autor „Pauliny“, utrzymują, „iż w każdym razie uniwersyteckie wykształcenie podnosi niewąt„pliwie moralną godność kobiety, czyni ją daleko pożyteczniejszą „społeczeństwu, nierównie milszą mężowi, którego pojąć i podzielać „prace jest w stanie. Prawda, że nabycie gruntownych zasad mo„ralnych i pokonanie wad przyrodzonych wysokiego wykształcenia „wymaga, ale niech czytelnik nie zapomina, że tu mowa jest tylko „o naukach specyalnych na różnych fakultetach uniwersytetu wy„kładanych, a nie o wykształceniu ogólnem, którego u kobiet nie „ganię lecz radbym owszem jak najwięcej je upowszechnić i jak naj„wyżej podnieść, byle nie w publicznych szkołach i nie z uszczerb„kiem cnót chrześcijańskich, które w każdym razie wyżej od nauko„wego wykształcenia ważę. Otóż do podniesienia godności moralnej „nie specyalne naukowe, ale ogólne wykształcenie jest potrzebne i to „nietylko umysłu, ale i serca i woli, tak iżby dusza wszystkiemi „władzami swemi nad zwykły poziom się podniosła“.

„Co do pożytku społeczeństwa nie pojmuję, dlaczego matka „dobrze wychowująca swe dzieci i wzorowo wywiązująca się z obo„wiązków gospodyni domu miałaby mniej być pożyteczną niż bu„chalterka, telegrafistka lub dyrektorka przędzalni. Przeciwnie są-

„dzę, że dla społeczeństwa nierównie pożyteczniejszą jest ta kobieca „posługa, w której mężczyzna wyręczyć jej nie potrafi, niż ta, w któ„rej kobieta nietylko zastąpioną lecz i prześciągniętą łatwo być może „przez mężczyznę. Społeczeństwo jest zbiorowem ciałem, w którem „każdy członek inną sprawia funkcyą, działalność wszakże każdego „dla całego ciała jest korzystną; ktoby więc zamiast kształcić każdy „członek do odpowiedniej mu czynności, chciał wszystkie do tejże „samej zaprawiać, ten niepowetowaną szkodę całemu ciału by wy„rządził, gdyż niektóre funkcye organiczne wcale spełnianeby nie „były z powszechnym wszystkich członków uszczerbkiem".

„Posłannictwo kobiety w rodzinie i społeczeństwie jest cał„kiem różne, lecz nie mniej ważne jak mężczyzny; oderwać ją przeto „od właściwego jej posłannictwa, a wprowadzić na męskie tory, „jestto zwichnąć przeznaczenie kobiety z jej własną i całego społe„czeństwa szkodą. W coby się, pytam, kraj nasz przemienił, gdyby „na miejscu cnotliwych chrześcijanek, zacnych obywatelek i wzoro„wych matek uczone sawantki i wszelkiego rodzaju specyalistki „stanęły?"

Inny znów również w kraju poważany pisarz i znakomity historyk tak się odzywa: „Ze stanowiska naszych potrzeb narodowych, „ze względu na naszę biedę krajową powinniśmy mieć na oku po„wołanie kobiet jako gospodyń domu. Nie przestaniemy zatem po„wtarzać paniom naszym, że pracowitość, praktyczność i gospodar„ność są nieodbitą potrzebą dla naszych dziewcząt, że natomiast „języki, talenty (które często bywają wgwałcone) są rzeczą drugiego „dopiero rzędu. Sawantki egzaltowane, sentymentalne i emancypo„wane sprowadzały nam obczyznę, zbytki, przewrotność, choroby „nerwów i tym podobne niesłychaności; gospodarne nasze niewiasty „trzymają dotąd, jak bluszcze popękane mury naszych domów. „Cześć im! daj Bóg ich najwięcej".

Na tem kończymy rozprawę z panem Chm., powtarzając, Bóg daj takich religijnych, pojmujących swoje stanowisko niewiast, jak najwięcej w narodzie, a broń nas od niewiast, wychowanych wśród „bujań idealnych" z „poetyczną religijnością", „z obszerną a gruntowną wiedzą, a przedewszystkiem filozofii niemieckiej", z „cennemi wadami", z talentami p. Sand, jednym słowem, od niewiast zakroju p. Chm. chroń nas Boże najwięcej. *Z. B.*

O Objawieniu św. Jana Apostoła. Napisał *ks. Stanisław Spis.* Warszawa 1885. Odbitka z Encyklopedyi kościelnej. Tom XVI.

Ze wszystkich ksiąg pisma św. najtrudniejszem do zrozumienia jest objawienie św. Jana. Św. Hieronim powiada: „Ile tu słów, tyle tajemnic; owszem za mało powiedziałem, bo w każdem słowie zawiera się wieloraka mądrość". Morzem niezmierzonem nazywa je Ribera S. J., w którem cała mądrość ludzka tonie, a Pereira S. J. utrzymuje, że go zrozumieć dokładnie niepodobna bez szczególniejszego objawienia Bożego. Stąd się pokazuje, jak trudnem jest tłumaczenie tej św. księgi, a trudność ta rośnie niemal bez końca, o ile, że kwestye co do czasu, wydawcy celu i t. d., od wrogów objawienia zaciemniane i w wątpliwość podawane, ze samego Objawienia rozwiązane być muszą. Wielką więc mają zasługę wszyscy, co potrzebne w tej mierze wiadomości zbierając, umiejętnie je przedkładają, z wyłączeniem wszelkich wątpliwości. Wzorową w tym rodzaju jest obecna praca. I jeżeli zrobimy jakie uwagi, sądu naszego nie cofamy, gdyż one raczej pojedynczych kwestyj dotyczyć będą.

Rozprawa rozpada się na 10 rozdziałów. Pierwszy omawia sprawę autentyczności. Małą pozwolimy sobie tu zrobić uwagę. Autor wspomina książkę św. Melitona. „O diable i objawieniu św. Jana". Osławiony Semler starał się dowieść, że stanowią jednę całość, żeby tem łatwiej przeciw księdze objawienia występować. Tymczasem u Euzebiusza wyraźnie stoi: καὶ ἥκλεῖς καὶ τὰ περὶ τοῦ διαβόλου, καὶ τῆς Ἀποκαλύψεως Ἰωάννου (Migne. tom XX. col. 392 i tom V. col. 1188, i u św. Hieronima, in Libro de viris illustribus: De diabolo librum unum, de Apocalypsi librum unum. (Migne tom XXIII. col. 675.) W odpowiedzi na zarzuty św. Dyonizego, co do autentyczności Objawienia, nie można pominąć, co tenże wyraźnie powiada: Ἐγὼ δὲ ἀθετήσαι μὲν οὐκ ἄν τολμήσαιμι τὸ βιβλίον. πολλῶν ἰ Ἅγίου μέν γαρ εἶναί τινος καὶ θεοπνεύστου συναινῶ. (Mign. XX. col. 698. Euseb. Hist. eccl. VII. 25). A jeśli w końcu mimo to konkluduje, że wydawcą musi być Jan, którego grób pokazują w Efezie, inny od grobu św. Jana Apost., to trzeba wiedzieć, że św. Jan apostoł miał także przydomek „Teolog", jak to świadczą: Cyryl Jerozolimski, Hieronim Athanazy, Chrysostom, Origenes, Damascen i Baroniusz. (I. ad a 97 Edit. at. 1638 pag. 695), a uwaga ta jest potrzebną jako odpowiedź przeciw Erazmowi i innym, co się na powadze św. Dyonizego opierają. Co się tyczy zarzutu, że wymienienie imienia świadczy przeciw autorstwu św. Jana odpowiedź łatwa, gdyż w starym testamencie pełno podobnych znajdujemy przykładów. I tak: Izajasz powtarza swe imię 16 razy, Jeremiasz więcej niż sto razy, Daniel 104. Ego Daniel i t. d.

Co do czasu wydania zupełnie uzasadnione jest, że za takowy przyjąć trzeba panowanie Domicyana. Co do drugiego dowodu, mamy niektóre uwagi. Tacyt powiada w przytoczonym ustępie „Nullo a nobis remedio propriis viribus revaluit". Z tego nie można wnioskować, że potrzeba było długiego przeciągu czasu do odbudowania miasta. Owszem uwaga Baroniusza zdaje się prawdziwą, który pisze. „A civibus iterum brevi restituitur, nam opulentissima erat". Dowód więc o 30 latach potrzebnych do odbudowania miasta, bardzo jest wątpliwy. Ale idźmy dalej. W odezwie do biskupa Laodycejskiego, co znaczy, słowo dives i w jakiem znaczeniu jest użyte, przenośnem czy rzeczywistem. Niepodobna udowodnić, że mu Bóg wyrzuca zbytnią ufność w skarby oddziedziczone i zebrane. Wbrew Korneliuszowi a Lapide, oparci na słusznych powodach. S. Grze-

gorz, Gagnanus, Sa, Menochiusz, Tirinus, Bisping i inni tłumaczą to słowo dives o bogactwach duchowych. Ani więc Tacyt, ani tekst Apokalipsy nie popierają dowodu. Ale może mimo to można niezbity dowód zaczerpnąć z II. rodz. v. 13 ze słów „in diebus illis Antipas testis meus fidelis, qui occisus est apud vos“. Otóż Andreas i Kansarna nadmieniają opis jego męczeństwa, którego śmierć wedle rzymskiego jak i ruskiego i rosyjskiego Martyrologium pod panowaniem Domicyana przypada. A choć Baroniusz w swoich annales stara się wykazać, że jego śmierć miała miejsce w czasie, kiedy pisaną była Apokalipsa, to Bolandyści dostarczyli dosyć materyału na udowodnienie, że Antipas poniósł męczeństwo za czasów Domicyana, którego prześladowanie wedle ogólnego zdania 93 r. się rozpoczęło, a więc i z tego wynika, że objawienie dopiero za czasów Domicyana napisanem zostało.

W numerze 10 co do słowa „liczba“ napomykamy, że istotnie wedle Ewangielisty chodzi tu o znaczenie liczby, i wykluczoną jest zupełnie symbolika liczb i wszelkie znaczenie formy i tylko chodzi o to, jakim się tn alfabetem posługiwać potrzeba. Św. Jan pisał początkowo greckiemi cyframi Χξς jak to z kodeksu B i z innych minuskułów widać, podczas kiedy kodeks C i inne odrzucone przez Ireneusza zawierają Χις. Św. Jan znajdował się w Grecyi, a jeśli chciał oznaczyć hebrajskie imię, to zdaje się, że powinien był dodać jakieś objaśnienie. Za hebrajskim alfabetem przemawia i zwyczaj żydów, co uważali za profanacye imiona hebrajskie na greckie tłumaczyć. (Bisping). A prócz tego wydawca, mimo greckiej mowy, myśli na sposób hebrajski. Cf. IX. 11. XVI. 16. Najwięcej się zaleca podane przez autora rozwiązanie, na które równocześnie niemal wpadło czterech uczonych נרון כסר (Nero Caezar). Imię to nie zawiera żądanej liczby 666, tylko wyświeca wyżej wzmiankowany sposób czytania Χις = 616, w którem czytelnik Apokalipsy znający rozwiązanie miasto łacińskiego Nero, greckie Neron podłożył.

Szkoda, że w numerze 11 autor szanowny, choć słówkiem nie wyjaśnił za przykładem Ireneusza i innych powodu, czemu Duch św. tak ciemno przemawia w objawieniu. Tych parę uwag niech będą świadectwem, jak sobie wysoko tę pracę cenimy. Nie jest ona bynajmniej tłumaczeniem odpowiedniego artykułu Kaulena, ale z układu, wyboru, poglądów i dowodów znać, że to praca samodzielna. Stąd nietylko nie stoi niżej od artykułu Kaulena, ale owszem przewyższa go w oznaczeniu czasu, wydania Apokalipsy, bardziej uzasadnionymi poglądami i jasnością wykładu.

Ks. Arndt.

Porwana z klasztoru. Kartka z dziejów obyczajowych Polski XVII. wieku, przez *Jerzego Mycielskiego*. Odbitka z „Przeglądu polskiego“. Kraków 1886, str. 220.

Nie podobna wytworzyć sobie dokładnego sądu o jakiejś epoce, bez licznych a gruntownych opracowań, wyświecających pojedyńcze, często zawikłane, dziś nie dość zrozumiałe historyczne punkta, wyprowadzających na jaw nie tylko już głośne w całym świecie, a przynajmniej w całej ojczyźnie osobistości, ale i inne mniej znane, niebawem zapomniane postacie, a które jednak wiernym są obrazem swego czasu i otoczenia i niemało się może przyczyniły do ukształtowania go w ten, a nie w inny sposób. Żmudna to, nie zawsze na razie opła-

cająca się praca. Autor przetrząśnie niejedno może archiwum; namęczy się, zanim porozrzucane, nie dość kompletujące się szczegóły w jeden, jaki taki przynajmniej obraz ułoży; a wymagający czytelnik odkłada książkę, nie rad, że nie wszystko dość wyjaśnione, że przebywszy przez godzin kilka w towarzystwie jakiejś nieznanej dotąd zakonnicy i awanturnika XVII. wieku, żegna ich wreszcie, nie mogąc nawet dokładnie powiedzieć, jak wyglądali.

W tem położeniu znalazł się, z tą niezbyt miłą perspektywą zasiadł pewnie do ostatecznego zredagowania swej pracy, autor „Porwanej z klasztoru". Ciekawy, dotąd ledwie kilku słowami zaznaczany fakt gwałtownego porwania z klasztoru Bernardynek na Stradomiu młodej a bogatej Zofii Dembińskiej, przez hulaszczego Aleksandra Koniecpolskiego (r. 1612), zaciekawił go, i skłonił do sumiennych poszukiwań, które istotnie niejedno wyjaśniły, ale daleko więcej jeszcze ciekawych zapytań zostawiły bez odpowiedzi. Mimo to — i za to autorskie zaparcie się prawdziwa wdzięczność mu się należy — nie schował autor swych zapisków do teki, lecz usnuł fundując się na nich opowiadanie, dopożyczając sobie barw z historyi rodzin głównych bohaterów, z ówczesnych dziejów polskich i wreszcie z historyi klasztoru św. Agnieszki.

Prawda, że w ten sposób, nie łatwego, nawet niebezpiecznego podjął się zadania. Czytelnikowi przychodzi co chwila na myśl, że ramy większe i piękniejsze od obrazu; pocóż, pyta, zaznajamiać mię z całym rodowodem Koniecpolskich i Dembińskich, kiedy bardzo obszerne wiadomości o dziadkach, babkach i prababkach schodzą do mikroskopijnych rozmiarów, gdy przyjdzie kolej na najgłówniejsze osobistości: pana Aleksandra i pannę Zofię? Co może mię obchodzić opis Heidelberga, kiedy co najmniej bardzo wątpliwą jest rzeczą, czy pan Aleksander w nim bawił? Opis ówczesnego Krakowa, znów przez długie stronice bardzo przyjemnie nas poucza, tylko czy ten opis nie zbyt luźno z całem opowiadaniem się trzyma? Natomiast bardzo ciekawy spis ówczesnych Sióstr Bernardynek wiąże się ściśle z opowiadaniem i dozwala uprzytomnić sobie stan żeńskiego klasztoru w Krakowie na początku XVII. wieku.

Obok głównej tej, zdaniem naszem wady, pozwolimy sobie jeszcze zwrócić uwagę na parę tylko drobnych szczegółów, rażących silnie, właśnie tylko z powodu ogólnej sumienności i dokładności autora. Niewidzialne jakieś ręce usuwają Zofii przeszkody; zatem, wnioskuje autor, byli to z pewnością Jezuici. Czemuż niewidzialną tą ręką nie mógł być np. nuncyusz, który żywo przecież całą tą sprawą się zajmował; czemuż nie mógł nią być inny jakiś zacny duchowny; mogli wreszcie być nią i Jezuici, ale nie wynika to jeszcze koniecznie z faktu, iż jakaś niewidzialna ręka w sprawie tej w grę wchodziła. Również nie sądzimy, „aby żadnej wątpliwości nie ulegało", iż autor ważnej rozprawy „Obrona Panien klasztoru św. Agnieszki" był koniecznie Jezuitą, a najmniej już autorstwa Jezuity dowodzi ta okoliczność, że przytaczając ustępy z dzieła Baroniusza, wyraża się „nasz Baroniusz", gdyż Baroniusz nie był Jezuitą, ale Oratoryanem. Ale powtarzamy, drobne to usterki; mówiąc o mniej sumiennie pisanej książce, pewniebyśmy o nich nie wspominali.

Zresztą, choćby kto, czytając uważnie rozdział za rozdziałem, inne jeszcze jakie — ale pewnie nie większej wagi od powyższych — sformułował sobie zarzuty, zapomni o nich pewnie dobiegłszy do ostatniej stronicy. Prawdziwie chrześcijańskie zapatrywanie się na świat, podało autorowi klucz do zrozumienia owego sądu Bożego na ziemi, jaki dotknął potomstwo nieszczęśliwego Koniec-

polskiego. Szkoda, że autor uległ pokusie i zakończył swą pracę kilku wierszami jakiegoś starego poematu; własne jego słowa o ofiarach Cecory i Chocima, zasługach Skargi, męczeństwie Kuncewicza, wydają nam się nietylko prawdziwsze, lecz stokroć poetyczniejsze, od może naiwnych, lecz pewnie niewzruszających wierszyków o „prawie kamieniejącej Niobe". *B.*

Przesilenie, napisał *Roger hr. Łubieński.* Rzeszów 1885.

Tomik, obejmujący 154 kart, bardzo starannego druku, i wiele umiejętnie zestawionych cyfr, ujętych w kształtną formę. W książce tej autor stara się najprzód udowodnić, że obecnie żadne przesilenie w stosunkach postępu, bogactwa ludzkości, w handlu, przemyśle i rolnictwie nie istnieje (72). Twierdzenie swoje opiera na tem: że nie ma żadnego zakłócenia na rynkach pieniężnych świata, że wzrost zaoszczędzanych kapitałów wcale się nie zmniejsza (58), że upadek cen pszenicy jeszcze nie zagraża upadkiem całego rolnictwa (78), i tą zasadą: że jeżeli może być chwilowo nadmiar produkcyi jakiego pojedyńczego towaru, to o nadmiarze produkcyi pracy ludzkiej w ogóle, mowy nigdy być nie może, bo tylko przez zwiększenie produkcyi wszystkich w ogóle wyrobów, dobrobyt przecisnąć się może do wszystkich warstw społecznych (125). Wykazuje następnie autor, że główną przyczyną obaw rolników i ich skarg na przesilenie, jest niezmierne obdłużenie ziemi, uruchomienie jej wartości, eskontowanie jej samej — i jej dochodów, nieodpowiadające naturze rolnictwa (114). Zwraca nareszcie uwagę na fakt: że jeżeli dotychczas Europa, nietylko sama potrzeby swoje zaspakajała, ale i inne części świata nadmiarem swojej produkcyi przemysłowej i rolnej obsyłała; to obecnie Ameryka, Australia i Indye wschodnie, podniosły się z tego drugorzędnego stanowiska i stają na równi z Europą do walki ekonomicznej (126). Ten zaś fakt przypisuje autor nietylko siłom materyalnym przyrody, ale objaśnia, iż jest on tylko jednym z objawów walki, jaka od samego początku historyi widzieć się daje, między dążeniem jednych ludzi do ujarzmienia drugich, w celu wyzyskiwania ich pracy na swoją korzyść, a dążeniem tych ostatnich do wywalczenia sobie wolności. Ustąpienie z ustroju ucywilizowanego świata najprzód niewoli, potem poddaństwa, było dotychczasowym rezultatem tej walki. Obecnie przychodzi kolej wyswobodzenia kolonij od zależności ich od dawnych metropolij. To jednak walce tej końca nie położy. Trwać ona zawsze będzie, bo jest wynikiem natury ludzkiej, i będzie coraz bardziej wprowadzać w ustrój ludzkości praktykę zasad dla jej szczęścia objawionych. Rezultatem przeto tej walki, i wynikających z niej przewrotów, będzie coraz większe upowszechnienie wiary, ustalenie wpływu Kościoła, i wywalczenie wolności każdego człowieka w jego własnym i wolnym narodzie (154).

Jakkolwiek w całym tym wywodzie znajdujemy (mimo zamiaru autora) oddźwięk optymistycznych doktryn szkoły Manszesterskiej, jakkolwiek stanu kapitału nie uznajemy za jedyny termometr dobrobytu ludzkości i nie piszemy się na niektóre wnioski, jakie z tej zasady autor wyprowadza — jednak witamy z uznaniem, polską, samodzielną pracę na tej trudnej niwie, i pochwalić musimy podniosłą dążność tej książki i zdrowe wskazówki, które w znacznej części zawiera.

W.

Ze studyów archiwalnych. *Dra Anatola Lewickiego,* I. Wstąpienie na tron Polski Kazimierza Jagiellończyka. Kraków 1885. 8° str. 40 (Osobne odbicie z XX. tomu. Rozpr. Wydz. filoz. Akad. Umiej.)

Co było powodem kilkoletniego ociągania się, ze strony Kazimierza Jagiellończyka w objęciu tronu polskiego? Pytanie to rozwiązał w części historyk prof. Caro, zupełnie jednak wyjaśnił tę kwestyę prof. Lewicki w powyższej rozprawie, rozpoczynającej szereg studyów archiwalnych. Musiano czynić ustępstwa dla Litwy i opłacać tem przyjęcie korony polskiej przez Kazimierza Jag. Autor wynajduje nadzwyczaj ważny i ciekawy fragment tego ustępstwa na rzecz Litwy. Jestto dokument wprawdzie fragmentaryczny, lecz na mocy którego Kazimierz godząc niejako Polaków z Litwinami, przysądza ostatnim Wołyń i Podole. Czy podobna zapyta każdy? Dokument tej treści znalazł się w jednym z rękopisów z końca XV. w. w bibliotece Czartoryskich, bez daty, z wielu wątpliwościami czyniącemi autentyk podejrzanym.

Wątpliwości podnosi prof. Lewicki, uważa jednakowoż dokument za autentyczny, odnosząc go do sejmu Brzesko-Parczewskiego z r. 1446. Delegaci polscy z Parczewa, mający pełnomocnictwo do układów i zawarcia zgody z Kazimierzem i Litwinami, spisali ten akt w Brześciu, regulując przyszłe stosunki a mianowicie sporną kwestyę co do Wołynia i Podola na rzecz Litwy. Była to cena za którą Kazimierz dał piśmienne zapewnienie, że koronę przyjmie i w oznaczonym terminie przybędzie na koronacyę do Krakowa. Aktu tego jednakowoż po koronacyi króla nie uznano jako prawno-państwowego, stąd też nie ma o nim żadnej w Długoszu wzmianki, toczy się o niego niesłychanie namiętna walka pomiędzy Litwą a Koroną przez całe panowanie Kazimierza Jag., a dopiero w unii z 1499 roku, zrzekli się Litwini z praw płynących z tego aktu, który to „wzajemną obrażał uczciwość".

Tak bezpośrednio z dokumentem wiążące się fakta, jakoteż i późniejsze wyjaśniają się w całej pełni, skoro przyjmiemy z autorem, że dokument ów jest autentycznym. Domysł ten potwierdzają tak niesnaski o sporne ziemie, jako też i sprawa o potwierdzenie przywilejów polskich, które król nie chciał potwierdzić z powodu przysięgi przed tem już złożonej Litwinom, a czynił zawisłem potwierdzenie od ułożenia z Litwą o granice. Że przysięga ta odnosiła się do owego dokumentu, a nie do przywileju Kazimierza z 2 maja 1447 r., jak twierdzi Caro, dowodzi autor zupełnie przekonywająco (str. 31). Kazimierz załatwił spory ze szlachtą na pamiętnym sejmie Piotrkowskim w czerwcu 1453 r. potwierdzonym później w 1455 i 1470 r., w których to dokumentach co do granic Polski zobowiązał się król tylko w ogólności, że ich nie uszczupli. Pozostało jak było w rzeczywistości Podole przy Polsce, Wołyń przy Litwie, a król z niezmiernie trudnego położenia wychodzi zwycięsko, godząc zażarty spór.

Co do konfirmacyi praw należy nadmienić, że w Metryce Litewskiej w Petersburgu znajduje stę prócz wymienionego przez autora (str. 37), dokumentu z 30 czerwca 1453 roku, również oryginał dokumentu takiego z 27 czerwca 1455 r.: *Actum et datum in Pijotrkow feria sexta proxima post festum sancti Johannis Baptistae.* Oryginały te potwierdzają w zupełności sąd autora, że dokument u Bandtkiego Jus pol. 264 niesłusznie był dotąd uważany, jako prawdziwy w sprawie potwierdzenia przywilejów, gdyż w takiej for-

mie nigdy nie był przez Kazimierza ogłoszony. Również i dokument z 20 listopada 1470 r., znajduje się w rzeczonem archiwum w Petersburgu w oryginale z zawieszoną u niego pieczęcią majestatyczną. *A. P.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z najnowszej literatury angielskiej. Wśród nawału wydawnictw i hyperprodukcyi piśmienniczej, która bardziej jak gdziekolwiek cechuje za dni naszych angielską literaturę, trudno się kusić o trafne uchwycenie znaczniejszych odgłosów lub przewodniego tętna. Zapisać nam przychodzi raczej to tylko, co i na kontynencie większe rozbudziło zajęcie, co do nas doszło, lub uwagę naszą szczęśliwym uderzyło trafem. Ażeby ująć w całej pełni ruch umysłowy zamorskiego państwa, należałoby rozczytywać się pilnie w dziennikach i przeglądach angielskich, w owym olbrzymim *Time'sie*, który przed kilkoma miesiącami święcił swój stuletni jubileusz, w katolickim *Tablet* dziwnie bogatym w literackie zapiski, w miesięcznikach rozmaitego kierunku i treści, gdzie taka panuje swoboda i bezwzględna gościnność, iż np. organ p. Gladstona: *The Nineteenth Century*, nie rzadko szczyci się spółpracownictwem kardynała Manning'a w rozprawach o kwestyach szkolnych i t. p., a niemniej eklektyczna *Contemperary Rewiew*, chętnie swe łamy otwiera kardynałowi Newman: i tak myśl katolicka swobodnie z łona protestanckiego czasopisma płynie ku większości czytelników różnych wyznań, i prawda sąsiaduje nieraz z błędem w ciasnej oprawie jednorazowego przeglądowego zeszytu.

Dzielni pracownicy, którzy wydobywają tak znojnie z archiwów państwowych i prywatnych rzetelny obraz przełomu reformacyjnego w Anglii, nie ustawają w swej mozolnej czynności. Wprawdzie brat Foley zamknął już siódmą seryę Pamiętników angielskich prowincyi *Societ. Jesu*, utratą wzroku przypłaciwszy skrzętne dawnych rękopisów odczytywanie, O. Morris podobnież zakończył szacowne wydawnictwo, zatytułowane wymownie: *The troubles of our catholic forefathers*, ale natomiast nowi powstają robotnicy, aby nowe też uprawiać niwy. I tak, p. t. *Narratives of scotish*

catholics under Mary Stuart and James VI., O. William Forbes-Leith, S. J. wydał świeżo w Edymburgu, jakoby pierwszą całkowitą historyę oderwania Szkocyi od jedności z Rzymem, złożoną z nieznanych dokumentów i wiadomości, które uczony autor powiązał linią jednolitego wątku. Źródła, tu zebrane, pochodzą w części z Watykanu, w części z archiwów Towarzystwa Jezusowego, a mianowicie z kolegium w Stonyhurst. Z nich jasno wypada, iż zwrot ku nowatorstwu nie był wcale ani tak nagły, ani tak chętny w Szkocyi, jak to protestanccy głoszą dziejopisarze. Owszem, przez czas długi mnóstwo dusz wśród ludu i szlachty wiernie przy starej obstawało wierze. Legat papieski z czasów Maryi Stuart donosi, że heretycy liczbą i wpływem bynajmniej nie przechodzą masy katolików. Duchowieństwo prawowierne i tam było filarem wierności dla zagrożonych przez możnowładzców monarchów. A choć zepsucie czasów i do katolickiego zajrzało Kościoła, i autor nie tai ciemniejszych stron epoki, nie brakło jednak cnotliwych, dzielnych i uczonych biskupów lub kapłanów w ojczyźnie Wiklefa i Knoxa. Atoli czynne poparcie i pomoc wciąż z Anglii płynąca dla protestantów, uniemożebniła pragnienia Maryi Stuart, aby oswobodzić swą wiarę i jej wyznawców, i zatamować rosnące wpływy kacerskich duchownych. Że te wpływy zrazu nie były samowładne, dowodem wrażenie, jakie sprawiało przybycie którego z śmiałych jezuickich misyonarzy, wedle zamieszczonych tu oryginalnych opowieści. Nie on się lękał, ale raczej miejscowe świeckie i duchowne władze ulegały pewnemu zatrwożeniu, czując dobrze, na jak niepewnym stąpają jeszcze gruncie. Przełom religijny i materyalnie nad krajem ciążąc, przyczyniał się do niepopularności nowatorów i ministrów kalwińskich. Drożyzna była straszna, całe przestrzenie ziemi niegdyś uprawianej, teraz leżały odłogiem, dochody zaś jednego opactwa, które niegdyś wystarczały na uczciwe kilkuset ludzi utrzymanie, teraz nie zaspakajały potrzeb pojedyńczego nabywcy dóbr kościelnych, a właściwie mówiąc chciwości jego i swawoli.

Z świadków tu zebranych wnioskować można, iż Jakób VI. w duszy swej skłaniał się ku wierze matki, pragnął równouprawnienia katolików, mawiał nieraz, iż więcej doznał wierności z ich strony, aniżeli od protestantów. Wszelako obawa utraty swych praw do dziedzictwa angielskiej korony, wiecznie go wstrzymywała od udzie-

lenia katolikom swobód, których w głębi serca im życzył. Gdy zaś nastała w Szkocyi przewaga Episkopalianów, los katolików niezmiernie się pogorszył, nowi bowiem kacerscy biskupi mniemali, iż na nowo podbitej przez nich ziemi o tyle tylko cierpiani i tolerowani będą, o ile sami żadnej nie okażą tolerancyi. Ztąd spotęgowanie prześladowanie, które przysporzyło temu Kościołowi powszechnemu męczenników i wyznawców.

Niniejsza książka doprowadza odgłosy misyj jezuickich w Szkocyi aż do zgonu Jakóba VI., a tak znakomicie jest opracowana, że nawet protestanccy krytycy z uznaniem i pochwałą wyrażają się o źródłowej pracy O. Forbes.

Nemezys historyczna niegdyś powoli się w biegu wypadków przejawiała. Dziś przyspieszone tętna życia i na polu suchej, chłodnej polityki sprowadzają szybko po sobie następujące dramata pomsty i kary, lub przynajmniej wyrzutu sumienia i zgryzoty. Zaledwie upadł we Francyi gabinet Juliusza Ferry, płynące z Tonkinu ku ojczystym wybrzeżom zwłoki admirała Courbet, zdawały się najwymowniejsze z dalekiego Wschodu nieść na fali potępienie lekkomyślnej byłego ministerstwa polityki. Gdy runął Gladstone, wraz naprzeciw stanęła jak blade i krwawe widmo szlachetna postać Gordona, a pośmiertne jego zwierzenia stanowią zaiste najstraszliwszy akt oskarżenia przeciw osławionemu z bezczynności gabinetowi Whigów. Tragedya rozegrana w Chartum wytworzyła w Anglii cały dział osobny piśmiennictwa. Namnożyło się publikacyj różnej wartości, tak podróży po Sudanie, jak i przyczynków do biografii i fotografii bohatera owych heroicznych zapasów. Sam Gordon dostarczył wątku do bliższego zbadania jego tajemniczego charakteru. Już dawniej znano jego listy, jego traktaty religijnej treści, z których mianowicie ogłoszone w przeszłym roku: *Reflexions in Palestina*, dosadnie malują nam ustrój wewnętrzny tego mistyka zabłąkanego w naszem stuleciu. Nic dziwnego, że go świat i społeczność dzisiejsza nie zrozumiała, a następnie i poświęciła swemu egoizmowi. Nie był to mąż wedle dzisiejszej miary, zachodził wieczny i wyraźny brak równowagi między jego usposobieniem a stosunkami i warunkami, w jakich mu żyć i obracać się przychodziło. Był to zarazem i mistyk i rycerz średniowieczny, a świeżo wydany dziennik jego ostatni *The journals of major General Gordon C. at Khartoum*, są

jakoby martyrologium owego wielkiego serca, płonącego tak czystą miłością Boga i ludzi. Przeczuwając, że ciekawość publiczna wyzyska te jego zwierzenia z ostatnich miesięcy życia, zastrzegł sobie wyraźnie, aby ich nie drukowano, dopóki sumienny wydawca nie wykreśli wszystkiego, coby się sprzeciwić mogło prawidłom miłości chrześcijańskiej. Być może, iż osobiste zarzuty zniknęły, ale to, co zostało, wystarcza, aby węgle ogniste nagromadzić na słowa całego Gladstonowego gabinetu. Gordon czuje w około siebie zdradę, ale nikogo nie oskarża: „Chrystus Pan wiedział, że go Judasz zdradzi, a jednak go nie wytykał braciom i spółuczniom. Czekał, aż fakt sam potwierdzi intencyę. Zresztą choć nie wszyscy są Judaszami, każdy może być Piotrem!“ Na każdym kroku spotkać można dowody ciągłego wpatrywania się w przykłady Mistrza. Książeczka o naśladowaniu go nie opuszcza w obozie, zachęca towarzyszów do czerpania w tem nieśmiertelnem źródle otuchy i cierpliwości. A ileż jej potrzeba wśród ciągłych zawodów! Gordon prosi tylko o 200 ludzi, i 200 ludzi Anglia nie ma dla niego. Opuszczony, zdradzony, darmo woła, że już tylko dziesięć dni oblężenie trwać może. Flegmatyczne odpowiedzi sekretarza spraw zagranicznych dziwnie brzmią wśród waru szturmu i bitwy. Żołnierz stopniowo przedzierżga się w męczennika, któremu będzie danem pić z kielicha Zbawiciela swego. Brak jasno określonej prawdy, której pełność tylko w łonie katolickiego znajduje się Kościoła, daje się uczuć w zapiskach Gordona; niemniej oddźwięki tej duszy na wskróś chrześcijańskiej tak są podniosłe, wiara jego tak wielka i gorąca, że udziela się czytelnikowi zbudowaniem i rozgrzaniem wewnętrznem. Bodaj czy w wieku naszym danem nam było podobne zachwycić tętna serca szlachetnego, które pod ciosami przeznaczenia, odzywało się nie ludzką, małoduszną skargą, ale raczej jękiem Psalmisty, wołaniem proroka na puszczy, słowem przebaczenia i miłości.

Gromadząc odgłosy z literatury bieżącej w Anglii, niepodobna pominąć działu powieści, który tamże doczekał się osobnego rozwoju, nietylko liczbą, ale i miarą i wagą. Zamiast bowiem stanowić wyłącznie odźwierciedlenie namiętności ludzkich i obyczajów epoki, powieść angielska wkroczyła w dziedzinę nauki, filozofii, ba, nawet teologii, roztrząsając w ramach fikcyjnego opowiadania najwyższe zagadnienia chwili obecnej. Fabuła nieraz bywa tylko nikłym po-

zorem do wnikania w kwestye społeczne lub religijne, które dziś bardziej niż kiedykolwiek stanęły na porządku dziennym. W każdym innym kraju, podobne zboczenia, romanse nudziłyby i nużyły czytelników, szukających wyłącznie łatwej rozrywki. Inaczej rzecz się ma w Anglii. Tam umysły zawsze były skłonne do zagłębiania się w poważnych myślach i dociekaniach, tam dusze na wskróś przesiąkle religijnością, w bieżącym wieku odczuwając tęsknotę wielką za prawdą, szukają jej na wszystkich drogach, biegną naprzemian za światłem i za błędnemi ognikami, szukając Boga, z zdumiewającą w obec obojętności innych plemion żarliwością. Ten niepokój wewnętrzny, ten głód duchowy, odźwierciedla się i w romansach. Sama zaś poczytność tej gałęzi piśmiennictwa nadaje jej znaczenie oręża, którym nie gardzą najgłębsi nawet myśliciele. Pozytywizm nie miał żarliwszego apostoła od znakomitej autorki, kryjącej się pod pseudonimem Jerzego Eliota. Szkoła p. Herberta Spencera wydała niedawno ciekawą powieść, p. t.: *Altiora Peto*, o szerokim w Anglii rozgłosie. Stopniowe zwracanie się ku prawdzie katolickiej, niezaspokojenie serc wierzących suchemi formami protestantyzmu przejawia się podobnież w mnogich powieściowych wydawnictwach. Znany filozof, Hurrelt Mallock, zstępuje w szranki z romansem XIX. wieku: *The romance of the nineteenth century*, który niezmierne wrażenie wywołał, gorsząc naprzemian i zaciekawiając czytelników. Nie pierwszy to raz szermierz doktryn spirytualistycznych występuje w szranki z bronią powieści w ręku. Przeważnie jednak zaostrzał ją dotąd ironią i h u m o u r'e m, to chłoszcząc Darwinizm w dowcipnej trawestacyi *Pawła i Wirginii*, to wyszydzając znane typy wolnodumców w *Nowej rzeczypospolitej*. Ostatnia ta powieść przedstawia niby odrodzoną społeczność, w której każdy występuje z nową, charakterystyczną a niepraktyczną i niemożliwą utopią. Wśród samych niemal karykatur, rysuje się tam dodatnio postać dziewicy świeżo na katolicyzm nawróconej, jakby wskazówką, że ona jedna znalazła drogę wyjścia i drogę prawdy, darmo przez tamtych szukaną.

W *romansie XIX. wieku*, p. Mallock spotęgował zwycięstwo złego w duszach, ku dobremu stworzonych i sposobnych, aby wykazać, jakie są skutki zwątpienia i sceptycyzmu, tego raka toczącego nasze stulecie. W tym celu zaostrzył sytuacye i obrazy, aż do gor-

szącego nieraz realizmu, co jednak nie odejmuje wartości jego głębokiemu założeniu. W około bowiem romansowej fabuły snują się dowodne zbijania wszystkich dotychczasowych teoryj i sofizmatów. Jeden tylko kościół omylić sumień nie może. Jaki kościół? tego nam autor nie powiada, zostawiając czytelnikowi sąd i wybór ostateczny. Ogranicza się zaś na przedstawieniu nieokreślonych męczarń duszy, nieznającej ani uznającej Boga, przesytu życia światowego, obłąkania serca niczem nieujarzmionego; dramat ten służy jedynie za płaszczyk dla idei. Walka sił spornych w dwojakiej naturze ludzkiej drastycznie się tu rozwija, malując nam męki wewnętrzne duszy w obec wielkich zagadnień, które sobie każdy zmyślny człowiek zadawać musi. Pełne namiętności karty, naprzemian z ustępami, poświęconymi subtelnościom kontrowersyi i dyalektyki, bezpośrednio po sobie następują. Rozbiór katolicyzmu znajduje się wśród zamiany najgorętszych miłośnych wyznań. Zdumiewa tam mięszanina fałszywych i prawdziwych wiadomości i poglądów. Argumenta najczęściej są protestanckie, ogólna tendencya katolicką, co dość trafnie określa obecny stan umysłów w Anglii. Bohaterowie do końca wahają się między niebem a ziemią, między tą lub ową konkluzyą, między prawdą a namiętnością. Jeden z nich w końcu stawia znaczące pytanie: „Alboż cała twoja nauka, wszystkie poszukiwania, naprowadziły cię na coś lepszego od katolicyzmu?“.

Na to pytanie niema stanowczej odpowiedzi, chyba w jedynym charakterze bez skazy nowo nawróconego młodego gwardzisty, który zaciąga się w szeregi duchowieństwa katolickiego. Autor zresztą w przedmowie zapowiada, iż chciał tylko wykazać zgubne skutki materyalizmu i niewiary, nie robiąc apologii żadnego pojedyńczego kościoła.

Odrzucenie spowiedzi i rozgrzeszenia kapłańskiego szkopułem o jaki się roztrącają dążności katolickie autora. To samo spostrzegamy w powieści p. Ihorthouse, p. t.: *John Inglesant*, gdzie bohater już już zawija do rzymskiej przystani, aby się znów cofać, dlatego tylko, iż przyrodzona hardość nie dozwala mu skłonić czoła ani przed władzą duchowną papieża, ani przed rozgrzeszającą dłonią kapłanów. Autor chcąc dzisiejszy niepokój dusz i umysłów odźwierciedlić, przenosi nas w epokę niemniejszego zamięszania pojęć, w wiek XVII., naznaczony ogólnym, niemal religijnym i filo-

zoficznym przełomem. Z pośród współczesnych myślicieli, zaraz na wstępie wyprowadza materyalistę Hobbes'a, i opisuje zetknięcie się z nim swego bohatera. John Inglesant pyta: Gdzie jest prawda? na co Hobbes odpowiada: że dzierżyciele władzy są zarazem i rozdawcami prawdy. Zrażony tą zupełnie wówczas nową doktryną młodzieniec odchodzi smutny, aby gdzieindziej szukać prawdy, i ten jest punkt wytyczny najdziwaczniejszych odtąd przygód, wędrówek iście błędnego rycerza, za niedoścignionym ideałem religijnym. Autor należy jeszcze do tej zużytej szkoły pisarzy, która wszędzie i zawsze widzi ukrytą działalność Towarzystwa Jezusowego. I tu więc Jezuici grają tajemniczą i wszechwładną rolę, tem bardziej, iż bohater spotyka po długich kolejach sławnego a potępionego przez Rzym teologa hiszpańskiego Molinosa, i z wszystkich doktryn roztrząsanych w ciągu długiej opowieści, najbardziej przylega do herezyi przez wyznawców kwietyzmu głoszonych. Przeniesiona do Włoch akcya, pod wpływem słońca południowego, zabarwia się najpiękniejszym kolorytem i świetnością obrazów. Są tu ustępy, którychby się katolicki pisarz nie zaparł, zwłaszcza w opisach Rzymu i Bazyliki św. Piotra. Atoli fabuła wije się tylko na to, aby mnożyć dyskusye religijne, podawać sposobność dla coraz to nowych sporów, i z umysłu znów bohatera do żadnej stanowczej nie doprowadzić konkluzyi. Nie znalazłszy w żadnej formie religijnej absolutnej prawdy, John Inglesant na tem kończy orzeczeniu: iż prawda tylko w nas samych się znajduje, i że zasób jej rośnie, gdy jej usilnie szukamy.

Dumna ta zasada stanowi ostateczne słowa książki, która jest wyrazem nurtującego dziś w Anglii niepokoju duchowego. Autor jej zwątpił o anglikańskim kościele, lęka się podbojów niewiary, najbardziej może przechyla się ku jakiemuś połowicznemu katolicyzmowi, przejmującemu niemal wszystko, czego kościół naucza, z zastrzeżeniem się przed wpływem i przewagą Jezuitów i Rzymu, wedle utartego przez protestanckich pisarzy komunału.

Uderza w tej powieści jakaś niestateczność i chwiejność, zdumiewająca u tak wytrawnego pisarza, w dziele zwolna wypracowanem. Otóż chwiejność ta nam się wydaje tu rozmyślną, dla skrystalizowania w bohaterze ogólnego dziś w Anglii usposobienia dusz.

Te dwa przewodnie utwory, które słusznie nazwano szkołą teologicznego romansu, nie stanowią wyjątku w spółczesnej literatu-

rze angielskiej. Wspomnijmy jeszcze Buchanan'a: *God and the man* Hardy'go *Laodicean*, nareszcie bezimiennego autora powieść zatytułowaną *Philochristus*, rzekome pamiętniki ucznia św. Pawła, Onesyma, który obiega Wschód dla sprawdzenia autentyczności ksiąg ewangelicznych i dla zbijania napaści racyonalistów niemieckich.

Charakterystyczny to rys dzisiejszego prądu umysłów w Anglii, i jako taki zasługiwał na osobne zaznaczenie. Zresztą i tam, w tej ojczyźnie najbujniej rozrastającego się nowoczesnego romansu, dział ten literatury schodzi zbyt często na wyjałowione dziedziny banalnych fikcyj i pospolitych opowiadań. Fajerwerki bezmyślne autorki kryjącej się pod szczególnym pseudonimem Ouida, zaledwie rozświecają niekiedy dość szarą powszedniość ogólnej powieściowej produkcyi. Wspomnijmy jeszcze głębsze niekiedy opowiadania p. Grenville Murray, który naprzykład snuje dzieje pewnego powieściopisarza, głośnego z skandalicznych tworów. Poślubia on młodą, niewinną istotę, i w czci swej a miłości, jeden jej tylko stawia warunek, aby nigdy ksiąg jego nazwiskiem podpisanych się nie tknęła. Po dwóch latach szczęścia i cnoty, ciekawość kobieca wiedzie młodą oblubienicę do zakazanych krynic, czyta dzieła męża, zatraca wiarę, poczucie obowiązku i moralności, spokój domowy w proch się rozpada, i już, już na zawsze ma ona opuścić rodzinne progi, gdy w tem znachodzi zrozpaczonego małżonka u stóp tego krzyża, który pod wpływem jego pism, został wyrzucony z wspólnej komnaty...

Nie oddalimy się zbytecznie od powyższego działu piśmiennictwa, wspominając na tem miejscu dwutomowe *Życie* sławnej powieściopisarki, kryjącej się pod wsławionem przez się pseudonimem Georga Eliot. Mąż jej, z pozostałych w tece papierów, wysnuł rodzaj autobiografii o tyle zawodnej, iż odjął jej cechy poufniejsze, a zostawił raczej filozoficzno-abstrakcyjną, te głównie przytaczając fragmenta z listów i zapisków żony, które kierunek jej rozumowań i myśli przedstawiały. Nie tego się zaś szuka w autobiografii. Rozum na pisanych dziełach swe piętno zostawia, w pośmiertnych zwierzeniach szukać się zwykło serca, ciepła, tajemnic duszy i życia.

Podobnąż zagrobową pracę podjął obecnie Lord Lytton, kreśląc wizerunek ojca sławnego Bulwera, wedle własnych jego listów i wspomnień. Autobiografowie przewodnich powieściopisarzy są zresztą na porządku dziennym. Niedawno Trollape opowiedział dzieje

swego życia i pióra, świeżo Kingsley zapoznał świat z trudnościami zawodu i współzawodnictwa autorskiego. Owe zwierzenia angielskich literatów zwykle bywają nader zajmujące, choćby zestawieniem idealnego kierunku i zajęcia z praktyczną stroną życia, która tak drastycznie u nich zawsze występuje. Pióro rzekomo przez byłego dyplomatę zaostrzone, wprowadziło nas w środek społeczności angielskiej. Żwawe i barwne zapiski, noszące tytuł: *Society of London*, poważniejsze robią wrażenie od poprzednich, bodaj różnego pochodzenia obrazów z wiedeńskiego i berlińskiego świata. Tu zwłaszcza szkice dworskie są niezrównane, bądź gdy autor w kilku rysach maluje szarą, nudną powszedniość życia królowej Wiktoryi, jej usposobienie małomieszczańskie, upodobanie w świetnych pogrzebowych obchodach, i t. p., bądź gdy przechodzi w weselsze otoczenie księcia Walii, który gra rolę figuranta, potrzebnego w każdem święcie krajowem i przy każdej uroczystości, a który w miarę, jak się przybliża ewentualność jego następstwa, odpowiedniejszą też królewskiej godności przybiera powagę. Wizerunki głównych postaci dworu i rządu mniej dla oddalonych mają bezpośredniego interesu, za to ogólne rysy ciekawe, np. znikania przywilejów rodowych w obec wszechwładzy mamony. Arystokracya coraz mniej znaczy, plutokracya jej miejsce zabiera. Wkraczanie i wciskanie się Niemców we wszystkie zawody, dotąd przez Anglików czystej krwi zajmowane, niemieckie spółzawodnictwo na polach krajowego przemysłu i zarobku, grożą prawdziwem niebezpieczeństwem. Ciekawą jest charakterystyka społeczności angielskiej, gdzie zewnętrzne karby tak wyglądają surowe, pozory tak bywają zachowane i uszanowane, ale pozory tylko. Rzadko gdzie znaleść można więcej zepsucia i złego, a kodeks moralności jedno tylko zda się zawierać prawidło: oto, aby się nigdy nie dać schwytać na gorącym uczynku, i przestrzegać do końca zewnętrzne *decorum* prawdziwego *gentleman'a*. Byle głośnego skandalu nie było, złe i zepsucie nikogo nie zdziwi, ani zgorszy.

I w Anglii, jak w całym świecie, dyplomacya znika wraz z wykwintnością i ogładą dawnych wieków. Ztąd roczniki i wspomnienia ostatnich jej przedstawicieli osobnego nabierają znaczenia i wdzięku. W zeszłym roku Lady Georgiana Bloomfield przeprowadzała za sobą czytelników z dworu petersburskiego na wiedeński i berliński. Obecnie, za pozwoleniem lorda Granville, wydała urzędową kores-

pondencyę teścia swego, byłego posła przy dworze szwedzkim, między latami 1822 a 1833. Historyk niemało tu znajdzie wiadomości do dziejów spółczesnych. Występuje mianowicie na tle owych listów trafny wizerunek Bernadottego, który z prostego żołnierza, igraszką losów dostał się aż na tron szwedzki. Rozeznać można psychologiczne odmiany, zdziałane różnicą położenia. Gdy rok 1830 wstrząsa posadami królestw, niedawny żołnierz rewolucyi najgoręcej się oburza, najgwałtowniej radzi użycia bagnetów i krwawych środków represyi, bo nie czuje owego węzła serdecznego, nie posiada owych ojcowskich wnętrzności dla ludu swego, które cechują dziedziczne dynastye i uwidoczniają się w starych monarchiach i monarchach. W niczem do Napoleona niepodobny, Bernadotte podobnież jak dawny wódz swój nienawidził owej rewolucyi, której był dzieckiem. Był to człowiek dość pospolity, ale rozsądkiem genialny, a szaloną pamięcią wyrównał niejedne swego wykształcenia braki. Polityczne i dworskie wiadomości przeplatają się w listach lorda Bloomfield, który aczkolwiek z natury dworak, nie skąpi słów, pełnych szacunku dla dawnej dynastyi szwedzkiej, tych Wazów, z których już zaledwie jedna latorośl, księżniczka Albertyna, mieszkała w kraju rodzinnym, i to w nader zacieśnionych stosunkach materyalnych.

Rozciekawiające niezmiernie całą Anglię pamiętniki Karola Greville ukazały się w drugiej części, nierównie mniej od poprzedniej seryi zajmującej, skoro obejmuje już bliższe nas lata od 1837 do 1852 r., a więc owo panowanie królowej Wiktoryi, która tyle namnożyła już zwierzeń publicznych, dotyczących dworskiego i rodzinnego jej życia. Najlepszą część tych zapisków stanowią niewątpliwie żałobne wspomnienia. Ilekroć bowiem która postać wybitna znikała z pośród żyjących, natychmiast długoletni sekretarz rady państwa kreślił mistrzowski wizerunek i charakterystykę zmarłego, zkąd powstała cała galerya z życia zdjętych portretów.

Oczywiście, naród żeglarzy, obfitego dostarcza zasobu opowieści podróżnych. Z pośród znacznego kontynentu odłogów wędrownych, zawsze najciekawsze płyną od bieguna północnego, który niby magnetyczną siłą a sfinksową tajemniczością ku sobie wabi coraz liczniejsze ofiary. Z dziedziny tej literatury polarnej, krwawemi zapisanej głoskami, wspomnieć należy publikacye, odnoszące się do wyprawy komendanta Greely. Groźne i straszne to dzieje, godne

stanąć obok martyrologium Sir John'a Franklin, lub komendanta *Jeanetty*, kapitana De Long. Z pośród wszystkich mniej lub więcej autentycznych dokumentów do tej bolesnej tragedyi, warto przeczytać książkę, p. t. *The rescue of Greely by commander Schley*, który z zapóźnioną przybył odsieczą. Wyprawa ta, pod względem geograficznych podbojów, zostawia daleko po za sobą wszystkie dotychczas uskutecznione północne wycieczki. Chęć prześcignienia dawniejszych eksploratorów, podobno głównym była bodźcem amerykańskich przedsiębiorców i komendanta Greely. Przekonawszy się o niedostatku krótkich pobytów w tych lodowatych strefach, postanowiono tam razem do trzech lat rozciągnąć zakres badań podbiegunowych, i na takiż czas zaopatrzony oddział mężnych pionierów nauki wylądowano w Discovery Cove, w sierpniu 1881 r. Odtąd corocznie przez lat trzy statki, wysylane z Stanów Zjednoczonych, letnią porą miały nawiedzać dobrowolnych wygnańców i nowe im dowozić prowianty i zasoby. Tymczasem zaraz następnego roku okręty ponownie nie zdołały się zetknąć z ludźmi komendanta Greely, ani nawet potrafiły do umówionego dotrzeć miejsca. W r. 1885 jeden z statków się rozbił, inne wróciły nic nie zdziaławszy, a co gorsza, z olbrzymich zapasów, słanych na odsiecz nieszczęśliwym, zaledwie drobną cząstkę zostawiono na lodowatych wybrzeżach, resztę przez bałamuctwa i pedantyzm administracyjny odwożąc napowrót do Stanów Zjednoczonych. Nareszcie w lecie 1884 r. kapitan Schley dotarł do obozowiska, gdzie dogorywało już zaledwie siedmiu z licznego niegdyś zastępu podbiegunowych rycerzy. W tak opłakanym znajdowali się już natenczas stanie, iż kilkogodzinna zwłoka odsieczy jużby żadnego nie zastała przy życiu. Nic tragiczniejszego nad opis tego, co wybawcy zastali w namiocie chroniącym dogorywających. Jeden wywlókł się był na powietrze, i na widok mundurów marynarskich, z dawną służbistością wyprostował się jeszcze, aby się zdobyć na ukłon wojskowy. Na odgłos ludzkich głosów, z wnętrza namiotu podniosły się niby okrzyki, nieprzechodzące jednak siłą słabego szmeru. Wewnątrz okropny przedstawiał się widok: „Z jednej strony, tuż przy wejściu leżał na pozór nieżywy już człowiek, z szklannemi oczyma, nieruchomemi członkami, opadniętą szczęką. Po drugiej znajdował się nieborak bez rąk i nóg, z łyżką przytwierdzoną do ramienia. Dwóch siedziało w środku, ostrożnie coś nale-

wając z gumowej butelki do cynowego imbryka. Naprzeciwko, na ręku i kolanach oparty, leżał mężczyzna z czarną splątaną brodą, świecącemi oczyma, odziany w poszarpany szlafrok, i czerwoną na głowie czapeczkę. Na widok wchodzących podniósł się nieco i włożył okulary. Kto jesteś? spytali nowo przybyli. Zagadnięty nic nie odpowiedział, błędnemi spoglądając oczyma. Kto jesteś? ponownie spytano, na co jeden z ludzi się odezwał: Jest to Major... — Major Greely! (taką bowiem w wojsku piastował rangę). — Greely, azali ty to jesteś? zagadnął jeden z przywódzców, biorąc za rękę nieszczęśliwego. „Tak jest, odrzekł Greely urywanym, złamanym głosem, szukając wyrazów — „siedmiu nas zostało... aby tu umrzeć... jak na mężczyzn przystało... zrobiłem to, na co tu przybyłem... wyścignąłem dotychczasowe badania“... i opadł w tył bezsilny.

Sam Greely dotąd nie wydał ścisłego z swej wyprawy sprawozdania. Kapitan Schley bardzo ostrożnie się po niektórych ślizga przedmiotach. Dotąd tedy trudno rozstrzygnąć, azali zarzut kanibalizmu, poczyniony oddziałowi Greely'go, jest oparty na prawdzie. Tyle pewnego, iż Greely okazywał największy niepokój co do nietykalności, pogrzebanych opodal zwłok swych towarzyszów niedoli, kiedy zaś mimo jego próśb gorączkowych odkopano owe szczątki, pokazało się, iż u sześciu trupów spore kawałki ciała były odcięte. Tak więc głośny dramat yachtu *Mignonete*, na którym umierająca z głodu załoga młodego majtka poświęciła, aby się jego krwią i mięsem nasycić, prawdopodobnie się gdzieś pod biegunem powtórzyła, tak przyrodzona w człowieku dzikość, pod wpływem ostateczności niedoli, szakalowe w nim budzi zawsze instynkty.

Przerzucając bibliograficzne z Anglii doniesienia, uderza obecnie przedewszystkiem niezmierna przeważka ilości nad jakością. Książek nowych moc olbrzymia, dzieł obchodzących ogół ludzkości coraz mniej. Najwięcej bywa źródłowych wydawnictw, o lokalnem znaczeniu, a więc ksiąg miejskich lub parafialnych z minionych stuleci, prowincyonalnych studyów i monografii, lub nareszcie starych dokumentów i korespondencyj. W liczbie tych ostatnich najważniejszy przyczynek historyczny stanowi umiejętny katalog listów i aktów Henryka VIII., sporządzony wedle archiwów państwowych przez p. Gairdner. Wychyla się stąd w całej nagości potwór ukorono-

wany, który gwoli rozpasania własnych namiętności oderwał Anglię od Kościoła, a to uprzytomnienie powodów secesyi i następnie ogłoszonej supremacyi królewskiej nad sumieniami, aż w podwalinach wstrząsa już i tak porysowaną budową Anglikanizmu.

M.

Catalogue général des manuscrits des bibliothèques publiques de France; *bibliothèque Mazarine.* Tome I. 528 pag., in 8.

Wydawnictwo niniejsze spełnia długoletnie życzenie uczonego świata, dając możność badania, porównania i odnalezienia rozpierzchłych po księgozbiorach całej Francyi rękopisów. Zamierzając dać ich opis, zaczyna autor od biblioteki Mazarina, której dzieje przebiega p. Franklin, dzisiejszy kustosz księgozbioru. Z tego historycznego rysu dowiadujemy się, z jakiem zamiłowaniem gromadził kardynał Mazarin druki i rękopisy i jak się one rozpierzchły za Frondyjskich rządów. Powracający do Paryża Mazarin zastał pustki, które nową pracą i nowym kosztem zapełnił, tworząc księgozbiór obszerniejszy jeszcze.

Po śmierci kardynała odarto z najcenniejszych zabytków jego ulubione dzieło, przenosząc je do bibliotek królewskich. W księgozbiorze jednak noszącym dziś jeszcze imię założyciela, zachowało się do obecnej chwili najmniej 4000 rękopisów. Znaczna ich część pochodzi z klasztorów przez rewolucyę zamkniętych, inne zostały dla księgozbioru nabyte.

Katalog zaś przedstawia się, jako praca bardzo staranna, i ze znajomością rzeczy wykonana. Autorem jej jest p. A. Molinier, bibliograf doświadczony i zamiłowany w swoim zawodzie. Dla potwierdzenia słów naszych, zwracamy uwagę znawców i miłośników bibliografii na wypracowane już krytyczne i dokładne opisy 1066 rękopisów, które autor w I. tomie zamieścił.

Katalog w przyszłości ma podobno obejmować trzy tomy. Podział zaś, jakiego się autor trzyma, jest następujący: teologiczny, prawniczy, historyczny, sztuk pięknych, literatury, rozmaitości i bibliografii, bez różnicy, w jakim języku rękopis. Wyjątek stanowić tylko będą greckie i wschodnie rękopisy.

M. S.

La vie d'un poète. Édouard Turquety (1807—1867), Etude biographique, par *Frédéric Sautnier.* Paris 1885.

Sztuczny rozgłos, roznoszący w najdalsze strony imiona kilku francuskich poetów, których dzieła raczej na wieczne zapomnienie zasługują, olśniewa mimowoli oko, i nieraz z pewną niemal boleścią przychodzi się zapytać: Czemuż w kraju tak katolickim jak Francya, tak trudno spotkać się z prawdziwie katolickim poetą; czyżby ten naród tak daleko już miał upaść, iż zdolen wydać tylko rewolucyjnych wieszczów, iż najwyższe zagadnienia, odnoszące się do człowieka i całej ludzkości, do wiary i Boga, już go nie zajmują? Nie, jak zawsze, tak i dziś, miała Francya swych szczerze katolickich poetów, tylko że o nich, jakby na dane hasło, cicho i głucho w całej antyreligijnej, czy obojętnej prasie. Stąd z prawdziwą radością witamy biograficzne studyum o Edwardzie Turquety, wskrzeszające jakby z zapomnienia tego mało znanego wieszcza,

a mało znanego, bodaj, czy nie właśnie z tej przyczyny, iż nigdy nie przestał być i zwać się katolikiem, i zawsze za swe przekonania z otwartą przyłbicą walczył.

Najgłośniejsi dowódcy romantycznej falangi, powstałej w pierwszych dziesiątkach wieku: Wiktor Hugo, Alfred de Vigny, Deschamps, nie szczędzili starań, by zaciągnąć Turquety'ego w swe szeregi. Ale młody Bretończyk zbyt wysoko cenił przekonania swe i zasady złożone już w zupełności w pierwszych „Próbkach poetycznych", by na ślepo poddać się komendzie, która w danej chwili mogła go zaprowadzić do nieprzyjacielskiego obozu. Zresztą rewolucya r. 1830 przecięła możliwe wątpliwości; Turquety stanął po stronie zwyciężonych Burbonów, a bardziej jeszcze po stronie bardzo ospale przez nowy rząd bronionej wiary katolickiej. Zbiorek wierszy „Amour et foi" rozpoczynał się prześlicznem wyznaniem wiary, bez żadnych zastrzeżeń: „Katolicyzm, katolicyzm, dawna religia dni minionych, panuje nad dniami nowemi. Pierwszą i jedyną ideą mej książki jest Chrystus, wciąż i zawsze Chrystus". Tenże sam niezmienny program zawiera się już w samym tytule trzeciego z kolei zbiorku: „Poésie catholique". „Dziś nie rozchodzi się, pisał poeta w przedmowie, o sztukę religijną, ale wyłącznie o sztukę katolicką. Czas już aby wiara i poezya złączyły się z sobą nierozerwalnemi węzłami. Czas, aby dwie te szlachetne siostry, zbyt długo rozłączone, postępowały teraz razem w jednym szeregu pod tą samą chorągwią, z tem samem hasłem na ustach: Kościół, oblubienica Chrystusowa!"

Pisząc te słowa, Turquety wiedział dobrze, iż mimo, że taki np. Brizeux porówna jego poezye do obrazów Zurbarana i Murilla, przecież do ziemskiej sławy drogę sobie niepowrotnie zamyka. Jeden z najlepszych jego przyjaciół Saint-Beuve, ofiarowywał mu w usługi swe niemal wszechmocne pióro, byle w swych wierszach mniej kładł nacisku, mniej stanowczo się wyrażał w kwestyach religijnych. Turquety odpowiedział w „Hymnes sacrées", w miluchnych „Fleurs à Marie" i w wydanym dopiero po śmierci poety „Un acte de foi". Łamy „Révue des Deux-Mondes" nie otwarły się dla nazwiska nieprzejednanego katolika, co nazwisk Boga, N. Panny i Świętych nie używał tylko dla poetycznego efektu, co nie zmieniał ich w jakieś mitologiczne bóstwa lub romantyczne duchy, ale z dziecięcą wiarą cześć im oddawał. Za to dla prawdziwego katolika, wiersze Turquety'ego, są prawdziwą pociechą i balsamem dla serca. Nie dojdzie on nigdy do sławy Wiktora Hugo, melancholicznego Lamartine'a, lub de Vigny, ale będzie świadectwem, że i Francya dziewiętnastego wieku, miała swego prawdziwego katolickiego poetę, pod względem treści wyższego o całe niebo, pod względem czaru wyrażenia, ledwie o jeden stopień niższego od wysławionych swych mistrzów słowa. *B.*

Des rapports du Sacerdoce avec l'autorité civile à traves les âges et jusqu'à nos jours, au point de vue légal, par *Horoy*. 2 vol. de 460, 577 pp.

Wzajemny stosunek państwa do Kościoła nie od dziś, nie od Grzegorza VII., ani od Henryka IV. zajmuje umysły. Jak świat niemal stary, naprzeciw lub obok siebie stały trony i ołtarze, a rzadkie tylko były chwile, w których siła duchowa potrafiła utrzymać w należnych granicach siłę materyalną. Dać ogólny obraz tych walk między ziemską a duchową potęgą, skreślić ich sto-

sunek przez wszystkie wieki, aż do dni naszych: myśl to bezwątpienia wielka, ponętna, ale wymagająca niesłychanej erudycyi i więcej jeszcze praktycznego sądu, zdolnego zoryentować się w stosie dokumentów, sprzecznych zdań, niewyjaśnionych stronnic historyi. Erudycyi nie brakło księdzu Horoy. Jak dowiadujemy się z tytułu, jest on doktorem prawa francuzkiego, rzymskiego i kościelnego, doktorem teologii i nauk ścisłych i t. d. Z licznych przypisków, dodanych do każdej stronnicy, widać, że autor trudził się niemało, badał źródła i rękopisy, prowadził obszerną korespondencyę z misyonarzami, z uczonymi, ba! nawet z różnemi ministeryami.

Los nie sprzyjał księdzu Horoy'owi przy mozolnych poszukiwaniach. Przez siedemnaście miesięcy zbierał i porządkował dokumenty, gdy pewnego pięknego wieczora ogień od niezgaszonej świecy przedarł się do zapylonych stosów nagromadzonych notat, i ani jednej, choćby tylko na pamiątkę nie zostawił. Ksiądz Horoy nie stracił ducha, z żelazną energią rozpoczął na nowo pracę. Pisał zbierał, pracował gorączkowo, jakby bojąc się, by mu nie starczyło życia, lub by znów jaki niszczący żywioł nowej mu psoty nie wyrządził. Ale zbyt gorączkowa robota rzadko kiedy wydaje arcydzieła; ztąd też praca księdza Horoy, która przy staranniejszem zredagowaniu mogłaby być dziełem monumentalnem, wygląda raczej na bardzo obszerny, bardzo zajmujący plan przyszłego dzieła, niż na ostateczne mistrzowskie słowo o walce między Kościołem a państwem. Doktor teologii, pomija przecież ogólnikami najważniejsze teologiczne pytania; doktor wszelkich możliwych praw, obawia się widocznie stanowczo i śmiało rozstrzygnąć niejedną kwestyę prawną, zdawałoby się jasną nawet dla profanów. Coraz to ciekawsza i ważniejsza nota pędzi po nocie; nieznany fakt dogania następny, jeszcze ciekawszy fakt; ale w tem wszystkiem brak organicznej jedności, perspektywy. Lecz nie wszystkim dano być artystami. Ksiądz Horoy przygotował farby i płótno: może z czasem znajdzie się malarz, co używając tych mozolnie zebranych materyałów, wymaluje olbrzymi obraz odwiecznych zapasów między Kościołem a państwem. Byłby to dalszy ciąg „Miasta Bożego“, godny przedmiot największego geniusza, obejmujący i wyświecający samą istotę dziejów, od Boga stworzonej i do Boga przez Kościół koniecznie dążącej ludzkości. *B.*

Z pism peryodycznych.

VII. Stimmen aus Maria-Laach. Katholische Blätter. Jahrgang 1885. Zweite Hälfte.

„*Stimmen aus Maria-Laach* wydawane przez wypędzonych „z Niemiec Jezuitów, pisał niedawno temu protestancki organ *Lit-* „*terarische Centralblat*, są najlepiej redagowanem czasopismem „w Niemczech“. Sąd ten przez nieprzyjaciół wydany, zdaje się usprawiedliwiać bogactwo treści, żywość w przedłożeniu rzeczy i głębokie ujęcie przedmiotów w niem zawartych. Przerzućmy tylko

zlekka ostatni tom. Znajdziemy tam różnorodne kwestye spółczesne, astronomię, zoologię i meteorologię w wielu artykułach traktowane, obok tego znajdują miejsce: historya, sztuka, literatura, biografie i podróże.

Autor znanej Teologii moralnej O. Lemkuhl podejmuje w kilku zasadniczych artykułach z punktu moralności najżywotniejsze w Niemczech kwestye polityczne. W artykule *Wort über Freiheit der Rede*, rozbiera kwestyę: na jak rozległą wolność zdania i prasy może zezwolić państwo. Zasady Kościoła pod tym względem są jasne, i najlepiej postąpiłoby państwo do nich się stosując. Religia chrześcijańska jest nadprzyrodzonym dobrowolnym darem. Mogłoby absolutnie istnieć państwo bez chrystyanizmu, ale czyż i w takim razie mogłoby się ono wyprzeć wszelkiej religii i porzucić wszystkie zgoła obowiązki względem Boga? Taki krok byłby upadkiem dla każdego porządku prawnego, upodleniem rozumu, taki krok byłby podkopaniem wszelkich węzłów społecznych. Krzyczącego bowiem państwo dopuściłoby się bezprawia, gdyby dozwoliło, by w imię wiedzy lepszą część ludności gnębiono i wyszydzano dla jej religii. Powtóre niezatartemi głoskami na sercu każdego wyryte, że różnica między dozwolonem i niedozwolonem, między cnotą i występkiem, wywodzić się musi od jakiegoś najwyższego prawodawcy, któremu wszyscy ludzie ulegać muszą. Kto temu zaprzecza, ten burzy podwaliny wszelkiego prawa, i broni wolności stanowi dzikiemu właściwej. Uznało to nowoczesne państwo i zasadę swą o wolności zdań prawami przeciw socyalistom wydanemi przykróciło. Ale czy to wystarczy? Ci w imię wiedzy zwalczają to, co każdy rozumny człowiek uznać musi, choć zostają pod opieką państwa i na jego żołdzie czyż nie są w istocie zdrajcami ojczyzny, gorszymi od tych, co armię w ręce wrogów wydają? I przeto tacy nie zasługują na zaufanie publiczne, jakiego wymaga piastowanie publicznych urzędów. W innym artykule tenże sam autor traktuje kwestye *Versicherung und Versicherungszwang*. Choć to rozporządzenie jeszcze nie dojrzało, wielu jednakże upatruje w nim złotą dolę przyszłości, dla niektórych nawet klas społeczeństwa przymusowe zabezpieczenie zostało przepisami uregulowane, ciekawem więc będzie pytanie: jak się ma prawo moralne względem zabezpieczenia, a powtóre: czy przymusowe zabezpieczenie może być usprawiedli-

wionem. Troska o przyszłość jest uzasadnioną i przeto wzajemne ubezpieczenie się jest słusznem, zawiera nawet ślad jakiej takiej miłości bliźniego. Wobec wzajemnego zabezpieczenia się, żadnej nie czyni trudności pytanie, czy dozwolonym jest procent od wkładkowego kapitału; inaczej jednakże przedstawia się kwestya, kiedy idzie o prywatne zabezpieczenie. Jeśli przedtem byłto układ na los szczęścia, to dziś prawo ma przeszkodzić zbogacaniu się zabezpieczonego, lecz czemuż również nie stoi na przeszkodzie zbogacaniu się zabezpieczającego? Zabezpieczenie dogadza może żydowskiemu kapitalizmowi, ale nie zgadza się wcale z zasadami chrześcijańskiemi. Zabezpieczenie wedle okoliczności może być albo dobrodziejstwem albo i ciężarem; ale przymusowe zabezpieczenie w każdym razie jest nader wątpliwej wartości. O ile zabezpieczenie jest dobrodziejstwem, nie potrzebuje ono żadnego przymusu, o ile jest ciężarem, naturalnie zachodzi pytanie, na czem się on opiera, co go usprawiedliwia? Przymus sam przez się naprowadza myśl na państwo. Bezpośredni przymus państwo może wywierać bez niesprawiedliwości na urzędników, bo z nimi zawiera kontrakt, na mocy którego rzeczywista pensya nie równa się nominalnej, część jej bowiem odciągana ma służyć na zabezpieczenie. Inaczej ma się rzecz z robotnikami. O. Lemkuhl jest tedy zdania, że chlebodawca może być od państwa zmuszonym do zabezpieczenia swoich robotników, inaczej zrzucałby tylko na gminę obowiązek, na nim ciężący. *Wahlrecht und Wahlpflicht,* to trzeci artykuł pióra tego samego autora. Skoro wybory są choćby dalekiem uczestnictwem w rządach, wyborcy pamiętać powinni na owe słowa: „Przez mię królowie królują“ [1].

Im ważniejsze toczą się sprawy, tem większy obowiązek mają postępowania w tym duchu. Pytanie zachodzi tu, czy może katolik głosować na kandydata, z którego zapatrywaniami się nie zgadza. O. Lemkuhl podnosi pięć punktów, które przecząc jego odpowiedź uzasadniają. Odnośnie do obowiązku głosowania konieczną rzeczą odróżnić wybory gminne od państwowych. W pierwszych łatwiej może ten obowiązek ciążyć na wyborcy. Grzechem śmiertelnym będzie niedopełnienie tu swego obowiązku, kiedy się schodzą te dwa warunki: najprzód, jeśliby w razie abstencyi kandydat pożądany dla

[1] Przyp. r. VIII. w 15.

mniejszości absolutnej lub też relatywnej upaść musiał, powtóre, jeśliby przez upadek tego kandydata groziło niebezpieczeństwo, iż w ważniejszych rzeczach większość wystąpi przeciw dobrej sprawie. Wogóle zasadą jest, że odsunięcie się od wyborów nie na pochwałę, ale raczej na naganę zasługuje.

Wielkiej doniosłości są dwa przedewszystkiem artykuły treści historycznej: *Vorgeschichte der Bartholomäusnacht* i *Roms Stellung zur Bartholomäusnacht*. W pierwszym skreślone okrucieństwa popełnione przez Hugonotów, którzy w 1555 jednę tylko, a w 1562 około 2.000 gmin posiadali. W tym roku wedle ich sprawozdań zamordowali 4.000 zakonników, 12.000 mniszek zbezcześcili, spustoszyli 20.000 kościołów, 2.000 klasztorów i 90 szpitalów. W drugim artykule odpiera O. Duhr potwarz często na Stolicę świętą rzucaną, jakoby Papież pochwalał postępowanie króla z Hugonotami. Czemuż zapłakał Papież na tę wieść? a spytany o powód, odpowiedział: Płaczę nad wzbronionem od Boga postępowaniem króla. Spotykamy się też z kwestyą często w nowszych czasach omawianą, a porusza ją O. Drewej w artykule: *Bischof Leslie über Maria Stuart, Moray und Bothwell*. Jesto właściwie tłumaczenie pracy sławnego biskupa z Ross, którą archiwum Watykańskie przechowuje. Ciekawą również kwestyę omawia znany literat i historyk O. Kreiten: czy sfałszowanem jest wyznanie wiary Woltera z roku 1769. Wynik jego poszukiwań, który autentyczność tego dokumentu stwierdza, gruntownie jest uzasadniony.

O. Hagen astronom prowadzi czytelnika na firmament niebieski, by go obznajomić z nowszemi badaniami astronomii. W jakim stanie znajduje się słońce, skąd czerpie swe ciepło, jakie środowisko pośredniczy w jego działaniu. Podobne pytania rozjaśnia i co do księżyca, wykazuje wreszcie, że nawet i co do ziemi naszej a mianowicie, co do jej wielkości i kształtu nie posiadamy dokładnych wiadomości. Nie brak różnych wiadomości o planetach, asteroidach, nebulach i nebulozach, a wszystko to nietylko gruntownie ale i zajmująco wyłożone. Po wędrówce niebieskiej zstępuje znów czytelnik na ziemię w dwóch artykułach, obejmujących historyę i organizacyę meteorologicznych stacyj w północnej Ameryce.

W dzieje przedhistoryczne ziemi zacieka się O. Wasmann. *Die Entwicklung der Instinkte in der Urwelt*. Z lżejszej lektury

z nieporównanym wdziękiem skreślone opisy podróży z Islandyi przez O. Baumgartena, również zajmujące biografie Chamborda, kardynała Schwarzenberga i inne.

Każdy zeszyt dopełniają liczne recenzye dzieł znakomitszych przez ludzi fachowych dokonane. Dalej krótko omówione książki godne polecenia a w końcu luźne wiadomości, niestosujące się do artykułów, znajdują w Miscelaneach swe pomieszczenie.

Ks. A. Arndt.

VIII. Revue Catholique des institutions et du droit i zjazdy prawników katolickich francuskich.

Wypadki zaszłe w Paryżu w r. 1871, okazały w całej grozie zgubne konsekwencye idei rewolucyjnych. Umysły głębsze we Francyi, nie dające się powodować szałem, który hasła rewolucyjne wywołały w rozbestwionym motłochu, dostrzegały z przerażeniem coraz to wyraźniejsze rysy na wielowiekowym gmachu jednego z najpotężniejszych mocarstw; widziały ze smutkiem rozczepiające się najsilniejsze ogniwa sprzężone dotąd w olbrzymi łańcuch instytucyj społecznych i prawnych, uświęconych samemże prawem przyrodzonem, jak małżeństwo, rodzina. Prysło najważniejsze tegoż łańcucha ogniwo, łączące ustrój prawny i społeczny państwa francuskiego z Bogiem; pierworodna córa Kościoła w szale namiętności szybkim zdążała krokiem do zrealizowania rzekomego ideału nowożytnych statystów, do państwa bez Boga, — *l'Etat athée.* Chcąc powstrzymać swą ojczyznę w tych szalonych a zgubnych zapędach, pragnąc ją wciąż ostrzegać przed zdradnemi doktrynami ludzi, którzy narzucali się jej na kierowników; coraz liczniejsze grona mężów dobrej woli, ufnych w Opatrzność Bożą, poczęły się kupić około jednej wielkiej myśli, tj. aby ateistycznym teoryom prawnym i społecznym przeciwstawić niezbite zasady państwa chrześcijańskiego, tudzież podać sposób, w jaki takowe należy nanowo wprowadzić w życie prawne i społeczne. Aby urzeczywistnić ten szczytny cel, trzeba było przedewszystkiem rozpatrzyć z pochodnią wiary w ręku fundamentalne kwestye, dotyczące wszelkiego w życiu ludzkim porządku, a zatem stanowisko jednostki w organizmie państwowym, jej prawa i obowiązki, tj. kwestyę wolności indywidualnej wobec państwa, następnie

należało zwrócić uwagę na pierwotny, najnaturalniejszy związek ludzi, tj. na rodzinę, roztrząsnąć jej atrybucye, uwzględnić kwestyę wychowania i nauczania, zastanowić się nad najważniejszym czynnikiem we wszelkiej społeczności, jakim jest władza nad jej podstawą i zakresem, nad jej stosunkiem do Boskiej instytucyi Kościoła, tudzież do innych stowarzyszeń, którym różnorodne kierunki potrzeb ludzkich dały początek. Oto kwestye, które złożyły się na główną treść programu peryodycznego pisma prawniczego, które pod redakcyą licznego zastępu prawników francuskich poczęło w grudniu 1872 wychodzić w Grenobli, pod tytułem: *Revue catholique des Institutions et du droit.* Nagły postęp ustawodawstwa francuskiego w kierunku idei rewolucyjnych, wywołał pomiędzy wyznawcami chrześcijańskiego w świecie porządku, grupującymi się w coraz to liczniejsze po miastach francuskich komitety i stowarzyszenia, potrzebę wzajemnego porozumiewania, wspólnego badania kwestyj programowych: nasunął też myśl ściślejszej organizacyi poszczególnych komitetów. Takowa urzeczywistnioną została za pomocą rok rocznie odbywanych zjazdów prawniczych, z których pierwszy urządzono w r. 1876 w Lugdunie, następne: w Grenobli, Bourges, Angers, Perigueux, w r. 1881 powtórnie w Lugdunie, potem w Reims, Nantes, Dijon, ostatni w r. 1885 znowu w Lugdunie. Idąc za przykładem wielu pomniejszych komitetów, obrano wspomnione *Revue des Institutions* za stały organ zjazdów, w którym zamieszczano sprawozdania gruntownie przeprowadzonych obrad, skupionych około jednego zasadniczego tematu, jak np. około kwestyi własności na kongresie w Nantes, lub około kwestyi nauczania na ostatnim zjeździe lugduńskim. Rzeczony *Przegląd* nadawał się ze wszech miar do nowego swego przeznaczenia. W ciągu bowiem kilkoletniego istnienia objął cały szereg cennych traktatów, roztrząsających zasadnicze kwestye porządku prawnego i społecznego, którego też dzielnie bronił w każdym poszczególnym przypadku przed objawami wgryzającej się w takowy anarchii — i trzymając wysoko sztandar św. Wiary, stał silnie i odważnie na straży tak bardzo we Francyi zagrożonych interesów religii i Kościoła. Tak szczytne, ożywione świętym zapałem, a wytrwałe przedsięwzięcie, musiało bądź co bądź w coraz szerszych kołach we Francyi utwierdzić przekonanie, że porządek prawny i społeczny, silnie zachwiany rewolucyą, wymaga koniecznie

niewzruszalnej podwaliny, której szukać należy nie w mrzonkach wszechwładztwa ludowego, lecz w woli Boga, Stwórcy i Rządcy wszech rzeczy, — objawionej człowiekowi jako niezmienne prawo Boże, zawartej w Dekalogu, a rozwiniętej i uzupełnionej w nauce Kościoła katolickiego. To też wielki papież Pius IX., oceniając doniosłość działalności prawników francuskich dla dobra Kościoła i społeczeństwa, za pomocą wspomnionego czasopisma, wystosował do jego redakcyi już na d. 19 kwietnia 1873 r. breve, zawierające w sobie te pamiętne słowa: „Ateizm państwowy zachwiał gwałtownie i wielkie zadał klęski waszej przesławnej ojczyźnie. Cieszymy „się, widząc was z odwagą walczących z tą śmiertelną zarazą, skupiających swe szlachetne usiłowania dla dobra i sławy waszego „kraju i dla ustalenia porządku społecznego. A jeżeli wielką zasługę „dla społeczeństwa ludzkiego trzeba przyznać tym, którzy usiłują „podać odpowiedni środek przeciw temu lub owemu cierpieniu, „o ileż większe uznanie spotkać winno gorliwość waszą, którzyście „przedsięwzięli silnie obwarować twierdzę, odbudować jej prawdziwe „i trwałe fundamenta, które jedynie mogą zapewnić pomyślność „i szczęście narodów“. Nie szczędził też redakcyi *Przeglądu* zachęty J. Świątobliwość papież Leon XIII., który na dniu 8 maja 1879 między innemi w te do niej odezwał się słowa: ...„Wy podajecie „jeden jedyny środek dla odwrócenia tych strasznych klęsk:... powrót „do Sprawcy porządku, do prawideł odwiecznych sprawiedliwości, „których Kościół, oświecony światłem Bożem ma zadanie nauczać „i tłumaczyć takowe. ...Zachęcamy was jak najusilniej, abyście „gorliwie prowadzili dalej to zbawienne dzieło. ...Rokujemy waszej „pracy obfite owoce i nagrodę odpowiednią jej użyteczności i wytrwałości waszych usiłowań“.

Zamieszczane rok rocznie w *Revue des Institutions* sprawozdania z kongresów prawniczych, przyczyniły się jeszcze do podniesienia wartości naukowej tego czasopisma; takowe utworzyły szereg cennych, osobno przez jego redakcyę wydanych a w związku ze sobą zostających rozpraw o kwestyach pierwszorzędnego znaczenia, jak: Kościół i państwo, wolność i państwo, o własności, o cezaryzmie i socyaliźmie państwowym, do których dodać należy również staraniem redakcyi ogłoszoną historyę soboru watykańskiego, tudzież

studyum o artykułach organicznych, ze stanowiska prawa narodów, prawa cywilnego i kanonicznego.

Redakcyę *Przeglądu* składają obecnie, oprócz Lucyana Brun, senatora i adwokata przy trybunale apelacyjnym w Lugdunie, który przewodniczy corocznym zjazdom, przeważnie profesorowie katolickich wydziałów prawniczych w Paryżu, w Lugdunie Marsylii, Angers, Lille i w Tuluzie tudzież kilku adwokatów. *Revue des Institutions* wychodzi co miesiąc w zeszytach 5–6 arkuszowych, mieszczących w sobie oprócz kilku artykułów, jużto ogólnej naukowej treści z zakresu prawa, już też roztrząsających praktyczne przypadki z dziedziny sądownictwa lub administracyi we Francyi, w których zagrożone były interesa religii i Kościoła, lub też pogwałcone zasady porządku prawnego i społecznego, — nadto kronikę miesięczną z ogólnym poglądem na najważniejsze wypadki tak w kraju jak i za granicą, przedstawiające szczególny interes dla prawnika katolika — wreszcie zapiski bibliograficzne. Rocznik ostatni obejmuje częściowe sprawozdania z obrad zjazdu prawniczego w Dijon na temat: „Cezaryzm i socyalizm państwowy“, tudzież z ostatniego kongresu w Lugdunie o kwestyi nauczania, na którym pomiędzy innymi Dr. Walter Kaempfe z Salcburga zdawał sprawę o stosunkach szkolnych w Austryi i w Niemczech; obok takowych zawiera obszerniejsze artykuły, jak: o konkordacie z r. 1801; o Wolnomularstwie w obec wewnętrznej polityki belgijskiej; o własności literackiej, o granicach prawa nadzoru nad zaniedbaniem dzieci, o teoryi władzy według rzymskich jurystów, o przyszłości rządów ludowych, o prawie narodów w starożytności, o liceach żeńskich i t. d. Głośna sprawa nielegalności dekretu z 26 maja 1885, odbierającego katolikom kościół św. Genowefy, patronki Paryża, z okazyi zgonu Wiktora Hugo, przeciw któremu to rozporządzeniu prezydyalnemu wymownie protestowali w Izbie deputowanych hr. de Mun, tudzież pp. de Ravignan i Lucyan Brun w Senacie, znalazła również w zeszycie wrześniowym *Revue* gruntowny rozbiór prawniczy, pióra Dra Besson.

Dr. Brzeziński.

Rozmaitości.

Czy są dobre powieści francuskie? Są potoki więcej szkody przynoszące roli, niż korzyści. Gdy ich nie można groblami powstrzymać, trzeba przynajmniej bieg ich regulować.

Takim potokiem jest czytanie powieści. Nie wdając się w tej chwili w rozbiór szkód, jakie ten potok, coraz więcej wzbierający, roli serc i umysłów przynosi, zwracam tylko na to uwagę, że nie jedna grobla, regulująca jego bieg, dałaby się bez żadnej trudności postawić.

I tak, księgarnie polskie, wypożyczalnie książek, czytelnie, wystawy na dworcach kolejowych przepełnione są powieściami francuskiemi, które dziwnym trafem, wszystkie są złe i wszystkie drogie. Z naszego handlu księgarskiego wnosząc, sądzićby można, że Francya tylko takie produkuje. A tymczasem Francya wydaje corocznie na świat mnóstwo powieści dobrych i tanich, a niemniej interesujących, i często prawdziwą posiadających literacką wartość.

Są we Francyi firmy prawdziwie katolickie jak: Retaux-Bray, Mame, Poussielgue, Lecoffre, których wszystkie wydawnictwa bez wyjątku zasługują na polecenie i mogą być czytane bez szkody wiary i obyczajności.

Są pisarze niepospolitego pióra jak: M. Maryan, Raul de Navery, Devoille, Zénaide Fleuriot, de Lamothe i t. d., którzy stosując się do wymagań czasu, poświęcają swój talent pisaniu powieści, zdolnych do zajęcia umysłu i bogacenia wyobraźni, bez narażenia serca.

Są katoliccy wydawcy, którzy najlepszych powieściopisarzy zagranicznych, jak Walter Scott'a i Cooper'a z doborem i potrzebnemi poprawkami po francusku wydają.

Są osobne szeregi wydawnictw i tak zw. biblioteki katolickie (tj. nieobrażające uczuć katolika), zastosowane do rozmaitych klas umysłowości: dla młodzieży, dla dzieci, dla ludu, jak: *Bibliothèque des familles et des maisons d'education*, wydawana przez *Mame*, w 6 różnych formatach, jak: *Bibliothèque de la jeunesse chrétienne*, w całości potwierdzona i pochwalona przez Arcybiskupa z *Tours*,

potem *Bibliothèque édifiante*, *Bibl. de l'enfance chrétienne* i t. d. A wszystkie te wydawnictwa, od góry do dołu, odznaczają się bardzo niskiemi cenami.

Nie chcemy wcale robić reklamy powieściom, ani w ogóle namawiać do ich czytania; nie uznajemy tej czczej strawy za potrzebną; ale kiedy się je czyta, chcielibyśmy nieszkodliwe miasto złych podstawić.

Na dziś wymieniam: z katalogu księgarni Retaux-Bray (82 rue Bonaparte, Paris).

M. Maryan: Chez les autres. — Un Mariage de convenance. — Un Legs. — L'Envers d'une dot. — La Fortune des Montligné. — Anne du Valmoël. — En Poitou. Scènes de la vie de province. — Kate. — Lady Frida. — Mademoiselle de Kervallez. — Primavera. — Clémentine de la Fresnaye. — Le Roman d'un médecin de campagne.

Michel Auvray: L'Ambitieuse. — Le Secret de la chambre verte. —

Pierre Bion: Le Doigt du commissaire, ou les Progrès de l'époque. — La Fille de la pétroleuse, faisant suite au Doigt du commissaire.

Frédérique Bremer: Guerre et paix. Scènes en Norvège.

Mme Bourdon: Les Belles années. — La Vie réelle.

Charles Buet: Irène Bathori.

Alfred des Essarts: Les Coeurs dévoués. — La Richesse des pauvres.

(Każda z powyższych powieści 2 franki).

Z księgarni Lecoffre (rue Bonaparte 90 Paris):

D'Ethampes: l'Héritage du Croisé.

Fleuriot (Zénaïde): Alix. (2 vol.). — Armelle Trahec. — Aventures d'un rural. (2 vol.). — Ce pauvre Vieux! — Charybde et Scylla. — Deux Bijoux. — Faraude. — Marga. — Mes Héritages. — Miss Idéal. — Mon Sillon. — Notre Passé. — Petite Belle. — Les Pieds d'argile. (2 vol.). — Une Année de la vie d'une femme. — Une Chaîne invisible. — Une Histoire intime. — Un Fruit sec. (2 vol.).

La Landelle: Le Manoir de Roswen. — La Route de l'exil. — Duguay-Trouyn. — Les Enfants de Ravinol. — Phylon Bynome, ou le Jeu de la fortune. — Les Quarts de jour, l'Orient et l'Occident. — Quarts (deuxièmes)de jour, les Epaulettes d'amiral. — Quarts (troisièmes) de jour, le Chevalier Paul. — Quarts (quatrièmes) de jour, l'Esclave de luxe. — Quarts (cinquièmes) de jour, le Premier Tour du Monde. — Quarts (sixièmes) de jour, Fortunes de terre et de mer. — Les Quarts de nuit, Brest et Toulon. — Quarts (deuxièmes) de nuit, Parrain et Filleul. — Quarts (troisièmes) de nuit, Thomas Coquille. — Quarts (quatrièmes) de nuit, Tablettes navales. — Quarts (cinquièmes) de nuit, Aventures de Madurec. — Quarts (sixièmes et derniers) de nuit, les Enfants de la mer.

Lavergne (Mme J.-O.): Les Etincelles.

Marcel (Etienne): Avec et sans dot. — Juliette — Renée. — Un Drame en province.

Nettement (Mlle Marie-Alfred): L'Epave. — Geneviève.

(Każdy tom 2 franki).

Z księgarni Blériot (quai des Grands Augustins 55):

Charles Buet: Le Crime de Maltaverne. — Les Rois du Pays d'or. — Les Chevaliers de la Croix-Blanche. — L'Honneur du nom. — Philippe Monsieur. — Le Maréchal de Montmayeur. — Hauteluce et Blanchelaine. — François le Balafré. — La Dame Noire de Myans.

Cooper (édition corrigée): Le Cratère ou le Robinson américain. — Le Corsaire Rouge. — Le Dernier des Mohicans. — L'Écumeur de mer. — Le Lac Ontario. — Les Pionniers. — La Prairie. — Le Tueur de daims.

Deslys: La Balle d'Iéna. — L'Ami du village (Maître Guillaume). — Le Blessé de Gravelotte.

Devoille: Abeli. — Andréas ou le Prêtre soldat. — Apostats et martyrs. — L'Astre du soir. — La Bohémienne. — Le Cercle de fer. — La Charrue et le Comptoir. — Le Château de Maîche. — La Cloche de Louville. — Les Croisés. (2 vol.). — La Croix du Sud. — La Dame de Châtillon. — Déception. — Les Deux Lyonnais. — Les Deux ombres. — Echos de ma lyre. — L'Enfant de la Providence. — L'Etoile du matin. — L'Exilée. — La Fiancée de Besançon. (2 vol.). — Le Fruit de l'arbre. — Iréna, la vierge lyonnaise. (2 vol.). — Lucie de Poleymieux. — Mémoires d'un ancien serviteur. — Mémoires d'un curé de campagne. — Mémoires d'un vieux paysan. — Mémoires d'une mère de famille. — L'OEil d'une mère. — Les Ouvriers. — Le Parjure. — Le Paysan soldat. — La Prisonnière de la tour. — Les Prisonniers de la Terreur. — Le Proscrit. — Le Rendez-vous de famille. — Le Renégat. — Le Sac de Rome. — Le Siège de Paris. — Le Solitaire de l'île Barbe. — Le Terroriste. — Le Tour de France. — Un Intérieur. — Un Rêve. — Vengeance.

A. de Lamothe: Les Faucheurs de la Mort. (2 vol.). — Les Martyrs de la Sibérie. (4 vol.). — Marpha. (2 vol.). — Les Soirées de Constantinople. — Les Mystères de Machecoul. — Le Gaillard d'arrière de la Galathée. — Mémoires d'un déporté à la Guyane française. — L'Orpheline de Jaumont. — Le Taureau des Vosges. — Aventures d'un Alsacien prisonnier en Allemagne. — Journal de l'Orpheline de Jaumont. — L'Auberge de la Mort. — La Reine des Brumes et l'Emeraude des Mers. — Les Métiers infâmes. — Le Roi de la nuit. (2 vol.). — Les Compagnons du Désespoir. (3 vol.). — Pia la San Pietrina. (2 vol.). — Les Fils du Martyr. — Les Deux Romes. — Le Proscrit de Camargue. — Le Secret du Pôle. — Le Cap aux Ours. — Le Fou du Vésuve. — A travers l'Orient: de Marseille à Jérusalem. — Foedora la Nihiliste. — Nadiége (suite de Foedora la Nihiliste).

Walter Scott (édition corrigée): Quentin Durward. — Waverley. — Ivanhoé. — Le Monastère. — L'Abbé. — Kenilworth. — Charles le Téméraire. — Le Pirate. — Richard en Palestine.

(Tom od 1 do 3 franków).

Do Ateneum. Grudniowy zeszyt Ateneum mieści recenzyę studyum mego o Le Play'u, a właściwie krytykę formalną samej doktryny i działalności jego. Już nadanie Le Play'owi epitetu spóźnionego odkrywcy, dowodzi, iż p. WW. musi albo mało bardzo znać Le Play'a, albo go wcale nie rozumie. Lekceważenie mistrzowskich monografij rodzin, nagrodzonych przez Akademię francuską najwyższą nagrodą, — oraz niezrozumienie, że dążność Le Play'a do podźwignienia rodziny może być pożyteczną praktycznie, gdyż jaką rodzina, takiem społeczeństwo — wykazują dosadnie, że recenzent za śmiało we „wrażeniach literackich" porusza tak głębokie kwestye. — Przypisywanie Le Play'owi, jakoby „naiwnie „wyobrażał sobie, iż koncentracyę życia przemysłowego w miastach wytworzyło „tylko zamiłowanie do rozrywek i przyjemności miejskich", to istotnie na naiwność zakrawa. Odsyłam p. WW. do *Organisation du travail* 3 ed. 1871, str. 425, lub *Constitution Essentielle*, str. 63. Ale p. WW. zaprzecza nawet, iżby możliwemi i pożytecznemi były trwałe zobowiązania pracodawcy z robotnikiem, ignorując fakta powszechnie znane. Z listy 42 nagród wystawy powszechnej w Paryżu 1867, udzielonych „warsztatom pracy, gdzie dobrobyt, „stałość i harmonija panują", — przemysłowcom obu półkul świata przytoczę najpopularniejsze tylko firmy: Kruppa w Essen, Haas'a i Wertheima w Wiedniu. Niemniej zwrócę uwagę p. WW. na bliższe nam fakta stosunku do robotników w Czechach pod Garwolinem pp. Hordliczków, w Warszawie pp. Temler i Szwede, etc.

W końcu dodać winienem, iż nie „narzucam" Le Play'owi, jak mniema p. WW. „sympatyj" dla katolicyzmu, ale twierdzę i licznemi cytatami z dzieł jego i listów wykazuję, iż poszukując prawdy drogą eksperymentu, bez uprzedzeń a z dobrą wiarą i dobrą wolą wyszedłszy z ateizmu, doszedł przez deizm do katolicyzmu i tem samem stanowi głośne, potężne zaprzeczenie wziętej dziś wielce teoryi Comte'a o odwrotnym pochodzie i dojrzewaniu wykształconego umysłu. Wystarczy odczytać, jak odpiera on zarzut, iż katolicyzm nie harmonizuje z wolnością ludów i najlepszemi aspiracyami współczesnego ducha (ob. Org. du travail, cały §. 41). Prawda, że Le Play, pragnąc w duchu miłości i pokoju reformować idee, chce zbliżyć ludzi dobrej woli i miłujących pokój wszelkich wyznań (nietylko chrześcijańskich), i dlatego obrał jako grunt wspólny wszystkim: Prawo Boże — dekalog. Ale kiedy stąd p. WW. wnosi, „że Le Play wszystkie religie chrześcijańskie za równie dobre uważa", widać, że nie czytał co Le Play w *Organ. du Travail* mówi o zgubnym wpływie herezyi Lutra i Kalwina na pokojowy rozwój cywilizacyi, albo jaką rolę przeznacza katolicyzmowi w reformie społecznej (ob. Reforme sociale, wyd. 6, t. I. str. 201). „Nie przestanę tego powtarzać moim ziomkom: potęga ludów leży w praktykowaniu prawdziwej religii, a więc na nas katolikach ciąży odpowiedzialność za przyszłość Francyi". (Tamże. Str. 159. Przypisek z 1872 r.) Nie podnosiłbym wcale słabej i niewłaściwej krytyki Le Play'a, lecz pomieszczenie takowej w poważnem naukowem piśmie zniewala mię ostrzedz czytelnika, by w błąd nie został w dobrej wierze wprowadzony co do małoznanego u nas znakomitego francuskiego myśliciela-socyologa. *A. Breza.*

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Trzeba nam się obznajmiać z wiedzą i wielkim przemysłem Zachodu. — Żeśmy do tego zdolni, pokazuje się z czasopisma: „Pomoc własna“ i z zadziwiającego przemysłu jaki się rozwinął w okolicy Kołomyi. — Przeszkody jakich tenże doznawał od zagranicznych szalbierzy, i rozwój samodzielny jakiego dosiągł obecnie. — Żegluga powietrzna między Chalais i Paryżem. — Siła wodospadu użyta do oświetlania Quebeku. — Atlas fotograficzny nieba. — Humbug astronomiczny.

Żyjemy na kresach wielkiej ojczyzny cywilizacyi Zachodu, zbiegiem nieszczęść i okoliczności nieprzychylnych, brakiem wspólnych prac i wzajemnych interesów bardziej niż — mało już dziś w rachubę wchodzącą — geograficzną przestrzenią oddaleni od głównych ognisk ruchliwego życia, praktycznej wiedzy i przedsiębiorczości... Przygniatająca nas, w dodatku do innych, niewola ekonomiczna nie dozwala nam, jak mówimy powszechnie, postępu w niczem, nędza materyalna kraju nie dopuszcza u nas prawdziwego rozkwitu nauk praktycznych, ani przemysłu... z drugiej zaś strony, rzeczą jest pewną, że brak odpowiednej wiedzy i pola do pracy utrzymuje nas koniecznie w stanie materyalnej nędzy... Oto *circulus vitiosus* naszego położenia!... Czyż nie ma wyjścia z tego zaklętego koła?... Skoro nie można rzucić się od razu w odmęt wielkiego przemysłu, bo to przy braku środków i warunków po temu, istnem niepodobieństwem, czyż nie możnaby zacząć od tego, co bezwarun-

kowo mniej kosztowne a w zakresie siły woli każdej jednostki leżące?... czyż nie można zacząć od nauki?... od tej wiedzy, co nietylko kształci umysł, lecz także budzi coraz to nowe odkrycia i przedsiębiorstwa, rodzi wielki przemysł, wielkie rękodzielnicze warsztaty i poprawia dolę ludzką na ziemi, powołując do pracy ciągle nowe legiony, do pracy skutecznej, której owocem bogactwo narodowe, dające siłę i potęgę, nam do przetrwania naszej niedoli, bardziej jeszcze niż innym potrzebną? Wszak produktywnymi jesteśmy pod względem artystycznym i literackim, produkcya ta jednakże nie ma zdrowego gruntu, póki nie ma dla swych dzieł w kraju należytego zbytu. Jakaż może być przyszłość sztuki, gdy po za artystą nie masz możnego kupca, fabrykanta, ani rękodzielnika, jak to bywało w Grecyi i we Florencyi i wszędzie, gdzie sztuka naprawdę zakwitła. Obok rzeczy pięknych trzeba umieć tworzyć rzeczy potrzebne, a nietylko nam samym potrzebne lecz i zagranicy... Widnokrąg praktycznej wiedzy trzeba rozszerzyć, wyrobić w sobie zmysł do niej na większą skalę, wyćwiczyć rozum i wolę w kierunku zbiorowej, samoistnej a wytrwałej pracowitości z duchem inicyatywy i samopomocy. Zdaje mi się, że tylko tegoż jednego nam brakuje, bo zdolności do wszystkiego na świecie nikt nam nie odmówi. Potrzeba więc rozbudzać w sobie i w innych drzemiące siły... a że nic bardziej jak *exempla trahunt,* potrzeba przedewszystkiem mieć na oczach to co inni szczęśliwsi, dawniej już rozbudzeni zrobili i ciągle robią... Dlatego też w myśl Redakcyi *Przeglądu powszechnego* z miłą chęcią zapisywać będę w tej nowo otwartej rubryce najnowsze i najważniejsze odkrycia, wynalazki i wysiłki ludzkie, jakoteż postępy w naukach przyrodniczych, rozwój ludzkości w kierunku produktywnej pracy warunkujące. Podawać będę wiadomości o tem wszystkiem w krótkich notatkach, o ile robić to można z pomocą kilku pism zagranicznych li tylko temu poświęconych żeby świat wiernie i treściwie informować o jego postępach.

Aby zaś przekonać nawet pesymistów których niestety u nas coraz więcej — jak i w naszym kraju w kierunku praktycznym wiele dokazać można, gdy tylko szczęśliwa myśl przedsiębiorcza u ludzi z głębszem wykształceniem, z obywatelskiem poczuciem i z chęcią do pracy sposobny grunt do działania sobie obierze, zacznę — nie

od zagranicy — lecz przytoczę parę ustępów z nowego pisma „Pomoc własna“ które jako dwutygodnik wychodzić ma od 1 stycznia 1886 r. w Kołomyi! Właśnie otrzymałem pierwszy numer „na okaz“, w którym artykuł wstępny: Świat dziwów i cudów ze wszech miar zasługuje na uwagę... jakiś nowy duch z niego wieje. Autor[1] poznawszy Kołomyję po raz pierwszy przed pięciu laty, mówi: „że zdawało mu się, iż felietoniści wiedeńscy pp. Franzos i Sacher-Masoch nie mają racyi, wrażenie bowiem pierwsze było nie pół Azyi, ale całej Azyi... krainy zastoju i martwoty, gdzie pod pozorną malowniczością kryje się głucha jednostajność i niezmienność... Przy bliższem poznaniu jednak pierwsze wrażenie ustępuje wręcz przeciwnemu uczuciu i to zaklęte i zacofane na pozór Pokucie odsłania się jako kraina dziwów i niespodzianek... Przedewszystkiem jest tutaj podstawa materyalna przyszłego rozwoju, pełno soków żywotnych... miasto Kołomyja jest organizmem żyjącym i rozwijającym się siłą nieprzepartą nietylko warunków naturalnych potrzeb miejscowych ale i pracy mrówczej i skrzętnej, acz często nieumiejętnej, bo ostatecznie skarby przyrody i warunki naturalne tylko dla tych istnieją, którzy umieją i chcą z nich korzystać. Złoto australskie nie było skarbem dla dzikich Australczyków... a siła wodna Prutu nie była skarbem od stworzenia świata aż do owej chwili z przed kilku laty, kiedy umiejętni młynarze szląscy założyli młyny tartakowe w Kołomyi, dając dobry przykład krajowcom nietylko pracy użytecznej, ale też i życia skromnego i niepraktykowanej uczciwości. I teraz jeszcze nieużyta siła wodna Prutu od Tartarowa do granicy rosyjskiej przedstawia wartość milionów reńskich rocznie, ale nikomu się dotychczas nie chce brać tych milionów... Pan Zsolnay i jego córki założywszy fabrykę ceramiki, słynną na cały świat, nadali milionową wartość glinie węgierskiej z Fünfkirchen, kołomyjska glina również dobra, nawet mamy tu 80 warsztatów garncarskich, których wyroby rozchodzą się całemi wagonami do Rumunii i aż do Czarnego morza. Mamy garncarzy, którzy wiedzeni tym bezwiednym instynktem, objawiającym się tak często w pracy ludowej, nadają tym wyrobom cechę oryginalną i arty-

[1] Domyślam się że nie kto inny, tylko p. Stanisław Szczepanowski, który po kilkunastoletnim pobycie w Anglii w służbie Kompanii Indyjskiej, przed pięciu laty osiadł w kraju, jako współwłaściciel kopalni Słobodzkiej.

styczną — ale gdzież jest umiejętne zużytkowanie tych sił przyrodzonych? Na miłość Boską, czemu na pięćset panien w Kołomyi i okolicy nie mamy choć jednej panny Zsolnay?... Przed pięciu laty na wystawie, przemysł młynarski był jeszcze jedynym przemysłem tutejszym, prowadzonym na skalę fabryczną i już rozsyłał milionową produkcyę swoją do Niemiec, Czech i Węgier. Przemysł zaś naftowy, który teraz rozniósł imię Kołomyi aż do Ameryki, był jeszcze w niemowlęctwie..." Tu autor opowiada żywo początki i historyą rozwoju tegoż przemysłu w Słobodzie i kończy: „Teraz już wszyscy przywykli do szeregu prawie nieprzerywanego wozów czarnych, usmolonych furmanów, lub bałagułów z transportami surowca z kopalni, lub też do czystych wozów i chłopów ze staranuie niebiesko pomalowanemi beczkami destylowanej nafty, wlokących się noga za nogą na przestrzeni od kopalń do dworca kolejowego. Teraz uśmiechamy się na wspomnienie, że przed pięcią laty każdy przejazd furgonu lub bryki naładowanej próżnemi beczkami, zdążającemi do Słobody, był wydarzeniem zwracającem ogólną uwagę i że próżnym beczkom towarzyszył przez miasto orszak ludzi, kalkulujących wiele to złota te beczki nazad przyniosą. Transport pierwszej lokomobili ciągnionej przez cztery pary koni był procesyą tryumfalną!... A teraz 70 maszyn parowych pracuje w kopalni, liczba ta się pomnaża prawie co tygodnia, ale to już nie zwraca niczyjej uwagi, chociaż rzeczywiście godnem jest zastanowienia, że w tak odległej miejscowości wyrobił się w kilku latach przemysł, który już teraz zatrudnia więcej maszyn parowych aniżeli jakakolwiek miejscowość w kraju, nie wyjąwszy Lwowa i Krakowa.. Tych kilka lat streszcza w sobie długą historyę, która kiedyś powinna znaleźć swego kronikarza, historyę pełną kalejdoskopijnej rozmaitości, dramatyczności, ale zarazem i nauki. Była febra naftowa, nawet kilka paroksyzmów coraz to słabszych tej febry, były nadzieje przesadne i zawroty głowy, oszołomienie unoszące ludzi po nad szrankami rzeczywistości, również zawody i rozpacze, i tuż przy celu marzeń ruina bezpowrotna; były i zazdrości i waśnie, śmiertelne nienawiści, ale też i toasty i uczty, przyjęcia marszałkowskie, śluby i wesela za rekojmią tej nafty podziemnej, którą praca, zasługa, dowcip lub szczęście miało niechybnie, niewątpliwie wnet na wierzch wyprowadzić!... Ale z tych wszystkich uczuć jedno, z początku słabe, stale się rozwijało,

i przetrwało wszystkie inne; to poczucie, że wszyscy razem dokładamy ręki do wielkiej pracy narodowej, do rozwoju sił żywotnych kraju i pożytku dla ludności coraz liczniejszej, zatrudnionej przy tym przemyśle... Mieliśmy hyeny naftowe, *chevaliers d'industrie* rozmaitych gatunków, wydrwigroszów, awanturników i szarlatanów z obu hemisfer, gründerów i szwedzkich i niemieckich, angielskich i francuskich procesowiczów i wirtuozów w układaniu kontraktów, prawdziwych uczonych i astrologów naftowych, badaczów sumiennych geologii i ekspertów frymarczących swem nazwiskiem i swą reputacyą... Wszystko to przeminęło, jak komety złowrogie na odwiecznym firmamencie, a ludzie pracy pozostali i przetrwali. Już coraz wyraźniej wyrabia się cały zastęp przedsiębiorców fachowych, łączących pracę zawodową i wytrwałą z poczuciem obowiązków publicznych i dzięki temu stopniowemu przeobrażeniu się z pierwotnej rozterki i z pierwotnego zamięszania, wyrobiła się w Słobodzie harmonia i łączność wszystkich żywiołów, ożywiona duchem wzajemnego zaufania... Jak ów nafciarz suchotnik, który wytrwale pracując, wprawdzie niewiele nafty znalazł, ale przez ciągłą zdrową pracę na świeżem powietrzu suchot się pozbył i zdrowie cenniejsze od nafty odzyskał, tak i my z początku, w znacznej części przynajmniej zagrzani tą żądzą złota i pragnieniem zysku osobistego, wprawdzieśmy jeszcze fortun nie porobili, aleśmy uzyskali to, co jest lepsze od fortuny: przyzwyczajenie i wrobienie się do pracy produktywnej — poczucie własnych sił — zapewnienie jutra dla nas i dla zatrudnionej ludności, i jasno wytknięty cel dalszych usiłowań... Co osiągnięto w Słobodzie jest nowym dowodem, że przecież te nasze tradycye obywatelskiego samorządu coś znaczą, te tradycye, które otworzyły krakowskie Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń i te Towarzystwa kredytowe ziemskie, które były wzorem dla Europy... Popatrzcie na Słobodę, na kopalnie zachodniogalicyjskie pod wpływem polskim i obywatelskim i porównajcie z tem piekłem wyuzdanych namiętności w Borysławiu i Polanach pod wpływem obcoplemiennych wyzyskiwaczy... Jak u pojedyńczego człowieka wszystko co on zawdzięcza trafowi, okolicznościom lub szczęściu, przemija, a tylko zostają te zasoby, które on czerpie w samym sobie, w głębiach własnego charakteru, tak i potęga narodu lub miasta zawdzięczającego swą pomyślność chwilowemu zbie-

gowi okoliczności... nie jest zbudowaną na trwałej podwalinie, której jedynie dostarczyć może własna praca twórcza, korzystanie z hojnie wszędzie równą miarą rozdzielonych darów przyrody i zdolności przemysłowych ludu..."

„Otóż na tej drodze widzę największą możliwość prawie nieograniczonego rozwoju naszego miasta... Nietylko już istniejący przemysł naftowy, ale zużytkowanie pokładów węgla leżących w okolicy... prócz tego mamy jeszcze siłę wodną Prutu, która dla Szwajcarów już dawno stałaby się źródłem bogactw nieprzebranych... mając węgiel i siłę, jakiż kres położyć dalszemu rozwojowi?... Widzę lasy nadpruckie przerabiane w papier... konopie i wełnę podgórską w przędzę, płótno i sukno..., fosforyty podolskie w nawozy mineralne... nareszcie poczciwą kołomyjską glinę w czarodziejskie utwory sztuki ceramicznej..., jako dalszy konieczny warunek i skutek takiego rozwoju widzę zakłady maszynowe, dostarczające narzędzi i przyrządów tym różnorodnym gałęziom pracy narodowej..., widzę szkoły, biblioteki, teatry i muzea przedstawiające duchową stronę tego postępu..., zapewne dotychczas nie mamy tej rzeczywistości, zaledwie jej początki... a l e w s z y s t k o t o j e s t m o ż l i w e, nietylko że możliwe ale w rękach Szwajcarów, Anglików lub Amerykanów stałoby się czynem dokonanym w jak najkrótszym czasie... A jeżeli i nasi polscy wiertacze w Słobodzie w kilku miesiącach dorównali wytężeniem i zręcznością zawołanym wiertaczom kanadyjskim, mamyż my Polacy i Rusini wiecznie być kopciuszkami ludzkości, niezdolnymi nawet do naśladowania dobrego wzoru?... Wszystko jest możliwe, ale tylko pod jednym warunkiem... trzeba się głęboko przejąć prawdą ludową, że nie ma specyalnej Opatrzności, któraby ślepe kury zawsze zaopatrywała w ziarna..., kto chce widzieć niech patrzy,... nic jak dziwy!... Polacy w handlu, Żydzi w przemyśle... Od pięciu lat powstało 20 nowych sklepów katolickich w Kołomyi i wszystkim dobrze się powodzi... a Żydzi wzięli się do przemysłu i pracy pożytecznej... jeden z najlepszych wiertaczy słobódzkich jest Żydem... Ale dziw nad dziwy! Polak szlachcic, Polak akademik pracujący rękami. Wolno się każdemu przekonać, dosyć pojechać do Słobody, a spotka się cały zastęp dzielnej młodzieży o śmiałem oku, dzielnem ramieniu i uczciwej chęci, pracującej przy świdrach wiertniczych... Powtarzam: nie warto

że pracować w takiej okolicy? i czyż nie uprawniają nas te wszystkie dziwy i niespodzianki do najlepszych nadziei na przyszłość?! czyż świat dziwów kończy się na uprzywilejowanej Kołomyi? *Omnia tecum portas!*“ ...

Chciałoby się wszystko przytaczać z tego artykułu, lecz już i tak przekroczyłem o wiele granicę obiecanych krótkich notatek, co niech mi łaskawy czytelnik wybaczy, poprawię się na przyszłość, obecna chwila pod względem ekonomicznym u nas zbyt krytyczna, żeby nie rozgłaszać na wsze strony tak rzadkich u nas faktów i słów pociechy, zdaniem moim nieprzesadnych, bo sam tego lata naocznym świadkiem byłem tych wszystkich dziwów kołomyjskich. Przyszłość w tem, żeby nie myśleć że kraj nasz cały z życiem narodowym streszcza się tylko we Lwowie i Krakowie, życie na prowincyi trzeba podnieść, zagrzać, uzdrowić i rozszerzyć, a wtedy i stolice nasze inaczej będą wyglądały.

Na zakończenie kilka wiadomości z szerszego świata dziwów i cudów.

Żegluga powietrzna w aerostacie dającym sobą dowolnie sterować według pomysłu pp. Renard'a i Krebs'a święciła nowe tryumfy. W *Revue Scientifique* zwanem także *Revue Rose*, pan Renard zdaje sprawę z trzech nowych wycieczek balonem skonstruowanym w pracowni, w obozie wojskowym w Chalais pod Paryżem, skąd odbywają się próby regularnej jazdy do Paryża tam i napowrót, w obecności ministra wojny jen. Lampenona i prezydenta komitetu fortyfikacyi jen. Brissonnet'a. W pierwszej tegorocznej wycieczce powietrznej 25 sierpnia, nie udało się panu Renard powrócić do Chalais, przeciwny, bardzo silny wiatr w wysokości 250 metrów, nie dał mu wylądować tam, gdzie zamierzał, lecz w sąsiedniej wsi Villaucoublay. Po dokonaniu jednakże odpowiednich ulepszeń w aerostacie, następne dwie wycieczki we wrześniu powiodły się zupełnie, pomimo aury nieprzychylnej, aeronauci wrócili szczęśliwie do miejsca wyjazdu w Chalais, które jest pierwszym na świecie dworcem balonowej jazdy. Mechanizm cały polega na żaglu i śrubie, zdolnej bardzo szybkiego obrotu, bo do 3.600 obrotów na minutę, poruszanej elektryką, balon zaś jest postaci wydłużonego przekroju soczewki. Dotąd odbyło się z Chalais siedm prób jazdy aerostatem nowej konstrukcyi, na tych siedem prób, pięć było uda-

nych tj. takich, że balon powrócił do miejsca wyjazdu w Chalais. Szybkość jazdy zależy od szybkości obrotu śruby. Przy ilościach 35 do 57 obrotów śruby na minutę, jakie w tych wycieczkach były praktykowane, balon posuwał się z szybkością czterech do sześciu metrów na sekundę. Oświetlenie elektryczne siłą wodospadu, jest już, jak donosi profesor uniwersytetu l'Abbe Laflamme z Quebec do tygodnika paryskiego *La Nature*, faktem dokonanym w Kanadzie. W Quebeku od kilku lat już posługiwano się światłem elektrycznem z kosztowną pomocą maszyn parowych. W ostatnim roku zawiązało się towarzystwo kilku przemysłowców, które podjęło się wyzyskać w tym celu siłę wodospadu *Montmorency* na rzece św. Wawrzyńca, ośm mil od miasta odległego. Postawiony przy wodospadzie młyn turbinowy w ten sposób, że tylko dwucalowy promień wody pada na koło, wystarcza do nabicia jednego dynamosu na 35 lamp i dwóch innych na 25 lamp każdy, systemu Thomson-Huston. Dynamosy połączone są prostemi miedzianemi drutami telegraficznemi z lampami w Quebeku bez żadnej ochrony izolującej, dopiero w samem mieście druty owinięte są bawełną. Pomimo to strata elektryczności nawet podczas słoty jest bardzo mała, osłabienie prądu nie przechodzi nigdy 10 części miary Ampera tak, że wystarcza on do 80 lampionów w Quebeku jarzących się nad miastem. Takie zużytkowanie wodospadu *Montmorency* pokazało się nawet korzystniejszem niż z początku myślano, bo przyniesie kompanii, która wydała na urządzenia tylko 40.000 dolarów, rocznego zysku 5.000 dolarów; to też zamyśla to samo towarzystwo, użyć tej samej transmisyi elektrycznej do urządzenia kolei elektrycznej z Quebeku do wsi Sainte de Beaufré, o 21 mil odległego miejsca odpustowego, dokąd rok rocznie uczęszcza przeszło 100.000 pielgrzymów. Jak obliczono, siła wodospadu *Montmorency* przechodzi miarę siły 10.000 koni, szerokie jest więc pole do nowych urządzeń elektrycznych.

Będziemy mieli wkrótce kompletny Atlas fotograficzny całego nieba. Według pomysłu pp. Pawła i Prospera Henry, sporządził, jak donosi *La Nature*, p. M. Gautier dla astronomicznego obserwatoryum w Paryżu nowy instrument do zdejmowania fotografii z gwiaździstego nieba. Jestto teleskop skombinowany z przyrządem zegarowym i maszyną do fotografowania tak sztu-

czny, że pozwala lunecie przez dłuższy czas fiksować ten sam obszar nieba, akomodując się do obrotu ziemi, póki dokładna klisza z niego nie jest zdjęta. W ten sposób gwiazdy aż do 15 stopnia swej wyrazistości czyli niewyrazistości znajdują odbicie na fotografiach, obejmujących zwykle 5 stopni w kwadrat niebieskiej przestrzeni. Na jednej z takich map naliczono gwiazd 3.000. Z pomocą takiego przyrządu będzie można studyować satelity w swych obrotach i odkrywać asteroidy. Dokładne fotografie księżyca już dawno są rozpowszechnione.

Mamy wreszcie do zapisania mały *humbug* astronomiczny. Pan Gemignani, mieszkaniec doliny Teramo we Włoszech, z pomocą teleskopu długiego na 18 metrów i powiększającego 6.500 razy, odkrył wreszcie z całą pewnością mieszkańców na planecie Marsie! Dwuletnia pilna jego obserwacya sąsiedniego globu Marsowego ukoronowana została wreszcie odkryciem na powierzchni jego wielkich ognisk białych, naturalnie światła elektrycznego, którem mieszkańcy Marsa oczywiście sygnalizują do nas wiadomości o swej egzystencyi, gdyż światła te rozłożone są geometrycznie w liczbie trzech, i ukazują się zawsze tylko w pewnych godzinach. Pan Gemignani nie wątpi, że odczytamy kiedyś znaczenie tych sygnałów, jak odczytano już hieroglify, a p. Nirandin podjął się już nawet tego zadania. Dziennik *Le Ciel*, który z obowiązku kronikarskiego tę wiadomość zapisuje, przypomina przytem, że już raz dał się złapać świat uczony, na jakieś niby odkryte sztuczne kanały w liniach geometrycznych na planecie Marsie.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Sprawy Kościoła.

Encyklika *Quod auctoritate* i jubileusz na rok 1886. — List Ojca św. do biskupów angielskich. — Allokucya do Collegium kardynalskiego. — Prześladowanie Kościoła w Rzymie. — Wynik i skutki medytacyi. Prześladowanie Kościoła we Francyi. — Dar Ojca św. — Synod katolicki w Australii. — Jubileusz kapłaństwa Leona XIII. — List ks. Bismarka do Ojca św. i list tegoż do biskupów niemieckich. — Nagana banicyi przez parlament niemiecki.

Jakby w dopełnieniu wspaniałej Encykliki *Immortale Dei*, ukazała się pod koniec roku druga Encyklika *Quod auctoritate*. Pierwsza streszczała obowiązki i zadania katolików, ostrzegała przed fałszywemi prądami wieku, i wskazując drogę prawdy, normowała ściśle życie publiczne w społeczeństwie chrześcijańskiem; a że osiągnięcie wskazanych celów, że reforma społeczeństwa w duchu Bożym od reformy jednostki zależy, że jak mówią słowa papieskie: *talis est civitas, qualis populorum fingitur moribus*, aby dopomódz na tej drodze duchowego postępu, Kościół otworzył skarbnicę łask swoich i Encyklika *Quod auctoritate* zapowiada wielki jubileusz na rok 1886. Pokutę i modlitwę wskazuje Papież, jako dwa główne zadania jubileuszowego roku i wskrzesza w tej szczytnej spójni dwie najpiękniejsze postacie średniowiecznych reformatorów chrześcijańskiego życia: św. Franciszka z Asyżu i św. Dominika. Pierwszego 3-ci zakon świecki ma być środkiem przeciw miękkości obyczajów dzisiejszych, szkołą i warownią hartu, — drugiego różaniec, zalecany wiernym, jako piękna, łatwa i skuteczna forma modlitwy. Ale żeby pokuta i modlitwa cel osiągnęły, potrzeba przedewszystkiem spójni sił chrześcijańskich. Z naciskiem i powagą nawołuje więc głos papieski do łączności i zgody i poleca biskupom, żeby wszędzie, jako „stróże porządku kościelnego i ducha miłości“, bronili pokoju wewnętrznego. Streściwszy na końcu bliższe warunki jubileuszowe, zaleca Ojciec Święty jako najodpowiedniejsze cele jałmużny, seminarya i szkoły katolickie. Dwie te instytucye otaczał

Leon XIII. szczególną zawsze pieczołowitością i wszędzie popierał ich rozwój. Seminaryum w Perugii za rządów kardynała Pecci, było wzorem akademii dyecezalnej; odtąd Encykliki o historyi i o św. Tomaszu objawiły ściśle wolę papieską w tej mierze a nowe wykłady w seminarym rzymskiem są żywą jej wskazówką i przykładem. Co się zaś tyczy szkół katolickich, wymownem świadectwem, jak wielką Ojciec św. do nich przykłada wagę, jest orędzie papieskie, wystosowane świeżo do biskupów angielskich, które mówi: „Popieramy gorąco wolne szkoły... w nich kształcą się dobrzy obywatele dla państwa, bo ten najlepszym obywatelem, kto wzrastał od dzieciństwa w wierze i praktykach chrześcijańskich".

Mowa Ojca św. w odpowiedzi na powinszowania Collegium kardynalskiego z powodu świąt Bożego Narodzenia, ma znów cechę wyłącznie polityczną. Dawno już nie słyszano tak silnego i stanowczego protestu przeciw rządom Kwirynału. Wyliczywszy z kolei mnożące się z dniem każdym krzywdy i prześladowania, wspomniawszy o wniesionym do Izb projekcie prawa o rozwodzie, o nowem targnięciu się na własność Kościoła i zagrabieniu jej instytucyi, zaznaczył Leon XIII., że nawet gdyby rząd włoski uszanował Kościół i jego widomą Głowę, położenie i stanowisko papieża, wypartego z władzy doczesnej, i wtedy nawet byłoby niemożliwe i nieznośne, bo niezgodne z powagą namiestnika Chrystusowego i boskiem jego posłannictwem. Oświadczenie to jest najważniejszym dokumentem w kwestyi rzymskiej; w obec katolików nie rzuca nowego na tę sprawę światła, ale tych oświecić powinno, którzy w innych tryumfach Stolicy Apostolskiej upatrywali skutek zniesienia władzy doczesnej.

Tylokrotnie w ostatnich czasach upokorzony, w najdrażliwszej kwestyi, bo w kwestyi rzymskiej, każdem nowem powodzeniem papiestwa dotknięty rząd włoski, mści się tymczasem na wewnątrz, ścieśniając coraz bardziej żelazne koło, w którem więzi papieża. Oficyalne Włochy postawiły sobie za zadanie zmienić Rzym papieski na Rzym Wiktora Emanuela. W tym celu należało zacierać zwolna piętno katolickie stolicy: zadanie zaiste trudne, w mieście gdzie każdy kamień prawie jest żywą kościelną relikwią. Od dwóch lat skrzętnie wzięto się do dzieła. Naprzeciw Watykanu i zamku św. Anioła, więc tuż pod okiem papieża, rosną mury ogromnych koszar, przy których ma stanąć parlament i posąg twórcy jedności

włoskiej, Cavour'a, mówią o zbudowaniu mostu Garibaldego, a wreszcie w ostatnich dniach świętokradzkie ręce targnęły się na klasztor *Ara Coeli*, mający ustąpić miejsca posągowi Wiktora Emanuela. Już nietylko poczucie uczciwości, ale nawet poczucie artystyczne wzdryga się na widok takiego wandalizmu. Kościół *Ara Coeli*, dominujący nad prawą stroną wzgórza Kapitolińskiego, należy do najpiękniejszych świątyń rzymskich. W klasztorze tym żyli z kolei: św. Bonawentura, św. Jan Kapistran i św. Bernardyn Seneński, i z nabożeństwem przechowywano tam ich pamięć i tradycyę. Obok stała kapliczka *del Santo Bambino*, z oną słynną figurą świętego Dzieciątka, powszechnie w Rzymie czczoną, którą zakonnicy do konających z ostatniem błogosławieństwem nosili. Dziś klasztor, kaplica i sąsiednia wieża Pawła III.-go ulegają zniszczeniu, dla tego, że rząd zazdrości i skrawka ziemi i cienia pamiątki katolickiej na tym Kapitolu, który się ma stać antytezą Watykanu.

Medyacya papieska pomyślnym zakończyła się wynikiem. Ojciec św. przyznał własność wysp Karolińskich Hiszpanii z prawem wolnego na nich handlu dla Niemiec. Dwory berliński i madrycki zgodziły się na proponowane warunki. Przyprowadziło to naturalnie do wymian grzeczności między Berlinem a Rzymem. Kardynał Jacobini otrzymał order Czarnego Orła, a w zamian według wymagań etykiety ks. Bismark i ambasador hiszpański margr. de Molins, otrzymali order Chrystusa. Odręczne pismo papieskie towarzyszyło przesłaniu dekoracyi kanclerzowi niemieckiemu. Prasa niemiecka skorzystała z tego, żeby znów z całą nienawiścią uderzyć na *Centrum*, utrzymując że list ten jest jednym dowodem więcej, jak się Rzym chętnie do zawarcia zgody skłania, czemu wiecznie tylko stronnictwo katolickie w parlamencie zapory stawia. Na tę zużytą i sto razy już zwalczoną potwarz nie potrzebujemy odpowiadać. Całemu światu wiadomo, że wielkość i siła stronnictwa Centrum, leży przedewszystkiem w jego przekonaniach szczerze katolickich i posłuszeństwie dla Stolicy św. bezwarunkowem.

We Francyi nowy skład gabinetu pod przewodnictwem pana de Freycinet na tej samej drodze, co pierwiej politykę wobec kościoła prowadzi. O rozdziale od państwa i zniesieniu konkordatu, mowy nie ma, boby stąd za wielkie wynikły dla rządu trudności. Nie przeszkadza to jednak pokątnemu prześladowaniu. Zadaniem to

ministra wyznań p. Goblet. Mimo wymownych protestacyj biskupów francuskich, nie cofnięto rozporządzeń wstrzymujących pensye rzekomo skompromitowanym w ostatnich wyborach duchownym. Do tego przyłączyła się nowa krzywda: zatrzymano pensye wikaryuszom w gminach liczących przeszło 5.000 mieszkańców, w parafiach zaś, gdzie było dotąd trzech wikaryuszów, trzeci wikaryat całkiem zniesiono. Minister tłumaczy ten krok wymaganiami budżetu; w gruncie jestto przecież tylko nowy środek prześladowania. Nie śmiano dotąd powszechnie przeprowadzić tego rozporządzenia, i cios dotknął dopiero kilka, mianowicie bretońskich, rdzennie katolickich dyecezyj. Biskupi odpowiedzieli z godnością, a duchownych wyzutych z mienia, polecili pieczy wiernych.

W obec tak podłych napaści na kościół przez nienawistne rządy, podwójnym blaskiem jaśnieje szczodrobliwość Ojca św., który z powodu świąt Bożego Narodzenia, darował Propagandzie pół miliona franków, zebranych z prywatnych darów lat ostatnich. Przeznaczenie tej sumy na ten cel właśnie świadczy znowu o wielkiej wadze, jaką Leon XIII. przypisuje misyom katolickim.

Propaganda oglądała niedawno dojrzały już owoc długoletnich prac swych misyonarzy w Australii. Starania duchowieństwa australskiego, szczególnie arcybiskupa *Vaughan* i biskupa *Ullathorne* doprowadziły nakoniec do zebrania pierwszego synodu kościelnego z całej Australii. Nie łatwo wystawić sobie jakie wrażenie zrobiło otwarcie tego synodu na umysłach, które jeszcze pamiętają, jak niedawno światło wiary zaczęło rozszerzać się w tej nowej części świata. Dopiero z początkiem tego wieku, r. 1802 trzech irlandzkich księży, wygnańców, przybyło tu pocieszać osamotnionych katolików. Cicha i nieomal smutna była ich dola w pierwszych latach pracy; a kiedy w 1817 roku przybył do Sydney ksiądz Jeremiasz O'Flinn, niewdzięczne pole jego pracy odpłaciło się jeszcze wrogą niechęcią a nawet prześladowaniem. Dopiero kiedy przybyli tu ks. *Jan Józef Therry* i O. *Filip Connolly*, zaczął jakiś skutek ich trudów zapowiadać szczęśliwy rozwój Kościoła. Odtąd sprawa Boża postępowała szybkim krokiem; pół wieku wystarczyło do tego, żeby dziś można oglądać Kardynała Arcybiskupa na czele soboru, na którym zasiada 16 arcybiskupów i biskupów, w otoczeniu znakomitych teologów i przedstawicieli prawie wszystkich sławnych zakonów Kościoła po-

wszechnego. Tylko arcybiskup z *Melbourne* nie mógł uczestniczyć w zebraniu dla stanu zdrowia. Podobnie nie był obecny na otwarciu soboru biskup z portu Wiktoryi. Nie dziw że takie grono książąt Kościoła sprawiło uroczyste wrażenie na tych, co byli świadkami początków rozszerzania wiary powszechnej w Oceanii; że sydnejskie dzienniki opisują z uniesieniem uroczystą chwilę otwarcia soboru i widzą w nim tryumf potęgi i jedności prawdziwego Kościoła Bożego, bo do większej wspaniałości przyczynia się widok biskupów i księży z wszystkich narodowości: Francuzów, Irlandczyków, Anglików, Niemców, Włochów i Australczyków, złączonych miłością wspólnego sztandaru Krzyża. A rozrzewnione tłumy ludzi otaczały wspaniałą katedrę sydnejską, podczas uroczystego do niej pochodu dygnitarzy duchownych i świeckich. Wszystko na co może zdobyć się sztuka, połączyło się dla dodania blasku tym uroczystościom. Oczekujemy dotychczas urzędowego ogłoszenia treści obrad i wyroków soboru.

Na zakończenie zapiszemy wiadomość, że w grudniu 1887 przypada jubileusz kapłaństwa Leona XIII. i już przygotowania tego obchodu są rozpoczęte. W Bolonii zawiązał się w tym celu komitet, i rozesłał obchód jubileuszu kapłańskiego Leona XIII., przypadający na Grudzień 1887. W odezwie do pism katolickich, wzywa komitet: 1) do modłów o zwycięztwo Kościoła i powodzenie Ojca św.; 2) do wystawy watykańskiej wyrobów sztuki i przemysłu, które będą wręczone Ojcu św., a w których skład wchodzić przeważnie winny przedmioty przeznaczone do kultu chrześcijańskiego; 3) do stypendyum mszalnego z drobnych jałmużn katolików całego świata; 4) do pielgrzymki do Rzymu.

Komitet wzywa wszystkie katolickie pisma do pomocy w przygotowywaniu tego obchodu i zapowiada, że się z niemi co do dalszych kroków porozumiewać będzie, za pomocą wydawanego *ad hoc* organu komisyi: *Il Giubileo Sacerdotale del S. Padre Leone XIII.*

K.

P. S. W chwili oddania tego artykułu do druku, otrzymujemy rzymski dziennik, *Moniteur de Rome*, zawierający na jednej stronicy dwa dokumenta w dziwnym do siebie stosunku stojące: list

ks. Bismarka do Leona XIII. i list okólny Ojca św. do biskupów pruskich.

Kiedy Ojciec św. przesyłał kanclerzowi order z uprzejmym listem, dotknęło to niemile uczucia wielu w naszym kraju. Że sami będąc zbolali i rozżaleni, swoją tylko biedę mamy na myśli, i chcielibyśmy, żeby i serce Ojca całego chrześcijaństwa było wyłącznie na ton naszych uczuć nastrojone, to łatwo wyrozumieć; pamiętać jednak powinniśmy, że Papież nietylko dla nas jest papieżem i nietylko nasze łzy ocierać musi.

Jakoż i wśród tych wymian grzeczności z mocarzem, przed którym drżą inne państwa, Papież dalekim się okazuje od hołdowania sile i powodzeniu. Jako panujący, daje mu order, wedle wymagań międzypaństwowej etykiety; ale jako naczelnik Kościoła, w załączonym liście wypowiada mu prawdy, które pod grzeczną formą wyczytać łatwo. — Tyś pierwszy powziął myśl, mówi mu poprostu Ojciec św., dania Nam sposobności w sprawie wysp Karolińskich do spełnienia najwłaściwszego Nam urzędu rozjemcy. Uznałeś więc w papiestwie odpowiedni do tego zadania czynnik — uznajże go do reszty. Twój rozum polityczny wiele się przyczynił do wielkości państwa niemieckiego, wielkość ta jest zadaniem twego życia; rozumiesz więc zapewne — albo rozumieć powinieneś — że prawdziwej wielkości państwa najwięcej posłużyć może ta siła wyższego rzędu, którą dzierży papiestwo — „zwłaszcza kiedy jest wolną“; — chcemy więc z tego faktu wziąć asumpt do spodziewania się tego, czego jeszcze nie dostaje: *liceat ex eis quae acta sunt, auspicium capere reliquorum*; a tymczasem na pamiątkę tego faktu i naszej życzliwości, udzielamy ci order Chrystusa.

Ledwo ten list do ks. Bismarka, przyszedł do wiadomości publicznej, a już pojawia się list okólny Ojca św. do biskupów pruskich. W takiej chwili, tuż po medytacyi w sprawie Karolińskiej, po wymianach orderów i grzeczności, w czasie, kiedy dojrzewać się zdaje cofnięcie praw majowych i ugoda Niemiec z Rzymem, kiedy już niektóre gazety niemieckie o nuncyaturze w Berlinie wspominają... w takiej chwili, mówię, czegóż się można spodziewać po odezwie Ojca św. do episkopatu Niemiec? Czy będzie znów podnosił uprzejmość rządu w sprawie Karolińskiej? czy złagodzi, albo choć przemilczy sporne i zaostrzone kwestye, o które się dotychczas

próby ugody rozbijały, jak rewizya praw majowych, niezawisłość seminaryów, solidarność stronnictwa Centrum, z episkopatem i Stolicą św.? Nie — Papież pełniąc obowiązek najwyższego pasterza, poucza episkopat niemiecki o jego pasterskich obowiązkach, i wszystką prawdę w tej sferze, jakkolwiek niemiłą rządowi, wypowiada, wszystkich praw Kościołowi właściwych w zupełności się domaga.

Całe postępowanie Stolicy św. tłumaczy się tem wspaniałem i niezaprzeczalnem świadectwem, jakie Leon XIII. sobie i swojej prawdziwie ojcowskiej łaskawości oddaje: „Żadnego nie „oszczędziliśmy starania mówi, żadnej nie zaniechaliśmy uczynności, „ażeby cofnięte zostały te prawa, które Kościołowi długoletni ucisk, „a wam, Wielebni Bracia, obfity plon trosk przysporzyły. A taką „żywiliśmy i dotąd żywimy w sercu żądzę odbudowania na stałych „podwalinach zgody i pokoju, że nie omieszkaliśmy najwyższym „spraw publicznych kierownikom oświadczyć, iż postanowieniem na„szym jest tak daleko do ich woli się stósować, jak daleko Nam „prawa Boże i obowiązki sumienia pozwolą. Co więcej, tego posta„nowienia daliśmy oczywiste dowody i nadal jeszcze zamierzamy „niczego nie zaniechać, coby porozumienie przywrócić i utrwalić „mogło“. Tak daleko się posuwa wyrozumiałość i pobłażliwość Stolicy św.; jeżeli więc dotąd do zgody nie przychodzi, niechaj cały świat wie, że nie po stronie Stolicy św. wina, i że nie jakieś ambitne widoki, ale konieczności z samej istoty Kościoła wynikające żądaniami Ojca św. kierują.

Pomawiano nieraz ze strony rządu świeckich katolików, mianowicie członków *Centrum* o niezgodę z episcopatem, zarzucano im, że polityką swoją przeszkadzają zgodzie z Kościołem, że twardy ich opór w wielu rzeczach niezgodny jest z zamiarami Ojca św., że gdyby nie oni, pokój między państwem a Stolicą św. zostałby wkrótce przywrócony. Otóż Papież obala ten zarzut wyrazem uznania dla wzorowej jedności między świeckimi synami a duchownymi zwierzchnikami Kościoła w Niemczech: „Na sercu Nam leżało objawić „Wam pociechę i radość, którą Nam sprawia ta zupełna uległość, „z jaką wszyscy katolicy w Niemczech trzymają z Wami i Wam „ulegają, oraz karność i zgoda, która między nimi coraz więcej pa„nuje“.

Zarzucano, że państwo nowożytne niemoże z Kościołem żyć w stałej zgodzie, twierdzono mianowicie, że zasady i instytucye państwa Pruskiego, *regnum potestanticum*, nie mogą istnieć w harmonii z wymaganiami Kościoła katolickiego. Otóż Ojciec św. przypomina długie lata takiej zgody Prus z Stolicą świętą, wspomina pomyślność, która w onych czasach panowała, przysparzając ciągłego wzrostu sił temu państwu; i pokazuje, że pokój zakłóciło nie co innego tylko nieszczęśliwe prawa majowe, które były powodem tylu cierpień dla Kościoła w Niemczech, ale zarazem polem do wielkich zasług i wielkich łask bożych. Do tych zasług i łask zalicza Papież, że katolicy niemieccy, opierając się niegodziwym prawom, nie sprzeniewierzyli się jednak wierności dla tronu i miłości dla ojczyzny, że choć coraz więcej ubywało im kapłanów, nie postradali ducha pobożności, a choć kuszono ich fałszywemi doktrynami, starokatolicyzmem, nie zachwiali się jednak we wierze. Ojciec św. cieszy się tem bohaterskim odporem, oddaje mu najwyższą pochwałę. Ale zarazem wszelkich chce dołożyć starań, ażeby przyczynę tych walk i tych cierpień, niesprawiedliwe prawa majowe co prędzej uchylić.

Rząd pruski, naśladując nieszczęśliwe przykłady Józefinizmu, do tego głównie w prawodawstwie majowem i w dzisiejszych swoich wymaganiach zmierza, żeby biskupów i całe duchowieństwo choć cokolwiek pod sztrychulec biurokracyi podciągnąć i w ogniwa urzędniczych zależności wplątać. W tym samym celu sprzeciwia się seminaryom i pragnie wychowania kandydatów kapłaństwa na jednych ławach z kandydatami państwowych urzędów, w uniwersytetach od rządu wyłącznie zależnych. Otóż Papież wręcz przeciwne stawia zasady. Przypominając, co nauczał w swej wspaniałej Encyklice: *Immortale Dei*, o pożytkach, jakie społeczeństwu przynosi Kościół, kiedy w normalnych rozwija się warunkach: obecnie, z istoty i zadania Kościoła wyprowadza potrzebę zupełnej niezawisłości rządów biskupich; a z powołania kleru, wywodzi naocznie potrzebę kształcenia go odrębnie, pod okiem i pieczą Pasterzy. I kończy wnioskiem: że „chcąc przyjść do stałego porozumienia z Kościołem, „trzeba w taki sposób ustawy ułożyć, ażeby Kościół potrzebną wol„ność do własnego życia i rozwoju w całości zachował“. Ta wolność Kościoła, dodaje Ojciec św., nie tylko godności państwa nie uwłacza, lecz owszem na większą jego korzyć wychodzi. A dziś Niemcy,

w obec szerzącego się socyalizmu i w obec zamiarów kolonizacyjnych, w dwójnasów Kościoła potrzebują: bo tylko Kościół zbolałe serca wydziedziczonych leczy, on jeden z wiarą, prawdziwe podwaliny cywilizacyi wśród dzikich plemion zakłada. Te względy budzą w sercu Ojca św. nadzieję, że prześladowcy niebawem przejrzą i we własnym interesie pokój Kościołowi przywrócą.

Kiedy Edward Hartmann w sławnym artykule: *Der Rückgang des Deutschtums*, nawoływał rząd pruski do gwałtownych środków przeciwko Polakom, pisaliśmy w art. p. t.: „Hartmann i kwestya narodowości“ następujące uwagi:

Do czegoż idziemy? Czy Niemcy przejmą się Hartmanizmem i czy go uskutecznią? To dwa odrębne pytania.. Rząd byle jaki może się taką myślą przejąć, bo duch całego rządu mieszka nieraz w kilku, często w jednym człowieku. Ale naród na gruncie chrześcijańskim ucywilizowany nie może sobie takiej myśli przywłaszczyć. Silny rząd, co prawda, może sam przez się ciężkie i boleśne wymierzać ciosy, komu chce; ale tylko wtedy działanie rządu bywa przemożne i tylko wtedy trwałe, kiedy ma za sobą ogół narodu. Rozumie to sam Hartmann, i dlatego tak gorąco przemawia do opinii publicznej; żąda nawet od niej entuzyazmu dla tej idei. Jednak nie wątpić o tem, że napróżno nawołuje. Powiedziałem na wstępie, że idea filozoficzna początkuje zwykle wielkie prądy życiowe. Wszelako ta idea, o której mowa, nie ma warunków potemu. Jeśli ona w pamięci ludzkiej zostanie, to chyba na chańbę ducha, z którego się wylęgła [1].

Wkrótce potem, jak wiadomo, rząd pruski jął się tych bezwzględnyth środków, choć nieco w odmienny sposób. Ale temi dniami, 16 stycznia, parlament niemiecki, najwyższa reprezentacya niemieckiego narodu, znaczną większością zganił to postępowanie rządu, i wyroki banicyi i sposób ich wykonania tą naganą napiętnował.

Z pociechą zapisujemy ten protest, spełniający nasze nadzieje i oczyszczający honor niemieckiego narodu.

X. M. Mor.

[1] Zeszyt kwietniowy r. 1885, dodat. str. XI.

Kochinchina. — Prześladowanie chrześcijan.

Z bolesnem uczuciem trwogi i smutku zwracały się w ostatnich miesiącach oczy świata chrześcijańskiego na ten zakątek dalekiego Wschodu, gdzie słowo Boże krwią i potem od 250 lat zasiewane, tak obfity plon wydawało. Rząd anamicki mszcząc się za doznane klęski w wojnie z Francyą, wzniecił takie prześladowanie, o jakiem za rządów Nerona i Dyoklecyana zaledwie słychać było; chrześcijan krajowców ginie tysiące i dziesiątki tysięcy, a liczni misyonarze padają wśród tortur najbardziej wyszukanych. Zanim okiem rzucimy na ten straszny dramat, trzeba nam się nieco zapoznać z historyą Kochinchiny, mianowicie od czasu zaprowadzenia tam chrześcijanizmu.

Kochinchina stanowi część południową państwa Anamu; graniczy na północ z Tonkinem, na zachód z Syamem i Kambodżą, a na wschód oblana morzem Chińskiem. Hué, leżące w właściwym Anamie, jest stolicą całego państwa, Sajgon głównem miastem Kochinchiny[1]. Anamici stanowią gałąź wielkiej rodziny narodu chińskiego (mongolskiej), podobni są do nich charakterem, zdolnościami, językiem, religią, ale tworzą zupełnie odrębne państwo pod rządami własnego króla i nawet mało znać w ich dziejach wpływu przemożnych sąsiadów.

Misyonarze (O. Rhodes S. J. i jego towarzysze) dotarli do Anamu w połowie XVII. wieku. Za ich to pośrednictwem nastąpiło pierwsze zetknięcie się Francyi z tym krajem, który później miał być przez nią w części podbity; gdy bowiem w r. 1786 wybuchła rewolucya w Anamie i zrzuciła z tronu ówczesnego króla, biskup Adranu Pigneaux, ówczesny wikaryusz ap. Kochinchiny, wziął w opiekę tułającego się królewicza Nguyen-anha, zawiózł syna jego na dwór Ludwika XIV. i prosił o pomoc Francyi w oddaniu mu tronu. Trzy okręty uzbrojone odwiozły młodego księcia do oj-

[1] Aczkolwiek Sajgon jest właściwą stolicą posiadłości francuskich, i jako port, miasto handlowe i centrum administracyi zajmuje ważne stanowisko nietylko w Anamie, ale i w całej Azyi, jednak miastem najbardziej zaludnionem, najwięcej sprzyjającem rozwojowi sztuki, literatury i życia towarzyskiego, „małym Paryżem“ Anamu jest stolica Tonkinu Hainau, leżąca na prawym brzegu rzeki Czerwonej.

czyzny[1]; Nguyen-anh dzięki tej pomocy odzyskał tron ojcowski i pod nazwiskiem Gia-longa (wybraniec losu) ogłosił się królem. Póki żył biskup Pigneaux zachował mu wdzięczność i otaczał opieką religię katolicką; to też w ciągu 20 lat pokoju (które się ani przedtem ani potem nie powtórzyły) rozrósł się dziwnie szybko i szczęśliwie Kościół boży w Anamie. Przy końcu XVII. wieku liczono tamże 200.000 chrześcijan, w sto lat potem liczba ta wzrosła podwójnie; czterech biskupów, trzynastu misyonarzy i kilkudziesięciu księży krajowych strzegło tej owczarni, a musiało błogosławieństwo boże spocząć z wielką pełnością na ich pracy, gdyż potrafili uzbroić wiernych w taką odwagę, tak heroiczną wytrwałość w wierze, iż najsroższe katusze miały się okazać wobec niej bezsilnemi.

Ze śmiercią biskupa Pigneaux, a potem Gia-longa, zerwały się więzy wdzięczności, które broniły przez te lat dwadzieścia chrześcijan od prześladowania. Z wstąpieniem na tron Minh-Menha w 1820 r. wszedł w życie system tępienia wyznawców nowej wiary wszystkiemi sposobami, jakie przebiegłość, żelazna wytrwałość i okrucieństwo na myśl przywieźć mogą. Odtąd dzieje Kościoła w Anamie krwawo się znaczą; w r. 1830 wydał król ukaz zakazujący pod karą śmierci wyznawanie wiary chrześcijańskiej. Na wieść tę 80.000 chrześcijan rozpierzchło się w dzikie góry, lasy i bagna, by ujść strasznego wyroku; osady chrześcijańskie zmieniły się w gruzy, 400 kaplic zniszczono, dwóchsetletnia praca misyonarska poszła w niwecz; a jednak to był dopiero postrach, od r. 1833 zaczęła się właściwa wojna na zabój z chrześcijaństwem. Nietylko zwykłych siepaczy, ale całego wojska użyto do wyszukiwania ofiar i wleczenia ich na męczeństwo; nietylko wsie i domy przetrząsane bywały najszczelniej, ale prześladowcy w ziemię się wkopywali by odkryć kryjówki podziemne; tortury zmuszające do odstępstwa bywały tak straszne, że wszelkie uczucie ludzkości wzdryga się czytając ich opisy. Nieraz zwyciężeni stałością chrześcijan, oprawcy padali na kolana przed nimi, błagając o przebaczenie, ale częściej daleko

[1] Wielu oficerów i żołnierzy eskadry francuskiej pozostali wówczas w Anamie, by zaszczepić sztukę i cywilizacyę europejską na tej ziemi; obszerna forteca w Hainou, cytadela w Saigon i inne budowle pozostały jako ślady ich wytrwałej pracy, i są niejako podwaliną praw, jakie teraz Francya nabyła w Kochinchinie, a rości sobie do Tonkinu.

okuci jakby pancerzem zawiści, dobijali męczenników po najsroższych katuszach. Trudno powiedzieć ile ofiar padło podówczas pod ręką siepaczy; tysiące zginęły tam gdzie egzekucye miały cechę prawdziwej rzezi; ale co zostało niemylnie stwierdzonem, i co jest świadectwem cudów łaski bożej, to że zamiast zmniejszyć liczbę wiernych, prześladowanie w ciągu 20 lat o 100.000 ją powiększyło.

W r. 1843 zaznaczyć wypada pierwszą interwencyę Francyi, która przybyła bronić ziomków w imieniu cywilizacyi i chrześcijaństwa; statek francuski „Heroina“ zawitał w zatoce Turanu, a komendant Léveque zażądawszy i otrzymawszy uwolnienie z więzienia pięciu misyonarzy francuskich, przyjął ich z honorami wojskowemi na swym pokładzie. Panujący podówczas Reu-tri, przeląkł się na chwilę interwencyi obcego mocarstwa, ale niebawem przemogła w nim wrodzona srogość, i chrześcijan poszukiwać i męczyć po dawnemu rozkazał. Wikaryuszem apostolskim Kochinchiny zachodniej był wówczas Lefébre; cały żywot tego przezacnego kapłana zeszedł na nieustannej walce z prześladowaniem; to wbrew najostrzejszym zakazom ukazywał się w różnych częściach swego wikaryatu niosąc pociechę i pomoc wiernym, to aby nie opuścić swych owieczek z niebezpieczeństwem życia ukrywał się przed mandarynami, zasłaniany z bohaterską odwagą przez chrześcijan Anamitów, to wreszcie chwytany, trzymany w więzieniu i uwolniony dzięki wstawieniu się marynarzy francuskich, na to by znowu w skutek niespożytej swej gorliwości popaść w nowe niebezpieczeństwa; zawsze nieustraszony w obec prześladowców, zawsze tam gdzie najwięcej jego obecności potrzebowano, wielbiony przez swoje owieczki, szanowany nawet przez nieprzyjaciół, wierny syn swej ojczyzny do tego stopnia, że raz nie chciał przyjąć pomocy Anglii, by jej tem nie utorować drogi do Kochinchiny, oto jak nam się przedstawia ta przedziwna postać apostoła, a choć wiele imion w tym krótkim opisie pominąć musimy, jego nazwisko wymienić czujemy potrzebę i obowiązek.

Zbliżał się rok 1858, a z nim zmiana położenia kościoła w Anamie; widok wylanej krwi tylu współziomków poruszył wreszcie rządy: francuski i hiszpański, które o swą krzywdę zbrojno przyszły się upomnieć. Ale niestety to pośrednictwo wprawdzie przysporzyło Francyi kilka prowincyj i nieco sławy niezawsze usprawie-

dliwionej, kościołowi jednak w Kochinchinie nietylko ulgi nie przyniosło, ale roznamiętniło zażartość prześladowców. Wice-admirał Rigault de Genouilly wysłany przez Napoleona II. zdobył z łatwością półwysep Turanu; zamiast jednak iść natychmiast na zdobycie stolicy Hué, spoczął w bezczynności w mieście Turanie, czekając aż febra i zniechęcenie zdziesiątkuje żołnierzy. Biskup Pellerin, za którego pośrednictwem ta wyprawa była urządzona, napróżno nakłaniał wice-admirała do energiczniejszego postępowania; Rigault wierny swemu systemowi, spędziwszy ośm miesięcy w Turanie, podszedł pod Sajgou, zdobył tę twierdzę i zaczął się w niej obwarowywać na następny kilkomiesięczny odpoczynek.

Łatwo zrozumieć że podobne postępowanie nie zaimponowało Anamitom; po pierwszym chwilowym przestrachu, król Tu-duk wnet ochłonąwszy, rozesłał proklamacyę ogłaszającą poddanym, że zmusił „barbarzyńców“ do ucieczki i zapowiadał surowsze jeszcze kroki przeciw chrześcijanom, którym tę napaść zawdzięczał. I rzeczywiście znowu nowe ofiary padały pod mieczem katów; pomijając szczegóły, dość będzie powiedzieć, że w ciągu czterech lat trwania wyprawy francuskiej, zginęło pięciu biskupów, czterech misyonarzy i 117 kapłanów krajowych, chrześcijan zaś koło 40.000 pomarło bądź wśród męczarni, bądź też z głodu i nędzy w rozproszeniu. W końcu tych czterech lat, inne okoliczności wpłynęły na szczęśliwszy obrót wypadków: w roku 1862 Francya prowadziła wojnę z Chinami, a prowadziła ją na inny zakrój niż wyprawę kochinchińską; tam wojsko francuskie w dwóch miesiącach zdobyło Pekin, zmusiło cesarza do przyjęcia narzuconych mu warunków pokoju, a pośrednio wpłynęło na króla Anamu, który przestraszony porażką potężnego sąsiada, chętniejszym okazał się do zawarcia ugody i podpisał traktat, mocą którego Francya nabywała trzy prowincye: Saigon, Bienhoa i Myto, oraz zwrócenie kosztów wojennych. Słusznie jednakże uważa Reclus, że fałszywe jest mniemanie jakoby Kochinchina była „posiadłością francuską“, są to prowincye lenne, gdzie zaledwie parę okrętów i garstka żołnierzy może utrzymać przewagę państwa zwierzchniczego. Kolonii francuskiej tam także nie ma, gdyż wszystkich cudzoziemców nie więcej w Kochinchinie jak 2.700, a z tego Francuzów $^2/_3$. Zresztą, wolnych dróg do tych rzekomych posiadło-

ści Francya nie posiada, i w razie wojny morskiej, ujrzy się odciętą od Anamu.

Traktat z r. 1862 był niezawodnie dobrodziejstwem dla kościoła w Kochinchinie; jeśli nie ustały dotkliwe, pokątne szykany, to przynajmniej na czas jakiś zawieszono krwawe, urzędowe prześladowania. Wprawdzie, podczas zupełnie fałszywie pojętej i prowadzonej administracyi admirała Bonnard, wiele ucierpieli katolicy, ale jego następca, admirał Grandiére wpłynął na poprawę tych stosunków. Zdobywszy najprzód trzy nowe prowincye na zachodzie [1], zajął się zewnętrzną organizacyą, a zaczął od kwestyi religijnej, bo zrozumiał że praca misyonarska jest najważniejszem narzędziem cywilizacyjnem.

Misyonarze korzystali z dobrego usposobienia obydwu rządów. W roku 1862 biskup Lefebre sprowadził zakonnice św. Pawła, powierzając im ochronkę dzieci opuszczonych, a potem szpital. W tym samym czasie sprowadził Karmelitanki z Francyi, nie sądząc aby zakon kontemplacyjny był niepotrzebny tam, gdzie wszystko stoi na łasce bożej, wyżebranej modlitwą. Tenże czcigodny biskup pomyślał o seminaryum dla księży krajowych, o tym kamieniu węgielnym każdej misyi o obszerniejszym zakresie; że podobny zakład nie był zbyteczny, świadczą następne liczby statystyczne: w r. 1880 seminaryum sajgońskie liczyło 10 profesorów, zajmujących się wychowaniem 178 uczniów, z których 25 słuchało teologii, 10 filozofii a 145 kształciło się w naukach humanitarnych; nadto małe seminaryum przygotowawcze liczyło 47 uczniów. Oprócz tych zakładów powstało w ostatnich latach dwudziestu, wiele kościołów, między innemi okazały w Baria mieście na wschód od Sajgonu leżącem.

Nareszcie, by zakończyć to krótkie streszczenie dziejów kościoła w Kochinchinie, podamy liczbę i podział obecny wiernych w tym kraju. Kochinchina wschodnia obejmuje sześć prowincyj; na czele tego wikaryatu stanął w r. 1884 biskup Van Camelbeke, a było w nim podówczas 50.000 chrześcijan; ten właśnie wikaryat jest teatrem obecnego prześladowania. W Kochinchinie zachodniej, obejmującej 4 prowincye, było chrześcijan w tymże samym roku 47.000, a razem z Kambodżą 65.000. Kochinchina północna liczyła

[1] Winh-long, Chan-dok i Ha-hen.

w r. 1875 przeszło 25.000 wiernych, od tego czasu ta liczba niewątpliwie wzrosła, ale nie mamy pod ręką ostatniej statystyki.

Prześladowanie nie było nowością w Kochinchinie, od 250 lat mało było chwil spokojnych, ale w tym długim szeregu lat, ani razu klęska prześladowania nie stała się tak groźną, długą i nigdy tyle nie pochłonęła ofiar, co obecnie.

To nowe prześladowanie wybuchło nagle i gwałtownie zarazem, w miesiącu lipcu zeszłego roku. Pierwsze wiadomości przesłane przez misyonarzy były dorywcze i niedokładne; dalsze dopiero listy wyświecają tę krwawą tragedyę. Pierwszą wieść o mordowaniu chrześcijan przyniósł do Paryża drut telegraficzny w d. 8 sierpnia od wikaryusza ap. Van Camelbeke. Brzmiała ona następnie: „Księża Poirier, Guigan, Garin, Macé, Martin i przeszło 10.000 chrześcijan wymordowanych. Mordy i pożogi trwają dalej. Wikaryat zniszczony".

W kilkanaście dni później, listy wyjaśniły powody tego wybuchu. Z d. 4 na 5 lipca, wojska anamickie napadły zdradziecko Francuzów rozkwaterowanych w Hué, z zamiarem wycięcia ich w pień. Atoli oblężeni wytrzymali do rana, pomimo ciągłego bombardowania, a przy pierwszym brzasku dziennym rzucili się na cytadelę, i w trzech godzinach opanowali wszystkie pozycye. Miasto było w ich mocy. Dwór anamicki obrał ucieczkę jako jedyny środek ratunku i Rejent zaprowadził młodego króla do Tonkinu przez góry niedostępne dla wojsk francuskich. Na to hasło, mandaryni poprzysięgli wymordowanie chrześcijan i nakaz ten rozesłali po wszystkich prowincyach. Wiadomość ta raczej przeraziła jak zdziwiła misyonarzy, gdyż od kilku miesięcy widząc wściekłość pogan wobec coraz liczniejszych nawróceń, spodziewali się wybuchu katastrofy.

Mordy rozpoczęły się w prowincyi Kuang-Ngai; uczeni (les lettrés) [1] już mocno wzburzeni podnieśli bunt, i zdobyli d. 13 lipca cytadelę w Kuang-Ngai, zabierając tam broń, która im miała oddać wielkie usługi. Nazajutrz zaczęli ogniem niszczyć osady chrześcijańskie i mordować mieszkańców; dwie wioski Van Ban i Ban Goi zostały w d. 14 i 15 lipca z ziemią zrównane; w tej ostatniej za-

[1] Jak wiadomo klasa uczonych w Chinach ma wyłącznie prawo do urzędów.

mordowano ks. Poivier wraz z 250 chrześcijanami. Taki sam los spotkał 40 osad w tej prowincyi, gdzie trzech misyonarzy i 6.000 wiernych zginęło śmiercią męczeńską. Zniszczywszy Kuang-Ngai, prześladowcy rzucili się z równą wściekłością na prowincye Binh-Dinh; i tu kościoły, osady całe, seminarya, klasztory, stały się pastwą płomieni. Ludność chrześcijańska, która zdołała ujść śmierci wśród męczarni, tłumnie rzuciła się albo w dzikie góry, albo ku stolicy Sajgon. W niektórych miejscowościach próbowano się bronić: „przez dziesięć dni“, pisze misyonarz Geffroy, „pracowałem nad zorganizowaniem obrony; moja osada Gia-Hieu była w końcu zupełną forteczką mogącą przez długi czas stawiać czoło nieprzyjacielowi; cała moja trzódka schroniła się do kościoła i przyległych zabudowań; nie było nam obszernie ale mogliśmy się pomieścić i postanowiliśmy bronić się do ostatniego. To co ja robiłem u siebie, wszyscy moi koledzy w swoich osadach robili, nie trzeba więc myśleć że daliśmy się w pień wyrżnąć jak bydło w rzezalni. Ale o zorganizowaniu armii regularnej złożonej z samych chrześcijan ten tylko mógł myśleć, kto nie zną stosunków tutejszych. Byliśmy rozprószeni, bezbronni, w kraju nieprzyjacielskim, a przeciwnicy mieli wojsko wyćwiczone, broń palną i armaty dostarczane uczonym przez rząd“ [1].

[1] Nie chcąc przerywać ciągu opowiadania, podajemy w odsyłaczu jako potwierdzenie tych słów, szczegóły oblężenia i bohaterskiej obrony seminaryum w An-Ninh. Spaliwszy wszystkie wsie okoliczne, wymordowawszy lub wypłoszywszy chrześcijan, którzy tłumnie chronili się do Kolegium, podeszły wreszcie bandy rozbójnicze pod wodzą uczonych pod same jego mury, a raczej zagrodę z żywego płotu; lecz tu się spotkali z nieprzewidzianym oporem. Na strzały ich odpowiadano dobrze zorganizowanym ogniem działowym i karabinowym, (cudownem bowiem zrządzeniem Opatrzności, broń i amunicyę zdołano sprowadzić z rana w dzień pierwszej bitwy); pociski słomy zapalonej rzucane na płoty natychmiast gaszono wodą, którą niestrudzenie nosiły kobiety zamknięte tu w czasie oblężenia. Wszystkie zasadzki nieprzyjacielskie wykryte przez czujną straż i w niwecz obrócone; siedm bitew stoczonych i wszystkie wygrane przez chrześcijan, oto dzieje oblężenia, aż póki prochu nie zabrakło. Wtedy oblężeni mądrym obrotem taktyki już nie bronią się, ale sami napadają i zdumionego nieprzyjaciela odpierają choć na kilka godzin z pod murów tej zaimprowizowanej forteczki. Codzień wieczorem wznoszą się do nieba modlitwy i pieśni dziękczynne z tysiąca piersi, a co rano ośmset żołnierzy, u których odwaga zastępuje wprawę, staje gotowych do dalszej walki. I tak przetrwali miesiąc cały, niemając znikąd ratunku, bez wprawnego dowódcy wobec wojska dobrze zaopatrzonego i rozjątrzonego tym niezwykłym oporem. Po czterech tygodniach nadszedł wreszcie oddział wojska francuskiego z Hué.

Z początku rząd anamicki nie brał odpowiedzialności za te napaści; mandaryni rzekomo uspakajali bunt uczonych i nawet w Kuang-Ngai odebrali im cytadelę i ogłosili śmierć 15 przywódców. Ale czy to było szczere? „Kilku pogan i chrześcijan dobrze poinformowanych", pisze ten sam misyonarz, „upewniało mię, że te 15 głów, które widziano zatknięte na palach przed cytadelą, były po prostu głowy nieszczęśliwych więźniów znalezionych tamże, a prawdziwi winowajcy na czele band rozbójniczych uwijali się po kraju roznosząc śmierć i pożogę". Przed ostatecznym wybuchem, mandaryni chcąc uśpić czujność misyonarzy, zaręczali że spokój nie będzie zakłócony i radzili nie ruszać się z miejsca, potem wobec strasznego spustoszenia, twierdzili, że nie byli w mocy zatrzymać buntu. Misyonarze mieli jednak wiele jawnych dowodów że mandaryni byli w wspólnictwie z uczonymi, owszem, że im nie szczędzili pomocy i zachęty.

Dnia 21 września jeszcze straszniejsze wieści doszły do Europy; biskup Van Camelbeke telegrafował znowu: „Misyonarze Barat, Dupont polegli. Dotychczasowa liczba wymordowanych chrześcijan dochodzi do 24.000". I niestety nie mylił się i nie przesadzał! Oto co pisze w tym względzie misyonarz Chambost: „Aby nikt z was niedowiarkowie nie mógł przypuścić nawet, że okropne wieści, które wam przysyłamy, są przesadzone, Pan Bóg dozwolił, że ludzie świeccy w wielkiej liczbie, oficerowie i żołnierze marynarki francuskiej, załoga i pasażerowie dwóch innych okrętów, stojących podówczas w porcie Kun-Lon, byli świadkami palenia się 10 do 12 osad chrześcijańskich w przestrzeni 12 kilometrów koło samego portu, ...widzieli także koło 8.000 chrześcijan z okolicy, skupionych w trwodze i rozpaczy nie do opisania wkoło chorągwi francuskiej, a widok ten poruszał ich serca do głębi, budząc litość i chęć ratowania tych nieszczęśliwych".

Z tego widzimy, że bodaj czy nie szczęśliwsze były te ofiary prześladowania, które odrazu pozbawione życia dla wiary, poszły odebrać zapłatę niebieską; tych los najokropniejszy, którzy uciekłszy tysiącami z palących się wiosek, postradawszy mienie, środki utrzy-

dokąd już po kilka razy posyłali byli oblężeni z prośbą o pomoc. W kilku godzinach nieprzyjaciel rozproszony, a podwoje Kolegium otwierają się z radością, by witać oswobodzicieli.

mania, w szalonej trwodze przed pogonią, tułają się po kraju, bądź uciekając pod słabą opiekę rządu francuskiego, bądź rozbiegając się po dzikich górach, gdzie ani żywności ani przytułku nie znajdują. Aby się bliżej przypatrzyć tej nędzy, a poznać przytem nadludzkie wysilenia misyonarzy, by jej ulżyć, przytoczymy dłuższe ustępy z listu ks. Geoffroy, datowanego z dnia 3 września:

„Będąc zmuszony do kilkodniowego odpoczynku, korzystałem z tego aby pisać do was. Od dwóch miesięcy prowadzę życie najbardziej wzburzone, najokropniejsze, jakie sobie można wystawić. Z mojej osady Gia-Hieu, gdzie przez lat sześć tyle wśród pracy pociech doznałem, już tylko nawisko zostało. Od d. 13 lipca zaczęły się nasze trwogi i niepokoje. Dochodziły nas ciągle wieści o mordach, rabunkach i pożarach w sąsiednich osadach, a tylko niewielka góra oddzielała nas od Tu-Nga, i wiedzieliśmy, że na nas kolej niezawodnie przyjdzie. . .“

„Przygotowawszy moję osadę do obrony i powierzywszy ją opiece ks. Dupont, postanowiłem dostać się do Hué, aby przedstawić stan rzeczy jenerałowi Courcy, tylko w pomocy wojska francuskiego upatrując możliwy ratunek. Starałem się wyszukać łódkę, którą dostałbym się morzem do stolicy, bo droga lądem była nie do przebycia. Dzięki poświęceniu kilku chrześcijan otrzymałem takową i w ciemną a dżdżystą noc puściłem się wraz z kilkoma uciekającemi rodzinami ku północy. Nie mieliśmy wody do picia, wiatr był przeciwny, droga więc była uciążliwa, przykra, i trwała 8 dni“.

„Niestety, moja wyprawa do Hué okazała się być bezowocną, i 3 sierpia powróciłem do do Tuan-An, skąd statkiem „des Messageris“ dostałem się do Ki-Nou. Dnia 5 z rana znalazłem się u swego wybrzeża, i cóż ujrzałem? moje osady stały w ogniu, nie mogłem wątpić o tem, widząc łuny nad całą prowincyą Binh-Dinh. Ale najokropniejszy był widok samego Ki-Nou (stolica prowincyi Binh-Dinh), do którego weszliśmy nad wieczorem. Lang-Song i kilka osad okolicznych stały w płomieniach a miasto pełne było chrześcijan uciekających przed uczonymi. W konsulacie zastałem biskupa Van Camelbeke i kilku moich kolegów; z jakąż boleścią spotykaliśmy się! Wszystko było stracone! przepadła nasza droga i tak kwitnąca misya w Binh-Dinh! Z całej mojej parafii która liczyła 3.000 chrześcijan, zaledwie setka ocalała.

„Nasz pasterz wyprawił natychmiast mię i kilku kolegów do Sajgonu po ryż i inne najpotrzebniejsze zapasy. Po ośmiu dniach powróciłem z transportem ryżu, a był wielki czas, gdyż 7 czy 8.000 chrześcijan zebranych w Ki-Nou, już gonili ostatkiem żywności. Najęty przez biskupa statek niemiecki „Marie", gotów był przewieść z jakie tysiąc tych wygnańców do Sajgonu. ...Nie mieliśmy dotąd żadnych wiadomości o osadach południowych; wreszcie 20 sierpnia dostaliśmy listy od misyonarzy tamtejszych, donoszące że mordy i pożary jeszcze się nie były rozpoczęły, ale chrześcijanie żyli w ciągłej i słusznej trwodze i wielu uciekało w góry. 22 sierpnia ukazał się w porcie mały statek niemiecki „Gerda"; natychmiast najęliśmy go by biedz na ratunek prowincyom południowym; ponieważ znałem te okolice, biskup mnie tę wyprawę polecił. Wyjechałem z Ki-Nou wraz księdzem krajowym 23 sierpnia, i tego samego dnia wieczorem zarzuciliśmy kotwicę przed portem Na-trang. Kilka strzałów armatnich wylękło i rozproszyło pogan, ale gdzież byli chrześcijanie? nie spotkaliśmy ani jednego, a poganie, których wypytywaliśmy się, dawali nam wymijające odpowiedzi. Wreszcie jeden starzec wyznał otwarcie, że dzień jutrzejszy był naznaczony na wymordowanie chrześcijan. Udałem się tedy do domu misyjnego, leżącego na wzgórku; było to trochę niebezpiecznie, gdyż trzeba było przejść między dwoma fortami, zajętemi przez nieprzyjaciela. Ale uzbrojeni od stóp do głów, przeszliśmy szczęśliwie. Tam się dowiedziałem, że dwaj misyonarze zdołali uciec, a chrześcijanie zaczęli chronić się w góry. Natychmiast posłałem do osad pobliskich z doniesieniem, że wszystkich chrześcijan, którzy się zgromadzą na wybrzeżu przyjmę na statek i przewiozę do Sajgonu; poczem zawróciliśmy pospiesznie ku okrętowi. Po południu ujrzeliśmy łódź pełną ludzi, kierującą się zwolna ku nam. Nie byłem pewny kogo przywozi, bo widziałem że odpłynęła od wyspy, gdzie sami poganie mieszkali; po chwili ukłoniłem się, i natychmiast dwa wielkie kapelusze uniosły się nad łodzią; poznaję dwóch kolegów i z radością witam. Zwolna gromadki poczęły się zbierać na wybrzeżu; sześć łódek przez całą noc przewoziło je do okrętu; nad ranem wybrzeże było puste, a na statku 700 chrześcijan znalazło przytułek. Dwa dni potem dobijaliśmy do Sajgonu.

Biskup tamtejszy Colombert, dowiedziawszy się, że jeszcze

wielu chrześcijan oczekuje ratunku w prowincyach południowych, natychmiast postarał się o nowe środki transportu. Statek Gorda powrócił do Kan-Hoa, a „l'Aréthuse“ pospieszyła do Bin-Tuan; na ten statek ja wsiadłem; niestety, wyprawa nasza się nie udała; misyonarze i wierni już byli pouciekali, a że nasz statek nie mógł dłużej się zatrzymać, powróciliśmy niemal z niczem. Statkowi Gerda lepiej się udało; z Ki-Nou przywieźli 1.000 osób, ale z Kan-Hon nikogo nie wyratowali; dom misyjny, w którym przed kilku dniami byłem, już był spalony, cała prowincya zniszczona. Dotąd Kuang-Nam jeszcze wolny od napaści; dwóch misyonarzy zajmuje się tam przewiezieniem chrześcijan na bezpieczniejsze miejsce. Ja jutro jadę do Ki-Nou...“

Miała więc to być piąta wyprawa w przeciągu miesiąca, tego niestrudzonego misyonarza; jak się pomyśli z jakiem niebezpieczeństwem, z jakiemi trudami każda taka wyprawa jest połączona, zaiste dziwić się przychodzi, jak siły ludzkie na to wystarczą i dziękować Bogu, że na chwile tak pełne grozy, daje łaskę, odwagę i siłę.

Inny misyonarz schroniwszy się także do Sajgonu, opisuje przybycie statku „Marie“, o którym wyżej wzmiankował ks. Geoffroy: „Byłem wczoraj świadkiem okropnego widoku; 1.000 naszych chrześcijan przybyło do Sajgonu na statku „Marie“, wysłani przez biskupa Van Camelbeke. W czasie podróży 2 czy 3-dniowej ci nieszczęśliwi prawie nic nie jedli, gdyż kuchnia mogła tylko na 100 osób dziennie dostarczyć żywności, to też przyjechali oni na pół żywi. Ks. Vivien który im towarzyszył, wylądował natychmiast i o północy pobiegł do seminaryum, do Dzieciątka Jezus, do wszystkich piekarni, aby zdobyć ile tylko można było ryżu i chleba. Koło 2-giej w nocy powrócił z zapasami; trzeba było wstrzymywać tych biedaków, którzy rzucali się na jadło z całą niepowściągliwością ludzi zgłodniałych. Koło 9-tej wylądowali na brzeg. Cóż to był za widok! Znałem wielu z nich, widziałem ich teraz wynędzniałych, ogłupiałych z trwogi i rozpaczy, matki tulące dzieci do łona, wszyscy zbici w kupę jak stado wystraszonych owiec...“

A zaiste, strach ten był usprawiedliwiony, bo z niczem nie można porównać okropności losu tych, którzy wpadali w ręce uczonych lub mandarynów. Większa część żywcem spalonych w swych domach lub kościołach, albo na cmentarzach; inni, a tych wielka liczba, zła-

pani w czasie ucieczki w krzakach i zbożach, przebici dzidami, okropnie pokaleczeni, często bywali krajani na kawałki. Inni jeszcze topieni w rzekach; ale aby ich tortury przedłużyć, przywiązywano ich często rękoma i nogami do drzewa bambusowego tak, że całemi dniami trwało ich konanie, i nieraz widziano rzeki pokryte pływającymi trupami lub konającymi. Iluż ich przywlekało się do domów misyjnych z obciętemi uszami i nosem, z roztrzaskaną czaszką, poranieni w nastraszniejszy sposób tak, że już tylko iskra życia w nich tlała, a cierpienia coraz się powiększały! A iluż żywcem pochowanych przez pogan, i wrzuconych do studzień lub do głębin morskich! Tak to szatan w swej nienawiści do Kościoła Chrystusowego, braci na braci pobudza i wpycha w otchłań zbrodni, niepomny, że te usiłowania są nadaremne, bo *sanguis martyrum semen christianorum.*

Ostatnim głosem z tego nieszczęśliwego kraju jest list biskupa z Sajgonu i wikaryusza apostolskiego Kochinchiny zachodniej ks. Colombert, który zapominając o niebezpieczeństwach mniej grożących własnej dyecezyi, przejęty najgłębszą litością, woła, błaga o pomoc dla tych rozproszonych wiernych z sąsiedniej dyecezyi, którzy bodaj czy nie na to uszli śmierci z rąk prześladowców, aby zginąć marnie z głodu i nędzy. Głos ten nie napróżno się podniósł; pierwszy transport tysiąca chrześcijan przywiezionych do Sajgonu został natychmiast rozebrany przez misyonarzy, z okolicy którzy mimo ubóstwa własnego i wiernych, przyjmowali po stu i więcej biednych wygnańców i choć pierwsze ich potrzeby zaopatrywali. Koloniści francuscy także pospieszyli z hojnym datkiem; a cóż dopiero powiedzieć o samej Francyi! Zaledwie pierwszy odgłos prześladowania dobiegł do Europy, wnet setki i tysiące franków zaczęły płynąć szerokiem korytem, najczęściej pod osłoną anonimu, a zawsze hojnie, i to natychmiast, wtedy, kiedy potrzeba najbardziej piekąca, i kiedy mały datek może więcej dobrego zrobić, niż później większy [1]. Przeglądając we francuskich „Misyach“ sprawozdanie z tych składek, przychodzi mimowoli na myśl, że Francya liczne i ciężkie swe grzechy okupuje choć w części jałmużną.

[1] w zeszycie „Missions catholiques“ z d. 2 października zapisanych składek tylko na Kochinchinę 7.200 fr., w zeszycie z d. 9 października 5.350, z d. 23 października 3.800.

Z drugiej strony przyznać trzeba, że to nietylko z nienawiści imienia chrześcijańskiego, ale także przez zemstę nad Francyą, tak straszne prześladowanie powstało. Dziwić się tylko i żałować wypada, że rząd francuski nie przedsięwziął energicznych środków dla zapobieżenia tej rzezi. Tyle już łatwych zwycięstw odniósł w Anamie, że nie trudno mu było zbrojnem wystąpieniem zapobiedz dalszemu prześladowaniu.

Na zakończenie, nie możemy dać czytelnikom żadnej pocieszającej wieści. Ostatnie wiadomości z końca października, stwierdzają że już nie ma takiego zakątka w państwie Anamu, gdzieby imię chrześcijanina krwią nie wymazywano. 7.000 wiernych w północnej Kochinchinie, gdzie dotąd jeszcze panował spokój, i tysiąc w prowincyi Kuang-Tri w pień wyrżniętych, a 8.000 uciekło pod skrzydla opiekuńcze wikaryusza apostolskiego w Hué; tych zaś cholera, głód i nędza ciągle dziesiątkują. Równocześnie w Kambodży w Tonkinie te same odgrywają się krwawe dramata.

Z. R.

Z Poznania.

Opłakany stan Kościoła. — Kwestya wyznań w wydalaniach. — Petycya ojców rodzin. — Odezwa do matek. — Usuwanie Polaków z posad nauczycielskich. — Nędza materyalna. — Towarzystwo przyjaciół nauk. — Ofiarność wielkopolska. — Ruch prasy katolickiej.

W styczniu 1886.

Niewesoło przedstawia się bilans z ubiegłego roku, w jakimkolwiek go kierunku ustawić nam przyjdzie. Warto ze zmianą daty spojrzeć wstecz i uchwycić tętna z dopiero co zamkniętego okresu dwunastu miesięcy. Z pewną grozą obija nam się o uszy zapowiedź nowych klęsk na r. 1886, jeśli wedle słów rzekomej wyroczni cały świat ma zawołać: biada! Alboż w tej uogólnionej niedoli, i nam może być gorzej, jak było, jak jest dziś niestety! Czyż podobna, aby w nas nowe, bodaj śmiertelniejsze jeszcze miały godzić ciosy? Już dziś, gdzie spojrzeć, same widnieją biedy, straty, ruiny. Spodziewane i rozpoczęte rokowania nie wniosły pokoju w dziedzinę

stosunków religijno-politycznych. Jakiekolwiek ulgi zdobyto dla innych dyecezyj niemieckiego państwa, archidyecezya poznańsko-gnieźnieńska podlegać nie przestaje osobnym, wyjątkowym prawom, i przyciszony na innych punktach *kulturkampf*, w naszem mieście nadto się stał pożądanem narzędziem germanizacyjnego ducha, aby bez długich targów i oporu mógł ustać. Krwawo już zaciężyła nad nami piętnastoletnia walka. Nie tu miejsce wyliczać wszystkie poniesione uszczerbki, zwinięte zakłady dobroczynne, zamknięte klasztory, wypędzone zgromadzenia, krocie bądź wprost zagarnięte przez prześladowców, bądź pośrednio prześladowaniem utracone. Warto utrwalić atoli kilka danych, dotyczących chwili obecnej. Od lat dwudziestu kardynał Ledóchowski zarządza trzodą św. Wojciecha, dwanaście lat upływa, odkąd więzieniem i wygnaniem rozłączono go z dyecezyanami. Z 820 kapłanów, których zostawił w cząstce Winnicy Pańskiej, swej pieczy oddanej, pozostaje dziś czynnych 450, do których doliczyć wypada około 130 w tymże okresie czasu wyświęconych za granicą. Przez lat dwanaście umarło 245 księży, steranych po większej części, przed czasem, nadmiarem trudu i ciężkiemi próbami chwili. Dwunastu znalazło się odstępców, którzy skuszeni doczesnemi korzyściami, poszli w służbę rządową. Z tych dwóch stanęło przed sądem Bożym, dwóch się nawróciło, ośmiu zaś trwa dotąd w błędzie, z tych zaś sześciu tylko w Poznańskiem, dwóch bowiem stąd wyszło na Górny Szląsk. Parafij osieroconych mamy już w naszej archidyecezyi 201, zaczem przeszło 351.000 dusz nie posiada regularnej duchowej obsługi i pomocy. Stosunki te tem uciążliwsze nam są, iż od lat dwunastu ludność katolicka wzrosła przynajmniej o 16%.

Kwestya wydalań nie przestaje ściśle być związaną z kwestyą religijną. Skonstatowany powyższy wzrost katolickiego żywiołu przyczynił się zapewne do zdecydowania proskrypcyi *en masse* niewinnych i spokojnych osadników. Do faktów dawniej w tej mierze przytoczonych, warto dodać przykład parobka w Prusach Zachodnich, objętego zrazu w liście proskrypcyjnej, a którego zostawiono na dawnem stanowisku, skoro mu jego pan, pozasłużbowy major pruskiej armii, doradził wyrzeczenia się wiary ojców, aby przejść na luteranizm. Pewną biedną Łotyszkę do ostatka kuszono obietnicą, iż jej nie ruszą z miejsca, byle do heretyków przystała; za jej stałym oporem, wyprawiono ją z niemowlęciem do Krakowa. Całe wsie

osiadłych na kresach księstwa Mazurów ubezpieczonemi się okazują od zastosowania drakońskiego edyktu. Dla czego? bo nie są katolikami. Wydalania postępują systematycznie naprzód, a świeżo dokonany spis ludności zaostrzył jeszcze surowość władz, ścisłem podaniem miejsca urodzenia i pochodzenia każdego obywatela państwa. Straszne się wciąż z tej okazyi rozgrywają dramaty: przytoczmy fakt siedmioletniej sierotki, z ojca niegdyś poddanego rosyjskiego, którą obecnie z domu macochy postanowiono wydalić, jako obcą poddankę.

Jeśli na polu wyznaniowem tak srogich doznajemy wciąż ciosów, cóż dodać do smutnego obrazu szkolnych u nas stosunków, świeżo w *Przeglądzie* wiernie odfotografowanych? Wiec odbyty w Poznaniu na dniu 8 grudnia, co dopiero skończonego roku boleśnie uwydatnił żałobę ojców rodzin ponownie zaniesioną przed ministra. Z przywiedzionych w ich petycyi zażaleń, wspomnijmy wyliczenie mnogich przypadków, w których dzieci z polskich rodziców dowolnie zostają przyłączone do oddziału t. zw. *deutsch-katholisch*, i pozbawiane bywają tem samem nawet religijnego w języku ojczystym nauczania. Spokojnie i z rozwagą napisana petycya, wskazuje na anormalny stosunek nauczycieli do dziatwy szkolnej, tak pod względem narodowym jak i wyznaniowym. Mimo nadzwyczajnej przewagi dzieci katolickich w szkołach miejskich ludowych, których jest mniej więcej cztery razy tyle, co ewangielików, widzimy w Poznaniu 47 nauczycieli protestantów, dwóch żydów, a zaledwie 45 katolików. Pod względem narodowym stosunek ten jeszcze się anormalniej przedstawia, bo na 94 nauczycieli zaledwie jest 35 Polaków a 59 Niemców, bez względu na większość dzieci polskich.

Petycya poznańskich ojców rodzin żąda przedewszystkiem powrotu do dawniejszych z przed r. 1860 stosunków, a zatem przywrócenia szkołom miejskim charakteru wyznaniowego, nadzoru duchowieństwa, uszanowania języka i religii ludności polskiej, słowem zniesienia wszystkich nieprawidłowości, które mianowicie od czasów ministerstwa dra Falka wkradły się do naszych szkół ludowych, a sprzeciwiają się wszelkim pedagogicznym wymaganiom, i krzywdę tylko uczonej w ten sposób dziatwie przynoszą.

Po licznie doznanych zawodach, co do skuteczności petycyi i deputacyi naszych do Berlina, wiec poznański postanowił i oso-

biste środki ratunku obmyśleć, przedewszystkiem gorącą odezwą do matek, aby przy ognisku domowem podwójnie strzegły tych wszystkich skarbów, które za progiem domu tak bardzo są dziś zagrożone, a powtóre i do społeczeństwa zawsze ofiarnego z żądaniem datków, któreby pozwoliły w nieskończoność mnożyć rozdawnictwo katechizmów i elementarzy w polskim języku. Pewien rzemieślnik poznański, pierwszy z pięknym pospieszył przykładem, ofiarując sto marek na cel powyższy.

Ale nie same tylko szkoły ludowe dziś są wystawione na liczne szkody. Wyższe zakłady naukowe ulegają podobnemuż losowi. Fatalna data 1873 r. i na nich ciemną zawisła chmurą. Do tegoż roku było przy 18 wyższych zakładach naukowych w Księstwie, na 163 profesorów Niemców, przynajmniej jeszcze 70 Polaków. Dziś przy 20 zakładach naukowych, na 235 profesorów Niemców, zaledwie zostało 34 Polaków. Gimnazyum św. Maryi Magdaleny, powstałe na gruzach sławnego niegdyś jezuickiego kolegium, o trzechwiekowej naukowej przeszłości, zatraca powoli swój charakter polsko-katolicki. W tychże latach emerytowano lub przeniesiono stąd siedemnastu profesorów Polaków, a instalowano zaledwie jednego. Wszystkie posady zajęli Niemcy, kilku nawet ewangielików. Z gimnazyum w Ostrowie usunięto dwunastu profesorów Polaków, a nie instalowano żadnego. Translokacye polskich profesorów, mimo zapewnień względności ze strony ministeryalnej, dokonywane bywają twardo i surowo; przeniesieni do małych pruskich miasteczek, w okolicach dalekich i czysto niemieckich, wygnańcy więdną z tęsknoty i usamotnienia. Pięciu z nich świeżo życiem przypłaciło to arbitralne przerzucanie w obce stosunki. Na dwudziestu dyrektorów gimnazyalnych, niemasz ani jednego Polaka, a zaledwie czterech jest katolików. Na czele zaś całego wyższego w Księstwie szkolnictwa stoi tylko jeden radca ewangielickiego wyznania, a posadę katolickiego radcy od trzech lat zniesiono.

Materyalne położenie nieweselszy przedstawia widok. Ogólne w świecie całym przesilenie z osobną u nas występuje grozą. Zdaniem kompetentnych, żadna prowincya cesarstwa niemieckiego tak lichych w bieżącym roku nie miała zbiorów, jak nasze księstwo, a pod względem rolniczym na ostatniem też stoi miejscu. Zapóźniliśmy się na szlakach intensywnego gospodarstwa, chwytając się na-

kładów i zakładów fabrycznych, w ostatnią bodaj godzinę ich pomyślności, gdy nie stało już czasu, aby odzyskać wyłożony kapitał, zanim obniżenie cen zadało cios śmiertelny przedsiębiorstwom rolniczym. Skądinąd anormalność naszego położenia, jako Polaków, zaostrza trudności walki o byt i chleb powszedni. Wszędzie i zawsze między państwem a obywatelami jego, wieczna trwa zamiana posług i pomocy; tutaj przeciwnie, za dank krwi i czasu w przymusowej służbie wojskowej, za obciążające nas podatki, nie otrzymujemy równouprawnienia, nie otwierają się przed nami żadne karyery, z których Polacy systematycznie bywają usuwani, podczas gdy wszystkie rządowe posady, od najwyższych do najniższych przez samych Niemców wyłącznie są zajmowane. Trudno w tych warunkach dobijać się chleba i wywalczać sobie miejsca w czynnej armii. Wszystko zresztą pochłania wszechpotężny militaryzm, który jest istotą państwowego ustroju. Obliczono niedawno koszta utrzymania armii w Prusach, a gdy rozdzielono je na całą ludność kraju, przypadło dziewięć marek na głowę! Nie dziw iż ta olbrzymia organizacya pożera krocie, wyzyskuje wszystkie soki żywotne, krew, trud i pot tysięcy. Utrzymanie na stopie wojennej półmilionowej armii pociągać za sobą musi kolosalne wydatki i podatki. Pamiętać należy iż wedle ostatnich zestawień etatu, wojsko pruskie posiada przeszło 18.000 oficerów, z górą 50.000 podoficerów, 1606 lekarzy, 619 weterynarzy i t. d. Sama muzyka wojskowa dolicza się półczternasta tysiąca ludzi, i tak wszystkie cyfry równie wygórowane i znaczne; każdy zaś rok przysparza jeszcze ciężarów i kosztów, pod rzekomym pozorem utrzymania błogosławieństw zbrojnego pokoju. Termin noworoczny ujawnił opłakane położenie naszych rolników: przeszło dwustu obywateli ziemskich zaległo w wypłaceniu półrocznej raty Towarzystwa kredytowego, a w ich liczbie nie brak niemieckich właścicieli. Nowe prawa opóźniają wprawdzie w nieskończoność ostateczności sprzedaży koniecznych, niemniej w takich warunkach ustala się widmo ruiny nieodzownej. Mała własność nie jest bezpieczniejszą za dni naszych; obliczono iż w ostatnich latach skutkiem parcelacyi lub pochłonięcia przez wielkie majątki, znikło około trzech tysięcy gospodarstw chłopskich. Alboż zmierzamy ku zupełnej odmianie stosunków społecznych, które po pewnym czasie

nowego wymagać będą uregulowania? zagadka to przyszłości, dotkliwie nad teraźniejszością ciężąca.

Walne zebranie towarzystwa przyjaciół nauk z końcem roku skupiło w Poznaniu znaczny członków zastęp. Chodziło o wybór prezesa, w miejsce nieodżałowanego ś. p. Stanisława Koźmiana. Jak było do przewidzenia, wybój jednomyślny padł na czcigodnego hr. Augusta Cieszkowskiego, który jako jeden z założycieli tej pięknej instytucyi i jako pierwszorzędna naukowa międzynarodowa powaga, i jako duch gorący a podniosły i wszechstronny, na ten zaszczyt sobie zasłużył. Zarząd towarzystwa pozostał mniej więcej jednakim: opróżnione stanowisko konserwatora, po zmarłych Feldmanowskim i Kanteckim oddano zdolnemu badaczowi, Dr. Erzepce. Półroczne sprawozdanie obznajmiło nas z rozwojem towarzystwa, liczącego 312 zwyczajnych członków, 20 wieczystych, 38 honorowych wraz z korespondentami. Obecnie nasze towarzystwo wychodzi z okresu trafnie nazwanego gospodarskim, ponieważ w nim przeważnie zajmowano się urządzaniem, budowaniem i rozmieszczaniem zbiorów; w tej mozolnej pracy najczynniejsza rola przypadła hr. Wawrzyńcowi Engeström, co też z uznaniem publicznie podniesiono. Nie mniej uderza powszechne zainteresowanie się publiczności dla tak szacownej instytucyi. Dary tegoroczne dorastają tysiąca.

Jużby samo towarzystwo przyjaciół nauk, istniejące od lat tylu, prywatną ofiarnością wystarczyło, aby piękne tej ofiarności nieść świadectwo. Gdy jednak pisma warszawskie świeżo rzuciły nam w oczy zarzut „ekonomicznego“ tylko kochania ojczyzny, szukaniem przedewszystkiem własnego zysku, z obojętnością dla sprawy publicznej, słusznie można przypomnieć, co jałmużn z Piastowskiej płynie dzielnicy. Mimo biedy dotkliwej i dokuczliwej znajduje się tu wciąż grosz gotowy dla jednorazowych potrzeb i utrwalonych instytucyj. Towarzystwo pomocy naukowej przeszło czterdzieści lat już promienieje nieustającą dobroczynnością. Obok zakwita skromniejsza Pomoc dla dziewcząt, Czytelnia ludowa, teatr polski, i t. d. i t. d. Świętopietrze dorasta kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu tysięcy franków, rok rocznie składanych u stóp Namiestnika Chrystusowego. Misye bułgarskie, internat ruski stale stąd czerpią dochody. Na wydalanych złożono w mgnieniu oka blisko 20.000 marek. Każda bieda lub potrzeba krajowa, każda myśl

piękna i szlachetna, prędki tu oddźwięk znajduje. Alboż to objawy zaskorupienia egoistycznego, zasklepienia w materyaliźmie? Nie podejrzany o stronniczość świadek, zacięty Polakożerca, świeżo w łonie niemieckiego towarzystwa rolniczego porównywając chromiący stan towarzystwa ku wspieraniu urzędników gospodarczych, z rozkwitem podobnej polskiej instytucyi, głośno ową różnicę przypisał ofiarności polskiej, nieżałującej grosza dla dobra publicznego, do której niemiecka hojność nigdy się nie przybliży.

Jednym dowodem więcej tak niespożytej ofiarności jest rozrost prasy polskiej, bez względu na trudne obecnej chwili warunki. Z nowym rokiem pojawiło się w Berlinie polskie czasopismo, odpowiadające potrzebie 30.000 osiadłych w pruskiej stolicy Polaków. Dr. Łebiński rozpoczął w Poznaniu wydawnictwo ekonomistycznego tygodnika, p. t. *Trud*, z pięknem hasłem, przypominającem najpierwsze dane człowiekowi przykazanie: „Pracować będziesz w pocie twego czoła“. Pismo poświęcone sprawom przemysłu, rzemiosła i handlu, wypełnia dotychczasową lukę, a imię redaktora najpewniejszą rękojmią zdrowego kierunku i umiejętnego prowadzenia. Do zasłużonego zastępu prasy polskiej na Szląsku przybył z nowym rokiem miesięcznik maryański, zatytułowany: *Zdrowaś Marya* a wydawany w Mikołowie. Księgarnia katolicka w Poznaniu podobnież zamierza cześć Maryi szerzyć za pomocą także miesięcznego pisma, p. t.: *Róża duchowna*. Oba miesięczniki stoją pod dyrekcyą światłych i gorliwych kapłanów. Ruch eucharystyczny, który w całym świecie obecnie się pojawia ku zagrzewaniu dusz w czci dla Najśw. Sakramentu, i u nas się objawia nowem pismem, zatytułowanem: *Monstrancya złota*, która raz w miesiącu wychodzić będzie w Poznaniu. Nareszcie ks. Dr. Łukowski, zasłużony kierownik *Straży św. Wojciecha*, czyli stowarzyszenia, mającego na celu wydawnictwo tanie dobrych książek, które już od lat czterech istnieje, i znakomite wydało publikacye, obecnie rozpoczyna w Gnieźnie wydawać pisemko, p. t.: *Boga Rodzica*, poświęcone książkom ludowym i wychowaniu. Chyba obawa zbytniego rozstrzelenia sił miarkować może szczerą radość z dowodów tak czynnej żywotności w szeregach piszących i czytających w naszej dzielnicy.

M.

Korespondencya Redakcyi.

Na recenzyą p. Kirkora o VIII. tomie *ss. rerum polon.* przysyła nam wydawca tychże następującą odpowiedź:

Szanowna Redakcyo!

W styczniowym zeszycie „Przeglądu powszechnego“ umieścił p. Kirkor recenzyą VIII. tomu SS. rer. polon., w której nie małe zarzuty czyni wydawcy, wytykając mianowicie znaczne pomyłki w objaśnieniach i dowolność w ocenieniu historycznych osobistości. Ponieważ zarzuty te niezupełnie są uzasadnione, upraszam przeto szan. Redakcyą o umieszczenie tych kilku uwag, które po przeczytaniu recenzyi p. K. w obronie własnej skreślić musiałem, aby nie być posądzonym o lekkomyślne a z prawdą historyczną niezgodne traktowanie tak poważnego przedmiotu, jakim jest krytyczne wydawnictwo źródeł dziejowych.

Zarzuty p. K. są dwojakiego rodzaju: jedne dotyczą przedmowy, drugie wydania tekstu. W przedmowie, gdzie starałem się w kilku słowach scharakteryzować osoby piszących: księcia Sierotki, Jana Zamojskiego i Lwa Sapiehy, nie podobały się p. K. ustępy, traktujące o kanclerzu W. Ks. Lit., nie podobało się, że wysokiego tego dygnitarza nazwałem Litwinem czystej wody i że mu „prowincyonalizm“ litewski zarzuciłem. Nie nowe to zarzuty! woła p. K. z indygnacyą, czyniono je już Witołdowi i ks. Ostrogskiemu. Prawda! ale jak z jednej strony nie ulega dziś wątpliwości, że ks. Witołd dążył do separatyzmu, tak z drugiej strony nie można mierzyć czynów Sapiehy lub Ostrogskiego miarą wielkopaństwowych Kiejstutowicza zapędów. „Są grzechy zbrojne w przywilej na ziemi“, są cele i zamiary, które uszanować należy, acz mogą być dla nas szkodliwe, bo noszą na czole piętno geniuszu i wielkości. Ale bo na co się mógł porwać litewski Napoleon w poczuciu własnej potęgi i siły narodu swego, staje się w czynach Sapiehy lub Ostrogskiego szkodliwem dla organizmu państwowego działaniem, staje się negacyą unii lubelskiej i osłabieniem tej Rzpltej, która dla całej rzeszy narodów, berłu swemu podległych, umiała być troskliwą matką i opiekunką. Że w historyi naszej bywały chwile, gdzie obywatele tej lub owej prowincyi, bądź to przez zasługi, bądź przez wolności, bądź nareszcie przez zbieg sprzyjających sobie wypadków wyniesieni, zajmowali u stóp tronu pierwsze miejsce i Rzpltą rządzili, to dowód tylko, jak dalece równość panowała w obec prawa i jak ją pojmowano. Że z tego powodu wynikały często skargi i narzekania na preponderancyą pewnych rodzin i prowincyj, to zrozumieć łatwo, ale chwalić tego się nie godzi, bo zadaniem historyi jest wyjawienie prawdy a nie schlebianie pewnym przywarom społeczeństwa. Otóż w imię tej prawdy historycznej trzeba powiedzieć właśnie, że Lew Sapieha bezstronnym nie był, i że na ludzi i czyny ich zapatrywał się ze stanowiska czysto prowincyonalnego, czasem nawet koteryjnego. Za czasów Stefana Batorego zajmuje on już znaczne na dworze królewskim stanowisko i jest wtedy żarliwym stronnikiem tronu, ale zaledwie Zygmunt III. otrzymał osierocone po Batorym berło, wnet i zapatrywania Sapiehy wielkiej ulegają zmianie. Wysłany w poselstwie od senatu li-

tewskiego do Krakowa, zaczyna on od pierwszej chwili niemal, gdy stanął w murach małopolskiej stolicy narzekać, na przewagę Polaków i upośledzenie Litwy. Zdawałoby się, że rzeczywiście ma powód do tego. Broń Boże! Co do Inflant, ugodzono się, że połowica zamków tamtejszych dostanie się Litwinom, druga Polakom; co do godności litewskich zaś sam Sapieha opowiada (p. 190), że król we wszystkiem z panem wojewodą trockim się komunikuje", a więc z dygnitarzem litewskim, z Litwinem, który w sprawach kraju swego stanowczy głos mieć był powinien. Skądże więc rankor Sapiehy, skąd niezadowolenie jego do króla, o którym mówi, że tylko „w gałki i piłkę" grać lubi i „maszlarnikami się bawi, oto zapewne nie z innej przyczyny, jak tylko, że „wakancye litewskie wszystkie rozdano za przyczyną pana wojewody trockiego i pana starosty żmudzkiego", pierwiej niż jemu (Sapieże) o tem z królem mówić przyszło (p. 189). Takie zapatrywanie kanclerza W. Ks. Lit. nazwaliśmy dość oględnie „prowincyonalizmem", p. Kirkor mniema, że Sapieha troszczył się tylko o dobro swojego kraju!

Podobnie miała się rzecz i z statutem litewskim, którego polską redakcyą Sapieha się zajmował. Pojmujemy, że mogły tam być zwroty, które „de verbo ad verbum przełożyć wedle ruskich słów i sentencyj bardzo byłoby niegrzecznie", ale w każdym razie był tłumacz obowiązany przytoczyć wszystkie przywileje, w całej osnowie, a nie wybierać tylko takie ustępy, które Litwinom „były na rękę" (p. 195). To już było coś gorszego nawet „niż prowincyonalizm". Najwięcej rozżalił się p. K. za to, że Sapiehę nazwałem „magnatem-dorobkowiczem". „Tego już za wiele", powiada, potomkowie Ponigajły, wnuka Giedymina, Sapiehowie, byli panami z panów". Nie przeczę, że ludziom wychowanym i żyjącym w późniejszych tradycyach wyda się twierdzenie nasze frazesem, nieopartym na źródłach. Zbadawszy jednak rzecz dokładnie, nie wiemy, czy i p. K. w końcu słuszności nam nie przyzna. Bo już owo rzeczone pochodzenie Sapiehów od Punigajły Narymuntowicza, o którem ks. Kognowicki się rozpisuje [1], jest kwestyą arcywątpliwą. Nie wie o niej nic Paprocki a nowsi dziejopisarze, traktujący genealogią Narymuntowiczów umiejętnie, nie wymieniają wcale Sapiehów, jako potomków Patryka (chyba nie Punigajły), wnuka Giedyminowego [2]. Ale mniejsza o pochodzenie. Parentela, chociażby najmniejsza, nie rozstrzyga kwestyi majątkowej, i kto tylko zna historyą rodów książęcych litewskich i ruskich, ten przyzna, że nie zawsze tam mitra książęca chodziła w parze z książęcą fortuną. Dość przytoczyć Woronieckich, Pruńskich, Wiśniowieckich a nawet Czartoryskich, którzy w w. XVI. od zamożnej szlachty mało się różnili i magnackich majątków nie posiadali. Tak było i z Sapiehami w owych czasach i to im wcale nie ubliża. Substancya ich nie musiała być tak znaczna, jak mniema p. Kirkor, kiedy sam Lew Sapieha na dworze Radziwiłłowskim się wychowywał (p. 179) i o Radziwiłłach, jako o dobrodziejach swoich niejednokrotnie wspomina. „Jam ci jest sługą WMci — tak pisze w r. 1592 — mego uczciwego pana i być chcę do śmierci, chcąc to wszystkim pokazać i przyjaciołom i nieprzyjaciołom WMci, gdyżem ja jest pełen łaski i dobrodziejstw, którychbym najbardziej chciał odsłużyć". Jeszcze silniej naznacza tę swoję służbistość na str. 179. A jeżeli tak było, to musiał p. kanclerz wtedy dorabiać się dopiero

[1] Żywot Lwa Sapiehy (Wyd. Turow.) p. 7.
[2] Stadnicki, Synowie Giedymina w Rozpr. i Spraw. z pos. Akad. t. III.

owej magnackiej fortuny, którą rzeczywiście później posiadał, teraz zaś narzekając na biedę (p. 198 i 199), jest dla nas tylko klientem Radziwiłłowskiej rodziny, która mu swata panią wojewodzinę trocką, Zbaraską, i w ten sposób dopomaga do przysporzenia majątku. Zdaje nam się tedy, że owych „przyjacielskich zeznań“ kanclerza źle nie zrozumieliśmy“.

Przechodząc następnie do uwagi objaśnień wydawcy, skarży się p. K. na „masę“ błędów, które dlatego popełniono, ponieważ, tu u nas rzeczy litewskie dla wielu są jeszcze *terra incognita*. Coby to były te „rzeczy litewskie“ nie powiedział Szan. recenzent. Jeżeli miał na myśli publikacye w języku litewskim, to przyznajemy mu słuszność, bo po litewsku nieumiemy, jeżeli zaś przeciwnie chodzi o opracowania historyi litewsko-polskiej dotyczące, tośmy się starali o ile możności z najlepszych czerpać źródeł, i wdzięczni bylibyśmy p. Kirkorowi, gdyby nam raczył wskazać dzieła, z których można było powziąć dokładniejsze wiadomości. P. K. nie uczynił tego, powołał się jedynie na książkę Wolffa o senatorach W. Ks. Lit., chociaż wiedział, że z dzieła tego korzystać nie mogliśmy, gdyż wyszło ono dopiero w r. 1885, a druk „Archiwum Radziw.“ ukończył się w lipcu r. 1884. Prawda, że bez pomocy książki p. Wolffa praca nasza była o wiele trudniejsza; niemogąc bowiem polegać na bałamutnych często podaniach Niesieckiego, musieliśmy robić poszukiwania na własną rękę w Voluminach legum i współczesnych dokumentach, co nie zawsze pomyślnym bywało uwieńczone skutkiem. Ale i tak nawet p. K. wytknął nam zaledwie dwa uchybienia, z których pierwsze popełnił właściwie Kotłubaj, my zaś zbłądziliśmy o tyle, że na powadze Kotłubajowskiej oparliśmy nasze przypuszczenia. Co się zaś tyczy kasztelana Mińskiego, to poszliśmy za Niesieckim, a ten pod r. 1587 mianuje kasztelanem Mińskim Pawła Paca.

W objaśnieniach topograficznych znalazł p. K. także dwie usterki i w sposób charakterystyczny takowe sprostował. Najpierw zarzucił nam, że Orsza należała do księstwa Witebskiego a później do Smoleńskiego wdztwa, podczas gdy my zaliczyliśmy ją do wdztwa Witebskiego. Rzeczywiście to wszystko, co p. K. o Orszy przytacza, znajduje się w starożyt. Polsce Balińskiego IV., 710 tj. tam, skąd i my objaśnienia nasze czerpaliśmy, ponieważ jednak na schyłku XVI. w. województwa Smoleńskiego nie było, a księstwo Witebskie dawno istnieć przestało, więc przyłączyliśmy Orszę do wdztwa Witebskiego, do którego w istocie później należała. Nie zdawało nam się zaś potrzebnem wypisywać wszystko, co o historyi Orszy da się powiedzieć, bo tu chodziło tylko o objaśnienie topograficzne, a nie o wiadomość historyczną. Dziwniej jeszcze brzmi drugi zarzut p. Kirkora, oto powiada on, że Upita przestała być dawno miastem powiatowem i leży dziś w guber. Kowieńskiej, pow. poniewieskim, a nie w województwie Trockiem, jak my podaliśmy. Tego już prawdziwie za wiele. Jeżeli się ktoś zabiera do wyjaśnień topograficznych, to musi oprzeć się na jakiejś podstawie; dla nas podstawą tą był dawny podział na województwa taki, jaki za Rzpltej istniał. Może to jest zasada mylna, może wypadało trzymać się gubernii i powiatów dzisiejszych, dla nas jednak, którzy z historycznego punktu widzenia na ziemie litewsko-ruskie spoglądamy, więcej mają wartości przestarzałe podania Kromera, Gwagnina lub Stryjkowskiego, niż urzędowe monografie powiatów litewskich z polecenia generalnego sztabu wydawane. Nakoniec wspomnieć musimy jeszcze o pierwszem wydaniu testamentu ks. Sierotki. Rzecz miała się w następujący sposób: Kiedy druk VIII. tomu ss. r. pol. był

na ukończeniu, spotkałem się przypadkowo z p. Kirkorem w gmachu akademii umiejęt. zapytany przez niego, co owa korespondencya Radziwiłłowska, którą wydaję w sobie zawiera, opowiedziałem szczegółowo treść jej, i napomknąłem przytem o testamencie ks. Mikołaja Krzysztofa. Na to odparł p. K., że o ile mu się zdaje, akt ten był już drukowany, prawdopodobnie z polecenia rządu, gdy chodziło o sprawę spadkową, ale bliższych szczegółów, jako też tytułu owego wydawnictwa przypomnieć sobie nie może. Wobec takiej odpowiedzi nie wypadało mi nic innego, jak tylko w przypisku wzmiankę o tem umieścić, bo właśnie przedmowę wydrukowaną, w pierwszej miałem korekcie. Dziś p. Kirkor ku niepomiernemu zdziwieniu memu i tytuł książki owej przytoczył i prawdziwość przypisku mego w wątpliwość podał, nazywając całą kwestyą „nieporozumieniem“. Rzeczywiście było nieporozumienie, ale chyba nie nasza w tem wina.

August Sokołowski

W sprawie Reformy Muzyki kościelnej otrzymujemy następujące pismo:

Początek reformy muzyki kościelnej na polskiej ziemi.

W artykule „Przeglądu powszechnego“, pod napisem: „Reforma muzyki kościelnej w XIX. wieku“ (w zeszycie styczniowym 1886) znajdujemy też wspomnienie o początku tej reformy na polskiej ziemi. Tam zupełnie pominięte są zasługi ś. p. księdza Józefa Mazurowskiego w Pelplinie około śpiewu kościelnego. A jednak on pierwszy na polskiej ziemi tę reformę rozpoczął i wydaniem „Melodyj“ do polskich pieśni kościelnych utrwalił. Więc dla uzupełnienia owego artykułu dodaję następujący mały przyczynek.

Ś. p. Józef Mazurowski urodził się w Białejgórze nad Wisłą w powiecie sztumskim 14 lutego 1832 r. a wychował się w domu ojczyma swego Kościemskiego, który był Prokustoszem i nauczycielem zakładu wychowawczego chłopców w Pelplinie, który to zakład wyrósł na teraźniejsze *Collegium Marianum*. W tym zakładzie młody Mazurowski nabył wielkiej biegłości w muzyce, pod kierownictwem X. Wacława Maślona, Górnoszlązaka, który od r. 1838 do 1851 był dyrygientem chóru katedralnego w Pelplinie i oraz profesorem śpiewu w seminaryum duchownem i w spomnionym instytucie. Już jako uczeń wyższych klas gimnazyum chojnickiego (1850 do 1855), Mazurowski z chlubą dyrygował śpiewem i muzyką w tamtejszym kościele gimnazyalnym, i skomponował niejedną melodyę, mianowicie rozrzewniające „Salve Regina“. Wyświęcony na kapłana 1859 r., był przez półtora roku zajęty dusz-pasterstwem, a od 1 września 1861 r. nauczycielem śpiewu i muzyki w *Collegium Marianum* i równocześnie profesorem śpiewu i obrządków kościelnych w seminaryum klerykalnem w Pelplinie.

Nawskróś przejęty duchem kościelnym, X. Mazurowski czytając czasopisma muzyczne, które zawierały próby poprawionego gustu i zdawały sprawę z ruchu towarzystwa św. Cecylii, mianowicie w Ratysbonie, przekonał się, że należy wrócić do dawniejszych wzorów śpiewu gregoryańskiego. W tym guście skomponował kilkanaście pieśni polskich i łacińskich, albo raczej oczyścił je

od szpecących dodatków, a uczniowie *Collegium Marianum*, przez niego uczeni, wzorowo je odśpiewywali na chwałę Bożą i zbudowanie bliźnich. Podążył kilkakrotnie na walne zebrania towarzystwa św. Cecylii w Ratysbonie a później do Kolonii, gdzie w przekonaniu swojem się utwierdził. Podjął też większą podróż do południowych Niemiec i Tyrolu i zwiedził różne miejscowości, znane z dobrego śpiewu kościelnego. Najwięcej skorzystał w starożytnym klasztorze Benedyktyńskim w Beuron (Hohenzollern-Sigmaringen), gdzie w pełnej mierze znalazł to czego szukał: żywą tradycyę śpiewu prawdziwie gregoryańskiego.

Tak przygotowany, został w r. 1868 dyrygientem chóru katedralnego w Pelplinie. Na tym urzędzie miał jeszcze więcej sposobności do przeprowadzenia tego w śpiewie kościelnym, co uważał za dobre. Niemałe trudności były do pokonania; wytrwałością swoją przezwyciężył przecenianie śpiewu figuralnego, który tu dotąd był w używaniu, i rozbudził zamiłowanie dawnych wzorów, jakie wyrosły z ducha gregoryańskiego. W r. 1870 wydał „Melodye“ pieśni kościelnych, zawartych w wielkim „Zbiorze pieśni“ ś. p. Kellera. Przez wydanie tego dzieła wielce się zasłużył. Dotąd 800 egzemplarzy rozeszło się po całym świecie a około 200 egzemplarzy czeka jeszcze rozkupu.

W artykule „Przeglądu powszechnego“ o reformie muzyki kościelnej, czytam (zeszyt stycz. 1886 str. 40—41): „Przed kilkunastu laty, wielki znawca muzyki, X. prałat Koźmian, nierzadko do siebie zapraszał młodego studenta, (Józefa Surzyńskiego), który wielkiemi muzykalnemi zdolnościami zdumiewał nauczycieli i kolegów“. Z tych słów można wnosić, że X. Koźmian pokierował studyami muzycznemi młodego Surzyńskiego. Ale może tylko mnie i jeszcze jednej powszechnie poważanej osobie jest wiadomem, że X. Koźmian właśnie w Pelplinie nauczył się oceniać należycie śpiew gregoryański. Gdy bowiem z wychowańcami swojego zakładu poznańskiego r. 1871 odbywał podróż po Zachodnich Prusach, zatrzymał się w Zielone Świątki w Pelplinie, a śpiew tamże wykonany, pod kierownictwem X. Mazurowskiego, tak mu się podobał, że między innemi oświadczył: „Gdybyśmy to my w Poznaniu mieli taki śpiew!“ Być może, że właśnie wrażenia tutejsze zachęciły go do budzenia zamiłowania w prawdziwie gregoryańskim śpiewie.

Niestety, rychła śmierć przerwała tak zbawienną działalność księdza Mazurowskiego. W wilię Bożego Ciała, d. 30 maja 1877 r., wśród przygotowań do tej uroczystości, tknięty apopleksyą na mózg, nagle żyć przestał. Wszakże już przez to co zdziałał w krótkim czasie swojego żywota, zasłużył sobie na miano pierwszego reformatora muzyki kościelnej na polskiej ziemi.

P. O.

Druk ukończony dnia 26 stycznia 1886.

DWA OSTATNIE PAMIĘTNIKI RENANA.

Zdarza się czasem, że słynny jakiś mowca, mąż stanu, poeta, doszedłszy lat podeszłych, siebie tylko widzi wszędzie, o sobie wyłącznie w „zagrobowych pamiętnikach“, lub w wierszach coraz nieznaczniejszych mówi i pisze. Niemiłą to rzeczą; ale choćby się wolało aby Cycero mniej sam siebie chwalił, Chateaubriand nigdy nie był pisał swych „Mémoires d'outre-tombe“, a Lamartine np. „Podróży na Wschód“, przecież pobłażliwie spogląda się na tę chełpliwość starości, ze względu na rzeczywiste dawniej położone zasługi. Lecz gdy kto całe życie ciągle samego siebie stawia na ołtarzu, opisuje i śpiewa; to trudno nie odwrócić się z niechęcią i oburzeniem przed tym natrętnym piewcą własnej chwały. Takim właśnie własnej chwały piewcą, zajmującym ciągle świat samym sobą, jest i był od samego początku literackiej swej karyery, słynny Ernest Renan. Jeśli prawda, że poeci malują zazwyczaj samych siebie w głównych bohaterach swych eposów, to Renan najświęciej trzymał się tej tradycyi. Bohaterowie wszystkich główniejszych jego dzieł, od „Życia Jezusa“ do „Marka Aurelego“, to zawsze i ciągle w innej może szacie, z mniej lub więcej odsłonionem obliczem, ale zawsze jeden i ten sam Renan. Czy to próbuje odtworzyć obraz Chrystusa, czy Apostoła narodów, czy którego z późniejszych bohaterów chrześcijaństwa, tło pozostaje niezmienne: Chrystus, św. Paweł, męczennicy chrześcijańscy i cesarze rzymscy, łączyć w sobie muszą, na podobieństwo Renana, sceptycyzm z panteizmem, sprzeczności bez miary i liczby, pewne zabytki dawnego kleryka z Saint-Sulpice i późniejsze poglądy francuskiego akademika.

Ale w późniejszych latach, nie dość było Renanowi na tych nie dość wycieniowanych, w każdym razie nieopatrzonych właściwym podpisem portretach. „Aby dostarczyć, jak mówi, pewnych dat przyszłym szperaczom", rysował Renan przed parą laty swą młodość w *Souvenirs d'enfance et de jeunesse* [1], a tego roku, gdy już przeminął szum pochwał, gdy uwaga gdzieindziej się zwracała, chwycił ponownie za pędzel, by znów uwagę ku sobie zwrócić, i pod przeźroczystym pseudonimem „Kapłana z Nemi", — *le Prêtre de Némi* — znów kazał podziwiać własny swój portret i wielkiego portrecistę. „Wspomnienia z dzieciństwa i młodości" przedstawiają Renana, jakim był przed laty; „Kapłan z Nemi" przedstawiać nam go ma, jakim jest dzisiaj; poetyczniejsza młodość mogła się jeszcze nie źle wydać w prozaicznych „Wspomnieniach"; prozaiczniejsza starość ustroić się musiała w szatę poetycznej powieści. Tak „Wspomnienia" jak i „Kapłan z Nemi" [2], stawiają swego autora, a zarazem bohatera w idealnem świetle, wystawiają naprzód niektóre szczegóły, a starannie zakrywają inne; przecież i z po za tych artystycznie ułożonych draperyj dość wygląda oblicza, by można o niem sobie prawdziwe uformować wyobrażenie. To zaś wyobrażenie tem jest wierniejszem, że — szczęściem dla prawdy — jeden z dawnych towarzyszów Renana w małem seminaryum w Saint-Nicolas du Chardonnet, a następnie w Saint-Sulpice, śledził bacznie całe postępowanie młodego swego przyjaciela; co więcej, zachował kilka obszernych listów, w których Renan zdawał mu dokładną sprawę z walki toczącej się w swej duszy, w chwili, gdy z chrześcijanina zwolna stawał się poganinem, i na podstawie tych spostrzeżeń i sprawozdań mógł sprostować w niejednym punkcie zbyt nieokreślone, lub chełpliwe „Wyznania" autora „Życia Jezusa" [3].

W ślady zeznań samegoż Renana i kontrolującego go dawnego przyjaciela, odtworzyć sobie możemy w ogólniejszych przynajmniej

---

[1] Révue des Deux-Mondes z 15 marca, 1 grudnia 1876; 1 listopada 1880; 15 grudnia 1881; 1 listopada 1882.

[2] Dramat ten, a raczej filozoficzny dyalog dopiero przed paru miesiącami opuścił prasę, i wnet, dzięki sławie autora, zapobiegliwości księgarzy i usłużności krytyków, po całym świecie się rozszedł.

[3] W nadzwyczaj ciekawej broszurze: *M. Renan hier et aujourd'hui*, par L'Abbé J. Cognat. Paris 1883, str. 157. i w artykule tegoż autora: *Le Prêtre de Némi*, umieszczonym w *Correspondant* z 25 grudnia 1885.

rysach młodość i starość dzisiejszego patryarchy niewiary. Smutne to, ale pouczające studyum; czarny obraz, na którym mimowoli wydaje się, iż obok Renana, rysują się, równie jak on szydersko uśmiechnięte postacie dawnych sofistów, znających prawdę, lecz lubujących się w przynoszących poklask, sofizmatach.

Z historyi wiadomo, że wszyscy herezyarchowie i apostaci podnieśli broń przeciw religii z nienajczystszych pobudek. Renan wie o tem doskonale — nieraz tę prawdę dziejową słyszał w seminaryum; to też w apologii swej, noszącej skromniejszą nazwę „Wspomnienia", usilnie stara się dowieść, że nie można do jego odstępstwa od wiary zastosować zwykłego: *Cherchez la femme.* Główną przyczyną tej zmiany — wedle samegoż Renana — była własna jego natura: tkanka, złożona z samych przeciwieństw, przypominająca „hirko-cerwa" dawnej scholastyki. „W rodzinie mej matki, pisze, połączyła się krew bretońska i gaskońska. Gaskończyk, mimo mej wiedzy, płatał figle Bretończykowi i przedrzeźniał mu się po małpiemu". Ostatecznie Gaskończyk, żywioł ironii i sceptycyzmu, wsparty długiemi studyami nad hebraiką, filologią i pismami niemieckich racyonalistów, zupełnie zwyciężył, a zwycięstwo to doprowadziło logicznie do „Historyi początków chrześcijanizmu".

Tak opowiada Renan dzieje swej apostazyi; w rzeczywistości wyglądały one nieco inaczej. W jednem miejscu swych „Wspomnień" żali się, iż zaledwie po dziesięciu latach usilnej pracy nad Gezenjuszem i niemieckimi egzegetami przybił do punktu negacyi, od którego lada ulicznik paryski podróż swą rozpoczyna; w innem miejscu redukuje ten czas przygotowawczych studyów do lat pięciu czy sześciu; gdyby raz jeszcze ta sama materya pod pióro mu podpadła, wyznałby może wreszcie, że niemiecka egzegetyka i język hebrajski zupełnie niewinnie oskarżone poprzednio zostały o wyrwanie go z objęć chrześcijanizmu.

W piętnastym roku życia 1838-go, przybył Renan z rodzinnego miasteczka Trégnier do Paryża, do małego seminaryum Saint-Nicolas du Chardonnet, zostającego wówczas pod zarządem ks. Dupanloup. „Przyjazd mój do Paryża, opowiada Renan, przeniósł mię niejako z jednej religii do drugiej. Bretoński mój chrześcijanizm tak był podobny do paryskiego, jak stare, twarde jak deska płótno, podobnem jest do perkalu. To już nie była ta sama religia".

Dlaczego nie ta sama, wiedzieć trudno; to pewna, że piętnastoletni młodzieniec wówczas tej różnicy nie postrzegł. W szkole, w kaplicy, przy wspólnej zabawie, należał Ernest nietylko do najwzorowszych i najpilniejszych, ale zwłaszcza do najpobożniejszych. Z ochotą sługiwał do Mszy; zapisał się w szeregi kongregacyi N. Panny, i wkrótce został jednym z pierwszych jej dygnitarzy; pisał religijne hymny, opiewał wierszem greckim cześć Najświętszej Panny; nie zapominał nawet nigdy w podpis swój wplątać misternie, niby od niechcenia, znaku Krzyża św.[1].

Studya filozoficzne w Issy wywarły najnieszczęśliwszy wpływ na uzdolnionego, lecz zbyt zaufanego w swe siły dziewiętnastoletniego młodzieńca. Religii nie stracił, modlił się z dawnem nabożeństwem, przystępował często do Komunii św., lecz jednocześnie, z pewną śmieszną zarozumiałością, coraz więcej prawd rozumowych począł podawać w wątpliwość. Filozofia wymaga oka śmiałego i pewnego; Renan dostał zawrotu głowy, a nie mając dość pokory, by zawołać o pomoc, stoczył się w przepaść sceptycyzmu. W dziewiętnastym roku życia mógłby już był wypowiedzieć słowa, które wyrzekł w sześćdziesiątem przy przyjmowaniu Pasteura do akademii francuskiej: „Co do mnie, kiedy kto zaprzecza tym fundamentalnym dogmatom, miałbym ochotę im wierzyć; przeciwnie, kiedy kto je zatwierdza — wyjąwszy chyba w pięknym poemacie — ogarnia mię nieprzezwyciężone wątpienie". Naturalnie, do tego ogólnego wątpienia nie doszedł Renan od razu; wciskała mu się zwolna do serca filozofia niemiecka i coraz bardziej rosnąca pycha. „Oczarowany nowszemi ideami", jak się sam wyraża, zaczął zwolna chwiać się i tracić wiarę w najpierwsze zasady metafizyki. „Spostrzegłem niedostateczność tego, co zwykle nazywamy spirytualizmem... Wieczne *fieri*, metamorfoza bez końca wydała mi się jedynem prawem świata. Natura przedstawiała mi się jako całość, w której stworzenia odrębnych miejsc nie mają, i gdzie zatem wszystko wciąż się przemienia. W jaki sposób to pojęcie, dość już jasne filozofii pozytywnej, nie wypędziło z mego umysłu filozofii i chrześcijanizmu? Byłem młody, niekonsekwentny i brakowało mi krytyki".

Zatem, wedle wyznania samegoż Renana, stracił on już wiarę

[1] Cognat. p. 34 i nast.

jeszcze w Issy; że otwarcie się jej wtedy nie wyrzekł, było prostym brakiem konsekwencyi, prostą kwestyą czasu. Kto wątpi we wszystkiem — wyjąwszy chyba w pięknych wierszach — ten trudno, aby miał wierzyć w dogmata wiary katolickiej. Jak zaś i kiedy Renan wszystkie a wszystkie kwestye i prawdy zaciągnął w błędne koło powątpiewania, o tem świadczy wyjątek z poufnego listu, pisanego na lat kilka przed publicznem wyrzeczeniem się chrześcijanizmu:[1] „Człowiek nie może nigdy być dość pewnym swej myśli, aby zaprzysiądz wierność temu lub owemu systematowi który obecnie uważa za prawdziwy". „Należy[2], o ile możliwa, utrzymać się na stanowisku, na którem możnaby zmieniać kierunek swej łodzi, ile razy odmienia się wiatr wiary. A ileż razy łódź swą w odmiennym kierunku popchnąć wypadnie? To zależy od długości życia".

Ostatnie te wiersze kreślił Renan już w seminaryum Saint-Sulpice, w chwili gdy lektura niemieckich racyonalistów: Straussa, de Wette, Bauera, Eichorna, Semlera, zupełnie mu już głowę oszołomiła. Ależ w Issy nie znał tych nazwisk ani ze słuchu, a liter hebrajskich ani z widzenia, nie rozumiał nawet po niemiecku; a przecież zasad które wonczas postawił, żaden grecki sceptyk-by się pewnie nie wyrzekł. Niebawem tę teoryę wprowadził on w życie. Przystępując do ołtarza, aby otrzymać tonsurę (r. 1843), ślubował — przez dziwną zaiste restrykcyę myślną! — wierność, nie Bogu chrześcijańskiemu, ale abstrakcyjnej prawdzie, której wszędzie i ciągle szukać postanowił. Stosownie do tego postanowienia, dostawszy się do Saint-Sulpice, teologii poświęcał niewiele czasu, przeniknął bowiem natychmiast, że „teologia podobna we wszystkich szczegółach do katedry gotyckiej, łączy w sobie jej wielkość, niezmierne próżnie i słabość". Natomiast zupełnie już wówczas straciwszy wiarę, zasiadł do uczenia się niemieckich i hebrajskich głosek.

Jakakolwiek więc była ostateczna przyczyna apostazyi Renana, to pewnie — jak widać najlepiej z samychże jego „Wspomnień" — ani hebrajskie, ani niemieckie pisma tego nie dokazały. Renan zaprzeczył objawionym dogmatom, bo wprzód zaprzeczył dogmatom rozumu; został niedowiarkiem, bo wprzód był sceptykiem; sceptykiem zaś uczyniła go niepohamowana próżność. Próżność zrodziła

[1] Do J. Cognat'a 5 września, 1846. — Cognat, p. 118.
[2] Do tegoż, 11 września 1846. — Cognat, p. 122.

„Wspomnienia“, i jak nić czerwona przez nie się snuje; widocznem jest, że Renan jak aktor, pozuje na sceptyka, że czeka rychło-li otrzyma oklaski od tłumu, zdziwionego jego powątpiewaniem o wszystkiem, czego dotąd nikt rozumny w wątpliwość nie podawał. Kto śmie chełpliwie się przechwalać, że „nigdy w życiu nie był posłuszny;... a że kto słucha drugich, ten jest *capitis minor*, zabity w samym zarodku szlachetnego życia“; kto utrzymuje, że „sam jeden w swem stuleciu umiał zrozumieć Jezusa i Franciszka z Assyżu“[1], temu Bóg, jak wszystkim pysznym się sprzeciwia, a łaski swej ujmując, na upadek dozwala.

„Myśliciel; pisze Renan — najwidoczniej o sobie samym — myśliciel jest Jowiszem Olimpijskim, człowiekiem duchowym, który sądzi wszystkich, a którego nikt nie sądzi. Dusze proste posiadają wiele prawdy, ani myślę temu przeczyć; ale forma, pod którą prawdę posiadają, nie może wystarczyć człowiekowi posiadającemu rozum w odpowiedniej proporcyi do innych władz duszy“. Dokądże ów rozum doprowadził nowego Jowisza Olimpijskiego, od tej kaplicy Saint-Sulpice, gdzie się korzył swemu Stwórcy? Oto do stóp Minerwy na Akropolu, gdzie wznosił następną, dreszczem przejmującą modlitwę:[2]

„Niezmierna rzeka zapomnienia ciągnie nas w przepaść bez nazwy. O otchłani, tyś jest Bogiem jedynym! Łzy wszystkich ludów są prawdziwemi łzami; marzenia wszystkich mędrców zawierają część prawdy. Wszystko co tu jest na ziemi, jest tylko symbolem i snem. Bogowie przechodzą, jak ludzie, i nie byłoby dobrze aby byli wiecznymi. Dawna wiara, którą kto miał w sercu, nie powinna się zamieniać w kajdany. Dość dla niej wdzięczności, jeśli wyrzekający się jej owinie ją starannie w purpurowy całun, w którym śpią umarli bogowie“.

Na tej modlitwie słuszna zamknąć pierwszy pamiętnik Renana, opowiadający smutne dzieje młodzieńca i męża. Jakże ten człowiek wygląda na starość, w dobie, gdy lada chwila stanąć będzie musiał przed sądem Boga, którego, czuć że się boi, i że weń wierzy, choć myśl o nim jak marę odpycha. Na to pytanie od-

[1] Cognat. p. 21.

[2] Révue des Deux-Mondes, 1 Decem. 1876. Renan zwiedzał Ateny roku 1865.

powiada sam Renan, znów w przesadnej, ale w głównych rysach dobrze przeprowadzonej, aż do zbytku przeźroczystej alegoryi „Kapłana z Nemi“ [1], którą nazwaćby można „Wspomnieniem o starości Renana“.

Filozoficzny ten dramat przenosi nas do Alby, niedaleko jeziora Nemi, w pierwsze czasy po założeniu Rzymu. Nad jeziorem wznosiła się świątynia Dyany, w której nikt nie mógł zostać prawowitym kapłanem, jak opowiada Strabon, kto własną ręką swego poprzednika nie zabił. Pierwszy Antistius, człowiek mądry i zacny przerwał ten ohydny zwyczaj, a powszechny głos ludu ogłosił go kapłanem. Antistius był kapłanem liberalnym w najszerszem, czy najgorszem tego słowa znaczeniu: nie wierzył ni w bogów, ni w Boga, ni w modlitwy, ni w ofiary, ni w obrzędy święte; głosił tylko nieobowiązującą zresztą w życiu praktycznem cześć dla ideału, rozumu i miłości. Nowy ten, nieokreślony w bliższych swych kształtach, jakiś nadpowietrzny gmach, budował Antistius skrzętnie przez życie całe na gruzach dawnych wierzeń „zabobonów poli- czy monoteistycznych“. Obok Antistiusa obraca się cały szereg osobistości, częścią mu wrogich, częścią przyjaznych: Sybilla Carmenta, Metius, naczelnik patrycyuszów; Liberalis, przewodnik oświeconej liberalnej klasy średniej; Cethegus, herszt demagogów, i kilka innych mniej ważnych, lecz również z dzisiejszego społeczeństwa skopiowanych postaci. Niestety! „egoizm wielkich, głupstwo ludu, niemoc ludzi mądrych, bezecność kłamliwych kapłanów, słabość kapłanów liberalnych, zręczne ułudy patryotyzmu ...“ przygotowują ostateczną ruinę liberalnej Alby i gwałtowną śmierć niezrozumianego apostoła tolerancyi.

Otóż krótka, aż zbyt przeźroczysta treść „Kapłana z Nemi“, Antistius'a, mającego we mgle oddalenia przedstawić w zwiększonych, olbrzymich rozmiarach, mniej poetycznego i niespodziewającego się podobno na seryo męczeńskiej śmierci za swe przekonania „Kapłaną z Paryża“ — Renana. Forma dyalogu ułatwiła mu nad miarę nie tak łatwe zadanie pogodzenia ze sobą mnóstwa zdań sprzecznych; tu w całej pełni zastosować mógł charakteryzującą go za-

[1] Dzienniki francuskie od pierwszej chwili ukazania się tego nowego dyalogu, uchyliły zasłonę z Antistius'a i nazwały go po prostu Renanem. (Por. np. „Le Temps“ 18 Novembre 1885).

sadę, iż dobrze mieć kilka różnych zdań o tej samej rzeczy, bo tak choć jedno z nich może do prawdy się zbliża. Nie jest to bynajmniej podsunięte twierdzenie przez jakiegoś zawistnego krytyka, lecz własne tłumaczenie się Renana: „Forma dyalogu, pisze w przedmowie [1], jest według mnie, w obecnym stanie umysłów, jedynie odpowiednią do wyłożenia filozoficznych idei. Prawdom tego porządku nie można ani wprost zaprzeczać, ani też ich wprost dowodzić; nie mogą one być przedmiotem argumentacyi. Co najwięcej, można je przedstawić z rozmaitych stron widzenia, wskazać na względną ich słabość, siłę, konieczność, równowagę. Wszystkie wyższe zagadnienia ludzkości w tym przypadku się znajdują". Wyznanie jasne i proste, zastosowane praktycznie w całem życiu, na starość głoszone z powagą mistrza, uśmiechającego się sceptycznie na wszystko, ale nieznoszącego oporu dla nieomylnych słów swoich. Antistius głosi nieodwołalne wyroki, jak głosił je w ostatnich latach, upity nadmiarem sławy i zdziecinniały Wiktor Hugo.

Czem jest Bóg, czem jest religia, na czem zależy moralność? — Odpowiedzi Antistiusa pod względem treści nie różnią się od odpowiedzi Renana w „Wspomnieniach", ale niemało różnią się pod względem formy. W „Wspomnieniach" przemawiał akademik, — obecnie przemawia kapłan, apostoł niewiary; i jeden i drugi przemawia ciemno, nieloicznie, przyznając się z góry do sprzeczności w własnych swych słowach; ale starzec występuje twardziej i bezwzględniej; znać, że wyrobił już w sobie religię niewiary, do której dążył mężem i młodzieńcem.

„Czem jesteś najwyższa istoto, która obejmujesz i ożywiasz wszystko? pyta Antistius, czem jesteś? Rozumem świata i miłością... Bogowie są zniewagą Boga, Bóg znowu jest zniewagą boskości. Bogowie są kapryśni, egoiści, ograniczeni. Jedyny Bóg, który ich połknie, będzie aż zbyt często kapryśnym, egoistą, ograniczonym. Zabijają ludzi na cześć poszczególnych bogów, zrodzonych z głupoty i nierozumu. Zabijać będą ludzi dla jedynego Boga, zrodzonego po pierwszem przebudzeniu się rozumu".

W trzeciem stadyum, po politeizmie i monoteizmie, ludzkość zażądała Boga, co byłby zarazem skończonym i nieskończonym, realnym

[1] Préface, p. II, III.

i idealnym; kochała ideał, ale chciała ideał uosobić; chciała Boga-człowieka. Życzenia jej się spełnią. Niezliczone śmiechy morskie, niczem nie jesteście w obec mnóstwa fal nagromadzonych snów, które ludzkość przebędzie, zanim dojdzie do czegoś, co do rozumu jest podobnem".

Słowa zawiłe, ale rzecz jasna: politeizm u Renana jest bezrozumem, a monoteizm dziecińśtwem; kult Boga jednego wymiata on razem z kultem bożków, jego bogiem jedynym jest boskość nieosobowa, wszechbyt panteistyczny, rozum i miłość powszechna, która o sobie nie wie, nie ma własnej woli ni czynności, nic nie działa, niczem nie rządzi. „Nie, nie, woła Antistius, ani Bóg, ani bogowie, nie mają i nie działają osobnemi swemi wolami. Modlić się do nich, niepożyteczna... Czyż sobie wystawiasz, że odwieczny rozum da się oszukać twemi prośbami? Ależ, choćby nawet te prośby mogły dotrzeć do Boga, to wtedy pierwszym Jego obowiązkiem byłoby ukarać cię za nie, jak pierwszym obowiązkiem sędziego, jest wypędzić oskarżonego, który prośbami, czy podarunkami usiłuje go na swą stronę przeciągnąć. Zamilknij brzydki egoisto! Uwielbiaj odwieczny porządek i staraj się zastosować do niego swe życie".

Nie od dzisiaj ukuł sobie ten Antistius z nad Sekwany, a raczej zapożyczył od Spinozy, Fichtego i Hegla tych panteistycznych formułek. Nie obowiązywały go one i nie obowiązują do niczego, gdyż panteizm w gruncie rzeczy jest tylko poetyczniejszym, w przyzwoitszą sukienkę ubranym ateizmem: Kto cały świat i siebie samego uważa za kwiat bóstwa, ten w istocie w żadnego Boga nie wierzy. Wszak sam Renan w szczerszej chwili wyznał, że słowo „Bóg", jest dlań tylko wspomnieniem historycznem, źródłem poezyi, którego nie należy wymazywać z słownika, „aby językiem naszym nie różnić się od ludzi niewykształconych, którzy na swój sposób tak się dobrze do Boga modlą... Bóg pozostanie zawsze pojęciem nadzmysłowych potrzeb, kategoryą ideałów, tak jak przestrzeń i czas są kategoryami ciał[1]".

Jaki Bóg, taka jego religia, taka moralność z tej religii płynąca; kapłan z Nemi gniewa się na tych, co znoszą dary do świątyni, jak niegdyś Judasz gniewał się na Magdalenę. Cóż wreszcie za znaczenie może mieć modlitwa, ofiara, jałmużna, gdy Bóg, na

[1] La chaire d'hebreu, p. 23 i nast.

cześć którego wznoszą się dymy z kadzielnic, a modlitwy z serc ludzkich, nie żyje, sprawami ludzkości się nie zajmuje. Prawdziwi czciciele ludzkości, a więc boskości, to Virginius i Virginia, „dwoje dzieci, co pasąc obok siebie trzody, zapłonęli wzajemną miłością“, którą Renan maluje następnie farbami, wyjętemi z rąk Zoli. „Biedne dzieciaczki! woła z rozczuleniem Antistius, one to może realizują najlepiej swą miłością trudny problemat przywłaszczenia sobie Boga!“.

Idealna ta moralność i religia wywołała oburzenie u mieszkańców Alby. Tylko Virginius, Virginia i Sybilla Carmenta, oczarowani widocznie teoryą wolnej miłości, pozostają wierni Antistiusowi, inni mianują go kapłanem-apostatą, niebezpiecznym dla państwa i dla religii utopistą. W obec tej powszechnej niechęci, w obec śmiałych pogróżek, straszna wątpliwość zagnieżdża się w sercu byłego sługi ołtarza: „I otóż co zyskałem, służąc sprawiedliwości i rozumowi... Rzecz jasna — gubię się! Gdyby przynajmniej ma zguba obróciła się na korzyść kogoś, lub czegoś! ... Ale gdzie spojrzę, widzę przed sobą niewdzięczną ziemię i czarne niebo. O wiaro, o nadziejo, czemużeście mię opuściły?!“.

Okropny jest ten okrzyk rozpaczy sceptycznego starca, spoglądającego na grób wpół otwarty. W tej chwili wraca mu pamięć na lata młodociane, spędzone w wierze i nadziei; mógłby jeszcze do nich wrócić, lecz pycha odpędza natrętne wspomnienia. „Obłędy, marzenia minione, kiedym z wami się żegnał, nie poczułem żalu. Uczucie wolności wróconej nie zostawiło miejsca żadnemu innemu uczuciu. Próżnia obok was wydawała mi się życiem. Później dostrzegłem, że człowiek potrzebuje myśli ciasnych“.

„Nie podobna wyjść z granic zakreślonych tym potrójnym postulatem życia moralnego: Bogiem, sprawiedliwością, nieśmiertelnością. Cnota nie potrzebuje sprawiedliwości ludzkiej, ale nie może się obejść bez niebieskiego świadka, któryby jej powtarzał: Odwagi! Odwagi! Zbliżasz się śmierci, wzywam cię, rzucam się w twe objęcia; ale radbym, byś mi się na co zdała, choćby na samych granicach nieskończoności“.

Śmierć się zbliża, a okrzyk rozpaczy zmienia się w jęk przeciągły; „O światło! kto mię doprowadził do miłowania cię, niech będzie przeklęty! Zdradziłoś mię! Chciałem człowieka polepszyć, a zepsułem go... Mą karą będzie, iż mię zabiją“...

Renana nie zabiją współobywatele, ale karą jego na ziemi jest walka tocząca się w sercu, zgryzoty sumienia, z któremi mimowoli się zdradza, widok moralnego upadku ziomków, do którego tak potężnie się przyczynił, a przed którem serce, już nie chrześcijanina wyłącznie, ale człowieka naturalnie się wzdryga. Napróżno protestuje, by odpędzić dręczące go widziadła, napróżno woła: „Szukałem jedynie prawdy, starałem się rozszerzyć panowanie ideału, krytyka moja przyczyniła się bardziej do zachowania religii niż wszystkie apologie; jestem myślicielem, a myśliciel wszystko winien widzieć"; w obec widma śmierci, prawda wkłada mu w usta wyznanie: „Zepsułem człowieka", a myśl tęsknie zdąża do owych czasów seminaryjskich, kiedy Bóg, nieśmiertelność, sprawiedliwość, nie były dlań próżną tylko igraszką słów, bańką mydlaną, rozpryskującą się w nicości.

Przez lat przeszło trzydzieści pracował Renan, a pracował z wytrwałością i talentem godnym lepszej sprawy, nad wyzuciem ludzi z wszystkich wyższych ideałów, — nad odchrześcijanieniem świata. Nie brakło mu sławy, popularności, przyjaciół, pieniędzy; demon próżności pchał go coraz dalej do coraz bardziej oddalającego się, złudnego, kłamliwego światła, w którem zdawało mu się może, że widzi dobro współbraci, ale które właściwie było tylko nigdy niepochwytnem zadowoleniem wciąż dręczącej serce, migotającej się przed okiem pychy. Dziś Renan nawet się już łudzić nie śmie, czy nie może. Przeszedł z kolei w pamięci lata dziecinne i młodzieńcze, spojrzał na stan obecny swej duszy, a choć długo usiłował oszukać siebie i innych ironicznym, choć niewesołym uśmiechem, to przecież patrząc na niezniszczone nadzieje, na zaciemnione namiętnościami ideały, na czarną przepaść tam, gdzie zdawało mu się kiedyś, że dostrzega światło — nie może się powstrzymać od okrzyku: „O światło! kto mię doprowadził do miłowania cię, niech będzie przeklęty — zdradziłoś mię!".

Dziwne zaiste, ale godne sądów bożych prawo: że apostata musi kończyć rozpaczliwem, ale pouczającem dla ludzkości wyznaniem: „Galilejczyku zwyciężyłeś!".

X. Jan Badeni.

Z UKRAINY POŁABSKIEJ.

II. Lechicka straż nad Łabą.

(Ciąg dalszy).

Mniemać można że owa świetność handlu pomorskiego zaczęła się rozwijać wówczas, gdy Zachodni Lechici, mając coraz bardziej ścieśniony przez Germanów przystęp do zachodniej i południowej Europy Łabą i morzem północnem, z tem większą gorliwością skierowali się ku Bałtykowi i tam ześrodkowali działalność handlową. Mniemanie takie przemawiałoby na ich korzyść, bo świadczyłoby o ich rzutkości i żywotności, przy której w obec nawet tak niekorzystnych warunków nie dali przystępu stagnacyi ekonomicznej, lecz potrafili zdobyć nowe drogi dla rozwoju swego i na nich obudzić podziw spółczesnych i potomnych. Tak też istotnie trwać mogło czas jakiś, a prawdopodobieństwu pobudek takich nie przeczą ani fakta, ani logika historyozoficzna. Stosunki jednak handlowe między narodami, z tej i tamtej strony Łaby przebywającemi, mocno zabarwione w IX. wieku względami nienawiści rasowej, pozbywały się później pokostu tego i występowały bardzo często i coraz częściej z każdym wiekiem niezawiśle od interesów politycznych i religijnych. Jakby na sprawdzenie niekiedy prawdziwego aksyomatu, że polityka z handlem nie ma nic wspólnego, brały górę nad wyższemi dziejowemi prądami, interesa realne codziennych potrzeb, i chociaż one także były wypływem tychże samych praw dziejowych, a tworząc coraz głębsze łożyska na terenie dziejów, żłobiły własne prądy, które w końcu zlewały się z poprzedniemi, — to jednak zwracały się ostatecznie przeciw Lechitom, może właśnie dlatego, że wbrew świadomości germańskiej przewidującej rezultaty ostateczne,

oni nieświadomie poddawali się pierwszemu, bezpośredniemu działaniu onych prądów realnych.

Ścieśniające swobodę handlu obostrzenia w rodzaju kapitularzy Karola Wielkiego wolniały z czasem, i jeśli nie upadały prawnie, to faktycznie mogły być poczytywane za nieistniejące w obec pobłażliwego ich przestrzegania przez władze cesarskie. Toczyły się zawzięte boje przy pierwszych Karlowingach około dróg i przepraw przez Łabę i wówczas przestrzeganie surowe kapitularzy miało wielką dla Niemców doniosłość, lecz skoro tu i owdzie przełamano linię obronną Łaby, i wzdłuż dolnego jej biegu, począwszy od Magdeburga, zabezpieczono swe tyły, gdy również stanąwszy na wybrzeżach prawego brzegu, urządzono pierwsze zaczątki Marchii północnej przeciw Lutykom, tudzież w Saksonii przeciw Obotrytom i w Brandenburgii przeciw Stodoranom, kapitularze straciły na znaczeniu, a Niemcy, potrzebując mieć dla siebie samych łączność między stanowiskami lewobrzeżnemi a Marchiami prawego brzegu, otwierali wolną drogę przez Łabę. Z drugiej strony wrodzona, jak widzieliśmy, Lechitom gościnność i tolerancya ułatwiały zbliżenie się na drogach pokojowych nawet wśród walk orężnych, nie bez tego, aby nad pobudkami politycznemi nie brały przewagi względy korzyści materyalnych.

Tak czy inaczej, ale oto po X. wieku widzimy kupców pomorskich w Halli i Magdeburgu [1] a niemieckich w Wolinie, Szczecinie a nawet w Arkonie [2]. Dla jednych i drugich była wspólną drogą Łaba, a w razie jej zamknięcia na średnim i dolnym biegu, służyły odmienne szlaki morskie. W pierwszym razie z Halli jechano statkami po Solawie do jej ujścia, następnie Łabą przez Magdeburg, który w tym razie nieomieszkał korzystać ze swych nadzwyczajnych przywilejów do ujścia Hawoli, skąd rzeczną drogą godzin parę do Hawelberga. Tu się towary przeładowywały i drogą lądową transportowały przy pomocy *Witników* przez ziemię nieletycką, doszańską, morycką i kraj lutycki do Dymina, a stąd ładowały się znowu na statki i szły Pianą do Uznojma, lub też bez

[1] Sefrid u Herberta 121, 187, 188.

[2] Patrz wyżej przy opisie miast pomorskich.

przeładowywania, znanym gościńcem dymińskim, przez Gostków do wybrzeży morskich i dalej do Wolina, Szczecina etc.

Przy dźwięku puzanów, odgłosie trąb wojennych i łunie pożarów, karawana handlowa szła swoją drogą przedzierając się z nad Renu lub Dunaju w głąb krajów lechickich. Towarzyszyła jej ta zimna, wypróbowana wytrwałość niemiecka, przy której, poprzestając na małych nawet początkowo zyskach, ale w widokach osiągnięcia znaczniejszych w przyszłości, narażano się na tysiące niebezpieczeństw i wzgardę dumnego rycerza. Znanemi wytkniętemi od dawien dawna przez Lechitów szlakami handlowemi rozchodzili się kupcy po całej Połabszczyźnie. Dla osiadłych po marchiach kolonij niemieckich gromady *bytników* i *witników* nabierały niepospolitego znaczenia, i wchodząc z nimi w stosunki bliższe, handlarze niemieccy korzystać zapewne nieomieszkali w sposób niepośledni i zapewniający bezpieczeństwo handlu. Gdy się bezpiecznie przeszło ich rejony graniczne i ominęło się zręcznością lub wytrwałością niebezpieczeństwa dalszych żup, wchodziło się do krajów i kraików, nie mających stosunków przyjaznych z ziemiami które się zostawiło za sobą, krajów, nęcących bogactwy, ale najeżonych być może jeszcze większemi niebezpieczeństwami nieprzyjaźni rasowej lub religijnej. Lecz tu, wobec srogości występowała dobroduszność i gościnność słowiańska, zamieniając rychło zemstę wrogą w uścisk przyjazny. W żywotach św. Ottona na każdej niemal karcie spotykamy opisy nieprzyjaznego przyjęcia misyi jego przez mieszkańców miast pomorskich, pod wpływem tego niedowierzania ku Niemcom, niosącym im wraz z krzyżem zagładę bytu; ciskano na misyonarzy kamieniami, targano się na ich wolność i życie, alarmowano przeciwko nim całe żupy, ale dość było jednego przyjaznego słowa, lekkiego przeświadczenia się że misyonarze bez ukrytej myśli niosą tylko z sobą słowo miłości apostolskiej, dość było ich przyjaznego i budzącego ufność uśmiechu, aby się natychmiast uciszyły fale namiętności ludowej i uprzedzenie ustąpiło miejsca zaufaniu. Ta możność szybkiego przechodzenia z jednych uczuć w drugie, ta mimo niedowierzania naiwność pierwotnej natury, czyniły z nich ludzi w wysokim stopniu towarzyskich i łatwych w pożyciu. „Lud to zmienny i ruchliwy“, *vagum semper et mobile*, powiedział o nich kronikarz, a taki charakter w pochwalnem znaczeniu wzięty, ułatwiał znacznie

stosunki ich z innymi, tam gdzie były warunki po temu. Takie zmiany w postępowaniu częściej i łacniej odbywać się musiały w stosunkach handlowych z ludźmi, którzy może idąc z prozelityzmem chrześcijan lub w widokach rasy swojej, starannie ukrywali broń pod płaszczem kupieckim, odsłaniając tylko bezpośrednie natychmiastowe korzyści handlowe. A były one bardzo dotykalne i wymowne. Podróżna torba kupiecka jeśli nie zawsze zawierała czyste złoto i srebro, to napełnioną niezawodnie bywała tą drobną a zawsze brzęczącą monetą którą zwierzchnicy marchij lub władcy urządzonych świeżo dyecezyj wybijać kazali umyślnie dla wewnętrznego obrotu handlowego wśród Słowian.

Decentralizacya krajów zachodniej Lechii, ten nieskończony podział ich na żupy z szerokim zakresem samodzielności, znakomicie ułatwiał stosunki handlowe. Zarówno kupcy niemieccy jak i lechiccy, nie potrzebowali troszczyć się wcale o usposobienie żup sąsiednich, z któremi mogli być nietylko w sporach i nieprzyjaźni, ale nawet w otwartej walce; dla nich wystarczało pozyskanie przychylności lub okupienia ułatwień ze strony tej żupy, przez której terytoryum przechodziła droga handlowa. Gdy żupa taka rządząc się samodzielnie była w stanie dać żądane zabezpieczenia bądź to chwilowe, bądź w formie odpowiadającej dzisiejszym traktatom handlowym, to choćby nawet najbliższa żupa była w otwartej walce z krajem strony kupczącej, transakcya handlowa pomyślnie dobiegała do zamierzonego kresu.

W chwilach jednak ogólnego zamętu i walki, w której udział brały wszystkie nadłabskie pograniczne kraje przeciw władztwu Niemców, zostawała otwartą inna dla handlu droga, a mianowicie ta o której wspomina Saxo Gram. przy opisie Wolina, a w której głównemi stacyami handlowemi były z jednej strony Hamburg, a z drugiej miasta portowe Wagrów, albo droga pośrednictwa Danów. W tym ostatnim razie, głównemi ogniskami handlowemi były z jednej strony Szlezwik a z drugiej Ripen, leżący nad morzem niemieckiem prawie naprzeciw Szlezwiku. Jak w tem ostatniem mieście gromadziły się okręta Zachodniej Lechii i Szwecyi [1], tak znów Ripen służył dla statków Holandyi, Anglii, północnych

[1] Ad. IV., 1 i patrz to co wyżej powiedzieliśmy o stosunkach ze Szlezwikiem.

Niemiec etc. [1]. Ale wówczas też uczuwać musieli Zachodni Lechici całą niedogodność z zamknięcia dla nich przez Niemców bezpośredniej drogi komunikacyjnej z Zachodem. Niedogodność ta znaczna w handlu własnym, zwiększała się bardziej w handlu tranzytowym, w którym ze swojej strony musieli brać przeważny udział. Tak w VI. wieku zaznacza Jornandes drogie futra czarne, nazwane przez niego *pelles saphirinae,* zdobywane w Szwecyi i bardzo poszukiwane we Włoszech; wiele ludów brało pośrednictwo w handlu przedmiotem tym, a w liczbie ich, jak słusznie mniema jeden z historyków, byli i Zachodni Lechici [2]. Stosunki ich ze Szwecyą, jako z najbliższym krajem sąsiednim, musiały być częste, i przeciągnęły się do ostatnich czasów. W IX. wieku słynął wygodny port szwedzki Birka niedaleko Upsali, dokąd zjeżdżały się okręty wszystkich ludów Bałtyku a przedewszystkiem Zachodnich Lechitów [3].

Zarówno tranzytowym, jak bezpośrednim, a znacznie rozleglejszym i donioślejszym, był handel Zachodnich Lechitów z dalekim Wschodem. Początki jego odnieść należy do epoki również daleko wyprzedzającej świadectwa historyczne. Ześrodkowywał się on głównie w Wolinie, który w mglistych podaniach pisarzy arabskich z IX. i X. wieku występuje nawet jako wielkiej wagi potęga polityczna, za pomocą której w czasach zamierzchłych rozpościerał on swą władzę nad północnemi ludami słowiańskiemi [4]. W X. wieku, kiedy pewne wyraźne świadectwa historyczne zaznaczają kwitnący stan nadbałtyckich miast Zachodniej Lechii, handel ten jeszcze był znakomity, i mając za najdalszy punkt Skandynawię, koncentrował się na Pomorzu i przedewszystkiem w Wolinie. Znaczna ilość znaj-

[1] Hilferding 65.

[2] Hilferding 64.

[3] Tenże l. c.

[4] Tak Ibrahim ibu Jakób mówi u Al.-Bekrego: „Słowianie dzielą się na wiele rozlicznych plemion. Za czasów dawniejszych wszyscy byli zjednoczeni pod jednym królem, który nosił tytuł *Macha* a należał do plemienia, które się zwało *Walinbaba,* i wielkiej powagi u nich zażywało (Al-Bekri u Jirečka); „zdaje mi się, powiada De Goeje, że pod nazwą *Walinbaba* ukrywa się wzmianka o Wolinie".

Mascidi zaś wspomina również o jednem plemieniu Słowian, które przewodziło innym i zwało się *Welinana* (p. Charmoy. Memoires de l'Academie. Impériale de St. Petersbourg 1834 t. II.).

dowanych na wybrzeżu pomorskiem a zwłaszcza na wyspie Wolinu kufickich monet arabskich (dyrrhemy), służy na to niezbitym dowodem. Ustał on na początku XI. wieku. Że zaś zaniesione one tam były w owej a nie innej epoce, świadczy, jak słusznie zauważono [1], okoliczność, że znalezione dyrrhemy noszą stempel tylko dwóch dynastyj: Kalifów Abbasidów i Samanidów samarkandzkich (najpóźniejsza moneta pochodzi z pierwszych kilkunastu lat wieku XI.); a wiadomy jest zwyczaj władców muzułmańskich, że każdy z nich po wstąpieniu na tron przebija monetę swego poprzednika, tak że tego ostatniego stempel mógł ocaleć tylko na monecie wyniesionej z kraju za jego panowania. Na monecie jednak nie poprzestano. W zamian za produkta północne, w które obfitowały ziemie nadbałtyckie, przychodziły produkta południa i wschodu. Wzmiankę Saxona o tem że w Wolinie nie brak było na wszelkiego rodzaju osobliwościach i rozkoszach, zaliczyć należy do rzędu prawdziwych, i odnieść do bakalij południowych lub wytwornych wyrobów greckich i arabskich. Wino, którem kapłan arkoński corocznie napełniał róg Swantewita, niekoniecznie miało być miodem, jak chcą niektórzy nowsi historycy [2], wbrew spółczesnemu Saxonowi, lecz istotnie winem pochodzącem z handlu wschodniego; cóż bowiem było naturalniejszego, jak uczcić najwyższego boga północnej Słowiańszczyzny tem właśnie, co nie było pospolitem i dostępnem każdemu śmiertelnikowi, jak miód krajowy, lecz winem kosztownem z dalekiego kraju. A i inne ozdoby świątyni arkońskiej były nader cenne, o których z całą pewnością powiedzieć można że pochodzenia nie miały krajowego. Wnętrze świątyni Swantewita w tem miejscu gdzie się wznosił posąg bóstwa, oddzielone było od zewnętrznej zagrody czterema kolumnami, i zamiast ścian okryte zasłonami z bogatych purpurowych kobierców lśniących żywemi barwami, ale tak starych, że za najlżejszem dotknięciem ich rozsypywały się. Przy innych ozdobach świątyni a głównie w skarbcu zamkniętym przechowywały się w znacznych zapasach drogocenne tkaniny również rozsypujące się od starości [3]. Któż z opisu tego nie poznałby w onych

[1] P. rozprawę prof. Granowskiego (Julin, Wolin etc.).

[2] Jak. Giesebrec (Wend. Geschichte 1, 75) i Hilferding (Ист. 1, 163).

[3] Saxo Gram. 825, 828 i następ; również Knytl. Saga 122. (serico et bombyce coccinea et purpura...)

kobiercach i tkaninach wyrobów wschodnich? Staremi one były jako sprowadzone w dawniejszych czasach, może z epoki jeszcze handlu wymiennego; nie zastąpiono ich nowemi, bo się stały świętą relikwią, którą każda świątynia jakiejkolwiekbądź religii starannie przechowuje, aż do zupełnego zniszczenia. Nie mogły jednak pochodzić z łupu wojennego, jak niektórzy mniemają, bo sąsiednie ludy, a zwłaszcza germańskie, z któremi Zachodni Lechici boje staczali, zgoła nie znali, ani posiadali wyrobu takich tkanin. Dostały się więc one przez handel ze wschodem. Dwiema drogami handel ten się odbywał: morską i lądową. O pierwszej już wspomina Adam bremeński, powiadając, że z Wolina statkiem żaglowym staje się na czternasty dzień w Ostrogardzie [1] tj. na Rusi, gdzie jej ozdobą i sławą stolica Kijów [2], spółzawodniczka Carogrodu. Jakoż nie ulega wątpliwości że ruch handlowy między Pomorzem a Wschodem odbywał się tędy, bądź bezpośrednio aż do Byzancyum, bądź za pośrednictwem Rusi, Bułgarów, Chazarów [3]. Pierwszą najważniejszą północną stacyą handlową na tej drodze był niezawodnie Nougord-Nowogród wielki [2], a późniejsze w Hanzie tak ścisłe stosunki jego z Pomorzem dostatecznie popierają to twierdzenie. Wczesny jego rozkwit handlowy i to dla kupców obcych, przybywających później od strony Niemiec, tolerancya rozległa, tak wyróżniająca go od reszty spółbraci słowiańskich wschodniego obrządku, powstać i wyrobić się tylko mogły w stosunkach wcześniejszych ze współplemiennymi Lechitami, i kto wie nawet czy dalsze studya nie potwierdzą postawionej już hipotezy o skolonizowaniu Nowogrodu przez Lechitów Starogrodu i w ogóle Połabszczyzny, tudzież o pochodzeniu przywołanych książąt na Ruś nie od Normanów, lecz od zachodnich Lechitów [4].

---

[1] Dawna skandynawska nazwa Rusi, p. Hilfrd. 59.

[2] Chiuz... clarissimum decus Graeciae. Hilferding słusznie twierdzi, że użyty tu wyraz Grecyi jest w znaczeniu Rusi.

[3] Granowski, jak wyżej (126) p. J. A. Lebiediew Послыд. слов. 174.

[4] Hipoteza ta w pierwszej swej części postawiona przez Kaczenowskiego, a w drugiej przez Gedeonowa, wznowiona zaś przez A. Kotlarewskiego, przedstawia niemało szans dowodowych materyału, niestety, za mało opracowanego. A mamy tu na myśli obok historyozoficznego materyał głównie filologiczny; bliższe zestawienia bowiem zabytków języka Nowogrodzian z takiemiż resztkami Połabian znacznie tę kwestyę posunie naprzód, jak słusznie mniema

Droga lądowa przez Germanię i wzdłuż Łaby znaną była również Arabom, jak się to okazuje z luźnych wzmianek Massudiego i Erdvis'iego, a głównie z wiadomości wykrytego niedawno Al-Bekri'ego. Pisarz ten arabski zna marszrutę od Turyngii do ziem Nakona i w następujący sposób podaje ją jako używalną około 965 r. [1]. „Od Merzeburga do Majalih [2] idzie się 10 mil... (stamtąd) do mostu (przez Łabę) 50 mil, a most ten jest drewniany na jednę milę przestrzeni". (De Goeje mniema, że most ten niżej Dömitz nie mógł być postawiony). „Od mostu aż do grodu Nakonowego jest 40 mil. Gród ten zowie się Grad [3], która to nazwa oznacza wielki gród. *Wili-Grad* wzniesiony jest nad jeziorem słodkiej wody", a dalej: „Od grodu aż do oceanu jest przestrzeni 10 mil". Mówiąc o Pradze, Al-Bekri stanowczo ją uważa za znaną Arabom, bo wyraźnie zaznacza obecność w niej muzułmanów.

Oto są słowa jego:

„Miasto Praga zbudowane z kamieni i wapna jest największem targowiskiem w ziemiach słowiańskich. Rusowie [4] i Słowianie przybywają tam ze swem *zbożem* z miasta Krakowa a muzułmanie (Moslemowie), Żydzi i Turcy z ziemi tureckiej, z kufickiemi (s koupčmi) i bizantyńskiemi kruszcami (mithkâly) [5] i wymieniają na nie od Słowian bobrowe i inne futra".

Zapewne, że w liczbie tych Słowian, uczęszczających do Pragi na handel z Muzułmanami, byli i zachodni Lechici, tembardziej, że była to odnoga znanego im gościńca w handlu naddunajskim, i jako przez nich uczęszczana zaznaczoną została przez samego Al-Bekri'ego, który na innem miejscu tak powiada:

---

p. Kotlarewski. Niestety, jednak dla pierwszych mniej dotąd uczyniono, jak dla drugich; a tych ostatnich, prace takiego Pfula i Szlejchera wcale poważną przedstawiają rubrykę.

[1] Pozostawiając na później bliższe rozpatrzenie się w tej wiadomości, podajemy ją niezmiennie, podług tego jak ją odczytał i skomentował w zeszłym roku p. De Goeje profesor Uniwersytetu lejdejskiego w rozprawie, powołanej już wyżej p. t. Een belangrijk arabisch bericht etc.

[2] De Goeje mniema, że *majalichi* jest jakąś skażoną nazwą pierwszej za Merzeburgiem osady,

[3] Opuszczona tu pierwsza część nazwiska, która też pojawia się w następnym wierszu.

[4] Normanowie — Jireczek.

[5] De Goeje rozumie przez to monetę srebrną.

„Droga (cesta) z Merzeburga do ziemi Bolesławowej[1] jest taką: stąd (z Merzeburga) do grodu *Faliwi* 10 mil, stamtąd do *Nobo-Gradu* 2 mile[2]. Gród ten z kamienia i wapna leży również (jak Merzeburg) nad rzeką Solawą".

Wybrawszy więc za punkt wyjścia Merzeburg i zaznaczywszy odeń w jednym kierunku drogę do ziem obotrycko-lutyckich, a w drugim do Czech, Al-Bekri łączy w ten sposób obie jednem ogniwem i daje do zrozumienia że kto uczęszczał po jednej, musiał znać i drugą.

Takie były drogi i stosunki handlowe zachodnich Lechitów z ościennemi i dalszemi krajami.

A z Polską, ze Wschodnią Lechią?

„Królestwo polskie, mówi Marcin Gall, położone jest po za obrębem dróg handlowych"[3]. To orzeczenie najdawniejszego polskiego kronikarza, jeśli miało w ogóle prawdziwość za sobą, to najwięcej względem Zachodniej Lechii.

Spojrzmy na mapę.

Odra, u ujścia której było największe ognisko handlu zachodnio-lechickiego, a u górnego biegu której, zwłaszcza na Szląsku, rozwinęły się dziś tak pomyślnie warunki handlowe, zdawała się być najdogodniejszym gościńcem wodnym, łączącym Szląsk i Wielkopolskę z Pomorzem. Niespławność jej jednak czyniła ten gościniec bezużytecznym, a ciągnące się wzdłuż średniego i dolnego jej biegu od Krosna aż do samego prawie Szczecina bagna i błota, czyniły go nieprzystępnym. Południowa granica Pomorza, od Polski zamknięta była Wartą i błotnistą Notecią, linia ta łącząc się na Zachodzie z bagnami nadodrzańskiemi, dosięgała na Wschodzie prawie samej Wisły i była jednem pasmem błot, rozrzedzonych miałką i również błotnistą Notecią. Możliwemi tu drogami mogły być tylko brody wytknięte przez bardziej dostępne mielizny. Jakoż one tylko tworzyły te naturalne wrota, któremi się wchodziło i wychodziło z Pomorza do Polski i napowrót. Wrót takich było nie więcej nad

[1] Nie zapominajmy, że to jest rok 965 a więc mowa tu o Bolesławie Czeskim.

[2] Naumburg podług de Goeje.

[3] Regio Polonorum ab itineribus peregrinorum est remota.

cztery a to: w poprzek Warty pod zamkiem Zantokiem, dalej na załomie Noteci pod Czarnkowem, następnie poniżej Turu naprzeciw Nakła, a wreszcie przez Brdę między Wyszogrodem a Bydgoszczą[1].

Z nich, oprócz przewozu bydgoskiego, gdzie grunt był bardziej twardym, wszystkie inne leżały w okolicach, poprzerzynanych nizinnemi rzeczułkami, które wiecznie zasilając się wodą z jezior i bagnisk, przyczynić się nie mogły do uczynienia brodów mniej miałkiemi, ani przystępów do nich suchszemi nigdy, a zwłaszcza w tych wiosennych i letnich porach roku, które były najdogodniejszemi dla handlu. W czasach tylko późniejszych, przy ogólnem opadaniu wód, niedogodności owe zmniejszały się. Dlatego też pierwej może tylko bród *czarnkowski* był najdawniejszym i najbardziej znanym, a obok niego *zantocki*, prowadzący do Szczecina; *nakielski* zaś miał powstać dopiero za czasów walk Pomorzan z Polakami w epoce Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego[2]. A właśnie czas i sposób powstania jego, wcale nie przemawiał na rzecz widoków handlowych. Jeśli układanie kunsztowniejszych pomostów i sypanie grobel na mokradłach zaczęło być dokładniejszem i w większem użyciu w Polsce dopiero za Leszka Czarnego[3], to w zachodniej Lechii znane było dawniej: mieszkańcy jej, tak jak Fryzowie, słynęli nawet z tego rodzaju budowli wodnych. Utworzenie drogi z Nakła przez Noteć do Polski dokonanem zostało w ten sposób, że wyniośleisze na bagnach punkta połączone ze sobą zostały pomostami. Ułożenie ich jednak możliwe pierwej, podjętem zostało właśnie w chwili rozpoczynających się długich bojów z Polską, co wykluczało chęć i możność użytkowania z nich w czasach spokojnych, dla celów ekonomicznych, bo było po prostu zdziałane dla wycieczek zbrojnych, a więc niedokładnie i pospiesznie, obliczone na doraźną i chwilową potrzebę wojenną, tak, aby po zużytkowaniu jej przez wojujących, znieść można było szybko i nie dać z nich korzystać nieprzyjacielowi. Były one zapewne budowane tak samo jak owe pod Wolinem, które opisują żywotopisarze św. Ottona. Kiedy spółtowarzysze biskupa bamberskiego, uciekając wraz z nim

[1] J. N. Sadowski. Drogi handlowe greckie i rzymskie.
[2] J. N. Sadowski. Drogi handlowe i t. d.
[3] Tenże.

przed pogonią rozsierdzonych pogan, przeszli pomost ułożony na Dziewinowie i pragnęli zabezpieczyć się od pościgu, zdjęli w jednej chwili pomost własnemi rękoma[1]. Budowle więc takie nie nadawały się do spokojnego użytku handlowego, który wymagał ciągłości i trwałości. Okoliczność, że droga do Nakła została utorowaną dopiero przy końcu XI. wieku, jest nader ważną, bo wskazuje, że gród ten istniał pierwej bez drogi; stwierdza więc ten sam fakt, któryśmy zaznaczyli w bycie żup nadłabskich, a który był właściwością całej Zachodniej Lechii, mianowicie, że położenie grodów było nie tak zawisłem od kierunku dróg jak dziś, że przeto komunikacye handlowe nie dadzą się tam wytknąć prostą linią, przechodzącą przez same grody, lecz tylko w blizkości kierunku tej linii. Jak tam, tak i tu służyły grody dla obrony okolicznej ludności, a w tym celu budowane były w miejscach ustronnych i położonych zdala od dróg, do których prowadziły im tylko znane przesmyki, mające takie znaczenie jak dzisiejsze nasze drogi tak zwane dojazdowe, a to wbrew gdzieindziej praktykowanym stosunkom handlowym, przy których wpierw istnieją drogi wytyczone, a dopiero przy nich budują się miasta dla stawiania onych. Zapewne, że ta ogólna praktyka bywała niekiedy używaną i przez Zachodnich Lechitów, i z postępem czasu w częstsze wchodziła użycie, lecz tu mamy na myśli to ogólne charakterowi ich właściwe zjawisko, które się rozwinęło z zasad bytu i powstało z ich pierwotnych stosunków z okolicznemi ludami. A ten charakter ich bytu, przy którym wpierw osiedlali się i budowali grody, a dopiero później drogi, jest właśnie dowodem na to, że oni nie byli późniejszymi w tych ziemiach przybyszami, lecz tubylcami autochtonami, którzy pierwsi torowali w tej połaci Zachodu drogi cywilizacyjne. Zachodziła jednak i tu pewna lekka, zaledwo dostrzegalna różnica między urządzeniami pomorskiemi, a resztą ziem spólplemiennych (obotryckich, lutyckich etc.)

Jak dziś słabsze ludy słowiańskie bardziej się obawiają silniejszych spólplemieńców, niż obcych językiem i dążnościami ludów germańskich i romańskich, bo w razie łączności spodziewają się łacniej zasymilować się i utonąć w pokrewnym bycie, już w mocno

[1] Herb. II., 24.

zarysowanych osobliwościach; tak też było i dawniej. Lechici i Pomorzanie, tj. ci z Zachodnich Lechitów, z którymi się najbardziej stykali Polacy, wzdrygając się przed możliwem wtłoczeniem do jedności narodowej i państwowej z Polską, któraby zniwelowała ich separatyzm plemienny, jak to uczyniła ze wschodniemi plemionami lechickiemi, strzegli się ich bardziej nawet w stosunkach pokojowych, niż Niemców, z którymi prowadzili ustawicznie jawne i zażarte boje. To też całe pogranicze Pomorza od strony polskiej tworzyło jedną obwarowaną linię grodów, których zadaniem było strzeżenie tej granicy, i jeśli nad Łabą grody takie służyły tylko czasowem schronieniom dla okolicznej ludności, szukającej tam obrony przed nieprzyjacielem, to te pomorskie były obsadzone stałą strażą [1], czujną na wszystkie strony i gotową do zbrojnych wycieczek w dzielnice polskie. Bogate i przestronne Pomorze mogło i potrzebowało utrzymywać takie stałe garnizony daleko łatwiej, niż uboższe a z gęstszą ludnością żupy nadłabskie. W ten sposób grody z taką stałą ludnością spełniały po części to zadanie które nad Łabą leżało w zakresie ruchomej straży nadłabskiej. Powiadamy „po części“ i rozumiemy pod nią obronę czysto ziemską. Jakoż nie widać tu żadnych śladów istnienia *Bytników* i *Witników*. Punkt więc ciężkości dróg handlowych spoczywał nie na wschodzie, lecz na zachodzie Lechii, i odcięcie Połabszczyzny od Łaby i morza Północnego było zarazem odcięciem Polski od Europy, które to odcięcie częściowo tylko dla niej w czasie późniejszym odwetował Gdańsk w znaczeniu handlowem.

Tak tedy naprzeciw polskim lewobrzeżnym warowniom stanął cały szereg pomorskich grodów z prawego brzegu Warty i Noteci: Czedno, Międzyrzec, dalej twierdza naprzeciw Zantoka, następnie Wełyń (Filechno), Czarnków, Uście i Nakło [2]. Jeśli się udało przełamać tę linię i wejść do ziem „plemienia barbarzyńców“, jak ich chrześcijańscy Polacy nazywali u Marcina Galla, to się spotykało całe pasmo błot, mokradeł i puszcz leśnych, które stanowiły jakby drugą linię obronną, o tyle gorszą, że ciągnącą się szeroką nieprzerwaną połacią od zachodu na wschód. Tak samo w zachodniem Pomo-

[1] Mart. Gall. II., 1, 26...
[2] P. Hilferd, 143.

rzù w pierwszym rzędzie lasy i błota, za niemi pojezierze zachodnie, we wschodniem zaś puszcza *tucholska* i za nią ku Północy pojezierze *kaszubskie*. Gdyby się udało przedrzeć i przez te naturalne przeszkody, natrafiało się znów linię obronną grodów i warowni: Pyryc, Starogord, Karbje, Piasek i wiele innych [1].

Po za niemi dopiero wznosiły się owe bogate, a licznie zaludnione pomorskie miasta, będące ogniskami handlu.

Tylko Gdańsk, z jednej strony położony nad morzem a z drugiej przylegając do wielkiego gościńca nadwiślańskiego, tej w czasie późniejszym głównej arteryi handlu polskiego, otwierał przestronne wrota dla stosunków handlowych Zachodniej ze Wschodnią Lechią; ale dopóki pogańskie a nieprzyjazne Polsce Prusy strzegły prawego brzegu dolnej Wisły, mowy być nie mogło o użytkowaniu tego gościńca, tem bardziej że Gdańsk powstał i rozwinął się najpóźniej z miast pomorskich. Pomorzanie mogli zeń użytkować w stosunkach swych z Polską dopiero po X. wieku, i zapewne do owego czasu odnieść należy świadectwo Marcina Galla, który wypowiedziawszy powyższe zdanie, że królestwo polskie położone jest po za obrębem dróg handlowych, dodaje: „i chyba uczęszczane jest przez tych niewielu kupców, którzy w celach handlowych przejeżdżają tamtędy na Ruś“. Gdy tu mowa być mogła tylko o gościach kupieckich zachodnio-północnej Europy, i gdy wiadomo już nam, że droga dla nich na Ruś prowadziła dotąd tylko przez Nowogród Wielki, przeto w wiadomości kronikarza polskiego zawiera się ta ważna wskazówka, iż za jego czasów funkcyonowała już inna droga, a mianowicie przez Polskę. Tą drogą oczywiście nie mogła być podówczas żadna inna oprócz gdańskiej, że zaś od niedawna dopiero była użytkowaną, przeto i wyrażenie jego o *niewielu kupcach* znajduje swoje usprawiedliwienie.

Epoka ta zbiegła się razem z epoką podbicia, a raczej shołdowania Pomorzan przez Bolesława Krzywoustego, co otwarło szersze wrota wpływowi polskiemu na ludy Zachodnio-lechickie. Od tego czasu rozpoczęły się bardziej częste i stałe stosunki handlowe z niemi. Jak chyżo wpływ ten się rozpościerał, świadczy powszechne przyjęcie na Pomorzu polskich miar i wag, a przedewszystkiem

[1] Tenże.

polskiej monety. Z wielkiej ilości dyplomów pomorskich, poświadczających to, przytaczamy tu ustęp z jednego, który zawierając nadto niektóre szczegóły o przedmiotach handlu i przemysłu pomorskiego niezaznaczonych dotąd, uwolni nas tem samem od oddzielnego ich traktowania.

W dyplomie tym pochodzącym z 1159 roku powiedziano: „Włości [1], które pan Racibor (książe pomorski) z dostojną małżonką swoją Przybysławą dali kościołowi Panny Maryi i św. Godegarda w Grobnie... są następujące: w ziemi Więcławskiej sama wieś Grobno z przynależnościami i karczmą, tudzież pośrodku tej ziemi rynek i karczma; również opłata od statków które przechodzą przed twierdzą Uznoim. W ziemi Szczytneńskiej dwie wsie Rochowice i Koryno i trzecia część wsi Sławoborzyce, tudzież rynek i karczma w tejże ziemi. Przy twierdzy Szczecin nad Odrą jedna wieś Czelechowa i przy twierdzy Wyduchowie również nad Odrą położonej trzecia część opłaty od wszystkich statków tam przechodzących i połów ryb w rzece Tekmenicy, tudzież połowa połowu w potoku Krzepienicy, należącym do wsi Dambiagóry. W ziemi Śliwińskiej należącej do twierdzy Kamin, jedna wieś Pustychowa nad morzem, w Kołobrzegu opłata soli (w warzelniach solnych) składana w dnie niedzielne, tudzież karczma przy tejże twierdzy, a także dwie wsie w ziemi Kołobrzeskiej: Pobłocie i Świelubie i opłata od mostu, a mianowicie: od każdego wozu przejeżdżającego przezeń dwa grosze monety polskiej i jeden chleb, a od każdego człowieka warzącego tam sól i przechodzącego przez ów most, jeden grosz, i przy tym moście karczma, a również takaż sama opłata z drugiego mostu na rzece Radowej i połowa cła od drzewa spławianego po rzece Persancie. Również w twierdzy Belgradzie jedna karczma i trzeci grosz opłaty od wozów tamtędy przejeżdżających".

Dzieje wpływu polskiego nie były jednak długotrwałemi w epoce, będącej przedmiotem niniejszego badania; przeważna ich część przypada już na okres rozpościerającej się na Pomorzu niemczyzny, i należy do obrazu urabiającego się na kanwie innego świata i innych stosunków. (Dok. nast.)

Jan Grzegorzewski.

[1] Cod. Pomer. Nr. 24, str. 55.

Z PRZESZŁOROCZNEJ LITERATURY MICKIEWICZOWSKIEJ.

(Adam Mickiewicz. — Zarys biograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski. — Kraków i Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa).

Odkąd świat światem, w jakiejkolwiek się ona przedstawia szacie, prawdziwa odwaga wzbudza w ludziach poszanowanie, prawdopodobnie będzie tak po wszystkie czasy. Zły czy dobry, każdy człowiek, choć cokolwiek uchyli przed odwagą czapki. Uchylmyż i my czapkę przed panem Piotrem Chmielowskim. Na okładce swojej książki umieścił wprawdzie, że to tylko „Zarys biograficzno-literacki“ co postaci rzeczy nie zmienia wcale i książka ta, nie tylko rozmiarami, ale warunkami i wielu bardzo zaletami, jest i pozostanie prawdziwym życiorysem naszego nieśmiertelnego wieszcza. Tej to właśnie odwagi serdecznie panu Chmielowskiemu powinszować należy; podał on bowiem polskiemu czytelnikowi najdokładniejszą bądź co bądź, jaka dotąd wyszła biografią Mickiewicza. Z umysłu piszę „bądź co bądź,“ bo oddawszy autorowi hołd za sam czyn, nie uważam się jeszcze obowiązanym wszystko bezwzględnie w książce pochwalać, ani na wszystko się pisać. Ale o tem później.

Spotka pana Chmielowskiego prawdopodobnie od nie jednego sprawozdawcy, może nawet od niejednego czytelnika zarzut, że w tych dwóch grubych tomach nie ma nic zupełnie nowego o Mickiewiczu, że to jest praca czysto kompilacyjna. Nie wiem, może być, że jest w tem trochę prawdy (mówię trochę tylko), ale nawet gdyby się pokazało, że zarzut ten jest słuszny, jeszcze twierdziłbym, że samo zebranie, w niektórych miejscach z wielką starannością zrobione streszczenie, sumienne podanie wszystkich źródeł z których się materyał do książki czerpał, stanowi już nie-

pomierną zasługę pracy, a dla całego polskiego społeczeństwa prawdziwem jest dobrodziejstwem. Nie każdemu danem jest, dla jednych z braku czasu, z braku ochoty dla drugich, dla innych z różnych powodów, od woli często niezależnych, przeczytać te całe stosy książek, pamiętników, listów, broszur, manuskryptów przez p. Chmielowskiego przewertowanych, natomiast jego dzieło przeczytać łatwo przyjdzie każdemu, i każdy serdecznie autorowi wdzięczny będzie, że mu sposobność podał zapoznać się w streszczeniu z wrażeniami ludzi w tak ścisłej będących z Mickiewiczem przyjaźni, jak Tomasz Zan, Malewski, Malinowski, Odyniec, Domejko i wielu innych.

Już sam „Wstęp“ książki dobrze czytelnika usposabia, przeczytawszy zaś ostatnie tego „Wstępu“ wyrazy, wie się od razu, że się będzie miało do czynienia z poważnym, rozumnym, wielkością przedmiotu przejętym badaczem. Pod takiem wrażeniem rozpocząć czytanie dzieła, jest i dla autora i dla czytelnika bardzo pożądaną a rzadką rzeczą. „Z czcią i obawą przystępuję do pracy, pisze pan „Chmielowski, z czcią, bo mam mówić o tym, który był jakby „sercem narodu; z obawą, bo nie wiem, czy spełnić potrafię godnie „zamiar, ale i obowiązek“.

Niewiadomem mi jest, czy pan Chmielowski jest Litwinem z urodzenia, ale co pewne, to że zna Litwę na wskróś, serdecznie ją miłuje, pisze o niej w jasnych, wdzięcznych, acz zawsze z rzeczywistością zgadzających się kolorach, niekiedy z prawdziwą, za serce chwytającą wymową. Widzi się tę Litwę z XVIII. wieku nagle zbudzoną do wszystkich z Zachodu nowo powstających dążności, pojęć, umysłowych walk; widzi się ją dążącą mężnie krok w krok za Polską, na drodze postępu i naukowego wykształcenia, dążącą ale nigdy nie naśladującą, bo Litwin z „wieku oświecenia“, jak Litwin z czasów pogańskich i jak nasz Litwin dzisiejszy, jak był, tak jest i pozostanie *usque ad finem*, Litwinem samorodnym, z właściwym swoim charakterem, niepodobnym do nikogo i nikogo nie naśladującym. Widzi się ją wreszcie, po zajęciu prowincyj litewskich przez Rosyę, odciętą od Polski, oddaną sobie samej, stale przechowującą we własnych ogniskach duchowy i umysłowy Znicz, ani źdźbła nie marnując ze swych sił żywotnych, ani ze swej samoistnej nie tracąc oryginalności. Pod tem będąc wrażeniem, poj-

muje się, że nie w innej części naszej ojczyzny, ale właśnie na Litwie, poezyi geniusz kolebkę Mickiewicza zawiesił.

Nie roszczę sobie praw, ani mam kwalifikacyi, do prowadzenia analitycznej z panem Chmielowskim dysertacyi, co do jego szczegółowej oceny dzieł naszego mistrza. Gdybym nawet czuł się na siłach po temu, ciasne ramy poświęcone sprawozdaniu, takiego-by mi nie dozwoliły zbytku. W sam życiorys Mickiewicza także wdawać się nie będę, ani mozolnie szperać, czy są w książce jakie sprzeczności dat, lub niedokładności faktów. Należy to wszystko do ludzi fachowych, którzy się niezawodnie i skwapliwie o to postarają. Sobie, zachowuję do oceny z książki pana Chmielowskiego tylko o s o b i s t o ś ć naszego wieszcza, charakter jego, stosunki poufne z przyjaciołmi, zapatrywania jego niektóre na świat i ludzi.

Trafnie, jasno, z głęboką świadomością czasów i ludzi opisuje pan Chmielowski wśród jakich umysłowych i społecznych znajdowała się Litwa warunków między 1815 a 22 rokiem; czem było Wilno w owej epoce i w jak wysokim stopniu uniwersytet wileński przyczyniał się do rozkrzewienia oświaty na cały kraj. Już wówczas tlała w Wilnie ukryta iskierka romantyzmu, którą niebawem geniusz Mickiewicza miał w płomień rozżarzyć. Instynktem wiedzione, przeczuwało młode pokolenie, że uczucie winno brać górę nad formą; może i przeczuwało ukazanie się wieszcza, który miał przelać w ich duszę tę miłość, to ciepło, to światło, któremi go ręka Opatrzności tak szczodrze obdarzyć miała. Niemniej trafnie zwraca pan Chmielowski uwagę czytelnika, na błogie skutki tak zupełnie rodzimego, normalnego wychowania Adama, czy to w domu rodzicielskim, czy w szkołach nowogrodzkich, będących pod dozorem OO. Dominikanów; nic cieplarnianego, rozwój zupełnie naturalny, stopniowy, nieco szybszy niż u rówieników, bo bystrzejszy u dziecka wrodzony spryt, ale bez żadnych gorączkowych umysłowych wybryków. Stąd, gdy w swoim czasie zejdzie jak słońce na firmamencie geniusz poety, będzie to geniusz bijący falą młodości, zdrowia i życia. Nic chorobliwego jak u Zygmunta Krasińskiego, lub z rozpaczą graniczącego jak u Słowackiego. Wprawdzie pochlebne świadectwo przez pana Chmielowskiego nadane wychowaniu Adama w szkołach nowogródzkich, nie bardzo się zgadza z ogólnym poglądem autora na stan szkół będących pod dozorem zakonników (wia-

domo że świeckich szkół było wówczas tak mało, że ich na palcach policzyć było można). Pomijając już jednostronność i uprzedzenie w sądach pana Chmielowskiego, gdy chodzi o zakony w ogóle, jest brak loiki w następujących ustępach jego książki. „Większa część „szkół średnich na Litwie, w początkach rektoratu Śniadeckiego, „powierzona była pieczy duchowieństwa zakonnego... Stan tych „szkół zakonnych był w ogóle lichy. Nauczyciele, nie odbywając „zazwyczaj nauk w uniwersytecie, nie mogli ich wykładać ani do„syć pożytecznie, ani zgodnie z systematem uczenia powszechnie „wprowadzonym do zakładów świeckich.“ Przypuśćmy, że ten sąd jest słuszny; w takim razie nie zgadza się z następującym ustępem: „Rozbudzona idea owocnej dla przyszłości pracy, gorliwość „obywatelska, a nadto, wrodzone wiekowym zwyczajem a wzmoc„nione nowemi warunkami istnienia kraju, poczucie potrzeby nauki, „wydatnemi zaznaczyły się śladami zarówno w liczbie szkół, jak „w liczbie i pilności uczniów“. A gdzież się chowali, pytam, jeśli nie w szkołach zakonnych ci, o dobro kraju i oświaty gorliwi obywatele, skąd się cisnęli ci „liczni i pilni uczniowie“ jeśli nie z konwiktów Pijarów, Dominikanów, Jezuitów i innych zakładów pod opieką zakonników będących? Zwłaszcza Jezuici w wielkiej są u pana Chmielowskiego niełasce, o czem nam później wspomnieć jeszcze przyjdzie. Przecie sam Lelewel, dla którego autor życiorysu Mickiewicza wielkie ma poszanowanie, nie gdzieindziej tylko u Pijarów warszawskich się chował. W czasie w którym rozpoczynał Mickiewicz nauki na uniwersytecie wileńskim, panująca wówczas mania stowarzyszeń, tak się była w całej rozszerzyła Europie, że się z tej zarazy i do naszej Polski coś było dostało. Pod płaszczykiem filantropii i tolerancyi, pod hasłem rozpowszechnienia oświaty, najzgubniejsze kursowały pseudo-zasady na wolnomularstwie szczepione. Zdrowym instynktem i wrodzoną poczciwością, wiedziona zacna nasza polska młodzież, przekonawszy się że ówczesne stowarzyszenie Szubrawców, gęsto w Wilnie rozpowszechnione, całkiem nie odpowiadało ich dążeniom, mającym za cel „wzajemną pomoc w rzeczach nauki i zachęcania się do pracy,“ — zawiązała się w stowarzyszenie „Filomatów“. Gdy się „Filomatów“ porównywa z wszystkiemi ówczesnemi, choćby najmniej niewiarą i zepsuciem zarażonemi stowarzyszeniami, któremi Europa cała jak istnym kąkolem zasiana

była, doznaje się uczucia serdecznego zadowolenia, że to, co było za granicą (i w Polsce, gdy z obczyzny importowane) powodem do różnych zdrożności, między naszą polską młodzieżą, w innym duchu pojęte, wychodziło na największą chwałę naszych studentów. „Ojczyzna, nauka, cnota.“ Tak śpiewali „Filomaci“ i tego szlachetnego hasła długo się trzymali. Na obchodzie żałobnym po Kościuszce, istnienie swoje po raz pierwszy zamanifestowali publicznie. Wielki ten narodowy obchód, tak wymownie świadczący o łączności wszystkich dzielnic Polski w uczczeniu bohatera, odbył się za pozwoleniem, niemal współudziałem władzy. Nie mniej szkodliwie on wpłynąć miał na umysły młodych „Filomatów“. Raz zakosztowawszy upojenia publicznych manifestacyj, mimowolnie z wytkniętej zbaczali drogi, której się dotąd tak sumiennie trzymali. Manifestacye publiczne, to jak stare wino, tylko dojrzałe głowy je przetrawią, młodym uderza do mózgu. Przyszedł niebawem Nowosilcow, który w każdym związku widział „dezorganizacyę zasad uniwersytetów niemieckich“. Wówczas gorące wspomnienie żałobnego obchodu Kościuszki, zamieniło się dla tej zacnej, lecz nierozważnej młodzieży, na nie mniej gorącą żądzę męczeństwa. Z tej żądzy skorzystano ze srogą naszą krzywdą, pozbawiono nas kilkunastu inteligentnych, pracowitych, szlachetnych młodych ludzi, najlepszy dających rówiennikom przykład. Serce się ściska na samą myśl, co taki Zan, Czeczot, Malewski, a cóż dopiero Mickiewicz! duchowych i umysłowych wywieźli z sobą na obczyznę skarbów. Pierwsze to było, maleńkie wówczas jeszcze źródło, z którego wyrodzić się miała z czasem fala emigracyjna, fala mająca zmarnować tyle ludzkich żywotów, tyle serc rozedrzeć, tyle najszlachetniejszych umysłów do rozpaczy lub obłędu doprowadzić. Czy zdrowy, silny, iście polski, a jak słońce jasny Mickiewicza geniusz, byłby w szał towianizmu popadł, a sam wieszcz zmarł na obczyźnie, daleko od swoich, daleko od kraju tak gorąco przezeń miłowanego, gdyby nie ten za młodu zakosztowany, niebezpieczny dla polskich ust nektar męczeństwa. Wyobraźmy sobie tylko na chwilę, oczami duszy, Mickiewicza wracającego do Wilna, po pobycie w Petersburgu np., coby mu było łatwo przyszło otrzymać, przez wpływowych tamże przyjaciół. Stać go było na wszystko; dusza jego i umysł na wysokości byłby każdego powołania, a serce do każdego poświęcenia zdolne, prócz może właśnie jednego po-

święcenia, polegającego na oparciu się prądowi emigracyjnemu. Wyobraźmy sobie to pokolenie, może i więcej niż jedno pokolenie, przez Mickiewicza wychowane. „Mickiewicz, pisze p. Chmielowski, „w charakterze swoim i w okolicznościach życia, miał wszelkie wa„runki po temu, aby przemówić językiem miłości, wolnym od prze„sady, a jednak rzewnym, głębokim, wzniosłym“. Tym to właśnie językiem przemawiając przez lat kilka lub kilkanaście, byłby całe zastępy młodzieży do wszelkiej duchowej i umysłowej doprowadził wyższości, a prawdopodobnie kraj od wielu uchronił nieszczęść. Nie można wprawdzie ludzi, niezwykłym obdarzonych geniuszem, zwykłą ludzką mierzyć miarą; przypuścić więc można, że przy wrodzonej mistrza drażliwości, i bądź co bądź, dość słabej woli w obec obowiązku i konieczności położenia, że nie byłby odpowiadał warunkom potrzebnym na dobrego profesora co do litery, że byłby bez ładu i bez wytrwałości prelekcyj udzielał, ale co do ducha, byłby cudów dokazał, sądząc po wpływie jaki wywierał wśród kolegów, będąc sam dwudziestoletnim młodzieńcem. Krzywda nam się zatem, ciężka krzywda stała, nad którą ubolewać należy.

Ale wróćmy się do książki pana Chmielowskiego. Z prawdziwą delikatnością, i o ile mi się widzi, nie mniejszą intencyą prawdy, opisuje autor stosunek Mickiewicza do Maryli i wpływ tego uczucia na życie i na geniusz wieszcza. Powiedziałbym więcej na geniusz niż na życie, Maryla bowiem pierwsza uderzyła w strunę miłości na lirze, która potem tak wspaniale o tem uczuciu śpiewać miała, ale Maryla, to nie tyle pierwsze kochanie, ile pierwszy przedmiot do miłości. Adam kochał wprawdzie Marylę, ale kochał w niej nadewszystko samą miłość, tę miłość, która miała być jedną z najpiękniejszych pereł w skarbcu jego poezyi. Perła została, ale Marylę, w życiu wieszcza, dużo innych niewieścich postaci, w cień dalekiej wsunęły przeszłości. Zupełnie się tu więc zgadzam z panem Chmielowskim, gdy trafnie pisze: „Uczucie jego dla Ma„ryi, wskutek coraz silniej utrwalającego się w nim przekonania „o potrzebie rozwinięcia pierwiastku uczuciowego zarówno w poezyi „jak w życiu, o potrzebie wcielania tego pierwiastku, stawało się „coraz głębszem, potęgowało się przez wpływ wrażliwej i coraz to „bujniej przy czytaniu autorów niemieckich, a zwłaszcza Szyllera, „rozwijającej się wyobraźni“. Rozwijał też Mickiewicz pierwiastek

uczuciowy i „w poezyi i w życiu“. W poezyi, rzewne wspomnienie Maryli zawsze wprawdzie główne zajmować będzie miejsce, w rzeczywistości, zajdą częste zmiany, których historyę autor z wdziękiem życia kreśli.

W niemniej żywych, nawet w oryginalnych barwach, opisuje pan Chmielowski tyloma już foliałami obrabianą walkę klasyków i romantyków, walkę, która ówczesną młodzież, a wśród niej i Mickiewicza „na kwietnią ścieżkę romantyzmu zwróciła, odrywając od ubitego gościńca klasycyzmu“ ku wielkiej zgrozie Warszawskiego Parnasu, upatrującego w nowym kierunku twórczości przez Mickiewicza inaugurowanym, zamach przeciwko wszelkim prawom rozsądku i tradycyom naukowym; młodego zaś poetę za „patryarchę skażenia“ okrzyczał. Cały ustęp pana Chmielowskiego o poezyi ludowej, mitach, legendach, cudownych objawieniach, o tem prawdziwem źródle, w którem romantyzm natchnienie swoje czerpał, dowodzi głębokiej pracy, oraz sumiennej, rdzennej znajomości przedmiotu.

Najciekawszą niezaprzeczenie część dzieła pana Chmielowskiego, stanowi pobyt Mickiewicza w Rosyi i stosunek jego do poetów, historyków, literatów tego kraju. W Moskwie, w świetnym salonie księżnej Zeneidy Wołkońskiej, tej rozumnej, serdecznej naszego wieszcza przyjaciółki, spędza on długie wieczory na namiętnych dyskusyach z ludźmi niepospolitymi, dla których geniusz poetyczny, wszechstronny rozum i gorącość uczuć Mickiewicza, miały urok niewypowiedziany. Istne to być musiały umysłowe biesiady! Książę Wiaziemski, jakkolwiek do przeciwnego jako neo-klasyk należał obozu, wysoko cenił umysł i charakter Mickiewicza. Mikołaj Polewoj mówił o nim, „że to człowiek niepospolitych zalet duchowych, „że pociągał ku sobie wzniosłością poglądów, olbrzymią wszech-„stronnością wiedzy i osobliwszą, jemu tylko właściwą dobroduszno-„ścią“. Z Aleksandrem Puszkinem prawdziwa łączyła Mickiewicza przyjaźń; czar poezyi zbliżył do siebie tych dwóch młodych, w równym wieku będących, a już każdy w swoim kraju sławnych wieszczów. Drugi jeszcze, choć przez każdego z nich inaczej pojęty, przyciągał ich do siebie czar, czar wolności. O stosunkach towarzyskich w Moskwie pisze Mickiewicz, że mu najmilsze zostawiły wspomnienie „gdyż nie dojrzał na nich, ani interesowanej nienawi-

„ści, ani zazdrosnego współubiegania się, tylko przyjazne usposo-
„bienie jednych względem drugich, i chęć oświecania się za pośre-
„dnictwem wspólnych czytań i rozpraw“. Gdy przyszło Mickiewi-
czowi Moskwę opuścić, rosyjscy wielbiciele jego urządzili dlań ucztę
pożegnalną, w czasie której Eugeniusz Bariatyński, w obec spro-
szonych na ten obchód literackich i artystycznych znakomitości,
wnosząc zdrowie naszego wieszcza, w następujących odezwał się
słowach: „Nie naśladuj innych, wieszczu; wszak tyś wielkością swą
„wielki. Dla Izraela i piewcy jedno prawo: nie będziesz czcił cu-
„dzych bogów. Kiedy Cię, natchniony Mickiewiczu, zastaję u nóg
„Byrona, myślę wówczas: pokorny wielbicielu, powstań i pomnij,
„że sam jesteś bogiem!“ Poczem wręczono Mickiewiczowi puhar
srebrny z wyrzniętemi nazwiskami biesiadników na tej uczcie
obecnych.

Po Moskwie przychodzi kolej na Petersburg; i tam bardzo
przychylnego doznaje wieszcz nasz przyjęcia. Poeta rosyjski Żukow-
ski zaklina, by mu Mickiewicz pozwolił swe poezye przetłumaczyć
na język rosyjski. „Rosyanie, pisał wówczas Adam do Odyńca, go-
„ścinność rozciągają aż do poezyi i przez grzeczność dla mnie, tłu-
„maczą mnie; gmin idzie w ślady naczelnych pisarzów. Już widzia-
„łem sonety rosyjskie w guście moich. Owóż sławy dosyć dla obu-
„dzenia zazdrości, chociaż ta sława wychodzi często z za stołu,
„przy którym jedliśmy i pijali z rosyjskimi literatami. Miałem
„szczęście zyskać ich względy. Mimo różnych mniemań i partyj
„literackich ja ze wszystkimi w zgodzie i przyjaźni“. W Peters-
burgu bywał Mickiewicz dużo w świecie. We wszystkich salonach
wdzięki niewieście i urok muzyki, fantazyi dodawały poecie. Uczu-
wał czasami wprawdzie czczość tego salonowego życia, tak oddа-
lonego od dawnych marzeń wielkości w poświęceniu i wielkości
w czynie, ale z jednej strony więziły go złote łańcuchy kobiecemi
ukute rękami; z drugiej, nie mógł nie być ujęty uznaniem, niemal
czcią, któremi go najznakomitsi ludzie w Petersburgu otaczali. Pu-
szkin przetłumaczył w owym czasie na język rosyjski „Trzech Bu-
drysów“, „Czaty“ i początek „Konrada Wallenroda“. Że „Konrad
Wallenrod“ mógł być napisany i wydrukowany w Petersburgu,
świadczy wymowniej od wszystkiego, że Mickiewicz w przyjaznej
i dla geniuszu jego sympatycznej żył atmosferze. Do natchnienia

nikt się zmusić nie potrafi. Muszą duchowe odpowiadać temu warunki. Czytając opis pobytu Mickiewicza w Petersburgu i Moskwie i entuzyastycznego przyjęcia, którego wszędzie doznawał, nie można nie pomyśleć w duszy, ile od tego czasu popłynąć musiało żółci, łez i krwi, żeby to ówczesne przyjazne dla Polaków usposobienie, na otchłań bezdennej nienawiści zamienić, nienawiści pokrzywdzonych i nienawiści krzywdzących. Wracając się raz jeszcze do Puszkina, niech mi wolno będzie podać tutaj, cztero-wiersz Mickiewicza na prośbę rosyjskiego poety improwizowany, z okoliczności kilku płatków śniegu spadłych na gors jednej z obecnych w ogrodzie dam. Z tym ślicznym wierszykiem nie spotkałem się nigdzie, nie pamiętam czy się w dziełach mistrza znajduje; w każdym razie mało jest znany i podając go w swojej książce, miłą pan Chmielowski czytelnikowi sprawił niespodziankę.

Na twą pierś białą padł śnieżek biały
I bielszym od niej się mienił;
Lecz wkrótce poznał błąd swój zuchwały,
I z żalu w łzę się przemienił.

Co za perełka najczystszej wody! Na ten sam temat i Puszkin wówczas coś zaimprowizował, ale tylko Mickiewicza cztero-wiersz w pamięci zachowano.

Nie należy sądzić z powyższego opowiadania, żeby prócz salonowych przyjemności, tak często na owacye się zmieniających, mistrz nasz poważniejszych nie był miał zatrudnień w czasie pobytu w Petersburgu. Zbyt przenikliwem patrzał on okiem i na wypadki i na ludzi, żeby znajomość ta, w połączeniu z czytaniem poważnych obcych dzieł, i ciągłe zetknięcie się z ludźmi o niepospolitym umyśle, owoców przynieść nie miała. Pisał, urywkowo wprawdzie, ale pisał ciągle. Rozpoczął między innemi „Historyą przyszłości“, w której zdumiewające, prorocze niemal znajdują się wnioski o rzeczach całkiem wówczas nieznanych, a dziś niezbędnych do potrzeb naszego codziennego życia. Manuskrypt dotąd odnalezionym nie został.

Z polskich domów obecnych w tym czasie w Petersburgu, salon pani Szymanowskiej, zacnej, inteligentnej, prawdziwie po macierzyńsku Mickiewicza kochającej, a przytem niepospolitej fortepia-

nistki, co stanowiło dla Adama urok, najwięcej był przez niego uczęszczany. Może być zresztą, że jasnowidzenie właściwe prawdziwym poetom, ciągnęło go instynktowo ku rodzinie, w której miał sobie, kilka lat później, dozgonną wybrać życia towarzyszkę. Przyjaciel i towarzysz Mickiewicza, tak o nim wówczas pisał w liście do siostry: „Talent jego dojrzał, rozmowa zasilona i tem co wi„dział i co czytał, nosi nadto piętno jego bogatej imaginacyi. Lubi „teraz mówić dużo; jego głos często sam tylko słychać w zgroma„dzeniu i każdy skwapliwie ucisza się, aby go słuchał. Prawdziwie „napełnia mię uczucie dumy, że byłem kolegą Mickiewicza i że je„stem jego przyjacielem". Nadszedł wreszcie oddawna upragniony i oczekiwany paszport za granicę; dzień wyjazdu wyznaczył Mickiewicz odrazu. Na wzór towarzystwa w Moskwie chcieli i petersburscy liczni wielbiciele i przyjaciele serdeczni, hucznie i świetnie żegnać genialnego gościa, o którym ociemniały już wówczas rosyjski poeta Kozłów rzekł do Odyńca: *Vous nous l'avez donné fort, nous vous le rendons puissant.* Tymczasem nadeszła nagle wiadomość, że wypłynięcie statku, który miał Mickiewicza zabrać, przyspieszonem zostało. Trzeba się było czem prędzej pakować o północy, za powrotem od pani Szymanowskiej, i chwili nie czekając, do portu się udać. Gdy się nazajutrz wieść rozeszła o niespodzianym tym wyjeździe, zaczęto ze wszystkich stron gonić ku portowi, żeby choć raz jeszcze dłoń mistrza uścisnąć. Lecz daremnie, już go kołysały spienione fale Bałtyku. Do jakiego stopnia umiał Mickiewicz, pomimo częstych chmur na czole i nierzadkiej w słowach goryczy, wzbudzać gorące uczucie nie tylko miłości, lecz głębokiej, serdecznej, do grobu i po za grobem wiernej przyjaźni, niech za dowód posłużą pisane do niego następne słowa przez Malewskiego, w sam dzień wyjazdu Adama: „Wszędzie łzy; u jednych zasychają, u dru„gich jeszcze płyną. Choćeśmy się uzbrajali w wino i porter, „mimo to Odyniec beczy, a ja jak na licho, patrząc na panny pła„czące, nie mogę się od łez utrzymać. Najniegodziwszy wynalazek „na świecie parochodu! Daremnie dowodziłem, że to nie po chrze„ścijańsku tak płakać po wyjeżdżających, że to niedowiarstwo „w nieśmiertelność; nic nie porusza; łzy się nie utulają. Zdaje mi „się, że to jest twoja familia po tobie płacząca."

Pomimo trwałej niechęci jeszcze silnego wówczas zastępu pol-

skich klasyków, utwory Mickiewicza coraz szerszem, coraz głębszem płynęły po kraju korytem, magnetyzując umysły a serca opromieniając Potęga wyobraźni, prawda i ciepło uczuć, niezrównanego języka czar, stawiały wieszcza „który był jakby sercem narodu“ na niebywałych dotąd wysokościach. Umiejętność tworzenia postaci posągowych acz tryskających życiem, wdzięk z którym cuda przyrody oddawać umiał, czyniły go rzeźbiarzem, malarzem i wieszczem zarazem. Uczuciem chwyta w objęcia przeszłość, obecność i przyszłość ojczyzny, uczuciem i p r a w d ą. „Dziś, gdy świat znów prawdy „zapragnął, pisze Mickiewicz w liście do Odyńca, sztuka już nie „wystarcza ludzkości i poezya musi wrócić do prawdy“. Czy czasem nie w tem poszanowaniu, w tem rozbudzeniu p r a w d y w poezyi, tkwi część potęgi geniuszu wieszcza? Nową on wówczas stworzył erę, pełną ognia i zachwytu, które nasze dzisiejsze, w pozytywizmie zamrożone pokolenie, zaledwo zrozumieć zdoła. Dziś nietylkoby nas na drugiego Mickiewicza nie stało, ale nie stałoby nas na te mnogie zastępy, które się nim zachwycały, za nim szaleli, w niego jak w same bóstwo poezyi patrzali. Nasze pojęcia o piękności, nasze ideały, innego, pośledniejszego są już gatunku. Umysłowe szermierki z czasów o których tu piszemy, mało dziś już kogo prawdziwie zajmują, gdy poprzednie pokolenie namiętnie, gwałtownie do jednego lub drugiego należało obozu. Gdy w Petersburgu ogłoszony został „Konrad Wallenrod“ nikt go w kraju nie był w stanie przeczytać bez bicia serca, bez przyspieszonego tętna w żyłach. „Olbrzymia ta „karta dziejów krzyżackich i Litwy, pisze Lucyan Siemieński, po„dobna lawinie, stoczyła się aż na brzeg Wisły“. Jakiż świetny już był wówczas wieszczy zawód zaledwo trzydziestoletniego Mickiewicza!

Z Petersburga pojechał Adam do Berlina, tam wpadł między wielkopolską młodzież uniwersytecką, wielce w filozofii Hegla rozmiłowaną, co bynajmniej nie trafiało, ani do przekonań, ani do chwilowego usposobienia Mickiewicza. Pisał wówczas o nich do Malewskiego. „Filozofia tu pozawracała łby; lękam się, abym nie „przeszedł na stronę Śniadeckiego, tak mię nudzą Hegliści... Widzę, „że należę do dawniejszego pokolenia i jako *stationnaire* żadnym „sposobem nie zrozumiem się z tutejszymi metafizykami“. Tymczasem nasi poznańscy metafizycy, chcieli godnie uczcić litewskiego wieszcza;

nie było wiec końca wieczorom, ucztom, oracyom i dyskusyom różnego rodzaju; tych ostatnich Hegel był najczęściej przedmiotem. Znaglony dnia jednego przez całą tę filozofującą młodzież, dał się wreszcie nakłonić Mickiewicz i udał się z nimi na dwie prelekcye Hegla. Na tych prelekcyach, rozwijał arcy-mądry filozof, jaka zachodzi różnica między *Vernunft* i *Verstandt*. Mickiewicz, któremu wrodzona, od Boga nadana filozofia, całkowicie do szczęścia (i do sławy) starczyła, za wileńskich jeszcze czasów nie okazywał ferworu w uczęszczaniu na wykłady filozoficzne. Jeszcze go w tej niechęci utrwaliły prelekcye Hegla; tak się o nich wyraził, ku największemu zgorszeniu Wielkopolanów: „Mąż, który tak niejasno mówi i tak „się męczy całuteńką godzinę, by rozjaśnić znaczenie dwóch pojęć, „pewnie się sam nie musi rozumieć". Żartobliwe te słowa, Stefan Garczyński i Karol Libelt, niemal za osobistą wzięli urazę.

Pozawiązywawszy stosunki z obywatelami z Poznańskiego, opuścił Mickiewicz Berlin, udając się przez Niemcy do Włoch, tej krainy najgorętszych jego marzeń. Znana ta podróż, oraz wizyta u Goethego, z listów Odyńca. Wszędzie nosi się Adam z myślą jakiejś obszernej historycznej pracy, lecz się do niej na seryo nie zabiera. Zwiedzanie wiecznego miasta i okolic jego, stosunki towarzyskie z różnemi zagranicznemi znakomitościami, a nadewszystko nowe niewieście czary, cały mu czas zajmują. Między przyjaźnią księżnej Zeneidy Wołkońskiej właśnie wtedy w Rzymie bawiącej, zalotnemi dyskusyami z dziesiątą muzą (tak bowiem przezwaną była Anastazya Klustin), a rozpoczynającą się czułą sielanką z Henryetą Ankwiczówną, sposobności do pracy nie było. Rzecz dziwna! właśnie w tym czasie wyrzeka Mickiewicz, na zupełną samotność. To już chyba, że dusza poety zaspokojenia ni szukać, ni przyjąć nie chce! może to wewnętrzne, wieczne trapienie się, nawet gdy po temu nie ma prawdziwego powodu, jest poetom potrzebne do nastrojenia swej liry. W tej epoce życia naszego wieszcza, następuje szczery choć nie dość głęboki zwrot ku dawnym, z rodzicielskiego domu wywiezionym zasadom religijnym, srodze od kilkunastu lat zaniedbanym. Była to po części zasługa księdza Chołoniewskiego, człowieka o bystrym umyśle i sercu gorącem, który poznawszy Mickiewicza, pokochał go serdecznie i zapragnął do niebieskich wtajemniczyć go pociech. Wieszcz, również od razu przylgnął do

sługi bożego, którego wpływ ogarnął całą jego duszę, do poświęcenia i miłości bliźniego ją usposabiając. Przedstawiła się też właśnie ku temu sposobność, w przybyciu do Rzymu chorego na duszy i ciele Stefana Garczyńskiego. Zajął się nim od razu Mickiewicz, nie szczędząc czasu i starania; dzielił się z nim owem światłem tak szczodrze przez księdza Chołoniewskiego jemu udzielanem. Niedowiarka, starał się nawrócić nie zbyt silny jeszcze neofita, dla którego ewangielia i narodowość, pomimo zaprzeczeń księdza Chołoniewskiego, tuż obok siebie na tym samym spoczywały ołtarzu.

Idzie to na największą chwałę polskiego narodu, że w nim religia i miłość do kraju są nierozdzielne; o tyle wszakże tylko, o ile to znaczy, że religia patryotyzm uświęca, czystości jego zamiarów pilnuje, dodaje mu męstwa w walce, wytrwałości w niedoli i wiary w przyszłość, lecz, jeśli wbrew tej boskiej nad nim opieki, patryotyzm na bezdroże zbłądzi, dowodzi sam, że ludzkiego jest pochodzenia i ludzkim podlega ułomnościom; religia zaś, wprost przez Boga nadana, ani zboczyć ani zbłądzić nie może. Stąd religijność ówczesna Mickiewicza była uczuciem bardziej, niż zasadą; uniesienie zastępowało znajomość prawd chrześcijańskich; miłość odbywała się bez gruntownej wiary. Już widzimy w Filaretach, przy zupełnej dobrej wierze, zaród tej mglistej, na patryotycznem tle opartej religii. Sama przez się miłość dla kraju jest uczuciem tak wzniosłem, tak szlachetnem, tak odpowiadającem najszczytniejszym żądzom duszy ludzkiej, że się jej w obce szaty przyoblekać nie godzi; przyoblekać ją zaś w szaty należące się Bogu, było i pozostanie *usque ad finem*, rzeczą grzeszną. Przyjdzie nam jeszcze o tem wspomnieć w ustępach biografii, tyczących się epoki mesyanizmu w życiu Mickiewicza.

Jakby wieszczym duchem tknięty, że go tam przeróżne spotkają krzyże, nie rwał się Adam do Paryża, pomimo ustawicznych nawoływań, licznie tamże bawiących wielbicieli i przyjaciół. Wieszcz może przeczuwał, że raz dostawszy się w żar emigracyjnej otchłani, ani mu się oprzeć zdoła, ani go zagasić potrafi. Przedłużał więc o ile mógł tak chwilowemu usposobieniu odpowiadający pobyt we Włoszech, gdzie i przyroda i ludzie uspokajająco nań oddziaływali. Z Włoch pojechał zwiedzić Szwajcaryę, unosząc się wszędzie po drodze niezrównaną pięknością krajobrazu. Tam spotkał się z dzie-

więtnastoletnim wówczas Zygmuntem Krasińskim, którego młoda, gorąca wyobraźnia, żywo się nim zajęła. Pisał do ojca po pierwszem zetknięciu się z Mickiewiczem. „Znać we wzroku, że rzucona „iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się być idea„łem człowieka uczonego i geniuszu pełnego.“ Tak się wyrażał o wieszczu ten, któremu niebawem p ł o m i e ń i i s k r y, siostrami być miały. Nieco później, w innym pisze liście: „Zupełnie mi wy„perswadował, że szumność jest głupstwem, tak w działaniu, jak „mowach, jak pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną „i ponętną w naszym wieku; że wszystkie ozdóbki, kwiatki stylu „są niczem, kiedy myśli nie ma; że wszystko na tej myśli polega, „i że chcąc być czemś teraz, trzeba uczyć się, i uczyć się i uczyć, „i prawdy wszędzie szukać, nie dając się ułudzić przez błyskotki, „które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, „a potem gasną na wieki. Spotkanie się z nim, wiele mi dobra „przyniosło i niezawodnie wpływ będzie miało na dalsze moje ży„cie, wpływ dobry i szlachetny“.

O gorących listach i mowach Mickiewicza w obec powstania listopadowego w kraju, w sprzeczności będących z żółwim pośpiechem z jakim na plac boju dążył, rozpisywać się nie widzę potrzeby. Dosyć o tem ludzie, słusznych i niesłusznych, (zwłaszcza n i e s ł u s z n y c h) rozpowszechnili wieści. Wolę czytelnika odesłać wprost do książki pana Chmielowskiego, w której z wielką trafnością sądu i wyrozumiałością, o tej chwili życia poety wspomina. Tym razem jeszcze powtórzyć trzeba, że wieszczów ludzką zwykłą miarą mierzyć nie można. Nie był Mickiewicz ani wojakiem, ani dyplomatą; do życia publicznego wprawy nie miał, cóż więc byłoby jego przybycie do Warszawy pomogło? prawdopodobnie, zupełnie nic. O ile stała obecność jego w kraju, czy na katedrze w uniwersytecie wileńskim, czy w życiu obywatelskiem, byłaby najświetniejsze osiągnęła rezultaty, o tyle nader małą byłby oddał Polsce usługę, wstępując do szeregów, lub mieszając się do sporów rządu narodowego. Nie to więc wieszczowi zarzucajmy, że na wiadomość o wybuchłem powstaniu, do Warszawy wprost nie podążył, ale ubolewajmy nad tem i gorzkiemi płaczmy łzami, że go Polska tyle lat na swem łonie pieścić nie miała; smucimy się ciężkim smutkiem, że się na dobrowolnego podał emigranta i po-

mimo nie raz powtarzanych zaklęć, że się do emigracyjnych sporów mieszać nie będzie, w wir ten złowrogi porwać się dał i w nim zginął. Dzięki genialnym utworom, wieszcz nam się został, ku chwale narodu i dla największej pociechy potomności, ale człowieka, emigracya, koniec końcem, zmarnowała. Krótko po poddaniu się Warszawy, pisał Mickiewicz do Lelewela: „Bóg nie pozwolił mi być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkiem i płodnem „na przyszłość dziele. Żyję tylko nadzieją, że bezczynnie ręki na „piersiach w trumnie nie złożę". Te słowa kreśliła ręka, której dziełem były utwory jak Dziady, Wallenrod, Sonety Krymskie, Oda do młodości, ręki, która jeszcze Pana Tadeusza napisać miała. Wprawdzie orężem w życiu nie władała, na sejmach dekretów i protestacyj nie podpisywała, ale, bądź co bądź „bezczynnie „w trumnie, nie złożona".

Słusznie i trzeźwo pan Chmielowski wyjaśnia stan emigracyjnych stosunków, w chwili przybycia Mickiewicza do Paryża (sierpień 1832). Niech mi wolno będzie ustęp ten podać: „Wszyscy „wprawdzie wychodźcy mieli na oku cel jeden: wyzwolenie kraju, „ale przy wybujałym naszym indywidualizmie, przy krewkości i porywczości usposobienia, przy małem wyrobieniu umysłowem, trudno „im było zgodzić się na środki, do urzeczywistnienia celu tego prowadzące. Jak już podczas samej rewolucyi, tak i teraz na wychodztwie potworzyły się stronnictwa, zacięcie swoich poglądów „broniące, względem siebie nieprzejednane. Jedni drugich oskarżali „o klęski poniesione przez naród; jedni na drugich winę niepowodzenia zwalić pragnęli. A że nieszczęśliwi bywają najczęściej nie„sprawiedliwymi, oskarżania te objawiały się w sposób gwałtowny, „namiętny; od rozpraw, sporów, swarów i kłótni, dochodzono łatwo „do zarzutu zdrady, a stąd do nadzwyczaj częstych pojedynków, „jakby nie dosyć było jeszcze krwi przelanej na polach bitew, jakby „sami siebie wytępić chcieli. Niejasność pojęć polityczno-społecznych, a obok niej gorąca chęć do jakiegokolwiek ruchu i działania „wywoływały straszny chaos opinij i dążności, nieopisane zamieszanie w umysłach i febryczny stan ducha." Do powyższych, poważnych uwag pana Chmielowskiego dodać jeszcze można, że ten febryczny stan ducha, był w owej chwili „stanem" całej Europy, będącej jakoby na przełomie. Zachciewało jej się wówczas wszystko

zmieniać, wszelkie wprowadzać reformy: religijne, społeczne, obyczajowe, literackie. Wszelakiego rodzaju zmiany stały na porządku dziennym. Prąd ten ogólny, nie mógł się nie przyczyniać do roznamiętnienia już i tak bardzo gorących marzeń, polskich wychodźców. Mówiliśmy powyżej, że przybywając do Paryża, Mickiewicz najszczersze miał postanowienie nie zbliżać się do tych sporów, by się go czasem nie uczepiły; ale dusze ogniste, mają tę właściwość, że ich nęci i pociąga płomień, tak jak nie jednego nęci i pociąga widok przepaści; sam zaś, mając w duszy spory zapas ognia, najmniejszej dość miał iskierki by pożar wzniecić. W pierwszej chwili pobytu w Paryżu, od emigracyjnych schadzek odstręczała Mickiewicza duma, bo dumny był, i z wrodzonego charakteru i w skutek powodzenia, którego, jako wieszcz i jako człowiek, doznawał wszędzie od dawna, czemu się zresztą i dziwić nie można. Wszak z Kowna jeszcze pisał, choć wówczas owacyj nie odbierał, że jemu „pochlebców a nie przyjaciół potrzeba". Nieco później w obec krytyki dzieł jego przez najwybitniejszych przedstawicieli klasycyzmu wyrażonej, między którymi znajdowali się ludzie jak kasztelan Koźmian, Śniadecki, Dmochowski, Brodziński, cóż pisał nasz Adam? „Ale mnie znudziła klasyczna wasza hołota i pokażę, „że się ich wszystkich razem nie boję". Wiedząc, że mu emigranci darować nie mogli nieobecności w kraju w czasie powstania, miał do nich za to urazę i od nich stronił. Psychologicznie da się więc zupełnie wytłumaczyć, i unikanie emigracyi przez Mickiewicza, za jego przyjazdem do Paryża i przejście jego do ich obozu, po kilkunastu bankietach na cześć wieszcza urządzonych, na których, jak z rogu obfitości, sypały się toasty, owacye, wawrzyny i serdeczne uściski, kończące się zwykle na łzach. Znał wprawdzie Mickiewicz i księcia Adama Czartoryskiego, i Bohdana Zaleskiego i kilku innych z tej partyi ludzi poważnych; ale w przeciwnym obozie znajdowali się towarzysze z czasów wileńskich, jak Lelewel, Chodźko, Grzymała i wielu innych. Ci właśnie najgoręcej go ku sobie ciągnęli, a że w głębi duszy był, bądź co bądź, demokratą, dał się w złej chwili i do demagogii policzyć, zwłaszcza w teoryi, bo prawdopodobnie do praktyk demagogicznych nie była by się nigdy szlachetna jego dusza zniżyła. Pisał więc do Domejki, już wówczas w Ameryce osiadłego, że mu rzeczy emigracyjne „czas żrą i humor

psują", ale się bądź co bądź od nich całkiem nie odsuwał. Psychologiczny ówczesny stan duszy Mickiewicza, duszy, w której walczyły dwa wrogie sobie prądy, jeden przypływający wprost z Rzymu i z wspomnień duchowej przyjaźni księdza Chołoniewskiego — drugi, z mętnego źródła sporów demokracyi emigracyjnej, objawił się w „Księgach narodu polskiego". Jak ongi naród Izraelski, tak odtąd polski naród miał na świecie odgrywać rolę misyjną. Zmartwychwstanie Polski stanowić miało nowe zbawienie chrześcijaństwa. „Księgi narodu polskiego", to pierwiastek, to rdzeń tego później tak u nas ustalonego kierunku, identyfikującgo Boga w ojczyznie. Tą drogą postępować miało całe u nas pokolenie, tracąc zwolna świadomość, gdzie się kończą granice spraw boskich, a ludzkich zaczynają, obniżając tym sposobem polot prawdziwej religijności chrześcijańskiej. Od tej pory, patrząc na wizerunek ukrzyżowanego Jezusa, widziało się, nie Jego postać boską, ale ukrzyżowaną Polskę. Na widok ten, tworzyły się zastępy nowych męczenników, lecz nie czysto chrześcijańskich męczenników. stąd krew ich, jakkolwiek najczęściej niewinna, polskiej ziemi użyźniać nie miała. Miłością dla kraju, miłości dla Boga się nie zastąpi, ani się ich godzi na tej samej stawiać wysokości; wcielać ideę poświęcenia dla ojczyzny w dogmat religijny — jest rodzajem świętokradztwa. Był to wprawdzie sposób roznamiętniający naród do wszelkiej ofiary, ale do ludzkich spraw boskiego Imienia używać się nie godzi, a namiętność, choćby i najszlachetniejsza, zawsze namiętnością pozostaje i jako taka, długo w karbach utrzymaną być nie może. Dowiodły tego mnogie u nas narodowe klęski; dowiódł i duchowy obłęd Mickiewicza, bo zasady na których budował „Księgi narodu polskiego", były właściwie pierwszym krokiem ku towianizmowi. I jeszcze na tem skończyć się nie miało. Odtąd poezya nasza, czy w Jowiszowych błyskawicach Krasińskiego, czy w rozpaczliwych skargach Słowackiego, albo tonie w mgłach mistycyzmu, albo pogańskiej nabiera goryczy. Trzeba polskiego naszego nieszczęścia, żeby ostatnie dźwięki tego czystego, jasnego, zdrowego, choć ogniem płonącego geniuszu wywołać musiały tak grozą przepełnione echa. I znów oczy łzami zachodzą, i znów powtórzyć trzeba, że ani do tego chorobliwego nie byłoby przyszło mistycyzmu, ani do tej rozpaczliwej, niemal pogańskiej skargi, ani do niejednego może w Polsce nie-

szczęścia, gdyby taki duchowy i umysłowy olbrzym, był w kraju pozostał i polskiemi zawładnął duszami. Chlubić się miała Mickiewiczem Szwajcarya; cześć mu oddali najznakomitsi we Francyi ludzie, jak: Wiktor Cousin, Ampère, Villemain, Montalembert; sam Goethe winszował Polsce, że tak wielkiego posiada wieszcza, a nam, których on był własnością, ten brat i syn nasz z krwi i kości, nam z obczyzny tylko swe genialne przesyłał dźwięki — z daleka nad naszą płakał niedolą, zamiast ją z nami dzielić i nam ją ozłacać.

Uznanie jakie otrzymał Mickiewicz w Lozannie za tak krótki czas profesury na tamtejszym uniwersytecie, gorące zajęcie z jakiem cisnęli się Francuzi na jego prelekcye *au Collège de France* w pierwszych dwóch latach, dają miarę czem mogły być jego wykłady w Wilnie, Warszawie lub Krakowie. On by był przed narodem, całą polską przedstawiał tradycyę; krzywdę nam zatem zrobił Mickiewicz, krzywdę srogą, nieodżałowaną, niezgłębioną, udając się na obczyznę.

Już się wracać nie będziemy do politycznych czynności Adama wśród emigracyi paryskiej. Zbliża się zresztą rozdzierająca chwila, w której umysł ten potężny, dusza gorąca, ten geniusz o orlim polocie, wszystkie boskie te dary na burzliwy ocean mistycyzmu rzucone być miały. Powtórzmy tu, ku pocieszeniu serc naszych, piękne wyrazy Lucyana Siemieńskiego, gdy pisze o duchowym obłędzie Mickiewicza: „Lecz i to pewna, że nawet w takim upadku, gdyby „się dotknął był jak Anteusz swej matki ziemi, byłby powstał sil„niejszy wiarą i prawdą. Kto pod nogami nie ma punktu oparcia, „zawsze zawiśnie między niebem a ziemią“. Tego „punktu oparcia“ pozbawiony, burzami życia emigracyjnego skołatany, trawiony tym żarem, który każdą polską duszę pali, szukał Mickiewicz zaspokojenia dla siebie w czynnem życiu; szukał i dla ojczyzny iskierki nadziei. Lecz i to zawiodło; do legionów w wojnie krymskiej nie przyszło, ale dla wieszcza przyszło „zaspokojenie wieczne“ — Miłosierdzie boskie zlitowało się nad nim.

Nic rzadszego jak dobrze zrobione streszczenie własnego dzieła; zwykle, albo się niechcący książce ujmę przynosi, albo streszczenie pozostaje w sprzeczności z dziełem. Uniknął tego szkopułu pan Chmielowski, nie wspominając w ostatnim rozdziale, ani o sobie,

ani o książce. Zamyka dzieło krótkim, zwięzłym, doskonałym, jakby w garść ujętym poglądem na wszystkie dodatnie i ujemne strony geniuszu Mickiewicza i jego charakteru. Oto ostatni ustęp biografii: „Jak w poezyach Mickiewicza odbiła się przeszłość i strona „uczuciowa narodu, tak w jego poglądach społecznych znajdują się „ziarna, które się rozwinąć mają w przyszłości. Jest to jedyny nasz „wieszcz-geniusz“ ...

Zacnie spełniony obowiązek biografa, jeśli czytelnikowi jaśniej i cieplej w duszy się robi, po przeczytaniu życiorysu. Ogólne wrażenie jakiego się doznaje skończywszy dzieło pana Chmielowskiego, jest, że książka ta, chlubną stanowi kartę w jego życiu, której mu każdy piszący pozazdrościć może.

Oddawszy autorowi sowitą miarę sprawiedliwości uznania, przychodzi nam zwrócić uwagę czytelnika na ujemną stronę książki, lecz w krótkich tylko słowach, bo i ta ujemna strona nie obszerna. Czy pisząc o Mickiewiczu, godzi się, błędy językowe popełniać, lub tworzyć wyrazy nie tylko w sprzeczności będące z duchem polskiej mowy, ale najnieprzyjemniejszym sposobem rażące ucho? Zdaje mi się, że nie. Otóż nie można się nie wzdrygnąć mimowolnie, czytając, że „dla uczuć nie potrzeba koniecznie najlepszości“ lub „że cały odczyt błyskawicował“. Niemniej przykro jest spotkać się z następującemi wyrazami: „sprocentowując zasoby i t. d. „Odrzucenie (uczuć) dla wchłonięcia bolów narodu... odróżniać „dwa kręgi społeczeństwa“. Albo, czy pisząc o sporach literackich ówczesnych, stosownie było użyć wyrazu: sznurówka klasycyzmu; wprawdzie, sznurówka jest polskie słowo, wszystkie nasze panie je znają, ale w innem zupełnie znaczeniu. Kto umie po polsku dobrze pisać, temu bezwarunkowo źle pisać nie wolno.

Ważniejszym jest drugi zarzut. P. Chmielowski do zakonów w ogóle, a w szczególności do zakonu Jezuitów, nie ma sympatyi. Darmo — *les amours ne se commandent pas.* Poczucie jednak dobrego tonu powinnoby nieco hamować tę subjektywną antypatyę. Jakżeż, proszę, wygląda w poważnej i naukowej książce powtarzanie starej piosnki, zużytej jak zwrotka francuskiej *Carmagnole,* do wtóru z pewnemi pismami polskiemi i rosyjskiemi, których Warszawiakom wymieniać nie potrzeba? Oto np. urywek: „W roku „właśnie 1818 (Jezuici) zaczęli ogłaszać swoje czasopismo p. t.:

„Miesięcznik Połocki. Usprawiedliwianie i uwielbianie tego, co „zakon Jezuicki robił i robi, walka zarówno z rzeczywistymi nie- „przyjaciołmi Kościoła lub duchowieństwa, jak i z ich widmami „(np. farmazoneryą); ściganie wszelkich myśli, a nawet wyrażeń „nieprawowiernych (czytaj: heretyckich); dowodzenie możliwości cu- „dów (o zgrozo!) i szerokie opisy tych, jakie naówczas pisma fana- „tyczne rozgłaszały; przedrwiwanie filozofii XVIII. wieku (alboż „ona czem innem jak drwinkami walczyła?), wykazywanie, że wro- „gowie ołtarza są zarazem wrogami tronu (co fakta świadczą); kry- „tyka systemu wychowawczego w ówczesnych szkołach; osłabianie „doniosłości wywodów historycznych (które późniejsza krytyka cał- „kiem obaliła); oto główne przedmioty, którym organ Jezuitów naj- „więcej miejsca udzielał". Czy cały ten ustęp, nie wygląda jakby żywcem wzięty z jakiegoś anty-religijnego piśmidła z końca XVIII. wieku? — Bardzo też niedokładnie wyraża się pan Chmielowski, na wstępie swego dzieła, o znaczeniu „dwóch obrządków" na Litwie i Rusi, gdzie mówi: „Istnienie dwu wyznań obok siebie, „różniących się nie tyle dogmatami, ile oznakami ze- „wnętrznemi". O jakichże tu obrządkach mowa? jeśli o grecko-katolickim, to różnicy w dogmatach żadnej być nie może, cała bowiem Unia na tej właśnie jedności dogmatów stoi; jeśli o grecko-prawosławnym, to natenczas i w dogmatach i w oznakach zewnętrznych znaczna zachodzi różnica.

Niech pan Chmielowski — tą radą kończymy — unika, we własnym interesie, tykania rzeczy religijnych — bo to nie jego grunt; ale niechże nam pisze dalej o rzeczach literackich, bo w tych jest prawdziwie niepospolitym pisarzem.

A. M. L.

RELACYA O UPADKU KAMIEŃCA R. 1672.

I OSTATNICH CZYNACH P. JERZEGO WOŁODYJOWSKIEGO,

przez JMCi pana Stanisława Makowieckiego stolnika Latyczewskiego

(z oryginalnego rękopisu) [1].

Cny czytelniku, chceszli znać prawdę o smutnych losach Kamieńca, nie żałuj krótkiego czasu, a dowiesz się o tem, co było, w którym czasie i jako się działo; gdyż ten co pisze, własną się w Kamieńcu znajdował osobą i własnemi na wszystko patrzył oczyma. Dowiesz się, iż tam, gdzie ludzie zdradę widzą, jeno przez brak opieki, przez zrywanie sejmów i nierząd kraju, twierdza upadła.

Opowiem szczerze, prosto przed siebie postępując — nie moja wina, jeżeli po drodze kogo potrącę. Różne jest różnych zdanie w tym oceanie polskich wolności i ciężko po nim sterować; przeto nie miejcie gniewu do biednego wygnańca. Dziś bowiem wygnani jesteśmy bez domu i włości, my, cośmy tej Rzpltej murem niegdyś byli. Bezpiecznie za tym murem Mazur i Polanin siedział i nie wiedzieli o trwodze, chyba ich późno głucha wieść dobiegła o tem, cośmy już dla nich przebyli. Trzymaliśmy, póki nas Boska Opatrz-

[1] W bibiotece Suskiej znajduje się rękopis p. t. *Relacya Kamieńca wziętego przez Turków w roku 1672, opisana wierszem polskim przez Stanisława Makowieckiego z Wielkiego Łukaszyna stolnika Latyczewskiego.* Opowiadanie to naocznego świadka i aktora tego dziejowego dramatu jest, jak nam się zdaje, wielce zajmującem i rozprasza cienie posądzań, któremi historya zbyt łatwowiernie może pamięć zacnych mężów przyćmiła.

Ale wiersz pana Makowieckiego jest bardzo nużący i w wielu miejscach niejasny. Dlatego pozwoliliśmy sobie przełożyć go na prozę, i w niektórych miejscach skrócić, zachowując jednak wiernie cały charakter i o ile możności własne słowa oryginału.

ność wspierała, a ustąpiliśmy, gdy onej nie stało, z twierdzy i rodzinnej ziemi przez waszę niemiłość wygnani. Toż i utrapienia nasze dziś u was posłuchu nie mają, a miasto pociechy przymówki słyszymy i skargi na zdradę, o której wżdy i sami wiecie, że jej nie było. I tak bez wsi, bez chleba tułamy się biedni, jeno Boskiej dobroci wzywając. Bóg na upadek pozwolił, Bóg z niego powstać dozwoli. On co świecącą tarczę Janiny na piersiach orła polskiego zawiesił, sprawi, iż przed jej blaskiem potwór pogański się strwoży, meczetów swoich w Podolu odbieży i pastwę łakomą rzucając, wdal za krainę Wołoską się schroni.

I.

Czas mi rozpocząć już opowiadanie. Przed wojną turecką zaprawdę przestróg nam nie brakło; już zagarnięcie Kandyi pod moc cesarską[1] winno było za pierwsze starczyć ostrzeżenie; ale temu nikt wierzyć nie chciał, ani dbał na gęste wieści z Wołoszy i Carogrodu słane. Lekceważono nawet twierdzenia szpiegów o przygotowaniach nieprzyjaciela donoszące. To też napad wrogów nie gotowych nas zastał, a obrony fortecy nikt nie obmyślił. Czyja w tem wina, słuchajcie.

Parękroć z Kamieńca słaliśmy przed sejmy, ostrzegając, iż twierdzę opatrzyć potrzeba. Sam dwa razy jako poseł jeździłem; byłem i na tym nieszczęsnym w połowie zerwanym sejmie, a ostatnim przed wojną. Tam dany w senacie głos mając, lubo *passive* tylko, przed królem i panami opowiedziałem o ruchach tureckich, wspomożenia żebrząc; ale napróżno, gdyż sejm zerwano i nikt głosu mego nie słuchał. Więc i nazajutrz żebrałem w senacie, lecz i tu prośby mojej wysłuchać nie chciano. Mówił również kolega mój JMC pan Myśliszewski, chorąży Czernichowski, od JW. marszałka i hetmana W. K. słany do Wołoch, aby z postawy nieprzyjaciela sprawę zdał; donosił o tem co widział, o sporządzonych mostach, o zewsząd gromadzonych zapasach; ale i jemu, nietylko że wiary nie dano, lecz jeszcze przymówki czyniono, iż go tam hetman w innych a skrytych celach wysyłał. Śmiano się, że Turczyn do

[1] Cesarzem nazywa autor sułtana Muhameda IV.

nas nie z szablami lecz z mydłem, smailą i rodzenkami zjedzie, aż od słuchania serce bolało.

Drugiego dnia znowu w tej sprawie głos zabrać się pokusiłem, lecz wtedy Wielkopolanie się porwali, wołając, że siła pieniędzy na Kamieniec idzie; przy czem poseł z kujawskiego pan Kaczkowski dorzucił, iż cała twierdza tego niewarta, co się na nią łoży. Król przy tych mowach powstał z senatu i zszedł na pokoje, a my tymczasem dalej spory wiedli o użytek sum niewielkich, które nam wymawiano a które, żal się Boże, ani na prowiant ani na wzmocnienie murów starczyć nie mogły. Jakoż nie wskórały nic i listy z Turek do JMCi księdza podkanclerzego z ostrzeżeniem pisane a przedsię w senacie czytane; ani nam, ani pismom, mieniąc je podrobionemi, wierzyć nie chciano. Smutno tedy do gospody wracając, rozważaliśmy groźny stan Rzpltej. Wszakżeśmy w ostatnich czasach szwedzkiemu królowi zdzierżyć nie mogli i Inflanty stracili, a z Ukrainą co będzie? Prawda, iż pan Podlaski [1] jest z wojskiem w pogotowiu, lecz z drugiej strony kozacka nawała — obaczym co Doroszeńko nabroi? Oj nie czas zaprawdę było wojnę turecką wyśmiewać!

Nazajutrz było święto, więc po nabożeństwie dopiero o 3-ej zjechali posłowie, a król JMC na zwykłem miejscu zasiadł pod baldachimem. Wszakże miasto obradowania, wszczął się gwar niesforny a nieprzystojny wielce; jedni cisnęli się pragnąc gwałtem Pana pożegnać, drudzy odłożyć sesyę do jutra chcieli, nie brakło i takich, którym miód *post pransum* zaprzątał głowy. Ja zaś, widząc, że to ostatnia chwila, że już sejmu wnet nie stanie, począłem na cały głos wołać, że prosim króla o trzecie wici na pospolite ruszenie. I jakoś nagle wszyscy się zgodzili wraz ze mną o pospolite ruszenie przeciw Turkom, prosząc, wołali, krzyczeli, a potem, w zapomnienie puścili. Po kilku jeszcze mowach krzykliwie przerywanych, żegnano króla JMCi i wszyscy posłowie do odjazdu ruszyli.

My tylko z panem Myśliszewskim, choć nam gorzko szła praca, poszli jeszcze na królewskie pokoje błagać o pieczę nad tą biedną fortecą, a Pan miłościwy przyrzekł o prośbie naszej baczyć

[1] Karol Łużecki, kasztelan Podlaski, regimentarz wojsk kor.

przy ostatniej posejmowej naradzie. Tymczasem kazał nam iść do hetmana, a do siebie nazajutrz zrana powrócić. Posłuchaliśmy pańskiego rozkazu chętnie na pałac hetmański spiesząc, iż jawno nam było jako JM. p. Sobieski w podobnych naszym sentymentach przestawał i o uzbrojeniu Kamieńca nie mniej od nas gorliwie się troszczył, jeszcze pono od nieboszczyka króla Jana Kazimierza baczność na tę twierdzę zaleconą mając. Od niego też pierwszą miłosierną słyszeliśmy replikę: „Ważne są prośby wasze, zacni posłowie, mówił, i z duszy radbym, aby skutek wzięły. Radbym wam ludzi posłał i komendanta nadał, lecz to niełatwo przyjdzie, gdyż sejm zerwany a wojna bliska. Komendanta to chyba nająć wypadnie, boć taka komenda bez pieniędzy i bez chleba ani podstarosty nie skusi. Niemało o to głowa moja się trapi, ale czekajcie, jeszcze się o tem z królem rozmówię i wy ze swojej strony mówcie, na to głównie napierając, by wam piechot łanowych przysłano". My tedy gorąco Marszałkowi dziękowali, który nas na obiad prosiwszy, wraz z nami i z inszymi tak posłami jako i wojskowymi do stołu zasiadł. Po obiedzie nie mieszkając jechaliśmy do króla JMci z prośbą jako Hetman radził; lecz Pan piechot łanowych ustąpić nie chciał. Co widząc, zaniechaliśmy dalszej mowy i dopiero nazajutrz z relacyą do marszałka wróciliśmy. „Skoro król JM. nie gotów ustąpić, rzekł nam marszałek, muszę przeto sposobu szukać i cokolwiek zmogę, bądźcie pewni, że uczynię. Już mieszczanom 20.000 na prowiant posłałem, a i ludzi od księcia biskupa Krakowskiego [1] 500 koni i piechoty mieć będziecie. Listy też do kasztelana Podlaskiego [2] i do hetmana zaporoskiego Haneńki pisałem, by z innych prezydyj do Kamieńca piechotę zwiedli. O komendanta jeszcze się z królem rozmówię. Nie z mojej to winy, ale więcej czynić nie mogę".

Zaczym my już więcej hetmanowi nie dokuczając, na koniec obrady czekali. To *consilium postcomitiale* cały tydzień trwało i dopiero je po przyjeździe księcia Wdy Ruskiego [3] i Wdy Sieradzkiego zamknięto. Do Kamieńca ludzi nam coś wyznaczono, i komendanta zacnego dano, starostę Buskiego, którym na onczas był

[1] Andrzej Trzebicki.

[2] Ob. kopię listu z 25/7 w aktach historycznych Fr. Kluczyckiego tom II. str. 1028.

[3] Dymitr Wiśniowiecki Wda ruski i Szczęsny Potocki Wda sieradzki.

JM. pan Józef Łączyński generał wojsk cudzoziemskiego autoramentu. Lecz z tego wodza radość nasza niedługą była; on bowiem, jako człek w dziejach wojennych świadom, wnet dla twierdzy 10.000 piechoty i 100.000 gotowizny zażądał; a gdy na te jego punkta responsu nie dano, komendy odmówił, jako to był pan marszałek *justissime* przewidział. Po tej obradzie wszyscy szli przed Pana i tam słyszałem jako król długo z Hetmanem rozmawiał, przyczem pan Sobieski rad i przestróg nie szczędził. Między inszemi mówił; „Iżeśmy w niczem na wojnę nie gotowi, otóż i z kwarty pieniędzy nie mamy, więc z czegóż artyleryę sporządzim? Wszystkiego jeno 3.000 złożono a reszta na delacyę zdana, przecież delatą nic nie zrządzimy. Owoż tu stoi sam pan Generał artyleryi, temu najbardziej strach tego złego rządu, bo czemże zapłaci, choćby furmanom, by działa do obozu, lub amunicyę do fortec przewieźli? Niech sam najlepiej powie, co mu z tej kwarty oddano?“ Na co pan Kącki odpowiedział, potwierdzając jeno mowę marszałka, jako z kwarty rawskiej szeląga nie wziął, i nie wie od czego poczynać, boć znikąd gotowizny nie ma; darmo po kupcach biega kredytu prosząc, żaden na Rzpltą dać nie chce. To też król JM. w niczem go na potem winić nie może.

Po tych to mowach pożegnaliśmy Pana i rozeszli się każdy do swojej gospody. Ja w sam wieczór u pana Kąckiego w cekauzie zostałem. Generał, jako mający główną pieczę nad Kamieńcem, starał się jeszcze we mnie pewność wpoić, iż wedle mocy wszystko uczynił, dał mi polecenia różne i list przeze mnie do majora Zielonki napisał z ordynansem, by wszystko jak się należy sporządzono w cekauzie, a sumę należną od Starosty [1] odebrano w amunicyi i żywności, jako poprzednio umówionem było.

Nazajutrz nie mając już czego po sejmie czekać, wyruszyliśmy z panem Myśliszewskim w skok na Podole i spieszno nam było, więc cały tydzień jadąc nie zesiedliśmy jak jeno do stołu. W drodze zabiegł nam posłaniec od Podolskiej braci, na sejmiku w Kamieńcu zebranej, z pismem donoszącem o coraz groźniejszych zapowiedziach wojny, pytając czy z dobrą powracamy wieścią. Na co odpisałem, iż ordynanse sejmikowe szlę wprzódy i że braci o cierpli-

[1] Mikołaj Potocki (generał podolski, starosta kamieniecki, latyczowski i czerwonogrodzki syn hetmana Mikołaja.

wość suplikując, respons mój do ustnej rozmowy odkładam. Sami też nie bawiąc wyjechaliśmy do dnia, i w czas wyznaczony na sejmiku stanąwszy, z poselstwa naszego szeroką relacyę zdali. Pożal się Boże! Mało przywoziliśmy pociechy od miłej ojczyzny. Chciałem im tedy wykazać, jaką Hetman w tej dobie wielką nam życzliwość okazał a i ksiądz Krakowski ludzi wystawił i pieniędzy dał. Aleć nie wiele się tem bracia ucieszyli i wszyscy razem pozwieszali głowy, widząc iż ta opoka na której oni *sedem* założyli, nie zdoła zdzierżyć strasznego smoka potędze. Wszystkich zrażała oziębłość i niegotowość, a województw w polu nie widząc, nie dziw, iż wielu okazało się niechętnych do osiadania na owej fortecy. Darmo ci, których cnota i męstwo trzymały, drugim ochoty dodawali — każdy przeróżne racye wywodził, nieraz i słuszne, boć nie jeden żonkę i dzieci był w domu zostawił, lecz wielu jeno pozorne. Pierwsi Międzyborzanie ruszyli, za nimi opuścili nas inni; a my choć zostawieni sami, nie mogliśmy im bronić aby w takowej opresyi o sobie nie myśleli. Byli drudzy bracia [1], którzy nie złączyli się z nami, lecz broniąc się, w zamkach swoich zawsze siedzieli. Tak to każdy w tej dobie wolności zażywał, a tej początkiem była polska *aequalitas*, która wielką moc wówczas narobiła złego.

II.

My zatem zostali w naszem kamiennem gnieździe, obronnem więcej siłą natury niż kunsztem ludzkiej ręki. Osobliwe to bowiem miejsce i jakoby od założenia świata na fortecę stworzone. Rzeka Smotrycz, od Gródka prosto na południe idąca, płynie tu między dwoma ścianami skał dzikich, tworząc zakręt tak ostry, iż miasto i twierdza w pośrodku wzniesione, jeno od zachodu wąskim pasem ziemi z resztą kraju się łączą. W krąg między skałami pobudowane są baszty i rondele forteczne, pono czasy książąt Koryatowiczów pamiętające. Zamek obszerny z dwóch głównych zabudowań złożony, podobnie murem i basztami okolon, które go od miasta dzielą. Aleć już wonczas w tych murach niesporo siły stało, i większą obronę

[1] Prawdopodobnie alluzya do panów Potockich, którzy z żonami i dziećmi na zamkach swoich pozostali. Ob. Mon.: Hist. Fr. Kluczyckiego, list Wdy. ruskiego.

stanowiły skały, które od strony miasta tak wysoko się wznoszą, iż ledwie dachy domów z po za siebie upatrywać dają. Niejeden to raz od owych głazów Tatarowie i Wołosi sromotnie odejść musieli — a nam niestety oglądać przyszło miejsca tego upadek.

Otóż zaledwie się sejmik zakończył i piechota od księdza Krakowskiego eskortowana przez dwie chorągwie [1] z pod Kamieńca do twierdzy nadeszła, gdy do Kamieńca zabiegły wieści, jako Lipkowie z Wołochami od wsi Hryńczuka wpadli torhakiem [2] w Podole, łupiąc bydło i ludzi krępując, ale wsi dla niepoznaki nie paląc. Rotmistrz Myśliszewski, który był na parę dni do swej wioski zabiegł, spał jeszcze z rana, gdy go nagle hałasem zbudzono: iż we wsi Tatarzy chłopów biorą. Porwał za strzelbę i krzyknąwszy na drugich, nie ubierając się nawet z domu wyskoczył; jednego zaś chłopaka ze swoich na koniu do Kamieńca wysłał, aby dał znać co się święci. Młodzian ów ochotny z rozkazem szybko się sprawił i wnet wieść niecnotliwa całe miasto obiegła, wielu kupami gromadząc. Pierwsi nasi krzyknęli do broni i nuż na pachołków wołać o konie, by wioskom na pomoc pospieszyć. W skok rozpierzchli się po domach i już po chwili przybrani i gotowi konno pod zamkiem stanęli.

Nad wszystkich jednak stroskany wieścią był zacny a mnie sercem miły pułkownik chorągwi Wołoskiej, JM. pan Jerzy Wołodyjowski, stolnik przemyski. Ten miał w Kamieńcu rodzinę swoją, matkę, stryja i siostrę rodzoną, i był od nich jak i od wszystkich wielce miłowany. Boć też zawsze usłużny i ludzki do żadnej nie lenił się fatygi, wszędy tam gdzie był trud i niebezpieczeństwo pierwszy stawając. Teraz tedy chyżo ludzi swoich zwoławszy, kazał nieprzyjaciela podjechać, wywiedzieć się czy to Wołosza czy Tatarzy plondrują, i jednego z nich dla powzięcia języka pochwycić. „Jedźcie naprzód, mówił, a ja za wami prosto na Hryńczuk podążę". W tem przystąpił doń z ferworem młody Józef Wasilkowski, Cześnik Podolski: „Mości pułkowniku, rzekł, pozwól niech i ja z Wołoszą twoją pobiegnę, niech tego wroga choć oglądam; patrz, aż mi serce od chciwości skacze — pozwól niech jadę". Widząc gorącość tego kawalera, pułkownik odrzekł z uśmiechem: „Dobrze, jedź bracie, masz tu moich ludzi, jedź i zażywaj ich jakoby swoich.

[1] Chorągwie strażnika polnego Zbrożka i Obożnego polnego Karczowskiego.
[2] Torhak zda się „drużyna".

Zaczem p. Wasilkowski szybko na koń wskoczył za nim, nie chcąc samego zostawiać w potrzebie, pobiegł brat jego młodszy Franciszek i wojewodzic Rawski, Grudziński. W ślad też pognały i owe chorągwie, które z Podkamienia eskortą przybyły, i wszyscy pędzili żywo jak na uciechę przez wsie i zboża i orane łany. Goniąc tak, ci co szli przodem dobiegli Dniestru wyżej Hryńczuka, i tam trafili na przeprawiających się z ciężkim łupem Tatarów. Napadłszy ich, siła bydła odbili i jeńca jednego, wedle przykazu schwytali. P. Wołodyjowski tymczasem zwrócił się do innych chorągwi, które tu, mimo iż miały swych wodzów, na czas pod jego komendą stały. Była tam primo: chorągiew JM. p. Hieronima Lanckorońskiego: secundo: chorągiew hr. na Pińczowie Jana Myszkowskiego, w której namiestnictwo sprawował JM. p. Komarnicki; tertio: najliczniejsza a dwom poprzednim w cnocie nieustępująca chorągiew JM. p. Romanowskiego Chorążego chełmskiego, człeka przystojnego wielce mową, ludzkością i męztwem. Tej namiestnikiem był JM. p. Marcin Dobrzański. Z tych więc p. Wołodyjowski po dziesięciu tęgich ludzi z każdej chorągwi odebrawszy, kazał im jechać w tropy tych, którzy pierwsi bez wielkiego szyku ruszyli, by im w razie zetknięcia z silniejszym nieprzyjacielem sukursu udzielić. Sam zaś rządnie horągwie sprawiwszy i szlachtę na ochotnika idącą stawiwszy na przedzie, marsz kłusem komenderował. Szliśmy tak czas jakiś, aż w chwili gdyśmy z lasu wyjeżdżali w pole, dali nam znać ci trzydziestu co byli przodem, jako daremnie jedziem, gdyż nieprzyjaciel już pochłonięty, a oni sami jedno na koniec walki trafiwszy, resztę w Dniestrze topić pomogli.

Zaczem Wołodyjowski zatrzymał wnet jazdę i kazał by nieco koniom wytchnąć dali, prowadząc je w ręku. Co też czyniąc zebraliśmy się w kilku, pan Lanckoroński, pan Chorąży Humiecki, pułkownik i ja Makowiecki, i tak lekko rozmawiając szliśmy razem ku Hryńczukowi. Dochodząc do wsi dowiedzieliśmy się, iż ci co najpierwsi z Wasilkowskim wyszli, już tam byli zdążyli. Pospieszyliśmy ku nim, i krótko we wsi bawiąc siedliśmy na koń, zgromadziwszy wprzód chłopów, których Wołodyjowski ordynował i razem z wojskiem do Kamieńca odesłał. Sam zaś ze szlachtą zboczywszy trochę, jechał do Żwańca, dokąd go Podkomorzy podolski, który tu gospodarzył, wielce zapraszał.

Przyjechaliśmy bez szwanku na zamek Żwaniecki; tu kazano stawić onego schwytanego Wołoszyna, przyczem Wołodyjowski odezwał się do mnie, iżbym tego jeńca do sklepu wziął i tam jak się należy wypalał, a co wyzna, spisał rządnie, byśmy potem do Króla JMci i WHetmana przesłali. Usiłowałem się od onej funkcyi wyprosić, wielkie udając zmordowanie; lecz gdy i pan Humiecki instygować mnie począł, a pan Lanckoroński wszystko na osobności zgotować i tłumacza przywieść rozkazał, przeto nie ociągając się dłużej, poszedłem. Jeniec odpowiedzi swoich nie zwlekał. Na zapytanie moje z czyjego rozkazu śmieli wpaść do Polski, odrzekł, jako na tę stronę przeszli z rozkazania Perkułabskiego, a rzeczywiście z woli Hospodara, który doń o północy ordynans posłał, aby rotmistrz Styngacz wraz z ludźmi za Dniestr wyruszył i Lipków przydanych do pomocy wziął. Dalej pytałem gdzie cesarz, izali są wojska jakowe w pobliżu? Na co dostałem odpowiedź, iż wojsk na Wołoszczyźnie jest 70.000 a jeszcze większa ich moc za Jassami; że sam cesarz stoi w Obłuzycy; ale mówią że się waha z obawy przed polskiemi wojskami. Tu w pobliżu jeniec o żadnej armii nie wiedział, krom Lipków i tych co ze Styngaczem byli. Jam na to całe wyznanie bystro uważał i spisawszy porządnie wróciłem do braci, którzy je odczytawszy, z gniewem wołać poczęli, jako tym frantom Wołoskim sowicie ich sprawkę odpłacić należy. Uradziliśmy aby wprzód list z żądaniem eksplikacyi do Perkułaba [1] posłać a sami się tymczasem do uderzenia na Wołochów sposobić. Zgotowałem on list, z którym podkomorzy zaraz na Wołoszę wyprawił. Wołodyjowski zaś wysłał po łodzie, by do przeprawy pod ręką były i we wsiach nadbrzeżnych kazał się mieć na gotowości, rozumiejąc, iż dzisiejsze popłochy rządnie pomścimy. Wracając do Kamieńca zastaliśmy tam już starostę pana Mikołaja Potockiego, który był w czasie niebytności naszej przybył, a teraz jako generał podolski komendę obejmował. Wprost więc zesiadłszy z koni poszliśmy do niego prosić o udzielenie nam piechoty na ową wycieczkę, ale starosta od razu okazał się nie skory, a po naradzie z biskupem [2] stanowczo odmówił. Co gorsza, nam samym iść nie

[1] Perkułab, urzędnik wołoski, mniej więcej równy staroście.

[2] Wespazyan Lanckoroński, Biskup Kamieniecki, proboszcz i opat Międzyborecki.

dozwolił, choć był świadom naszej chciwości, przekładając, iż byłby to krok nieostrożny i że, Boże uchowaj błędu, on sam za to przed hetmańskim sądem odpowie.

Rozeszliśmy się po domach markotni, wielce się na generała żaląc, że nas takiej ochoty przez upór pozbawił. Lecz już nazajutrz nadeszłe wieści sprawiły, iżeśmy miasto staroście przyganiać, dzięki Opatrzności za jego zakaz składali. Przybył bowiem do Kamieńca Wołoszyn Janij, sekretarz Habareskula, starszego Perkułaba chocimskiego ostrzegając, jako się mamy mieć na baczności i spiesznie do króla o posiłki słać, gdyż Cesarz turecki już na niedzielę w Chocimie spodziewan, i wnet z wielkiem wojskiem do Podola wkroczy. Perkułab obawiając się by sam nie przyszedł ku złemu, nie śmiał był tego w liście przesyłać i wolał sekretarzowi powierzyć. Starosta kazał Wołodyjowskiemu posłać z tą wieścią do Husiatyna, skąd Prusinowski chorąży, stojący tam z husaryą, miał ją dalej do rąk hetmana dostawić. Chorągwie owe co piechotę eskortowały spiesznie nazad do Podkamienia wyprawiono; my zaś wszyscy poszli na ratusz, aby tam radzić nad przyszłą twierdzy obroną.

Na ratuszu czekał nas już pan Potocki, który jeśli słusznie trzymam, byłby się wolał naonczas gdzieindziej niż w Kamieńcu znajdować, ale go ku temu, jako generała Podolskiego niewoliła powinność a bardziej jeszcze cnota jaką wrodzoną w sobie od rodziców nosił. Nie zważał on na niebezpieczeństwo życia, ni fortuny, lubo prawdę mówiąc, z tego starostwa Kamienieckiego małe miał intraty. Z rozporządzeniem wojska nie poszło mu sporo, trzeba bowiem było każdy punkt godnie obsadzić, a na to szczupła jeno garść ludzi w prezydyi była. I tak na oba zamki stanęło tylko 1060 żołnierza, z tych 200 węgierskiej piechoty rozdzielonej między Wojciecha Humieckiego, Myśliszewskiego i Wołodyjowskiego, 500 ludzi biskupa Krakowskiego pod majorem Kwasiborskim, 50 od pana Łączyńskiego pod Władysławem Wąsowiczem, 150 piechoty referendarza koronnego Krasińskiego pod kapitanem Janem Bukarem, na końcu 24 dragonów Wołodyjowskiego, którzy na ganku zamkowym za kuchnią kwaterę mieli i 40 Serdiuków, których w ostatniej chwili zacny ich pułkownik Samuel Motowidło do twierdzy sprowadzić zdołał. Tych 1060 ludzi rozlokowano w zamku w sposób takowy, iż czoło prawej strony objął Myśliszewski, ten sam co od

Hetmana w zwiady na Wołoszę jeździł; czoło od lewej strony trzymał Wojciech Humiecki chorąży Podolski, człek prawy, grzeczny, znany z ludzkości i z dzielności wielkiej, której osobliwe dowody złożył pod Cudnowem. Lewy zaś bok od Chocimia zajął pan Wołodyjowski stolnik Przemyski. Ten jak wspominałem, pułk swój przy Kamieńcu miał, teraz jednak, wedle potrzeby z piechotą chadzał. Wiele się w swoim czasie o tym oficerze mówiło i słyszało, sławny był bowiem z nieustraszonego męstwa, tak iż się zdało, jakoby mu żaden trud lub niebezpieczeństwo szkodzić nie mogły, jeno za każdem w coraz to większą chwałę wyrastał. Razem z Humieckim pod wodzą dzielnego kasztelana Podlaskiego walcząc, wielce się do zdobycia Ozurzyńskiego zamku przyczynił. Przez nich to w Penekoryńcach Drozd jest rozproszon, którego wpierw rok cały w Bracławiu oblegać musiano; przez nich srogi łupiezca Korpan ubity, w polu dzikim zwierzom na pastwę rzucony. Często też Wołodyjowski z swoimi ludźmi i z własnej ochoty za opryszkami chadzał i całe nieraz kozackie watahy rozpędzał. Również i Tatarów z Szereńskiej ordy gromił, a wyborowych z pomiędzy tychże junaków pojmawszy, z rąk swoich Hetmanowi oddawał. Przy nim nieodstępny w boju towarzysz stał od lat wielu podwładny mu rotmistrz Kałuszowski; był to człek w wieku podeszły, lecz czerstwy jeszcze i zawsze gotów na walkę i trudy. Mnie z Wołodyjowskim i z Wojciechem Humieckim długoletnia przyjaźń łączyła, poprzysiągłszy sobie jedni przy drugich wiernie stawać w złej czy dobrej doli i ścierpieć choćby śmierć lub niewolę; byliśmy sobie jako bracia rodzeni, i bodaj wszyscy rodzeni bracia tak się gorącą miłością kochali.

Mówiłem tedy iż Wołodyjowski lewy bok zamku od Chocima zajmował; niżej piechoty jego umieszczono Serdiuków od Zińkowic na prawym boku stanął Kwasiborski, w rogu od południa Wąsowicz, a na boku od dworca kapitan Bukar z ludźmi pana Krasińskiego. Taki to był porządek na zamku. W mieście zaś rozstawiono szlachtę i mieszczan ku obronie wałów. Mnie pierwszą straż koło bramy Ruskiej powierzono, dając mi do niej ludzi 120, których tu mianuję: najprzód ja z moją sotnią, szlachty zbrojnej kilku, jako to: Wojciech Kosakowski, Bydyński, Sokołowski i Wojakowski, 18 ludzi z pod Skały, 30 mieszczan od wójta, 39 Ormian i 18 Żydów. Przydano mi i dwóch sotników z nielicznemi wcale sotniami,

byli nimi Jerzy Jarmoliński i Marcin Bilski, ten co to niegdyś rotmistrzem był i w niewolę wzięty a po wypuszczeniu na ochotnika dzielnie chadzał. Byli z nim ze szlachty Hodyjowski, Łastowiecki, Sabatyn Maciej, Lasocki i Baraniecki. Mając sobie tedy tę część zleconą, krzątałem się koło niej nieospale; opatrzyłem bramkę co była z armatą: miałem w niej jeden moździerz spiżowy i hakownic pięćdziesiąt, do których dwadzieścia od Ormian przybyło. Do tych było trzech puszkarzy i szafarzów dwóch, którzy o rekwizyta do strzelby dbali.

Drugą bramę, Łucką, oddano Stanisławowi Grodeckiemu, przy którym ze szlachty stanęli Stefan Żuk i Aleksander Matczyński, pisarz grodzki Kamieniecki. Łukasz Dziewanowski pisarz ziemski Podolski objął straż placową pod ratuszem, lecz u niego w sotni ludzi było skąpo, a czasem nie zostało jak kilkunastu, bo ich do innych robót, do dźwigania kul i armat zażywano, co im nie rzadko czynić przyszło bez kęsa chleba w tak ustawnym znoju. Od ruskiej bramy idąc dalej stał kwaterą nad samymi Cygany Jan Hocimirski, zaś Józef Wasilkowski miał dany on cypel ziemi wiodący aż po most zamkowy. Od mostu po dwór pana Sinickiego stał Kazimierz Humiecki brat Wojciecha i porucznik w jego chorągwi; dalej pan Tomasz Żuromski. Wielu każdy z nich miał ludzi — trudno wyliczyć; sotnie były nierówne; ten miał 20, ten 30, krom tych co przy bramach stali, dwóch tylko Jackowski i Podczaski po 40 ludzi w komendzie mieli. Kwatery dalej opisując postępuję od biskupiego dworu: najprzód stał pan Staniszewski, potem Marcin Bogusz ponad lacką bramą; Samuel Jackowski i Jerzy Skarzyński przy baszcie Spiżowej tuż ku białobockiej dziurze. Straż mieli mordującą, bo tam po wszelki czas wielkie bywały hałasy. Jerzy Dubrawski i Pietraszewski mieli basztę Rzeźnika, Podczaskiemu zaś pieczę dołu zlecono co jest powyżej ormiańskiego młyna. Stąd miał ognia tureckich strzelców pilnować, którzy tam co dnia, wjeżdżając czy zjeżdżając z pola, w dziurę wzierali; mając więc tak częstych gości w niemałej ostrożności trzymać się musiał. Wielki szaniec miejski za Karmelitami oddany był Cypryanowi Tomaszewiczowi, wójtowi juryzdykcyi polskiej; miał on tam dział różnych 12, z których bił znakomicie. Drugi szańczyk z trzema działami w nowym klasztorze był pod komendą Jackowskiego; trzeci zaś niżej ormiańskiego ko-

ścioła dopiero pod koniec oblężenia usypano, gdy już Turcy z zamku naszych puszkarzy zegnali. Tam działa zamkowe pozwożono, z których różni strzelali puszkarze, ale najcelniej Żyd pewien. Tenci miał kwaterę na Starym zamku, zawsze gotów i rzeźki, strzelaniem swojem niemało Turków inkomodował. Zresztą działa były rozstawione wedle potrzeby i wedle większego od Turków nacierania. Sam stary wójt ormiański Malkiewicz miał swój szańczyk drewniany i siedm śmigownic pod Ruską bramą.

Mieliśmy jeszcze trzy chorągwie na zamku, ale z tych zaledwie 70 koni pozostało, przeto iż przed samem oblężeniem ćwierć ekspirowała, więc się też i żołnierze rozpierzchli. Drugich znów później z Marcinem Boguszem do Mohilowa wysłano, by stamtąd sukurs do Kamieńca przywiedli; ale nieszczęsna była to wycieczka albowiem powracającym Han z Doroszeńką drogę zaszli, tak iż im jeno zostało w górę umykać by się do wojska głównego przyłączyć.

Gdy już ludziom kwatery wyznaczono, zakrzątano się około fos i wałów. Gotowego było mało; we dnie i w nocy zatem robota piorunem iść musiała, a gdy wieści przyszły iż cesarz w Chocimie, to już i godziny jednej na spoczynek nie stało. Najgorzej było koło wielkiej tamy, którą w środku roboty woda nawalna zabrała; trzeba było napowrót ją sypać zwożąc kamienie i brodząc w błocie, do czego że nie miałem zwyczaju, wcale mi nie miło szła robota. O te tamy generał dbał mocno i sam przychodził doglądać lub pana Lanckorońskiego posyłał. Biskup zaś mając sobie oddane na reperacyę owe dwadzieścia tysięcy, krzątał się, najmował, zachęcał, płacił, i zrobiło się we dwie niedziele to, na co by w innych terminach i rok cały czekać przyszło.

Teraz trzeba wam wiedzieć kto rządy w Kamieńcu sprawował, to jest, kto później, chociaż niewinny za poddanie twierdzy odpowiadać musiał. Otóż p. Potocki generał podolski przybrał sobie do rządu Wołodyjowskiego, Humieckiego i Myśliszewskiego. Wojsko cudzoziemskiego autoramentu, nie mogąc przez zazdrość żadnego ze swoich obrać, podało na swego szefa majora Kwasiborskiego. Z pomiędzy szlachty zaś złożono radę, w której byli: Jan St. Gruszecki sędzia, Kazimierz Franciszek Rzewuski stolnik i Łukasz Dziewanowski pisarz ziemski podolski, ja Makowiecki stolnik i St. Grodecki wojski Latyczowski. Po nad tymi gubernatorem obrany

był Hieronim Lanckoroński podkomorzy podolski. Sam Biskup nie miał wyznaczonego urzędu, lecz on zawsze nad wszystkich i cnotą i powagą przodował, u niego też jako u senatora zwykle się rada zbierała.

Wojska tureckie pod ten czas co dnia się zbliżały. Cesarz w porcyunkulę 2 sierpnia do Chocima wszedłszy, Janczarów z Lipkami przed sobą wysłał pod Żwaniec, gdzie jeszcze na zamku siedział p. Lanckoroński, mając przy boku swoich Tatarów 40 i 80 Kijanów, prócz towarzyszów ze swojej chorągwi. Otóż gdy Lipkowie konni na miasto Żwaniec napadli, a podkomorzy przeciwko nim wyszedłszy mężnie się potykał, naraz owi jego Tatarowie, chorągwie swoje cisnąwszy, do nieprzyjaciół przystali. Wtedy już podkomorzy ostać się nie mogł, jął się cofać ku miastu, gwałtownie przez pohańców ścigany, jeno że Kijanie idąc tyłem odwrót osłaniali, odstrzeliwając się dzielnie. Dopadłszy murów, Lanckoroński wysłał w lot o pomoc do Kamieńca. Tu Wołodyjowski jął wraz żołnierzy sprawować, śląc naprzód swoją Wołoszę i to na własnych swoich koniach, gdy tamte były zbytnie poniszczone. Z Wołoszą też wydarł się w pole i on gorący kawaler Józef Wasilkowski.

Podkomorzy był na wałach gdy pomoc przybyła. Wnet zniósłszy się z naszymi, uderzyli wespół na nieprzyjaciela, aż go w samą wodę Dniestrową wpędzili. O kęs tam nie stracili Wasilkowskiego, gdy bowiem ten młodzian, ze zwykłą sobie gwałtownością naprzód się rzucał, upatrzył go sobie pewien Turek już w wodzie stojący, i wziąwszy na cel spokojnie z janczarki wypalił. Kula świsnęła tuż obok uszu Wasilkowskiego, lecz za Opatrznością Bożą nie przyszedł do szwanku. Wszyscy wtedy jęli wracać zwolna ku Żwańcu, nie dbając iż Tatarowie z łodzi jeszcze do nich strzelali, ani na ogień hakownic zamkowych, który gęsto w ich stronę padał. P. Wołodyjowski wiedział dobrze iż na tem nie koniec; rozmówiwszy się więc z podkomorzym, posłał po nowe posiłki, które mu generał natychmiast z własnym chorążym Rajeckim wyprawił, sam je część drogi odprowadzając. My zaś szlachta, nie mogąc tak na miejscu usiedzieć, wyjechaliśmy z twierdzy za Janczyńce i tam, że nas nie wielu było, stanęliśmy pod ukryciem lasu, na wieści ze Żwańca wyczekując, czy i nam na sukurs ruszyć nie wypadnie. Atoli po kilku godzinach Wołodyjowski poznał iż nic nie wskóra, gdyż

w miarę jak Janczarów odpędzano, coraz ich to większa moc przybywała, aż się w końcu roiło od gęstego ludu; część ich nawet poczynała namioty rozbijać, jakoby się już ku oblężeniu miało. Nakazał więc chorągwiom odwrót do Kamieńca, dokąd i sam naprzód podążył, uprzedzając p. Potockiego, aby nie mieszkając kazał powracającym bramy otworzyć. Jeszcze z generałem rozmawiał, gdy nadjechali ze Żwańca dając znać, iż podkomorzy byle mu piechoty przysłano, gotów dalej się trzymać, lubo obrona iście jest niepodobną. Piechoty zatem nie posłano; Lanckoroński przecież jeszcze nadziei nie stracił, aż mu pod wieczór oddano tajemny list z Chocima od Habazeskula pisany. Perkulab donosił iż cesarz w Chocimie jest i nazajutrz z potęgą swoją pod Żwańcem stanie. Na to podkomorzy nie czekając dłużej, postanowił ze swoimi Żwaniec opuścić; wprzód jednak działka jakie tam były kazał zwieźć i w studni zamkowej zatopić, poczem towarzyszów i żołnierzy wyprawiwszy nocą, sam z rana do Kamieńca zjechał. Tu go, jak napomknąłem, nowa czekała fatyga, gdyż go na razie do rady wciągnięto i gubernatorem obrano.

Nie było już czem się łudzić; nieprzyjaciel zająwszy Żwaniec, był jeno o dwie mile od Kamieńca. Roboty u wałów poczęto pchać gwałtownie, w mieście zapanowała trwoga. Słabsi sercem garnęli się około ludzi, których męstwo, wytrawność i znajomość wojenna puklerzem się im być zdała. Otoczono zewsząd Wołodyjowskiego; proszono by jeszcze wysłał na zwiady; może wieść z Chocima jest mylna, może jeszcze ta burza Kamieniec ominie! — Wołodyjowski zatem kazał wnet swoim na podjazd się gotować i w najkrótszym czasie dwóch języków przywiedli. A byli to wszystko ludzie sprawni, co pod jego chorągwią służyli, a w rygorze wojskowym wyćwiczeni, a za skinieniem wodza gotowi iść w piekło. Cokolwiek rozkazał, na przeszkody nie bacząc, dokonali z szybkością; to też nazajutrz, ledwie na niebie zaświtało, już się zameldowali z powrotem i dwóch pieszych Janczarów przed pułkownikiem stawili. Na miejscu onych wybadawszy obu do Polski wysłano, jednego hetmanowi, drugiego zaś do samego Pana, wyprawiając z nimi szlachcica Dąbrowskiego, by całą grozę losu naszego wyjawił i dla Kamieńca pomoc jakową uprosił.

Tymczasem ksiądz Biskup, dla przebłagania gniewu Bożego,

post i pokutę po całem mieście nakazał i wielkie, solenne nabożeństwo. Wnet z każdej wieży kościelnej ozwały się stroskane dzwony, księża w konfesyonałach zasiedli, spowiedzi słuchając. Męże, jacy w owej fortecy byli, postanowili związać się przysięgą i wszyscy w czas naznaczony zgromadzili się w murach katedry. Sędziwy pasterz przybrany w aparat biskupi, otoczon klerem, wyszedł przed ołtarz i wyjął Przenajświętszy Sakrament. W kościele było cicho; ksiądz Biskup ukląkł na oba kolana i z Bogiem w ręku, zwolna, uroczyście wymawiał słowa przysięgi, a za nim my wszyscy, starszyzna, szlachta, żołnierze, mieszczanie, powtarzaliśmy je głośno, ślubując wiernie przy naszym Bogu, przy naszym królu i przy twierdzy naszej do śmierci się trzymać. Gdyśmy skończyli, biskup schylonych głęboko Przenajświętszym Sakramentem przeżegnał. Po nabożeństwie każdy ukrzepion na duchu do swojej pracy powrócił. Sam biskup, pomimo wieku, zdrowia nie żałował; zawsze czynny i gotów, drugich kierował, pocieszał i wzmacniał, przy czem żadnego nabożeństwa nie opuszczając, co dnia w gorącej modlitwie długie chwile przed ołtarzem trawił.

Drobne wycieczki za miasto czyniąc, kilku jeszcze jeńców schwytano, by ich znów dla języka do Polski wyprawić, tamże bowiem (czemu późniejsze wieki trudno dadzą wiarę) nie zważano na tych dwóch pierwszych z Dąbrowskim wysłanych, twierdząc, że to nie prawi Turcy, jeno przebrani Ormianie, których nam na postrach jakowyś nasłano. Cesarz był u wrót naszych, a nas o pomoc wołających wyśmiewano, że to płonne trwogi. Prawdę mówiąc, nadrabiali niewiarę, niechcąc onej pomocy użyczyć. W Kamieńcu za to złemu wierzyli, ale pragnąc się o jego zbliżaniu przekonać, nowy podjazd z żołnierzy i szlachty pod wodzą Wołodyjowskiego wysłali. Ci jechali prosto na wieś Kniehynin; pod laskiem zatrzymawszy się trochę, z koni zsiedli i pilnie po okolicy rozglądali, sami nie ruszając się z miejsca. Wołodyjowski rozstawiał podsłuchów, wszystko, jako pułkownik, sprawując i ordynując. Zaledwie jednak sam z konia zesiadł, gdy naraz w pobliżu zatętniały kopyta: Na koń, krzyknął pułkownik, nieprzyjaciel podsłucha goni. W jednej chwili wszyscy do siodeł skoczyli, lecz miasto uciekać, uderzyli na napastnika. Po krótkiej walce naszych kilku wprawdzie było rannych, ale Turków z dziesięciu leżało pobitych i jeźdźców też

coś się wzięło, a między nimi starszego, Buluk-Baszę. Tego choć był na rączym koniu żywcem pojmano. Zaraz w polu jęli go pytać, gdzie cesarz stoi i co dalej zamyśla? Na co on z niemałem zdumieniem odpowiedział: „A wy jakoście tu przyszli? jakoż śmie„cie pod cesarskim bokiem ludzi jego chwytać? czyście tak hardzi, „czyście wzrok postradali iżeście nie widzieli tego wojska, co oto „jeno przed wami przeszło? My za niem idąc tu na was trafili. „Chcecie-li żyć i ujść tureckich ręku, nie czekając chwili wracajcie „do twierdzy".

Wrócili tedy, wiodąc ze sobą jeńca, ale szli ostrożnie gwoli rannych, z których Romanowski i Swirski srodze od kul janczarskich postrzeleni byli. Dotarli tak do Kamieńca i tu raport złożywszy, legli wszyscy dla wielkiego znużenia i usnęli głęboko. Lecz ten ich spoczynek niedługo trwał. Naraz bowiem zbudził ich huk straszny; podnoszą się, słuchają, aż tu grzmią działa i bębny kołaczą, a podjazd nieprzyjacielski tuż pod wałami się zwija i bydło z pola zabiera. Zerwał się pan Wołodyjowski i z garścią swoich wypadł za mury, a za nim kilkunastu szlachty wybiegło; reszta na swoich posterunkach u bram i szańców stanęła. Było to w piątek rano 12 *augusti*. Przez kilka godzin z murów grzmiał ogień działowy a u dołu pan Wołodyjowski uganiał się z chmarą pohańców, lecz cóż znaczyła ta gromadka dzielnych wobec niezliczonego mrowia wojsk bisurmańskich? Już w Żwańcu nieprzyjaciel się warował a całe pola od samej wsi Dłużka czerniały jego potęgą. Tego dnia wszakże napad odparto, Turcy jęli potrosze ustępować; aż w końcu całkiem z pod zamku zjechali.

Mieliśmy chwilę spokoju; w mieście rzucono się znowu do robót, żołnierze broń ciskali łopaty chwytając, gdyż naprawa tam ledwie była zaczęta i wodę gwałtem powstrzymać musiano. Staliśmy więc z całej mocy, pracując jako dzień był długi, nie jedząc prawie chyba aż w nocy; choć i wtedy na odpocznienie czasu nie było, a to dla prędkiego robienia zasłon, z za którychby można śmiele razić nieprzyjaciela.

Trwało tak trzy dni. 15 sierpnia w samo Wniebowzięcie Najświętszej Panny, koło południa nadjechał Wezyr [1] z liczniejszą kupą.

[1] Kypryli.

Zrazu sądziliśmy iż szturm przypuści, lecz zda się iż chciał tylko położenie dogodne na obóz i pod namioty cesarskie obmyślić. Byli z nim inżynierowie dla wybrania miejsca na szańce i przepatrzenia naszych murów i robót ziemnych. Naprzeciw Wezyrowi, choć kilkakroć silniejszemu, wyszedł z piechotą swoją i oddziałkiem ochotnika rotmistrz Myśliszewski, lecz tylko harce przez godzin parę wodził, bo ani Turkom nie zaszkodził wielce, ani ze swoich nie stracił, krom hajduka swego, który przy nim stojąc śmiertelnie w głowę oberwał; Turków zaś kilkunastu co byli postrzelani, Janczarowie chyżo między się pochwycili. Wezyr atoli, jakoby na próbę, rozkazał jednemu oddziałowi Janczarskiemu podejść pod mury, okrążając dolinę za folwarkami. Co uczyniwszy Janczarowie stanęli przed kwaterą Podczaskiego i naraz z wielkim wrzaskiem wszyscy dali ognia, ale że i z góry, choć tam jeno kilku na straży stało, gęste sypnęły się strzały, Turcy dalej nie pytając, ruszyli drogą żwaniecką i złączywszy się z Wezyrem do głównego wojska wrócili. Tego dnia jeden Czech, który u Janczar-Agi za lokaja służył, stronę turecką rzucając, do nas się przedarł.

Roboty już były ukończone, wały opatrzone, tama zastawiona i jakoś odwaga w serca wstępować poczęła, choć nam już przyszło tylko wyglądać nieprzyjaciela, Opatrzności Bożej wzywając. Jakoż 16 dnia onego miesiąca nadciągnął Han z ordą i Doroszeńko ze swemi Kozakami, i pola od Orynina zalegli. Zaraz też przybył do nas w poselstwie od Hana szlachcic Bielicki u Tatarów tłumaczem będący, z żądaniem aby z zamku na rozmowę do Sufankaz-Agi Myśliszewskiego przysłano. Nie nowiną mu było posłowanie; wraz tedy samotrzeć na oznaczone miejsce wyruszył, dokąd i Sufankaz-Aga naprzeciw niemu wyjechał z perswazyą, byśmy jeśli sił i ludzi podostatkiem nie mamy, obrony zamku zaniechać i z Turkiem o poddanie traktować chcieli, przyczem Hanj pośredniczyć jest gotów. Jaką na to z Kamieńca replikę dano, powiedzieć nie potrzebuję.

Dnia następnego Doroszeńko z Kozactwem, którego miał ze sobą do czterech tysięcy, posunął się nieco pod Dąbrowę zamkową. Zanim jednak rozłożyli tabor, pojechał wraz z Hanem pokłonić się cesarzowi. Lecz tam pono w zysku nie wiele odebrali. Z kozaków sam jeden Ataman przed cesarza był przypuszczony by polę szat

jego ucałował; przyczem zda się, jakieś dary otrzymał. Z tamtych nikt nie oglądał cesarskiego oblicza. Pod wieczór już wrócili do koczowiska, gdzie Doroszowi z 18 działek na wiwat wypalili, na co wszystko z twierdzy patrzano i po wystrzałach liczono armaty. Nazajutrz ze świtem Kozacy ruszyli się znowu, i już za górą wprost ku Ciołkowcom obóz rozbili. Tegoż dnia 18 *augusti*, cesarz pod Kamieniec nadjechał.

Od samego rana ciągnął tabor olbrzymi z ładownemi wozami, z mułami kroczącemi zwolna pod bogatem brzemieniem; ciągnęły wojska bez końca i bez liku, w barwnych strojach i dziwnych uzbrojeniach różnego rodzaju i kształtu. Tak od świtu do nocy bez przestanku prawie do obozu wchodzili, rozstawiali wojska i rozbijali namioty. A była tych namiotów moc taka, iż się niemi pola na okół pokryły i jak od śniegu zbielały; ani ich było okiem przejrzeć, ani myślą ogarnąć. Niektóre stały bogate a strojne, od jedwabiów i złota świecące, i nie można było na nie bez podziwu spoglądać, choć się wiedziało jak srogie troski od nich wynijść miały.

Przez cały ten czas silny oddział Janczarów, rozłożenie obozu zasłaniając, nie przestawał ku murom strzelać, skąd i my, tak z armat, jako i z ręcznej broni, tęgim ogniem odpowiadali. Przez następny dzień również ogień nie ustał; za szańcami ukryci strzelce nasi dobrze mierzyli, Janczarów zganiając i nie dając im w pobliżu fortecy namiotów rozbijać. Co który ustawiać poczęli, zaraz w to miejsce kule takim gradem spadały, iż go z pośpiechem napowrót zwinąć musiano. W czem im strzelaniem swoim z szańca miejskiego Lacki wójt Cypryan najwięcej nabroił. Lecz już i Turcy ze swojej strony przeciw nam szańce sypali i kopali aprosze, jedne od pola, drugie zaś górą od strony Żwańca. 20 sierpnia tabor był już rozłożony, tegoż dnia poseł turecki pod same wały podjechał i pismo cesarskie, wysoko na dzidę zatknąwszy, ukazał je, wołając by zaprzestano ognia. Z zamku spiesznie po owe pisanie wysłali, poczem jechali na ratusz, by je przed wszystkimi przeczytać. Cesarz pisał do poddania wzywając, możność i potęgę swoją pod obłoki wynosił, a liczbę wojsk swoich do piasku w morzu, liści na drzewach i gwiazd na niebie przyrównywał. — „Taka moc wojska mego, dodawał, ale „iżem jest pan wielce łaskawy i wnuk prawdziwego Boga; przeto „od Boga sprawy moje poczynam. Wiedzcie, iż człowieka hardego

„nienawidzę, wy tedy, nie sprzeciwiając się woli mojej, twierdzę „poddajcie. Chcecie-li ze mną uporem iść, wszyscy pod mieczem „moim zginiecie, a przeciw mnie żaden głos ludzki wznieść się nie „ośmieli".

Po przeczytaniu tych gróźb długo certowano, chcąc spokojną replikę zgotować. W końcu dano odpowiedź, iż: „my cesarza nie „gniewamy, ani przeciwności nie czynimy; ale też nie poddamy „Kamieńca, bośmy na Boga żywego przysięgli kościołów i twierdzy „do śmierci bronić". Prócz tego pisma przecież wysłano z instrukcyą starego Jurycę; ten język turecki znając, mógł się bez tłumacza rozmówić. Często go używano, bo był człek sprawny, bywały i zawsze wykręcić się umiał; lecz żem mu jakoś nie ufał, przetom go też nigdy ścierpieć nie mógł.

Była już noc, gdy im w ratuszu przyszło do tego pisania; ani mnie zatem ani Grodeckiego, którzyśmy musieli na kwatery wrócić, naonczas z nimi nie było. Posłyszawszy z rana, jako z listem w poselstwie wyszedł Juryca, zaturbowałem się nie pomału i szedłem wprost do generała, który właśnie z innemi do stołu siadał. Skoro mię obaczył zaraz jął prosić bym z nimi jadł, ale mnie markotno było, zwłaszcza że tam i Jurycę już z powrotem będącego widziałem, więc nie siadając nawet odezwałem się: „Czemuż bez pytania nas, którzy przecie do rady należym w taki sposób działacie, byłaż-li potrzeba wysyłania posła przy owym liście?" Na co generał odpowiedział: „Nie sam ja ze swojej woli posyłał, ale że mię o to prosili i mniemałem, że było za ogólnym konsensem". Nie pytając dalej wyszedłem spiesząc znów do biskupa gdzie liczną gromadę szlachty zastałem. Jąłem w głos te same wyrzuty czynić, jako nie pytając, traktowanie rozpoczęli: „Tożeście już zbyli przysięgi waszej, wołałem, mocyście się bisurmańskiej ulękli i poddajecie twierdzę, aniście jej bronić poczęli a już wam ręce opadły". Na te słowa moje z wielkim wymówione żalem ksiądz Biskup odpowiedział łagodnie: „Mylisz się, zacny stolniku. Słaliśmy do cesarza, to prawda, ale nie z poddaniem, na co bym ja pierwszy nie zezwolił i tu na miejscu skonać wolał a raczej na śmierć waszą niż na niewolę poglądał. Słaliśmy o *armisticium* prosić na cztery niedziele, iżbyśmy jeszcze do króla JMci wyprawić i z Polski pomoc otrzymać mogli". — „Daremne sprawy, odrzekłem, alboż

tak łatwo *armisticium* stawa, i to z hardym bisurmanem, który się panem całego świata być mieni? Takiego o łaski prosząc jeno się wstydu najemy. Spamiętacie słowa moje ale już po niewczasie".

Podczas gdym mówił coraz to więcej ludzi wchodziło i cały ten tłum z niepokojem do biskupa się cisnął, głośno na starszyznę narzekając, iż układy bez pytania ich rozpoczęto. Biskup napróżno ukoić nas usiłował; nieutuleni jego słowy ruszyliśmy gromadnie do zamku. Tu już ze szczytu powiewała biała chorągiew, na szańcach było cicho gdyż od rana strzelba z obu stron zamilkła, lecz nam, których uszy od kilku dni do ciągłego hałasu przywykły milczenie to ciszą grobową się zdało. Po bokach drogi stały przerażone kupy ludności, a z nich wychodziło głuche szemranie, z pośród którego wyrazy „poddanie, zdrada" coraz się głośniej odzywały. Turcy ośmieleni iż do nich nie strzelano, zbliżali się ciekawie i już z po za skał widać było mnogie głowy w zawojach i śpiczastych czepcach żelaznych rozzierające się w koło. My wśród tego postępowali dalej ku zamku i przechodzili właśnie wprost namiotów cesarskich, gdy naraz cały tłum ludu poruszył się i wszyscy wykrzykując, rękami machać i w jednę stronę pokazywać zaczęli. Spojrzałem i ja; wprost po nad namiotem cesarza unosił się olbrzymi słup ciemny, po samo niebo sięgający i czerniał przed oczyma w powietrzu jasnem, gorącem, w południowych promieniach słońca. Ludzie twierdzili potem, iż ten słup przemieniał się, to jak wąż kręcił, to znów się stawał na podobieństwo miotły straszliwej lub miecza. Jam go widział jeno prostym, cieńkim u dołu a rozszerzającym się w miarę jak wyżej dosięgał, przeto iżem w mury wjeżdżając nie mógł na to niebieskie zjawisko spoglądać; w sercu jednak uniosłem troskę iż było większych nieszczęść zwiastunem. Jechałem dalej rozważając i z trzema wójtami miasta certując by jeno do poddania nie dopuścić. Przy moście zamkowym nawinął mi się Zacharyasz Azlanczak sotnik nad tymi Ormiany, co u mnie w bramie byli. Nakazałem mu iść wraz i czuwać by moi wszyscy w gotowości stali, na nic, krom rozkazu nie dbając, a przestrzedz, iż ktoby się ruszyć śmiał, temu własną ręką kulę we łbie osadzę. Po tak surowym ordynansie wstąpiłem z innymi do starosty na zamek.

Pan Potocki do szlachty wyszedł i po troszę ich uspokoiwszy oświadczył, iż podle zamku kilku Turków na koniach stoi, czekając,

by przeciw nim do traktowania wysłano, że zatem jeden z nas w poselstwie wyjść musi. Szlachta jęła po sobie oczyma rzucać aż na Myśliszewskiego i na mnie padł wybór, abyśmy szli. Wymawiałem się od tego prosząc: „Niechże ja nie będę początkiem do złego, by i na mnie suspicya zdrady nie padła“, ale że Turcy znów z naleganiem posłali, a ksiądz Biskup do przyjęcia funkcyi napominał, przeto wziąwszy od braci instrukcyę, wyszliśmy na on traktat: Myśliszewski, Kazimierz Humiecki i ja. Turcy za zamkiem na rogu czekali. Powitawszy się, zaczęliśmy przez tłumacza traktować, ale oni o armisticium ani wspominali, żądając tylko by im komendant klucze przed wieczorem wydał, Janczarów na zamek wpuszczając, za co nam cesarz ośm niedziel w mieście zostać i wyjść bez molestacyi pozwoli. Miałem wnet odpowiedź gotową: „Nie bylibyśmy ku wam przyszli, wiedząc co przynosicie. W instrukcyi naszej o wydaniu twierdzy słowa nie masz, ale wiedzcie że się nie poddamy i do końca bronić będziemy“. Na co Turcy jęli znów powtarzać swoje, ażeśmy im oświadczyli, iż musim po nowe instrukcye wrócić a oni niech tu na nas z Jurycą czekają.

W zamku skoro nas zoczyli zaraz ze stołków powstali z zapytaniem spiesząc, jakośmy tych posłów odprawili. My im opowiedzieli deklaracyę turecką: „Nie przyjmiecie jej, przezacni bracia, ci psi chcą, byśmy do wieczora klucze miasta oddali“ Na co wszyscy jednym głosem krzyknęli: „Nie damy się, nie utyje nami ten pies pogański! z konfuzyą go odgonim! nie chcemy!“. Komendantowi spieszno było posłów się pozbyć, ale żem się powtórnie iść wzbraniał, Myśliszewski wziął Jackowskiego i Dubrawskiego, i nie mieszkając, Turków z niczem odprawił. Na odjezdnem jeszcze się odgrażali, co gdy mi powiedziano, rozsierdziło mię wielce. „Maszli gotowego konia, rzekłem do Lanckorońskiego, pozwól na chwilę, niech tym psubratom okażę, jako się poddajem“. On wnet przykazał, by mi masztalerz konia podał, a ja wsiadłszy w skok mimo szańców biegłem, wołając: „Strzelajcie, niech widzą, żeśmy nie schylni do zgody“.

Byłem właśnie wonczas dopatrzył kupy Turków, którzy straży odbieżawszy, szli pod wałami ku Ruskiemu folwarkowi. Dopadłem mojej bramy w chwili gdy oni Turcy nie spodziewając się złego, blisko na strzał przechodzili i kazałem swoim dać ognia. Ci na

mój głos wnet z ponad wysokiej baszty ową kupę razić poczęli. Pan Podczaski z kolei dał ognia, za nim huknęły działa Tomaszowicza, aż Turcy w konfuzyi nie małej poczęli w różne strony uciekać, lecz że kule zewsząd na nich leciały, nie wiedzieli kędy się podziać i jako trzcina skoszona padali. Wnet cała twierdza otoczyła się pasem ognia i dymu, ze wszystkich baszt i szańców grały muszkiety, hakownice i działa. Chłopi co stali patrzący za każdym trafniejszym strzałem krzyczeli z radości, co dodawało serca puszkarzom. Takowe grzmoty do zmierzchu trwały, a że powietrze było czyste i niebo pogodne, więc i każdy cel widoczny. Pola aż po namioty cesarskie trupem zaległy.

Skoro mrok zapadać zaczął, postanowiono wycieczkę uczynić póki bisurmanie ze zdumienia nie wyjdą. Żołnierzy na to nie godziło się brać, bo ich nie wielu było, a na przypadek szturmu ogałacać kwater nie należało. Trzeba się tedy było czeladzią kontentować, sposobów wojennych nieświadomą, która z ochotą idąc, krzyku z daleka narobiła. Przypadli oni chłopi w aprosze, i nuż motyki i kilofy Turkom zabierać, gdy zwabieni krzykiem Janczarowie nadbiegli. Przewadzki, czeladnik pana Humieckiego, już był chorągiew Janczarską pochwycił, ale mu ją Turek nazad z ręki wyrwał; zaczem nic nie sprawiwszy do twierdzy wrócili.

Ta wycieczka ku dobremu Turkom posłużyła, bo jakoś oprzytomnieli i odtąd większą ostrożność chowali. Aprosze na nowo poczęli lepić, co mimo strzelb naszych przez dni następne czynili; a gdy którego z nich kula ubiła, wnet go tąż ziemią w której pracował pokryli — i dalej pchali robotę. (Dok. nast.)

T. W.

REFORMA KONSERWATORSTWA ZABYTKÓW SZTUKI.

(Dokończenie).

Najwcześniejszy przykład pod tym względem dało królestwo duńskie, przez utworzenie w r. 1807 król. komisyi dla zachowania starożytności. W r. 1847 dodano tej komisyi płatnego przez rząd inspektora, przechrzczonego później na dyrektora ochrony pomników starożytności, z rocznym budżetem na zakupna, restauracye i kopiowania starożytności, na podróże i badania. W dwa lata później rozwiązano tę komisyę, a w miejsce jej pozostali tylko: dyrektor założonego dawniej zbioru starożytności i dyrektor ochrony pomników, które to dwa urzędy nawet od pewnego czasu połączono w jednej osobie. Dość znaczna dotacya roczna umożebnia wysyłanie po kraju komisyj badawczych, złożonych zawsze ze znawcy i rysownika, które znajdując przychylność i poparcie ludności, zajmują się nader skutecznie opieką nad stanem i utrzymaniem zabytków, zakupnami dla muzeów, sporządzaniem map archeologicznych i zdejmowaniem rysunków z pomników.

Drugiem z rzędu byłoby tu młode królestwo greckie, które początki swego istnienia zaznaczyło ustawą o konserwatorstwie i o zbiorach, wydaną r. 1834. Oparta na znakomitych zasadach, zawiera ona projekt komisyi centralnej państwowej na wzór dzisiejszej austryackiej, tylko że z daleko dokładniejszą i systematyczniejszą organizacyą całej hierarchii komisyj okręgowych, powiatowych i miejscowych, oraz odpowiednich urzędników, konserwatorów, i subtelnem

ustosunkowaniem władz, kompetencyj, odpowiedzialności i kontroli. Cóż, kiedy to znakomite wypracowanie kilku niemieckich mędrców, na papierze tak świetnie się przedstawiające, zostało tylko na papierze. Nie mogą prawa być bardziej drobiazgowe i stanowcze: wszystkie starożytności w kraju są własnością narodową, właściciele ich są uważani w oczach prawa jako posiadacze mienia narodowego, bez pozwolenia rządu nie mają mocy niemi rozporządzać, w drugie ręce ich oddawać, za granicę wywozić. A w rzeczywistości jak jest? Przez 40 lat nie zamianowano, wedle przepisów ustawy, ani okręgowych, ani powiatowych, ani miejscowych konserwatorów, tylko burmistrzom polecając opiekę nad zabytkami; ci jednak zadania tego albo nie spełniali wcale, albo niedostatecznie. Po r. 1874 zaczęto ustanawiać konserwatorów w kilku pojedyńczych, szczególnie ważnych okolicach i miejscowościach: w Beocyi dla tanagrejskich wykopalisk, w Peloponezie dla ruin olimpijskich, mimo to starożytności ulegają jawnemu marnowaniu, sprzedawaniu, wywożeniu, tułają się po różnych kątach najniewłaściwszych, nikt ich nie osłania, nie porządkuje, nie kataloguje; projektowane muzea pozostały mrzonką, a jeżeli je gdzie w życie wprowadzono, nieraz bez dozoru zmniejszają się zamiast wzrastać. Tak było przed 10 laty, kiedy br. Helfert pisał wspomnianą już wyżej rozprawę. „Staatliche Fürsorge“, z której te i następne jeszcze dane czerpiemy. Czy się odtąd stan rzeczy nie polepszył, nie mamy możności zbadać na razie, to tylko powszechnie wiadomo, że jeżeli kto około zabytków greckich kładzie zasługi, to zagraniczne misye i przedsiębiorstwa naukowe. Ustawa zbyt drobiazgowa ich legalne działanie wielce utrudnia, a u krajowców, ten wprost przeciwny celowi wywiera skutek, że z obawy szykan i nudziarstw, wiele znalezionych starożytności zakopują lub zamurowują w największej tajemnicy.

W Belgii od r. 1835 istnieje *Commission royale des monuments*, której początkowem przeznaczeniem było stanowić rodzaj rady przybocznej ministra spraw wewnętrznych dla oceniania zamierzonych restauracyj zabytków, oraz planów nowych kościołów. Od r. 1860 uzupełniono tę instytucyę dodając jej zastęp pomocniczy rozsianych licznie po kraju korespondentów, którzy stanowią samodzielne grona prowincyonalne, obradujące w stałych terminach pod przewodnictwem namiestnika odnośnej prowincyi.

Kolejno wszystkie prawie państwa europejskie powprowadzały mniej lub więcej odpowiedne organa opieki państwowej nad zabytkami. Bawarya w tym samym roku co Belgia, Francya w r. 1837, Prusy 1843, Hiszpania 1844, Austrya na papierze 1850 r., w rzeczywistości o cztery lata później, Rosya 1859, Holandya 1860, wreszcie, żeby już nie mówić o Szwecyi, Norwegii, Badenii, Wirtembergii, — Włochy w r. 1872, a właściwie w praktyce nawet później o lat parę. Za długo byłoby rozbierać każdą z tych różnych organizacyj; zatrzymamy się więc tylko nad temi, które są bardziej od innych pouczające.

Ustawa hiszpańska wprowadziła w życie *Comision central de Monumentos* podzieloną na 3 oddziały: a) dla bibliotek i archiwów, b) dla dzieł malarstwa i rzeźby, c) dla architektury i archeologii, siedziba jej w stolicy. Każda prowincya otrzymała swoją osobną *Comision de Monumentos* złożoną z zamieszkałych na miejscu korespondentów obu król. akademij: historycznej i artystycznej. Przewodniczącym komisyj prowincyonalnych jest zawsze gubernator, udział czynny biorą w nich miejscowy *Inspector de antiguedades*, architekt prowincyonalny i naczelnik sekcyi rolniczej. Kompetencya ich obejmuje sprawy zachowania i restauracyi zabytków, sprawy muzeów, kierownictwo wykopalisk, poszukiwanie starych rękopismów, badanie archiwów. Komisya prowincyonalna jest w rzeczach pomników historycznych i artystycznych radą przyboczną namiestnika, który bez zasięgnięcia jej zdania w tych sprawach nie może nic postanowić, a nie może nic działać bez zgody jednej z dwu król. akademij, w której zakres sprawa wchodzi. Komisya może wziąć inicyatywę: gdy chodzi o podźwignienie grożących upadkiem pomników historycznych, o powstrzymanie zmian i odnów, przez które gmachy publiczne utraciłyby właściwą cechę, o zakupno do zbiorów tych przedmiotów sztuki, którym grozi niebezpieczeństwo wywozu za granice państwa.

W Holandyi dekret król. z r. 1874 zniósł dawną wadliwą ustawę, a wprowadził urządzenie bardzo zbliżone do austryackiej komisyi centralnej. Jest to grono radców państwa *Riks adviseurs voor de Monumenten von Geschiedenes en Kunst*, mianowanych przez króla, w liczbie najwyżej 15. Urząd ich jest honorowy, tylko za podróże dostają wynagrodzenie. Pomiędzy obecnymi członkami

tego kolegium jest: archiwista, inspektor kolejowy, inspektor mostowy i drogowy, 2 architektów, 2 archeologów, malarz, krytyk artystyczny. Grono zbiera się przynajmniej raz na miesiąc w Hadze, rozporządza w celach technicznych zdejmowania planów, projektowania i t. d., dwoma budowniczymi z pensyą 1.200 flor. Mianuje korespondentów 46 w Holandyi, 10 zagranicznych. Jednym z owoców pożytecznej działalności tego ciała jest nowo w ministeryum spraw wewnętrznych wytworzony wydział dla sztuk i umiejętności, istniejący od r. 1875 i mający pod swoją władzą archiwa, akademię umiejętności i akademię sztuk pięknych. Ale chyba najwyżej w całej Europie rozwiniętą jest organizacya opieki nad zabytkami we Francyi. Rozpatrzmy się w niej szczegółowo, wziąwszy tu znów za przewodnika Helferta.

„Są komunały zarówno bezpodstawne jak rozpowszechnione. „Do nich należą np. oba wyobrażenia o Francuzach: grzeczny „Francuz i lekkomyślny Francuz. Prawda, że Francuz „bywa wytworny, zobowiązujący, ugrzeczniony tam gdzie o nic in„nego nie chodzi, jak o pożycie towarzyskie; wszakże gdzie w grze „są interesa praktyczne, ... tam nie wiem, kto potrafi mu wyró„wnać w bezwzględności, szorstkości, nawet brutalności, jeżeli nie „zawsze pod względem formy, to z pewnością co do rzeczy samej. „Prawda także, iż w obejściu cechuje go spryt i wdzięk pewien... „że lubi zabawę, igraszki i lekkie rozmowy, bo ma umysł wykwin„tny i ruchliwy; ale z drugiej strony nie ma umiejętności, nie ma „pola ludzkiej pracy umysłowej, gdzieby geniusz francuski nie był „ludzkości utorował drogi, nie ma gałęzi prawodawstwa i admini„stracyi, gdzieby po francuskie wzory nie można i nie trzeba było „sięgnąć. Może nieraz fałszywym był punkt wyjścia, błędną zasada — „ale w wykonaniu, w kodyfikacyi spotyka się wszędzie podziwienia „godny jasny rozsądek i ścisłe wyrażenie. Tak samo i w naszym „przedmiocie.

„W r. 1831 zamianował rząd francuski biegłego w dziejach „Ludwika Vitet generalnym inspektorem pomników historycznych „Francyi. W tym samym jeszcze roku objechał on pięć północnych „departamentów i swoje spostrzeżenia złożył ministrowi spraw we„wnętrznych w obszernem sprawozdaniu. Istniał zamiar całą Fran„cyę, departament po departamencie tak objąć podróżami fachowców,

„i starać się o otrzymanie opisów i zdjęć z wszystkich pomników „sztuki. Na opędzenie kosztów podróży i z niemi połączonych za- „rządzeń i robót wstawiono w budżet 80.000 franków. Sumę tę „w r. 1837 podwyższono do 200.000 i utworzono osobną instytu- „cyę: *Commission des monuments historiques.*“ Składała się ona początkowo z przewodniczącego i 6 członków, z których jeden miał urząd inspektora jeneralnego. „Komisya miała władzę, przybierać „sobie jako pozamiejscowe organa inspektorów, korespondentów „z pomiędzy najpoważniejszych znawców starożytności i archi- „tektów, których zadaniem było, prefektom w badaniu i okre- „ślaniu pomników dostarczać pomocy. Uposażenie komisyi szybko „teraz wzrasta... i dochodziło w r. 1859 do 1.100.000 fran- „ków. Równocześnie pomnaża się skład osób; w r. 1874 był taki: „prezydentem — minister oświaty, wyznań i sztuk pięknych, pomiędzy „członkami znajdowali się: naczelnik drugiego wydziału ministeryum „oświaty, dyrektor i rzeczywisty dyrektor honorowy sztuk pięknych, „dyrektorowie zakładów: *Ecole des chartes, Musée des thermes,* „*Hôtel Cluny,* dwóch członków Instytutu, jeden z najwyższej izby „obrachunkowej i dwunastu architektów.

„Komisya wytknęła sobie cel dwojaki. 1⁰ Budowle ze stano- „wiska artystycznego i dla historyi sztuki godne uwagi spisać, „opisy i zdjęcia z nich sporządzić; 2⁰ mieć pieczę około zachowa- „nia tych z pomiędzy nich, które za typowe uważanemi być mogą, „które stanowią niejako punkta wytyczne początku, rozwoju, szczytu „jakiejś epoki historyi sztuki, a zatem starać się o to, aby przy- „kłady wszystkich systemów przez architekturę francuską z kolei „przybieranych, przechować przyszłym pokoleniom, jako wzory do „naocznego badania.

„Podstawę tego przedsięwzięcia, wartego zarówno podziwu jak „wdzięczności, stanowi klasyfikowanie pomników, ro- „bota której światła administracya państwa nie uważa dotąd za „skończoną, pomimo przeszło czterdziestoletnich trudów. Gdy roz- „poczęte w r. 1831, jak widzieliśmy, badanie i spisywanie rozsia- „nych po wszystkich częściach kraju zabytków, w ciągu niewielu „stosunkowo lat doprowadziło do częściowego przynajmniej ich ze- „stawienia, komisya ustanowiona r. 1837 doszła do przekonania, że „w obec obfitości piętrzącego się materyału w najrozmaitszych kie-

„runkach, niepodobieństwem jest wszystkie zachowane pomniki „w równej mierze uwzględniać, że raczej zatem ograniczyć się „trzeba na zrobieniu wyboru pomników łączących niejako w sobie „cechy, które nauka uznaje za znamiona odnośnego stylu. Te ty- „powe pomniki — jak wyraża się komisya w jednem ze sprawozdań „rachunkowych — w związku ze sobą, tworzą rodzaj bieżącej hi- „storyi sztuki krajowej, i łatwo poznać jaką doniosłość mieć musi „utrwalenie szeregu punktów wytycznych tej historyi bez przerwy. „Bezwzględna wartość pomnika nie może tu rozstrzygać o jego waż- „ności, niejeden pomnik, sam przez się mniejszej wagi, nabiera przez „wyjątkowe swoje stanowisko niepomiernego znaczenia. Stąd dzieje „się, że np. kościół z kopułą, który w Périgord albo Angoulême „wzbudza podrzędny tylko interes, w Normandyi ściąga na się „szczególniejszą uwagę znawcy. W Langwedoku jest kościół gotycki „rzadkim wyjątkiem, i położeniem swojem zyskuje zupełnie inną „wagę, niżby sobie rościć mógł, gdyby stał w Isle de-France. Z tego „zapatrywania wychodząc, doszła komisya do spisu pomników skla- „syfikowanych *(monumens classés)* których zebrane opisy, pomiary „i widoki, starannie się przechowują. Nad poprawianiem i dopełnia- „niem tej listy praca idzie ustawicznie dalej, ile że czasem wśród „tej pracy dojrzalsze zgłębienie rzeczy nakazuje ten lub ów pomnik „z szeregu sklasyfikowanych wykreślić, a natomiast nowe dopisy- „wać, w miarę jak postęp nauki na ich istnienie i znaczenie zwróci „uwagę". Nowsze ministeryalne okólniki do prefektów, poleciły przedsięwziąć klasyfikacyę ulepszoną, metodyczną, i ustaliły jej prze- pisy. Czy ta robota rewizyjna, której wynikiem byłoby ostateczne zestawienie pomników sklasyfikowanych, została do końca doprowa- dzona, nie mówi źródło nasze, podaje tylko że: „wykaz z r. 1862 „obejmuje przeszło 2.000 budowli, od najdawniejszych czasów hi- „storyi aż do rozkwitu odrodzenia, ze wszystkich części Francyi, „ułożonych departamentami, a także i z Algeryi.

„Praktyczna doniosłość objęcia jakiegoś pomnika w poczet „sklasyfikowanych polega na nabyciu przezeń tem samem prawa, „a b y b y ł z a c h o w a n y m". Przytoczone przez autora sprawo- zdanie komisyi dobitnie określa to prawo, mówiąc, że „wpisanie „na listę pomników historycznych nie stanowi bynajmniej tytułu „do zapomogi rządowej; ale stwierdza wysokie znaczenie budynku,

„czyni go przedmiotem dozoru i szczególniejszej troskliwości, która „prawie zawsze, prędzej lub później znaleźć musi wyraz w zapo- „modze, jeżeli stan rzeczy tego wymaga a miejscowe środki okażą „się niewystarczającymi". W tem uzyskanem prawie zachodzi pewne stopniowanie". „Jak komisya wcześnie uznała, iż nie wszystko „zdoła zachować, tak też z drugiej strony rzut oka na fundusze „rocznie jej do rozporządzenia dane pouczył, iż troskliwość jej nie „może równocześnie obejmować wszystkiego, co zachowania jest „warte i potrzebuje. Musiano zrobić różnicę pomiędzy robotami „nie dającemi się odłożyć, i mniej pilnemi, a wśród pierwszych „znów pomiędzy takiemi, które za jednym zamachem i bez przerwy „należy do końca przeprowadzić, jak np. położenie nowego wiązania „lub w ogóle pokrycie budynku — a innemi, które dadzą się rozło- „żyć na lata, jak np. odrestaurowanie kaplic okalających katedrę. „Do tamtych nie można się zabrać, póki się nie ma całej sumy po- „trzebnej do ich ukończenia — te można zacząć, rozporządzając tylko „jedną częścią kwoty koniecznej do zrestaurowania całości. W tej „kwestyi budżetowej administracya francuska postępuje z taką samą „rozwagą i ostrożnością, jak w sprawie klasyfikacyi. W listopadzie „1842, wedle sprawozdań komisyi, było 462 numerów tak przygo- „towanych, że fundusze potrzebne do ich załatwienia dały się ozna- „czyć: sumę ich całą obliczono na blisko 6 milionów franków. Do „sprawozdania komisyi z r. 1874 dołączono spis pomników, których „restauracya techniczna i artystyczna jest bezzwłocznie konieczną, „oraz drugi spis pomników, zasługujących w drugim rzędzie na re- „stauracyę, na którą fundusze należy zebrać z współudziału państwa, „departamentów i gmin.

„Roczny budżet komisyi, wynoszący w 1859 r. 1.100.000 fr., „przez długie lata nie został podwyższonym. Mimo tego suma co- „rocznych wydatków na utrzymanie i restaurowanie pomników we „Francyi jest nierównie większą. Długoletnia czynność komisyi, wpływ „działających w duchu swoich instrukcyj organów rządowych, gló- „wnie prefektów po departamentach, wreszcie powtarzające się ciągle „objazdy upoważnionych członków komisyi, musiały rozbudzić zmysł, „interes, a tem samem czynne zamiłowanie najszerszych kół dla „spuścizny po wiekopomnej przeszłości, a błogie tego skutki nie- „bawem się objawiły. Ile razy państwo domaga się współdziałania

„gmin i korporacyj, może być pewnem, że spotka skłonne ucho „i rękę, zwłaszcza tam, gdzie, jak w wypadkach drugiej kategoryi, swoją „zapomogę uczyni zależną od udziału w kosztach departamentu lub „gmin". Tym sposobem rząd wydatkiem mało co nad milion wy- „noszącym jest w możności dokonywać robót kosztujących corocznie „blisko trzy miliony franków.

„Już zaraz przy mianowaniu jeneralnego inspektora pomników „historycznych wyraził rząd zasadę, żeby około budynków poświę- „conych służbie Bożej duchowieństwo nie przedsiębrało zmian, „ani żadnych zresztą ważniejszych robót bez zawiadomienia o tem „władz i zasięgnienia opinii inspektora jeneralnego. Podobnie „nie mogły gminy pomnikowych budowli w ich będących posiadaniu „ani odnawiać, ani sprzedawać, ani burzyć, bez ministeryalnego na „to zezwolenia; jeżeli zaś rzecz tyczyła własności prywatnej, winien „był prefekt zawiadomić o tem ministra zawczasu, aby ten, o ile „są na to środki, mógł nabyć dla państwa budynek, przeznaczony „na przekształcenie lub zniesienie; w razie zbyt wygórowanych żą- „dań właściciela, miały tu wejść w zastosowanie postanowienia „ustawy o wywłaszczeniu ze względów powszechnego po- „żytku. Wedle obecnego (r. 1876) stanu prawodawstwa, środki „te ostrożności odnosiły się przedewszystkiem do pomników skla- „syfikowanych. Czujność władz rozciąga się jednakże też do mało- „znacznych przez się operacyj, którymby podlegać miał pomnik „sklasyfikowany, np. aż do odtwarzania posągów i ornamentów przez „odlewy lub odtłaczania. Czynność tego rodzaju, opiewa jedno roz- „porządzenie z r. 1842, jest na każdy sposób niebezpieczną, czę- „stokroć wprost niemożebną, czy to dla delikatności roboty sny- „cerskiej, czy dla kruchości materyału, czy dla złego stanu zacho- „wania. Zresztą mało artystów posiada zręczność dostateczną do „wykonania takiego wytłoczenia lub odlewu bez uszkodzenia pomnika. „We wszystkich więc takich wypadkach należy żądać osobnego po- „zwolenia władz, a pozwolenia tego wypada zawsze wtedy odmówić, „jeżeli celem jest spekulacya tylko, udzielać zaś tym tylko nawet „z artystów, którzy dają zupełną rękojmię swego doświadczenia „i zręczności. Okólnikiem z r. 1874 zwrócił minister uwagę pre- „fektów na wszelkie rodzaje tynkowania i bielenia, albo znowu od- „skrobywania *(badigeonnage et grattage)*, roboty zbyt chętnie po-

„czytywane przez władze miejscowe za sposoby zachowawcze i za „warunek czystości.

„Restauracya pomnika budownictwa odbywa się pod bezprze- „stannym dozorem jeneralnego inspektora i członków komisyi po- „mników historycznych, którzy otrzymują polecenie zwiedzania war- „sztatów i placu budowy, przekonywania się o stanie i postępie „robót restauracyjnych i zwracanie uwagi władz administracyjnych „na wszelkie zarządzenia, którychby dobro sprawy wymagało. Spra- „wozdanie komisyi z r. 1874 wyraża się z głębokiem przekonaniem „o rozlicznych korzyściach z tak prowadzonych restauracyj. Zape- „wnia ono, że roboty te wytworzyły po departamentach szkołę zrę- „cznych i bystrych robotników, z pośród których w każdej chwili „wybrać można ludzi odpowiednych do wykonania dzieł wymagają- „cych sprytu i staranności. Z istoty bowiem swojej są takie restau- „racye za każdym razem odmienne, domagają się ścisłego przejęcia „się odnośnym stylem, a sama zręczność przy tem nie wystarczy. „Zadanie majstra i pomocników zmienia się z dniem każdym; co „chwilę napotykają oni trudności, pociągające za sobą wytężenie ich „umysłu. Architekt musi wchodzić z robotnikami w bezpośrednią „styczność, każdemu z nich dawać wskazówki; nic nie godzi mu „się puszczać na los przypadku, na łaskę rutyny. Robotnik zaś „nietylko się nie zniechęca i odstrasza, lecz przejmuje się owszem mi- „łością dla dzieła, które go nęci, bo podnieca jego władze umy- „słowe, a przez wywoływanie coraz to odmiennej czynności, dostar- „cza mu duchowej karmi. Restauracye te mają wielką zasługę, że „wysuwają naprzód zręczność, biegłość ręczną". Nie dość na tem. Roboty takie przedsiębrane w znacznej części na prowincyi, dostarczają pracy i zarobku rękodzielnikom miasteczkowym żyjącym tanio, pozbawionym wielkomiejskich pokus do wyrzucania pieniędzy i próżnowania, mogącym więc grosz zarobiony zaoszczędzić; przyczyniają się do podniesienia tych miejscowości przez budzenie zmysłu porządnej pracy, rozszerzanie wiadomości i środków wykształcenia, pouczanie o wartości roztropnej i uporządkowanej administracyi; wreszcie odkrywają dla okolic od świata odciętych nowe źródła zysku, otwierają się kamieniołomy, zakładają drogi i t. d.

„Są pomniki, co do których, choćby i dziesięć razy zaliczone „były do kategoryi sklasyfikowanych, wyznać z żalem trzeba, że

„się zachować nie dadzą, że pomimo wszelkich środków „ochronnych dążą ku nieuniknionemu zniszczeniu. Tu przedewszyst- „kiem należą freski. Ani troskliwość, ani pieniądze, nie sprawią „żeby znacznie przeciągnąć trwałość z dniem każdym pełznących „i zacierających się barw: trzeba spiesznie starać się otrzymać ścisłe „ich podobizny, aby ołówek wypróbowanych artystów zachował „wierną i jak najdokładniejszą ich pamiątkę. Lecz i budynki pry- „watne tutaj należą. Żeby niewiedzieć jak zajmującemi co do stylu „były, podlegają one samowoli właścicieli, i każdej chwili narażone „są na utratę charakterystycznych cech. Są wreszcie pomniki w tak „daleko posuniętym stanie zniszczenia będące, że zrestaurować się „już nie dadzą. Rząd francuski i komisya pomników historycznych „nie zaniedbała podjąć i tej ważnej sprawy, a zyskane w ten sposób „zdjęcia, rysunki, plany, w jej archiwum złożone, doszły r. 1874 do „pięknej liczby 8.000. Owocem tego obfitego zbioru jest rozpoczęte „1855 r. wspaniałe wydawnictwo *Archives de la Commission des „Monuments historiques.*

„Co do ruchomych przedmiotów sztuki, a zwłaszcza co do „wykopalisk, trzyma się ustawodawstwo francuskie tej zasady, że „najpożyteczniej jest zostawić je tam skąd pochodzą, zatem „w odnośnym departamencie, aby tam utworzyły niejako archiwum „miejscowej historyi, i rozszerzały zmysł i smak artystyczny.

„W rzadkich tylko wypadkach, gdyby jakiś przedmiot miał „mieć niezwykłe znaczenie, zastrzeżono ministerstwu prawo zażą- „dania go dla wielkich zbiorów stolicy, gdyż tylko tu mogą przed- „mioty tego rodzaju prawdziwy przynieść pożytek“ naukowemu światu, i tu najbezpieczniejsze znajdują umieszczenie; zresztą władze centralne mają polecenie dostarczyć wtedy podobiznę lub odlew przedmiotu, miastu które najbliższe doń miałoby prawo.

„W obec ruchomych przedmiotów sztuki, będących w posia- „daniu gmin, zajmuje ustawodawstwo francuskie takie samo stano- „wisko jak w obec nieruchomych: zakazuje pozbywać ich lub prze- „kształcać bez poprzedniego zezwolenia ministeryum spraw we- „wnętrznych“. To samo zastrzeżono co do pozbywania książek, rękopismów i dokumentów. „Prywatną własnością będące przedmioty „sztuki nie podlegają żadnym ograniczeniom ze strony ustaw fran- „cuskich, które pod tym względem przedstawiają najzupełniejsze

„przeciwieństwo do greckich. Wyniki praktyczne tych odmien-„nych stosunków są wszakże też przeciwieństwem tego, czego by „się spodziewać należało. We Francyi wszystko, co należy do pry-„watnych jest wyjęte z pod nadzoru władz, a przecież jak mało, „jak istotnie nic z rzeczy sztuki nie marnuje się, nie wychodzi „z kraju. Jednakże, jeśliby coś podobnego groziło, stara się rząd „nabyć przedmiot dla swych zbiorów, i może być pewnym powo-„dzenia. W piersiach każdego Francuza bowiem pulsuje narodowe „poczucie, samowiedza, duma, które trwałą chwałę ojczyzny wyżej „w oczach jego stawiają od własnego chwilowego interesu. Z ze-„stawienia stosunków francuskich i greckich poznać można różnicę „między teoryą i praktyką, między ustawą a obyczajami. We Fran-„cyi ustawa nie ogranicza własności prywatnej, ale duch narodowy „jej strzeże, i nie dopuszcza, aby kraj coś z tych rzeczy postradał. „W nowożytnej Helladzie skrępowała ustawa prawo prywatnego wła-„ściciela najciaśniejszemi więzami, ale brak tego ducha publicznego „połączony z samolubstwem i chytrością wniwecz obraca wszelkie „środki ostrożności".

Na tem kończymy przegląd urządzeń konserwatorskich zagranicznych. Jeżeli tyle w nim miejsca poświęciliśmy francuskim, to bynajmniej nie dla tego, abyśmy je stawiali za wzór do naśladowania, tylko, że są jako przedmiot studyów bardzo pouczające. Ale co kraj to obyczaj; jakie zaś zasadnicze w niem błędy widzimy, wyniknie z dalszego ciągu tej pracy.

III.

Zestawmy najważniejsze zasadnicze punkty wszystkich wymienionych wyżej ustaw konserwatorskich, treściwy wyciąg wspólnych ich celów i dążności. Znowu ułatwi nam to zadanie tyle razy powoływany Helfert, który przestanie być naszym przewodnikiem dopiero przy uwagach nad stosunkami krajowemi, gdy erudycya będzie musiała ustąpić miłości, jak w ostatniej części poematu Danta, Wirgili ustępuje miejsca niebiańskiej Beatryczy.

Nie ma wątpliwości, że w uorganizowaniu pieczy państwowej nad pomnikami sztuki i starożytności, przedmiotem starania są

w pierwszym rzędzie nieruchomości, budowle w najszerszem wyrazu pojęciu; w niektórych państwach wyłącznie budowle.

Przytem myślą przewodnią ustawodawstw wszystkich krajów jest, aby te budowle:

a) zachować, ratować od niszczenia się lub zagłady;

b) utrzymać na właściwem ich miejscu, tak w całości jak co do ich części;

c) ochronić od umyślnego uszkadzania, od psucia przez ludzi;

d) zabezpieczyć od wszystkiego, co może sprowadzić powolne ich rujnowanie się;

e) restaurować, naprawiać, utrwalać, w razie koniecznej potrzeby i pod dozorem ludzi powołanych, a najczęściej samych nawet komisyj centralnych.

Do nieruchomości zaliczają się malowania ścienne, nagrobki, wszystko, co z nieruchomościami trwale jest związane.

Większa część ustaw konserwatorskich rozciąga powyższe postanowienia nietylko do pomników będących własnością państwa, ale także do własności społeczności politycznych, kościelnych, do fundacyj, zakładów i stowarzyszeń. Co do prywatnej własności, różnią się tu zapatrywania; niektóre ustawodawstwa bynajmniej niepozwalają sobie wdawać się w te sprawy, inne wychodzą z zasady, że tylko ich uszkadzaniu lub burzeniu państwo zapobiegać może.

Co do wykopalisk starożytności klasycznych, lub przedhistorycznych, więc grobów odwiecznych, szczątków starych murów, fundamentów i przedmiotów w nich znajdowanych, niektóre ustawy uwzględniają, jako uprawnione do korzystania z nich, „trzecie osoby“ prawne: znalazca, właściciel gruntu i państwo. Inne ustawy opuszczają tu państwo, i przyznają prawo do korzyści dwom tylko: znalazcy i właścicielowi gruntu. Są wreszcie państwa, w których na swoim gruncie każdy może poszukiwać, kopać ile chce, i jest nieograniczonym panem wszystkich starożytności przy tem znalezionych. Ustawy zaś włoska i grecka wychodzą z zasady, że klasyczne pomniki są własnością narodową, więc państwu przyznają prawo nietylko zabierania przedmiotów gdziekolwiek znalezionych w jego granicach, ale nawet dozwalania lub zakazywania poszukiwań na gruntach prywatnych.

Co się tyczy zabytków sztuki ruchomych, rozchodzi się już nie

o to tylko, aby nie niszczały, ale także, aby ich nie usuwano, nie wywożono, ani zatracano. Co do ruchomości takich w budynkach będących własnością państwa, jest zwyczajem powszechnym, że przy zachodzących przemianach znajdują one umieszczenie w zbiorach publicznych. Niektóre ustawy postanawiają to samo, co do przedmiotów będących w posiadaniu korporacyj, lub znajdujących się po kościołach. Jeżeli z jakichkolwiek powodów przestają tam być użyteczne lub odpowiedne, dostają się one do muzeów.

Nader doniosłą ale i trudną rzeczą jest ukrócenie handlu przedmiotami sztuki, który wiele krajów, szczególnie ubogich, ogołaca ze skarbów sztuki na korzyść bogatszej zagranicy, i przyczynia się do tem większego ich ubożenia i upadku. Niektóre ustawy, zwłaszcza dawniejsze przyznawały państwu rodzaj prawa pierwszeństwa do zakupna, ale to w ogóle nie przynosi dobrych owoców, a nawet sprowadza skutki wprost szkodliwe, jeżeli państwo ma przywilej niższe od prywatnych amatorów narzucać sprzedawcom ceny. Również i zakaz bezwzględny wywozu dzieł sztuki (nie spółczesnej) tu i owdzie wprowadzany w życie, nie okazuje się bardzo skutecznym, lubo zawsze znacznie utrudnia ogołacanie kraju z zabytków.

Wszystkie te postulaty podyktowane są zamiłowaniem pamiątek historycznych i zabytków sztuki; nic łatwiejszego jak skodyfikować je, zamienić w ustawy i otoczyć grozą przepisów karnych,.... w krajach rządzonych absolutnie, czy ten absolutyzm jest monarchicznym czy republikańskiemi formami upiększony. Dla ludzi jednak mających liberalniejsze pojęcia o zadaniu i zakresie działania rządu, tak daleko idące krępowanie prawa własności prywatnej, ma coś wstrętnego w sobie; katolikom nie podobna przystać na to, aby kościół, korporacye duchowne, zdane być miały na łaskę władz administracyjnych jak to np. dzieje się we Francyi. Najlepiej byłoby bezsprzecznie, gdyby społeczeństwo samo stało na straży swoich skarbów artystycznych i pamiątek. Bodaj czy tak nie jest w Anglii, o której ustawach konserwatorskich nic nigdy nie słychać, a przecież nie ma podobno drugiego kraju, gdzieby pomniki taką otoczone były czcią i opieką powszechną. Strzeże ich samo społeczeństwo, z tem poczuciem obowiązku, które każe Anglikom nawet za granicą występować w roli stróżów i opiekunów dzieł sztuki; dość przytoczyć głośną przed paru laty sprawę restauracyi

kościoła św. Marka w Wenecyi. Z tego właśnie przykładu pokazuje się, że autonomia w sprawach konserwatorskich, należy nawet, wśród najoświeceńszych narodów do ideałów, wyjątkowo tylko doścignych.

Tym to idealizmem grzeszy ustawa konserwatorska, czyli ściślej mówiąc przepisy austryackiej monarchii. Nie mamy potrzeby szczegółowo ich tu przytaczać i rozbierać. Uczynił to świeżo i ze stanowiska prawnego przedstawił równocześnie w kilku czasopismach galicyjskich p. dr. Włodzimierz Demetrykiewicz, w pracy zatytułowanej: Opieka prawna w Austryi dla (sic) zabytków sztuki i pomników historycznych[1].

Pokrótce tylko przypomnieć wypada, że wprowadzenie w życie opieki rządu nad zabytkami sztuki jest jednym z objawów odrodzenia się Austryi z wstąpieniem na tron Franciszka Józefa. Pominąwszy niektóre dawniejsze przepisy, dotyczące sprzedaży i wywożenia przedmiotów starożytności ruchomych, początek jej odnieść trzeba do r. 1850 *de jure*, a *de facto*, dopiero do r. 1854, w którym, zorganizowana nieco przedtem Komisya centralna dla badania i ochrony zabytków artystycznych i historycznych działać rozpoczęła. Statut jej obecnie obowiązujący pochodzi z roku 1873. Ma ona siedzibę w Wiedniu, dzieli się na 3 sekcye: a) dla zabytków przedhistorycznych, b) zabytków sztuki i c) archiwaliów, a organami jej są konserwatorowie, również na 3 kategorye podzieleni, i korespondenci po całej monarchii rozproszeni. Rozporządzając znaczną liczbą sił odpowiednich, rozwinęła ona nader umiejętną i zbawienną czynność, dokonała niejednej chlubnej restauracyi, zapobiegła i zapobiega troskliwie niejednemu złemu, zajmuje się sporządzeniem inwentarza zabytków, czyli t. zw. topografii artystycznej całej monarchii, stara się o zwoływanie zjazdów konserwatorskich, i może się poszczycić szeregiem znakomitych i wspaniałych wydawnictw, żeby tylko wspomnieć 30 roczników czasopisma jej p. t.: *Mittheilungen der k. k. Central-Commission* i t. d. Czyż wyniki praktycznej działalności tej komisyi, czy wpływ jej na sprawę ochrony zabytków, zwłaszcza sztuki, odpowiada znakomitej teoretycznej działalności i wysokiej nauce, oraz uzdolnieniu osób w skład jej wchodzących? Byłoby wiele do mówienia.

[1] Wyszła także w osobnej odbitce r. 1885.

W krajach wysoko w oświacie posuniętych, w prowincyach zachodnich i południowych, w obu arcyksięstwach, Styryi, Karyntyi, Czechach i Tyrolu, piecza komisyi, zachody konserwatorów znakomite przynoszą owoce. Mnóstwo kościołów, zamków, fortyfikacyj miejskich restauruje się umiejętnie i z wielkim nakładem, inne się ochrania od zniszczenia, ubezpiecza, zdejmuje, kopiuje, wydaje i opisuje wielkim nieraz nakładem. Czy komisya rozporządza tak wielkiemi środkami pieniężnemi? Bynajmniej. Budżet jej roczny do niedawna wynosił 10.000 złr., a obecnie podwyższony, nigdy jednak nie przenosi 11.430 złr., które ledwo wystarczają na opędzenie kosztów kancelaryjnych, wydawnictwa Mittheilungów i niektóre najpilniejsze zasiłki. Ale pominąwszy to, że z natury rzeczy, komisya największą troskliwością otacza prowincye niemieckie i bliżej stolicy państwa leżące, podnieść warto, że umiała ona sobie zdobyć w nich powagę i znaczenie niepoślednie.

Ciągle urządzane wystawy, zjazdy konserwatorów, wydawane nawet na prowincyi czasopisma fachowe, świadczą o ruchliwości i rozwiniętem życiu; inicyatywa komisyi tudzież konserwatorów umiała dla celów ochrony, restauracyi i wydawnictw wynaleźć obfite źródła dochodów, tak państwowych jak krajowych, gminnych i prywatnych, a można nieledwie twierdzić, iż w wymienionych kilku krajach koronnych żadna restauracya, żadna robota około zabytków nie odbywa się wbrew żądaniu komisyi, żeby już nie powiedzieć: nic nie dokonywa się bez komisyi. Na dowód jej powagi wystarczy przytoczyć, iż gdy przed parą laty stowarzyszenie wiedeńskie zwane Dombauverein zamierzyło między innemi zmienić ostry łuk zewnętrzny romańskiej zresztą bramy głównej katedry św. Szczepana w Wiedniu, w skutek opozycyi publiczności i dzienników wdała się w rzecz tę komisya centralna, a gdy wydała opinię, że zamierzona zmiana, stylowo usprawiedliwiona, byłaby jednak archeologicznym błędem, nieposzanowaniem starożytności i stanu przez sam wiek uświęconego, przed tym wyrokiem uchyliła głowę korporacya, na której czele stoi kardynał arcybiskup Wiedeński, i dawny stan przywróconym został, pomimo już rozpoczętej fabryki i pomimo że autorem zamierzonej zmiany nie był nikt mniejszy, jak sam budowniczy Schmidt, twórca ratusza wiedeńskiego, i ten sam który częściowo odbudował walącą się wieżę św. Szczepana. Tak samo i praskie

towarzystwo budowy katedry św. Wita przedkłada ciągle plany swoje restauracyjne komisyi centralnej, we wszystkiem jej się radząc drobiazgowo, jak to możemy widzieć ze sprawozdań rocznych.

W kraju atoli naszym, w Galicyi, wpływ opieki państwowej nad zabytkami sztuki, bynajmniej nie jest tak zadawalniającym; owszem przyznać trzeba, że niezmiernie wiele pozostawia do życzenia. Czują to i uznają wszyscy dobrze myślący, prócz chyba tych, którzyby interes jakiś mieli w utrzymaniu *status quo*, a widząc złe w oczy bijące, wmówić w siebie i drugich usiłowali *que tout va pour le mieux dans le meilleur des mondes*. Lecz i oni zaprzeczyć nie zdołają że w naszych czasach, w oczach naszych prawie, niezmierne spustoszenia dzieją się wśród zabytków przeszłości i sztuki. Przykładów nie trzeba daleko szukać. Trzecią część Krakowa dotknął palec Boży okropnym pożarem r. 1850, ale czy możemy sumiennie powiedzieć, że wiele mniej zniszczyła ręka ludzka przez lat 35, które nas od tej klęski dzielą? Oczywiście nie chcę przez to twierdzić, aby się już nic dobrego około ochrony pomników przez ten czas nie zdziałało, ani przeczyć zasług tym, którzy je istotnie położyli. Wyliczać szczegółowo spustoszeń nie będziemy tutaj, wspominały o nich niekiedy dzienniki miejscowe, choć zaiste za mało i za cicho w porównaniu z wielkością szkody jaka się krajowi przez to wyrządza. Wszakże nie chodzi tu o krzyczenie na złe. Nawoływać, przestrzegać godzi się, lecz gdy to nie pomaga, radzić należy jak złemu zapobiedz, jak je zmniejszyć.

Jeżeli urządzenie konserwatorstwa w innych prowincyach monarchii skuteczne, u nas tylko tak liche przynosi owoce, przyczyna tego zjawiska leżeć może albo w nas samych, albo w organizacyi tego urzędu do warunków naszego kraju nieodpowiedniej — albo w obu rzeczach razem.

Że organizacya urzędów konserwatorskich ma wielkie niedostatki, przyznaje to sama komisya centralna, choćby przez to tylko że od tak dawna reformę zapowiada, nowej ustawy pojawienie się głosi — nadaremnie. Dotychczas właściwie żadnej ustawy konserwatorskiej nie ma. Istnieje tylko tak zwane „Normative“ zawierające statut i regulamin komisyi centralnej, oraz szereg instrukcyj dla konserwatorów. Nawet władza konserwatorów nie jest ściśle określoną. Ze strony praktycznej urządzenia spraw komisyi, przed-

stawia się jako rażący jej niedostatek liche uposażenie. Łatwo jest dokonać czegoś francuskiej *Commissions des monuments historiques*, skoro roczny jej budżet wynosi przeszło 1.000 000 franków. Czemże obok tego są 11.000 złr. komisyi centralnej wiedeńskiej, której zakres działania obejmuje zapewne mniej bogate, ale nie mniej rozległe obszary, a tak znów całkiem bez znaczenia nie jest?

Szczegółowo ze względu na nasz kraj, w dzisiejszym stanie spraw konserwatorstwa uderza jeden główny brak. Oto kiedy Czechy mają 21 konserwatorów a 19 korespondentów, Austrya niższa 10 konserwatorów a aż 41 korespondentów, Galicya, od pierwszych półtora kroć, a od drugiej jak raz 4 kroć większa, ma konserwatorów zaledwie tylu, co mały Tyrol albo jeszcze mniejsza Morawa, to jest 5, a korespondentów 8, tj. tylu co Bukowina, mniej niż pół tylu co Tyrol, półtrzecia raza mniej od Dalmacyi, a półczwarta raza mniej od Styryi. Jest to o tyle większa niesprawiedliwość, że jeszcze z tych pięciu konserwatorów galicyjskich, trzech jest dla archiwalnych zabytków, a dla artystycznych zostaje 2 — wyraźnie: dwóch — z których jeden nadto i pieczę nad starożytnościami przedhistorycznemi ma sobie powierzoną. To wiedząc nie utyskiwać nad smutnym stanem zabytków u nas, ale dziwić się tylko wypada, że jeszcze tak jest, jak jest. Bo nie mówiąc o niewłaściwości łączenia dwóch urzędów konserwatorskich, przecież nawet tam gdzie one są rozdzielone, w Galicyi wschodniej, nie podobna żądać aby czujność i fizyczne siły jednego człowieka wystarczyć mogły dla ochrony zabytków sztuki, albo wykopalisk kraju od Sanu aż po Bukowinę, Podole rosyjskie, Wołyń i Lubelską gubernię, to jest obszaru tak wielkiego jak całe Czechy; zwłaszcza gdy się zważy, że pod względem wykopalisk kraj ten niezmiernie jest bogatym, a ze stanowiska historyi sztuki, jako punkt zetknięcia kultury greckiej i kultury zachodniej, nietylko nader obfite w materyał, ale i niesłychanie ważne przedstawia pole działania.

Anomalia ta cierpiana zbyt długo, bo 30 lat już upływa od zaprowadzenia w Galicyi urzędów konserwatorskich, wywołała na reszcie krytykę jawną i pobudziła konserwatora wschodnio-galicyjskiego, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego do postawienia wniosku co do „reorganizacyi urzędu konserwatorskiego“ na zjeździe archeologicznym odbytym we Lwowie we wrześniu roku zeszłego. Projekt

jego żądał potworzenia mniejszych i drugorzędnych niejako okręgów konserwatorskich „wewnątrz dwu wielkich dotychczasowych okręgów“ tj. lwowskiego i krakowskiego, i bez rozrywania tych głównych okręgów całości, czyli jak się wyraża „jedności“. Wnioskodawca dążył w tem do przysporzenia sił pomocniczych z uniknięciem centralizacyi ich w Wiedniu, której się obawia, gdyby konserwatorowie byli wszyscy równorzędni w obec władz i wszyscy wprost zależni od komisyi centralnej. Ja jednak w tej „jedności“ widzę tylko wzmocnienie sztucznego dualizmu galicyjskiego, który z wielu względów byłby z pewnością daleko niebezpieczniejszym od zmniejszenia obszaru władzy dzisiejszych konserwatorów. Pomysł więc wydaje mi się nader nieszczęśliwym i nieumotywowanym, tem bardziej, gdy już zupełnie niezrozumiałą jest reszta obaw wnioskodawcy: że przy zmniejszeniu okręgów zmalałaby powaga konserwatorów, a ich informacye byłyby niedostateczne.

Równocześnie z hr. Dzieduszyckim, jeżeli nie wcześniej, zwróciła atoli sama komisya centralna wiedeńska uwagę na potrzebę reformy, w jednym przynajmniej kierunku. Oto trzymając się ściśle ram swojego dotychczasowego urządzenia, postanowiła usunąć w Galicyi anomalię co do wielkości okręgów konserwatorskich, przez zwiększenie liczby konserwatorów, które w innych krajach koronnych tak się już dawniej okazało zbawiennem. Projekt komisyi centralnej, przesłany do szczegółowego zbadania Namiestnictwu galicyjskiemu, a przez Namiestnictwo przedłożony do ocenienia różnym poważniejszym korporacyom i osobistościom krajowym, ogłoszonym został w całej rozciągłości w dziennikach, tak, że możemy go uważać za dostatecznie znany. Wystarczy przypomnieć, że zajmuje on się sprawami tylko dwóch tak zwanych sekcyj konserwatorskich, tj. uregulowaniem opieki nad zabytkami przedhistorycznemi i nad zabytkami sztuki; działu archiwaliów nie dotyka wcale. Odnośnie do sekcyi pierwszej, dzieli Galicyę na 4 okręgi konserwatorskie (zamiast dotychczasowych dwóch) — a odnośnie do sekcyi drugiej (znowuż w miejsce dotychczasowych dwóch) proponuje aż 6 okręgów.

Zaprzeczyć się nie da, że projekt powyższy przedstawia ogromny postęp w obec dzisiejszych stosunków, tem bardziej jeszcze, gdy jako zasadę w nim postawiono, aby nigdy w jednej osobie konserwatora nie łączyć dwóch urzędów konserwatorskich, miano-

wicie dla działu zabytków przedhistorycznych i działu pomników sztuki, które to dwa działy winny być i pozostać zakresami całkiem odrębnemi.

Czy atoli projekt ten, świadczący o najlepszych chęciach wnioskodawcy, i będący względnie już dobrodziejstwem dla sprawy oświaty krajowej, można uważać za dobry, za dostateczne ulepszenie nawet w tych ciasnych ramach, w jakich komisya centralna całą obecną reformę widzieć chce? Mniemam, że nie, a mniemam tak nie ja jeden.

Gdy projekt komisyi centralnej Namiestnictwo udzieliło krakowskiej Akademii Umiejętności, nietylko żądając przedstawienia kandydatów na przyszłych konserwatorów, ale pytając o zdanie co do całości i szczegółów projektu, zarząd Akademii powierzył to zadanie umyślnie w tym celu zwołanemu komitetowi, w którego skład weszli przewodniczący obu z natury rzeczy tu wskazanych akademickich komisyj: archeologicznej i artystycznej (czyli kom. historyi sztuki) tudzież kilka jeszcze za odpowiednie uznanych osób przybranych z grona akademików lub członków komisyj. Komitet ten zastanawiał się nad przedłożeniem rządowem z wielką rozwagą, odbywszy cztery kilkogodzinne narady w dniach 3-go, 5-go, 9-go i 12-go listopada 1885 r., których głównymi o ile nam wiadomo wynikami są następujące uchwały.

Przedewszystkiem uznano projektowany podział na okręgi zarówno niedostatecznym, co do ich liczby, jako i nie zawsze praktycznym pod względem kształtu i geograficznego położenia. Jeżeli reforma ma być skuteczną, okręgi muszą być niezbyt wielkie, oraz stosować się do warunków komunikacyi za pomocą istniejących linij kolei żelaznej. Jakże żądać od kogoś, aby był dobrym konserwatorem, skoro przy najlepszych chęciach i zdolnościach, fizycznie nie może podołać swemu zadaniu, czyli innemi słowy, skoro mu się nałoży zbyt wielki obszar kraju do pilnowania, a nadto tak skonfigurowany, że posługiwanie się koleją żelazną nie przedstawia żadnego ułatwienia w podróżach, a do wielu dalszych i ważnych miejscowości tylko końmi dojechać można? Okręgi projektowane przez komisyę centralną, nietylko są zbyt wielkie, ale dzieląc Galicyę na szereg pasów prawie równoległych od północy ku południowi wydłużonych, często całą jej szerokość zajmujących, są przeważnie po-

przecinane liniami kolei biegnącemi od zachodu na wschód, a więc prostopadle do ich dłuższej osi; czasem nawet kilkoma liniami równoległemi, które wszystkie przecinałyby tylko drogę konserwatora w jego objazdach urzędowych.

Wszystko to razem ile możności uwzględniając, komitet akademicki uznał za potrzebne naprzód zmniejszyć jeszcze znacznie okręgi konserwatorskie, a tam gdzie znajdują się jakby gniazda, główniejsze ogniska zabytków, potworzyć okręgi nowe; następnie zastosować kształt okręgów nietylko do politycznego podziału kraju, ale i do warunków komunikacyjnych i topograficznych. Osobne więc okręgi potworzyć dla południowo-górzystych okolic Galicyi, a osobne dla północnych i wschodnich płaszczyzn, uważać zaś, aby każden o ile możności kolejami symetrycznie i wzdłuż był przerznięty. Stąd większa część okręgów miałaby kształt wydłużony od zachodu ku wschodowi. Oczywiście, że większe okręgi powstałyby tam, gdzie okolice mniej interesu artystycznego lub historycznego przedstawiają, a mniejsze w punktach ważniejszych i bogatszych, oraz, że gdy z góry postawioną była zasada, aby dla każdej z dwóch sekcyj zupełnie odrębne i od siebie niezależne czynić okręgi, przeto z zasady znacznie mniejsze utworzyć by wypadało okręgi dla działu zabytkow sztuki, aniżeli dla działu wykopalisk przedhistorycznych, których ochrona i mniejszą stosunkowo przedstawia ważność i może być uważana za łatwiejszą. Wreszcie uznano, iż miasta Lwów i Kraków zbyt są pod względem zabytków sztuki punktami ważnemi, aby godziło się je wcielać do okręgów okolicznych.

Ostatecznie więc podział na jaki się zgodzono wyglądałby tak:

Sekcya I. (wykopaliska przedhistoryczne):

Okręg 1. powiaty: Biała, Bochnia, Brzesko, Chrzanów, Grybów, Kraków, Limanowa, Myślenice, Nowy Sącz, Nowy Targ, Wadowice, Wieliczka, Żywiec.

Okręg 2: Brzozów, Dąbrowa, Dobromil, Gorlice, Jarosław, Jasło, Kolbuszowa, Krosno, Lisko, Łańcut, Mielec, Nisko, Pilzno, Przemyśl, Ropczyce, Rzeszów, Sanok, Tarnobrzeg, Tarnów.

Okręg 3: Brody, Brzeżany Cieszanów, Gródek, Kamionka Strumiłowa, Jaworów, Lwów, Mościska, Przemyślany, Rawa Ruska, Sokal, Tarnopol, Zbaraż, Złoczów, Żółkiew.

Okręg 4: Bóbrka, Dolina, Drohobycz, Kałusz, Rohatyn, Rudki, Sambor, Stare Miasto, Stanisławów, Stryj, Turka, Żydaczów.

Okręg 5: Bohorodczany, Boroszczów, Buczacz, Czortkowce, Horodenka, Husiatyn, Kołomyja, Kossów, Nadworna, Podhajce, Skałat, Śniatyn, Tłumacz, Trębowla, Zaleszczyki.

Sekcya II. (zabytki sztuki):

Okręg 1: Kraków miasto i powiat.

Okręg 2: Biała, Chrzanów, Myślenice, Wadowice, Wieliczka, Żywiec.

Okręg 3: Bochnia, Brzesko, Dąbrowa, Kolbuszowa, Mielec, Nisko, Pilzno, Ropczyce, Rzeszów, Tarnobrzeg, Tarnów.

Okręg 4: Gorlice, Grybów, Jasło, Krosno, Limanowa, Nowy Sącz, Nowy Targ.

Okręg 5: Brzozów, Dobromil, Jarosław, Lisko, Łańcut, Przemyśl, Sanok.

Okręg 6: Lwów miasto i powiat.

Okręg 7: Cieszanów, Gródek, Jaworów, Kamionka Strumiłowa, Mościska, Rawa Ruska, Sokal, Żółkiew.

Okręg 8: Bóbrka, Dolina, Drohobycz, Rohatyn, Rudki, Sambor, Stare Miasto, Stryj, Turka, Żydaczów.

Okręg 9: Bohorodczany, Borszczów, Horodenka, Kałusz, Kołomyja, Kosów, Nadworna, Śniatyn, Stanisławów, Tłumacz, Zaleszczyki.

Okręg 10: Brody, Brzeżany, Buczacz, Czortków, Husiatyn, Podhajce, Przemyślany, Skałat, Tarnopol, Trębowla, Zbaraż, Złoczów.

Jeżeli komisya centralna tak znacznie mniej od tego projektowała okręgów konserwatorskich, wynikło to niewątpliwie nie z braku troskliwości o kraj nasz, którą przecież tchnie wyraźnie cały projekt, tylko zapewne dlatego, że obawiała się czy znajdzie w Galicyi większą liczbę osób odpowiednich na konserwatorów. Wszelkie pod tym względem niedowierzania rozwiać powinien memoryał akademii, który okazuje, na jakiej nieznajomości stosunków naszych one polegają, skoro na każdą z powstających w ten sposób 15 posad konserwatorskich nietylko wskazani są już kandydaci poważni, ale na niejedną z nich można było przedstawić nawet po kilku do wyboru.

Komitet nie poprzestał na tej poprawce projektu rządowego, ale obok pomnożenia okręgów konserwatorskich przedstawił potrzebę znacznego też pomnożenia liczby korespondentów galicyjskich wymieniając komisyi centralnej, cały szereg osobistości odpowiednich.

Przez zamianowanie tychże zdobytym by został dla sprawy ochrony zabytków, znaczny kapitał sił naukowych i intelektualnych, rozproszonych po całym kraju, nieraz całkiem się marnujących, a w każdym razie rozstrzelonych obecnie w kierunkach najrozmaitszych. Przez ich skierowanie ku jednemu a tak pięknemu celowi, zyskałaby sprawa konserwatorska cały zastęp pomocników, doradzców, oraz tak znaczne ulepszenie kontroli niezmiernie trudnej nad zabytkami odleglejszych, lub na uboczu leżących zakątków prowincyi. Zresztą ci korespondenci mogliby być z pożytkiem dla rzeczy werbowani z pomiędzy młodszego świata naukowego a nawet obywatelskiego. Nominacya ich, jako nie mających doniosłej władzy konserwatorskiej, nie przedstawiałaby tak wielkiej odpowiedzialności, a inicyatywę ich możnaby uważać za rodzaj nowicyatu, któryby dostarczał później materyału na konserwatorów.

Ażeby ten nowicyat istotnie dopomagał do wynajdywania i wyrabiania młodych sił konserwatorskich, dobrze jednak będzie, aby był zorganizowanym i zjednoczonym w kierunku pracy. Istniejące w łonie Akademii Umiejętności w Krakowie komisye archeologiczna i historyi sztuki, wywierają zbawienny pod tym względem wpływ, lecz z istoty swojej ograniczać się muszą na pracy teoretycznej, czysto naukowej. A tu chodzi właśnie o tę tak do każdego samodzielnego działania niezbędną praktykę. Otóż tu znów poddał myśl sam regulamin konserwatorski, wymagający od konserwatorów aby wchodzili w ścisłą styczność z krajowemi i miejscowemi stowarzyszeniami archeologicznemi. W Galicyi kilka razy powstawały takie stowarzyszenia, obecnie jedno istnieje we Lwowie, w Krakowie Tow. św. Łukasza o celu pokrewnym, w Jasielskiem zawiązał się parę lat temu komitet opieki nad pomnikami miasta Biecza. Wszystkie te usiłowania wszakże albo po jakimś czasie upadały, albo nie odznaczają się zbyt wielką żywotnością, głównie może z braku poparcia ze strony społeczeństwa i z braku środków materyalnych. Nie da się zaprzeczyć, że członkowie tych komitetów i wydziałów czując się zewsząd izolowanymi, ruszając się jakoby w próżni, mają po jakimś czasie wrażenie, jak gdyby byli samozwańcami społeczeństwu nie miłymi, a nadto narażeni są na niemałe ofiary materyalne chcąc cokolwiek zdziałać, często nawet aby nic nie zdziałać.

Lecz inaczej przedstawia się rzecz, jeżeliby powstała jakaś

korporacya mianowana przez władzę, albo przynajmniej za staraniem rządu. Statut komisyi centralnej nietylko dozwala, ale doradza jej aby starała się o tworzenie korporacyj archeologicznych. Samo to pochodzenie dodawałoby jej pewności siebie i siły, a z czasem dałoby jej niewątpliwie prawo do stałych i zapewnionych funduszów, które w tych rzeczach są jednym z najistotniejszych warunków skutecznego działania. Musieliby się z nią liczyć sami konserwatorowie. O żywioły do utworzenia tego rodzaju stowarzyszeń nie trudno, przynajmniej w głównych miastach jak Lwów i Kraków. Tu z natury rzeczy przynajmniej po 3 konserwatorów musiałoby mieć swą siedzibę (dla samego miasta jeden z sekcyi II., dla otaczającego szerszego okręgu po jednym z każdej z dwóch sekcyj); a może i więcej niż trzech, gdyż postawiona zasada aby każden konserwator był swojego okręgu stałym mieszkańcem, nie zawsze da się przeprowadzić. Prócz tego w miastach tych oczywiście znalazłaby się dostateczna liczba korespondentów komisyi centralnej, bo ześrodkowują one bądź co bądź inteligencyę krajową. Oto gotowy zawiązek stowarzyszeń archeologicznych, około których zgrupowaliby się z pewnością inni jeszcze miłośnicy zabytków przeszłości, skoroby zobaczyli, że ich praca nie będzie bezsilną i bezskuteczną, że mogą zdziałać coś i być istotnie pożytecznymi. Stowarzyszenia te stanowiłyby niejako radę przyboczną konserwatorów, utwierdzałyby albo prostowały ich zdanie — boć i konserwator nie jest nieomylnym — przez wykonywanie legalnej, a nie drażniącej dziennikarskiej krytyki, mogłyby niejedną myśl pożyteczną poddać, w niejednem wyręczyć i niejedną fachową siłę zużytkować. Mogłyby a nawet powinnyby z czasem podjąć wydawnictwo specyalnego czasopisma będącego organem konserwatorskim, wreszcie miałyby bardzo ważne, pilne i piękne zadanie spisania inwentarza pomników historycznych i zabytków sztuki kraju naszego, czyli sporządzenie tak zwanej topografii artystycznej, którą już posiadają niektóre prowincye monarchii austryackiej, a która jest podstawą wszelkiej opieki konserwatorskiej.

Idąc jeszcze dalej ankieta akademicka zastanawiała się nad tą okolicznością, iż w komisyi centralnej nie zasiada ani jeden Polak, powiedzmy ani jeden Galicyanin. Jakkolwiek składu dzisiejszego tej komisyi nie można posądzać o niechęć dla kraju naszego, owszem

są to wszyscy mężowie poważni, wzbudzający uszanowanie, ludzie czujący się obywatelami Austryi, może nawet całego świata cywilizowanego, a nie zaściankowi agitatorowie narodowościowi, przecież brak zupełny przedstawiciela Galicyi, musi niekorzystnie wpływać na stanowisko naszego kraju w porównaniu do innych prowincyj, choćby przez to samo, że nie ma nikogo coby objaśniał ją o skarbach jego archeologicznych, coby prostował błędne nieraz o nim mniemania z nieznajomości pochodzące, był żywym między Galicyą a Wiedniem łącznikiem, czujnym stróżem jej interesów, i bezstronnie przedstawiając potrzeby jej, umiał dla najpilniejszych zjednać przychylność komisyi, wykołatać w danym razie pomoc moralną i materyalną.

Wszystkie te sprawy obejmuje memoryał przez akademię przedłożony rządowi, a postawione obok nich kandydatury, tak konserwatorów jak i owego nader pożądanego członka komisyi centralnej, Polaka, podobno zdolne obudzić jak najlepsze nadzieje.

Z naszej strony śmielibyśmy jeszcze dołożyć uwagę, iż Krakowowi, jako ognisku dzisiaj życia naukowego i ruchu historyczno-artystycznego u nas, może by przystało zostać siedzibą głównego zarządu owych projektowanych stowarzyszeń archeologicznych. Nie jestem wielbicielem centralizacyi, ale kto wie czy na niej nie dobrze by wyszła sprawa konserwatorska, tj. na zjednoczeniu się wszystkich miłośników zabytków ku jednemu celowi i na jednej wspólnej drodze. W zakończonej niedawno kadencyi sejmu czeskiego zostało wniesionem żądanie utworzenia w Pradze komisyi centralnej osobnej dla Czech, a obecny na posiedzeniu członek wiedeńskiej komisyi centralnej p. Hławka w tejże imieniu wyraził zgodę na ten pomysł, który tym sposobem może niedalekim jest swego urzeczywistnienia. Nie wątpię, że co jest możebnem dla Czech, da się też zrobić dla Galicyi. Korzyści zaś takiej instytucyi byłyby ogromne. Przenosząc ognisko opieki konserwatorskiej z Wiednia do kraju, zbliżyłaby ona do nas niejako źródło opieki. Z Wiednia czerpałaby powagę i władzę, pożądaną nieraz radę i poparcie, a może i pieniężne zasiłki — w kraju którego reprezentacya zapewneby jej też uposażenia nie odmówiła, mogłaby rozwinąć dozór i czynność, niedościgłą dla instytucyi o siedzibie tak bardzo oddalonej. Korespondenci i konserwatorowie mało dziś znoszą się z władzą swoją naczelną w Wiedniu, a między przeszkodami nie najmniejszą jest po

trzeba korespondowania w języku niemieckim; ta przeszkoda ustąpiłaby, gdyby potrzebowali znosić się tylko z komisyą krajową, a nadto pobudką do utrzymywania ożywionych stosunków stałby się z jednej strony żywy interes komisyi dla wszystkiego, co się dzieje w kraju, z drugiej zaś to, że konserwatorowie mieliby do czynienia z ludźmi sobie znajomymi, kochającymi to samo, co oni kochają, rozumiejącymi ich potrzeby i dążności. Komisya krajowa zdawałaby częste i regularne raporta komisyi centralnej wiedeńskiej i utrzymywałaby stolicę a przez nią świat naukowy zachodni w ciągłej świadomości tego, co u nas się dzieje i co u nas jest zacnego — mogłaby zaś starać się i dopilnować, aby w zamian czyniono dla Galicyi tyle, ile się czyni dla prowincyj niemieckich i bliższych stolicy.

Lecz, aby to wszystko było możebne, wyobrażam sobie, iż komisya ta krajowa galicyjska musiałaby nie wychodzić z żadnych wyborow, tylko być wprost mianowaną przez ministra na przedstawienie komisyi centralnej wiedeńskiej i to z mandatami czasowemi na lat 3 lub 5, aby była po prostu rodzajem filii komisyi centralnej, jej organem wykonawczym, i bezpośrednio podległym — natomiast względem konserwatorów i korespondentów krajowych władzą bezpośrednią, wyższą instancyą, lubo nie przysługiwałoby jej prawo ich mianowania.

Sądzę i jestem pewnym, iż znalazłyby się u nas żywioły do złożenia takiego grona, i to najwłaściwiej w Krakowie. A jeżeli takie żądanie wyraźnie formułuję i niejako przedkładam władzom rządowym, reprezentantom kraju, oraz opinii publicznej do bliższej rozwagi, czynię to w głębokiem przekonaniu o ważności sprawy, a wiem, że w tej mierze stoi za mną cały zastęp ludzi poważnych — nie takich, coby sami może pragnęli dojść do władzy w tej przyszłej instytucyi, ale bezinteresownych miłośników kraju i jego pomników.

IV.

To wszystko stanowi dopiero jedną stronę przedmiotu. Rozstrząsane powyżej ulepszenia, wtedy tylko mogą stać się początkiem wielkiego kroku naprzód, i w tem leży cała przyszłość sprawy —

jeżeli poprze je społeczeństwo. Najpiękniejsze urządzenia i ustawy nic nie pomogą bez tego najważniejszego czynnika, zwłaszcza w rzeczach tak czysto idealnej natury. Pouczającem pod tym względem jest porównanie wyników urządzeń konserwatorskich w Grecyi i we Francyi.

Aby było możebnem to, co widzimy w Anglii lub Francyi, na to potrzeba społeczeństw bardzo wysoko oświeconych a cywilizacyą przesiąkłych aż do najszerszych warstw... Anglikami nie jesteśmy, nie jesteśmy też Francuzami, lubo skłonnością do anarchii mocno ich przypominamy. I, zważywszy głęboki Francyi upadek religijny, moralny i polityczny, dobrze że nimi nie jesteśmy. Lecz czego im zazdrościć możemy, to zmysłu praktycznego. Zmysł ten znosi wielką część ich wad, — nasze wszystkie zalety i cnoty paraliżuje indywidualizm; każdy chce być panem a nie podwładnym, tak jak w wojsku polskiem sami byli oficerowie, których nie miał kto i nikt nie chciał słuchać. Polakowi trudno mieści się w głowie, aby mu kto mógł rozkazywać w rzeczach dotyczących jego własności, ba, nawet i doradzać. Najlepszej rady nie usłucha, żeby tylko nie u s ł u c h a ć. Las cały naraz sprzeda lub zniszczy, ze swoją i okolicy szkodą, aby tylko pokazać swoją niezawisłość od ustaw i kontroli władz; obraz piękny każe partaczowi przemalować, byle postawić na swojem, a na złość zrobić jakimś nieproszonym znawcom, co go przed tym krokiem przestrzegają. Dziwny to sposób dowodzenia swojego prawa własności przez jej niszczenie. Otóż na jeden raz całego poziomu naszej oświaty nie podniesiemy, wszystkich warstw społeczeństwa nie ucywilizujemy, tak żeby ono dorównało najcywilizowańszym społeczeństwom Zachodu. Ale co nie jest niemożebnem, to żebyśmy zapanowali nad indywidualizmem wrodzonym. Trudne i to zadanie, wszelako wymaga tylko wysilenia woli, które może nastąpić po nabyciu stanowczego przekonania. Wystarczy rozumieć potrzebę i chcieć — reszta przyjdzie. Zrozummy, że dzieła sztuki, że zabytki przeszłości nie są zabawkami, ale ważnym dokumentem i środkiem cywilizacyjnym; chciejmy w rozporządzeniu niemi poddać się zdaniu znawców, powag; powiedzmy sobie, że usłuchać człowieka lepiej ode mnie się znającego nie jest ujmą ani wstydem. Jeżeli rozum nam tego nie wytłumaczy, to niech mu dopomoże serce, uczucie spełniania ważnego obowiązku. Nie chciejmy

dla zaspokojenia miłości własnej przyczyniać się do krzywdy narodu materyalnej i moralnej, ale owszem robiąc ofiarę z naszej prywaty i zachcianek indywidualnych poprzyjmy działalność miłośników zabytków i konserwatorów, którzy są urzędowymi tychże opiekunami.

Jeżeli zaś kto najpotężniej może i powinienby przed innymi ich poprzeć, to duchowieństwo. W kraju naszym nie było z dawien dawna zbiorów publicznych, muzeów; nie mieliśmy Medyceuszów, ani Borgiów, ani Burbonów, a jeżeli która prywatna lub panująca rodzina obróciła swoje dostatki na dzieła sztuki, wszystkie prawie rozproszyły lub zniszczyły niepowrotnie wojny, napady i klęski publiczne, których kraj nasz tak często bywał ofiarą, jak może żaden drugi w Europie całej. Ale mieliśmy mecenasów w możnych i światłych biskupach, którzy dochody swoje na uświetnienie służby Bożej poświęcali, mieliśmy wiarę i religijny zapał wszystkich warstw narodu, z których pobożnej ofiarności kościoły, klasztory i skarbce katedralne napełniły się kosztownościami i dziełami sztuki. Wielkie musiało być to bogactwo, skoro go nie wyczerpały wszystkie owe klęski i wojny, i dziś jeszcze najwspanialszemi muzeami naszemi są kościoły. Tu więc najobszerniejsze i najwdzięczniejsze pole do zachowawczej missyi konserwatorów.

Ale jakżeż się godzi ta interwencya instytucyi państwowej, jaką jest urząd konserwatorski, z prawem własności i niezawisłością Kościoła, która każdemu katolikowi, a tembardziej księdzu najdroższą być powinna? Gdyby konserwator był uprawniony do gospodarowania lub rozkazywania w kościele, byłoby to niezawodnie z duchem i prawami Kościoła niezgodnem, ale skoro zadanie konserwatora jest litylko negatywnem i oraz doradczem, tej sprzeczności zgoła nie ma. Konserwator nie może nakazać budowania, ani nawet przerobienia lub przeniesienia ołtarza, obrazu, grobowca.... tylko kiedy gospodarz kościoła postanawia coś przerobić, odmienić — konserwator może przeszkodzić, żeby nie zniszczono malowidła, rzeźby, pomnika mającego wartość artystyczną, i uchronić przez to w pierwszym rzędzie samego właściciela od szkody, którąby przez niebaczność lub niewiadomość poniósł.

Mamy podobny przykład w policyi budowniczej — która również dozoruje i negatywnie ogranicza dowolność właścicieli w budowaniu i przerabianiu gmachów, w interesie bezpieczeństwa. Tej

instytucyi państwowej podlegają budynki kościelne tak samo jak prywatne. Sądzę nawet że sami zwierzchnicy Kościoła nie pragnęliby z pod tej kontroli kościelnych budowli usunąć, bo wiedzą, że kontrola ta wymaga fachowych wiadomości i że bez niej Kościół byłby na wielkie szkody narażony. Otóż w tym samym rodzaju jest nadzór urzędu konserwatorskiego nad rzeczami kościelnemi, pod względem wymagań sztuki czy archeologii. I tu, zadanie czysto prewencyjne i zachowawcze. I tu, jeszcze więcej niż w kwestyi bezpieczeństwa, potrzeba fachowych wiadomości i specyalnych nauk. A że tu nie idzie o bezpieczeństwo życia i mienia, tylko o całość duchowego kapitału, który się mieści w pamiątkach i dziełach sztuki do Kościoła należących, to tylko podnosi ważność i potrzebę takiego nadzoru.

Kościół, jak całemu światu wiadomo, jest największym opiekunem sztuki, jak i wszystkich idealnych dóbr ludzkości. Jemu dzisiejsza cywilizacya zawdzięcza, nietylko przechowanie prastarych zabytków, ale też natchnienie w dzieła wieków średnich ducha, któremuześwietczała sztuka dni naszych zazdrościć musi. Ale im dalej dzieje płyną, tem więcej umysłowość ludzka rozgałęzia się w specyalności — i tem więcej, między innemi, ocenianie i konserwacya dzieł sztuki i archeologii staje się rzeczą fachową, naukowym zadaniem specyalistów.

Dawniej była to rzecz smaku, pobożności i konserwatyzmu niejako nieświadomego: dziś stało się sprawą czysto naukową, nader trudną i osobnych studyów wymagającą. Dziś mamy do zachowywania przedmioty różnych epok, rozlicznych stylów i rozmaitej techniki. Nić wielu tradycyj pielęgnowanych niegdyś przez cechy przerwała się oddawna. Trzeba jej dopiero szukać mozolnie, a dochodzeniom i próbom poświęcić pracę, która całkowitego oddania się temu zawodowi wymaga. Zamiłowanie nie wystarcza, nieraz szkodzi nawet, potrzeba wiadomości gruntownych, fachowych. Zdarzają się nieraz i duchowni specyaliści w rzeczach archeologii i antykwarstwa, ale nie podobna tego wymagać ani oczekiwać od ogółu, od stanu duchownego, który z nauką religii i duszpasterstwem ma zaprawdę dosyć do czynienia. Słuszną więc rzeczą, żeby jak w higienie słuchają lekarzy, a w budownictwie inżynierów, tak i w naprawianiu zabytków sztuki zasięgali rady ludzi rzemiosła.

Wziąść wreszcie należy na uwagę właściwy charakter tej instytucyi zachowawczej w Austryi, który nietylko nie zawiera nic przeciwnego wyżej określonemu negatywnemu pojęciu atrybucyi konserwatora [1], lecz nadto tchnie najprzychylniejszem uszanowaniem dla stanu duchownego. Wskazówka z r. 1875 powiada wprawdzie tylko, że „konserwator winien z naukowemi stowarzyszeniami, szczególnie jeżeli „posiadają zbiory muzealne, dalej z mężami fachowymi oraz prywatnymi zbieraczami zabytków do odpowiedniej sekcyi należących, „wreszcie z władzami i korporacyami kościelnemi i innemi pozostawać nieprzerwanie w przyjaznej styczności. Będzie on przy tem pamiętał, że lubo nie w jednakiej „mierze,... równie komisyi centralnej jak i owym gronom też same „przyświecają cele; a występując w obec nich w imieniu komisyi „centralnej, nie będzie tego czynił w duchu jakowejś konkurencyi, „lecz w myśli wzajemnego poparcia i pomocy“ (§. 8). Powstanie wszakże pojęcia urzędu konserwatorskiego, dzieje rozwoju tego pojęcia, których ślad złożony w szeregu rozporządzeń, statutów i instrukcyj, świadczą niezbicie, że jedną z myśli przewodnich było przy tem przekonanie o potrzebie przyznania odrębnego stanowiska duchownym, jako przedstawicielom instytucyi, której bynajmniej nie można traktować na równi z osobami prywatnemi lub korporacyami świeckiemi.

W memoryale, w skutku którego zrodziła się pierwsza myśl utworzenia komisyi centralnej, podanym cesarzowi Franciszkowi Józefowi 21 grudnia 1850 r. wyraża się ówczesny minister handlu Bruck jak następuje:

„Wzgląd na to, że wielka część budowli pomnikowych składa „się z kościołów katolickich, prezbiteryów i t. p. czyni rzeczą po„żądaną, żeby przy zamierzonej instytucyi, zapewnić sobie czynny

[1] „Komisyi centralnej zadaniem jest... rozszerzać wiadomości o pomni„kach przeszłych pokoleń i poszczególnych narodowości, a zachowywać je od „zniszczenia i zatraty ku większej chwale tychże“ (statut z r. 1873 §. I.).

„Zadaniem konserwatorstwa (sekcyi dziejowej) jest wedle sił przeszkadzać „burzeniu starych budowli, tudzież pozbywaniu mniejszych zabytków, jak ołtarzy, kazalnic, posągów, obrazów, o ile ze względu na historyę sztuki lub „na dzieje wybitny interes z niemi się łączy; niemniej wpływać na to, aby „zabytki dawnej sztuki utrzymywane były w odpowiednim stanie i całości, „ażeby ich nie szpecono przez przeróbki stylowi przeciwne (dobudowy, moder„nizowania i t. p.), lecz owszem zachowała się właściwa ich cecha“. (Instrukcya konserwatorska z r. 1875 §. 21).

„udział i pomoc duchowieństwa katolickiego, na którego gorliwe „poparcie tem bardziej liczyć można, że jemu to ludy Austryi prze- „ważnie zawdzięczają początki oświaty, tak jak i dalszy rozwój jej „i rozszerzenie się, i że z pewnością duchowieństwo katolickie za „sprawę godności swej poczyta, jeżeli za przykładem poprzedników „na niwie sztuki i nauki, także i w tym kierunku będzie miało „sposobność pożyteczną rozwinąć działalność".

Towarzyszący powyższemu memoryałowi projekt statutu, aż w trzech różnych ustępach zajmuje się unormowaniem stosunku komisyi do duchowieństwa, obiecując sobie od niego największe poparcie i przychylność dla sprawy, a w §. 9 powiada:

„Przedewszystkiem należałoby zaprosić do udzielenia ener- „gicznej pomocy duchowieństwo, jako przedstawicieli pomników ko- „ścielnych, oraz personal nauczycielski, i reprezentacye gminne, z po- „wodu ich wpływu na ludność..."

W §. zaś 22: „Dalszem staraniem komisyi musi być... obu- „dzenie zmysłu artystycznego u księży, gdyż oni to mają najpier- „wszą sposobność wstrzymywać w wielu kościołach i klasztorach „restauracye wymaganiom sztuki przeciwne".

Statut komisyi centralnej z d. 24 czerwca 1853 r. znów bardzo wiele zajmuje się pozyskaniem duchowieństwa dla sprawy konserwacyi i w §. 13 mówi:

„Jest obowiązkiem centralnej komisyi na właściwej drodze „zawiązać stosunki z klerem, ażeby zmysł dla rzeczy sztuki „z dawien dawna wśród jego członków stwierdzony utrzymać w sile „i ożywiać, tudzież by ich do poparcia celów komisyi w pierwszym „rzędzie pociągnąć, gdyż ..... przedmioty historycznie lub ar- „tystycznie znakomite w większej części powierzone są ich opiece, „i w budynkach pod ich dozorem stojących, najdłużej się też prze- „chowały.

Późniejsze wreszcie różne instrukcye i okólniki ministeryalne zalecają konserwatorom zwłaszcza względem władz dyecezalnych i biskupich, jaknajwiększą oględność i uszanowanie, tak, że w ogóle stosunek konserwatorów do władz duchowych przedstawia się jako najzgodniejsze współdziałanie ku jednemu, obu stronom drogiemu cywilizacyjnemu celowi, a wzajemnemu porozumieniu w zasadzie nic zupełnie się nie sprzeciwia.

Wszelako, aby takie błogie porozumienie było istotnem, nie wystarcza, iżby konserwatorowie byli ludźmi dobrych zasad i sumienia, trzeba jeszcze koniecznie, żeby księża pożyteczność ich urzędu zrozumieli i uznali. A tu nie wystarczy żadna namowa, nie wystarczy nawet objawione życzenie biskupa: tu rozstrzyga jedynie wykształcenie kapłańskie. Cóż mi znaczą wszystkie argumenta o ważności pomników i dzieł sztuki w zasadzie, jeżeli w danym razie nie zdołam odczuć, czy co jest dziełem sztuki lub nie. Co więcej, nie wystarcza ani dobra wola, ani zamiłowanie nawet piękna instynktowne albo i teoretyczne. Przykładów mógłbym dość przytoczyć z przeszłości i z teraźniejszości. Tu stanowczo potrzeba jakiej takiej znajomości historyi sztuki. Od księży jak powiedziałem niepodobna wymagać, aby byli archeologami, lecz jako od posiadaczy tylu skarbów sztuki i przeszłości kraju, może społeczeństwo żądać, żeby wiedzieli przynajmniej tyle, ile potrzeba do rozróżnienia cennych zabytków od starych gratów, oraz do uznania powagi i pożyteczności konserwatorów, ich naturalnych sprzymierzeńców w dziele cywilizacyi narodu. Toby przemawiało za umieszczeniem w programie uniwersyteckiego czy seminaryjskiego wykształcenia alumnów, także nauki archeologii i historyi sztuki. O ile mi wiadomo w seminaryach niemieckich, tak w Austryi jak w innych państwach, czas na to się znajduje i korzyści z tych wykładów już się uwidoczniły.

Do tak przygotowanego dopiero kleru wystosowane rozporządzenia i kurendy ordynaryatów biskupich, mogą wydać owoce. Z ościennych krajów niemieckich, z Czech, Szlązka, a nawet Węgier moglibyśmy przytoczyć dość dowodów, jak tam sprawa ochrony zabytków uważaną jest za jedną ze spraw duchowieństwa, i jak na wezwanie władz dyecezalnych proboszczowie wiejscy przyczyniają się skutecznie do zachowania, restaurowania i inwentaryzowania zabytków archeologicznych.

W naszym kraju, gdzie się cieszymy przychylnością rządu i łącznością stanów w interesach religii i narodowości, mogliby, jak nam się zdaje, konserwatorowie rządowi być zarazem mianowani od Najp. XX. biskupów konserwatorami dyecezalnymi, podobnie jak adwokaci i inżynierowie rządowi bywają w wielu miejscach mianowani dyecezalnymi prokuratorami i budowniczymi. Taka nominacya

nie byłaby oczywiście zasadniczą i nieodwołalną, ale jak długo osobistości konserwatorów dają rękojmię wierności dla kościoła, byłaby to zapewnie najszczęśliwsza kombinacya. W ten sposób usuniętąby została druga przeszkoda skuteczności działania galicyjskich konserwatorów. Trzecia, ostatnia, o której mówić zamierzam, leży w samych konserwatorach.

Jestto sprawa wielce delikatna Wspomniał podobno p. Demetrykiewicz w jednym artykule dziennikarskim, że konserwatorowie galicyjscy mają wstręt do żądania funduszów państwowych na ochronę zabytków kraju naszego. Faktem jest, że ich nie otrzymują. Wprawdzie wiemy, że komisyi centralnej dotacya jest niemożliwie szczupłą; finanse zresztą Austryi także nie dają pola do oczekiwania wielkich wspaniałomyślności na poszczególne cele idealne A jednak udaje się drogą jedną i drugą uzyskać jakieś środki na cel ochrony zabytków w innych krajach koronnych na restauracyą katedry św. Szczepana w Wiedniu wyznacza rada państwa przez dłuższy szereg lat po 50.000 złr., na św. Wita w Pradze po 20 czy 25 tysięcy, na różne kościoły i zamki w Iliryi, Karyntyi, Tyrolu nawet na Szlązku i Morawie ratami lub jednorazowo większe lub mniejsze sumy, komisya centralna zaś ze swoich środków także zasila różne wydawnictwa, zamawia plany ruin, każe kopiować niszczejące freski i to nie w stolicy lub w arcyksięstwie austryackiem tylko, ale i w odleglejszych i słowiańskich prowincyach. Jest pewnem, że wszystkie kraje koronne w większej czy mniejszej mierze biorą udział w tych aczkolwiek skąpą ręką dawanych zasiłkach z funduszów centralnych monarchii; jedna tylko Galicya, jak gdyby była najbogatszą nie bierze nigdy nic. A to dlaczego? Bo nikt nigdy dla zabytków Galicyi nic nie żąda. Przecież trudno, aby nas o przyjęcie zasiłków proszono, aby nam je narzucano. A dlaczego nikt nie żąda? Bo są jeszcze między nami ludzie, którzy czują wstręt nieprzezwyciężony do żądania czegoś z Wiednia do „proszenia“ o coś „Niemców“. Wolelibyśmy tego nie mówić, ale jest to sprawa tak ważna, że zamilczeć jej nie podobna. A choć dowodów na to zebrać trudno, są poszlaki dające taką pewność moralną, że nie waham się zdanie takie wypowiedzieć jawnie. Tylko nie chciałbym być źle zrozumianym.

Duma taka, zwłaszcza po tem czego doświadczamy od Prus,

mogłaby być bardzo szlachetną i zaszczytną, gdyby miała jakąkolwiek podstawę. Nie zapominajmy atoli, że ostatnie zdarzenia wykazały olbrzymią różnicę moralną, jaka zachodzi pomiędzy Niemcami w ogólności a Niemcami pruskimi, którzy rozum, sumienie i wolę zaprzedali szałem wielkości i powodzenia zaślepionemu, choć niewątpliwie genialnemu człowiekowi. Zresztą fundusze Austryi nie są funduszami niemieckiemi. Składają się na nie nie sami Niemcy austryaccy, ale i Czesi, i Morawcy i Szlązacy i my. Z powyżej określonego wstrętu do oglądania się na nie cóż wynika? Oto, że z patryotycznej dumy nic nie bierzemy na konserwacyę naszych zabytków z kasy państwa, ale za to płacimy i grubo płacimy na restauracyę katedry wiedeńskiej i praskiej, kościołów i zamków górno-austryackich, styryjskich czy tyrolskich, na kopiowanie fresków Runkelsteinu i wydanie zdjęć zamku czeskiego Sterneck. Wyborny patryotyzm, nie prawda?

Nie na tem koniec. Nie dość nie prosić o pieniądze, ale broń Boże „Niemcom“ owym spowiadać się z tego co my w kraju naszym dla ochrony zabytków czynimy. Czynimy wprawdzie niewiele: ofiarność prywatna bardzo jest skromną, sejm zaś galicyjski z wielkiem wysileniem udziela rocznie zaledwo kilkanaście tysięcy (w r. b. tylko 11.410) złr. na ten cel. Ale przecież z tymi małymi środkami coś się zawsze robi. Tylko trzymane to jest w największej tajemnicy nawet przed komisyą centralną, która odbierając ze wszystkich prowincyj doniesienia, zapytania, prośby o radę i wnioski o zasiłki, tak od korespondencyj galicyjskich jest odzwyczajoną, że aż uważa za stosowne w sprawozdaniach swoich z żywem zadowoleniem podnosić jako radośny fakt, jeżeli wyjątkowo uda jej się dowiedzieć o potrzebach tej prowincyi. Jeżeli komu wydaje się moje twierdzenie przesadnem, to proszę zajrzeć do *Mittheilungen*, rok 1878 str. XVI. Jest tam mowa o planach restauracyi Sukiennic przedłożonych do ocenienia; a po obszernym ich rozbiorze, powiedziano dosłownie: „Wreszcie wyraziła komisya centralna (na posiedzeniu) szczególne uznanie swoje reprezentacyi miasta Krakowa za jej dobre chęci, i w kroku jej uznała pocieszający znak zwiększającego się uwzględniania działalności komisyi centralnej“. Bodaj czy nie wynikiem zawiązanych stosunków była uzyskana w Wiedniu na restauracyę Sukiennic zapomoga, jedyna jakiej ślad znaleść można w długim ciągu lat.

Drugi nadzwyczajny wypadek odwołania się do komisyi centralnej zaszedł w rok później, z okazyi rozpoczętego burzenia wielkiego ołtarza na Wawelu, a czytając opinię tej władzy centralnej i „niemieckiej“ [1] żałować tylko z niejakiem upokorzeniem wypada, że słuszna, a takiem poszanowaniem naszych pamiątek tchnąca rada, niestety uwzględnienia nie znalazła. Jest zjawisko dziwne a niezaprzeczone: na dobre restauracye jakoś często brak pieniędzy — ale te pieniądze zawsze się znajdą, kiedy chodzi o restauracyę złą, szkodliwą i niepotrzebną. I to drugie, że przez długie lata nie utrzymują u nas starych budynków w porządku, nie czyszczą, nie zmiatają — ale za to potem najniepotrzebniej zabierają się wreszcie raz do skrobania, piłowania, przemalowywania, które tylko psuje lub szpeci budynek, a byłoby nawet nieraz zbytecznem, gdyby byli go ciągle tylko starannie obkurzali. Wszakże dziś już tak postępować nie wolno, nie godzi się.

Żyjemy w epoce krytycyzmu i nauki. Nieświadomością nikt się tłumaczyć nie ma prawa. Nie mamy stylu panującego, ale mamy uczonych i znawców, możemy zbadać, odczuć i uszanować wszystkie style, i tem się chlubi wiek nasz. Nie zapominajmy, że może za najlepsze, za jedynie dobre dzieła naszej architektury, poczyta nam potomność nasze sumienne restauracye. Sposobności do nich

---

[1] „Kapituła katedralna uważa istniejący dotąd ołtarz.... za tak uszko„dzony, że wydaje się koniecznem jego usunięcie. Na miejscu jego ma stanąć „nakładem nienazwanego dobroczyńcy wielki ołtarz skomponowany w kształ„tach gotyckich, lecz w drzewie wykonany.... Komisya wychodząc ze „stanowiska możebności restauracyi dawnego ołtarza, zaleciła pozostawienie „tegoż i pełne uszanowania sporządzenie. Przy tej sposobności uważała za sto„sowne oświadczyć się za tem, iżby w kościołach i innych gmachach tylko „wtedy wprowadzano zmiany ich wewnętrznej ozdoby i urządzenia, kiedy te „z jednej strony z powodu stanu zniszczenia okażą się nieuniknionemi, a z dru„giej strony przez nie usuwa się przedmioty tak artystycznie jak historycznie „będące bez wartości. Lecz wtedy winne zawsze na to miejsce przyjść albo „dzieła sztuki niezaprzeczonej wartości, albo przynajmniej utwory stylowe „dobre i w harmonii z budynkiem będące. Tę zasadę zastosowując do wielkiego „ołtarza katedry krakowskiej, oraz ze względu na fakt już rozpoczętego roz„bierania ołtarza dawnego, a pominąwszy nawet znaczenie jego artystyczne, „tudzież wspomnienia historyczne dodające mu ceny, mogłaby komisya cen„tralna popierać zastąpienie ołtarza nowym tylko wtedy, gdyby nowy ten oł„tarz przewyższał dawny wartością artystyczną; tego jednak nie można o przed„łożonym projekcie powiedzieć“. (Mittheilungen r. 1879 str. XV. i XVI.)

podobno nie brak. Trwałość wszystkich rzeczy ziemskich, wszystkich tworów kunsztu ludzkiego ma pewien kres naznaczony. Obecnie właśnie nadeszła chwila kiedy po kilkowiekowym bycie zabytki średniowiecza, zwłaszcza budowle mniej dobrze postawione, lub mniej zabezpieczone, chylą się ku zagładzie. Nadeszła ostatnia godzina ratowania wielu z nich, bo jeżeli nasze pokolenie tego nie uczyni, będą stracone. Ochraniając je nietylko spełniamy obowiązek względem przeszłości, ale okryjemy się chlubą i zyskamy wdzięczność potomności.

Jeżeli Prusacy tępiąc naszą narodowość, sami jednak biorą w Poznańskiem w opiekę nasze pomniki i wmawiają tylko w świat, że to pomniki ich własnej przeszłości, a jeżeli z drugiej strony widzimy na znacznym Polski obszarze systematyczne tychże pomników niszczenie i zacieranie przeszłości śladów, — to dla nas, którym ani przeszkody fizyczne, ani nieproszeni opiekunowie w drodze nie stoją, powinno być rzeczą świętą i sprawą honoru wziąć na siebie samych opiekę nad swojemi pomnikami i wszelkiemi siłami ochronę ich przeprowadzić. Starajmy się, aby kraj nasz i pokolenie nasze nie zadało kłamu pięknym słowom przez francuską komisyę pomników historycznych wypowiedzianym w raporcie jej urzędowym z r. 1874: „*Il était donné à notre époque de comprendre que conserver les édifices qui racontent la gloire du pays, c'était faire revivre son passé au profit de son présent et de son avenir*“.

St. Tomkowicz.

CZŁOWIEK W STOSUNKU DO RELIGII I WIARY.

II.

1. Religia jest wykwitem niezepsutej natury ludzkiej — bezreligijność stanem przeciwnym naturze. — Akty rozumne woli i uczucia, na których religia zależy, mają korzeń w naturze. — 2. Religia jest przyrodzonym zadaniem, a więc i obowiązkiem człowieka. — 3. Religia dźwignią człowieka, stawiającą go na właściwej wyżynie.

Czem jest religia dla człowieka? Odpowiedź na to pytanie daliśmy już właściwie poprzednio w analizie istoty religii. Wystarczy więc prawdy tam w zawiązku zawarte, wyraźnie rozwinąć i dalsze wysnuć z nich wnioski, a cała kwestya będzie wyczerpująco omówiona. Jednakże popularność, jakiej używają w naszych czasach niektóre opinie o wartości religii dla człowieka, wymaga najprzód krótkiej dygresyi.

Dla plemienia dzisiejszych bezwyznaniowców religia nie jest już tylko obojętną rzeczą, którą można było bez wyrzutów sumienia złożyć z siebie i odrzucić, jak starą suknię — ale jest ciężarem nieznośnym, samowolnie narzuconym przez księży, jarzmem niewolniczem, pod którem człowiek traci swą godność, łańcuchem krępującym swobodę życia i nawet polityki państwowej. Tego rodzaju bezwyznaniowców sformowały się już całe legiony. Ale tu — jak i w wielu innych wrzekomych zdobyczach naszego czasu — prawda stoi na przeciwległym biegunie. Religia w ogóle wzięta nie jest wcale ciężarem nałożonym sercu człowieka z zewnątrz lub wbrew jego woli. Ona tryska samoistnie z głębi duszy ludzkiej, jako naturalny wypływ rozumowej natury. Rozum nie przygnębiony, nie zakuty w kajdany cielesności, domaga się religii wewnętrzną ko-

niecznością. Wprawdzie rozliczne i rozmaite są formy religii, które wymysł ludzki błędnie utworzył i samowolnie innym narzucił, ale nigdy żaden zdrowy rozum nie poddałby się którejkolwiek z tych form, żadna wolna wola nie ugięłaby się pod jej jarzmem, gdyby religia w ogólności nie była wrodzoną potrzebą rozumnej natury, prawem głęboko w jej wnętrzu wyrytem. Sam fakt ten, że religia w różnych a błędnych objawia się formach, jest niezbitym dowodem istnienia jednej prawdziwej religii; bo przed wszelkim fałszem musi iść prawda jako warunek i podstawa jego bytu. Kłamstwo czy błąd, to tylko okaleczona prawda. Udowodnienie tej tezy w obec wyniku uprzednich badań, żadnej już nie sprawia trudności.

Wszystkie pierwiastki stanowiące istotę religii nie są rozumowi wbrew woli, przymusowo narzucone, lecz są to uznania rozumu i czyny woli, których umysł zaniechać nie może bez narażania się na niepowetowaną szkodę. Bezwzględna zawisłość nasza, jestto fakt najpierwszy, którego nie dostrzedz niepodobna. W którąkolwiek stronę obróci się rozum, wszędzie poznać ją musi, i gwałt chyba sobie zadając może się wyzuć z tej wiedzy. Jeśli rozum wglądnie w siebie samego, znajduje przedewszystkiem w sobie zdolność poznawania prawdy – lecz zarazem właśnie w tej zdolności widzi swą najzupełniejszą zależność. Czemże bowiem jest prawda? czy może upodobaniem rozumu, pragnieniem woli, tworem wyobraźni? Nie — prawda nie jest bytem zawisłym od umysłu, ale przeciwnie, umysł jest poddanym prawdzie i od niej zależnym. Jej poznanie zaspokaja go tylko wtedy, kiedy on podobnym się staje prawdzie po za nim leżącej, i obraz jej w sobie odtwarza. A tak już najwyższa z wszystkich władz ludzkiej natury, nosi na sobie piętno zależności, i nie podobna żeby o tej zależności nie wiedział.

Rozpatrując się dalej w wnętrzu istoty człowieka, spostrzegamy w woli dziwną jakąś dążność i tęsknotę, jakieś nieogarnione a konieczne pragnienie. Skądże ono wypływa i dokąd dąży? To pragnienie szuka wprawdzie nasycenia w przedmiotach o różnych postaciach i różnych nazwach: już to w dostatkach, już upojeniu zmysłów lub wyższej rozkoszy ducha, już w godnościach i zaszczytach. Ale jakkolwiek różnorodne są przedmioty, do których wola dąży, które miłuje, których posiadanie ją uszczęśliwia, jeden jest przecież wspólny,

zasadniczy powód tego dążenia, miłości i szczęścia, tj. że te przedmioty są rzeczywiście dobre lub przynajmniej takiemi się wydają. Pobudką więc nakłaniającą wolę jest dobroć *(bonitas)* rzeczy. Zatem od dobroci tej jest ona zależną w całem swem działaniu, w każdym akcie, we wszystkich poruszeniach swoich. Dobroć ta nie zależy od niej, ona jej nie tworzy, nie wywołuje i nie może sobie powiedzieć: odtąd nie będę ni kochać ni szukać tego co jest dobre, ale tylko za tem co jest złe ubiegać się będę. Wola może wprawdzie powstrzymać się od poszczególnego przedmiotu, który istotnie jest dobrym — ale tylko albo dla tego, że w nim jakąś ujemną stronę lub przynajmniej pozór złego odkrywa, albo też, że sam akt wyrzeczenia się przedmiotu w tej właśnie chwili, za dobry dla siebie być uważa. Dobro zatem jako takie wywiera nieograniczony wpływ na ludzką wolę i najzupełniej ją opanowuje. Więc i tu niepodobieństwem jest nie widzieć tej drugiej potęgi, której człowiek chcąc nie chcąc podlega. Inny jeszcze rodzaj zależności woli wskazuje nam rozum: z jednej strony poznaje człowiek zupełną swobodę swej woli, lecz z drugiej widzi też jasno, że ta wolność ma i musi mieć granice, których jej przekroczyć nie wolno. Każdorazowe przejście po za ten obręb, wywołuje w głębi umysłu poczucie i wyrzut złego uczynku, i oraz zgryzotę jako karę za jego popełnienie. Rozum tedy poznać musi nieodzownie to prawo ścieśniające a raczej ograniczające fizyczną wolność woli, bez naruszenia jej istoty. Oto więc nowa zależność, która w każdym dniu, w każdej nieomal godzinie przypomina się rozumowi. Ileż to razy chciałby człowiek nie czuć tej zależności, ileż razy pragnąłby siłą nawet pozbyć się jej natręctwa — lecz próżne chęci, nadaremne wysilenia. A chociaż niekiedy uda się odwrócić ucho od tego monitora, zapomnieć o tej zależności, zapomnienie to chwilowem tylko być może, poczem głos prawa odzywa się na nowo i to z większą jeszcze potęgą. Pierwszy więc krok, który stawia człowiek na drodze do religii przez poznanie swej zawisłości, jest faktem koniecznym, wypływającym z głębi ludzkiego rozumu.

Nie mniej konieczne jest drugie poznanie: że istotą od której człowiek ostatecznie we wszystkiem zależy, jest Bóg. Nad jakąkolwiek bowiem zastanowimy się zależnością, zawsze dojdziemy po jej stopniach do pierwszej, przedwiecznej przyczyny, od której

wszystko zawisło. Czy zastanowimy się nad początkiem naszego bytu, czy nad jego trwaniem, czy nad potęgą naszych władz i rozmaitością przymiotów, czy nad ową tkanką dziwnych przygód i zdarzeń przeplatających całe życie nasze, wszędzie mimowoli zapytać nam przychodzi: kto jest sprawcą tego wszystkiego? nie człowiek, bo on się właśnie czuje zależnym, nie świat przedmiotowy, bo i on w tej samej co i człowiek pozostaje zawisłości; musi być zatem jakieś jestestwo, które daje początek wszystkiemu i tem wszystkiem porusza, kieruje i rządzi, a tem jestestwem jest Bóg. Gdy znów wglądając w głąb ducha własnego, zapytamy się, czem jest ta prawda, do której duch tęskni i lgnie z całej siły — ta prawda której ja nie tworzę lecz tylko poznaję, która nie zależy ode mnie, lecz od której ja sam w poznawczem działaniu mego ducha zupełnie zależny jestem? Odpowiedzi na to nie znajdziem prędzej, aż rozum nasz wzbije się stopniowo do tej istoty, która sama jedna powiedzieć może o sobie: „Jam jest prawdą“, a od której wszelka prawda pochodzi: bo jak wszelki byt tak też i własność udzielania się istotom rozumowym, i sam rozum poznający, z jednego pochodzą źródła, odzwierciedlając w sobie ów rozum twórczy, który wszystko poznaje i poznając stwarza.

Jeśli znów człowiek zastanawia się nad swoją wolą, bada jej zależność od dobroci przeświecającej we wszystkich przedmiotach do których dąży, których pragnie, lub które kocha, to podobnym sposobem dochodzi aż do dobra doskonalszego od wszystkich dóbr, do dobroci bezwzględnej której promienie zlocą wszystkie jestestwa zewnętrznego świata, a która stanowi ostateczny właściwy przedmiot i cel ludzkiej woli.

Jestto niezawodnie własnością każdej naturalnej dążności, że dopiero w osiągnięciu swego przedmiotu znaleść może zupełne zaspokojenie. Dążność przestaje być dążnością, skoro swój właściwy przedmiot już osiągnęła. Jakżeż się więc ma wola ludzka względem różnych przedmiotów do których dąży? Dąży ona wprawdzie do bogactw, do zaszczytów, do rozkoszy, wabiona ponętą rzeczywistego lub pozornego dobra; ale czyż choć jeden z tych przedmiotów potrafi ją nasycić, położyć jakiś koniec jej ustawicznemu dążeniu? Nie — chociażby człowiek posiadł bogactwa całej ziemi, chociażby stanął na najwyższym szczeblu zaszczytów, choćby się kąpał w morzu

rozkoszy i zbytków, nigdy nie powie: już dosyć! Owszem przeciwnie, im więcej posiadł, im wyżej się wzbił, im bardziej upoił, tem dotkliwiej czuje, tem jaśniej widzi całą niedostateczność mniemanych szczęścia przedmiotów — i woła z tym, który więcej niż ktokolwiek inny zakosztował wszelkich dóbr ziemi: *omnia vanitas et afflictio spiritus*. A zatem dobro zdolne zaspokoić tę istotną dążność woli człowieka, jest pozaświatowem; szukać go trzeba w krainie wieczności, nieskończoności. Dobra ziemskie są odblaskiem tego dobra nieskończonego, kroplami tego źródła rozprysłego po świecie — i właśnie dla tego urok ich jest tak silnym, słodycz tak pociągającą, że wypływają z tego źródła, które jest ostatecznym celem naszej woli, a które Bogiem zowiemy. „Całe moje jestestwo, mówi głęboki myśliciel [1], szuka czegoś wyższego i doskonalszego od siebie, a nie tylko dziś lub jutro, ale wciąż, bez ustanku doń dąży i dążyć będzie zawsze za doskonalszem jakiemś jestestwem, przewyższającem wszelkie dane wielkości. To zaś co wszelką wielkość daną przewyższa jest nieskończonością".

Podobnie też drogą wewnętrznego prawa sumienia, rozum ludzki koniecznie, mimo swej woli nawet, do poznania Boga dojść musi. Każde prawo prowadzi do poznania prawodawcy. Więc prawo na żywej tablicy serca naszego wyryte, poznać nam daje prawodawcę, posiadającego moc wypisania swej woli w głębi serc ludzkich. A któżby mógł tę moc posiadać jeśli nie ten, który serce to stworzył, który zapalił światło rozumu i wolę jego zwierzchnictwu poddał. — Świadomość tedy Boga jest owocem, który rozum ludzki koniecznie zrodzić musi. Aby owoc ten dojrzał, drzewo zwyczajnej tylko potrzebuje uprawy i normalnego rozwoju. Zupełnie zaś zbyteczną byłoby rzeczą wszczepiać weń w tym celu obce jakieś żywioły. Stąd pochodzi owa p o w s z e c h n o ś ć świadomości Boga, którą, jak widzieliśmy, udowadnia nietylko chrześcijańska religia, ale i filozofia pogańska, tak, że Augustyn św. mówiąc o ateuszach, słusznie mógł ich nazwać *rarum hominum genus* [2].

Jeśli więc to dwojakie poznanie jest koniecznym wynikiem rozumowej natury ludzkiej, to i trzeci jego stopień tem samem

---

[1] Gratry. De la connaissance de Dieu, t. II., p. 270.
[2] Aug. in Ps. 52.

prawem konieczności wypływać z niej musi. Poznawszy bowiem nieskończony majestat Boga i swoją od niego zależność, niepodobna nie dojść do praktycznej konkluzyi, że obowiązkiem naszym jest postępować odpowiednio do tej zależności, czyli, że zależność ta winna być regulatorem całego życia naszego, modłą każdego uczynku. Najprostszy nawet człowiek jasno pozna konieczność zastosowania się w swem życiu do istniejącego porządku. Podwładny bez długich wywodów uzna obowiązek postępowania jak na podwładnego przystoi. Rozum więc uznaje koniecznie obowiązki wypływające ze stosunku zależności naszej od Boga; skoro zaś rozum ukazał woli obowiązek, wola więc spełnić go powinna: bo nie masz dla niej wyższej doskonałości ni milszej słodyczy nad wypełnienie obowiązku, choćby to wypełnienie czasami okupić przyszło przełamaniem niemałych trudności. A kiedy rozum i wola przejęły się obowiązkiem czczenia Boskiego Majestatu i spełniania Jego rozkazów z uległością, wtedy wola wpływem swym nakłania serce z całym zasobem jego uczuć do przyjęcia tegoż obowiązku za kierownicze prawidło całego życia. Nakoniec zewnętrzny nawet wyraz uczuć religijnych jest psychologiczną koniecznością. Rysy twarzy, ich gra i wyraz, ruchy i układ ciała są wiernem zwierciadłem, odbijającem w sobie wewnętrzne życie ducha. Prawda to więc niezaprzeczona a widoczna, że religia jest naturalnym, samoistnym, a koniecznym wypływem wszelkiej rozumowej natury. Bezreligijność zatem jest potworem, płodem nienaturalnym, bo wbrew przeciwnym prawom i wymaganiom natury. Dawniej tych co wszelką religią wzgardzali, nazywano silnymi duchami *(esprits forts)* — niby dla odwagi z jaką zrzucili z siebie dawny ciężar. Ależ smutna to odwaga przeciw prawdzie. Albo raczej czy to nie brak odwagi cofać się przed prawdą, uciekać przed prawem, które ona nakłada?

Inni znów ludzie nierównie liczniejsi, nie są tak wrogo względem religii usposobieni, ale uważają takową za rzecz najobojętniejszą w świecie, którą odrzucić można jak sprzęt niepotrzebny. Przeciwko temu znów zapatrywaniu powstaje jawna prawda, że religia jest najistotniejszym obowiązkiem człowieka a konsekwentnie bez-

religijność najgorszym występkiem. Dosyć wyciągnąć wnioski z pojęć wyżej już rozwiniętych, a rzecz będzie udowodnioną.

Orzeł z Patmos słyszał raz Boga objawiającego się mu z temi słowy: „Jam jest *alpha* i *omega*, początek i koniec“ [1]. Tem jest On w istocie. Strumień wszelkiego bytu tryska z łona jego miłości i rozlewa się morzem wszechstworzenia, na to, by w końcu znów do źródła swego powrócić. Bóg jest źródłem wszechbytu, lecz nie z konieczności, nie z musu, ale z dobrowolnej miłości. Wszystko więc jest Boga własnością. Bo czemkolwiek jest każde jestestwo i cokolwiek ma, to od Boga pochodzi i od samego tylko Boga. Nie masz głębiej uzasadnionego prawa własności, nad prawo które Bóg ma do swego stworzenia. Jak mało daje sztukmistrz dziełu rąk swoich; a jednak nabywa przez to prawa zwania go swą własnością i dowolnego z niem postępowania. Jak niewiele przyczynia się rolnik, by ziemia owoc wydała, a przecież te owoce niezaprzeczenie do niego tylko należą. O ileż większe zatem są prawa Stwórcy do swych stworzeń!

Więc i człowiek ze wszystkiem czem jest i co posiada, najzupełniejszą jest własnością Bożą. Do Boga też należy każda myśl jego, każde chcenie, każde uczucie, od pierwszej chwili, w której jako bezsilne dziecię wędrówkę swoję rozpoczyna, aż do ostatniego tchnienia, gdy już strudzony tułactwem kładzie się do spoczynku.

A nietylko Stwórcę naszego lecz i cel jedyny mamy w Bogu, przez co tem zupełniej własnością Jego jesteśmy. Gdyby sztukmistrz sporządził jakiś przedmiot jemu tylko przydatny, którego cała czynność wyłącznie do jego osoby się odnosiła i w nim się kończyła, czyż przedmiot taki nie byłby związany ze swym panem daleko ściślejszem własności prawem. Otóż to samo do człowieka zastosować należy. Pocóż go Bóg wydobył z nicości? widzieliśmy już to powyżej: Bóg z miłości swej własnej Istoty chciał, aby nietylko On sam, ale i miliony duchów niebieskich i ziemskich znały Ją, kochały i czciły, i dlatego jedynie powołał te jestestwa do bytu; a wśród nich stanął i człowiek: *Nazwałem cię imieniem twojem, mójeś ty* [2]. Mójeś ty, mówi Bóg tj. ty dla mnie żyjesz, tyś

[1] Apoc. I. 8.
[2] Izaj. 43, 1.

dla mnie samego przeznaczony, abyś mię znał, czcił, uwielbiał, kochał i z miłości ku mnie spełniał mą wolę. Aby to umożebnić, opromienił go Bóg światłem oblicza swego i wycisnął na nim obraz i podobieństwo swoje. Zaświecił w nim światło rozumu, jako odblask własnej Natury, aby mógł oglądać piękność swego Stworzyciela, lubo tylko w zwierciedle jego tworów. Oprócz rozumu obdarzył go wolą, czyli władzą miłowania, na podobieństwo swej własnej miłości, aby człowiek mógł Go kochać — nadewszystko i we wszystkiem. I stąd to pochodzi, że człowiek tej natury swojej i tego przeznaczenia nigdy w sobie zagłuszyć nie może. Może wprawdzie zabłądzić na drodze wiodącej do celu, może obciążyć się pyłem materyi, ale uspokoić umysł na fałszywej drodze, zadowolnić serce pokarmem ziemskości — nigdy nie zdoła. Znak to więc niechybny, że ten, który wolę ukształcił, dóbr tych jej nie przeznaczył za cel i koniec ostateczny. Bo każda dążność zaspokojoną być musi, skoro tylko osiągnie cel, do którego przeznaczoną była. Muszą więc po za ziemią i po za czasem istnieć dobra odpowiedne wszystkim pragnieniom woli. A oceanem tych dóbr i tego szczęścia jest sam Bóg. Jak Bóg znajduje niezmierzone szczęście w miłości Samego Siebie, tak też i żądza człowieka znajduje szczęście najwyższe i jedynie ją zaspokajające w miłości Bożej, w dążeniu do Boga, a nakoniec w posiadaniu Boga. I ta właśnie tożsamość przedmiotu szczęścia stanowi jedno ze znamion podobieństwa naszego do Boga.

Stąd już jasno wynika, że człowiek ma tylko jedno przeznaczenie na ziemi, przeznaczenie głęboko wyryte, jako nieodmienne prawo w jego duszy. Każde jestestwo w przyrodzie ma w całym ustroju swojej natury, w całem wewnętrznem ukształceniu swoich sił i własności, znamię właściwego sobie zadania, które spełnić musi, celu, który musi osiągnąć. Tak też i w człowieku cały ustrój jego władz wskazuje jego przeznaczenie: a tem jest: Boga poznać — choć nie bezpośredniem widzeniem istoty Bóstwa, ale wczytywaniem się w księgę przyrody tak cudownie palcem Bożym nakreśloną: Boga sławić i uwielbiać, dla niepojętej chwały, jaką głosi niebo i ziemia, a głównie sam człowiek streszczający w sobie całą przyrodę: dzięki składać za nieocenione dary, które nieustannie z Jego ręki na człowieka spływają: wreszcie spełniać wolę Bożą zawsze, wszędzie i we wszyst-

kiem, gdziekolwiek się ona objawia. Słowem służba Boża w uwielbianiu i dziękach, oto przeznaczenie człowieka.

Takiem więc jest to przeznaczenie: bo człowiek jest własnością Bożą, dziełem rąk Bożych. Czemże jest prawo własności? Jest mocą rozporządzania odnośnym przedmiotem o tyle, o ile on jest własnością, a więc w danych warunkach czyjąś pracą, trudami, zatrudnieniem. A Boski właściciel człowieka rozporządza nim i przeznacza go wyłącznie na swoją służbę, w tym celu go stworzył i darami swemi obsypał, aby on Stwórcy i Dobroczyńcy swemu służbę tę oddawał. I to było właśnie owem dobrem, od początku przejrzanem, które Bóg chciał osiągnąć jakkolwiek go nie potrzebował, to było pobudką, która skłoniła Boga by stworzył człowieka. A zatem służba Boża to pierwsza, ostateczna racya bytu człowieka na ziemi i po za ziemią, w czasie i w wieczności. Służba zaś Boża jest właśnie religią. Fakt to więc niezaprzeczony, logika prawdziwie żelazna, że religia jest prawdziwem i istotnem przeznaczeniem człowieka, obejmującem wszystkie dni, wszystkie chwile jego żywota, że w religii zawiera się właściwe zadanie człowieka, pod które wszystkie inne dążności i sprawy podporządkowane być winny, albo jeśli z niem są niezgodne, odrzucone być mają.

Czemże więc jest bezreligijność a raczej odstępstwo od religii — jeśli nie odstępstwem od jedynie prawdziwego przeznaczenia, najistotniejszego zadania człowieka? A że to przeznaczenie i zadanie rdzennem jest jego naturze, więc też odstępstwo takie jest naturze przeciwne, jest zgwałceniem praw natury, jest występkiem iście potwornym!

Cóż więc z dwojga jaśniejszem jest dla wolnego od uprzedzeń rozsądku: czy że religia jest najistotniejszym obowiązkiem człowieka, a bezreligijność występkiem, czy też twierdzenie nowożytnego indyferentyzmu, który pozwala odrzucić religię, jak niepotrzebną starzyznę?

Zwyczajnym już stało się w naszych czasach objawem, że ludzie roszczący sobie prawo do najwyższych zasług na drodze postępu i cywilizacyi, uważają religię nietylko za przesąd bezpodstawny ale za słabość upadlającą człowieka. Jakżeż się ma rzecz w istocie?

W religii znajduje człowiek dźwignię podnoszącą wszystkie jego władze. Czemże jest religia najprzód dla rozumu? Czyż nie skarbnicą najpodnioślejszych myśli? Rozum szukający zaspokojenia w religii, nie wlecze się o kuli wśród pyłu i błota codziennego życia, lecz wzbija się w górę jak orzeł, by zatopić wzrok w słonecznym blasku swego Stwórcy, on się zagłębia w tajemnice przyrody, ale nigdy nie wikła się w nich bezradnie, bo mu przewodniczy myśl Twórcy, jak igła magnesowa; w drodze obowiązków życia nie błąka on się bezmyślnie po nieznanych manowcach, ale widzi przed sobą drogę prostą, silnie z obu stron ogrodzoną. To też fakt to powtarzający się w dziejach wszystkich narodów, że co największego i najpiękniejszego okazać mogą, to wszystko wpływowi pojęć o Bogu, religii mają do zawdzięczenia. Poezya w najpodnioślejszych swych arcydziełach, nie snuła ideałów z poziomych pojęć ani z błota zmysłowości, lecz sięgała po nie aż do tronu Bożego. Rzeźba, malarstwo, architektura i wszystkie sztuki, w myśli religijnej czerpały swe najpiękniejsze pomysły i najzdrowsze prawidła. Inaczej w dziełach ich tkwiłby już zasadniczy zaród zniszczenia.

Człowiek tylko w świetle religii poznaje samego siebie i swoją godność prawdziwą. Jedna tylko religia, chociażby nawet nie wychodziła po za obręb naturalnego światła, może dać człowiekowi wierzytelny dyplom szlachectwa. Bo czyż może być wyższa, szczytniejsza godność na ziemi, jak być królem wszystkich jestestw widzialnych, środkiem moralnej grawitacyi wszechstworzenia, przyczyną dla której wszelkie piękno i wielkość stworzone zostały? Tutaj niewątpliwie dosięga człowiek szczytu swej godności. A właśnie godność ta jest najpierwszą, zasadniczą prawdą w religii. Poprzednio już to wykazaliśmy. Bóg stworzył człowieka, aby człowiek znał i kochał Boga. Że zaś Stwórca sam w sobie naturalnie niewidzialnym jest dla stworzenia, przeto musiał mu podać księgę czytelną dla jego zmysłowo-rozumowej natury, księgę, z którejby człowiek mógł wyczytać piękność i chwałę swego Pana. Świat widzialny więc, który jest tą księgą palcem Bożym dla człowieka skreśloną, w człowieku jedynie ma swój koniec i cel; dla niego istnieć począł i dla niego istnieje; a to nietylko, aby mu dać pokarm i schronienie, ale głównie, by mu ogłaszać wielkość i chwałę Stwórcy swego. Jeśli

więc świat tylko dla człowieka istnieje, toć człowiek jest jego królem i panem [1].

Lecz to dopiero połowa godności, jaką on wśród materyalnego świata piastuje. Bo jest on zarazem od Boga powołanym kapłanem zmysłowego świata. Wszystko co istnieje musi końcowo do tego się odnosić, żeby Bogu oddawać należną cześć i chwałę. Świat też spełnia ten cel bezustannie; ale całą chwałę, cześć i służbę Stwórcy należną składa on w ręce człowieka, który dopiero hołd ten Bogu ofiarować winien. Kapłański ten stosunek człowieka do materyalnego świata nie jest wcale wytworem wyobraźni, ale prawdą rozumu. Kiedy świat śpiewa Bogu hymn pochwalny, kiedy wysławia Imię Jego, czyni to bezpośrednio dla człowieka; jeśli spełnia prawa Boże z nieodmienną dokładnością, to i tu bezpośrednim celem tego posłuszeństwa jest tylko człowiek. Świat służbę swą nie bezpośrednio ale pośrednio Bogu oddaje przez to, że człowiekowi umożebnia i ułatwia poznanie Boga i służenie Mu hołdem czci, chwały i dziękczynienia. Rzeczywiście więc człowiek jest kapłanem przyrody. Jestto więc poniekąd świętokradztwem, jeśli człowiek posługuje się przyrodą nie ku wielbieniu Boga, ale ku służeniu namiętnościom i samolubstwu. Jestto skrzywdzeniem Boga, któremu należy się chwała od wszystkich jego stworzeń, których chwałą jest służyć Bogu. Jestto w końcu upodleniem samego człowieka, który od stworzeń żebrząc szczęścia, tem samem niżej się od nich stawia, jak wymownie mówi św, Paweł. „Albowiem powiadając się być mą„drymi, głupimi się stali. I odmienili sławę nieskazitelnego Boga, „w podobieństwo obrazu człowieka śmiertelnego, i ptaków, i czworo„nogich i płazu. Dla czego podał je Bóg pożądliwościom serca ich, „ku nieczystości: aby między sobą ciała swe sromocili. Którzy pra„wdę Bożą odmienili w kłamstwo: i chwalili i służyli stworzeniu ra„czej niż Stworzycielowi, który jest błogosławiony na wieki“ [2].

(C. d. n.)

X. Antoni Langer.

---

[1] Cf. Hettinger, Apologie des Christenthums, 9-ter Vortrag.

[2] Do Rzym. I. 22—26.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Znaczenie większej własności i obowiązki większych właścicieli ziemskich w Królestwie polskiem p. *Ludwika Górskiego*. Warszawa 1886. 8⁰ str. 195.

Czytelnikom „Niwy“ pamiętne są głębokie i poważne poglądy, które autor w szeregu artykułów w piśmie tem w 1882 r. zamieszczał. Obecnie mamy je zebrane w jedną całość, uzupełnione i zastosowane do zaszłych od tego czasu radykalnych zmian tak systemu celnego w Europie jak i radykalniejszej ewolucyi ekonomiczno-społecznej, na którą zaeuropejska konkurencya rolnictwo w pierwszym rzędzie wystawia. Książka, jak z tytułu widzimy, napisana dla ziemian Królestwa polskiego, wśród których autor wybitne zajął stanowisko, z wielu względów pożyteczne i praktyczne zawiera nauki dla ogółu polskiego.

Kongresy, wiece rolnicze i mnogie głosy w prasie, poszukują przeważnie ratunku zagrożonego rolnictwa, w interwencyi państwa i władzy: p. Górski widzi go przedewszystkiem w samopomocy na podstawie poznania stanowiska naszego i w przeobrażeniu moralnem przez zwalczenie wad, mianowicie lenistwa i bezrządu, jeszcze powszechniejszego od właściwego marnotrawstwa. Wykazuje więc źródłowo i porównawczo[1] korzystniejsze, niż w reszcie Europy po-

[1] Autor czerpie z najkompetentniejszych źródeł jak: Anuczin: „Oczerki“ i „Atlas“. — Strzelbicki: „Superficie de l'Europe“. — Załęski: „Statystyka porównawcza Król. pols.“ — Zbiór wiadomości statyst. Tow. kred. ziem. — Materyały komitetu urządzającego — oraz prace Goltza, Meitzen'a, Semlera, Risslera i t. p.

łożenie własności większej w Polsce ze względu na jej stosunek do ogólnej przestrzeni kraju, przeciętny obszar i skończoną całość majątków, oraz mniejsze wyczerpanie siły produkcyjnej ziemi. Zwraca uwagę na odłużenie nadmierne pożyczkami o wysokiej stopie w stosunku do rentowności, na brak kredytu na kapitał obrotowy. Cenne wskazówki tak co do wewnętrznych przyczyn rolniczego przesilenia w Europie jak i zewnętrznej zamorskiej konkurencyi — jak niemniej krytykę protekcyi cłowej jako nieosiągającej celu, oparte na najnowszych pracach specyalistów na tem polu, znajdzie też tu czytelnik. Autor dalej rozbiera pobudki absenteizmu i w ogóle zniechęcenia u ziemian, dowodząc iż nie są uzasadnione, gdyż praca na ojczystym zagonie, nietylko materyalnie byt zapewnić jest jeszcze w stanie, mimo bardzo ciężkich pod każdym względem warunków, ale jest nadto, dla najlepszych sił jedynem polem do wywierania dodatniego na społeczeństwo wpływu.

O ile środki do walki z konkurencyą może są nieco za ogólnikowo, przez tak doświadczonego rolnika jakim jest autor podane — o tyle druga, moralna połowa zadania ziemianina traktowaną jest wyczerpująco i z całą szlachetną obywatelską godnością. „Folwark „i wieś stanowią i dziś jeszcze bieguny osi społecznego życia“ powiada on, a obok duchowieństwa jedynie ziemiaństwo zdolne być jak było dotąd dodatnim cywilizacyjnym pierwiastkiem. Wpływ zaś jakkolwiek ograniczony i paraliżowany, wywierać można i trzeba na ludność bądź w bezpośrednim stosunku do liczniejszej niż w innych krajach klasy robotników wiejskich, czy w pełnieniu urzędów gminnych, administracyjnych i sądowych, lub przechodząc „szkołę obowiązków publicznych“ na posadach Towarzystwa kredytowego.

Rozpowszechnione, niestety, u nas zdanie, że gospodarstwo nie przedstawia pola wdzięcznej pracy dla umysłu wykształconego, zbija autor wskazując, jak dziś bardziej niż kiedy samodzielność z wykształcenia płynąca jest koniecznym warunkiem tak racyonalnej eksploatacyi samej, jak objęcia doniosłości i roztropnego pełnienia społecznych obowiązków. Zaleca wychowanie młodzieży bardziej ku ojcowskiemu zawodowi skierowane i wykształcenie, oprócz uniwersyteckiego, także i specyalne rolnicze — krytykuje też wychowanie kobiet.

Znając doskonale ujemne strony współziemian, których znako-

micie charakteryzuje i klasyfikuje ze względu materyalnego znaczenia i moralnej wartości, broni ich jednak od ryczałtowego i ogólnikowego zarzutu nieradności w publicznej i prywatnej sferze. Przypomina fakta z działalności obywatelstwa wiejskiego w inicyowaniu i przeprowadzaniu reform społecznych, w spełnianiu uciążliwych obowiązków i gotowości do poświęceń dla publicznego dobra. Za wzór do naśladowania stawi owo podźwignięcie się, mimo cięższych niż dzisiejsze okoliczności, po przewrocie spowodowanym uwłaszczeniem; żywiąc niepłonną nadzieję, że warstwa narodu co taką żywotność okazała, potrafi przetrwać i dzisiejsze przesilenie, natężeniem umiejętnej pracy i energii, a oszczędnością, zaparciem i poświęceniem dla kraju, utrzyma swe stanowisko. Aby zaś ziemiaństwo tworzyło istotnie coraz poważniejszą, jednolitszą, społeczną siłę, winno zacząć od zharmonizowania zasadniczych pojęć, co do których bezprzykładna gdzieindziej panuje w niem rozliczność i chwiejność. „Najskrajniejsze opinie od pozytywizmu do wybujałego idea„lizmu, od negacyi wiary do zabobonności, od zupełnego zwątpienia „o przyszłości do ślepego zaufania, i wszystkie ich modyfikacye i od„cienia pomieszane bezładnie spotkać można między ludźmi na fol„warcznych zagrodach", trafnie mówi autor, i z wyrozumiałością, do pewnego stopnia to uwzględnia, żądając jednak ustalenia pojęć zasadniczych przynajmniej o tyle, aby lada książka lub artykuł złego dziennika, albo deklamacya mniemanego postępowca nie zachwiewały przekonań sięgających do zasad najgłębszych i najżywotniejszych. „Rozliczność i chwiejność ta to przedmiot lekceważenia stanu zie„miańskiego, potrzebującego jednolitych pojęć o rzeczach najważniej„szych, bo tyczących obowiązków względem Boga, rodziny i kraju. „Zasady te muszą być jasne, gruntowne, głębokie: w przedmiotach „religijnych trzymać się nauki Kościoła, w kwestyach społecznych „być rozważnie postępowym, w politycznych narodowo-zachowaw„czym". Przy sposobności rozbiera autor dokładnie znaczenie pojęcia „postęp", jako hasła tylekroć nadużywanego, przypominając że nie jest on siłą niezależną jakąś, motorem pchającym człowieka w nieznaną mu przyszłość, ale jest ruchem zależnym od dobrego użycia wolnej woli człowieka — „pragnąć postępu to pozbyć się „wad, a nabyć cnoty — to odrzucić błędy, a poznać prawdę. Gdzie „podstawą przekonań nie jest prawda, tam musi panować chwiej-

„ność, ruchliwość i zmienność. Teorye podkopujące wiekami usta-
„lony porządek; kwestyonujące wszystko, co człowiek czcić i sza-
„nować ma obowiązek, chełpią się tą zmiennością przekonań i do
„celów ją swych naginają, przyjaciele porządku nie powinni się dać
„niemi uwodzić, ale stać silnie przy zasadach praw moralnych i spo-
„łecznych".

„Z obowiązku, z położenia i potrzeby takimi przyjaciołmi po-
„rządku być winni właściciele ziemscy".

Nie możemy też sobie odmówić przytoczenia szerokiego po-glądu na doniosłość przeobrażenia dzisiejszego ekonomicznego, uważa je autor za faktyczne zaprzeczenie teoryi Maltusa i wniosków z niej o wyłączeniu części ludzkości od „reszty życia". „To zaopatrzenie", powiada p. Górski, „najliczniejszej części ludności Europy — wy-
„równanie kwestyi stopy zarobków — to broń przeciw złośliwie
„głoszonej przez socyalistów teoryi renty czyli korzystania z zaso-
„bów cudzą wytworzonych pracą, środek torujący drogę do uspo-
„kojenia namiętności rozbudzonych przewrotnemi teoryami, ułatwia-
„jący uspokojenie owo, które tylko przez odrodzenie duchowe
„społeczeństwa całkowicie osiągnąć się może".

„Wśród grona szczęśliwych narodów, przeobrażenie to skłania
„nas byśmy tem żarliwiej strzegli i bronili tego, co zapewnia życie
„ducha i byt materyalny, więc religii i własności ziemi. Jak nie-
„dawno podnieśliśmy się większą niż przedtem usilnością i pracą,
„tak dziś uznajmy i dopełńmy reformy wewnętrznej w obec ewolu-
„cyi ekonomiczno-społecznej z otuchą i zaufaniem, że reformami
„wielkiemi społecznemi kieruje dla naszego dobra Opatrzność, ona
„wierzącym i pracującym błogosławi, ale pracy naszej niech przy-
„tomne będą słowa Zbawiciela: „Szukajcież tedy najprzód królestwa
„Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przy-
„dano".

Temi słowy Boskiego Mistrza kończy p. Górski swą książkę, z każdej jej karty tchnie spokój, umiarkowanie i wyrozumiałość, wytrawne znawstwo społeczeństwa i położenia kraju, ich miłość prawdziwa, bezstronność i szczerość. Pragnienie gorące na drodze pokoju i miłości przerodzenia moralnego tej przewodniej części społeczeństwa dla której głównie praca przeznaczona. Obfite źródła najnowszych badaczy na polu ekonomicznem i obyczajowem szeroko

zużytkowane i poparte wymową licznych dat statystycznych nadają jej powagę nietylko moralnego traktatu, ale i ściśle naukową wartość. Pojawienie się książki w chwili trwającej jeszcze paniki i zwątpienia, tem cenniejszem czyni to wglądnięcie w siebie samych i tem głębsze i trwalsze przynieść winno owoce, czego z całego serca jako zasłużonej nagrody szanownemu autorowi życzyć należy.

A. Breza.

W sprawie ekonomicznej. Do p. Merunowicza posła, przez *Edmunda Kraińskiego.*

Zasłużony półwiekową pracą, nietylko nad rolą, ale i nad ludem ziemianin, wydał broszurę, w której z nowego punktu rzuca światło na obecną naszą ekonomiczną niedolę.

Sięgając najpierw do Bachowskich rządów w Galicyi, autor przekłada stare, ale jeszcze nie zamarłe w skutkach fakta, które tłumaczą, dla czego i w jaki sposób Galicya została upośledzoną w porównaniu innych części monarchii i czemu dziś w gorszych od nich pod względem ekonomicznym znajduje się warunkach. „Polityka biurokratycznych rządów w Austryi, mówi p. Kr. — łaską miłościwego Monarchy, przed dwoma dziesiątkami lat usunięta — była o tyle materyalnie dla nas szkodliwszą od rządów Rosyi i Prus, — że gdy tamte państwa swoje polskie nabytki jako własność stałą i nienaruszalną uważały, a przeto i ekonomicznych interesów polskich prowincyj z oka nie spuszczały, rządy Austryi uważały Galicyę jakby prowizoryczną posiadłość, gotową do zamiany za powabniejsze dla nich kraje, — a przeto ekonomiczne potrzeby podporządkowywano zawsze widokom politycznym rządzących ministrów i postępujących w naszym kraju zupełnie inaczej — aniżeli na Szląsku, Morawii lub w Czechach.

„Ostatnim i najbezwzględniejszym egzemplarzem destrukcyjnego dla Galicyi kierunku był (1849—1850) minister spraw wewnętrznych Dr. Bach. Patent cesarski z dnia 17 kwietnia 1848 dla Galicyi wydany zniósł pańszczyznę i wszelkie urbaryalne powinności, przyjmując na skarb państwa obowiązek spłacenia uprawnionym za zniesione urbaryalia, zostawił byłym poddanym prawo do wykonywania służebnictw na gruntach dworskich, — pod warunkiem płacenia za wykonywanie tego prawa. Ustawa państwowa z 7 września 1848 — uchwalona przez reprezentantów wszystkich niewęgierskich krajów monarchii — nie wyłączając Galicyi, postanowiła, że z obliczonej należytości za zniesione urbaryalia, strącić się ma $^1/_3$ część uprawnionym, a na resztę wypłacić się mającej indemnizacyi, jedną połowę ma płacić dotyczący kraj, a drugą połowę obowiązani byli poddani. Otóż minister Bach uznał za właściwe, — nie dozwolić Galicyi równych praw z innemi krajami koronnemi, i ażeby utworzyć inne, ekonomicznie zgubniejsze dla naszego kraju prawidła, zwołał we wrześniu 1849 do Wiednia specyalną komisyę, mającą się naradzać nad nowym rządowym projektem, w celu przeprowadzenia uwolnienia gruntów w królestwach Galicyi i Lodomeryi. Do składu tej komisyi wybrał pan Minister 4 ministerialratów w Wiedniu urzędujących, 3 publicznych funkcyonaryuszów z Galicyi — i 3

członków z posiadaczy większych własności w Galicyi, wybranych na ten cel przez Namiestnika hr. Gołuchowskiego, a tymi byli: — deputat stanowy Maurycy Kraiński, — Dyrektor Towarzystwa kredytowego Kazimierz hr. Krasicki i adwokat krajowy Michał Tustanowski, w tej tedy z 10 członków złożonej komisyi miał minister siedmiu zupełnie bezwarunkowo swojej woli podległych a tylko 3 członków ekonomicznych interesów kraju broniących. Wszelkie poprawki przez tych 3 członków z mniejszości stawiane odrzuconemi zostały a posiedzenia dnia 27 września 1849 r. rozpoczęte, zakończone zostały konferencyą w dniu 27 czerwca 1850 r. w ministerstwie spraw wewnętrznych w obecności ministra Dra Bacha odbyte, — o tej konferencyi mamy od naocznego świadka i współuczestnika następującą relacyę

„Na dniu 27 czerwca 1850 r. oprócz członków komisyi był także obe„cnym hr. Gołuchowski. Referent radca sekcyjny Bayer podniósł zasadnicze „punkta projektu. Potem minister Bach poruszył kwestyę sposobu spłacania „przyrzeczonej uprawnionym indemnizacyi za zniesione powinności poddańcze, „ale pominął zupełnie stanowcze oświadczenie co do środków, jakiemi fundusz „indemnizacyjny zasilonym być ma. W dyskusyi nad środkami do utworzenia „funduszu indemnizacyjnego pierwszy głos zabrał grecko-kat. proboszcz ksiądz „Litwinowicz, i przedstawił, że obarczenie poddanych jakimkolwiek datkiem „do zebrania funduszu indemnizacyjnego przy ich ubóstwie i po otrzymanem „przyrzeczeniu Najjaśniejszego Pana, że wynagrodzenie dziedziców nastąpi ze „skarbu państwa, sprowadziłoby ich do krwawej rewolucyi, jakiej armia „austryacka nie zdołałaby poskromić“ Groźbę tę odparł hr. Gołuchowski dość ostrem przemówieniem, nie zapuszczając się w bliższy rozbiór środków do formacyi funduszu indemnizacyjnego.

„Na podstawie projektu w komisyi ostatniej konferencyi dyskutowanego, wyszło rozporządzenie ministeryalne z dnia 4 października 1850 r. stanowiące, że kasy państwowe wypłacać będą indemnizacyę na rachunek kraju, w przeciwieństwie z patentem cesarskim z 17 kwietnia 1848 r. stanowiącym, że kasy państwowe na własny rachunek indemnizacyę wypłacać będą. Rozporządzenie ministerstwa z 4 października 1850 pomija także ustawę z 7 września 1848, uwalniając byłych poddanych galicyjskich od wszelkiego datku do funduszu indemnizacyjnego a ministerstwo uwalnia prócz tego (w drodze rozporządzenia prezydyum galicyjskiego) włościan od obowiązku płacenia za pobierane lub wykonywane służebności; — a tym sposobem pan minister rzucił w błoto milionowy kapitał pracy, — który służył innym krajom a tylko w Galicyi zniszczonym został. Włościanie galicyjscy uwolnieni od potrzeby jakiegokolwiek zarobkowania, nie szukali zarobku na dworskich łanach a tym sposobem w latach po zniesieniu pańszczyzny brakło w wielu okolicach kraju, niezbędnych dla rolnej produkcyi sił roboczych, — a w skutek tego produkcya Galicyi, która w r. 1847 wynosiła 39.382.000 meców aust., spadła w roku 1854 do 26.653.000 a do roku 1864 do 25.897 709 meców.

„Zważywszy że 17 lat po zniesieniu pańszczyzny spadając ciągle obniżyła się o 13 milionów meców, nie będzie to przesadą, gdy przyjmiemy stratę całą w produkcyi zboża w pierwszych 20 latach po zniesieniu pańszczyzny na 200 milionów meców, a przyjmując cenę meca na 2 złr. wynosi strata przez producentów większych właścicieli na 400 milionów złr. Straty takie pochłaniały naprzód kapitały obrotowe — później indemnizacyjne — a nareszcie

zwiększające się długi — zmuszały do oddawania ziemi ojczystej w ręce izraelitów. A Dr. Bach musi się dziś cieszyć, że jego wyjątkowe w Galicyi rządy usunęły z wielu dworów szlachecki żywioł polski, zastępywany obecnie żywiołem silniej zgiermanizowanym. — Wątpić wszakże można, aby ten zysk pokrywał straty, jakie skarbowi państwa przynosi upadek materyalny większych właścicieli, pociągający za sobą upadek i mniejszych".

Następnie konstatuje autor we wschodniej Galicyi większy jeszcze upadek ekonomiczny niż w zachodniej, chociaż skądinąd obie części kraju równym podlegają prawom rozwoju. Przyczynę tej różnicy wykrywa p. Kr. w większem rozszerzaniu się pijaństwa i próżniactwa w cześci wschodniej, a to znów przypisuje rozmnożeniu świąt przez dwoistość kalendarza.

Może szan. autor przecenia doniosłość ekonomiczną i społeczną kwestyi kalendarza, która najwięcej na kilkunastu dniach się ogranicza, może też nie brak innych przyczyn we wschodniej części Galicyi, którymby można ten upadek gospodarstw włościańskich i to rozwielmożnienie się żywiołu izraelickiego przypisać; w każdym razie jednak podziękować mu musimy za wypowiedzenie wielu cennych prawd w krótkich a jasnych słowach.

X. M. M.

Zapiski ornitologiczne. Orły polskie przez *Kazimierza hr. Wodzickiego*, członka akad. lugdun. Towarz. przyrodników i t. d. Lwów 1866.

Po bocianach, jastrzębiach, kukułkach, przyszła kolej na naszego orła rodzimego. Długoletnie badania i zapiski autora złożyły się na opis charakteru i trybu życia tego króla sfer powietrznych. Pan to i monarcha samowładny, tyran w całem słowa tego znaczeniu dla ptasiego rodu i pomniejszej dziczyzny. Śmiały i odważny, sam miłośnik wolności nieograniczonej terroryzuje swych poddanych, krwawy z nich haracz wybiera, nieobliczone szkody zrządza w lasach, a nawet i stawach i rybołowstwie jak bielik i rybitw.

Sześć gatunków wymienia autor orłów w naszym znajdujących się kraju: Orzeł przedni, Krzykliwy, Karzełek, Gadożer, Rybitw i Bielik. Wszystkie inne wspominane przez dawniejszych ornitologów podciąga pod jeden z wymienionych gatunków, wykazując na mocy swych badań, że odmienne upierzenie okazów po muzeach natworzyło mnóstwo nazw i utrudniło naukę ornitologii. I tak wedle hr. Wodzickiego, orzeł przedni jest onym sławnym Birkutem z dawnych polowań, zwany także przez innych Zyzem lub też Orłem Złotym. Tak samo orzeł Krzykliwy dla różnego upierzenia istniał jako osobny gatunek pod nazwą Plamisty. Wielu miesza znów Orła Krzykliwego z Karzełkiem i t. d.

Każdemu z tych sześciu gatunków poświęca autor osobny rozdział. Coraz to nowe obrazki z życia orłów przesuwają się przed naszemi oczyma, pełne życia, wdzięku a niekiedy i grozy. Tu orzeł krążący majestatycznie wśród obłoków, ledwie widny oku kąpie się w słonecznych promieniach, za chwilę spada jak błyskawica na ziemię po zdobycz. Tam władca, nie cierpiący wspólnika w państwie, zwiedza codziennie swój rewir i toczy bój zawzięty z każdym innym co wkracza w jego granice. Nie brak i orła w niewoli, istny to obraz króla uwięzionego; smutny, nastrzępiony, czuje upokorzenie swej godności, nikogo do poufałości nie przypusza i t. d.

Troskliwy badacz nie żałował trudu i czasu, ni kosztu. Dalekie odbywał podróże, niejeden dzień spędził na wędrówkach po lasach i górach, długie go-

dziny, niekiedy noc nawet przesiedział nieruchomo na czatach, byle podpatrzyć orłów w ich życiu rodzinnem, zdobyć jakiś nowy szczegół, lub zbogacić swój zbiór nowym okazem.

Życie orłów, ich zwyczaje nasuwają mu raz po raz różne zwroty, przyrównania ze sposobem postępowania u ludzi. Nieraz bardzo trafne sądy wymykają się z pod jego pióra, doskonałe charakterystyki rządów i polityki mocarstw, niektóre znów z tych uwag są przydłuższe trochę i nużące. Ale każdy co weźmie książkę hr. Wodz. do ręki, nie pożałuje czasu jej poświęconego.

Z. B.

Głowy do pozłoty przez *Jana Lama*. 2 tomy. Str. XIV. 297 i 187. Lwów 1885. (Ogólnego wydawnictwa dzieł Jana Lama, tom V. i VI.)

Zawsze i wszędzie „głowy do pozłoty“, ludzie pozornie dobrzy, uczciwi, nawet zdatni, ale bez energii i siły charakteru, są plagą społeczeństwa, wśród którego wyrośli. Drugi znów typ „głów do pozłoty“ to ludzie źli i niesumienni, ale umiejący w tak pięknych choć mamiących kolorach się przedstawić, że wszyscy sąsiedzi, ba! dalsza nawet okolica, klęka przed nimi, jak przed jakiem bożyszczem, a szalbierstwo ich, oprawione w złote ramki pięknych słówek i dobrych chęci, stawia za wzór do naśladowania dla potomnych. Już z tego określenia dwojakiego rodzaju „głów do pozłoty“ widać jak szerokie pole miał przed sobą humorysta, usiłujący wiernie odmalować dwojaki ten typ galicyjskich męskich i żeńskich głów i główek do pozłoty. Surowego materyału do studyów nie brakowało; humorystycznego talentu nikt podobno dotąd p. Lamowi nie zaprzeczył, a że talentowi temu umiał nałożyć odpowiedni hamulec, powstrzymujący go od dowcipów w guście np. „Ananasa“, więc też „głowy do pozłoty“ są kolekcyą obrazów czy fotografij, może niejednemu niemiłych, może w niejednym punkcie przesadzonych, ale bądź co bądź zabawnych a w ogólnych rysach trafnych. W chwli pierwszego pojawienia się kolekcyi „pozłoconych głów i główek“ wskazywano zapewne palcem na tę lub ową żyjącą osobistość; dodawało to ciekawości i pieprzu, ale umysłom poważniejszym musiało być wstrętnem. Dziś, a tembardziej za lat kilka, kwestya osobistości zeszła na drugi plan; nie wiemy, a przynajmniej nie chcemy wiedzieć, kogo przedstawiać ma ta lub owa karykatura, by upatrzeć w niej tylko ogólnie prawdziwe rysy i stwierdzić tychże podobieństwo do całej jakiejś klasy indywiduów rozsiadłej w Galicyi i Lodomeryi i po za jej granicami. Pojęte w ten sposób „głowy do pozłoty“, zająć mogą odpowiednie miejsce w naszej humorystyczno-powieściowej, co prawda nie zbyt bogatej, literaturze.

B.

Henryk Heine. Portret literacki, przez *Teodora Jeske-Choińskiego*. Kraków 1885, str. 129.

Imię Heinego stało się synonimem bezeceństwa złączonego z bluźnierstwem, sceptyka i rozpustnika, który z szyderczym uśmiechem na ustach wylewał na cały świat truciznę z złotego puhara poezyi, czarującej wdziękiem obrazów, dźwiękiem słów, lekkością rytmu. W tej piękności zewnętrznej szaty leży niebezpieczeństwo poezyi Heinego, a zarazem ukrywa się przyczyna jego zbyt

głośnej sławy; nie mogąc zakopać bezecnego tego cynika w grobie zapomnienia, nie mogąc znowu bez zbrudzenia się wziąć do ręki żadnego jego utworu w całości, lepiej już może przypatrzyć mu się w całej nagości, o ile można wiernym portrecie, by zbrzydzić sobie nieszczęsnego tego człowieka, którego imię mimowoli raz po raz o uszy się obija.

Z tym zamiarem, jeśli się nie mylimy, zasiadł p. Jeske-Choiński do nakreślenia tego, z natury swej wstrętnego portretu. Rodzinny pierwiastek żydowski, romantyczna ironija, heglowska bezwyznaniowość zlepiły Heinego; ciągłe miłostki, nieprzykładne życie, szyderstwo ze wszystkich i z wszystkiego złożyły się na jego wiersze i wprowadziły go do „grobu materaców", w którym konał przez lat ośm, na przemiany jęcząc i szydząc. Jakie wiersze, takie było jego życie — jedne są wymowną ilustracyą drugiego. Chrzest przyjęty bez przekonania, dla karyery, wymarzonej nie otworzył mu karyery, podniecił tylko nienawiść do chrześcijaństwa, owszem do wszelkiej pozytywnej religii. Voltaire drwił z Boga ukradkiem; Heine z owych drwin się chełpił, pędzony jakby jakimś szałem, jeszcze na łożu śmierci uragał wieczności. Jak z religii, tak drwił z wszelkiej polityki, napisał paszkwil na swego przyjaciela Börna; ośmieszał dawnego dobrodzieja Schlegla. W tragedyach wynosił bezwyznaniowość, kult ciała, komunizm, a na ołtarzach stawiał greckie fatum; w zachwalanych utworach lirycznych używa wyrazów i zwrotów tak karczemnych i trywialnych, że wydaje się czasami, jakby pisał po pijanemu. Ale widocznie nie! bo tuż obok idąca zwrotka uderza znowu misternem wykończeniem, zdradzającem genialnego mistrza słowa.

Przerażający to prawdziwie portret tego „strasznego dziecka" dziewiętnastego wieku, jawnego ucznia Hegla i najskrajniejszego w praktyce materyalizmu. Wiersze Heinego tak są obrzydliwe, iż nie można nawet z nich podać przyzwoitych wyjątków; jesteśmy przekonani, że p. Jeske-Choiński starał się dobrać najmniej drastycznych urywków, a przecież i te cytaty rażą jeszcze nieprzyjemnie, a w głośnem czytaniu byłyby niepodobne. Rzecz daremna! powtórzyć możemy z całą prawdą słowa, któremi autor kończy swe studyum pouczające, jak pouczającem jest studyum o jakiejś zaraźliwej a wstrętnej chorobie: „Kto nie posiada wiary, miłości i nadziei, ten musi zmarnieć, jak zmarniał Henryk Heine, mimo talentu pierwszorzędnego". *B.*

Pieśni o królowej Jadwidze, przez *Podolankę*. Dochód przeznaczony na wydalonych z Prus. W Krakowie 1886, w 16, str. 125.

Pięćsetletnia rocznica św. chrztu Jagiełły i połączenia Korony z Litwą okupionego ofiarą z dziewiczego serca królowej Jadwigi, natchnęła znaną już z pieśni o Sobieskim i z obrazków z życia Jana Kochanowskiego, Podolankę nowym na szerszą skalę obmyślanym utworem poetycznym. Pieśni o królowej Jadwidze jest 18; przesuwa się w nich krótkie latami, ale bogate treścią życie Jadwigi w poetycznej szacie, a na sumiennych studyach historycznych oparte. Autorka nietylko: przewertowała pilnie „źródła i opracowania" do dziejów tej epoki, ale nadto podjęła w jesieni r. z. podróż a raczej pielgrzymkę, niemal religijną do tych miejsc, „po których stąpała, które ożywiła swojem uroczem wspomnieniem „aniol-niewiasta" Jadwiga, i przez to nadała swoim utworom poetycznym wartość naukowo-historyczną i cechę

aktualności, ożywiając je zarazem uczuciem nie fikcyjnem, ale szczerem a głębokiem, zacnem i patryotycznem. Prawdzie tej naracyi i liryzmu odpowiada szczęśliwie dobrana miara, poprawność i potoczystość wiersza i starauna forma zewnętrzna, tak że sporą tę wiązankę Pieśni przeczyta się jednym tchem, z zajęciem i rozrzewnieniem, bez znużenia i tej czczości, jaką nierzadko utwory niewieściej muzy po sobie zostawiają. I to jest zdaniem naszem najpiękniejszą zaletą Pieśni Podolanki. Nie potrzebujemy wspominać, że duch, który z tych Pieśni wieje jest szlachetny, podniosły, szczeropolski i na wskróś chrześcijański; dobrze też zrobiła autorka, ofiarując swe Pieśni młodemu pokoleniu, które prądem ducha czasu i z biegiem niefortunnych okoliczności gnane w kierunku wręcz przeciwnym, zagrożone jest wyziębieniem serca a zbałamuceniem rozumu. Życzymy z serca tym Pieśniom powodzenia wśród czytającej publiczności, tem bardziej, że cały dochód przeznaczony na jałmużnę wygnańcom z Prus i Księstwa. *S. Z.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z rosyjskich wydawnictw historycznych. W grudniu z. r. i kilkakrotnie w dwóch ubiegłych latach zamieszczaliśmy wiadomości o ważniejszych publikacyach, które raz po raz wydają naukowe towarzystwa rosyjskie. W dalszym ciągu podajemy obecnie następujące:

Secrets d'état de Venise. *Par Vladimir Lamansky*, professeur de l'université de St. Petersbourg. Petersburg 1884 r.

Jestto obszerna praca, zawierająca 65 arkuszy druku, znanego w Rosyi uczonego i profesora wszechnicy petersburgskiej, wydana po francusku. Zawiera ona, jak to można sądzić z tytułu: dokumenta, wyciągi, notatki, raporty i t. d., dotyczące stosunków rzeczypospolitej Weneckiej w wiekach XV. i XVI. z Portą Ottomańską, Grekami i Słowianami.

Nie mam jednak zamiaru mówić o tem dziele, lecz tylko chciałbym zwrócić uwagę na recenzyę tej pracy, napisaną przez p. Oresta Müllera, a umieszczoną w tomie XVIII. „Istoricz. Wiestnika“ [1]. Do tej specyalnej pracy dołączył prof. Łamanskij wstęp, potrącający o najważniejsze kwestye współczesne z dziedziny zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej polityki rosyjskiej. Z powodu wstępu raczej, niż samego dzieła, recenzent zdobywa się na uwagi i poglądy, wyjątkowe dzisiaj w publicystyce rosyjskiej. Przytaczam dosłownie ustęp recenzyi, dotyczący obecnego naszego położenia pod panowaniem rosyjskiem. „My ze swej strony — mówi recenzent jakby w imieniu Redakcyi —

[1] Listopad 1884 r.

wbrew poglądom szanownego autora (Łamańskiego), wypowiedzianym przez niego we wstępie, twierdzimy, iż nie byłoby najmniejszem uchybieniem dla godności Rosyi — dopuszczenie w Polsce rosyjskiej, narodowego tj. polskiego języka w szkole, sądzie i administracyi, zamiast państwowego rosyjskiego. Mniemamy, iż cała siła reform niezapomnianego M. A. Milutina w Polsce zawierała się w kwestyi socyalnej i że, po tak pomyślnem jej załatwieniu(?), nie było najmniejszej potrzeby usunięcia dawnej historycznej nazwy kraju i zamiany jej na sztuczne przezwisko „Priwiślańskiego". Mniemamy również, że szanowny autor robi nazbyt wiele zaszczytu mieszkającym z tamtej strony Wisły Żydom i Niemcom, twierdząc, iż „byłoby absurdem ze strony rządu Rosyjskiego z własną szkodą polonizować tych licznych poddanych i kolonistów państwa", tj. poleca rządowi, aby ich uważał nie za przybyszów, powodujących się li tylko własną korzyścią, ale za jakieś wybrane organa naszych państwowych interesów. Sądzimy, iż z powodu tych przybyszów nie ma potrzeby pozbawiać krajowców ich przyrodzonego języka; iż wzmocniony napływ osadników niemieckich do Polski tworzy nietylko dla niej, ale i dla samej Rosyi, co najmniej nie mniejszą szkodę, jak kolonia niemiecka w naszej Akademii nauk (w Petersburgu); iż nareszcie pogląd którego się trzyma autor względem Polski rosyjskiej w zgodzie z „Moskiew. Wiadomościami" (organ Katkowa), — nie przyniesie szczególniejszej korzyści naszej godności narodowej już przez to samo, że to pogląd nie samoistny, lub należący do zakresu rosyjskiego „bismarkizmu", który tylko ludzie naiwni mogą brać za *vieux parti russe*. Mniemamy, że prawdziwa narodowość w polityce — to swobodne objawy ducha rosyjskiego, a nie przymusowo-unifikacyjne środki *à l'allemande*.

Do powyższego wstępu dodać tylko winienem, iż wydawcą „Istoricz. Wiestnika" jest tenże sam Suworin, którego organ polityczny „Nowoje Wremia" odznacza się szczególniejszą polakofobią. Dobrze byłoby, aby p. Suworin z „Nowoje Wremia" nauczył się poczucia sprawiedliwości i umiarkowania w sądach od p. Suworina z „Istoricz. Wiestnika".

Indeks do wydawnictw „komisyi czasowej dla rozpatrzenia dawnych aktów" (istniała od r. 1845—1877). T. II. Ułożył *J. P. Nowickij*. Kijów 1883. str. 978.

„Kijowska Komisya Archeologiczna" wydała w ciągu 34 lat swego istnienia 27 tomów. Celem łatwiejszego zoryentowania się w tak obfitym i różnorodnym materyale, postanowiła komisya ułożyć indeks do swych wydawnictw, składający się z trzech części: 1) do imion osobowych; 2) do nazw geograficznych; 3) do przedmiotów. Już dwie części wyszły z druku. Pierwsza w r. 1878, a druga, o której mowa, w roku przeszłym. Obie ułożone przez J. P. Nowickiego.

Druga część Indeksu słusznie zasługuje na nazwę, daną jej przez autora zbioru materyałów do geografii historycznej ziem ruskich. Praca ta świadczy o wielkiej pracowitości i znajomości kraju. Najmniejsza wzmianka w aktach lub dokumentach o jakiejś miejscowości nietylko nie jest pominiętą przez autora, ale użytą do rozmaitych porównań, zestawień i kombinacyj geograficznych, celem oznaczenia jej położenia podług dawniejszego i współczesnego po-

działu administracyjnego. Aby zrozumieć należycie trudności jakie pokonać musiał autor dosyć powiedzieć, iż niektóre miejscowości są w źródłach poprzekręcane do niepoznania; inne z biegiem czasu całkowitej uległy zmianie; albo też, co się trafia najczęściej, jedna i ta sama nazwa odnosi się do kilku miejscowości lub pod wspólną nazwą ukrywa się i wieś i osada i strumień, porozrzucane niekiedy w różnych stronach.

Autor rzecz swoją traktuje sumiennie. Nietylko cytuje każdą wzmiankę danej miejscowości w źródłach, ale wyszczególnia np. ulice, place, domy, kościoły, cerkwie i monastery, rozmaite instytucye i zakłady naukowe we wszystkich ważniejszych miastach i miasteczkach, podając zarazem, o ile źródła na to pozwalają, imiona i nazwiska przełożonych, kierowników, właścicieli, biskupów i władyków, proboszczów i parochów, opatów i archimandrytów, wojewodów i gubernatorów. Obok specyalnego znaczenia indeksu, praca ta stała się ważnym przyczynkiem do geografii historycznej tych krajów, traktowanych już dosyć obszernie w „Słowniku geograficznym", wychodzącym w Warszawie, jakoteż i w „Słowniku Geograficznym" Gołowackiego.

Po Rosyi. *A. N. Mołczanowa.* Petersburg 1884 r. **Listy z Noworosyjskiego kraju.** *A. N. Mołczanowa.* Odessa 1885.

P. Mołczanow, znany publicysta rosyjski, odbywał ostatniemi czasy liczne podróże po całej Rosyi, od granic Finlandyi po kraj Zakaukaski. Owocem tychże są dwa dzieła, wymienione w tytule. W nich dotyka najróżnorodniejszych stron życia publicznego i rozwoju materyalnego. Stosunki miejscowe, samorząd gminny i powiatowy, stan oświaty i obyczajów, rolnictwo, przemysł, stan handlu i finansów rozmaitych części monarchii Rosyjskiej — przesuwają się przed czytelnikiem w spostrzeżeniach turysty, nie mającego niekiedy ani dosyć czasu ani możności dokładnego zbadania prawdziwego położenia lub sprawdzenia udzielanych mu wiadomości. — W listach z „Noworosyjskiego kraju" zajmuje się przedewszystkiem kwestyą żydowską i stara się wykazać stopniowe zdobywanie przewagi przez żywioł żydowski w Odesie.

Dla tego, coby pragnął poznać obecny stan Rosyi z żywych spostrzeżeń podróżnika, znajdzie się tam dużo nader cennego materyału, którego napróżno szukałby w poważniejszych specyalnych pracach.

Przy tej sposobności nasuwa się smutna uwaga. P. Mołczanow, który na gruncie swojskim, ojczystym, umiał zachować pozory spokoju i objektywności, przybywszy do Warszawy, w listach pisanych stamtąd do „Nowoje Wremia", okazał tyle uprzedzenia i namiętności narodowo-politycznych, iż zupełnie naturalną i zrozumiałą będzie nieufność czytelnika polskiego do spostrzeżeń i uwag, zawartych w jego pismach o naszym kraju.

Archiwum południowo-zachodniej Rusi, wydawane przez *Komisyę czasową do rozbioru starodawnych aktów.* Część I. Tom VI. Akta do stosunków kościelnych południo-zachodniej Rusi (1322—1648). Kijów 1883 r.

I znowu przybywa tom materyałów do historyi stosunków kościelnych w ziemiach ruskich. Z pomiędzy sześciu tomów, wydanych przez wyżej wy-

mienioną komisyą, sprawom kościelnym poświęcono aż trzy. Półurzędowi historyografowie w Kijowie snać doskonale rozumieją znaczenie i wpływ kościoła w naszych stosunkach, skoro, pomimo znanego swego indyferentyzmu w rzeczach wiary, tak gorliwie zajmują się stosunkami kościelno-religijnemi.

Jeden z tych tomów archiwum, poświęcony historyi kościoła ruskiego, wyszedł pod redakcyą Iwaniszewa w r. 1859, w ktorym zawierał się materyał historyczny od czasów najdawniejszych do r. 1596, tj. do Unii brzeskiej; drugi, wydany w r. 1868, pod redakcyą Włodz. Antonowicza, obejmuje źródła od r. 1648 do 1798; ostatni, o którym mowa, zajmuje się epoką od 1596 po 1648; a chociaż niektóre dokumenta tam się znajdujące, rozpoczynają się rokiem 1322-im, to jednak część przeważna odnosi się do okresu od Unii brzeskiej do wojen Chmielnickiego. Na czele zaś tomu szóstego, mieszczącego na 938 stronnicach, 326 różnorodnych aktów i dokumentów, znajdujemy obszerny wstęp (182 str.) pióra wydawcy, Oresta Lewickiego.

Są tam akta i dokumenta, służące do wyjaśnienia dziejów hierarchii unickiej i prawosławnej; do historyi klasztorów, bractw, stosunków schyzmatyków z rządem Rosyjskim, zwłaszcza za W. księcia Michała Romanowa; oprócz tego znajduje się obfity materyał do dziejów sekty socyniańskiej i antytrynitarskiej, do wyjaśnienia stosunków społecznych i bytu duchowieństwa, do biografii Hipacego Pocieja, Cyryla Terleckiego, Gedeona Bałabana i t. d.

Na wstępie zaś bada autor przyczyny powstania i rozwoju Unii. Szuka ich nie tyle we wpływach politycznych lub rządowych, jak to czynili pisarze rosyjscy dotychczas, bo zdaniem jego, tak wielkich przewrotów, jak Unia brzeska, nie byłby w stanie dokonać żaden rząd, a tembardziej rząd tak słaby jak Polski, ani też wpływ królów Polskich, znanych ze swej tolerancyi, — ale w tej okoliczności, że znacznie później po Unii brzeskiej, zaczęto używać jej jako środka politycznego. Autor szuka także przyczyn wewnętrznego rozkładu Cerkwi wschodniej na Rusi, najpierw w walce bractw kościelnych, jak np. lwowskiego i wileńskiego, wyzwolonych z pod władzy biskupiej, z wyższą hierarchią kościelną, z powodu mieszania się pierwszych w sprawy zarządu kościelnego. Hierarchowie dążą do powagi i znaczenia biskupów katolickich, a bractwa, reprezentujące pierwiastek świecki, starają się władzę swoją rozszerzyć. Usiłowania władyków znalazły punkt oparcia w katolicyzmie, zwłaszcza, że prawo patronatu królewskiego spowodowało odpowiedny skład kleru, niższe znowu duchowieństwo przeszło w zależność od swych szlacheckich patronów. Tylko po miastach, gdzie bractwa zachowały prawo wyboru, objawia się duch reformy stosunków cerkiewnych i pragnienie usunięcia nadużyć, co znowu zapędza część duchowieństwa do Unii. Drugą ważną przyczynę powodzenia Unii widzi p. Orest Lewicki w socynizmie i anty-trynitarstwie, działającemi rozkładowo nietylko na kościół katolicki, ale i na wschodni. Wielu panów ruskich im ulega. Skutkiem zaś tego rozprzężenia odradzający się katolicyzm toruje sobie drogi na Rusi.

Zbornik ces. rosyj. Towarzystwa historycznego. T. 40. Petersburg. r. 1884.

Towarzystwo powyższe rozwija nadzwyczajną energię w wydawaniu dokumentów dyplomatycznych. Pokaźny poczet tomów jest najlepszym tego do-

wodem. Ostatni, czterdziesty tom, zawiera materyały do dziejów Ukrainy Zadnieprskiej, czyli t. zw. Małej Rusi, czerpane ze sprawozdań uwierzytelnionego przy dworze Rosyjskim ministra francuskiego Camprenon'a.

Sprawozdania te, przesyłane w latach 1719—22, przedstawiają dosyć zajmujące źródło do poznania stanu wewnętrznego Rusi Zadnieprskiej. Odsłaniają one przedewszystkiem fiskalny charakter systemu finansowego rosyjskiego. Wyzyskuje Ukrainę rząd, wyzyskują urzędnicy pochodzenia rosyjskiego, zastępujący usuwanych od posad krajowców, na swoją własną korzyść; cały system rządzenia krajem zmierza do zniszczenia jego odrębności, a zaprowadzenia porządków rosyjskich. — Świadectwo cudzoziemca — o ile dotyczy stosunków współczesnych — jest bezstronne i oparte na danych urzędowych. Za to wiadomości historyczne rażą znaną w tym względzie francuską powierzchownością, a częstokroć nawet i grubą niewiadomością, jak w tym np. wypadku, gdy Chmielnickiego bierze za Doroszeńkę i każe temu ostatniemu oddawać Ukrainę pod berło Rosyjskich władców.

Nie mając 40-go tomu pod ręką, poprzestanę na przytoczeniu jednego ustępu z raportów Camprenon'a podług obszernego wyjątku z „Kijewskoj Stariny“[1], świadczącego o niezmienności polityki Rosyjskiej względem narodów podbitych:

„W ogóle zadziwiającą jest rzeczą — pisze minister francuski — że cesarz tak mało się zajmuje ludnością kraju, obdarzonego szczęśliwie od przyrody, zarówno wybornym klimatem, jak i żyznością ziemi; kraj ten mógłby przy dobrej uprawie produkować więcej zboża niż potrzeba dla reszty jego państwa. Lecz władca Rosyi założył sobie cel inny — osłabić Kozaków, nie wytępiając ich zupełnie. Teraz nie są już w stanie wystawić więcej nad 30 tysięcy wojska, nad którem dowództwo otrzymali pułkownicy Rosyjscy, mający pod swą komendą po cztery, sześć i nawet dziesięć tysięcy ludzi. Przeznaczenie na to stanowisko jest dowodem zaufania i łaski, albowiem każdy pułkownik może dorobić się na Kozakach około 10 tysięcy rubli rocznie, a ci nie śmieją się skarżyć, ponieważ w ich kraju zbudowano teraz dwie twierdze i rozlokowano załogami prawie całą Rosyjską kawaleryę. Kozacy obowiązani są bez żadnego wynagrodzenia dostarczać koni pocztowych wszystkim osobom jadącym za pasportem, a wkrótce zamierzają zaprowadzić na Ukrainie, istniejące już w całem państwie szynki rządowe. To znacznie się przyczyni do powiększenia dochodów skarbowych, ale zrujnuje Ukrainę, której pierwotna ludność już i tak zmniejszyła się o połowę w skutek tej okoliczności, iż ją zmuszano do dostarczania ludzi na roboty w Petersburgu i na jeziorze Ładoga, gdzie ich wyginęła wielka ilość“. Słowa te nie potrzebują komentarza.

A. Sulima.

[1] Tom 10 r. 1884.

Z pism peryodycznych.

IX. Niwa. Przegląd dwutygodniowy wychodzący od lat 15 w Warszawie, obchodził w tym roku dziesięcioletnią rocznicę ustalenia się obecnego kierunku pod nową redakcyą.

Artykuł noworoczny, z poglądem retrospektywnym tej działalności inaugurowanej przez kilku młodych ludzi, dał powód do polemiki i chwilowego rozdrażnienia.

Redakcya *Niwy*, zamiast programu, przypomina, jak przed 10 laty kilku młodych ludzi postanowiło wystąpić przeciw dwóm prądom „duchowego kapitalizmu“ i „galopującego liberalizmu“, które się wzajem wypierały. „Radykalizm *quasi* postępowy parł się całą siłą uzurpacyi i zuchwalstwa do samowładztwa nad umysłami, niedość silne napotykając zapory, plutokratyzm zaś przywłaszczał sobie wyłącznie kurulne krzesło opinii publicznej i dążył śmiało do pochwycenia steru spraw publicznych“... „Młodych szermierzy obozu, który znanemi wypadkami przygięty do ziemi, mało od lat kilkunastu dawał znaków życia, przyjęto bardzo cierpko“. Były to czasy, kiedy w stosunkach wiejskich kraju, po reformach siódmego dziesiątka lat, ciężka zapanowała apatya“.

W drugiej części, autor artykułu pyta, jakie owoce rozpoczętej pracy? i stwierdza: „że wpływ radykałów na umysły stępił się i zmalał — że tradycya utrzymała się i odzyskała przewagę, że konserwatywne przekonania coraz więcej się szerzą, że stanowisko plutokracyi i jej wpływ na opinię zachwiany; ziemianie ocknęli się z apatyi i przestają być owem pochyłem drzewem, na które i kozy gazeciarskie skaczą — że coraz liczniejszy zastęp tych, którzy szukają dróg do spożytkowania“.

Zestawienie to stanu opinii w Królestwie przed 10 laty a dziś jest wierne — o ile sądzić można nieco z oddalenia i o społeczności skazanej na bierność. Wyznania *Niwy* wywołały zaprzeczenie nie ze strony radykałów, lecz ze strony tej części dziennikarstwa, która sobie w obronie zasad konserwatywnych przyznaje prawo starszeństwa. Polemika podniesiona przez p. W. W. w *Kłosach*, nie dotyczy samej *Niwy*, ale wciąga także *Słowo* i przeciąga linię demarkacyjną między konserwatystami starszej daty a nowo czy młodo-

konserwatystami. W ostatnim zeszycie *Biblioteki warszawskiej* jest również silna odprawa dana nowokonserwatystom, szczepionym na pozytywistach.

Wojna ta domowa publicystyki warszawskiej, przemijająca, a spodziewać się należy, że nie zostawi po sobie rozdwojenia. Zdarza się często, że młodzi ignorują to, co zrobiono przed nimi, a chwila ich zwrotu i nawrócenia wydaje się im epoką odkrycia nowego świata i jego podstaw; starsi zaś pamiętając, że dawniej stali na czatach, lekceważą tych, którzy później z odmiennych zwrócili się torów, a często z przeciwnego oderwali się obozu.

Lecz w tym wypadku nie chodzi tylko o ten spór chronologiczny, kto pierwszy podjął sztandar zachowawczy, ale także o pewne odmiany i różnice, jeśli nie w zasadach to w metodzie.

Wiemy z jak zacnych źródeł wypływał dawny konserwatyzm warszawski, wyrosły w atmosferze i wśród tradycyi stronnictwa białych, ale czy był wystarczającym, czy nie był zbyt optymistyczny i miękki, czy nie ulegał złudzeniom, gdy raka samemi tylko chciał leczyć balsamami, lub też ze zbytniej miłości, z błędnego pojęcia jedności, próbował godzić ogień z wodą? Na to przeczącą odpowiedź dały smutne wypadki.

Nowe pokolenie wyrosłe wśród wstrząśnień, uległo prawu reakcyi, to rzecz naturalna, uczuło potrzebę obrachunku z niedawnej przeszłości i szukania nowych dróg, to symptomat zdrowy i pożyteczny, który równocześnie lubo w odmienny sposób objawił się i zatwierdził i po tej stronie kordonu. Ale jeśli obrachunek ten w dziedzinie świeżo minionej polityki i dawnej historyi, w Krakowie, wywołał kilkunastoletnią zaciętą polemikę i wydał świetne owoce — w Warszawie polemiczne wyjaśnienie zasad stłumiły miejscowe warunki prasy, natomiast odbył się wewnętrzny proces. W odpowiedzi na artykuł *Niwy* publicyści staro-konserwatywnej szkoły zarzucają młodo-konserwatystom, że wyszli z pozytywizmu. Być może — ale się z niego wyłączyli. Pozytywizm panował w Warszawie przed dziesięciu laty jak ospa — mało kto z młodszych, początkujących, tej epidemii się uchronił, ale zaledwie paru pisarzy niezaprzeczonego talentu choroba ta oszpeciła dziobami na zawsze. Wielu zaś wydobyło się z tej choroby, bez jej trwałych śladów. Jednych wyleczyła głębsza nauka, pozytywne studya do gruntu

według zasady *similia similibus*. Innym otwarły się oczy w praktyce życia, jak tego dowodzi broszura p. Ludwika Masłowskiego, niegdyś tłumacza Darwina i adepta warszawskich pozytywistów, dziś redaktora dziennika konserwatywnego. Inni z poziomu realizmu, z przepaści pesymizmu ujrzeli światy idealne w przeszłości, nawróciła ich ta czarodziejka piękność artystyczna, jak Sienkiewicza.

Skąd łatwiej się wydobyć, czy z mgły fałszywego idealizmu, chorobliwego sentymentalizmu, czy z grząskiego gruntu pozytywizmu — to ważne nader pytanie. Aby uznać i przyjąć prawdę bezwzględną, prawdę wiary, potrzeba tchnienia łaski, do uznania prawdy względnej, chrześcijańskich podstaw porządku doczesnego na tej ziemi, innemi słowy do nabycia zdrowych przekonań konserwatywnych, wystarcza dobra wola i trzeźwość. Odejmijmy pozytywizmowi naukowemu ostrza jego tendencyi, jego aprioryzmu, jego fanatycznej negacyi, a sama jego metoda nietylko nie okaże się szkodliwą, ale może i pomocną, gdy stwierdza w świecie naturalnym, fakta i prawa pozytywne, a nie zaprzecza równie pozytywnych praw i faktów w świecie nadnaturalnym, duchowym. Pozytywizm polityczno-społeczny zwłaszcza, powinien uznać to, co jest naszego społeczeństwa pozytywną siłą, a więc wiarę i tradycyę, przekazany z przeszłości porządek.

Czy nowokonserwatyści *Niwy* wyszli z pozytywizmu, to obojętna — faktem jest, że przez to dziesięciolecie swojej czynności nietylko nie wnieśli rozbratu, ale umieli się zszeregować pod wodzą wytrawnych przywódców. Wystarcza przypomnieć, że w *Niwie* drukowanem najpierw było dzieło p. Ludwika Górskiego, jednego z najzasłużeńszych obrońców zasad katolickich i konserwatywnych, dzieło *O stanowisku większej własności ziemskiej*, najgłębiej sięgające w moralne i ekonomiczne potrzeby i obowiązki tego przewodniczącego a ciężko próbowanego stanu.

Zasługą było *Niwy*, że nie zapełniała swych zeszytów zdawkową monetą beletrystyki, że nie mając wygórowanych pretensyj naukowości, zwracała się o ile było możebnem do potrzeb realnych chwili, do interesów ekonomicznych, zwłaszcza społeczności wiejskiej. I w tem także jej zasługa, że nie narzucała opinii z centrum stolicy, ale raczej czerpała ją z obwodu, stała się organem obywatelstwa na prowincyi. Nie goniąc za nowością i oryginalnością, *Niwa* starała się iść

paralelnie z *Przeglądem polskim*, drukując równocześnie znaczną część tych samych artykułów dla publiczności pozakordonowej.

Niwa ma swój właściwy zakres i swoją sferę działania. Nie obejmuje ona tak poważnie uczonego programu, jak *Biblioteka warszawska*, mająca za sobą ustaloną tradycyę; nie współzawodniczy z *Kronikę rodzinną*, która ma kierunek czysto literacki — niwa *Niwy* to życie społeczne, to bieżące kwestye praktycznej doniosłości, od których z rzadka i tylko dla urozmaicenia odbiega na inne pola.

Ze stałych miejscowych sił, jakiemi rozporządza redakcya *Niwy*, obok redaktora p. Mieczysława Godlewskiego, wymienić należy polemistów dzielnego pióra, ale zasłonionych przyłbicą pseudonimów „Chorąży“ i „Jacek Soplica“, bardzo wytrawne pióra ks. Z. Chełmeckiego, oraz młode, ale obiecujące talenta, p. A. Darowskiego i p. Łętowskiego. Coraz więcej zaś zwraca na siebie uwagę rozwijający się talent p. Jeske-Choińskiego. Szereg jego powieści społecznych: „Za winy ojców“, „Z miłości“, „Trzeźwi“ i inne, odznacza się bardzo zdrowym poglądem, szlachetną dążnością, oraz życiem i prawdą, która go stawia powyżej wielu współzawodników powieściopisarskich. Rozprawy krytyczne, jak: „O Heine'm i literaturze niemieckiej“, świadczą o poważnych studyach autora; a rozprawa „O pozytywistach warszawskich“ miała tę zaletę, że z taktem i miarą oceniła jeden z symptomatów współczesnych i miejscowych; autor skreślając objawy pozytywistycznej szkoły bez zbytecznego lamentu i przesadnego alarmu, zatwierdza przytem nie dwuznacznie zdrowe zasady.

L. Dębicki.

X. Christlich-sociale Blätter. 18 Jahrgang. Neuss 1885, Heft 1—24.

Pismo to peryodyczne, omawiające w duchu katolickim sprawy społeczne, wychodzi w Niemczech od r. 1868. Założyciel jego i redaktor (do r. 1876) ks. Józef Schings, syn robotnika fabrycznego, podjął w niem systematyczną walkę przeciw Smithianizmowi, a charakter kapłański nauczył go przestrzegać miary i spokoju w polemice i uchronił od owego reformatorstwa, co rade oddać na łup wszechwładnego państwa wolność jednostek i chce koniecznie ująć

wszystkie objawy życia społecznego w ciasne karby paragrafów. Po śmierci ks. Schings'a († 14 maja 1876), ster redakcyi objął ks. Arnold Bongartz, wikaryusz z Rellinghausen, miejscowości położonej w pobliżu Essen, które, jak wiadomo, jest jednem z głównych ognisk niemieckiego przemysłu. Ks. Bongartz, naocznie poznawszy dobre i złe strony industryalizmu, podniósł o wiele wartość naukową redagowanego dwutygodnika, głównie zaś tem się około niego zasłużył, że zapobiegliwością swoją zjednał dlań zastęp znaczny zdolnych współpracowników. W ich rzędzie stanęli mężowie o tak głośnem imieniu, jak br. Hertling, dr. Eug Jaeger, prof. Janssen, dr. Majunke, br. Vogelsang z Wiednia. W r. 1883 *Chr. Soc. Blätter* poniosły dotkliwą stratę przez śmierć ks. Bongartza i jego następcy Schmitza; przetrwały jednak te ciosy, a na czele stanął teraz Józef Broix. Zmiany w osobach nie wpłynęły na kierunek pisma, bo wszystkich dotychczasowych redaktorów i też same przekonania religijne łączyły i węzły osobistej przyjaźni. Zdając niniejszem sprawę z ostatniego rocznika (na który składa się 24 zeszytów po dwa arkusze bitego druku), czynimy to w przekonaniu, że spełniamy powinność tem ważniejszą, iż publikacyj katolickich, pisma należące do innego obozu, nie oceniają zazwyczaj bezstronnie, lub, co może gorsza, ignorują je zupełnie.

Na uwagę zasługuje przedewszystkiem artykuł, pod tytułem: *Die socialische Bewegung,* ciągnący się przez sześć numerów a opracowany na podstawie dzieła: *Le danger social. Par l'Abbé Winterer, Deputé d'Alsace-Lorraine au Reichstag.* (Paris. Poussielgue 1885.) Przedstawiony tu rozwój agitacyi socyalistycznej w poszczególnych krajach Europy i Stanach Zjednoczonych w latach 1883 i 1884 okazuje dowodnie, że środki represyjne, użyte w Niemczech, nie osłabiły ruchu socyalistycznego: kolektywiści niemieccy żyją, organizują nawet w krajach ościennych związki socyalistyczne i wstępują coraz to liczniej do szeregu anarchistów. Bo też oba te odłamy stronnictwa przewrotowego więcej się różnią taktyką niż zasadą. Kolektywizm zarówno jak anarchizm wypowiada wojnę obecnemu ustrojowi społecznemu; gdy jednak kolektywizm posługuje się środkami danemi w społeczeństwie teraźniejszem, i akcyą, ile to być może spokojną, dąży do pozyskania większości dla idei państwa socyalistycznego, to anarchizmowi ta droga wydaje się za długą

i w walce przeciw społeczeństwu przybiera do pomocy petroleum i dynamit. Wybór między anarchizmem a kolektywizmem zależy głównie od temperamentu: naturom gorącym i gwałtownym przypada do smaku anarchizm, dlatego rozszerzył się on szybko w krajach południowych. Napisana pierwotnie po francusku a przełożona dla *Chr. soc. Bl.* praca ks. Cetty pod napisem *Der elsaessische Bauer* kreśli szczegółowo a dosadnie upadek ekonomiczny włościan w Alzacyi od czasu jej przyłączenia do niemieckiej ojczyzny. Takie uwydatnianie nędzy ugniatającej ludność wiejską, liczyć należy pismu za prawdziwą zasługę, bo przesilenia w dziedzinie gospodarstwa rolnego mniej wpadają w oko, niż przesilenia przemysłowe. Włościanin niszczeje powoli, nieznacznie i na ustroniu, gdy robotnik, pozbawiony pracy w warsztacie lub fabryce, wystawia nędzę swą na widok publiczny, a w czasach ogólnego zastoju staje się pobyt jego w mieście groźnym dla bezpieczeństwa publicznego. Ten fakt tłumaczy poniekąd stałe sympatye sfer rządzących dla przemysłu obok mniej rozwiniętej dbałości o dobro stanu rolniczego. W dwóch artykułach: *Wirkungen erhoehter Kornzölle* i *Hauptgetreidezoelle im Deutschen Reichstage* wykazano szeroko korzyści i szkody wynikające z ceł zbożowych. Wedle wywodów autora, cła ochronne muszą wpłynąć na podrożenie chleba i słusznie dep. Flüggen przyrównał je do morfiny. Morfina uśmierza chwilowo ból, a tak daje lekarzowi czas i sposobność do użycia środków działających trwale. Gdy to nie nastąpi, trzeba dla zażegnania ponownych cierpień, udzielać dawek coraz silniejszych. Podobnie z ceł ochronnych odnoszą rolnicy korzyść chwilową. Jeżeli ustawodawstwo poprzestanie na tym środku zaradczym, okaże się wnet potrzeba podwyższenia cła, z uszczerbkiem niemałym dobra społecznego. Są więc cła zbożowe o tyle tylko zbawienne, o ile czas ulgi sztucznie sprowadzonej wyzyska się należycie, by oprzeć gospodarstwo rolne na podstawach naturalnych, a tem samem trwałych, i tak podźwignąć je istotnie.

Oczywiście uwzględniają *Chr. soc. Bl.* w pierwszym rzędzie stosunki ekonomiczne cesarstwa niemieckiego. Ztąd poddają dokładnemu rozbiorowi to wszystko, co dla rozwiązania kwestyi socyalnej dzieje się w parlamencie niemieckim. Tak nawiązane są do rozpraw parlamentu uwagi zawarte w artykułach: *Arbeiterschutz vor dem deutschen Reichstage*, *Handwerk und Christenthum*, (o słabych

stronach wniosku Ackermanna), *Sonntagsruhe, Das Versicherungswesen, Deutsche Kolonial politik.* Wypowiedziane w tych artykułach zdania zostają w zupełnej zgodzie z zapatrywaniami, panującemi w centrum parlamentu niemieckiego. Nie zbywa też na korespondencyach z innych krajów. Z Austryi pomieszczono listów cztery. Z tych pierwszy (str. 65 i nast.) donosi, co dla podźwignięcia rolnictwa zrobiły sejmy solnogrodzki, morawski i niższo-austryacki; drugi (str. 97 i nast.) daje obraz ruchu wywołanego nową ustawą przemysłową; trzeci (str. 268 i nast.) rozbiera sprawozdanie 1-sze inspektorów przemysłowych z czynności dokonanych w r. 1884; czwarty list (str. 289 i nast.) omawia działalność parlamentu wiedeńskiego na polu ekonomicznem. Uderzającem jest to, że w żadnym z wymienionych referatów, napisanych przez człowieka, widocznie znającego dobrze stosunki austryackie, nie ma wzmianki o Galicyi, Czechach i krajach należących do Korony św. Szczepana.

Na stosunki ekonomiczne Anglii i Irlandyi rzuca światło list pasterski ks. biskupa z Nottingham Edwarda Bagshawe, ogłoszony pod tytułem: *Mercy and Justice to the Poor, the true political Economy.* London 1885, a streszczony w artykule: *die wahren Grundlagen der christlichen Wirthschaftslehre.* Większą doniosłość niż list biskupa z Nottingham ma pismo, które z okazyi nowych wyborów ogłosił kardynał Manning w *Dublin Rewiew.* Obszerne wyciągi podają *Chr. soc. Bl.* pod napisem: *Cardinal Manning über die sociale Lage Englands.* O godnych uznania pracach katolików francuskich nad polepszeniem bytu klas pracujących informuje nas szczegółowo praca: *Die katholischen Arbeitercirkel in Frankreich.* Tło stanowi tu wydane tego roku dziełko: *Mémoire sur l'Oeuvre des Cercles catholiques d'ouvriers, présenté a Nosseigneurs les Archevêques et Évêques de France par le Comité général de l'Oeuvre.* Pamiętnik ten, napisany z okazyi 13-tej rocznicy założenia „dzieła", zawiera dzieje związku, szeroko pomyślanego, który, dzieląc się na sekcye, zamierza rozciągnąć swe działanie na całą Francyę, a tę posiada cechę charakterystyczną, że, gdy inne podobne stowarzyszenia głównie szukają członków między robotnikami, osoby zaś z wyższych warstw przypuszczają tylko wyjątkowo jako dobrodziejów: to związek wspomniany usiłuje przedewszystkiem pozyskać sobie klasy zamożne, obudzić w nich

zapał do spełniania powinności społecznych, a tak ze stowarzyszonych wytworzyć apostołów, pracujących, każdy w swoim zakresie, według jednego programu, nad naprawą socyalną w duchu chrześcijańskim. Jeżeli związek dotąd nie może pochlubić się tem powodzeniem, którego należało się spodziewać po ofiarności i inteligencyi założycieli, to trzeba pamiętać, iż niezbędne w takich sprawach doświadczenie nie jest dziełem jednej chwili. Główny błąd, który przyznaje pamiętnik, w tem leży, że starano się za mało o współudział duchowieństwa parafialnego w dziele.

W starannie opracowanym artykule *Reisen und Verkehr*, rozłożonym na siedem numerów, tytuł niezupełnie odpowiada treści. We wstępie mówi o przewrocie, jakiego w stosunkach nowoczesnych dokonało ulepszenie środków komunikacyjnych pod względem taniości, szybkości i bezpieczeństwa. Daty odnośne wzięte są z książki inżyniera de Fovitle: *La transformation de moyens de transport* Paris 1880. Wśród zmienionego i zmieniającego się ciągle stanu rzeczy nieodzownym warunkiem powodzenia ekonomicznego jest, zdaniem autora, przedsiębierczość, to jest przymiot, którego niedostaje przeważnie dzisiejszemu pokoleniu. Braku powszechnego inicyatywy dowodzi żądanie pomocy państwowej w każdej potrzebie, dowodzi jej także przerażająco-znaczna liczba konkurentów o posady rządowe, dające utrzymanie skromne ale bezpieczne. To, co autor mówi o warunkach przedsiębierczości i o środkach wiodących do jej nabycia, zasługuje na pomieszczenie w każdym podręczniku pedagogicznym, bo nie da się zaprzeczyć, iż szkoła nowoczesna za wiele uczy a kształci za mało, za wiele rozwija inteligencyę, za mało urabia charakter. Nie możemy też pominąć milczeniem pracy, którą w ostatnim roczniku *Chr. soc. Blätter* umieścił Albertus (pseudonim), znany autor dzieła: *Socialpolitik der Kirche.* W artykule pod napisem: *Das Erbe des Enterbten,* napisanym z wielką erudycyą, wykazuje szkody ekonomiczne, jakie wyrządziła tak zwana sekularyzacya majątków kościelnych w Niemczech, i broni gorąco zakony ze stanowiska socyalnego. Ta apologia zakonów nie jest pracą zbyteczną, bo ataki przeciwników nie ustają, czego dowodem niech będzie definicya zakonów niedawno pomieszczona w książce przeznaczonej dla młodzieży: *Die Mönche sind eine Abart des menschlichen Namens, die heiligen Triebe der*

Natur abgeschworen haben, um dienstbare Kreaturen des römischen Stuhles zu werden. (Otto Roquette, Deutsches Lesebuch. Berlin 1877. Str. 99).

W porównaniu z dawniejszemi rocznikami razi w ostatnim brak wiadomości o stowarzyszeniach katolickich w Niemczech i brak wzmianek, choćby bibliograficznych o nowych dziełach traktujących przedmioty związane z ekonomią. Mimo tych niedostatków *Chr. soc. Blätter* mają bądź co bądź wartość wielką i zasługują się dobrze społeczeństwu niemieckiemu, bo ułatwiają znakomicie utworzenie zdrowego poglądu na kwestyę socyalną, najzawilszą bezsprzecznie ze wszystkich, których rozwiązanie przypadło obfitującemu do zbytku w kwestye różnorodne stuleciu naszemu.

Z. L.

Rozmaitości.

Tygodnik zaczął wychodzić w Paryżu, głównie dla wychodźców, pod redakcyą ks. Romana Wilczyńskiego. Format małego arkusza, ale też niska cena; rocznie 8 franków. Oto kilka słów z wstępnego artykułu, określających zacne zadanie pisma:

„Opinia ogólna już oddawna domaga się pisma w czasie oznaczonym wychodzącego, którego byłoby celem utrzymywać, pielęgnować i zachęcać innych do strzeżenia narodowości polskiej, przez wiarę, język, zwyczaje, obyczaje, słowem wszystko w czem jest prawdziwe narodowe życie, bo to jest właśnie w naszej mocy i to stanowi zasady i dążność *Tygodnika*....

„Mamy nadzieję, że wypowiadając jasno cel naszych usiłowań, zostajemy w jedności uczuć i przekonań z krajem, my dzieci wyrzucone na obcą ziemię z łona matki Ojczyzny. Tak więc z jednej strony obznajmiać będziemy wychodźców ze stosunkami krajowemi, o ruchu jego literackim, politycznym, artystycznym, a w miarę możności naukowym; z drugiej strony zaznaczać fakta zaszłe za granicą, a mogące publiczność polską bezpośrednio zajmować".

Mamy nadzieję, że Redakcya nie spuści z oczu ciężkich stosunków, w jakich się kraj znajduje i unikać będzie zapędów, które wychodźcom łatwo z serca tryskają, ale w obecnej chwili posłużyć mogą tym, coby radzi całą Polskę na wychodźctwo zagnać.

Dowiadujemy się, że kilku kapłanów dyecezyi tarnowskiej, zabrało się do przetłumaczenia książki: *Geschichtslügen,* która w niemieckim języku doczekała się w ciągu jednego roku już czwartego wydania. Treścią tego dzieła jest zbijanie fałszów, które tendencyjnie w historyi rozpowszechniono; a zamiarem jest wydawców polskiego tłumaczenia dołączyć odprawę błędów w naszej historyi utartych. Spodziewamy się, że polski przekład znajdzie licznych czytelników, zwłaszcza między uczącą się młodzieżą.

Niedawno opuściły prasę:

Salve Regina w 22 rozmyślaniach majowych. Napisał ks. *Józef Krukowski dr. S. T.* proboszcz kościoła św. Floryana i t. d. Kraków 1886. — Jestto wykład prześlicznej Antyfony kościelnej, rozłożony na wszystkie dnie miesiąca czci N. P. Maryi poświęconego. Niewłaściwą nam się zdaje nazwa rozmyślań, nie masz tu bowiem podziału na punkta, uwag praktycznych, i uczuć które rozgrzać powinny serce i skłonić wolę do zamiłowania cnoty. Przykłady za to nowsze, dobrze dobrane; szkoda, że nie zawsze autor podaje źródło, skąd je czerpał. Książeczka ta służyć może do prywatnego użytku wiernych, jako czytanie nabożne.

Rok kościelny przez *S. M. K. B. Ł.* 2. Warszawa 1886. Redakcya *Przeglądu katolickiego* w Warszawie, wielką oddała wiernym przysługę, podejmując przedruk znakomitej książki ks. biskupa Kozłowskiego p. t. *Rok kościelny.* Tak jak wszystko, co wyszło z pod tego pióra, oznacza się to dzieło jędrnością, jasnością i przystępnością wykładu.

Rodzinom katolickim polecamy gorąco *Rok kościelny.* Książka ta dzieli się na trzy części, z której pierwsza zawiera kalendarz kościelny z krótkiemi żywotami świętych całego roku, druga ewangelie i epistoły niedzielne i świąteczne z wykładem tychże, trzecia katechizm, t. j. jasny i głęboki wykład prawd wiary chrześcijańskiej.

Matka lub nauczyciel znajdzie w tem dziele ułatwione zadanie wytłumaczenia ewangelii i katechizmu, każdy wierny naukę, bo niestety przyznać musimy, że bardzo często nawet u pobożnych osób, nauka ta jest bardzo powierzchowna i zaniedbana.

Obecne wydanie ozdobione jest licznemi i pięknemi rysunkami, przeważnie wziętemi z katakumbowych wzorów, z dobrem bardzo ich wytłumaczeniem, a tak stanowi całość nietylko pożyteczną, ale i ponętną.

Różaniec ilustrowany z rozmyślaniami i modlitwami przy każdej tajemnicy, przez *O. Prokopa* kapucyna. Warszawa 1886. Wydanie to bardzo na czasie i pożądane po tylokrotnem a gorącem wezwaniu Ojca św., nawołującego wiernych do odmawiania *Różańca.* Sposób odmawiania poprzedza nauka dokładna o zaprowadzeniu Różańca świętego, o jego cudownej skuteczności i pobudkach do odmawiania go skłaniających zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Ryciny tajemnic starannie dobrane, choć nie dość wykończone. Na wstępie każda tajemnica treściwie wyłożona. Części składające Różaniec, odmiennemi

obwódkami i różnokolorowym drukiem odróżnione. Całe wydanie nader ozdobne i bogate, choć może format niepraktyczny.

Wyjazd do Ameryki. Obrazek z życia ludu, napisał *Szymon Matusiak*. (Odbitka z Wielkopolanina). Poznań 1886. Str. 106. — Nowy ten „obrazek", piękne zajmuje miejsce w licznym szeregu ludowych powieści i powiastek skierowanych przeciw nieszczęsnej emigracyi do Ameryki. Jak wynika z natury rzeczy, występują tu znane nam postacie chciwego a obłudnego Żyda, podstępnego „Miemca", poczciwego dziedzica i księdza, wreszcie oszukanych wódką i szumnemi obietnicami chłopków. Temat i postacie znane, ale przyznać trzeba, że p. Matusiak, tak dobrze, jak to widać z dawniejszych jego prac, znający lud sandomierski, umiał znany ten temat urozmaicić nowemi, zawsze szlachetnie pomyślanemi motywami. Postać sędziwego Stępnia, przyjaciela i powiernika dziedzica, dziś nie zbyt może naturalna; autor nie chciał też w niej pewnie wystawić dzisiejszego wieśniaka, ale idealnego, jakiego radby, kiedyś w przyszłości oglądać.

Au Prince de Bismarck. Lettre ouverte d'un gentilhomme polonais du grand duché de Posen. 1886. — Broszura z jasnością umysłu i wielkim taktem — rzadkiemi w takich okolicznościach przymiotami napisana. Ale jeśli ma być protestem w obec świata, to jest za korną, jeśliby miała trafić do serca lub przekonania Kanclerza byłaby naiwną. Pojmuję jednak, że są sfery, do których w tym właśnie tonie przemówić należy.

La Ciencia cristiana („Wiedza chrześcijańska") katolicki przegląd madrycki rozpoczął w zeszycie z 31 stycznia b. r. drukować obszerniejszą pracę o Krasińskim, pod charakterystycznym tytułem: **El poeta, che maledice à la Revolucion** („Poeta złorzeczący rewolucyi"). Niepodpisany autor rozpoczyna swój — bardzo dla nas przychylny artykuł — krótką, ale jędrną charakterystyką poezyi polskiej w bieżącym wieku; zastanawia się bliżej nad ogólnym kierunkiem poezyj Mickiewicza i Słowackiego, a wreszcie z prawdziwem zamiłowaniem skreśla portret „antyrewolucyjnego poety", Krasińskiego i przechodzi do poszczegółowej analizy jego utworów, zwłaszcza „Niedokończonego poematu" i „Nieboskiej komedyi". Autor nie tai swego podziwu dla wielkiego polskiego wieszcza, a sądząc z pięknie i bardzo dokładnie przetłumaczonych dłuższych ustępów, musiał chyba zapoznać się z Krasińskim w oryginale.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Słowo o naszych stosunkach. — Projektowane Uniwersytety katolickie w Salcburgu i Fryburgu. — We Francyi: mowa ministra Freycinet — list kardynałów francuskich do rządu — Watykan i Chiny — Nowella szkolna w senacie. — W Hiszpanii: list zbiorowy Episkopatu — poświęcenie kleru przy cholerze — składki na flotę — Lojola.

Jakżeż tu pisać o sprawach Kościoła po szerokim świecie, kiedy serce zbolałe zwraca się mimowolnie do jego losów w różnych dzielnicach naszego kraju? A o tych pisać w tym *Przeglądzie* niepodobna. Zresztą cóżby tu pisać? — fakta wszystkim wiadome — przyczyny po części jeszcze niedościgłe — a następstwa w Bożej mocy zostają.

Sprawa obsadzenia stolicy św. Wojciecha, w chwili kiedy to piszemy, zdaje się zachwianą przez dwulicowość rządu w kwestyi rewizyi praw majowych. Jakkolwiek rozstrzygniętą zostanie, naród nasz jest dość mocno z opoką Piotrową zrośnięty, aby nietylko uledz szczerze, ale też zaufać po synowsku jej rozporządzeniom i zobowiązać sobie tę Opatrzność wyjątkową, która wieczyście czuwa nad Kościołem. Katolikami jesteśmy z przekonania, nie z oportunizmu. Dowodem tego są pierwsze odezwy głównych organów prasy polskiej, mianowicie poznańskiej. Cześć im się za to należy.

W Salcburgu poruszona nie tak dawno rzecz o uniwersytecie katolickim, zaczyna już z pola teoryi przechodzić w dziedzinę

faktów. Jest już stowarzyszenie generalne uniwersyteckie dla gromadzenia funduszu, jest komitet dyrygujący tą sprawą, który miał w tym miesiącu już drugie ogólne posiedzenie. Udzielono sobie na tem zebraniu wiadomości, że „Stowarzyszenie“ zebrało tego roku przeszło 41.000 złr. Prawda, że to bardzo mało w porównaniu do milionów jakich to dzieło potrzebuje, jednak dosyć aby nie opuszczać rąk.

Do fakultetu teologicznego, który już jest założony w Salcburgu, ma w najbliższym czasie przystąpić wydział historyczno-filozoficzny. Byłby to bez wątpienia poważny początek. A że powoli ta sprawa postępuje, nic to nie szkodzi, wszakże prawie wszystkie najsławniejsze uniwersytety stopniowo się rozwijały, a w ogóle mówiąc wszystkie wielkie dzieła trudne i powolne miały początki.

Dla otrzymania środków pieniężnych komitet dyrygujący uznał za dobry plan p. Fuchs'a, tj. pożyczkę 1.400.000 złr. Dochodami od tej sumy możnaby opłacać jedenastu profesorów zwyczajnych, i opędzić koszta otwarcia, pomieszczenia i służby. Jest jednak obawa, czy „Stowarzyszenie jeneralne“ nie będzie chciało swych działań finansowych zbyt centralizować i monopolizować. I kto wie czy nie lepiejby było zamiast jednego stowarzyszenia w Salcburgu, pozakładać raczej prowincyonalne i dyecezalne, połączone między sobą i poddane komitetowi dyrygującemu. Dyecezya pelteńska dała już tego dobry przykład. Katolicy bowiem tamtejsi nie chcąc być pochłoniętymi przez „Stowarzyszenie jeneralne“, sami utworzyli kółko celem zbierania funduszów, zastrzegając przy tem, że gdyby uniwersytet dla jakichkolwiek przyczyn nie mógł być założonym — zebrana suma powinna być obrócona na rzecz szkół w samej dyecezyi istniejących. Takie urządzenie przyniosłoby daleko większe korzyści nawet materyalne, bo czyż to nie jest naturalnem, że ludzie chętniejsi są do ofiarności na rzecz bliżej ich obchodzącą, niż na coś co jest daleko od nich i co do miejsca i co do czasu, a wreszcie wątpliwe co do skutku.

Ta myśl uniwersytetu katolickiego, która w Salcburgu już dojrzewa, kiełkuje także w Szwajcaryi. Projektowany uniwersytet fryburski, jest jeszcze w peryodzie czystej możliwości. Zdania, a raczej gazety się zcierają czy na czasie lub nie — tak wielkie sumy wkładać na barki ofiarności publicznej. Szwajcarski *Vaterland*

jest bezwzględnie za tem i podaje już gotowy plan. Gmach już stoi tj. pojezuickie kolegium, (mniejsza o to, że tymczasem jest zajęty przez zakład dla sierót). Fundusze także już jakby w kieszeni, bo w sercach znanych z ofiarności Francuzów, którzyby przeważnie z uniwersytetu korzystali. Biblioteka fryburska także zupełnie wystarczająca, przynajmniej dla wydziału teologicznego, filozoficznego i historycznego, bo te tylko najprzód byłyby otworzone; medyczny i przyrodniczy, jako najwięcej wymagające nakładu, zostawiają się na koronę dzieła.

We Francyi systematyczne prześladowanie duchowieństwa coraz to szersze przybiera rozmiary. Zatrzymywaniem pensyi i znoszeniem wikaryatów rząd dalej walkę prowadzi, ale pomny wyborów październikowych w zasadniczej kwestyi konkordatowej, kompromitować się nie chce. Mowa p. *de Freycinet*, wypowiedziana na dniu 16-m stycznia w izbie, mętny a raczej obłudny w tej mierze wygłosiła program. Minister zapowiedział, że rozdział kościoła od państwa zależyć będzie, „od rozpraw sejmowych i od idei nurtujących w kraju". W ten sposób zastrzegł się niejako w obec skrajnego stronnictwa, że mu na dobrych chęciach otwartego zerwania z kościołem nie zbywa, ale, że odpowiedzialności na siebie brać nie może. W tejże samej przecież jeszcze mowie oskarżył duchowieństwo o stronniczą agitacyę w czasie wyborów, a tą zaczepką sankcyonował niejako postępowanie rządu w prześladowaniu kleru, ową taktykę władzy, która nie śmie jednym zamachem kościoła francuskiego zburzyć, tylko cegiełkę po cegiełce pojedyńczo wyjmuje. Odnośny ustęp ministeryalnej mowy wywołał protestacyę kardynałów francuskich, przesłaną prezydentowi rzeczypospolitej. Oświadczenie to umiarkowane, ale stanowcze, jest zarazem programem polityki kościoła we Francyi i adhezyę do nauk encykliki *Immortale Dei*. Kardynałowie zaznaczają w tem piśmie pracę ustawiczną duchowieństwa, aby w kraju nie obniżano religii do rzędu stronnictwa; jeżeli były wyjątki, odpowiedzialność nie powinna na ogóle ciężyć; duchowieństwo nie tai sobie ważności obecnego położenia: wszystko zniesie, co się nie sprzeciwi ich sumieniu i godności kościoła, pomne słów które stwierdziły niedawno, że kościół w zasadzie żadnej formy rządu nie potępia. Oświadczenie to wpłynie niepomiernie na opinię izby, w której przyjdzie w tych dniach pod obrady projekt deputowanych

Planteau i Michelin, żądający zniesienia konkordatu, nieuznawania i nie subwencyonowania kultu przez rząd, a oddania kościołów i probostw na własność i wolny zarząd gminom. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wniosek ten w izbie upadnie. Tak przynajmniej spodziewać się należy po odezwach w tej mierze umiarkowanej republikańskiej prasy, która po liście kardynałów w obronie konkordatu, jako integralnej części społecznego i politycznego ustroju we Francyi, stanowczo wystąpiła. A w chwili obecnej niebezpieczeństwo grożące protektoratowi francuskiemu na Wschodzie z politycznych względów antykonkordatowych fanatyków pomiarkować winno. Chiny bowiem zgłosiły się do Watykanu z propozycyą zawiązania stałych dyplomatycznych stosunków, z prośbą o nuncyaturę a przyrzeczeniem poselstwa. W takiem położeniu kwestya protektoratu francuskiego zależną będzie od Stolicy Apostolskiej. Stanowisko, jakie rząd zajmie w obec kościoła, rozstrzygnie sprawę. Dwie nad wyraz dla Francyi ważne kwestye staną w ten sposób w ścisłym, zależnym od siebie związku; polityka kolonialna będzie od polityki kościelnej zawisłą, a każda zaczepka Rzymu, może się stać porażką na Wschodzie.

Prawdziwym ciosem dla katolików we Francyi jest również przyjęcie w senacie artykułu XII. ustawy o organizacyi szkolnej. Artykuł ten odejmuje prawo nauczania kongreganistom. Napróżno w znakomitych mowach senatorowie katoliccy, były minister Buffet i p. Chesnelong protestowali przeciw takiej nietolerancyi, próżno powoływali się na zasadę prawną, przypominali zasługi braci szkółek chrześcijańskich, których praca tyle bogatego plonu Francyi przyniosła; senat przyjął artykuł XII. Już od lat kilku rząd wszelkiemi sposobami braci szkółek chrześcijańskich od nauczania w szkołach publicznych usuwał, wywierając nacisk na rady municypalne, aby popierały świeckich nauczycieli. Przecież w niektórych okolicach nie pomogły zabiegi rządu i dziś dopiero minister Goblet temu nadużyciu w obec republiki koniec położył, motywując ten wniosek słowami wyrzeczonemi z trybuny: „nasz Bóg nie jest Bogiem kongreganistów“. W ustach ministra wyznań słowa te podwójnej nabierają wagi.

W Hiszpanii, zbiorowy list pasterski biskupów, zgromadzonych na pogrzebie Alfonsa XII., a zalecający wszystkim wiernym

zwłaszcza gazetom katolickim, tak potrzebną zgodę i jedność, wywołał wielki ruch w całej prasie hiszpańskiej, ale z dawna zakorzenionych uprzedzeń i niechęci zażegnać nie zdołał. Liberali, uńjoniści, liberalni konserwatorzy, republikanie wszystkich odcieni i kolorów, wołali z radością w niebogłosy: „Episkopat hiszpański potępił nietolerantnych karlistowskich pisarzy!“ gazety i przeglądy karlistowskie odpowiadały z niemniejszym zapałem: „Episkopat hiszpański potępił wszystkich, którzy nie kierują się ściśle katolickiem kryteryum wręcz przeciwnem kryteryum liberalnemu, a zatem potępił wszystkie gazety liberalne“. W obec takiego wzajemnego rozdrażnienia wrogich sobie stronnictw, list pasterski obrachowany na ich pogodzenie i złączenie w pewnych przynajmniej granicach, dolał tylko oliwy do ognia. Nie nowa to zresztą rzecz, bo i papieską encyklikę *Immortale Dei*, oba stronnictwa starały się wytłumaczyć na wyłączną swą korzyść.

Obecnie w jednej tylko rzeczy zgadzają się karliści, liberali, liberalni konserwatorzy, a nawet republikanie: w szczerem uwielbieniu dla prawdziwie katolickiej i patryotycznej działalności kleru w obec coraz to nowych klęsk nawiedzających Hiszpanię. Jak po trzęsieniach ziemi, tak niebawem wśród grasującej cholery, kler wziął w swe ręce całą niemal ratunkową akcyę i bez praw sejmowych, bez rządowych dekretów, stanął samą siłą rzeczy, w pierwszej linii do walki z groźną zarazą i spieszącemi za nią ubóstwem i głodem. W Saragosie stał dniem i nocą w domu proboszcza posterunek złożony z kilku wciąż zmieniających się kapłanów, gotowych na każde wezwanie pospieszyć z duchową i cielesną pomocą; prawda, że dobry przykład szedł z góry, i że sam arcybiskup kardynał Benavides nigdy przypadającej nań kolei nie opuścił. Podobnie jak w Saragosie, tak działo się i gdzieindziej, po wsiach i po miastach; chcąc je wyliczyć, trzebaby wyliczyć wszystkie miejscowości cholerą nawiedzone. Zatarg o Karoliny pokazał znów raz jeszcze, że jak dawniej tak dzisiaj, duchowieństwo hiszpańskie nie szczędzi grosza i mienia w ofierze dla dobra ojczyzny. Arcybiskup z Manili, Mgr. Paye, w liście otwartym do mieszkańców wysp Filipińskich, zawezwał ich do składek na zakupienie okrętu wojennego, który obecnością swą na wodach archipelagu i nazwą *Filipinas*, byłby ustawicznem świadectwem i protestem, przeciw wszelkim

możliwym pretensyom: zagranicznych piratów, iż wyspy Filipińskie istotnie do Hiszpanii jak należały, tak i należą. List arcybiskupa przyjęto w całej Hiszpanii z entuzyazmem nie do opisania. Nie upłynęło dwóch tygodni od ogłoszenia pięknego tego dokumentu w dyecezalnym *Boletin Eclesiastico*, a już składki zebrane przez mieszkańców Filipin przechodziły 60.000 pezet. Ze swej strony klasztory z wysp Filipińskich, zebrały już między sobą dotychczas 300.000 pezet, a podobno nawet niezadowolone jednym statkiem proponowanym przez arcybiskupa, zamyślają na swą rękę zakupić w Anglii kilka kanonierek i ofiarować je rządowi.

W obec takiej ofiarności sądzićby można, iż towarzystwo akcyonaryuszów zebrane dla dokończenia olbrzymiego klasztoru w Lojoli, miejscu rodzinnem św. Ignacego, nie będzie mogło doprowadzić swych zamiarów do skutku. Istotnie zamiar to nie łatwy, jeśli zważymy, że w jednem dziś stojącem skrzydle, znajduje wygodne pomieszczenie trzystu zakonników; ale Baskowie zbyt są znani ze stałości czy uporu, aby się mieli cofnąć przed jakąś trudnością. Junta się zebrała, dzieło postępuje, składki płyną obficie, a jeśli tymczasem nie wybuchnie nowa jaka wojna domowa, to za lat parę stanie w Lojoli klasztor, rozmiarami swemi wyglądający na twierdzę, wedle planu nakreślonego przed paru wiekami, w chwili największej potęgi monarchii hiszpańskiej.

K.

Listy z nad Baltyku.

III.

Wydawnictwa łotewskie. — Stosunki socyalno-polityczne. — Moralność u Łotyszów. — Kierunek wsteczny prasy łotewskiej. — Zarzuty czynione duchowieństwu.

Łotysze zamieszkujący Kurlandyą i część południową tak zwanych „Inflant szwedzkich“, czyli gubernii inflanckiej lub ryskiej, posiadają bogaty zasób ksiąg szkolnych, przeważnie elementarnych, wydawanych w ich własnem narzeczu niemiecko-łotewskiem, które z kolei w swojem miejscu dokładniej określimy.

Pomiędzy wspomnianemi wydawnictwami liczne podręczniki geograficzne, opatrzone pięknie koloryzowanemi mapami. Dzieje ojczyste krajów nadbałtyckich, dziełka arytmetyczne, podręczniki historyi przyrodniczej i t. p.

Ostatniemi laty w ręku najzamożniejszych protestanckich Łotyszów, zdarza się częstokroć spotykać wspaniałe wydanie poematu Goethego *Reinecke-Fuchs* w tłumaczeniu łotewskiem Dünsberga, do którego zostały użyte słynne ilustracye Kaulbacha. Nakładcą tej niezwykle okazałej i kosztownej łotewskiej edycyi jest księgarnia Sieslacka w Mitawie, nie mająca przy swych licznych wydawnictwach innego celu, jak zręczne wyzyskiwanie kieszeni bardziej zamożnych Łotyszów, dla których piękności tego poematu Goethego długo jeszcze zostaną nieprzystępne.

Dzięki spekulacyom księgarskim, posiadają już Łotysze kurlandzko-inflanccy cały szereg powieści wątpliwej wartości, któremi bogatsi chętnie czas swój zabijają. Obecnie nie braknie im nawet sensacyjnych romansów, tłumaczonych skwapliwie i ogłaszanych bezustannie bądź w fejletonach najrozmaitszych gazet łotewskich, bądź też w osobnem odbiciu. Figuruje pomiędzy innemi i słynny romans: „Róża z Białogrodu“, a także „Królowa hiszpańska Izabela czyli Tajemnice dworu madryckiego“, oraz wiele innych podobnych zdrożności, które niestety uszły baczności autora artykułu: O postępie na Łotwie ogłoszonego w tomie VI. „Przeglądu powszechnego“ na str. 140—143.

Od czasu do czasu wychodzą przekłady na język łotewski takich znowu książek, które, jakkolwiek nic w sobie nie zawierają zdrożnego, wszelako temu ludowi najmniejszej korzyści przynieść nie mogą; przytoczę tylko znane ogólnie *Homo sum* słynnego egiptologa Ebersa i liczne powieści Panteniusa, redaktora lipskiego czasopisma „Daheim“, ekspatryowanego mieszczanina kurlandzkiego, który zbyt pochopnie zwykł wyszydzać wszelkie słabostki szlachty kurlandzkiej, i nader chętnie rzuca kamieniem z poza płotu na towarzystwo, do obcowania z którem niegdyś daremnie wzdychał tu w kraju.

Niemniej skwapliwie uprawianą bywa obecnie i literatura dramatyczna (właściwie komedyancka) tejże gałęzi Łotyszów, złożona niemal wyłącznie z nieudatnych przekładów rozmaitych komedyj, a raczej krotochwil niemieckich, opatrzonych w szydercze kuplety

okolicznościowe. Dzieje się to jużto z powodu, że klub Ryski łotewski potrzebuje ciągle nowości do swego teatrzyku, już i dlatego, że ostatniemi laty farsy w języku łotewskim częstokroć bywają grywane na wsi, lub w mieścinach powiatowych w tem mylnem przekonaniu, że dowcipy i kuplety okolicznościowe rzekomo na uobyczajenie ludu prostego najbardziej wpływają.

O stosunkach socyalno-politycznych Łotyszów niepodobna rozwodzić się w listach niniejszych. Ograniczę się przeto na zaznaczeniu, iż charakterystyczną cechą czasów obecnych jest rozdwojenie włościan łotewskich na dwa odrębne stany: włościan-gospodarzy i włościan-parobków.

Stan pierwszych coraz bardziej się podnosi, pozostawiając stan parobków daleko za sobą. Łotysza-gospodarza tu i owdzie nietylko już nazywają panem, ale go całują w rękę ze czcią i uszanowaniem. Włościanin gospodarz już wcale nie pracuje w polu, ale wysyła tam zastępcę i dozorcę *(pryksz-sajminieks)*, który z wielu względów przypomina znane czytelnikom „Przegl. powszechnego“ typy ekonomów dawnych dworków szlacheckich na Litwie.

Miewamy też coraz częstsze przykłady, że wzbogacony Łotysz-gospodarz rzuca się na spekulacye, a dworek swój wiejski, wraz z ziemią doń należącą, wydzierżawia. Inni, złożywszy znaczne kapitały, nie trudnią się niczem i żyją z procentów, bądź w mieście, bądź na wsi, zabijając czas jak mogą. U nich zawsze znajdziesz z jednej strony wspaniałe wydanie łotewskie poematu Goethego „*Reinecke-Fuchs*“ a z drugiej takie lichoty jak „Różę z Białogrodu“ i niemniej zdrożne „Tajemnice dworu madryckiego“, a obok nich nędzny przekład łotewski choć jednej z licznych powieści Panteniusza, w których, jak już wspomniałem, wcale dowcipnie bywają wyszydzane słabostki szlachty miejscowej.

Poziom moralności, zwłaszcza u zamożniejszych protestanckich Łotyszów, wiele pozostawia do życzenia. U urzędników gminnych coraz częściej natrafiamy na nierzetelność i niesumienność, które wybory gminne najdosadniej uwydatniają. Wójt gminny bywa często pijakiem. Przy wyborze na urzędy gminne bardziej wpływa prywata niż wzgląd na dobro ogółu. Okoliczność ta dowodzi dostatecznie, że szczep łotewski, o którego rzekomym postępie nader mylne podano wieści do „Przeglądu powszechnego“, i na tyle jeszcze

nie dojrzał, by zostawione mu prawo samorządu umiał obracać na własne dobro.

Łotysz-włościanin ma oczywiście w swych rękach zbyt wiele władzy. W Kurlandyi nadużywał on nawet prawa tworzenia stowarzyszeń, zanim w roku 1883 dzielny gubernator kurlandzki, tajny radca Lilienfels, stanowczy kres wybrykom tego rodzaju położył.

Prasa łotewska, o której już się rozpisywano w waszym czasopiśmie[1], jest po większej części agitatorską, pseudo-postępową, niemcożerczą, trzymającą się bezwiednie hasła: „*Divide et impera!*“ Jedynym dziennikiem konserwatywnym są obecnie tak zwane „Wiadomości łotewskie“ (Latwieszu Awizes), wydawane od lat 60-ciu w Mitawie, a których redakcyą od dnia 13 kwietnia r. 1884 objął mąż zacny, inteligentny i wszechstronnie wykształcony, który istotnie nadzwyczaj zbawiennie wpływa na masy protestanckich Łotyszów, i może zdoła zrównoważyć niecne machinacye, jakie mnóstwo dzienniczków agitatorskich wywierać nie przestaje. Organ ten zacny liczy od lat wielu przeszło 6000 abonentów, a w czasie wojny tureckiej miewał ich do 8000. Jest on istnym kamieniem obrazy gazetek agitatorskich. To też używają one przeciw niemu wszelkiego rodzaju broni najniegodziwszej, aby ufność czytelników o ile możności podkopać.

Przyjąwszy sobie za dewizę: „*Calumniare audacter, semper aliquid haeret*“, starają się one równocześnie odjąć Łotyszom zaufanie ku zasłużonemu Towarzystwu: „*Die lettisch-literärische Gesellschaft*“, które od lat kilkudziesięciu z wielkiem powodzeniem nad oświatą tego plemienia pracowało i dotąd pracować nie przestało, jak tego dowodzą obszerne roczniki Towarzystwa, wychodzące pod tytułem: „*Magazin der lettisch-literärischen Gesellschaft*“.

Co do tak zwanego dziennikarstwa czyli młodej prasy łotewskiej, to wyznać musimy, że stosunkowo włościanie żadnego innego ludu Europy tyle rozmaitych gazetek nie posiadają, jak kurlandzko-inflancka gałąź Łotyszów. Należy tylko ubolewać nad tem, że większa część tych gazetek woli się oddawać agitacyom, niż mieć dobro włościan na celu.

---

[1] Obacz *Przegl. powsz.* tom VI. str. 140. — Rozumie się, że nie znając tamecznych stosunków, Autorowi zostawiamy odpowiedzialność za niniejsze poglądy. *(Przyp. Red.)*

Agitacye przeciw miejscowemu duchowieństwu i w ogóle przeciw Niemcom tutejszym, którym nigdy przez myśl nie przeszło wynaradawiać Łotyszów, wychodzą również z tysiącznych stowarzyszeń klubowych łotewskich *(Łatwieszu biedribas)*, nad któremi zwłaszcza rozciąga swój wrogi wpływ klub Łotyszów zamieszkałych w Rydze, za pomocą pisarzy gminnych, z którymi ciągłe utrzymuje stosunki. Nie podlega zaś najmniejszej wątpliwości, że odezwanie się idei narodowej w jakimbądź ludzie tylko wtedy nie jest sztucznem, jeśli ten lud był narodem, tj. jeśli miał historyą, bo tylko taka narodowość nigdy w istocie nie zamarła; wypadki polityczne lub zabiegi pojedyńczych ludzi mogły u takich prawdziwych narodów co najwięcej przyspieszyć chwilę ocknienia, która już z natury rzeczy nastąpić musiała, jak również nie ulega wątpieniu, że wykrzesywanie narodowości z ludu łotewskiego — który, jak powszechnie wiadomo, nie był nigdy narodem — jest tylko sztucznem, a innem być nawet nie może.

Celem tych nieustannych agitacyj jest usunięcie się najzupełniejsze szczepu łotewskiego od wszelkich wpływów niemieckich. Snać nie rozumieją niebaczni agitatorowie, że bezwiednie podkopują sami sobie grunt pod nogami, bo skoroby istotnie nakoniec swego celu dopięli, straciliby stopniowo wszelkie prawo do narodowej egzystencyi, a ostatecznie i książki swoje łotewskie już chyba za granicą mogliby wydawać i stamtąd one za grube pieniądze do kraju przemycać, jak tego na spółplemiennikach w Inflantach polskich już mają żywy przykład, niepotrzebujący zaprawdę dalszych komentarzy.

Gustaw Manteuffel.

Z Wiednia.

Ruch w stolicy. — Wrażenie, jakie mowa ks. Bismarka wywarła w Wiedniu. — Nędza w kołach robotników. — Rada Państwa: — projekta rządowe ustaw o zabezpieczeniu przeciwko skutkom przypadków i na wypadek choroby — niektóre zmiany i uzupełnienia przepisów egzekucyjnych — etyczne i ekonomiczne ich znaczenie — projekt ustawy o języku urzędowym.

Niezwykły ruch panuje w porze obecnej we wszystkich politycznych i towarzyskich kołach stolicy. Kwestya wschodnia, której

końca nikt dopatrzeć się nie może, utrzymuje w ciągłem naprężeniu te sfery, do których należy kierownictwo polityką zagraniczną monarchii; że zaś zainteresowanie to zajmuje i szersze koła, tego chyba w obec wielkiego znaczenia kwestyi tej dla Austryi, podnosić nie potrzeba. Ministrowie węgierscy od pewnego czasu bardzo częstymi są gośćmi w Wiedniu, ale ich bytność nie tyle spowodowana sprawami polityki zagranicznej, co rokowaniami o odnowienie ugody pomiędzy obu częściami monarchii. Gdy zaś większa część nasuwających się z tego tytułu kwestyj jest natury ekonomicznej i finansowej, więc ministrowie skarbu i handlu najwięcej pertraktacyami zajęci.

Niedawno zawitali też do stolicy członkowie obu Izb do Rady państwa, aby podjąć nanowo pracę ustawodawczą, przerwaną na trzy miesiące z powodu sesyi delegacyj wspólnych i sejmów krajowych. Jeżeli uwzględnimy dalej porę karnawałową i bytność dworu w Wiedniu, którego członkowie udziałem swoim w licznych zabawach różnych sfer towarzystwa tutejszego w znacznej mierze do ich uświetnienia się przyczyniają, znajdziemy wytłumaczenie większego ożywienia ruchu.

A jednak nad wszystkiemi sprawami, które w tym czasie Wiedeńczyków zajmują i bawią, zapanowało na czas pewien zainteresowanie się akcyą, która się odegrała za granicami monarchii, w stolicy Prus i Niemiec. 28 stycznia odbyło się tu pierwsze posiedzenie austryackiej Izby poselskiej; ale na posiedzenie to nikt uwagi nie zwrócił; za to z gorączkową prawie niecierpliwością wyczekiwano telegramów z Berlina, gdzie tego samego dnia miał przemówić w Izbie pruskiej niewidziany tam dawno ks. Bismark. Przemówić miał w sprawie wydalań „cudzoziemców“ polskich, i znanego wniosku Achenbacha.

Oczekiwania ziściły się. Pisząc z Wiednia zamierzamy jedynie zdać sprawę z wrażenia, jakie tutaj wystąpienie to zrobiło. Wrażenie to znalazło oczywiście najpierw wyraz w prasie. Gdyby chodziło wyłącznie o Polaków, znalazłaby się może większa harmonia w chórze admiratorów siły i głównego jej dziś reprezentanta. Ale uprzytomnić sobie należy, że z jednej strony pomiędzy wydalonymi znalazła się pewna liczba Żydów, którzy z przyczyn łatwo zrozumiałych u większej części prasowych t. z. organów opinii publicznej

zawsze na współczucie liczyć mogą, z drugiej strony trudno było nie dostrzedz, że przemówienie ks. Bismarka z 28 stycznia nietylko było nacechowane nienawiścią do Polaków, lecz zarazem zamachem na rządy reprezentacyjne na parlamentaryzm. Te okoliczności oczywiście musiały przytłumić nieco radość, jaka zapanowała w szeregach reprezentantów t. z. liberalizmu z powodu zagrożenia Polakom walką eksterminacyjną. Pamiętamy bardzo dobrze ten szczegół, iż tutejszy monitor liberałów niemieckich, *Neue fr. Presse* na pierwszą wieść o wydaleniach pruskich, zachowanie się rządu pruskiego w obec Polaków i w tej sprawie najzupełniej pochwalał, a później dopiero, gdy nadeszły dalsze szczegóły o wydalaniach Żydów, postępowanie to nazwał nieludzkiem. I teraz, po najnowszem wystąpieniu ks. Bismarka, czuć było w głosie tej prasy źle pokrytą radość z ucisku Polaków, a zarazem oburzenie za krzywdę starozakonnych, która spowodowała Rickerta do tak wymownej przeciwko kanclerzowi niemieckiemu filipiki. Niepodobna też było pominąć milczeniem tych ustępów z mowy Bismarka, które świadczą o zakorzenionej u niego nienawiści do rządów reprezentacyjnych. Tylko nowego stronnictwa parlamentarnego, klubu niemieckiego, i te względy nie mogły powstrzymać od zamanifestowania admiracyi dla mistrza i pana swego. Wzgląd na Żydów nie powstrzymał ich, bo tam przeważają sentymenta antysemickie, nienawiść zaś członków tego klubu do wszystkich Słowian w ogóle, a Polaków w szczególe, tak jest wielka, że gotowi poświęcić całe rządy reprezentacyjne za kilka drakońskich przepisów przeciwko Polakom.

W sferach urzędowych tutejszych mowa Bismarka wielkiego wrażenia nie zrobiła. Dzienniki liberalne niemieckie wprawdzie nie omieszkały skorzystać ze sposobności i starać się przekonywać czytelników swoich i rząd, że przyjaźń pomiędzy Austryą a Niemcami na szwank musi być narażoną z przyczyny tak odmiennego traktowania Polaków; że przecież w jednem z państw sprzymierzonych nie mogą bezkarnie brać udziału w rządzie kompatryoci tych, których w drugiem traktują jako wrogów skazanych na wytępienie. Ale w sferach urzędowych wiedzą dobrze o tem, że kanclerz niemiecki przy zawieraniu sojuszów nie kieruje się sentymentem, lecz interesem. Członków klubu niemieckiego może powoduje sentyment do uwielbiania kanclerza; ale ks. Bismarkowi chwilowo przynajmniej Austrya

z dzisiejszym ustrojem, niedobijająca się hegemonii w Niemczech, daleko jest przydatniejszą w jego planach politycznych, niżeli Austrya z rządem liberalno-niemieckim, uciskającym Słowian.

Nietaktowna demonstracya klubu niemieckiego na cześć Bismarka, wręcz przeciwny niżeli jej inicyatorowie zamierzali wywołała efekt – w szeregach własnych konsternacyę: u wszystkich innych opozycyę. Demokratyczne stronnictwo tutejsze, do którego zaliczyć można niewątpliwie większą część właściwych mieszczan wiedeńskich, mianowicie zamożniejszych rzemieślników, przemysłowców i kupców, wcale nie sympatyzuje z kanclerzem niemieckim. Są to sfery szczerze austryackie, które żadnych sojuszów ściślejszych z Prusami nie pragną i owszem dotąd Prusakom Królowogrodu i Sadowy darować nie mogą. Sentymentom swoim dali oni też wyraz, uchwalając na zebraniu publicznem, wotum nieufności dla Weitlofa, posłującego z Wiednia, który jako człowiek parlamentowego klubu niemieckiego, brał udział w uchwaleniu adresu do Bismarka. Na zebraniu tem, o którem oczywiście znaczna część prasy tutejszej ani wspomniała, niektórzy mówcy dosyć gwałtownie w duchu antypruskim przemawiali. Jako wyraz opinii tych sfer należy uważać artykuł w *Sonn- und Montags-Ztg.* umieszczony, potępiający bardzo surowo politykę Bismarka.

Od samego początku konsekwentnie przeciwko polityce pruskiej występuje także *Vaterland* katolicki. Nic w tem nadzwyczajnego, bo te zapatrywania Vaterlandu dzieli nietylko cała prasa niemiecka katolicka, lecz z małemi wyjątkami i ludność, która wogóle jest nadto szczerze katolicką i szczerze austryacką, aby się mogła entuzyazmować sukcesami Prusaków w Niemczech. Znać tu nawet także w kwestyi narodowościowej wpływ ostatniego okólnika biskupów austryackich. Dowód tego mamy i w Izbie, w zachowaniu się posłów z niemieckich krajów katolickich, którego liberalni narodowi szowiniści niemieccy oczywiście pojąć nie mogą. A jednak sądzićby należało, że dosyć już w czasach dzisiejszych tej nienawiści, jaką rozbudzają radykalne stronnictwa przewrotu z powodów ekonomiczno-socyalnych, aby jakby umyślnie innych wyszukiwać przyczyn rozdrażnienia, siać nienawiść plemienną. Nie mówiąc już o innych krajach, w samej Austryi nareszcie ciała reprezentacyjne nie mają czasu na wzięcie pod obrady reform spo-

łecznych, bo walka narodowościowa, wybuchająca przy najdrobniejszej sposobności, większą część czasu absorbuje.

A przecież i tu nareszcie pomyśleć należy o skutecznem polepszeniu dobrobytu klas pracujących. W ostatnich tygodniach tysiące robotników w Wiedniu świętowało; temi dniami błogosławili nieba, które zesłały zaspy śnieżne, dające im codzienny zarobek. Ale nie na długo tej pociechy. Wiadomo powszechnie, iż szeregi robotników, świętujących dla braku zatrudnienia, ciągle się zwiększają. Stagnacya w handlu i w przemyśle coraz dotkliwiej czuć się daje. Jeden z posłów świeżo w Izbie przytoczył kilka dat statystycznych co do liczby robotników pozostających w Wiedniu i na przedmieściach Wiednia bez zajęcia. Jest takich obecnie podobno 14 do 15.000. Zjawisko to jest głównie skutkiem znacznego ograniczenia roboty w fabrykach; tak np. pewna fabryka wagonów, która w r. 1885 jeszcze zajmowała 1.136 robotników, obecnie ma ich tylko 531. W wielu innych fabrykach stosunek jest taki sam, lub jeszcze gorszy; a najmniejszych nie ma widoków, iżby się stosunki te polepszyły.

Ze względu na ten stan rzeczy zatrwożyła się mianowicie prasa liberalna znanemi zaburzeniami na Trafalgar-square i w bogatej, dzielnicy Westend w Londynie. A ciekawa doprawdy rzecz z czego np. *N. Fr. Presse* czerpie otuchę lepszej przyszłości ekonomicznej. Otóż przepowiada, że stopa procentowa od kapitałów niezadługo takiej ulegnie obniżce, iż to sprowadzi radykalną zmianę na lepsze w stosunkach ekonomiczno-społecznych.

Dedukcyi tej nie można odmówić pewnej słuszności. Skutkiem znacznego ograniczenia emisyj papierów procentowych na rozmaite cele publiczne i prywatne, powiększa się kapitał szukający lokacyi i stopa procentowa obniża się. Zarząd państwowej kasy oszczędności pocztowej ogłosił w tych dniach obszerny wykaz statystyczny działalności swojej, w którym także pomieszcza pogląd na główne cyfry prywatnych kas oszędności. Otóż wedle wykazu tego zwiększyła się suma wkładek we wszystkich prywatnych kasach oszczędności od r. 1882 do r. 1884 z 722 milionów złr. na 752 milionów. W rządowej kasie pocztowej złożono w latach 1883, 1884 i 1885 342.9 milionów, odebrano 311.4 mil. złr., tak, iż pozostało około $31^1/_2$ miliona. Oszczędności tedy tych klas społeczeństwa, które w ogóle są w możności oszczędzania, zwiększają się, kapitały wzra-

stają i to oczywiście w większej jeszcze mierze w krajach bogatszych, np. w Niemczech, Francyi, Belgii, Holandyi i Anglii niżeli w Austryi. Mogą się tedy spełnić przewidywania *Nowej Pressy*, ale niemniej to charakterystyczne, iż taki horoskop przyszłości stawiają już pisma, poświęcone tylko interesowi kapitału i broniące zawsze prawa pobierania choćby najwyższego procentu.

Bądź co bądź, zanim się spełnią przepowiednie *Nowej Pressy*, należy o tem myśleć, jak przetrwać czasy trudne, jak od nędzy ostatecznej uchronić setki tysięcy ludzi, nieznajdujących dziś zajęcia, i jak nareszcie w ogóle polepszyć byt klas pracujących.

Rządowi tutejszemu nie można robić zarzutu iżby miał oczy zamknięte na niedomagania społeczne. Z mowy tronowej, którą Cesarz zagaił, dziesiątą sesyę Rady państwa 26 września r. z., widać, iż rząd w chwili obecnej działalność ustawodawczą w dziedzinie ekonomiczno-społecznej na pierwszym stawia planie. „Przez zmiany postanowione na ubiegłych sesyach w ustawodawstwie celnem i przemysłowem, jako i przez zainicyowanie polepszenia położenia klas roboczych, które się stało koniecznem, poważne poczyniono kroki ku urzeczywistnieniu niezmiernie ważnych zadań ekomicznych i społecznych. Wypadnie panom zająć się dalszemi na tem polu reformami, uwzględniającemi sprawiedliwie interesa wszystkich. Spodziewam się, że gruntownie się zastanowicie nad reformami temi, które wynikają z rzeczywistej potrzeby ludności i ważnością swoją znacznie przewyższają rozliczne walki stronnictw“. W tejże mowie tronowej znajdujemy zapowiedź projektów do ustaw specyalnych, mianowicie ustawy o zabezpieczeniu robotników przeciwko wypadkom i chorobom, i ustawy o uregulowaniu stosunków mniejszej własności ziemskiej, gospodarstw średnich i drobnych. Pierwsze dwie ustawy rzeczywiście też zostały wniesione. Wróciwszy w końcu zeszłego miesiąca po trzymiesięcznej przerwie w sesyi do Wiednia, zastali już posłowie rządowy projekt ustawy o ubezpieczeniu robotników na wypadek choroby, drugą ustawę o zabezpieczeniu przeciwko skutkom wypadków nieszczęśliwych.

W ciasnych ramach listu nie możemy się oczywiście zapuszczać w detaliczny rozbiór poszczególnych przepisów tych ustaw, z których pierwsza obejmuje 73, druga 63 paragrafów. Zasadniczą

ich podstawą jest przymus zabezpieczenia robotników, narażonych rodzajem swej pracy na wypadki mogące im odjąć możność zarobkowania, przeciwko skutkom tych wypadków, które najczęściej bywają początkiem upadku materyalnego i moralnego. Odpowiedzialność chlebodawców za skutki takich wypadków była dotychczas prawie żadna, robotnik okaleczony skazany był na łaskę chlebodawcy, lub na miłosierdzie ludzkie.

Podobna ustawa o zabezpieczeniu na wypadek choroby, opiera się także na zasadzie przymusowego zabezpieczenia. Wyjęci są z tego przepisu ci, co wedle ustaw procederowych do kas chorych należą, dalej urzędnicy państwa i robotnicy wiejscy. Z tych ostatnich tylko ci obowiązkowo muszą być zabezpieczani przeciwko skutkom wypadków, którzy przy maszynach lub w inny sposób grożący niebezpieczeństwem są zajęci.

Stronnictwo liberalne upatruje w tem nierówną miarę, że przedsiębiorcy rolnictwa, tj. właściciele ziemscy nie mają obowiązku asekurowania robotników; nie uwzględniają jednakże różnicy, jaka tu zachodzi w praktyce: iż robotnik fabryczny zwykle traci zajęcie i zarobek z chwilą zachorowania lub z chwilą, kiedy wypadek jaki nieszczęśliwy go dotyka, kiedy tymczasem większa część robotników wiejskich roczne ma kontrakty, a właściciel ziemski nietylko z miłosierdzia lecz i z własnego interesu robotnikom swoim na wypadek choroby więcej się zajmuje, niżeli przemysłowiec, bo z położenia rzeczy nie może go w tej chwili zastąpić innym, jak to czyni fabrykant. O faworyzowaniu właścicieli ziemskich, którego natura spiesbürgerowska wszędzie dopatruje, mowy nie ma.

Z specyalnych przepisów podnosimy jeszcze te, iż przy asekuracyach przeciwko skutkom wypadków, chlebodawca, według projektu rządowego ma opłacać $^9/_{10}$, robotnik zaś $^1/_{10}$ premii asekuracyjnej, przy asekuracyi zaś na wypadek choroby, opłaca chlebodawca $^1/_3$ premii, robotnik $^2/_3$ premii. Przytoczenie tego przepisu wystarcza dla wykazania, że o faworyzowaniu właścicieli ziemskich mowy nie ma, bo w dzisiejszych stosunkach właściciel ziemski, mianowicie większy, zwykle całe koszta choroby i utrzymania chorego opłaca.

Ustawę o zabezpieczeniu robotników przeciwko skutkom wypadków (*Unfallversicherung*) wniósł rząd już raz w czasie sesyi

ubiegłej, 7 grudnia 1883. Nad ustawą tą obradowała już komisya specyalna Izby przez czas dłuższy i złożyła referat w lutym r. 1885. Gdy jednakże krótko potem sesya została zamkniętą, Izba ustawy uchwalić nie mogła. W przedłożonym obecnie projekcie uwzględnił rząd z małemi nieznaczącemi wyjątkami wszelkie poprawki i uwagi komisyi, tak, iż obecnie czynność komisyi jest li formalną, a Izba do obrad nad projektem samym niebawem przystąpić może. Różnice w zapatrywaniach co do zasad projektu ustawy pomiędzy członkami Izby w gruncie rzeczy nie są zbyt wielkie; to też korzystnego załatwienia projektu spodziewać się należy. Lewicy wprawdzie się nie podoba iż okręgi dla stowarzyszeń asekuracyjnych opierają się na podziale administracyjnym na kraje. Liberałom chciałoby się jakiej centralnej władzy w Wiedniu, skądby całą siecią instytucyj asekuracyjnych centralistycznie zawiadywano, a choć rzecz oczywiście ucierpiałaby na tem, salwowanoby w każdym razie zasadę centralistyczną. W danym razie byłby to nonsens kompletny, a podział na okręgi zastosowany do podziału monarchii na kraje, tu tembardziej uzasadniony, że rozwój ekonomiczny poszczególnych części monarchii odmienny, prawie ściśle według granic kraju, tak, iż zwykle w jednym kraju ryzyka i szanse asekurowanych będą równe, co rzeczywiście jest najsprawiedliwszem.

Wspominając o reformach społecznych przez rząd zaprojektowanych, nie możemy ominąć przedłożonego w tych dniach Izbie poselskiej projektu ustawy zmiany *resp.* uzupełnienia niektórych przepisów postępowania egzekucyjnego. Wiadomo, że w Austryi więzienie za długi nie istnieje. Wolno było natomiast dotychczas wierzycielowi zabrać dłużnikowi literalnie ostatnią koszulę. Bardzo często i ta ostatnia koszula dłużnika zubożałego nie wystarczała na pokrycie długu, często nie pokrywała nawet kosztów dochodzenia należności, a wierzyciel tylko z zemsty w sposób brutalny korzystał z przysługujących sobie praw. Statystyka sądowa wykazywała nie małą liczbę takich aktów prostej brutalności, a częściej jeszcze zdarzało się, iż wierzyciel dla odzyskania choć drobnej części wierzytelności swojej pozbawiał dłużnika ostatniego meblu, odzienia lub narzędzi rzemieślniczych, odbierając mu przez to wszelką możność zarobkowania i utrzymania się, nie mówiąc już o oddaniu długu. Dłużnik był tedy na całe życie oddany na łaskę wierzyciela, a na

dziesiątki tysięcy możnaby liczyć tych, którzy tą drogą stracili egzystencyę i zostali ciężarem społeczeństwa.

Otóż zaprojektowane przez rząd zmiany i uzupełnienia przepisów o egzekucyach zbawienne w tym względzie zaprowadzają reformy. Przedewszystkiem egzekucya do tyla ograniczona, iż nie wolno dłużnikowi na poczet długu zabierać: odzienia, bielizny, pościeli, narzędzi domowych i kuchennych, o ile przedmioty te koniecznie są potrzebne. Z pod egzekucyi wyjęte dalej: zapasy żywności na dwa tygodnie, krowa, albo dwie kozy, lub dwie owce, jako też pasza i ścielka dla nich na dwa tygodnie. Oficerom, urzędnikom, duchownym, nauczycielom, adwokatom, notaryuszom, lekarzom, artystom i t. d. nie wolno zabierać przedmiotów potrzebnych do wykonywania prac zawodu, toż samo nie wolno zabierać takich przedmiotów, rzemieślnikom i robotnikom fabrycznym. Z pod egzekucyi wyjęte też narzędzia i przedmioty przeznaczone do służby Bożej, a także pisma i obrazy familijne. Zabronione jest także wykonanie egzekucyi w takich razach, gdzie ze sprzedaży zabranych przedmiotów nie można się spodziewać pokrycia kosztów egzekucyi. Ten sam przepis odnosi się także do nieruchomości. Co do tych ostatnich zawiera ustawa przepis, iż jeżeli pewna cena unormowana wedle podatku gruntowego i t. d. nie zostanie przy licytacyi osiągniętą, nieruchomość na rok dalszy pozostawić należy w posiadaniu dłużnika.

Ograniczamy się na przytoczeniu tych przepisów, z których łatwo przekonać się można, iż nareszcie zerwano z zasadą praktykowaną w czasach panowania t. z. liberalizmu, iż zawsze i wszędzie w pierwszej linii interesu wierzyciela czyli kapitału pilnować należy.

Nie wiemy w tej chwili co wyżej cenić w tej ustawie: stronę etyczną czy też ekonomiczną. Podnosiliśmy więcej etyczną, ale że społeczeństwo ekonomicznie zyskać tylko może, gdy się zagrodzi możności niszczenia tysięcy egzystencyj ekonomicznych i sił, o tem ani chwili wątpić nie należy. I tę ustawę zatem uważamy za krok poważny w dziedzinie koniecznych reform społecznych.

Tak tedy w ogóle sesya sejmowa rozpoczęła się pod znakami reform społecznych, i należało spodziewać się korzystnej działalności Rady państwa i niejakiej harmonii we wspólnych dążeniach do polepszenia bytu klas uboższych. Ale widoki podobne nie dały wi-

docznie spokoju tym, którym wspólna wszystkich działalność nie jest na rękę. Lewicy zdaje się pilniejszem zabezpieczenie rzekomych „praw języka niemieckiego“, niżeli pomyślenie o zabezpieczeniu losu milionów biedaków. Wystąpiła tedy z projektem ustawy językowej, która oczywiście dotknąwszy aroganckim tonem inne narodowości, absorbuje na czas pewien uwagę ogólną, spychając reformy społeczne albo nawet chwilowe środki zaradcze na drugi plan. Wspominamy o „chwilowych środkach zaradczych“, bo jeżeli wykazaliśmy powyżej, iż w samym Wiedniu świętuje około 15.000 robotników, to tej biedzie nie zaradzi się i najlepszemi reformami mającemi znaczenie na przyszłość. O teraźniejszości pamiętać należy. I w tym względzie ciała ustawodawcze wspólnie z rządem zastanowić się i rychło działać powinny, tym usiłowaniom poświęcić czas cały, bo to zadanie „przewyższające ważnością swoją o wiele rozliczne walki stronnictw“.

A. D.

Spółki włościańskie systemu Raiffeisena.

Spólki zarobkowe Schulze z Delitzscha. — Czem Schulze z Delitzsch dla mieszczan, tem Raiffeisen dla włościan. — Wyrywa tych ostatnich z rąk lichwiarzy za pomocą „Kasy pożyczkowej“. — Ustawa pruska z 1868 r. — Urządzenie „Spółek włościańskich“ i ich zbawienna działalność. — Ich różnica od „Spółek zarobkowych“. — Ich wielki rozwój i uznanie rządu. — Sprawa tychże „Spółek“ na Górnym Szląsku. – Kapitały i dochody „Spółek włościańskich“. — Przyjmują się we Włoszech i Szwajcaryi. — W Wielkopolsce i Prusiech wielka ich potrzeba.

Wolność zarobkowania wprowadzona do państw europejskich od czasu zeszłowiekowej rewolucyi francuskiej, wywołała także w Niemczech ogólny przewrót w stosunkach zarobkowych. W przemyśle zaczął znikać stan średni, wyradzając się w klasę roboczą, wysługującą się kapitałowi. Dolą stanu tego zajmowali się ustawicznie, a głównie w piątym dziesiątku bieżącego stulecia, najpoważniejsi ekonomiści i filantropi, jak np. *Wiktor Aimé*, *Huber*, profesor w Malborgu i w Berlinie, mąż zasad ściśle konserwatywnych, i religijnych, profesor *Winkelblech*, *W. Adolf Schmidt*, profesor

historyi w Berlinie, a nadto między wielu innymi, znany twórca spółek zarobkowych, *Schulze* z Delitzsch, miasteczka powiatowego, położonego w Prusiech w prowincyi saskiej. Wszyscy ci przyjaciele rozwoju ekonomicznego w warstwach średnich i niższych zalecali łączenie się w stowarzyszenia, stawiając w tym względzie za przykład Francyę i Anglię, gdzie tego rodzaju prace organiczne coraz pomyślniejsze wydawały owoce.

„Ale i w dzisiejszem gospodarstwie rolnem, powiada Dr. Herman Sicherer, rzeczywisty profesor prawa z Monachium — po zniszczeniu dawnego porządku nastąpiła kryzys równie groźna jak w przemyśle. Mniejsze i średnie gospodarstwa, nie mając obrotowego kapitału, nie mogą wytrzymać konkurencyi gospodarstw wielkich, rozporządzających odpowiednym kapitałem nakładowym, a administrowanych umiejętną ręką, podług najnowszych ułatwień zdobytych nauką“ [1]. Nad dostarczaniem mniejszemu rolnikowi kapitału obrotowego, celem utrzymania go przy ziemi, radzono w Niemczech oddawna; przemyśliwano tak samo tu jak w przemyśle, nad tem, jakby rządową otrzymać pomoc, uznano atoli jak w pierwszym tak i w drugim razie, że taka pomoc nie może być nigdy dostateczną, a byłaby niezmiernie szkodliwą, gdyż stawiałaby wspieranych na stanowisku zależnem od chwilowego prądu politycznego sfer rządowych, i zacierałaby w nich poczucie własnej godności i ich wolę. Zaważył też na szali ten wzgląd, że sama pomoc materyalna nie wystarcza rolnikowi, potrzeba mu bowiem także rad i wskazówek w duchu postępu, nakazującego wyzyskiwać zdobycze wiedzy i nauki. Z tych i innych życzliwych społeczeństwu pobudek oświadczali się przyjaciele ludzkości za własną pomocą, która już zresztą w Anglii i Francyi tyle dała dowodów żywotności i skuteczności.

Krytyczne położenie stanu rzemieślniczego i średnich mniejszych własności gospodarstw, interesowały, jakeśmy to wyżej powiedzieli, lat temu czterdzieści przyjaciół tych warstw społeczeństwa w Niemczech. Ogólnie się wówczas sprawą tą zajmowano, brakło tylko ludzi, którzyby z wielorakich teoryj rzecz tę odrazu w dzie-

[1] Die Genossenschaftsgezetzgebung in Deutschland. Kommentar zu dem Reichsgesetze i t. d. von Dr. Hermann von Sicherer, öffentlichen Professor der Rechtean der Ludwig Maximilians-Universität zu München. Erlangen 1872, Verlag von Palm et Enke, strona 23 i następne.

dzinę praktyki przenieśli. Nadeszła i ta chwila: rok nieurodzaju i głodu 1846 wywołał tak opłakane stosunki w handlu, przemyśle, w gospodarstwie i w klasie roboczej, że rządy ówczesne Niemiec osobną wyznaczyły komisyę, któraby radziła nad środkami mogącemi przyjść w pomoc warstwom tą klęską dotkniętym. Ostatecznym rezultatem obrad i środków tej komisyi był między innemi ten, że Schulze z Delitzsch, członek tejże komisyi postanowił szukać stałej pomocy i ulgi w samopomocy. To też w mieście swem rodzinnem Delitzsch założył w r. 1849 pierwsze stowarzyszenie dla rzemieślników. Taki był pierwotny zawiązek, na którego podstawach wzrastało rokrocznie coraz więcej stowarzyszeń pożyczkowych, zarobkowych, konsumpcyjnych, surowcowych i t. p. spółek, które dzisiaj do wielkiej wzrosły potęgi finansowej.

Kiedy Schulze na północy Niemiec zajmował się losem mieszczan, równocześnie nad Renem pracował nad podniesieniem mniejszych rolników mąż równie gorącej miłości bliźniego, Raiffeisen, burmistrz w Flammersfeld. Patrzał on na biedę ludu wiejskiego, widział jego niedolę, ubolewał nad niesumiennem wyzyskiwaniem tego ludu przez żydowskich lichwiarzy. 33 gmin wiejskich z około 5.000 dusz należało do urzędowego okręgu Reiffeisena. Lichwa straszne tam wyrządzała spustoszenia, to też ulitował się Raiffeisen nad tym ludem i w r. 1849 założył pierwsze „stowarzyszenie zasiłkowe ku wspieraniu ubogich gospodarzy“. Szczególna okoliczność, że rok 1849 łączy w pracy publicznej dwóch ludzi, Schultzego i Raiffeisena, ludzi, którzy wcale z sobą nie mówili i nie radzili nad tem, jakby przyjść w pomoc ludowi w jego niedoli. Dwóch tych mężów, których rozdzielał dość gorący antagonizm, (przynajmniej Schulze nie taił się z tem, i mówił publicznie w organie swym: *Blätter für das Genossenschäftswesen* i w parlamencie niemieckim, gdzie niejednokrotnie występował przeciw Raiffeisenowi) ożywiała jednę i tę samą szlachetną dążność, jeden i ten sam cel — miłość bliźniego, opieka moralna i pomoc materyalna. Lichwiarze nad Renem trudnią się między innemi dostarczaniem rolnikom bydła za wysokiem wynagrodzeniem i z prawem do dochowku. Raiffeisen stawił sobie za główne zadania wyzwolić rolnika z rąk tych nierzetelnych spekulantów i wyzyskiwaczy. Stowarzyszenie flammerfeldzkie w tę stronę zwróciło przeważnie swoją działalność. Nieba-

wem okazało się jednak, że pomoc ta nie wystarcza, że trzeba było dla mniejszych rolników zakupywać narzędzia rolnicze, zasiew, oczyszczać hipoteki z długu, pożyczać pieniędzy i t. p. Funduszów na te wszystkie potrzeby nie miało stowarzyszenie; nie było jeszcze do tych instytucyj zaufania, chociaż wszyscy członkowie solidarnie całym swoim majątkiem ręczyli za udzielane stowarzyszeniu pożyczki. Po wielu zabiegach zdołał wreszcie Raiffeisen uzyskać dla tego stowarzyszenia dwa tysiące talarów pożyczki, udzielonej przez pewnego kapitalistę; temi pieniędzmi rozwijał czynność towarzystwa.

Przeniosłszy się Raiffeisen do Heddersdorf, założył tamże v r. 1854 podobne stowarzyszenie. Zbyt szerokie zadanie zakreślił sobie Raiffeisen w tem towarzystwie: udzielał pożyczek, zajmował się wychowaniem zaniedbanych dzieci, starał się o prace dla ludzi niemogących jej uzyskać, opiekował się wypuszczonymi z więzienia, zakładał biblioteki ludowe. Wkrótce atoli przekonał się, że tak rozstrzelonej pracy podołać nie może jedno towarzystwo, ścieśnił zatem jego czynność, pozostawiwszy jedynie udzielanie pożyczek. Zmienił przeto odpowiednio do tego, ustawy towarzystwa, któremu nadał miano kasy pożyczkowej.

Przez ośm lat pracy błogie kasa ta wydawała owoce, co widząc wsie sąsiednie, pozawiązywały także u siebie podobne towarzystwa. Zbliżył się tymczasem rok 1868, w którym powstała ustawa regulująca prawną podstawę dla spółek pożyczkowych, zarobkowych i t p. Ustawa ta z dnia 4 lipca 1868 r. (austryacka jest z dnia 9 kwietnia 1873 r.) niezmiernie ułatwiła Raiffeisenowi zakładanie spółek włościańskich i zyskanie dla nich obcych kapitałów. Głównym celem i zadaniem włościańskich spółek Raiffeisena było i jest umoralnienie członków, a pieniądz spółki służy tylko za środek do tego celu.

Rzecz jasna, że mając odpowiedne do wymagań członków kapitały, może taka spółka zbawiennie działać w obranym kierunku; uzyskanie zaś kapitałów ułatwiła i ułatwia niezmiernie właśnie ta ustawa z dnia 4 lipca 1868, przepisująca solidarną odpowiedzialność za wszelkie zobowiązanie spółki przez zarząd jej przyjęte.

Stawiwszy sobie Raiffeisen umoralnienie ludności wiejskiej za główne zadanie, zorganizował też odpowiednio do tego swoje spółki. Jestto charakterystyczna część tej pracy organicznej, dla tego na-

leży jej się bliżej przypatrzeć, tem więcej, że różnią się one od spółek systemu Schulzego. Aby członków swych mieć zawsze na oku, zawiązuje się taka spółka na jak najmniejszy okręg, ile możności na parafię, lub na jedną gminę. Kto się z okręgu spółki wyprowadzi, a był jej członkiem, ten utraca te prawa. Nie wolno także należeć równocześnie do więcej, jak do jednej spółki.

Przy udzielaniu pożyczek baczy spółka włościańska głównie na to, aby pożyczający zasługiwał na nią moralnie; materyalna finansowa wartość własności członka jest w takim razie zupełnie pobocznym względem. „Nie ulega wątpliwości — mówi Raiffeisen niejednokrotnie w swem dziele i w organie spółek włościańskich — że lekkomyślne, nieoględne udzielanie pożyczek więcej szkodzi, niż pomaga członkowi. Marnotrawcom, hulakom, ludziom nieumiejącym szanować grosza, nie wolno pożyczać, chociażby najpewniejszych stawili ręczycieli“. Udzieliwszy zaś pożyczki, zobowiązany jest zarząd dopilnować rzetelnego jej użycia, to też bardzo często, zwłaszcza jeśli członek nie daje jeszcze moralnej rękojmi, a przyrzeka wejść na drogę poprawy, sam zarząd zajmuje się zakupywaniem bydła, narzędzi, zasiewu i t. p. rzeczy, które pożyczający z kasy pieniądze zakupić postanowił, a które mu niezbędnemi są w gospodarstwie. Sztuczną mierzwę, tak niezbędną dziś w prawidłowo prowadzonem gospodarstwie, sprowadzają także spółki dla członków. Z każdym rokiem wzmaga się liczba centnarów tej mierzwy, bo kiedy w 1880 r. tylko 5.646 centnarów sprowadzono to w 1884 rozebrali jej członkowie 23.663 centnarów, a na wiosnę 1885 r. 22.269 centnarów. Każdy taki fabrykat zanim go członkowie odbiorą, poddaje zarząd centralny ścisłej rewizyi w stacyach doświadczalnych. Członkowie dostają zatem na pole wybór czysty niefałszowany. Takto i w tym kierunku działają spółki włościańskie ku ogólnemu zadowolnieniu gospodarzy.

Ponieważ Raiffeisen stawił sobie także za zadanie wyswobodzenie włościan z rąk lichwiarzy, przeto chętnie bierze w opiekę i ofiary lichwy. Rolnik, wstępujący do spółki, zobowiązany jest złożyć przyrzeczenie, że zerwie stosunki z lichwiarzami, a wtedy reguluje spółka jego długi, spłaca hipoteki, wykupuje rewersy i weksle. Dłużnik odbiera ze spółki pożyczkę, dostawiwszy poręczyciela, a często udziela jej spółka na hipotekę. Stopa procentowa jest zwykle

5%, ale dąży Raiffeisen do tego, aby ją zniżyć. Spółki włościańskie wypożyczają tylko członkom pieniędzy i to na dość długie terminy; nieraz bowiem na 5 do 10 lat, a nawet na czas dłuższy. Przy każdej pożyczce zastrzega sobie spółka miesięczne wypowiedzenie, aby módz mieć pieniądze w razie wypowiedzenia depozytów. Nie przyszło jednak jeszcze do tego, aby spółki potrzebowały były przez czas przeszło 30-letniej pracy korzystać z tego zastrzeżenia, ponieważ zaufanie do tych spółek jest tak wielkie, że nawet w czasie wojennym, w latach 1866, 1870 i 71, wcale się nie zachwiało. Dłużnik może każdego czasu spłacać ratami pożyczkę, chociaż drobnemi opłatami. Jest to wielką ulgą dla dłużnika, w którym wyradza zarazem spółka zmysł oszczędności i kalkulacyi.

Chcąc i najuboższym w gminie włościanom ułatwić przystępowanie do spółki włościańskiej, postanowił Raiffeisen nie przyjmować od członków ani wstępnego, ani choćby drobniejszych udziałów. Mieli w tem członkowie widzieć zarazem bezinteresowność przyjaciół ludu. Przez długi czas nie opłacali członkowie tych udziałów, ale weszli przez to w kolizyę z ustawą z dnia 4 lipca 1868 r., która w §. 3 wyraźnie przepisuje pod nr. 5, że statuty spółki winny zawierać przepis, ustanawiający wysokość udziału poszczególnych członków i sposób ich tworzenia. Schulze z Delitzsch kilkakrotnie w swym organie, *Blätter für das Genossenschaftsverein* zwracał uwagę na tę nieprawidłowość w spółkach włościańskich, a gdy Raiffeisen mimo to nie kazał członkom opłacać udziałów, upomniał się Schulze o to w parlamencie, a wtedy Raiffeisen za wskazówką z góry, zastosował się do przepisów prawnych, — bierze udziały, ale tylko dla formy, bardzo niską, statutami ustanowiwszy ich wysokość. Nie wolno członkowi mieć więcej jak jeden udział w spółce, a dywidenda za udziały nie może być wyższą od stopy procentowej, którą opłacają dłużnicy spółki.

Ponieważ filantropijnem jest zadanie spółek włościańskich, przeto też zarząd z poświęcenia się dla sprawy bliźniego w nich pracuje, bez pobierania jakiegokolwiek wynagrodzenia. Jedynie rachmistrz pobiera pewne wynagrodzenie, a urząd ten powierza spółka osobom potrzebującym pobocznego zarobku: nauczyciele elementarni, urzędnicy leśni i t. d. są tymi rachmistrzami, którzy atoli do zarządu nie należą. Schulze z Delitzsch wmieszał się i do tej

sprawy, poprzysyłał bowiem zarządom spółek włościańskich odezwy, wykazujące potrzebę wynagrodzenia zarządu za jego prace. Pismo to nie odniosło pożądanego skutku; przeciwnie, odpowiedziano na nie na sejmiku spółek włościańskich w Bonn 1 lipca 1882 r. stanowiąc, że spółka, wynagradzająca członków zarządu, nie może należeć do związku spółek.

Różnią się też spółki włościańskie od spółek zarobkowych Schulzego i innych towarzystw finansowych, tem, że nie dzielą między członków zysku pozostałego w końcu roku obrachunkowego po odtrąceniu dywidendy, ale dopisują go do niepodzielnego funduszu rezerwowego. Fundusz ten ma wzrastać aż do wysokości kapitału obrotowego, a prowizye od niego mają być przeznaczone na cele dobroczynne. W razie rozwiązania spółki nie mogą członkowie dzielić tego funduszu między siebie, tylko oddają go do jakiego banku, skąd go odebrać może spółka włościańska nowo założona w tejże gminie.

Postawiwszy sobie Raiffeisen jako najwybitniejsze zadanie zwalczania lichwy, wyswobodzenie z niej nieporadnego rolnika moralną nad nim opiekę, zyskiwał z każdym rokiem coraz szersze uznanie, coraz więcej prowincyj i krajów; interesowano się jego reformą społeczną, bo gdzież mniejszego rolnika nie gniecie lichwiarz, gdzieżby ten rolnik nie potrzebował pomocy moralnej i materyalnej!

Rząd pruski baczną zwrócił uwagę na działalność spółek włościańskich. Na coroczne walne zebrania związku spółek włościańskich przybywa jeden lub więcej delegatów ministerstwa rolnictwa; w roku 1882 wynurzył cesarz niemiecki Raiffeisenowi „najgorętsze uznanie“ za bezinteresowną a zbawienną pracę spółek włościańskich ludu wiejskiego. Władze Alzacyi i Lotaryngii dość wcześnie obejrzały się za pomocą, jaką mniejszemu rolnikowi spółki włościańskie nieść mogą. Straszne też tam panują stosunki lichwiarskie od wieku przeszło. Już w 1764 narzekał na nie ówczesny intendent Alzacyi, w r. 1779 wystąpił przeciw lichwie w Alzacyi jakiś publicysta w broszurze: *Observation d'un Alsatien sur l'affaire presente des Juifs*, jaskrawy kreśląc obraz. Wiadomo też, że Napoleon I. z 70 milionów żydowskich pretensyj do chłopów Alzackich, umorzył jednym zamachem pióra, sześćdziesiąt milionów, a w r. 1818 wysłano z Sundgau petycyę do rządu francuskiego do-

pominającą się bezwzględnego wydalenia żydów z Alzacyi. Te opłakane dla chłopa Alzackiego stosunki nie zmieniły się, jak to wykazuje w swem studyum ksiądz St. Cetty. Cóż więc dziwnego, że przyjaciele ludzkości, dowiedziawszy się, iż spółki Raiffeisena doraźnie działają przeciw lichwie, pospieszali z Alzacyi na sejmiki związku spółek włościańskich! Widzimy ich też pilnie zajmujących się tą sprawą; zawiązywano gorliwie spółki włościańskie, a na zebraniu tychże spółek, które się 14 lipca 1885 r. w Strasburgu odbyło, utworzono osobny pod-związek, obejmujący już 24 spółek włościańskich.

Górny Szląsk, którego głód i nędza po nieurodzajnym roku 1846 wzruszyły do głębi Raiffeisena, do dziś jest w kleszczach lichwiarzy. Przez spółki włościańskie gorliwie zaczęto od roku 1882 pomagać włościanom. W tym to bowiem roku, przybył na sejmik związku spółek włościańskich do Bonn p. Zborek z Gosławic pod Opolem. Na tym sejmiku, który się odbył 1 czerwca w jaskrawym ale prawdziwym obrazie przedstawił p. Zborek skutki lichwy żydowskiej, niszczącej gospodarzy; przykładami zdjętemi z życia, poparł swoje wywody, wynurzył publicznie podziękowanie p. Luciusowi, pruskiemu ministrowi rolnictwa za pomoc udzieloną na podróż do Bonn, a w końcu poprosił sejmik o zajęcie się chłopem górnoszląskim, który się za tę opiekę wdzięcznym okaże. W ruchu górnoszląskich spółek włościańskich nie spotykamy się więcej z nazwiskiem p. Zborka; na czele tej pracy stoi rotmistrz Reymann, a na zeszłorocznym sejmiku związku spółek włościańskich Górnego Szląska, wystąpił w Moguncyi jako delegat p. Wodarz, który wychwalając błogie skutki spółek włościańskich, zaręczał, że ich coraz więcej powstaje i lud z wdzięcznością je przyjmuje.

Zaznaczamy, że organizacya tych spółek na Górnym Szląsku jest w ręku niemieckich, posiedzenia i narady odbywają się przeważnie po niemiecku, chociaż członkowie tych spółek są Polakami. Aby jednak zagrzać lud do wiązania się w spółki włościańskie, potrzeba było polskiej odezwy, którą w formie broszury wydał w r. 1881 ksiądz *J. Cytrynowicz* z Opola, zachęcony, jak mówi, a nawet popchnięty do tego przez p. Reymana, rotmistrza w Opolu.

Kiedy pierwszą spółkę włościańską, założono w Zakrzewie i do rejestru spółek zapisano ją 5 stycznia 1881 r., przekonano się nie-

bawem, że instytucye te są niezmiernej wagi, tak pod względem moralnym, finansowym, ekonomicznym jako też politycznym. Niebawem zaczął się też o nie dopominać lud górnoszląski, powstawało coraz więcej spółek, utworzono osobny związek górnoszląski, do którego już podług sprawozdania ostatniego (z r. 1884) jedenaście spółek należy. Mają one dostateczny kapital do dyspozycyi, zebrany przeważnie depozytami tj. obcym kapitałem. Spólki górnoszląskie stoją pod patronatem Raiffeisena w Neuwied, a kierownicy ich przestrzegają starannie, aby lud górnoszląski nie nakłaniał się pod patronat polskich spółek zarobkowych. Na odbytym dnia 10 listopada 1884 r. sejmiku spółek włościańskich w Opolu, odczytano zebranym list hrabiego Zedlitza, prezesa rejencyi opolskiej, przestrzegającego przed zachciankami zmierzającemi do poddania się pod patronat związku spółek zarobkowych polskich, mającego swą siedzibę w Poznaniu. Zebrani powzięli uchwałę w myśl listu p. Zedlitza. Aby całemu temu ruchowi nadać charakter upragniony, aby nadto przekonać chłopa górnoszląskiego, że Niemcy opiekują się jego mieniem i umoralnieniem, biorą ster tych spółek w rękę Niemcy, a na sejmikach górnoszląskich spółek, widują chłopi bardzo często reprezentanta patronatu spółek włościańskich, który zwykle w osobie p. Schulze przybywa na zebrania, on też zajmuje się rewizyą spółek włościańskich na górnym Szlązku, a reprezentanci związku górnoszląskiego regularnie corocznie jeżdżą nad Ren na sejmik ogólnego związku.

Raiffeisen, jako twórca spółek włościańskich, może ku schyłkowi życia swego z zadowoleniem spoglądać na owoce swej pracy. Przyjmowany przed laty czterdziestu z niedowierzaniem we wszystkich prawie warstwach społeczeństwa, broniący się przez całe lata przeciw dr. Szulzemu, walczącemu na każdym kroku przeciw konkurencyjnym spółkom włościańskim, doczekał się wreszcie Raiffeisen wszechstronnego uznania: rząd go popiera, przyjaciele ludu wiejskiego gromadzą się około niego, duchowieństwo w pierwszym szeregu stawa do tej pracy, a lud wiejski błogosławi swego dobrodzieja, który wyswobodził tysiące rodzin z rąk lichwiarzy, uratował majątek i umoralnił również tysiące familij. Nieraz przyszło spółkom włościańskim walczyć z uprzedzeniem i nieufnością publiczności, stroniącej od tych spółek z kapitałami. Ostatnie sprawo-

zdanie z r. 1882 wykazuje, że spółki włościańskie miały blisko trzy miliony marek cudzego kapitału, przeszło półtora miliona marek oszczędności, i przeszło 130 tysięcy marek udziałów — blisko pięć milionów marek było cudzego kapitału i gotówkowego majątku w spółkach należących do patronatu, których było wonczas 121. Z referatu złożonego na sejmiku związku w Moguncyi 28 maja r. z. przekonywamy się, że wonczas już 280 spółek włościańskich należało do związku.

Bank centralny spółek włościańskich, mający swą siedzibę w Neuwied, gdzie także jest drukarnia związku, miał w 1884 r. 1.685.245 mk. dochodu. Jest to bardzo pokaźna liczba. Przy zakładaniu spółki włościańskiej straszono zwykle założycieli brakiem kapitału obrotowego. Okazało się to bardzo mylnem, bo skoro stanęły na czele spółki osoby zasługujące rzetelnością i mieniem na zaufanie, napływać zaczęły kapitały, a głównie lud je składał, wyciągając z poddasza i zapiecka grosz zaoszczędzony. Ogromne sumy spoczywające w zakątkach, bez korzyści, wydobył Raiffeisen z ukrycia, zapewniając im pewniejsze zachowanie, niż w kasach spółek zarobkowych. Kapitały te sprocentowane po 3 do 4% przynoszą korzyści jednostkom i przysługują się szerszemu społeczeństwu. Przestrzegano także Raiffeisena przed zbyt pochopnem zakładaniem spółek włościańskich po wsiach, bo tam nie znajdzie kierowników. Nie zważał na to Raiffeisen i dowiódł pesymistom, że między włościanami są także ludzie umiejący prawidłowo zawiadywać spółką. Gorąca miłość bliźniego, szczera chęć ulżenia w biedzie rolnikowi, zdolne są pokonać wszelkie trudności — o tem przekonał nas właśnie Raiffeisen i jego przyjaciele.

Rozgłos spółek włościańskich, tak zbawiennie wpływających na umoralnienie ludu i podniesienie jego dobrobytu, sięgnął aż po za granice Niemiec. Jesienne powodzie w 1882 we Włoszech spowodowały towarzystwo agronomiczne w Torentino do szukania dla ludu wiejskiego ulgi w spółkach włościańskich. Chwycono się też tego środka, a dziś już włoski lud wiejski błogosławi te instytucye. Na zeszłoroczny sejmik związku do Moguncyi przybył radca rejencyjny p. Steiger z Berna, z polecenia rządu szwajcarskiego; zwiedził następnie kilka spółek, aby poznać ich organizacyę i przenieść te instytucye do Szwajcaryi.

W Wielkopolsce i w Prusach Zachodnich, gdzieby się te spółki bardzo przydały ludowi wiejskiemu, a gdzie niewątpliwie znalazłyby wszelkie do pracy tej potrzebne warunki, nie wzięto się dotychczas z strony społeczeństwa polskiego do zakładania tych spółek. Tylko teoretycznie myśl tę poruszono: p. Dr. Rzymikowski z Lubawy w Prusiech Zachodnich, przemawiał za temi spółkami na sejmikach spółek zarobkowych w Gnieźnie 4 grudnia 1879 r, a na sejmiku w Kościanie (23 i 24 listopada 1880 r. rozdano uczestnikom sejmiku broszurę p. Dr. Rzymikowskiego: O spółkach systemu Raiffeisena i zastosowaniu go w naszych warunkach ekonomicznych[1]. W roku 1882 odezwał się również za spółkami włościańskiemi „Kuryer poznański", ale i to napróżno. Nikt z Wielkopolan nie zajął się wprowadzeniem w życie spółek włościańskich. Natomiast sfery rządowe zastanawiały się nad tą kwestyą — i być może, że pewnego dnia zaskoczy nas Wielkopolan wiadomość o zakładaniu spółek włościańskich dla ludu polskiego przez osoby umiejące zręcznie wyzyskać dla siebie stosunki społeczne w Wielkopolsce. *Utinam falsus sim vates.* Lud nasz byłby jednak wdzięcznym za te instytucye, jak wdzięcznie za nie dziękuje chłop niemiecki, górnoszląski i włoski. Duchowieństwo miałoby w tych instytucyach równie wdzięczną pracę nad ludem i jedno pole więcej do umoralnienia go. „Zaręczam Panu, że spółka włościańska więcej tu uczyniła dla moralności ludu, aniżeli wszystkie moje kazania", powiedział pewien kapłan do Dr. Lölla. — Chłopa polskiego umoralniłyby te spółki bez wątpienia tak samo. Dyrektor sądu powiatowego w Neuwied p. Arndts wymienił w liście dnia 16 czerwca 1870 do Raiffeisena napisanym, owoce i skutki spółek włościańskich tegoż miasta i okolicy. „Zmniejszyła się liczba procesów bagatelnych, mówi p. dyrektor, ubyło subhastacyj, egzekucyj, obowiązań hipotecznych, właśnie z tych osad, w których są spółki włościańskie. Sędziowie spostrzegli także, że członkowie spółek włościańskich zaprzestali kupować bydła od handlarzy, a teraz, mając widocznie pieniądze ze spółek, płacą regularnie swoje długi. Znacznie ubyło także procesów, które dawniej wytaczali lichwiarze i t. d."

[1] Broszura ta wyszła nakładem związku spółek zarobkowych, czcionkami N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu 1880 r.

Kończąc rzecz o spółkach włościańskich systemu Raiffeisena, wynurzamy życzenie, aby te instytucye i wśród ludu polskiego zasłużonego doznały przyjęcia i wyszły na jego pożytek i Bogu na chwałę. *V. R.*

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Rozprawa Hirna o sile — źródła siły. — Postępy balonowej jazdy — parowy faetonik — fotografie momentalne. — Nowe wawrzyny Pasteura i teorya Petera. — Szowinizm naukowy w Niemczech.

„Pojęcie siły w umiejętności nowożytnej“: taki jest tytuł bardzo zajmującej rozprawy p. Hirna[1] w tygodniku *Révue scientifique* zwanym także *Revue Rose*[2]. Rektor uniwersytetu w Bonn p. Clausius miał wstępną prelekcyę o „Sile“, w której między dawniejszem pojęciem światła, ciepła, elektryczności etc. jako osobnych fluidów, a dzisiejszem tłumaczeniem zjawisk światła, ciepła, elektryczności, grawitacyi etc., ruchem atomów eteru przenikającego wszystkie międzyplanetarne i międzydrobinowe sfery, — zajmuje stanowisko pośrednie, obie te hipotezy niejako ze sobą godzące. W miejsce elastycznych atomów zawsze tego samego eteru, obok ważkiej materyi, przyjmuje p. Clausius jako osobną substancyę, siłę a raczej siły, jako osobne żywioły, potęgi dynamiczne. Ile ich jest, nie rozstrzyga, zapewne mniej niż dawniejszych fluidów albo archeów, lecz z pewnością więcej niż jeden dzisiejszy eter, który sam, w oczach p. Clausiusa, do wytłumaczenia wszystkich zjawisk fizycznych wibracyom eteru dziś przypisywanych, wcale nie wystarcza. Dzisiejsza fizyka i mechanika siłę wywodzi z ruchu atomów, stąd wiara w trasformizm, w przemienność sił czyli ruchów jednych w drugie; tymczasem w naturze rzecz się ma przeciwnie, ruch zawsze dziełem siły, która jest tak dobrze substancyą jak i to

---

[1] G. A. Hirn członek królewskiej Belgijskiej Akademii nauk jest autorem wielu głośnych dzieł, jak: *Analyse élementaire de l'Univers.* Paris 1868. *Réflexions critiques sur la théorie cinétique de l'Univers... Refutation scientifique de la doctrine materialiste,* Paris 1882; prócz tego prace o gazach w pamiętnikach Kr. Akad. Belg. Czytelnicy *Przeglądu* znają już p. Hirna ze wzmianki o nim w recenzyi o książce Faya w zeszycie styczniowym.

[2] W numerze z 1 sierpnia 1885.

co się rusza, która właśnie przez to porywanie w ruch substancyi materyi, zupełnie różnej od siebie, objawia nam swe istnienie, jako osobny czynnik, jako żywioł-siła. Wywołanym przez się ruchem budzi ona także inne obok siebie, samoistne czynniki silne, do działania po swojemu, lecz zgoła nie jest w nie przemienną. P. Hirn chwyta teoryę Clausiusa jako zgodną ze swemi zapatrywaniami i mówi słusznie, że dzisiejszy naukowy spór o to, jak pojmować siłę, jest jednym z najważniejszych i najpiękniejszych jaki może powstać na polu umiejętności. Zdaje nam się, jakobyśmy wszyscy jednakowo pojmowali to co nazywamy siłą, a jednak p. Littré w swoim słowniku przytacza 32 znaczenia, często ze sobą sprzeczne, tego słowa: siła. Wiek nasz postąpił bardzo w używaniu i nadużywaniu sił natury do swych celów, ale dalekim jest jeszcze od zrozumienia i trafnego pojmowania tego, czem jest siła. Jestto już wielkim krokiem naprzód, gdy pp. Clausius i Hirn fizykę nietylko empirycznie lecz i filozoficznie traktują.

Nie mogą się jeszcze zgodzić uczeni jak pojmować siłę, czy jest ona prostem działaniem materyi, czyli czemś od materyi różnem i obok niej samodzielnem, czy też może i to co nazywamy materyą, w gruncie rzeczy jest siłą, tak, że ostateczną treścią wszechświata jest siła. Pod tym względem różne są zapatrywania; zato wszyscy już dziś wiemy, i to coraz lepiej i coraz wyraźniej, czemu zawdzięczamy, co utrzymuje na powierzchni ziemi, ten niewyczerpany zapas t. z. siły żywej, którą człowiek zaprzęga do mechanicznej pracy ku swoim celom. Jest pięć głównych naturalnych źródeł mechanicznej siły żywej: 1° Człowiek i zwierzęta, 2° bieg wody, 3° prąd wiatru, 4° ciśnienie pary, 5° elektryczność..." mówi *p. Bodoureau* w artykule *L'énergie* w tejże samej *Révue Rose*[1]. Wszystkie te źródła pośrednio lub bezpośrednio wytwarza lub utrzymuje w zdolności do dostarczania nam pracy, jedno jedyne we fizycznym świecie ostateczne źródło niemal wszechsił na ziemi, tj. słońce. Promienie słońca padając na ziemię, świecąc i grzejąc, pędzą wzrost roślin od traw aż do lasów, przez co dają pożywienie zwierzętom i ludziom, czyli restaurują siły do pracy, jakoteż pokarm dla naszych maszyn parowych i pieców, w drzewie i węglu kamiennym,

[1] W numerze z 8-go sierpnia 1885 r.

który nie jest niczem innem jak odwiecznym lasem w ziemi zagrzebanym. Wynikiem pracy słońca na ziemi są także wiatry, deszcze, i te wody, których bieg pędzi koła naszych młynów, a w ostatecznym rezultacie przemysłu ludzkiego dzisiaj, budzi nowe ziemskie słońca elektrycznego światła... Niezużytkowana dotąd kolosalna siła fali morskiej wiecznie o brzegi się rozbijającej, zapewne wkrótce także zacznie pracować dla człowieka, gdyż *p. Barrufet* wymyślił przyrząd, system impulsorów wznoszących się i opadających razem z falą, i przenoszących jej siłę do odpowiednej maszyny.

Próby balonowej jazdy z Chalais-Meudon do Paryża i napowrót, o których mówiłem w poprzedniej kronice mojej, ocenione zostały przez p. Gastona Tissandier w tygodniku *La Nature* w sposób następujący: „Ze wszystkich doświadczeń wynika, że Aerostat wynalazku pp. *Rénard et Krebs* może być kierowanym w atmosferze, jeśli tylko prąd powietrza, przeciw któremu balon żegluje, wolniejszy jest niż pęd balonu. Balon *La France,* daje sobą kierować tylko wtedy, gdy szybkość wiatru nie dochodzi 6 metrów na sekundę; przytem motor elektryczny nie jest jeszcze tego rodzaju, żeby mógł funkcyonować na długą metę. Zdawałoby się więc, że od tych pierwszych prób w tak ciasnych ramach, daleko jeszcze do praktycznego rozwiązania problemu powietrznej jazdy. Jednakowoż w takich razach zwykle sprawdza się nasze przysłowie: *il n'y a que le premier pas qui coûte.* I parowa żegluga między Hawrem a Nowym-Yorkiem zaczęła się od nędznych czółen Papina i skromnych statków Markiza de Jouffroy, a dziś w dziewięciu dniach przebywamy tę przestrzeń. Sam p. Renard obliczył, że aby jego balonowi nadać szybkość 10 metrów na sekundę, potrzebaby maszyny o sile 31 koni. Trudno bardzo pogodzić tę siłę maszyny z lekkością jaka tu potrzebna, żeby balon mógł się wznosić. Lecz zadanie to ułatwić sobie można o wiele, zwiększając objętość balonu, gdyż dowiedzioną to już rzeczą, iż opór balonu rośnie w stosunku prostym do jego powierzchni, gdy tymczasem możność wznoszenia się balonu *(la force ascensionelle)* wzmaga się w stosunku sześcianu jego dymensyi, czyli że, jak dobrze powiedział Alfons Pénaud, „dla balonów zawadą, ich powierzchnia a potęgą, ich objętość". Ponieważ zaś rozległość powierzchni nie rośnie równo z objętością, więc najkorzystniejsze byłyby bardzo wielkie aerostaty, mo-

gące dźwigać tak silne maszyny, żeby z łatwością nadały balonowi potrzebną szybkość taką, iżby chyba tylko w razach nadzwyczajnej burzy balon nie mógł być kierowanym. Na tej drodze, według p. Tissandier zadanie żeglugi powietrznej jest do rozwiązania, gdyż nie masz w tem żadnego materyalnego niepodobieństwa — „jestto więc już tylko kwestyą czasu, i pieniędzy“... W Paryżu wychodzi już osobne pismo: *L'Aéronaute. Bulletin mensuel illustré de la navigation aérienne*, które można prenumerować za 7 franków rocznie, zaś p. Tissandier wydał obszerną książkę o tym przedmiocie z mnogiemi ilustracyami.

Bliższą praktycznego zastosowania i rozpowszechnienia zdaje się być lokomocya za pomocą parowych wehikułów, kursujących po zwykłych gościńcach. *La nature* od kilku lat podaje modele coraz bardziej ulepszonych tego rodzaju powozów, wózków, karet, faetoników etc. na trzech lub czterech kołach, wynalazku pp. Dion, Bouton, Trépardoux, Péraux etc. W ostatnich numerach tego pisma znajdujemy bardzo zmyślny trycykl systemu Palmers'a, jako też najlżejszy i najzgrabniejszy ze wszystkich dotąd wymyślonych: w kryty faetonik parowy, pomysłu pp. Bollé, ojca i syna. Przy wadze 650 kilogr. z maszyną o sile 200 kilogrammetrów, faetonik ten z zapasem 35 litrów wody i odpowiednej ilości palnego materyału, przejeżdża z łatwością wszystkie spadzistości zwykłego gościńca z szybkością 25 kilometrów na godzinę.

Fotografie momentalne (instantanées), chwytające przedmioty chociażby w najszybszym ruchu, znajdują coraz szersze zastosowanie w rozmaitych gałęziach nauki i sztuki. Prace pp. Unybridge i Marey pokazują, jak dalece pomocnemi są takie fotografie dla fizyologów ruchu zwierząt i ludzi. Wspomniałem już w poprzedniej kronice, jak ten nowy rodzaj fotografii żelatino-bromowej użytym został przez pp. Henry w astronomii do sporządzenia atlasu nieba. Artyści malarze nie mniej cieszą się z tego wynalazku. A co dziwniejsza, iż bardzo często natura chwytana w ten sposób na gorącym uczynku, wydaje się nam istnem niepodobieństwem. Pokazuje się więc, iż wzrok nasz nie jest w stanie zapamiętać ruchów członków i mięśni w całem ich następstwie po sobie w rozmaitych pozycyach, i tylko niektóre pochwycić jest zdolny. Słynny malarz Mejssonier, gdy pierwszy raz zobaczył fotografię konia,

w pełnym galopie zdjętą, zawołał, uderzając się w czoło: *Mais c'est une révélation! jamais je n'ai pu voir de semblables mouvements.* Z czasem może fotografie momentalne przyzwyczają nasze oczy do figuracyi ruchów, jakie dotąd uchodziły z pod naszej uwagi, tak że żaden malarz dotąd ich nie pochwycił. Czy jednak na tem zyska estetyka?... przyszłość pokaże. Wystarcza $^1/_{300}$ sekundy do zdjęcia obrazu!

Obok tych mikrofotografii co do czasu, śmiało położyć można jako wynalazek pokrewny i bardzo pomocny nauce: Mikrofotografie co do przestrzeni, chwytane pod mikroskopem, z pomocą lampy elektrycznej o natężonem świetle, z odpowiednim przyrządem pomysłu p. Yvon. Fotograficzne odbicia preparatów mikroskopowych w różnych pozycyach wychodzą bardzo wyraźnie i w każdym razie dają wierniejsze obrazy przedmiotów, aniżeli wiele czasu i mozołu wymagające dotychczasowe rysunki mikroskopowego świata.

Odkrycia Pasteur'a co do mikrobów, zarazek i łagodzenia virusu chorób zaraźliwych mają swych nieubłaganych nieprzyjaciół. Dowodem tego artykuł p. Petera w *Semaine médicale* [1], gdzie wyłożona jest „teorya antymikrobiczna". Dla p. Petera przyczyną wszystkich chorób jest: *la spontanéité morbide.* Nowy ten wynalazek przypomina sławną swego czasu *vis dormitiva,* jako wytłumaczenie snu, które niegdyś zaspakajało wymagania nauki. Autor teoryi antymikrobicznej przepowiada, iż szczepienie zarazek według metody Pasteur'a doprowadzi ludzkość do zdziczenia i zezwierzęcenia... Tymczasem właśnie niedawno na jednem posiedzeniu paryskiej Akademii nauk, Pasteur zbierał nowe tryumfy, zdając sprawę w bardzo szczegółowym memoryale z dwóch szczęśliwie przezeń dokonanych kuracyj wścieklizny na pacyentach bardzo mocno przez psy wściekłe pokąsanych. Dziś już dowiedzioną rzeczą, że w kilka dni po ukąszeniu stosowne zaszczepienie złagodzonego kulturą virusu wścieklizny, powtarzane kilkakrotnie, chroni człowieka od fatalnych następstw tego wypadku. Prezes sekcyi medycznej w Akademii, p. Vulpian, fizyolog, przyjął sprawozdanie Pasteur'a gorącemi słowy największego uznania, mówiąc, „iż sława ziomka naszego opromienia blaskiem cały kraj nasz kochany". Wogóle Francuzi widzą zawsze w swych zdo-

[1] Z 2 grudnia 1885 r.

byczach naukowych jedyny a szlachetny sposób odwetu za swe klęski polityczne; — nie małem było by to szczęściem, gdyby nas kiedy opanowała powszechnie taka mania odwetu... Na tem samem posiedzeniu medycznej sekcyi Akademii paryskiej 10 października 1885 r. przedstawiał p. Bert pracę *prof. Adamkiewicza* z Krakowa o naczyniach i cyrkulacyi krwi w komórkach nerwowych, jako bardzo ważny przyczynek do nauki o nerwach.

Z drugiej strony niemiecki szowinizm naukowy wydał świeżo ciekawy okaz. Na ostatnim kongresie niemieckich antropologów w Karlsruhe[1] dowodził *p. Wilser*, że powszechnie utarte dziś przekonanie o aryjskiem pochodzeniu Germanów jest wierutnym fałszem. „Jakto? mówił, czyż można wierzyć w azyatycki początek Germanów? Jest to mniemanie w najwyższym stopniu antypatryotyczne i antynaukowe; przeciwnie Germanie są pierwotnymi przodkami rasy Aryów(!) gdy z północnej Europy rozleli się po Francyi, Włoszech — aż do Azyi... Archeologowie lepiejby zrobili, gdyby raz na zawsze porzucili myśl szukania protoplastów naszych po za granicami naszej ojczyzny, tj. północnej i środkowej Europy, która była inicyatorką cywilizacyi (sic!) jak świadczą najstarsze grobowce *(tumuli)* germańskich szczepów“... Oto jedyna teorya naukowa, godząca według *p. Wilsera* wyższe interesa nauki z dzisiejszą chwałą niemieckiego narodu samorodnego, który zawsze li tylko z własnego posiewu czerpał niepożyte pierwiastki i skarby swej narodowości etc. Szczęściem, że był na tym kongresie także i *p. Virchow*, wielki mistrz niemieckich antropologów, który wnet ostudził patryotyczny zapał *p. Wilsera* i tych, co mu przyklaskiwali, nazywając po prostu „awanturniczą herezyą naukową, ten zbyt śmiały a niczem nieusprawiedliwiony pomysł, żeby od Niemców mieli pochodzić... Hindusy!“. . A ja ręczę, że *p. Wilser* ma przyszłość... zrobi karyerę... *ks. Bismark* niezawodnie kupi mu wioskę w Poznańskiem z owych stu milionów... bo, czyż można znaleść godniejszego *Kulturträgera?*

Dr. Ignacy Skrochowski.

[1] Według sprawozdania w Révue Rose z 19 grudnia 1885 r.

Druk ukończony dnia 24 lutego 1886.

CHRYSTYANIZM I NARODOWOŚĆ.

Wobec Boga ukorzyć się głęboko, a w obec świata donośnym głosem wypowiedzieć, że nam się krzywda dzieje: oto co nam w obecnej chwili przystoi.

Posłowie nasi podnieśli już ten głos w parlamencie niemieckim, przytoczyli poręczone nam prawa, wspomnieli królów pruskich obietnice, konstytucyjne wolności i równouprawnienie; naprzeciw potwarzy o rewolucyjnych tendencyach postawili fakt, że w obecnem pokoleniu ani jednego zamachu karygodnego przeciw rządowi pruskiemu najczujniejsza policya nie wykryła; wszystkie inne zarzuty i wykręty wroga zwycięzko odparli. Połączyły się z nimi najpoważniejsze głosy obcych, przed którymi się wszelkie czoła, nawet wrogów uchylają, głosy tem potężniejsze, że w nich nie brzmiało żadne uczucie narodowe, ale jedynie poczucie prawa i sprawiedliwości bezwzględnej. Echa tej walki rozległy się w prasie codziennej całego świata. Polemika została wyczerpniętą. Przemówienia napastników, może wymowniej jeszcze, niż słowa obrońców, wyświeciły znamię gwałtu i bezprawia w tym zamachu na naszą narodowość.

W piśmie peryodycznem jak nasze, nie mamy powodu powtarzać tych zapasów; ale abstrahując od faktów, od mów kanclerza, od traktatów, od oklasków pruskich junkrów — sprowadzić chcemy rzecz o którą chodzi, tj. kwestyę narodowości, do jakiejś normy nie tak zmiennej jak ludzkie doktryny i namiętności, do miary najwyższej i bezwzględnej — a taką jest chrystyanizm.

Świat się odchrześcijania — to prawda; mówmy mu jednak o chrystyanizmie, bo się jeszcze tego znamienia nie zaparł — i to jedno go zbawić może.

Cóż więc chrystyanizm ma do narodowości? Na pierwszy rzut oka, jakby antytezę. Narodowości dzieliły ludzkość, chrystyanizm zstąpił z nieba żeby ją zjednoczyć: *ut sint unum.* Niejeden chrześcijański myśliciel w tej antytezie utknął. Ależ z góry niemożebną jest rzeczą, żeby religia od Boga dana była w sprzeczności z naturą od tegoż Boga pochodzącą. Otóż narodowość jest niezaprzeczalnie dziełem i prawem natury.

Już kiedyindziej mieliśmy sposobność powiedzenia, że narodowość jest naturalnym wytworem pochodu ludzkości w dziejach [1]. Jedność państwowa bywa zwykle jej zawiązkiem: jedność języka, religii, pochodzenia dopomaga (choć nie zawsze i niekoniecznie) do jej wyrobienia; ale istotnym jej twórcą jest czas, właściwie rozwój historyczny pewnej odnogi ludzkości, w odpowiednich warunkach łączności żyjącej. Ten rozwój historyczny kształtuje nietylko ów zewnętrzny ustrój, państwem zwany, na który pospolici socyologowie jedynie zwracają uwagę, ale też wnętrzne znamię, głęboko na duszy tej ludności wyciśnięte, na które składają się w różnej mierze: i religia i ziemia ojczysta i język macierzyński i obyczaje domowe i tradycye przodków i pamięć ich wielkich czynów i pomniki przeszłej lub teraźniejszej wielkości i właściwy kierunek oświaty, literatury i sztuki — i nadewszystko znajomość, cześć i miłość tych wszystkich rzeczy, jako swoich, ze sobą od wieków zrośniętych. To duchowe znamię nadaje narodowi psychologiczną indywidualność, stanowiącą jego wnętrzną łącznię i cechę wyróżniającą go od innych narodów — i to nazywamy narodowością. Byt polityczny narodu, jako ciało zależne od warunków zewnętrznych, może uledz pod naciskiem lub w skutek zmiany tych warunków — narodowość, jako rzecz duchowa, pozostaje i dalej pełni swe zadanie w ogólnym rozwoju ludzkości. I nawet w obcem państwie, do którego przyłączoną zostaje, żyć będzie jako zdrowy i pożyteczny dla całości członek — byle znalazła warunki n a r o d o w e g o ż y c i a, warunki których ona potrzebuje, jak roślina światła i powietrza. Gdzie zaś jej tego żywiołu

[1] „Przegląd Powsz." z kwietnia 1885. T. VI. Dodat., str. XI.

odmówią, tam wegetować będzie, choćby całemi wiekami, w nieustannym bolu, cierpiąc sama i zarażając organizm z którym ją spojono — jak mieliśmy sposobność wykazać na przykładzie Irlandyi.

Z tego pojęcia narodowości, jako dziejowego płodu, wynika najprzód, że narodowość jest wytworem praw natury i ma w zamiarach natury swą racyę bytu. Boć oczywiście, nie przypadkiem ludzkość po wszystkie czasy rozgałęzia się w narody. Jak rozrost każdego organizmu w rozmaite człony ma cel w przyrodzie, bo każdy organ właściwą posiada funkcyę w ekonomii całości, tak i to rozgałęzienie ludzkości w rozmaite narody ma głębszą racyę bytu, bo każdy naród odmienną dań zbiorowej kulturze przynosi, każdy właściwą misyę w historyi spełnia. Gwałcenie przyrodzonych praw organizmu jest zawsze błędem, gdyż nic innego nie sprawia tylko ból i zepsucie — gwałcenie przyrodzonych praw ludzkości jest nietylko błędem, nierównie większych cierpień i głębszego skażenia przyczyną, ale jest też krzywdą i występkiem: bo prawo natury odnośne do ludzkości, jest oraz prawem moralnem.

Z tegoż pojęcia narodowości wynika po drugie, że ona jest zbiorem praw wrodzonych i nabytych, najdroższych sercu ludzkiemu. Każdy człowiek ma przyrodzone prawo do życia w kraju w którym się urodził, do mówienia własną mową, do pielęgnowania rodzinnych obyczajów, do zdobywania w własnym kraju stanowisk przewodnich, do których uzdolnienie posiada — słowem, ma prawo czynienia wszystkiego co się równym prawom bliźnich nie sprzeciwia. Państwo jest tylko na to, by te prawa obywateli siłą osłaniało i równowagi ich podług sprawiedliwości strzegło. Gdy zaś nadto przychodzi wielowiekowe posiadanie, spuścizna po ojcach, zrośnięcie z duszą od piersi macierzyńskich — wówczas te prawa nietylko nieskończenie droższe są człowiekowi, ale też świętsze i nietykalniejsze wobec zakonu przyrodzonego Bo choć prawa pisane tylko dziedzictwo materyalne warują, jednak prawo natury na sercach wypisane nie mniej uświęca posiadanie i dziedzictwo duchowe.

Państwo więc, które zapominając o swem zadaniu, chcąc samo być celem, wkracza jak daleko mu się podoba w sferę praw prywatnych, przetwarza obywateli na swą modłę, dopasowuje ich, duszą i ciałem, do swoich zamiarów, druzgocąc w tej maszynowej robocie uczucia i prawa jednostek, nawet tak drogie jak narodowe i tak

święte jak religijne — takie państwo wywraca przyrodzony porządek rzeczy, popełnia bezprawie olbrzymie i nieustające, w którem się tyle krzywd i bolów mieści, że je Bóg jeden policzy.

Ale praw natury nie pomiata się bezkarnie, a piętna, które to przestępstwo na sprawach wyciska, żadne wawrzyny z czoła nie zetrą. Oto mąż, olbrzymi potęgą i powodzeniem, którego wczoraj jeszcze tysiące sumień ludzkich, olśnionych jego chwałą, szczerze uwielbiało, dziś ma już tylko g ł o s y za sobą, i to sprzysiężonych i zawisłych — s u m i e n i a go odstąpiły. Zajścia w parlamencie, a jeszcze więcej prywatne rozmowy z ludźmi tego narodu, aż nadto o tem przekonują. Spełnia się w nim głębokie słowo pogańskiego filozofa! *Huic legi, qui non parebit ipse se fugiet, ac naturam hominis aspernatus hoc ipso luet maximas poenas, etiamsi caetera supplicia, quae putantur effugerit* [1].

Taką jest narodowość w obec prawa natury; stąd się też wyjaśni jej stosunek do chrystyanizmu.

W starożytności pogańskiej, narodowość, oprócz znamienia właściwej odrębności, nacechowana była duchem ekskluzywizmu: obowiązki ludzkości ograniczały się jedynie na ziomkach, obcy, *barbarus*, był z tytułu tej obcej narodowości przedmiotem zawiści lub pogardy, wyjętem z pod wrodzonego prawa miłości ludzkiej. — Było to skażenie, jakiemu i inne przyrodzone uczucia, pod wpływem namiętności ludzkich w pogańskim świecie uległy.

Żydzi, choć także przejęci tym partykularyzmem, mieli jednak w swoim zakonie od Boga podanym, przestrogi łagodzące tę wyłączność, i nakazujące, nawet względem obcych w granicach ich przebywających, sprawiedliwość i miłosierdzie: Tak czytamy w Lewityku [2]. *Będzieli przychodzień mieszkał w ziemi waszej a będzie przebywał między wami, nie urągajcie mu; ale niech będzie między wami jako obywatel; i będziecie go miłować jako sami siebie* I nieco dalej [3]. *Jednaki sąd niechaj będzie między wami, bądźby*

[1] Cycero *III. de Rep.* „Kto tego prawa nie słucha, sam się ze siebie wyzuwa i naturą ludzką pomiata; co już jest karą nader sroga, chociażby innych kar, których się domyśliwamy, uniknął".

[2] XIX., 33.

[3] XXIV., 22.

przychodzień, bądź obywatel zgrzeszył. Podobne znajdujemy przepisy w Exodzie, w Księdze Liczb, w Deuteronomium. Prorocy, gromiąc zbrodnie Izraela, łączą zwykle krzywdzenie obcego i przybysza, z krzywdzeniem sędziwych rodziców, sierót i wdów. *Przychodnia i sieroty i wdowy nie spotwarzajcie*, mówi Jeremiasz [1]. *Ojca i matkę sromocili w tobie (Jerusalem)*, mówi Ezechiel [2], *przychodnia powtarzali w pośrodku ciebie, sierotę i wdowę zasmucili u ciebie.*

Chrystyanizm przyszedł dopełnić, co w zakonie Mojżeszowym było dopiero zaczętem, poprawić, co w pogańskim świecie było skrzywionem: prawem powszechnej miłości złączyć wszystkie narody — złączyć je, nie przez zatarcie tego, co w narodowościach jest typowem, rozmaitem i charakterystycznem — bo to, jak widzieliśmy, jest dziełem natury, myślą tegoż Boga, od którego chrystyanizm pochodzi — ale przez zniesienie tego, co w pogańskiem pojęciu narodowości było ekskluzywnem i nienawistnem, przez równouprawnienie wszelkich narodowości, na podstawie synowstwa bożego i braterstwa w Chrystusie. Hasło powstającego chrystyanizmu: „Nie masz więcej Żydowina ni Greka“. *Non est Judaeus neqne Graecus... omnes enim vos unum estis in Christo Jesu* [3], nie znaczyło oczywiście, że nie ma być nadal właściwości Żyda i Greka, żydowskiego i greckiego języka, żydowskich i greckich obyczajów i znamion narodowych... ale że odtąd wszystkie ludy mają jednaką godność, jednakie prawo do poszanowania: że więc nikogo z tytułu narodowości nienawidzić, prześladować, nikim pogardzać nie wolno. Jak jednostki tak i narody były dziełami rąk Bożych, a stały się w chrześcijaństwie dziećmi Bożemi.

Pierwszym objawem tego objęcia wszech narodowości w łonie Kościoła było udzielenie Apostołom daru języków. Nie obdarzył Bóg w onej chwili słuchaczów darem rozumienia jednej urzędowej mowy, rzymskiej albo żydowskiej, ale dał wysłannikom swoim dar mówienia wszystkimi językami ludów, do których ich posyłał. A to pierwsze kazanie, jak uważają Ojcowie śś., było przedobrażeniem misyi, jaką Kościół miał po całym świecie w przeciągu wieków spełniać.

[1] VII., 6.
[2] XXII., 7.
[3] Gal. III. 28.

Wkrótce potem, gdy nienawiści narodowe głowę podnosić zaczęły, gdy Żydzi chcieli narzucać Grekom swoje narodowe zwyczaje i obrzędy, a w Grekach nawróconych budziła się dawna dla Żydów pogarda, św. Paweł gromił te zapędy, nie zważając na osoby: *Czemuż pogany przymuszasz żyć po żydowsku?* [1] — rozkazywał uszanować zwyczaje i właściwości każdego, o ile nie były bożemu i przyrodzonemu zakonowi przeciwne, i stawiał wielokrotnie, bezwarunkowo zasadę równouprawnienia narodowości wobec Boga i wobec chrześcijaństwa: *Albowiem nie masz różnicy Zyda i Greczyna: bo tenże Pan wszystkich* [2].

W dalszym pochodzie dziejów, chrystyanizm pozostał wierny temu hasłu. Kościół przemawiał do wszech ludów ich językami, wszędzie, skoro tylko było możebnem, pasterzy z ich łona wybierał, wszędzie jednaki wiarą i moralną nauką — postać zewnętrzną przybierał rozmaitą, przyjmując wpływ ducha ludów i społeczeństw, których był mistrzem; wszędzie niemal i najskuteczniej bronił narodowych znamion, tradycyi, nawet literatur, przeciw niesprawiedliwym obcych napaściom. Kościół Chrystusów zespalał ludy jednością w rozmaitości: jednością miłości i wiary, w rozmaitości narodowych znamion.

Ale nie koniec na tem. Chrystyanizm nietylko sprostował pojęcia narodowości, lecz wszystkie prawa człowieka wyjaśnił i uświęcił: sumienie ludzkie, wiekami niewoli zgnębione, ocucił, wszelkim władzom: rodzicielskiej, małżeńskiej, pańskiej, a nadewszystko państwowej, jak encyklika *Immortale Dei* omawia, właściwe zadanie i granice przyrodzone określił. Chrystyanizm powiedział zwierzchnikom państw to samo, co zakon przyrodzony rozumowi dyktował, ale z tą niezrównaną mocą i powagą, jaką tylko słowo Boże posiada — powiedział im, że nie są panami, ale tylko narzędziami Boga na usługę społeczeństw: *ministri enim Dei sunt in hoc ipsum servientes* [3] — że miecz, czyli władzę materyalnego przymusu, piastują nie dla dowolnego użytku, ale jedynie dla ochrony sprawiedliwości i wzbraniania występku: *non sunt timori boni operis sed mali* [4] — że wreszcie z tej „służby Boga ku

[1] Galat. II. 14.
[2] Rom. X. 12.
[3] Rom. XIII. 6.
[4] Rom. XIII., 3.

dobru społeczeństwa" ścisły kiedyś Bogu zdadzą rachunek: *Nadstawcie uszu, wy którzy władacie ludem i podobacie się sobie z wielkości narodów: gdyż dana wam jest władza od Pana i moc od Najwyższego, który pytać się będzie o uczynkach waszych i myśli badać się będzie. Że będąc sługami królestwa jego, nie sądziliście sprawiedliwie, aniście strzegli prawa sprawiedliwości, aniście chodzili według woli Bożej: strasznie i prędko ukaże się wam; bo najsroższy sąd będzie tym, którzy są przełożeni*[1]...

Ztąd w państwach chrześcijańskich, ledwo wychylających się z barbaryi, wcześnie wyrobiła się prawdziwa wolność i godność człowieka, otoczona sferą praw obistych, których nawet władza absolutnych monarchów naruszać nie śmiała; wcześnie, nawet wśród wojen i podbojów, narodowości zwalczone znalazły u zwycięzcy sprawiedliwość i tolerancyę. Ta sama idea chrześcijańska, która już w rzymskiem państwie poczynała kruszyć kajdany niewolników, która w wiekach średnich łagodziła srogości wojen i wyrównywała nierówności społeczne, chroniąc Europę od kastowości pogańskiego Wschodu — ta sama idea rozkwitła się końcowo w tej łagodności i równości prawa, która jest największym nowożytnej historyi zaszczytem: — prawo jedno dla wszystkich, wszystkim dobroczynne, jedynie przestępcom groźne — według formuły ewangelicznej: *non est timori boni operis sed mali.*

Jeżeli znów dzisiaj występuje widmo praw wyjątkowych, jeżeli obywatele państwa ścigani są prawem, nie dla własnych przestępstw, ale dlatego jedynie, iż są synami lub ziomkami ludzi którzy zawinić mieli; jeżeli i rząd i nawet prawodawstwo zwracają się przeciw części mieszkańców kraju, jedynie z tytułu ich narodowości, języka, wyznania; jeżeli ten szczyt gmachu nowożytnej cywilizacyi zapada się wstecz, w barbarzyństwo — nie dziwujmy się: to nowy dowód jak wyparcie zasad chrześcijańskich pociąga za sobą, prędzej czy później, upadek społecznych instytucyj i postępów, które się na ich podstawie dźwignęły. Nie pierwsza i nie ostatnia to ruina, co w skutek tego podebrania podwalin nastąpiła i jeszcze nastąpi. Czemu się prawdziwie dziwić należy, to że ludzie, którzy do takiego prawodawstwa rękę przykładają, którzy mowom urągającym prawu

[1] Księga Mądrości VI., 3—6.

i sprawiedliwości, i czynom gwałtu z entuzyazmem przyklaskują, tak zw. konserwatyści pruscy, mają się jeszcze za chrześcijan, chcą podtrzymywać w świecie wiarę w Chrystusa i religię Ewangelii! *O insensati Galatae, quis vos fascinavit*[1]*?*

Bóg dopuszcza żeby się gmach ludzki rysował od góry do dołu, od szczytu władzy aż do poziomu socyalizmu, ażeby się ludzie postrzegli, jaką zbrodnię i jakie szaleństwo popełniają, targając się na podwaliny chrystyanizmu. Ale ten dopust Boży jest do czasu; podwaliny te są w sercu ludzkości nieśmiertelną ręką założone; na nich odbuduje się to, co się dziś wali — a z dzieła burzycieli nie zostanie śladu.

X. M. Morawski.

[1] Gall. III., 1.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

JEDNOSTKA W OBEC PAŃSTWA, przez *Dr. I. Skrochowskiego* 161

OBRAZY WERESZCZAGINA, przez *F. Lutrzykowskiego* . . 89

REFORMA KONSERWATORSTWA ZABYTKÓW SZTUKI, przez *St. Tomkowicza* 225, 411

CHRYSTYANIZM I NARODOWOŚĆ, przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* . . . . . Dod. I.

Artykuły naukowe i literackie.

CZŁOWIEK W STOSUNKU DO RELIGII I WIARY, przez *ks. A. Langera T. J.* 1, 446

NOWA TEORYA POWSTANIA ŚWIATA, przez *ks. Eustachego Skrochowskiego* 21, 197

REFORMA MUZYKI KOŚCIELNEJ W XIX. WIEKU (Dok.) . 38

SZKOLNICTWO WE FRANCYI. przez *H. Rodde du Vernet* . 57, 182

KORESPONDENCYA POUFNA ex-agenta dyplomatycznego z damą dworu, i wyjątki z jej dziennika z roku 1813—1819 (Dokończenie) 74

Z UKRAINY POŁABSKIEJ, przez *Jana Grzegorzewskiego* . 210, 354

CELOWOŚĆ W PRZYRODZIE, przez *ks. M. Morawskiego T. J.* 235

DWA OSTATNIE PAMIĘTNIKI RENANA, przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 343

Stronnica.

Z przeszłorocznej literatury Mickiewiczowskiej . 368
Relacya o upadku Kamieńca r. 1672 i ostatnich czynach p. Jerzego Wołodyjowskiego 388

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Scriptores rerum polonicarum. T. VIII. Archiwum domu Radziwiłłów; wydała Akademia Umiejętności, *(A. H. Kirkor)* 101
Wyprawy misyjne do krajów Zambezy 109
Repertorium czynności Galicyjskiego Sejmu od r. 1861—1883, zebrał *Wł. hr. Koziebrodzki* 110
Mitologia Greków i Rzymian dla młodzieży, przez *Dr. J. Zippera.* 111
Szkice Literackie przez *Stef. Chłędowską* 111
Autorki polskie XIX. wieku. Studyum literacko-obyczajowe, przez *Dra Piotra Chmielowskiego* 263
O objawieniu św. Jana Apostoła. Napisał *ks. Stanisław Spis, (ks. A. Arndt T. J.)* 270
Porwana z klasztoru. Kartka z dziejów obyczajowych Polski XVII. wieku, przez *Jerzego Mycielskiego* 271
Przesilenie, napisał *Roger hr. Łubieński* 273
Ze studyów archiwalnych, *Dra Anatola Lewickiego*, I. Wstąpienie na tron Polski Kazimierza Jagiellończyka 274
Znaczenie większej własności i obowiązki większych właścicieli ziemskich w Królestwie polskiem, przez *Ludwika Górskiego. (A. Breza)* 457
W sprawie ekonomicznej. Do p. Merunowicza posła — przez *Edmunda Kraińskiego* 461
Zapiski ornitologiczne. Orły polskie, przez *Kazimierza hr. Wodzickiego* 463
Głowy do pozłoty, przez *Jana Lama* 464
Henryk Heine. Portret literacki, przez *Teodora Jeske-Choińskiego.* 464
Pieśni o królowej Jadwidze, przez *Podolankę* 465

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Najnowsze publikacye filozoficzne 112
Aus Welt und Kirche, von *Dr. Fr. Hettinger* 116
Die Universitäten des Mittelalters bis 1400, von P. *H. Denifle* 117
Du Brahmanisme et de ses rapports avec le judaisme et le christianisme, par *M. Fr. Laouënan* 118
Z najnowszej literatury angielskiej 275
Catalogue général des manuscrits des bibliothèques publiques de France; *bibliotèque Mazarine* 287
La vie d'un poète — Eduard Turquety. Etude biografique, par *Frédéric Sautnier* 287
Des rapports du sacerdoce avec l'autorité civile à travers les âges et jusqu'à nos jours, au point de vue légal, par *Horoy* 288

Stronnica.

Z LITERATURY ROSYJSKIEJ: SECRETS D'ÉTAT DE VENISE par *Vladimir Lamansky*, professeur de l'université de St. Petersbourg. — INDEKS do wydawnictw „Komisyi czasowej dla rozpatrzenia dawnych aktów", ułożył *J. P. Nowicki*. — PO ROSYI. LISTY Z NOWOROSYJSKIEGO KRAJU, przez *A. N. Mołczanowa* — ARCHIWUM POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ RUSI, wydawane przez *Komisyę czasową do rozbioru starodawnych aktów*. — ZBORNIK ces.-ros. Towarzystwa historycznego *(A. Sulima)* 466

Z pism peryodycznych:

VII. STIMMEN AUS MARIA-LAACH. Katolische Blätter. Jahrgang 1885. Zweite Hälfte. *(ks. A. Arndt)*. 289
VIII. REVUE CATH. DES INSTITUTIONS et du droit *(Dr. Brzeziński)* 293
IX. NIWA. *(Ludwik Dębicki)* 471
X. CHRISTLICH-SOCIALE BLÄTTER. 474

Rozmaitości:

Zgubny wpływ pewnych wypożyczalni książek. — „Ananas". — Powszechny izraelicki Alians. — Nowa gazeta „Ruś". — Ogłoszenia nowych dzieł 119
Czy są dobre powieści francuskie? — Do „Ateneum". 297
„Tygodnik". — Przekład książki: „Geschichtslügen". — Nowe książki. — Czasopismo hiszpańskie o Krasińskim 479

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Styczeń.

SPRAWY KOŚCIOŁA: O misyi w Kamerunie. — Misye katolickie włoskie. — Sprawa Kelley'a. — Prześladowanie duchowieństwa we Francyi. — Biskup Freppel 124
ELEMENTARNE SZKOŁY WIELKOPOLSKIE pod opieką pruską (Dok.) 127
LISTY Z NAD BALTYKU. II. Charakterystyka Łotyszów. — Ich kraj. — Pierwsze kroki ich oświaty. — Książki łotewskie wydawane przez Żydów. — Szkoły i urzędy gminne. — Dobry stan pod tym względem Inflant szwedzkich i Kurlandyi . 141
Z BERLINA: Pogląd na sytuacyę wewnętrzną. — Misye katolickie po koloniach niemieckich. — Orędzie cesarskie 145

Luty.

ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNALAZKÓW: Trzeba nam się obznajmiać z wiedzą i wielkim przemysłem Zachodu. — Czasopismo: „Pomoc własna" i przemysł, jaki się rozwinął w okolicy Kołomyi. — Przeszkody jakich tenże doznawał od zagranicznych szalbierzy, i rozwój samodzielny jakiego dosiągł obecnie. — Żegluga powietrzna między Chalais i Paryżem. — Siła wodospadu użyta do oświetlenia Quebeku. —

Stronnica.

Atlas fotograficzny nieba. — Humbug astronomiczny. Przez *Ign. Skrochowskiego* 301

Sprawy kościoła: Encyklika „Quod auctoritate“ i jubileusz na rok 1886. — List Ojca św. do biskupów angielskich. — Allokucya do Kolegium kardynalskiego. — Prześladowanie Kościoła w Rzymie. — Wynik i skutki medyacyi. — Prześladowanie Kościoła we Francyi. — Dar Ojca św. — Synod katolicki w Australii. — Jubileusz kapłaństwa O. św. Leona XIII. — List ks. Bismarka do Ojca św. i list tego ostatniego do biskupów niemieckich. — Nagana banicyi przez parlament niemiecki 310

Kochinchina: Prześladowanie chrześcijan 319

Z Poznania: Opłakany stan Kościoła. — Kwestya wyznań w wydalaniach. — Petycya ojców rodzin. — Odezwa do matek. — Usuwanie Polaków z posad nauczycielskich. — Nędza materyalna. — Towarzystwo przyjaciół nauk. — Ofiarność wielkopolska. — Ruch prasy katolickiej 331

Marzec.

Sprawy Kościoła: Słowo o naszych stosunkach. — Projektowane uniwersytety katolickie w Salcburgu i Fryburgu. — We Francyi: mowa ministra Freycinet'a — list kardynałów francuskich do rządu — Watykan i Chiny. — Nowella szkolna w senacie. — W Hiszpanii: list zbiorowy episkopatu — poświęcenie kleru przy cholerze — składki na flotę — Lojola . 482

Listy z nad Bałtyku: Wydawnictwa łotewskie. — Stosunki socyalno-polityczne. — Moralność u Łotyszów. — Kierunek wsteczny prasy łotewskiej. — Zarzuty czynione duchowieństwu. Przez *Gustawa Manteuffla* 487

Z Wiednia: Ruch w stolicy. — Wrażenia jakie mowa ks. Bismarka wywarła w Wiedniu. — Nędza w kołach robotników. — Rada Państwa: projekta rządowe ustaw o zabezpieczeniu przeciwko skutkom przypadków i na wypadek choroby — niektóre zmiany i uzupełnienia przepisów egzekucyjnych — etyczne i ekonomiczne ich znaczenie — projekt ustawy o języku urzędowym 491

Spółki włościańskie systemu Raiffeisena: Czem Schulze z Delitzsch dla mieszczan tem Raiffeisen dla włościan. — Urządzenie „Spółek włościańskich“ i ich zbawienna działalność. — Różnica od „Spółek zarobkowych. — Ich szybki rozwój i uznanie rządu. — Sprawa tychże na Górnym Szląsku. — Przyjmują się we Włoszech i w Szwajcaryi. — W Wielkopolsce i Prusiech Zachodnich wielka ich potrzeba 500

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków: Rozprawa Hirna o sile — źródła siły. — Postępy balonowej jazdy. — Parowy faetonik. — Fotografie momentalne. — Nowe wawrzyny Pasteura i teorya Petera. — Szowinizm naukowy w Niemczech p. *Ign. Škrochowskiego* 511

Korespondencya Redakcyi 155, 338

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski. T. J.